

# JANE JOHNSON

## TAJEMNICA AMULETU

Tutaj kraina nieżywa  
Kraina kaktusowa  
Tu hodują kamienne  
Obrazy, ich łaski wzywa  
Dłoń umarłego, błagalnie wzniesiona  
Pod migotem gwiazdy błędnej.  
T.S. Eliot, Wydrażeni ludzie, przekł. Czesław Miłosz

Sól jest duszą pustyni - przysłowie saharyjskie

Czy ludzie muszą zniknąć,  
byśmy uświadomili sobie, że istnieją?  
- Mano Dayak, bojownik o wolność i negocjator (zm. 1995)

## ROZDZIAŁ I

Kiedy byłam dzieckiem, w ogrodzie na tyłach domu miałam wigwam: okrągłą konstrukcję z żółtej bawełny zawieszoną na bambusowej tyczce wbitej w trawnik. Ilekroć między moimi rodzicami dochodziło do kłótni, tam właśnie się chowałam. Z palcami w uszach leżałam na brzuchu i tak intensywnie wpatrywałam się w czerwone zwierzęta zdobiące jaskrawą dekoracyjną lamówkę, że po chwili zaczynały tańczyć i biegać, a ja z ogrodu przenosiłam się na równiny, ubrana w skórzaną tunikę z frędzlami i piórami we włosach niczym wojownicy, których w każdy sobotni poranek oglądałam w kinie na końcu ulicy.

Już jako kilkuletnia dziewczynka wołałam przebywać w małym namiocie niż w domu. Namiot był moją przestrzenią. Wielkością dorównywał mojej wyobraźni, a ta była nieskończona. Dom natomiast, wspaniały i po georgiańsku rozległy, zdawał mi się mały, przytłaczający. Pełno w nim było rzeczy, a także goryczy mojej matki i ojca. Oboje rodzice byli archeologami: zakochani w przeszłości żyli w otoczeniu kartonów wypełnionych pożółkłymi papierami, starożytnymi artefaktami, zakurzonymi przedmiotami; delikatnymi, kruchymi skorupami zaginionych cywilizacji. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego zdecydowali się mieć mnie: nawet najcichszy, najlepiej wychowany brzdąc, najbardziej sumienne dziecko musiało rozbić ten sztuczny, muzealny spokój, jakim się spowili. W tym domu żyli odseparowani od reszty świata, jak w bańce, gdzie w ciszy unosiły się drobinki kurzu na podobieństwo sztucznego śniegu w szklanej kuli. Nie pasowałam do takiego życia, bo byłam stworzeniem dzikim, hałaśliwym, nieporządnym i nieposłusznym. Zamiast wdawać się w spokojne, zrozumiałe tylko dla wtajemniczonych rozmowy z innymi dziewczynkami, wołałam szalone zabawy z chłopakami. Miałam lalki, ale najczęściej pozbawiałam je głów, skalpowałam albo zakopywałam gdzieś w ogrodzie, po czym zapominałam, w którym miejscu. Nie interesowało mnie szycie modnych kreacji dla nienaturalnie wyszczuplonych różowych manekinów z plastiku z tułowiem jak u owada, miedzianymi włosami, które inne dziewczynki tak uwielbiały i którymi tak się zachwycaly. Nawet moje własne ubrania niezbyt mnie interesowały: wołałam robić pociski z błota i proce, ścigać się z moimi towarzyszami zabaw, aż ze śmiechu i przez kolkę zaczynało

ściskać mnie w boku, budować kryjówki i uganiać się na wpół nago, nawet w zimie.

- Ty mała dzikusko! - strofowała mnie matka, jednocześnie dając mi bolesnego klapsa w tyłek. - Na miłość boską, załóż coś na siebie, Isabelle.

Mówiła to z całą surowością, na jaką pozwalał jej urywany francuski akcent, sądząc zapewne, że gdy zwraca się do mnie moim pełnym, staromodnym imieniem, zdoła wymusić na mnie bardziej cywilizowane zachowanie. Jednak nigdy tak naprawdę nie odnosiło to skutku.

Przyjaciele nazywali mnie Izzy: znacznie lepiej pasowało to do mojego temperamentu, wiecznie nieposkromionego, zawsze hałaśliwego - istne wyzwanie.

W ogrodzie za naszym domem bawiliśmy się z moimi przyjaciółmi w kowbojów i Indian, Zulusów, króla Artura i Robin Hooda, uzbrojeni w miecze i włócznie z bambusowych tyczek zwędzonych z warzywniaka, a także łuki i strzały na niby. W czasie zabawy w Robin Hooda zawsze chciałam być jednym z członków wesołej kompanii albo nawet szeryfem Nottingham - kimkolwiek, byle nie lady Marian. We wszystkich znanych mi wersjach legendy lady Marian w zasadzie tylko była więziona i/lub ratowana, co niezbyt mi się podobało. Nie pociągała mnie rola omdlewającej więźniarki: ja chciałam siłować się i okładać innych kijami, jak każda prawdziwa mała chłopczyca, którą przecież byłam. Działo się to pod koniec lat sześćdziesiątych i na początku siedemdziesiątych: „siła kobiet” jeszcze nie zdążyła uczynić z lady Marian, Ginewry, Arweny i całej reszty pokornych bohaterek legend zadziornych, przedsiębiorczych i walecznych kobiecych postaci. Poza tym przy moich bladych, ślicznych koleżankach byłam zbyt brzydka, żeby odgrywać heroinę. Miałam to gdzieś: lubiłam być brzydka. Miałam gęste czarne włosy, brudną skórę, ziemię pod paznokciami i odciski na stopach, i tak właśnie mi się podobało. Ależ się wydzieralam, kiedy matka zmuszała mnie do kąpieli, gdy przypuszczała na mnie atak szarym mydłem marki Wright s albo próbowała rozczesać mi włosy. Jeżeli w domu byli goście, co czasem się zdarzało, musiała ich ostrzegać.

- Nie zwracajcie uwagi na wrzaski - mówiła. - To tylko Isabelle. Nie znosi, kiedy myję jej włosy.

Trzy dekady później zmieniłam się nie do poznania.

W dniu, w którym udałam się do kancelarii adwokackiej po list pozostawiony mi przez ojca zgodnie z jego ostatnią wolą, ubrana byłam w klasyczny spodniom od Armaniego i szpilki od Prady. Niesforne włosy miałam obcięte, wyprostowane i ułożone w skromnego, sięgającego ramion boba, makijaż dyskretnie i perfekcyjnie nałożony. Brudne niegdyś paznokcie teraz były praktycznie spiłowane na prosto i ozdobione francuskim manikiurem. Cóż za ironia: sposób, w jaki prezentowałam się teraz, moja matka, gdyby oczywiście jeszcze żyła, akceptowałaby w pełni. Nawet mnie - choć osobiście krok po kroku przebyłam całą drogę dzielącą mnie od małej umorusanej diablidy, którą kiedyś byłam, do zadbanej, eleganckiej bizneswoman, jaką się stałam - trudno było połączyć oba te wcielenia.

List był enigmatyczny i krótki, co w gruncie rzeczy nie powinno było dziwić, jako że mój ojciec był równie tajemniczy i prezentował się równie nieokazale. Oto treść listu:

Kochana Isabelle,

Wiem, że głęboko Cię rozczarowałem jako ojciec i jako człowiek. Nie proszę o przebaczenie, ani nawet o zrozumienie. Postąpiłem źle: wiedziałem to wówczas, wiem i teraz. Jedna zła decyzja pociąga za sobą kolejną, kolejną i kolejną; łańcuch zdarzeń prowadzących do katastrofy. Za ową katastrofą kryje się historia, ale nie mnie ją opowiadać. Sama musisz poskładać ją w całość, należy bowiem do Ciebie, a ja nie chciałbym narzucać Ci jej interpretacji ani też zepsuć, jak udało mi się zepsuć wszystko inne. Tak więc zostawiam Ci dom: ale też coś jeszcze. Na strychu schowane jest pudło podpisane Twoim imieniem. W jego wnętrzu znajdziesz rzeczy, które mogłyby nosić miano „wyznaczników” Twojego życia. Wiem, że zawsze byłaś na bakier ze światem, w jakim przyszło Ci się znaleźć, winę za co przynajmniej w połowie zmuszony jestem przypisać sobie, być może jednak zdołałaś się już z tym pogodzić. Jeśli jest tak w istocie, zapomnij o tym liście. Nie otwieraj pudła. Sprzedaj dom i wszystko, co się w nim znajduje. Nie wywołuj wilka z lasu.

Pozostań w pokoju, Isabelle, i niechaj moja miłość zawsze Ci towarzyszy. O ile jest coś warta.

Anthony Treslove - Fawcett

Przeczytałam to w kancelarii prawnika w Holborn, oddalanej o dziesięć minut zwawym krokiem od biura, w którym pracowałam jako

świetnie opłacana księgowa specjalizująca się w podatkach. Prawnik i jego asystent przyglądali mi się z zaciekawieniem. Koperta zawierała również komplet kluczy do domu, zapiętych na zniszczonym skórzanym breloczku.

- Wszystko w porządku? - zapytał z ożywieniem adwokat.

Dziwne pytanie skierowane do kogoś, kto właśnie pochował ojca; z drugiej strony jednak prawnik mógł nie wiedzieć, że nie widziałam ojca przez niemal trzydzieści lat, przynajmniej nie osobiście.

Trzęsłam się tak bardzo, że mówienie przychodziło mi z trudem.

- Tak, dziękuję - wykrztusiłam, niezdarnie upychając kopertę z listem i kluczami w torebce.

Całą siłą woli, jaką zdołałam wykrzesać, posłałam mu uśmiech tak promienny, że swym blaskiem poraziłby samą ślepą Sprawiedliwość.

Starszy wspólnik próbował nie okazać swego rozczarowania faktem, że nie zapoznałam go z treścią listu. Wręczył mi teczkę z dokumentami i zaczął bardzo szybko mówić.

W tej chwili pragnęłam jedynie znaleźć się już na zewnątrz. Potrzebowałam słońca; potrzebowałam otwartej przestrzeni. Czulałam, jak ściany gabinetu - z zapchanymi półkami i masywnymi szafkami na akta - zamykają się wokół mnie. Słowa „urzędowe zatwierdzenie testamentu”, „zamrożone rachunki” i „proces prawny” atakowały mnie gwałtownie, brzęcząc pod czaszką jak rój rozwścieczonych much. Adwokat był dopiero w połowie zdania, ale ja gwałtownym szarpnięciem otworzyłam drzwi, wyszłam na korytarz i zbiegłam ze schodów.

Ojciec zostawił nas, kiedy miałam czternaście lat. Nie płakałam, nie uroniłam nawet jednej łezki. Jego nieobecność wywoływała we mnie mieszane uczucia: nienawidziłam go za to, że od nas odszedł, pogardzałam nim za ucieczkę i porzucenie nas. Jednak od czasu do czasu nachodziła mnie tęsknota za ojcem, jakim zdarzało mu się być, ale też odczuwałam ogromną ulgę, że już go z nami nie ma. Czyniło to życie znacznie prostszym, nawet jeśli jeszcze bardziej pozbawionym ciepła i biedniejszym. Moja matka nie pokazała po sobie cierpienia, jakie jego zniknięcie musiało wywołać. Nigdy nie należała do kobiet obnoszących się z uczuciami, a ja jej nie rozumiałam: przez całe życie pozostawała dla mnie zagadką. Mój ojciec, ze swoim wybuchowym temperamentem i cholerycznym usposobieniem wydawał się bardziej

podobny do mnie; matka była chodzącą Królową Śniegu, chłodną i uprzejmą, dla której liczyło się jedynie, w jaki sposób jawimy się światu na zewnątrz. W kwestii wychowania dziecka swoją troskę ograniczała do monitorowania moich postępów w szkole, wyglądu i manier. Wszelkie ujawnianie uczuć było w jej mniemaniu wulgarne, wobec czego ja, ze swoją żywiołowością i napadami wściekłości, musiałam być dla niej wielkim rozczarowaniem. Traktowała mnie ze swoistym chłodnym zniecierpliwieniem, tłumioną złością, bez końca powtarzając upomnienia i słowa krytyki, zupełnie jakbym była rozpiętym na treliżu owocowym drzewkiem, które nieustannie wymagało naginania, by rosnąć w odpowiednim kształcie. Przez większą część życia trwałam w przekonaniu, że takie są wszystkie matki.

Lecz któregoś dnia wróciwszy ze szkoły, wyczułam zmianę w domowej atmosferze, coś naelektryzowanego i groźnego, jakby nadciągała burza z piorunami. Znalazłam matkę siedzącą w półmroku, przy zaciągniętych zasłonach.

- Dobrze się czujesz? - zapytałam, nagle przerażona, że mogę stracić drugie z rodziców.

Odsłoniłam okna i w ostrym popołudniowym słońcu jej rysy stały się niewyraźne, przez co jej twarz wyglądała jak biała maska kabuki, zamieniając matkę w obcą, przerażającą istotę. Przez chwilę ta pozbawiona twarzy kobieta wpatrywała się we mnie, jakby mnie nie poznawała. Po czym wreszcie przemówiła.

- Było nam ze sobą cudownie, dopóki się nie pojawiłaś - powiedziała. - Od pierwszej chwili, kiedy wzięłam cię na ręce, wiedziałam, że wszystko zepsujesz - umilkła na chwilę. - Czasami takie rzeczy się wie. Powiedziałam mu, że nigdy nie chciałam dzieci, ale on tak bardzo się uparł.

Wpatrywała się we mnie swoimi ciemnymi oczami, a mnie poraziła tajona złość, jaką w nich dostrzegłam.

Chwila ciągnęła się w nieskończoność i czułam, jak dziko wali mi serce. Potem matka uśmiechnęła się do mnie i zaczęła mówić o rododendronach w ogrodzie.

Następnego dnia zachowywała się normalnie. Cmokała, widząc, w jakim stanie jest mój mundurek (usnęłam w nim, więc był brudny i pomięty) i próbowała go ze mnie zdjąć, żeby mogła go wyprasować, ale ja szybko wybiegłam za drzwi. Od tamtego dnia żyłam, jakbym

stapała po zamrożonym jeziorze, przerażona, że krucha, pozorna powierzchnia pęknie, a mnie pochłonie skłębiona ciemność, jaką pod nią dostrzegałam. Oczywiście nikt poza nami nie miał pojęcia o naszych dziwnych i napiętych stosunkach: komu i o czym było mówić? Porzucona przez jednego z rodziców, wystraszona dojrzaną nagle przerażającą pustką w drugim zrozumiałam, że jestem zdana tylko na siebie. Lata mijały, a ja skupiałam się na byciu samowystarczającą, nie tylko w kwestii finansowej, ale we wszystkich innych, które miały znaczenie, zamykając się na wszelkie potrzeby, pragnienia i ból, chroniąc się w bańce, której nikt nie był w stanie przebić.

Lecz tego wieczoru, kiedy przy kuchennym stole po raz kolejny czytałam list, zrozumiałam, że bańka może w każdej chwili pęknąć.

Zapomnij o liście. Nie otwieraj pudła. Sprzedaj dom i wszystko, co się w nim znajduje. Nie wywołuj wilka z lasu...

Czy udało się komuś napisać pożegnalny list, który równie pewnie gwarantowałby udrukowanie adresata? Co ojciec miał na myśli, pisząc o „wilku”? Nie dawało mi to spokoju. Ale też przepełniało tajemniczą, głęboko ukrytą ekscytacją. Moje życie było takie poukładane, takie nudne, od tak dawna: teraz jednak wyczuwałam, że coś w nim miało ulec zmianie.

Następnego ranka na siłowni przez godzinę z determinacją biegałam, ćwiczyłam na stepperze, symulatorze narciarskim i z hantlami. Potem wzięłam prysznic, ubrałam się w kostium od Chanel i punktualnie za dziesięć minut dziewięta zjawiłam się w biurze, jak robiłam to w każdy roboczy dzień. Włączyłam komputer, sprawdziłam swój terminarz i przygotowałam listę spraw do załatwienia, przy każdej notując godzinę i kolejność, w jakiej powinnam się nimi zajmować.

We wszystkich aspektach życia szukałam poczucia bezpieczeństwa, a jak powiedział kiedyś Benjamin Franklin, w życiu nic nie jest pewne poza śmiercią i podatkami. Ponieważ praca przedsiębiorcy pogrzebowego niezbyt mi się uśmiechała, zajęłam się podatkami. Jako korporacyjnej księgowej specjalizującej się w podatkach, dzień po dniu żyło mi się spokojnie i w ustalonym porządku. Z biura wychodziłam na ogół o wpół do szóstej, metrem i pociągiem wracałam do domu, szykowałam sobie prosty posiłek, oglądałam w telewizji wiadomości i kładłam się do łóżka, sama, przed

jedenastą. Sporadycznie jeździłam do miasta spotkać się z przyjaciółką, jeszcze rzadziej z kimś nieznanym. Czasami jeździłam na ściankę w Westway lub Castle i wspinałam się jak szalona: moje jedyne odstępstwo na rzecz dawnej Izzy uwięzionej we mnie. I tak wyglądało moje życie.

Zerwałam wszystko, co wiązało mnie z dziewczynką, którą niegdyś byłam. Z wyjątkiem Eve.

Eve znałam, odkąd skończyłam trzynaście lat, a ona wraz z ojcem przeprowadziła się w nasze sąsiedztwo. Eve była tym wszystkim, czym nie byłam ja: śliczna, zabawna i bardziej wyrafinowana niż reszta nas, zajęta głównie wbijaniem sobie w uszy agrafek i próbami dołączenia, choć może trochę poniewczasie, do punkowej rewolucji. Eve nosiła autentyczne punkowe spodnie Westwood, podarte T - shirty artystycznie związane w pasie, dzięki temu, a także swoim włosom w kolorze żółtego jak mleczko blondu, wyglądała jak Debbie Harry. Wszyscy uwielbiali Eve, ale z jakiegoś powodu ona na przyjaciółkę wybrała sobie mnie i to właśnie do Eve zwróciłam się w tamten pierwszy sobotni poranek po szoku, jakim było otrzymanie listu od mojego ojca.

- Przyjedź - powiedziałam. - Potrzebuję moralnego wsparcia. Na drugim końcu linii rozdzwonił się jej śmiech.

- Do tego akurat najmniej jestem ci potrzebna! Daj mi pół godzinki, a udzielenie ci wsparcia niemoralnego. To znacznie bardziej zabawne.

Poszła ze mną na pogrzeb i płakała, aż oczy zrobiły się jej czerwone, podczas gdy ja przez cały czas zachowywałam kamienną twarz. Ci, którzy mnie nie znali, ją brali za córkę Anthonyego.

- Ten twój tata był całkiem miły - powiedziała teraz, obracając w dłoniach filiżankę z kawą. - Pamiętasz, jak Tim Fleming złamał mi serce?

Kiedy my miałyśmy trzynaście lat, Tim Fleming był już siedemnastolatkiem, zblazowanym, długowłosym, w skórzanej kurtce. Każda, która się z nim umawiała, prosiła się o kłopoty, o co Eve dokładnie chodziło, i co dostała.

- Jak mogłabym zapomnieć? - uśmiechnęłam się.

- Twój tato popatrzył na mnie w ten typowy sposób, no wiesz - Eve przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie oczami jak guziki. Była to absurdalnie wyolbrzymiona karykatura najbardziej zagadkowego



spojrzenia mojego ojca, ale dziwnie trafna - i powiedział: „Za ładna z ciebie dziewczyna, szkoda cię dla takiego idioty”. Komiczne było, kiedy powiedział to z tym swoim niesamowicie wytwornym akcentem. Zwyczajnie ryknęłam śmiechem. I dokładnie to samo powiedziałam Timowi, kiedy się z nim spotkałam następnym razem, pamiętasz? „Szkoda mnie dla takiego kretyna!”.

Pamiętałam, jak w tamto sobotnie popołudnie Eve podeszła do Tima Fleminga, wałęsającego się z kumplami koło baru z kebabami, i wyrzeszczała te słowa, a jej jasne włosy fruwały jak transparent. Wydawała się taka mądra i bezczelna, a ja byłam z niej tak bardzo dumna. Niestety, jej wyobrażenie o moim ojcu dalekie było od tego, jakim ja na ogół go pamiętałam.

Przeczytała list ojca, w skupieniu zmarszczyła czoło, po czym przeczytała go jeszcze raz.

- Dziwne - powiedziała w końcu, oddając mi list. - Pudło na strychu, tak? Myślisz, że jest w nim gnijące ciało twojej matki? Może jednak wcale nie umarła we Francji. - Wykrzywiła się do mnie, robiąc gotycką minę. Kreska pod lewym okiem rozmazała się jej w ciemną smugę. Kusilo mnie, żeby nachylić się i ją zetrzeć, nie z lesbijskiej potrzeby, lecz umiłowania porządku.

- Och, na pewno pojechała do Francji, uwierz mi.

Jak tylko wyjechałam na studia, jakby zwolniona z wszelkiej odpowiedzialności za mnie matka odsprzedała swoją część domu ojcu za jakąś astronomiczną sumę (nawet nie miałam pojęcia, że utrzymywali ze sobą kontakt) i wróciła do Francji. Zanim umarła, odwiedziłam ją tam dwukrotnie; za każdym razem była obojętna i uprzejma, jak przelotna znajoma. Wyczuwałam mroczne cienie czające się za jej maskę opanowania i wiedziałam, że jeżeli owe cienie kiedykolwiek wychyną z ukrycia, zrobią to z niszczyielską siłą, szczerząc potworne kły.

Eve, chcąc mnie pocieszyć, położyła mi dłoń na ramieniu.

- Jak się z tym wszystkim czujesz?

- Nie wiem.

Była to prawda.

- Och, dajże spokój, Iz. To ja, emocjonalny wrak, Eve. Przy mnie nie musisz trzymać fasonu.

- Szczerze mówiąc, trochę mną wstrząsnęło, jak dowiedziałam się, że nie żyje. Kiedy ostatni raz widziałam go w telewizji, wyglądał dobrze. Ale pieniądze ze sprzedaży domu na pewno mi się przydadzą.

Przez chwilę wyglądała na zbulwersowaną. Zaraz jednak uśmiechnęła się do mnie wymuszonym uśmiechem, jakim obdarza się trzylatka, który właśnie nieumyślnie (a może wcale nie) nadepnął na żabę.

- Przypuszczam, że wciąż jeszcze jesteś ogłupiała, w końcu przeżyłaś szok i tak dalej. Niektórzy od razu pojmują ogrom śmierci; innym zajmuje to trochę więcej czasu. Smutek w końcu przyjdzie.

- Szczerze, Eve, nie wydaje mi się. Zniknął z mojego życia, kiedy miałam czternaście lat. Ten przeklęty list to pierwszy kontakt, jaki nawiązał ze mną od tamtego czasu. Co można czuć do ojca, który postąpił w ten sposób? Choćby był nie wiadomo jaki bogaty.

Mój ojciec może i umarł jako człowiek zamożny, ale wcale jako taki nie zaczynał. Wiadomo, że archeologia nie należy do zajęć przynoszących fortuny. Ojciec szczerze pasjonował się starożytnością, świat współczesny postrzegając jako absolutne zło, co w zasadzie nie powinno dziwić u kogoś, kto wszedł w pełnoletniość tuż po drugiej wojnie światowej, ze wszystkimi koszmarami i brakiem ludzkich uczuć, jakie jej zakończenie odśloniło. Kiedy w latach pięćdziesiątych podczas wykopalisk w Egipcie poznał moją matkę, ledwo stać go było na zapłacenie za posiłek. Ona natomiast wywodziła się z francuskiej arystokracji, jej rodzina miała niezły dom w pierwszej arrondissement Paryża i nieduży zamek na południu Francji. Rodzice razem podróżowali po całym świecie, od jednego starożytnego miejsca do drugiego. Odwiedzili odkopany zikkurat w Dur Untash, na chwilę zatrzymali się na wykopalisku Elso w Betel. Oglądali neolityczne czaszki odkryte w Jerychu i podziwiali różowe miasto Petra. Widzieli schodkową piramidę Imhotepa i miasto umarłych w Sakkarze, przechadzali się pośród rzymskich ruin w Volubilis i zwiedzali stolicę Hoggar w Abalessie. Byli, co z upodobaniem mi powtarzali, akademickimi nomadami, zawsze na szlaku wiedzy. A potem pojawiłam się ja i położyłam kres ich radosnym poszukiwaniom.

Mój ojciec zaczął pracować jako researcher z chwilą, gdy rodził się nowy środek przekazu w postaci telewizji. W krótkim czasie wieczorne życie każdej brytyjskiej rodziny skupiało się wokół odbiornika TV. Niedługo potem szczęście się do niego uśmiechnęło i

zastąpił chorego prezentera godzinnego programu. Okazał się w tym dobry; swoją lekko staroświecką akademicką pozą natychmiast zaskarbił sobie sympatię publiczności. Był przystojny, ale nie w sposób, który mógłby rozpraszać. Był kimś, na kogo kobiety chętnie patrzyły, a mężczyźni lubili słuchać, gdy z zaraźliwą pasją mówił na ulubione przez siebie tematy. Był Davidem Attenboroughem archeologii: dzięki niemu historia stawała się interesująca, a przecież Brytyjczycy zawsze uwielbiali historię - wszak tyle od niej oczekiwali. Na ekranie ojciec emanował życzliwością i był szczerze zadowolony, mogąc dzielić się swoją pasją. Pamiętam, jak w jednym z programów przeraził kuratora Muzeum Brytyjskiego, kiedy hełm z Sutton Hoo, który postanowił przymierzyć, utknął mu na głowie. „Starożytni ludzie byli drobniejszej postury niż my dzisiaj” - wybełkotał, z trudem pozbywając się hełmu, od czego nastroszyły mu się kępki włosów. Ludzie uwielbiali go za tego rodzaju gafy: zbliżały go do widzów i czyniły bardziej ludzkim i takie też stawały się poruszane przez niego tematy. Coraz dziwniej czułam się, kiedy widziałam go chodzącego i mówiącego, jak gdyby nic się nie stało, chociaż przecież od nas już odszedł. Najgorsze, że nigdy nie było wiadomo, gdzie i kiedy pojawi się znowu: był instytucją publiczną, narodowym skarbem. Można było nie oglądać programów o historii i archeologii, tylko na przykład akcję charytatywną na rzecz jakiegoś zapomnianego przez Boga i ludzi afrykańskiego państewka, a tu nagle pojawia się on i przyglądając dłonią swoje coraz bardziej niesforne włosy, z żarem zwraca się z prośbą o datki.

- Rusz się - powiedziała Eve, zrywając się na nogi i chwytając torebkę.

- Jedziemy do domu. - Zobaczyła moją minę i szybko dodała: - Zrobimy szacunkową wycenę przed sprzedażą. Instrukcje dla agenta, co trzeba sprzątnąć i tak dalej. I tak prędzej czy później będziesz musiała to zrobić, czemu więc nie teraz, kiedy już tu jestem? Odrobina moralnego wsparcia, pamiętasz?

Spoglądałam ponad jej ramieniem na zlane deszczem podwórze, gdzie dwa koty czaiły się do walki, jeden na murze, drugi na szopie. Ten na dachu szopy miał uszy położone płasko na głowie; drugi był pręgowany, chyba gotowy do skoku. Szybko podeszłam do okna i zastukałam w szybę. Oba koty obróciły się, by na mnie popatrzeć z wrogością w żółtych ślepiach. Kot na szopie wstał i rozciągnął

najpierw tylne łapy, potem przednie i zgrabnie zeskoczył na patio. Pręgowany zaczął obojętnie wylizywać sobie łapy. Ci ludzie, co oni tam wiedzą?

Nagle przypomniał mi się kot, którego mieliśmy, kiedy byłam mała

- Max, co było zdrobnieniem od Doktora Maximusa ibn Arabi, gibki, z wielkimi uszami i gładką, piaskowobrazową sierścią jak u fenków. Lubił leżeć wyciągnięty w mojej piaskownicy na końcu ogrodu i mrużył oczy w słońcu, jakby znalazł się na mikroskopijnej, a mimo to nieskończonej pustyni. Kiedy miałam osiem lat, zapytałam ojca, dlaczego nasz kot nosi takie dziwne imię. Koty moich kolegów miały proste, opisowe imiona, na przykład Mruczek, Łatka czy Kicia. „To nawet nie jest jego prawdziwe imię”, odparł ojciec z powagą, jakby zdradzał mi jeden z najlepiej strzeżonych sekretów świata. „On nawet nie jest kotem. Jest wcieleniem starożytnego naukowca i naprawdę nazywa się Abu abd - Allah Muhammad ibn - Ali ibn Muhammad ibn al - Arabi al - Hatimi al - Taa' i i dlatego właśnie my nazywamy go Max". W dalszym ciągu nic nie rozumiałam. Ale ilekroć widziałam naszego kota, wyczuwałam, że patrzy na mnie przez zasłonę wiedzy zdobywanej przez setki lat. Może inne dzieci przerażałby taki pomysł, ale ja byłam nim zafascynowana. Leżałam nos w nos z Maxem w naszym ogrodzie, żeby sprawdzić, czy ta mądrość nie przeskoczy między nami, nie połączy się międzygatunkowo. Kompletnie zapomniałam nie tylko o kocie, ale też o całym tym poczuciu magii, obietnicy i możliwości, jakie sobą przedstawiał takiemu dziecku jak ja.

Kiedy teraz przypominałam sobie to wszystko, poczułam się kimś zupełnie innym od tamtej naiwnej i ufnej ośmiolatki; może jednak jej cień czekał, by połączyć się ze mną pod dachem domu mojego dzieciństwa.

- Dobrze - powiedziałam, podejmując, jak mi się zdawało, spontaniczną decyzję. - Jedziemy.

## ROZDZIAŁ 2

Pojechałyśmy moim samochodem. W tych rzadkich przypadkach, kiedy wozili mnie inni ludzie, moja prawa stopa nieustannie wisiała nad nieistniejącym pedałem hamulca; musiałam gryźć się w język, żeby nie wrzeszczeć: „Uważaj!” albo „Światło się zmieniło!”. Kątem oka i we wstecznym lusterku obserwowałam innych użytkowników drogi, przewidując ich każdy ruch. Palce mnie swędziały z pragnienia zmiany biegu lub złapania za kierownicę. Na pewno nie zasługiwałam na miano spokojnego pasażera.

Przejechałyśmy na drugą stronę rzeki w Hammersmith, pokonałyśmy tamtejsze zakorkowane rondo i drogą A40 skierowałyśmy się w stronę West End, wyprzedzając weekendowiczów wlokących się w swoich rodzinnych kombi. Na jednej z bocznych uliczek przy Regent's Park zobaczyłyśmy, jak dwaj mężczyźni ładują wielbłąda do czegoś, co wyglądało jak zwyczajna przyczepa do przewozu koni. A może wyprowadzali tego wielbłąda z przyczepy, bo właśnie przywieźli go do zoo? Trudno było stwierdzić. Wielbłąd był jednogarbny i wyglądał, jakby zasoby jego cierpliwości już się wyczerpały. Swoimi szerokimi, zakończonymi miękkimi poduszkami kopytami zaparł się mocno o drewniany trap i nie dał się ruszyć ani w przód, ani w tył. Tuż przed skrzyżowaniem w Gloucester Gate zerknęłam we wsteczne lusterko i wielbłąd wciąż tam stał, nieruchomy jak pomnik.

Dwadzieścia minut później, po pokonaniu zakorkowanej Hampstead Village, dotarłyśmy do domu. Nie byłam tu, odkąd wyjechałam jako osiemnastolatka, pozbawiona wszelkich złudzeń co do życzliwości otaczającego mnie, leżącego w gruzach świata, ze stoma funtami w kieszeni, które gwizdnęłam z gabinetu matki, by przetrwać jakoś czas do wypłaty pierwszego studenckiego stypendium.

- Daj mi chwilę, dobra? - poprosiłam Eve i zostawiłam ją siedzącą w aucie na podjeździe.

Dom przyglądał mi się ukradkiem oknami zza zamkniętych okiennic. Nawet jeżeli mnie rozpoznał, nie dał mi żadnego znaku. Ale ja pamiętałam wszystko: wijące się pod okapem dachu pnącze, które jesienią barwiło się na czerwono, potem na jego liściach pojawiały się chorobliwe plamy, wreszcie przechodziły w niezdrową żółć i umierając doroczną śmiercią, zaśmiecały ogród. Pamiętałam

rododendrony i ich powykręcane łodygi, pośród których jako dziecko robiłam sobie kryjówki, a także gładkie miejsca na kamiennej ścieżce wiodącej do frontowych drzwi, wyslizgane przez tysiące stóp, które po nich stapały. Dom był w stylu georgiańskim i jego proporcje były miłe dla dorosłego oka, którym teraz na niego patrzyłam. Kiedy byłam dzieckiem, wydawał mi się ogromny; teraz był okazały, ale na pewno nie ogromny, robił wrażenie, ale nie przytłaczał, jakby skurczył się wraz z mijającymi latami. Patrzyłam na niego spokojnie i wiedziałam, że go sprzedam. Nawet nie chciałam wchodzić do środka. Zbyt wiele tam na mnie czekało wspomnień, i to nie tylko w pudle na strychu.

Poszłam ścieżką, która okalając dom, prowadziła do ogrodu na jego tyłach, i spojrzałam na znajomy widok, wstrzymując oddech, jakby najmniejszy ruch czy dźwięk mogły odstraszyć delikatne cienie wciąż jeszcze tam się kryjące. Miałam wrażenie, że gdybym prześlizgnęła się przez zasłonę gęstego żywopłotu z cisów, zaskoczyłabym samą siebie, ale sześćioletnią, bosą i opaloną, z włosami splecionymi w niechlujne indiańskie warkoczyki, z dumą podziwiającą swoje najnowsze odkrycie: dżdżownicę albo ropuchę bezceremonialnie wyciągniętą ze skalnego ogródka. Albo gdybym zamknęła oczy, usłyszałabym pohukiwania i okrzyki naszej gromadki, kiedy uzbrojeni w pneumatyczne strzelby ścigaliśmy się między grządkami. Słyszałam jednak tylko ostrzegawczy krzyk kosa ukrytego gdzieś na czubku cedru, czysty i przenikliwy.

Ruszyłam dalej, w głąb swojej przeszłości.

Staw, nad którym potrafiłam leżeć bez końca, szpiegując leniwe poczynania ozdobnego karpia w mulistych głębinach, pozarastał chwastami, wybujałym powojem i wiechliną. Był też ogródek skalny, teraz w zasadzie tylko kupka kamieni, na których pienił się bluszcz ziemny, pokrzywa i mlecz. Nawet w młodości ojciec nigdy nie był ogrodnikiem, to matka zajmowała się ujarzmianiem natury. W gumowych ogrodniczych rękawicach, uzbrojona w różne duże i mniejsze sekatory wyglądała jak średniowieczny rycerz wyruszający na bój z niedużym, lecz irytującym smokiem. Widać było, że od lat nikt nie zajmował się ogrodem. Brodząc w wysokiej trawie, byłam niemal pewna, że natknę się na pozostałości mojego starego wigwamu: strzępów żółtego materiału zwisającego z cienkich tyczek jak zastygła „Marie Celeste”, mój stary szmaciany chodnik i zabawki walające się tam, gdzie kiedyś nagle i tajemniczo zostały porzucone.

Podeszłam do miejsca, w którym był rozstawiony wiele lat temu, ale nie znalazłam nawet wymownego kręgu pożółkłej trawy, jaki po sobie zostawiał, gdy na zimę był zwijany i chowany. Równie dobrze mógł w ogóle nigdy nie istnieć, podobnie jak tamto roześmiane dziecko o żywych oczach.

Na niebie zgromadziły się ciemne chmury i kiedy tak stałam pogrążona we wspomnieniach, zaczęło padać. Z rękami wepchniętymi głęboko w kieszenie pomaszerowałam z powrotem do Eve.

- Dobra - powiedziałam. - Wejźmy do środka.

Unikałam tematu strychu tak długo, jak to było możliwe, chociaż wciąż przyłapywałam Eve, jak zerka w jego stronę za każdym razem, gdy przechodziłyśmy przez hol, obok krętych schodów z ich wspaniałą balustradą. Po trzech godzinach skończyłyśmy pobieżną inwentaryzację znajdujących się w domu sprzętów, głównie mebli, obrazów i cennych artefaktów, jakie moi rodzice przywieźli z całego świata. Nie potrafiłam zdobyć się na wejście do pokoju będącego niegdyś sypialnią rodziców. Mój pokój mieścił się na końcu korytarza. Ostrożnie otworzyłam drzwi.

Wszystko wyglądało tak jak wtedy, gdy wyprowadziłam się lata temu, z tą różnicą, że teraz było wyblakłe i przykurzone. Na ścianach wisiały plakaty The Slits, Crass i The Rezillos, przepełniona złością muzyka dla pełnej złości dziewczynki; w szafie zbieranina ubrań, które prawdopodobnie znowu wróciły do mody w co bardziej podejrzanych uliczkach wokół Camden. Zamknęłam drzwi. To był okres w moim życiu, do którego już nigdy nie chciałam wracać, rozdział książki, który wolałam zostawić zamknięty po wsze czasy.

Znalazłam się z powrotem na korytarzu i stwierdziłam, że Eve opuściła drabinę wiodącą na strych.

- Wiesz, że musisz - powiedziała łagodnie. Miała rację. To było nieuniknione. Wdrapałam się.

Są ludzie, którzy panicznie boją się strychów. Krąży nieskończenie wiele opowieści o duchach i szaleńcach czyhających w ukrytych, ciemnych zakamarkach naszych domów: wszystko to są doskonałe psychologiczne symbole Mnie i mojego Drugiego Ja, ciemnej strony naszej osobowości, której wszyscy się lękamy, irracjonalnej części świata, której nie rozumiemy i przez którą z tej przyczyny czujemy się zagrożeni. Lecz nie ze strachu przed strychem moje ręce drżały, kiedy wspinałam się po drabinie. Nie bałam się

duchów jako takich. Potrafiłam śmiertelnie przerazić dzieci w szkole, racząc je opowieściami o mściwych duchach i zombie. Nie mam pojęcia, skąd znałam podobne historie, poza tym, że jako dziecko miałam wręcz obsesyjnie makabryczną wyobraźnię i bardzo odporny żołądek. Kiedy terier sąsiadów został przejechany i leżał na drodze z wylewającymi się wnętrznościami, wyglądającymi jak wielkie, tłuste białe robaki, nie uciekłam z płaczem, lecz stałam i przyglądałam się zafascynowana. Kto by pomyślał, że w psim ciele kryją się takie rzeczy? Moja następna opowieść o duchach została ubarwiona podobnymi szczegółami i Katie Knox zwymiotowała na krzak róży. Od tamtego czasu jednak włożyłam wiele wysiłku w stłumienie swej rozbuchanej wyobraźni, dopasowując ją do świata zamieszkanego przez księgowych i innych podobnych im dorosłych. Kiedy zagłębiałam się w tę ciemną, zasnutą pajęczynami przestrzeń, bałam się, że zmarli zapanują nade mną w sposób, który będzie prześladował nie moje ciało, lecz umysł.

Dotarłam na szczyt drabiny i sięgnęłam po latarkę, którą ojciec trzymał na prawo od włazu; znalazłam ją tam, gdzie od zawsze była. Do mojej podświadomości zaczęło wkradać się wspomnienie ostatniej wizyty w tym miejscu, ale wepchnęłam je z powrotem w ciemność, w której do tej pory tkwiło. Włączyłam latarkę i strumień światła omiółł strych. Pudła. Wszędzie pudła.

Czego się spodziewałam? Samotnego pudełka tkwiącego na środku wielkiej, pustej przestrzeni, czekającego na mnie?

Przelazłam przez krawędź włazu i zaczęłam chodzić po drewnianej podłodze, rozglądając się za pudłem z wypisanym moim imieniem. Jedno muszę ojcu przyznać: był zorganizowany. Podejrzewam, że odziedziczyłam to po nim. Badając jego uporządkowane i starannie opisane archiwum, zastanawiałam się, czy przeczuwał swoją śmierć, i od jak dawna? Pudła z książkami, ułożone tematycznie; pudła z butami; pudła z dokumentacją archeologiczną; pudła ze starymi papierami.

W końcu je znalazłam. Prawdopodobnie przeszłam obok niego dwa, może nawet trzy razy, ponieważ było znacznie mniejsze, niż się spodziewałam; może zasugerowałam się upiorną sugestią Eve, że zawiera szczątki mojej matki. Przykucnęłam. Podpisane było „Isabelle”, charakterystycznym, pochyłym pismem mojego ojca. Papier, na którym to napisał, był pożółkły ze starości, a atrament



wyblakły. Zastanawiałam się, od jak dawna pudło tu tkwi. Było starannie zabezpieczone taśmą klejącą, nie mogłam więc tak po prostu go otworzyć, wyrzucić zawartości na podłogę, a potem sobie pójść. Podniosłam je. Było lekkie, ale kiedy je przechyliłam, coś w środku się przesunęło i z głuchym stukotem uderzyło o bok.

Cóż, u licha, mogło wydać taki dźwięk? Patrzyłam na pudło, jakby kryła się w nim czaszka albo uschnięta ręka. Och, dajże spokój, Iz, upomniałam się surowo i wsadziłam pudło pod pachę. Trudno było zleźć z drabiny z tylko jedną wolną ręką, ale zrobiłam to bez potknięcia. Eve wpatrywała się w pudło zachłannie.

- No, otwórz je. Potrząsnęłam głową.

- Nie teraz. Nie tutaj.

### ROZDZIAŁ 3

Londyn rozciąga się na ogromnej przestrzeni, zajmującej przeszło tysiąc pięćset kilometrów kwadratowych. Na tym obszarze gnieździ się ponad osiem milionów ludzi: w wiktoriańskich i edwardiańskich szeregowcach, w blokach socjalnych z lat siedemdziesiątych, w nowoczesnych wieżowcach ze szkła i stali, rozpełzających się po bezkresnych przedmieściach. W ciągu minionych dwudziestu lat kupowałam i sprzedawałam mieszkania w całym Londynie, wiecznie będąc w ruchu, wiecznie zmierzając na zachód. Nigdy długo nie zabawiłam w jednym miejscu; każde nowe lokum uwielbiałam przez rok, dwa, a potem powracał niepokój, potrzeba zmiany. Jak tylko skończyłam odnawianie i urządzenie i mogłam skupić się na świecie zewnętrznym, zaczynałam czuć się nieswojo. Nie miało znaczenia, gdzie mieszkam, w jak urokliwej okolicy, ani jak mili byli sąsiedzi. Zawsze czułam, że nie pasuję. Jak tylko zaczynało mnie nosić i moją uwagę przykuwały ogłoszenia agencji nieruchomości, wiedziałam, że pora pakować manatki i szukać nowego miejsca. Miałam szczęście: rynek nieruchomości wędrował wraz ze mną, przed siebie i w górę. W tym procesie udało mi się zamienić kawalerkę w Nunhead z grzybem pieniącym się między kafelkami w łazience na jednopokojowe mieszkanie w Brockley, to z kolei na eleganckie, najpierw z jedną sypialnią, potem z dwiema odnowione wiktoriańskie mieszkania w Battersea i Wandsworth, następnie na dom przerobiony z dawnej stajni w Chelsea; wreszcie trafiła mi się porządna nieruchomość na odległym południowo - zachodnim krańcu miasta, możliwie najdalej od domu moich rodziców bez konieczności opuszczenia Londynu na stałe.

Po niecałych czterdziestu minutach od wyjazdu z Hampstead znalazłyśmy się na powrót w Barnes, jedno zbyt drogie siedlisko klasy średniej zamieniając na drugie. I tu, i tam jednakowo cuchnęło pieniędzmi, starymi i nowymi, i przez kilka okropnych sekund, kiedy parkowałam swojego mercedesa na podjeździe, nienawidziłam mojej własnej wersji rodzicielskiego domu niemal równie mocno jak oryginału.

Nie zwierzyłam się z tych uczuć Eve, nie zrozumiałaby, nawet gdyby udało mi się znaleźć odpowiednie słowa. Eve kochała rzeczy, kochała je w instynktowny, zmysłowy sposób, jakby miały wypełnić pustkę w jej życiu, którą powinni wypełniać mąż i dzieci. Miała

dwóch mężów, ale nigdy nie udało się jej mieć dzieci. Czasem zastanawiałam się, czy ja również nie wypełniałam tej pustki, bo kiedy w jej mniemaniu zachowywałam się zbyt ślamazarnie, potrafiła mną dyrygować, niczym matka swoim dzieckiem.

Sprzątnęłam ze stołu i postawiłam na nim pudło. Wyglądało idiotycznie nie na miejscu w kuchni z lśniącej, nierdzewnej stali i wypolerowanego granitu; stary rupieć znaleziony na ulicy. Przesunęłam nóż po górnym łączeniu i patrzyłam, jak puszcza papier i taśma klejąca. Z jednej strony cięcia widniało „Isa”, z drugiej „belle”.

Eve i ja wyciągnęłyśmy szyje. Na pierwszy rzut oka w środku były tylko stare, zakurzone papiery. Wyjęłam je ostrożnie, wyglądały na tak kruche, że mogły rozpaść się pod moim dotykiem. Pierwsza kartka była mała i jasnozielona - matka nazwałaby ten kolor „eau de nil”. Wielokrotnie ktoś ją składał i rozkładał. Z jednej strony pokryta była dziwacznymi gryzmołami, ze starości niemożliwymi do odczytania. Odwróciłam kartkę i zobaczyłam niewyraźny tytuł. Coś jak „Maroc...”. Ciąg dalszy zniknął, zniszczony przez zgięcie. Kartka wyglądała, jakby była kiedyś jakimś oficjalnym dokumentem, znalazłam bowiem kilka słów, jakby wydrukowanych. Odcyfrowałam „provi...” i coś, co zaczynało się od „hegir...”. Cokolwiek jednak było tam wydrukowane bądź napisane, znikło pod wpływem czasu, wyparowało we wnętrzu pudła. Przez chwilę miałam odczucie, że otwierając je, pozwoliłam informacjom uciec, że coś unosi się w powietrzu wokół nas, niewidzialne, lecz pełne znaczenia. Cóż za zabawna bzdura! Podałam zieloną kartkę Eve.

- Nie na wiele się przyda. Obróciła ją; skierowała pod światło, mrużąc silnie oczy.

- „Maroc...”, to chyba po francusku Maroko? - powiedziała po chwili. - A to jest znaczek?

W dolnym rogu widniał niewielki, chyba wypukły prostokąt. Coś było na nim narysowane, ale nawet w świetle najmocniejszych halogenowych żarówek nie potrafiłyśmy powiedzieć, co przedstawia. Odłożyłam kartkę. Następny był plik zadrukowanych kartek, zbrazowiały na brzegach, bez wątpienia napisanych na maszynie, ponieważ brakujące kreseczki i poprawione miejsca za każdym razem pojawiały się w tych samych miejscach, a gdziekolwiek kropka przebiła się przez kartkę na wylot. Mój ojciec zawsze miał ciężką rękę do pisania na maszynie.

„Notatki dotyczące miejsca pochówku w pobliżu Abalessy” brzmiał tytuł u góry strony. Ze zmarszczonymi brwiami przebiegałam wzrokiem jej treść, dostrzegając zwroty „beładny stos kamieni, znany także jako redjem i powszechnie występujący na Saharze”. Na dole strony rzuciło mi się w oczy słowo „szkielet”. Ostrożnie wyjęłam artykuł, odwróciłam kartkę i przeczytałam na głos Eve:

- „Według świadków szkielet królowej pustyni spoczywał zawinięty w czerwoną skórę ozdobioną płatkowym złotem. Leżała ze zgiętymi kolanami podciągniętymi pod piersi, na spróchniałych pozostałościach drewnianego katafalku powiązanego sznurami splecionymi z barwionej skóry i materii. Jej głowę okrywał biały welon i trzy strusie pióra; z uszu zwisały dwa szmaragdy, jedno ramię ozdabiała dziewięć złotych bransolet, osiem srebrnych drugie. Wokół kostek, szyi i pasa leżały rozrzucone paciorki z karneolu, agatu, amazonitu...” - Przeskoczyłam kilka linijek, po czym czytałam dalej: - „Profesorowie Marice Reygasse i Gautiers z Muzeum Etnograficznego są przekonani, że w tym miejscu znajdują się szczątki legendarnej królowej Tin Hinan”.

- Rany - powiedziała Eve. - Niesamowita sprawa. - Zamknęła oczy. - Niemal czuć zapach pustyni, no nie? Skarb i legendarna saharyjska królowa. Zupełnie jak z Indiany Jonesa i świątyni zagłady! Ale co to ma wspólnego z tobą?

Wzruszałam ramionami, czując lekkie mdłości.

- Nie mam zielonego pojęcia. Z tego co tu jest napisane, nie wynika, że tato był jednym z tych, którzy odkopali grobowiec.

Odłożyłam zapiski na bok. Widząc te przebite na wylot litery „o” i od spodu wyczuwając pod palcami wypukłości maszynowych czcionek, miałam wrażenie, że przeniosłam się w czasie. Była to swoista wiadomość dla mnie przesłana zza grobu - grobu królowej i mojego ojca. Poczułam łaskotanie na karku, jakby porastające go włoski jeden po drugim stawały dęba.

Na dnie pudła znajdowało się bez wątpienia to, co przesunęło się w nim, kiedy podniosłam je z podłogi na strychu. Był to bawełniany woreczek obwiązany kilkakrotnie sznurkiem. Ciężko spoczął w mojej dłoni, ważąc więcej, niż się spodziewałam. Nagle prąd przeszył mi ramię, jak przy porażenia elektrycznym.

- Myślisz, że to coś z grobowca? - zapytała Eve z ożywieniem.

Teraz już cała dygotałam; nie wiedziałam tylko czy z podekscytowania, czy z przerażenia.

- To chyba nie najlepszy pomysł - powiedziałam, wrzucając woreczek z powrotem do pudła, a za nim wszystkie papiery. Docisnęłam rozerwane skrzydło zamknięcia i obciążyłam nożem, żeby się nie otworzyło. - To zbyt dziwaczne i tajemnicze. I jakże typowe dla mojego ojca. Pamiętam, co kiedyś powiedział w telewizji: „Ciekawość w dzieciach trzeba pobudzać. Podaj dziecku wiedzę na talerzu, a zostawi ją, aż się zeschnie, samo zaś poszuka sobie czegoś trudniej osiągalnego. Kiedy jednak będzie musiało poszperać w poszukiwaniu smakołyku, wspomagane paroma rozsądnymi wskazówkami nauczy się czegoś na całe życie”. Cóż, ja nie znoszę, kiedy karmi się mnie podobnymi pieprzonymi kawałkami. Mają mnie wciągnąć i prześladować, a ja na to zwyczajnie nie pozwolę. „Nie wywołuj wilka z lasu”, napisał w swoim liście. Może tak właśnie powinnam zrobić.

- Ale jeżeli tego nie otworzysz, będzie cię tym bardziej prześladować. Wiedziałam, że ma rację. Chwilę zmagalam się ze swoimi irracjonalnymi lękami, wreszcie wzięłam głęboki oddech, zdjęłam nóż z pudełka, sięgnęłam do jego wnętrza i wyciągnęłam woreczek. Rozsuplałam sznurek i wyrzuciłam zawartość na rękę. Obie wbiłyśmy wzrok w przedmiot spoczywający na mojej dłoni.

Był to solidny kawał srebra, gruby na jakieś pięć milimetrów u góry, stopniowo coraz grubszy, by w dolnej krawędzi mierzyć już centymetr, może nawet więcej. Na oko miał jakieś cztery centymetry kwadratowe. Na środku ozdobiony był okrągłymi kawałkami czerwonego szkła czy jakiegoś innego przezroczystego kamienia, w rogach widniały ukośne paski wyrzeźbione w skomplikowane, misterne wzorki. U góry przyczepiony był rzemyk skrecony ze skóry. Złapałam za rzemyk i uniosłam przedmiot, pozwalając, by zawisł mi między palcami, kołysząc się i wirując jak wahadełko wróżbity, chwytając światło w czerwone szkiełka, które lśniły rubinowo. Na tle mojej nowoczesnej kuchni prezentował się niemożliwie obco i nie na miejscu.

- Och, Izzy - westchnęła Eve z oczami okrągłymi ze zdumienia. - To takie... nierzeczywiste.

Dla mnie jego ciężar i masywność były jak najbardziej rzeczywiste. Ale co to do licha było?

Eve wzięła ode mnie przedmiot i bacznie mu się przyjrzała. Z jakiegoś powodu uwolniona od niego moja ręka wydawała się dziwnie wiotka.

- To chyba jakiś wisiołek - powiedziała po chwili Eve. - Ale wygląda tak prymitywnie! - Zmarszczyła nos. - Nie w moim stylu; zresztą w twoim też nie, kochanie.

To prawda: trudno o coś mniej w „moim stylu” niż ten dziwaczny przedmiot. Wzięłam woreczek. Wystawał z niego kawałek jakiejś kartki. Wyjęłam ją i przeczytałam słowa napisane starannym pismem mojego ojca: „Amulet, data i pochodzenie nieznane, być może tuareski; srebro, karneol, skóra”. Po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Czy był to jeden ze skarbów znalezionych w grobie królowej, o którym mój ojciec pisał w archeologicznym artykule? Wepchnęłam przedmiot z powrotem do woreczka i patrzyłam, jak wybrzusza się pod bawełnianą tkaniną. Gwałtownie wcisnęłam woreczek do pudła, przepełniona irracjonalnym strachem, że może mnie niespodziewanie ugryźć. Co ja sprowadziłam do swojego domu? Zapragnęłam wybiec na zewnątrz, wykopać dziurę pod tarasem i wleźć do niej razem z papierami, które zostawił mi ojciec.

Tej nocy po raz pierwszy od wielu lat miałam sen.

Przez wąską szparę w zakrywającej mi twarz chuście widzę palmy i czuję przyływ otuchy. Przeszłam przez pustynię i przeżyłam. Alhamdulillah.

Przede mną inni członkowie karawany krzątają się niespiesznie. Ich błękitne stroje są zbrązowiałe od piasku i kurzu, ich welony są ciasno związane dla ochrony przed wiatrami, od których zmatowiało siodło należące do mojego dziadka i które zrywały toboły z grzbietów zwierząt.

Mrugam i widzę przemykające obok stadko gazeli, ich oślepiająco białe omyki pojawiają się i znikają pomiędzy głazami czerwonego granitu. Znowu mrugam i jestem w szerokiej dolinie na dnie głębokiego wąwozu, czując na sobie czyjeś spojrzenie. Lew, ogromniejszy od wszystkich normalnych lwów, patrzy na mnie ze skały! Krzyczę z przerażenia.

Kiedy spoglądam, znowu orientuję się, że to skalny twór, wysoki na kilka wielbłądów, wyrzeźbiony w różowawej skale ręką Boga, spotęgowany perspektywą zbiorowiska domków z wysuszonej na słońcu cegły, przycupniętych na rozciągających się poniżej zboczach,

i drobnych figurek czarno odzianych kobiet uprawiających tarasowate poletka. Jedna zdobywa się na odwagę i zagabuje Soleymane'a, pytając, co przywieźliśmy. Gdy w odpowiedzi słyszy, że sól i proso, na jej twarzy maluje się rozczarowanie. Jest tak samo stara jak moja babka, oczy ma obrysowane czarną kreską.

- Żadnej biżuterii? - pyta. - Ani złota?

Dni złota i niewolników przeminęły. Nastąpiły ciężkie czasy.

Kiedy wkraczamy do miast przy oazie, muezin wzywa do modlitwy. Prowadzimy wielbłądy do karawanseraju, niektórzy mężczyźni udają się do meczetu, ale my chcemy zobaczyć targ.

Na suku rzemieślnicy kują żelazo na otwartym ogniu. Obchodzę ich szerokim łukiem: inadan (Artyści i kowale, niegdyś uważani za stojących najniżej w społecznej hierarchii Tuaregów (przyp. tłum.)) kontaktują się z duchami. Siedzący na kocach starcy sprzedają piramidy przypraw, warzyw i cud nad cudami, skórzane babusze, jaskrawożółte, tak żółte jak samo słońce. Nagle wyobrażam je sobie na swoich stopach, olśniewające. Takie pantofle na pewno zrobią wrażenie na pięknej Mancie. W następnej chwili orientuję się, że sięgam po swój srebrny amulet, by dobić targu.

Jak za sprawą czarów zjawia się Azelouane.

- Co ci przyszło do głowy? Ten amulet wart jest stu par babuszy, tysiąca! Co innego ochroni cię przed złem Kel Asuf?

Ale kiedy spoglądam w dół, mam już babusze na stopach. Uciskają mnie: są zbyt nowe, zbyt przylegają, ale wyglądam w nich jak cesarzowa. Jest noc, a my siedzimy przy naszym ognisku, okutani w koce.

- Bóg stworzył pustynię, bo chciał mieć miejsce, gdzie będzie mógł wypocząć - mówi do mnie Ibrahim. - Szybko jednak zmienił zdanie. Wezwał więc Południowy Wiatr, Północny Wiatr i wszystkie inne wiatry i rozkazał im, aby stały się jak jeden, a one były mu posłuszne. Bóg wziął garść wietrznej mieszanki i powstał - na chwałę Allaha, na zgubę jego wrogom, i dla dobra człowieka - wielbłąd. Do jego nóg przyczepił współczucie, do grzbietu siodła, u boków zawiesił mu bogactwa, na koniec do ogona przywiązał powodzenie. Pustynia i wielbłąd są boskimi darami dla Ludu.

- Allahu akbar - mówię, bo wiem, że to go ucieszy.

- Bóg jest wielki. - Milknie, po czym nachyla się. - Ci, którzy urodzili się na Wielkiej Pustyni, nigdy nie będą wolni, nieważne, jak

daleko będą podróżować, nieważne, dokąd pójdą. Duchy zawsze będą im towarzyszyć, te istoty, które zamieszkiwały świat, zanim był czas, skały, piasek. Strzeż się, Kel Asuf, szczelnie owijaj twarz welonem, zasłaniaj nos i usta. Te duchy uwielbiają otwory w ciele, wciąż szukają drogi, którą mogłyby wejść. Kiedy oddajesz wodę, kryj się w swojej burce jak w namiocie. Kiedy się wypróżniasz, rób to zawsze tam, gdzie nie ma żadnych śladów na piasku.

Jak będziesz patrzeć uważnie, zobaczysz ich ślady. Między wydymami zobaczysz, jak czasem bez powodu unosi się spirala piasku. Tam, gdzie wydmy się marszczą jak węże, zobaczysz, gdzie drapały ziemię swoimi szponami. Obserwuj, jak zmienia się kąt padania światła słońca i księżyca, szukaj wirów i zmarszczek, idealnych małych kręgów powstałych na powierzchni, gdzie żdźbła trawy kładą się pod naporem wiatru: one wszędzie zostawiają ślady. Ani na chwilę nie rozstawaj się ze swoim amuletem: on cię ochroni przed złem, i pamiętaj, zawsze, że pustynia jest twoim domem.

Obudziłam się przed świtem, w ustach miałam szorstką suchość, w nozdrzach czułam silny, piżmowy zapach. Leżałam przez chwilę, rozkoszując się gładkim chłodem mojego londyńskiego łóżka, jednak trudno mi było otrząsnąć się z wrażenia, że zamiast okrywającej mnie pikowanej jedwabnej kołdry i kosztownych prześcieradeł z egipskiej bawełny gdzieś w pokoju leży wydzielający intensywną woń koc z wielbłądziej wełny.



## ROZDZIAŁ 4

Musiałam znowu zasnąć, bo gdy następnym razem popatrzyłam na zegarek, było dobrze po dziesiątej - rzecz niesłychana w moim uporządkowanym świecie. Wypiłam duszkiem dwie szklanki wody, włączyłam ekspres do kawy, po czym pobiegłam na koniec ulicy po aktualne wydanie „Sunday Timesa”, ale po powrocie nie starczyło mi cierpliwości na przeczytanie pierwszej strony choćby do połowy. Buzowała we mnie żadna czegoś energia, pod wpływem której miałam ochotę biegać, skakać, rozciągać się i wspinać.

Zadzwoiłam do Eve.

- Pojedźmy się powspinać.

Gdyby z geograficznego punktu widzenia było to możliwe, wybrałabym nadmorski klif albo skaliste wzgórze gdzieś na wrzosowiskach, jakieś pierwotne, nieuczęszczane miejsce, gdzie mogłabym zwiśać na rękach ze skalnego występu albo człapać po skapanej w słońcu półce i śmiać się radośnie do przepaści ziejących pod moimi stopami. Niestety jednak najbliższe miejsce, gdzie można by wspinać się na dziko, było odległe o kilka godzin jazdy, musiała mi więc wystarczyć ścianka w Westway, gdzie mogłam dotrzeć w pół godziny.

Czekając na Eve, sprawdziłam w internecie słowo „amulet”. W Internetowym słowniku etymologicznym znalazłam, co następuje:

amulet

1447, amalettys, łac. amuletum (Pliniusz) naszyjnik lub brosza noszona jako talizman przeciwko czarom, chorobom etc. Pochodzenie słowa nieznane, być może związane z amoliri, odwrócić, odsunąć, zdjąć. Ponowne użycie w języku angielskim nie odnotowane aż do 1601; w XV w. pojawiło się być może za pośrednictwem średniowiecznej francuszczyzny.

Przeczytałam hasło ze zmarszczonymi brwiami, nie czując się ani odrobinę mądrzejsza. Może jednak naszyjnik wcale nie był archeologicznym znaleziskiem. Może zwyczajnie należał do rodziny mojej zmarłej matki, przechodząc z pokolenia na pokolenie, chociaż jakoś nie umiałam sobie wyobrazić mojej drobnej, szycowej matki Francuzki noszącej kiedykolwiek tego rodzaju biżuterię; nie podejrzewam też, by ze swoim chłodnym pragmatyzmem mogła uciekać się do przesądów.

Chciałam też sprawdzić „Tin Hinan” i „Abalessa”, ale zwyczajnie nie mogłam wystarczająco długo usiedzieć w jednym miejscu. Musiałam się ruszać, znaleźć ujście dla rozpierającej mnie potwornej energii. Skończyło się na tym, że wskoczyłam do samochodu i zgarnęłam Eve na rogu ulicy.

Na ścianie panował tłok: wszędzie zwisali zawieszoni na linach ludzie, jak pająki uczepione swoich pajęczyn, po ścianie treningowej wspinały się dzieci obchodzące swoje urodziny i jak opętane wydzierały się z podniecenia i strachu; prawdziwi soliści i bouldererzy walczyli zaciekle ze ścianą w tyle hali. W powietrzu unosiły się drobinki sproszkowanej kredy, w jednej sekundzie wdzierając się do płuc. Pamiętam, jak było tu tylko skromne miejsce do wspinania się pod gołym niebem, zwykła ścianka trawersowa i kilka wielkich betonowych płyt z uchwytyami, z których było widać ruch na obwodnicy A40. Po wejściu na szczyt można było wprawiać w osłupienie kierowców, znajdując się z nimi na jednym poziomie. Teraz zrobiło się z tego supernowoczesne centrum wspinaczkowe, z wysokimi na piętnaście i pół metra białymi półprzezroczystymi ścianami z poliuretanu, przymocowanymi do spodu podświetlonej obwodnicy jak cyrkowa arena, przydając wewnętrznym trasom prawdziwej wysokości i sprawiając wrażenie, że jest się pod gołym niebem.

Na uniwersytecie zapisałam się do klubu wspinaczkowego, ale nigdy nie lubiłam ćwiczyć pod czyjąś kontrolą, zwłaszcza facetów z klubu, którzy z upodobaniem panoszyli się na grani, popisując się swoją siłą i muskulaturą, wyszczekując polecenia do nas, słabych kobietek, kiedy nie udało się nam sięgnąć do wskazanego uchwytu, lub kołysali się jak małpy z pełną wyższości i lekceważenia nonszalancją. Kiedy podszkoliłyśmy się trochę w posługiwaniu się liną, niektóre z nas wymykały się, żeby ćwiczyć równowagę i delikatniejszą pracę stóp na skalnych ścianach. Ross Myhill, największy szowinista w całej grupie, najprostszą drogą wspinał się na sam szczyt tej samej skały i tuż przed nami obsikał ją całą, jak pies znaczący swoje terytorium. Odtąd nigdy więcej nie wspinaliśmy się z facetami.

Teraz przyglądałam się, jak Eve się wspina na ściankę. Była dobra technicznie, miała stopy baletnicy i poruszała się zgrabnie, unikając wyrzuseń i przewieszek, raz pomagając sobie

podchwycem, kiedy indziej znowu chwilowym poparciem palcami u stóp. Szłam za nią, szybsza i silniejsza od ćwiczeń z hantlami i treningu obwodowego na siłowni, i szybko się z nią zrównałam. Po trzykrotnym zaliczeniu ścianki mięśnie przedramion miałam twarde jak drewno.

Eve uniosła brew.

- Musisz spalić nadmiar energii czy co?

- Coś w tym stylu. .

Byłam pełna wigoru i gotowa na każde wyzwanie. Ponieważ już się rozgrzałyśmy, założyłyśmy uprząże, wzięłyśmy liny i zrobiłyśmy co najmniej z pięć tras o różnych stopniach trudności, wpinając się w karabinki i zjeżdżając ze szczytu z rozgrzanymi mięśniami i poczuciem sukcesu, który łatwo się osiąga.

Lubiłam wspinaczkę po takich ściankach. Lubiłam ich nieudającą niczego sztuczność, podobał mi się sposób, w jaki ekstremalny sport uprawiany na otwartej przestrzeni tutaj ograniczał się do planszy pełnej kolorowych uchwytów, ułożonych według francuskiej skali trudności dróg wspinaczkowych, które rządziły się zbiorem zasad i przepisów, a wszystko to w pełni kontrolowanym środowisku. Wspinanie się w warunkach naturalnych stawiało wysokie wymagania: trzeba było mieć doświadczenie, ryzykować, oceniać sytuację, bez zastrzeżeń ufać partnerowi. To ostatnie, złożenie swojego życia w ręce drugiego człowieka, stanowiło dla mnie największy problem. Na ściance partner musiał trzymać linę i nie pozwolić nam spaść na ziemię, ale nawet jeżeli zdarzyło mu się zagapić i tak trudno byłoby nam zginać, dzięki obecności opiekunów i materacom.

Zrobiłyśmy sobie przerwę, podczas której poszłam kupić coś zimnego do picia i energetyzujące herbatniki. Kiedy wróciłam, Eve pochylała swoją jasną głowę nad czasopismem, które ktoś zostawił na stoliku. Podniosła wzrok i skinęła na mnie.

- Zobacz, tu jest artykuł o miejscu, które nazywają nowym rajem wspinacza: totalny luz i spokój, piękna pogoda, wspinaczka wygląda rewelacyjnie. Widzisz tę grań tutaj, dokładnie przed nią jest niesamowita trasa 5a. Nazywa się Lwia Głowa, czy jakoś tak.

Mój wzrok padł na zdjęcie w zajmującym dwie strony artykule. Skała była identycznie różowoczerwona jak krajobraz, który widziałam w moich snach, było tam też to samo urwisko górujące nad

handlarzami z karawany, a rzeźba jego chropowatego zbocza układała się we wzór do złudzenia przypominający rysy disnejowskiego lwa. Przez chwilę wydawało mi się, że świat wokół mnie wiruje. Nozdrza wypełniła mi woń szafranu; skórę miałam rozgrzaną i pokrytą kurzem. Zdałam sobie sprawę, że w głowie dudni mi jakiś dziwny rytm, podobny do powolnego walenia w bęben, i przez chwilę krew tak głośno szumiała mi w uszach, jak morze albo jak wiatr wiejący nad piaszczystymi wydmami, szelest przechodzący w ryk, i znowu usłyszałam pozbawione sensu słowo powtarzane w kółko, raz za razem: „Lallawa, Lallawa, Lallawa...”.

Zamrugałam i potrząsnęłam głową. Eve gapiła się na mnie.

- Dobrze się czujesz? - Co? Ja...

Zmarszczyłam czoło i znowu skupiłam się na artykule. To tylko miejsce, powiedziałam do siebie, zwyczajne miejsce gdzieś tam, w świecie, miejsce, które ktoś sfotografował na potrzeby artykułu o wspinaniu. Cóż w tym takiego niepokojącego?

- To jest w Afryce - powiedziała Eve. - A dokładnie w Maroku, o dzień jazdy od Sahary.

Popatrzyłam na nią, potem z powrotem na zdjęcie. Gdzieś w połowie kręgosłupa poczułam mrowienie, które stopniowo wędrowało coraz wyżej, ku nasadzie czaszki i wkrótce huczało mi w całej głowie.

- W Maroku? - powtórzyłam za nią, odnosząc wrażenie, jakby mój głos dobiegał z innego kontynentu. Maroko, kraina złota i przypraw; być może też miejsce, gdzie wspomniana przez ojca w liście „historia” ma swój początek. Pomysł był intrygujący, odurzający i nagle zalała mnie fala pozytywnego nastawienia, przeganiająca wszelkie wątpliwości.

- Jedźmy - powiedziałam, zaskakując nas obie. - Wybierzmy się tam, Eve. Zrobimy sobie wakacje, powspinamy się, może nawet pojedziemy na pustynię. Mogę wziąć ze sobą amulet; pobawimy się trochę w detektywów, poszperamy, może czegoś się o nim dowiemy.

- Co w ciebie wstąpiło? - Eve nie posiadała się ze zdziwienia.

- Nie wiem. - Mój uśmiech powoli zniknął. Byłam skołowana, porwana potencjałem pomysłu, który na dodatek nie był mój. - Nawet nie wiem, czy chcę dowiedzieć się czegoś więcej o amulecie. I nigdy w najmniejszym stopniu nie ciągnęło mnie do Afryki.

W kości mojej głowy zaczął wdzierać się ból. Miałam wrażenie, jakby zwalczające się nawzajem siły próbowały rozerwać mi czaszkę na pół.

W drodze powrotnej zaatakowała mnie z furją klasyczna migrena z towarzyszącymi jej nieodłącznie miniekspluzjami światła i migotaniem wewnętrznych neonów. Udało mi się dotrzeć do domu, ale samochód jakby jechał na autopilocie. W kuchni chwyciłam szklankę z wodą, żeby pójść z nią do łazienki, gdzie wiedziałam, że znajdę lekarstwo Migraleve. Ale tam na środku stołu tkwiło pudło, dokładnie tak, jak je zostawiłam. Z jakiegoś powodu odstawiłam szklankę i sięgnęłam po woreczek. Amulet wyślizgnął się z niego na moją dłoń i spoczął w niej wygodnie. Jego masywny ciężar miał w sobie coś pokrzepiającego i pasował do mojej ręki, jakby specjalnie po to został stworzony.

Nagle musiałam go założyć. Zawisł ciężko na mojej piersi, ale nie było to nieprzyjemne. Kiedy zamrugałam, neonowe rozbłyski zmieniły się w srebrzyste gazele pomykające pod moimi powiekami. Poszłam po Migraleve.

W łazience zamiast sięgnąć do przełącznika głównego, zapaliłam tylko światła wokół lustra. Jaskrawo palące się żarówki oświetliły moją twarz, wszystko inne pogrążając w cieniu. Aż do tej pory nigdy tak naprawdę nie dostrzegałam, jak dziwny dawało to efekt. Wyglądałam, jakbym została z czegoś wycięta i wklejona gdzie indziej, w nowe tło. Moja twarz i oczy jarzyły się ponad granatowym podkoszulkiem, który miałam na sobie; jarzył się też amulet. Razem wyglądaliśmy superrealnie, podczas gdy reszta świata była ciemna i niewyraźna.

Normalnie nosiłam biżuterię, która była prawie niezauważalna, nigdy krzykliwa. Wcześniej nie miałam niczego, co przykuwałoby uwagę tak bardzo jak amulet. Ale pasował do mnie. Teraz to dostrzegałam. W jego zdecydowanym kształcie, nieokiełznanej etniczności było coś potężnego, surowego i zarazem wyjątkowego. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów moje odbicie podobało mi się. Wyglądałam jak jakaś inna ja, piękna i pewna siebie.

Po mojej matce odziedziczyłam koloryt skóry nieco ciemniejszy niż normalny. Wśród bladych, złoto - różowych dziewczynek w prywatnej szkole, do której musiałam chodzić między jedenastym a szesnastym rokiem życia, kiedy człowiek jest najbardziej wrażliwy,

zawsze czułam się nie na miejscu. Koleżanki wyśmiewały mnie za moją inność, kpiły z delikatnego ciemnego puszków na moich rękach, kręconej czerni włosów.

Nienawidziłam ich za to, wkrótce też zaczęłam nienawidzić siebie. Piersi urosły mi szybciej niż rówieśniczkom, podobnie szybko pojawił się ciemny trójkącik włosów między moimi nogami. Rozbierałam się w kącie szatni, odwrócona tyłem do wszystkich. Na boisko do hokeja wychodziłam jako ostatnia, prysznic też brałam na samym końcu. Zaczęłam się głodzić, rozkoszując się widokiem coraz mniej widocznych krągłości. Długo nikt niczego nie zauważył, nikt z wyjątkiem Eve, ale ona brała moje chudnięcie nie za problem, lecz pogoń za modą.

Aż któregoś dnia w kuchni obróciłam się, czując, że ktoś mnie obserwuje, i zobaczyłam, że patrzy na mnie ojciec.

- Schudłaś.

Przytaknęłam niezobowiązująco. Miałam trzynaście lat i wszystko mnie krępowало. Nie był to temat, na który chciałam rozmawiać.

- Wiesz co, nie powinnaś. Chude kobiety - skrzywił się. - Nieładne. A ty jesteś piękną młodą dziewczyną. Młodą kobietą. Nie powinnaś wstydić się ciała, które dostałaś od Boga.

Jego słowa mnie zaskoczyły. Wcześniej nikt nie nazwał mnie „piękną”, a ja z całą pewnością nigdy o sobie w ten sposób nie myślałam. Ale temu, co powiedział, trudno było dać wiarę, bo był moim ojcem. Przecież dla wszystkich rodziców ich dzieci są najpiękniejsze. Teraz dotknęłam dłonią twarzy i patrzyłam, jak moje odbicie powieliła ten gest. Piękna. Od dawna już nie uważałam siebie za choćby ładną, ale lustro mówiło co innego. W lustrze promieniowałam. Zawdzięczałam to amuletowi: on rozświetlał mnie blaskiem, który emanował z niego.

Nie pamiętam, jak spędziłam resztę dnia. Może oglądałam telewizję, może migrena powróciła ze zdwojoną siłą. Pamiętam tylko, że kiedy zamknęłam oczy, widziałam migające przed nimi zupełnie inne widoki. W pewnym momencie tak dokładnie, jakbym miała halucynacje, ujrzałam twarz dziewczyny o zuchwałych czarnych oczach, która dotknęła mojej ręki, jakby chciała mi coś powiedzieć, a ja nie słuchałam dość uważnie. Wymawiała moje imię, powtarzała je raz za razem.

Tylko że nie było to moje imię. Słowo brzmiało obco, nieznajomo; sylaba powtarzana, aż jej brzmienie stało się absurdalne. Wysiłałam się, by słyszeć lepiej, i miałam wrażenie, że ktoś mówi coś do mnie, opowiadając mi historię, którą nie do końca słyszę...

## ROZDZIAŁ 5

Wysoko nad górską doliną, pod drzewem siedziała dziewczyna wpatrzona w rozciągający się przed nią krajobraz. Miała zapadającą w pamięć twarz o charakterystycznych, zdecydowanych rysach, z długim prostym nosem, zuchwałymi czarnymi oczami i upartą brodą. Nikt nigdy nie nazwał jej ładną ani nie porównywał do delikatnych rzeczy - blasku księżyca, babiego lata czy drobniutkich, wytwornych śpiewających ptaszków o zmroku wzbijających się w powietrze. Mężczyźni, którzy próbowali (bez powodzenia) zabiegać o jej względy, układali dla niej toporne strofy, mówiące o dzikich wielbłądach i wichrach pustyni: żywiołach, nad którymi nie mieli nadziei zapanować. Wysiłali się i ponosili klęskę, by znaleźć rym do jej imienia (Mariata); ona odpłacała im wierszami równie nieprzyjemnymi jak piaskowe burze, szybko więc rezygnowali i odchodzili.

Siedziała prawie bez ruchu, już od jakiegoś czasu wpatrzona w przestrzeń, jakby z wysiłkiem koncentrując się na czymś trudnym do uchwycenia. Drzewo rośnie na krawędzi skalistego szczytu: na horyzoncie majaczył ponury cień góry Bazan, to od niej wzięło swoją nazwę plemię, w którym teraz żyła. Na tej wysokości powietrze było chłodne, przesycone wonią tymianku i lawendy, lecz mimo to czuło się obecność pustyni rozciągającej się za wzgórzami.

Minęła długa chwila skupienia, po której dziewczyna nachyliła się i naszkicowała jakiś znak na piaszczystej ziemi pod stopami. Gdy to czyniła, na jej policzku przysiadła mucha i nagle pojawiły się ich setki, cała opalizująca chmara. Odpędziła je ręką.

- Prawdziwe przekleństwo, te muchy!

Jaki pożytek z tych plugawych stworzeń, ich bezsensownego fruwanie i głupiego bzyczenia? I tyle ich jest, całe tysiące nad jedzeniem, zwierzętami, dziećmi. Bez wątpienia gdyby Bóg był kobietą, świat byłby wolny od much. Niemal usłyszała głos matki łajającej ją za te myśli: „Mariato, nie wolno mówić takich rzeczy; okaż trochę szacunku!”.

Ale matka nie żyła, a ona była obca w domu siostry jej ojca. Westchnęła i zmusiła się, by na powrót skupić myśli na wierszu, który próbowała ułożyć. Pojawił się pierwszy zarys: już miała ubrać go w słowa, kiedy usłyszała, jak ktoś się zbliża. „Piekło i szatani!”. Skuliła się i cofnęła głębiej w cień. Jeśli ktoś jej przeszkodzi, wiersz wyparuje



jak splunięcie na gorącym kamieniu. Sarid jej zapłaci tylko za dobry wiersz, a kiedy wędrowny kowal wróci, będzie mogła kupić sobie kolczyki, które tak jej się spodobały. To było jej pierwsze zlecenie; jeśli dobrze się z niego wywiąże, przyjdą następne. Praca za pieniądze była poniżająca, lecz bez względu na obrzydzenie, była zależna od życzliwości innych. Jej ciotka Dassine i pozostałe kobiety z Kel Bazan nie darzyły jej szacunkiem, a już na pewno nie takim, na jakie zasługiwał ktoś z jej pochodzeniem. Oczekiwały nawet, że własnoręcznie będzie doić kozy - związywać je głowami i ciągnąć za wymiona! Obrzydliwość. Wszyscy wiedzieli, że to były zadania przeznaczone wyłącznie dla rąk iklan. Jednak pomimo braku poważania zaczynała żałować, że tak bardzo oddaliła się od reszty plemienia.

Wstrzymała oddech. Pewnie było to tylko stadko kóz, ale w okolicy kręcili się bandyci, którzy zjawiali się nocą, by kraść wielbłądy i kozy, a niedawno pojawiły się pogłoski o wieśniakach pomordowanych w swoich ogródkach i brutalnych napaściach na wioski; a ona siedziała tu teraz sama, z dala od obozu.

Trzasnęła gałązka zmiądziona czyjąś stopą i chwilę później w zasięgu jej wzroku pojawiła się jakaś postać: mężczyzna z welonem luźno opadającym na piersi. Dzięki temu domyśliła się, że jest sam i że nie spodziewa się nikogo spotkać. Po niezwiązanym welonie i sposobie, w jaki trzymał głowę, rozpoznała w mężczyźnie nie bandytę, lecz Rhossiego, siostrzeńca wodza plemienia. Tylko Rhossi był na tyle arogancki, by wierzyć, że żadne duchy mu nie zagrażają.

Sama myśl o nim przyprawiła ją o gęsią skórkę. Rhossi obserwował ją, odkąd ojciec kazał jej zostać z plemieniem Bazan. Czowała na sobie jego lepki wzrok za każdym razem, kiedy przechodziła przez obozowisko, tańczyła z innymi dziewczętami, ćwiczyła kroki weselnych tańców, siedziała wieczorami przy ognisku.

Teraz na nią nie patrzył. Wpatrywał się w ziemię, trącąc coś czubkiem sandała. Może sobie pójdzie. Zobaczyła, jak przykleka i dotyka suchej trawy, którą ona zmiądzzyła, przechodząc wcześniej. Potem uniósł głowę, obrócił się ku niej i uśmiechnął.

- Wygodnie ci tam w cieniu, Mariato ult Yemma?

Widziała, jak wlepia w nią błyszczące oczy. ;

- Bogu niech będą dzięki, bardzo wygodnie, Rhossi ag Bahedi - powiedziała, rąbkami chusty osłaniając dolną część twarzy.

Patrzyła na niego znad chusty wściekła, że ją znalazł.

Uśmiechnął się. Zęby miał ostre, rozdzielone wąskimi szparami. Inne dziewczęta mówiły, że jest przystojny, i strzelały do niego oczami, Mariata jednak uważała, że twarz ma jak szakał, wąską i pociągłą, a spojrzenie wyrachowane i pozbawione ciepła, nawet kiedy się uśmiechał.

- Czy pokój jest z tobą, Mariato?

- Pokój jest ze mną. A z tobą?

- Z boskim błogosławieństwem, pokój ze mną, inszallah. Ucałował swoje dłonie, przesunął je po twarzy i dotknął nimi piersi, tuż nad sercem, ani na chwilę nie odrywając od niej oczu. Był to gest mający wyrażać grzeczność i pobożność, jednak w jego wykonaniu miał w sobie coś obscenicznego.

Mariata patrzyła na niego.

- Jesteś mężczyzną, Rhossi ag Bahedi? Zachnął się.

- Oczywiście.

- Zawsze mnie uczono, że tylko mali chłopcy i łajdacy chodzą z odsłoniętymi twarzami. Którym z nich jesteś?

Rhossi uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Osłaniam twarz tylko w obecności stojących wyżej ode mnie, Tukalinden. Tukalinden. „Mała księżniczka”. Tak niektórzy członkowie plemienia

- ci, którzy szanowali jej pochodzenie - zaczęli się do niej zwracać, gdyż jej matka wywodziła się w prostej linii od Tin Hinan, poprzez jej córkę, Tamerwelt, znaną jako Zajęczycyca; jednak w szakalich ustach Rhossiego słowo ociekało sarkazmem.

Mariata wstała. Nawet mielenie prosa było lepsze od spędzania czasu z siostrzeńcem wodza; nawet dojenie kóz czy zbieranie łąjna na ognisko. Chciała go wyminąć, ale złapał ją za ramię. Jego palce wbiły się jej w mięsień, sprawiając ból.

- A co to jest, tu na piasku, Mariato?

Czubkiem buta dotknął symboli, które narysowała, próbując ułożyć wiersz; kilka słów, tu i tam, by utrwalić w pamięci obrazy, a pomiędzy nimi yar, przekreślone linią koło, yagh, zamknięty krzyż, i yaz, symbol oznaczający wolność, ale też mężczyznę. Rhossi przyglądał się ze zmrużonymi oczami, z nieskrywaną podejrzliwością.

- Uprawiasz czary? - Wzmocnił swój uchwyt. - Rzucasz uroki?

Idiota. Nie umiał czytać. I to licząc sobie dwadzieścia sześć, może nawet siedem wiosen! Niemal starzec. Gdyby potrafił czytać, dostrzegłby imię Kiiar, również imię Sarid - pary, która miała pobrać się w przyszłym miesiącu; rozpoznałby ideogramy palm i pszenicy, ptaka i wody. A powstały już fragment weselnego wiersza tak oto wychwalał Kiiar:

Jej skóra palmom podobna,  
Jak pszeniczny ogród, jak rozkwitła akacja.

Jej warkocze niczym skrzydła ptaka

Jej włosy nabłyszczone i lśniące:

Odbija się w nich słońce, odbija księżyc. Jej oczy krągłe jak kręgi na wodzie

Gdy wpadnie w nią kamień.

Wszystko to jednak umknęło Rhossiemu. On spędzał czas, ucząc się władać mieczem i brykać na wielbłądzie, by móc popisywać się przed dziewczętami. Z czytaniem nie miało to nic wspólnego; dla niego symbole były niczym więcej jak tajemnymi znakami; nie uważał ich za język, nie rozumiał ich, a wszystko czego nie rozumiał, wzbudzało w nim lęk. Wiedział, że kobiety używają takich symboli do rzucania uroków, najczęściej nieszkodliwych; bywało jednak inaczej, więc Mariata pozwoli, by tak właśnie pomyślał, należy mu się nauczka za jego ignorancję. Poza tym jeśli dojdzie do wniosku, że uprawia magię, może zostawi ją w spokoju.

- Może i uprawiam.

Ucieszyła się, widząc, jak Rhossi dotyka swego amuletu, który strzegł go przed złym spojrzeniem, nagle jednak skoczył i z wściekłością zdeptał narysowane na piasku symbole.

Mariata krzyknęła i chciała go złapać, on jednak ją odepchnął, aż wpadła na drzewo.

- W moim plemienu nie ma miejsca dla żadnych czarownic! - wrzasnął, rozkopując piasek i zamazując wszystkie symbole.

Wiersz przepadł. Mariata wiedziała aż za dobrze, że nigdy nie zdoła przypomnieć go sobie dokładnie. Gdyby umiała czarować, wykorzystalaby to teraz: oddałaby Rhossiego we władanie demonów, wezwałaby Kel Asuf, żeby pożarły jego mózg. Chciała go opluć, chciała go zranić, ale nieraz widziała, z jaką gwałtownością bił swoich niewolników. Wstała i z wściekłością strzepnęła kurz ze swojej sukni.

- Twoim plemienu?

- Wkrótce już moim.

Jego wuj, Moussa ag Iba, miał w brzuchu bolesnego guza, który wciąż rósł, na co nie pomagały żadne leki, które przyjmował. Zgodnie z plemienną tradycją jego władza przejdzie na syna siostry.

- I szedłeś taki kawał drogi, żeby mi to powiedzieć?

- Nie, oczywiście, że nie. Skąd miałbym wiedzieć, że jesteś tu i rzucasz uroki?

- Ale szedłeś za mną, prawda?

Rhossi zmrużył oczy, lecz milczał. Chwycił ją natomiast za rękę, wykręcił do tyłu i zadarł mocno do góry, aż pod same łopatki, podnosząc ją ku sobie. Jego twarz znalazła się tak blisko niej, że zamazywała się jej przed oczami, i owiewało ją gorąco jego oddechu. Niemal czuła, jak duchy ulatują z niego, ich żar i szaleństwo. I nagle jego wargi przywarły do niej. Zaciśnęła usta i z całej siły zaczęła walczyć, by mu się wyrwać, ale on tylko się śmiał.

- Gdybym chciał cię pocałować, zrobiłbym to. Kiedy zostanę amenokalem, cały lud Air będzie mi posłuszny. Kobiety będą mnie błagać, żebym wziął je na trzecią albo czwartą żonę, nawet na niewolnicę! Uważasz się za lepszą od nich? - Trzymał ją na długość wyciągniętego ramienia i przyglądał się jej. Potem nachylił się ku niej, a twarz mu pociemniała. - A może masz się za lepszą ode m n i e? - W jej oczach wyczytał odpowiedź. Były to oczy pozbawione lęku, ciemne i zuchwałe. W tej chwili pojął, że nienawidzi jej równie mocno, jak pożąda. - Musisz zrozumieć, że nie jesteś! - Chwycił ją za włosy, owijając sobie dłoń ich jedwabistą czernią. - Wywyższasz się nad innych, nabijasz dzieciom głowy tymi swoimi głupimi opowiastkami, chełpisz się swoją rodziną, jakby Kel Taitok byli czymś lepszym, a my tylko jakimś plemieniem brudnych wasali. Najwyższy czas dać ci nauczki... - Wepchnął wolną rękę między jej nogi i zaczął zadzierać suknię do góry.

Mariata, przyciśnięta do niego, była wściekła. Dotykanie kobiety bez jej przyzwolenia było tabu: zabronione, karane wygnaniem, nawet śmiercią.

Nisko w dolinie powietrzem targnął skowyt likaona, po nim rozległ się następny, i następny, i jeszcze jeden. Coś je zdenerwowało: zazwyczaj leżały w kupie jak wysuszone, żółte zwłoki, kryjąc się w cieniu kamiennych tarasowych murków, a z drugiej strony harratin

kopali, pielili i podlewali. Skowyt zawisł nad doliną jak sęp unoszony prądami gorącego powietrza, po chwili zanikł.

Ale hałas rozproszył Rhossiego; poderwał głowę, odepchnął Mariatę i podszedł szybko do krawędzi wzgórza, osłaniając dłonią oczy, by dostrzec, co obudziło czujność likaonów. Trzymając się od niego w bezpiecznej odległości, Mariata także podeszła do miejsca, skąd mogła spojrzeć w głąb doliny, jednak zobaczyła tylko postać wspinającą się ścieżką. Po chwili okazało się, że to kobieta w czarnej chuście i długiej, błękitnej pocerowanej sukni, idąca z pochyloną głową i zgarbionymi ramionami, jakby plecy przygniatał jej jakiś ciężar. Mariata jej nie rozpoznała, nic dziwnego jednak, skoro sama przebywała wśród plemienia Bazan zaledwie od kilku tygodni.

Rhossi jednak wpatrywał się w kobietę, jakby ujrzął ducha. Mariata zobaczyła, że poprawia welon, owijając go sobie szczelnie wokół głowy, aż pozostała tylko szpara, w której połyskiwały oczy. Był przestraszony.

Być może kobieta zauważyła ruch, bo spojrzała szybko w górę i Mariata zdumiała się, widząc, że jest stara, z twarzą jak worek zmarszczek i skórą ciemną jak akacjowe drewno. Wyglądała na smutną i wyczerpaną; chyba jakaś przemożna siła kazała jej wyruszyć w tę ciężką podróż po stromej, skalistej ścieżce wiodącej na terytorium innego plemienia. Czy był to głód? zastanawiała się Mariata. A może przynosiła jakieś wieści? Obcy mieli zazwyczaj wiele ciekawego do opowiadania.

Jakby to było czymś zupełnie naturalnym, Rhossi podniósł kamień i cisnął nim w kobietę, cisnął z prawdziwą wściekłością. Kiedy kamień trafił ją w głowę, kobieta krzyknęła, zachwiała się i potknęła, ślizgając się po luźnych kamykach na ścieżce, i upadła. W jednej chwili Rhossi zerwał się do biegu, zostawiając Mariatę skamieniałą, wpatrującą się w raną kobietę, współwinną ataku przez samą swoją obecność.

Kiedy kobieta nie wstawała, Mariata otrząsnęła się z osłupienia i zeszła, z trudem pokonując skaliste, porośnięte kolczastymi krzakami zbocze. Gdy dotarła na miejsce, nieznajoma jęczała i próbowała usiąść.

- Salaam aleikum - powitała ją Mariata. Pokój z tobą.

- Aleikum as salaam - odparła kobieta. I z tobą również. Głos miała skrzeczący jak u wrony.

Szponiasta dłoń chwyciła suknię Mariaty, odnalazła jej ramię i zaczęła się podciągać. Mariata pomogła starej usiąść prosto. Okrycie głowy zsunęło jej się, ukazując węzeł czarnych warkoczy, misternie splecionych i związanych paskami kolorowej skóry z paciorkami i muszelkami. Gdzieś połykiwały srebrzyste nitki; nie były to ozdoby, lecz włosy posiwiałe ze starości. Oczy wpatrujące się w Mariatę były żywe, ciemnobrązowe, niezmatowiałe przez kataraktę: chociaż tkwiły wśród licznych i głębokich, wyrzeźbionych słońcem bruzd, zdradzały, że nowo przybyła wcale nie była aż taka stara.

- Nic ci nie jest? - zapytała ją Mariata.

- Niech będą dzięki, nic.

Jednak próbując się poruszyć, kobieta skrzywiła się boleśnie, a na suknię zaczęła przesiąkać krew.

- Krwawisz. Pozwól, że obejrzę.

Kiedy jednak Mariata chciała zbadać ranę, kobieta złapała ją pod brodą i z napięciem zaczęła wpatrywać się w jej twarz.

- Nie jesteś dziewczyną stąd. - Było to stwierdzenie, nie pytanie.

- Pochodzę z Hoggaru.

Kobieta skinęła głową i wykonała gest wyrażający szacunek: był to staromodny gest, niespotykany zbyt często w dzisiejszych czasach, kiedy ludzie przestawali pamiętać o dawnych obyczajach, starych hierarchiach.

- Nazywam się Rahma ult Jouma, a ty musisz być córką Yemmy ult Tofenat. - Jej oczy błyszczały. - Szłam osiem dni, żeby cię odnaleźć.

Mariata była zdumiona.

- Po co to zrobiłaś?

- Miałam zaszczyt znać twoją babkę. Była kobietą o niezwykłych mocach.

Jej babka zmarła wiele lat temu. W przeblyskach pamięci Mariata widziała wysoką postać, wyniosłą, obwieszoną srebrem i w zasadzie przerażającą, o groźnym spojrzeniu i nosie tak ostrym i zakrzywionym jak dziób orła.

- Jakich mocach?

- Twoja babka obcowała z duchami. Oczy Mariaty zrobiły się okrągłe.

- Naprawdę?

- Umiała posługiwać się słowami i odganiała demony; ja właśnie kogoś takiego potrzebuję. Mój syn umiera. Ktoś rzucił na niego urok, opętały go duchy. Były u niego wszystkie znachorki i zielarki z Adach, wszyscy marabuci i znający koraniczne teksty, wszyscy bokaye i nawet wędrowny magik z Timbaktu. Ale nikt mu nie pomógł. Kel Asuf trzymają go w swojej mocy, za nic mają Koran i moc ziół. Tu potrzeba specjalisty i dlatego szłam z tak daleka, żeby cię znaleźć.

- Obawiam się, że nie ma we mnie żadnej magii - powiedziała Mariata. W głębi duszy czuła się mile połączona. Podobało się jej, że uważa się ją za inną od kobiet z plemienia Bazan. - Nie potrafię ci pomóc, nie jestem uzdrowicielką. Jestem poetką.

Rahma ult Jouma skrzywiła się.

- Cóż, nic na to nie poradzę. Wiem tylko, że kiedy rzuciłam kości, podały mi imię twojej babki.

- Nie jestem moją babką.

- Jesteś ostatnia z jej rodu. Moc Założycielki dziedziczą kobiety z twojego rodu.

Mariata zaczynała myśleć, że staruszka jest szaloną, biedną, porażoną słońcem włóczęgą, baggara. Pustynia odciskała swoje piętno na wielu, którym przyszło na niej żyć. Wstała i cofnęła się.

- Wybacz mi, ale nie mogę ci pomóc. Nie mam żadnej magicznej mocy.

Rahma chwyciła ją za rękę.

- Przebyłam długą drogę, żeby cię znaleźć.

- Wybacz. - Chciała się wyzwolić, ale nieznajoma nie puszczała.

- Zresztą nawet nie wiem, skąd wiedziałaś, że jestem tutaj.

- Był w naszej wiosce wędrowny kowal i powiedział nam o kobiecie iboglan, która mieszka z Bazanami, bardzo władczej dziewczynie; delikatnej budowy i asfar, i że specjalnie dla siebie zamówiła u niego kolczyki z symbolem zająca. Tylko kobieta z rodu Tamerwelt mogła prosić o coś takiego.

Kowale roznosili nowiny i plotki wzdłuż i wszerz. To by tłumaczyło wszystko. Ręka Mariaty dotknęła twarzy. To prawda, że skórę miała jaśniejszą niż kobiety z plemion żyjących bardziej na południe, a także że zając był zwierzęciem, które ona i kobiety z jej rodu szczególnie sobie upodobały.

- Kowal powiedział, że dziewczynę zostawił u Bazanów jej ojciec, a matka już nie żyje. Powiedział też, że siostrzeniec wodza bardzo się nią interesuje, ale ona nie zachęca go do zalotów.

Mówiąc to, kobieta splunęła na ziemię. Jej ślina była czerwona od krwi, upadając, musiała ugryźć się w język.

Mariata odwróciła wzrok skrzępowana.

- A skąd wiedziałaś, że znajdziesz mnie tu na górze, tak daleko od obozu?

- Minęłam wysoką dziewczynę pasącą kozy w dolinie. Ona mi powiedziała, gdzie cię szukać.

To musiała być Naima. Idąc w góry, Mariata podzieliła się z nią chlebem, a pastuszka dała jej w zamian trochę dzikich fig. Los zdawał się jej nie pomagać.

- Tylko ona jedna wiedziała, że jestem tutaj.

- Poza mężczyzną, który cisnął we mnie kamieniem. Mariata przytaknęła zawstydzona.

- Może to syn Bahedi, brata Moussy.

- Rhossi, tak. Skąd to wiesz?

Mężczyznę z innego plemienia można odróżnić po sposobie, w jaki nosi chustę - z dodatkowym zawojem, wyższym czubkiem, dłuższym luźnym końcem - ale żeby rozpoznać konkretną osobę z obcego plemienia, i to z takiej odległości? Przecież to niemożliwe.

- Poznałam go po zachowaniu. To tchórz. Pod tym względem jest podobny do innych mężczyzn ze swojego rodu.

Każdy, kto w ten sposób wyraża się o krewnych amenokala, musi bronić swoich słów mieczem. Całe szczęście, że były same, chociaż Mariata słyszała, że czasami wiatr niesie obrazę do obrażanego i w ten sposób sporom nigdy nie było końca.

- Znasz więc jego rodzinę?

Rahma przybrała ostrożny wyraz twarzy.

- Można tak powiedzieć. Chodźmy, nie ma czasu do stracenia. Czeka nas długa droga do mojej wioski.

Mariata roześmiała się.

- Nie idę z tobą! Poza tym w takim stanie nie możesz wyruszyć w podróż. Wyglądasz, jakbyś nie jadła ani nie piła od wielu dni. A teraz jeszcze jesteś ranna. Zobacz, twoje stopy też krwawią.

Rahma spojrzała w dół. Rzeczywiście: pomiędzy palców u jej stóp sączyła się krew, plamiąc zniszczoną i zakurzoną skórę sandałów.



- Chodź ze mną do obozu. Dopilnuję, żebyś dostała jedzenie, wodę i posłanie na noc, a jeden z mężczyzn może odprowadzi cię jutro do twojej wioski.

Kobieta splunęła na ziemię.

- Już nigdy więcej moja noga nie postanie u Kel Bazgan; miałam poważne obawy, idąc tak daleko.

Mariata westchnęła. Prawdziwy dylemat. Nie mogła zostawić kobiety, która przebyła taki kawał drogi, żeby ją odnaleźć, i która przy tej okazji została ranna.

- Chodź ze mną do harratin, oni się tobą zajmą. Rahma ult Jouma uśmiechnęła się.

- Cóż za dyplomacja. Bardzo podobna jesteś do swojej babki. Poklepała Mariatę po ręce.

W dolinie uprawiający poletka dla wodza plemienia harratin wybudowali wioskę z małymi okrągłymi chatkami z sitowia, gliny i kamieni. Mieszkali w niej przez cały rok, podczas gdy ludzie z plemienia wiedli swoje tradycyjne życie nomadów, wędrując po pradawnych saharyjskich szlakach od jednej oazy do drugiej, by powrócić w okresie żniw i odebrać plony, za które zapłacili, zostawiając harratin jedną piątą należną im za pracę. Chociaż harratin przywykli do ludzi Moussy ag Iba, którzy zjawiali się, żeby sprawdzić, jak idzie gromadzenie zimowych zapasów, na widok dwóch kobiet z pustynnego plemienia zjawiających się samotnie pomiędzy nimi nawet dzieci przestały się bawić. Grupa starszych kobiet harratin stała w kółku, ubijając ziarno w móżdzierzu, z czarnymi twarzami poszarzałymi od unoszącego się wszędzie pyłu, obwisła skóra ramion podskakiwała przy każdym uderzeniu. Widząc Mariatę i Rahmę, przerwały w pół ruchu. Dwie młodsze kobiety, tkające dywan na wysokich pionowych krosnach, patrzyły na nowo przybyłe zza kratownicy nici, ich poważne ciemne twarze były poszatowane jasnymi liniami wełny. Nawet starcy przestali pleść swoje koszyki. Nikt nie odezwał się słowem.

W końcu jeden z mężczyzn wstał powoli i podszedł z wysoko uniesioną głową i nieufnym spojrzeniem. Nosił pocerowaną, zniszczoną tunikę; choć jego postawa zdradzała autorytet, nie wyglądał na naczelnika. Wykonał zwyczajowy gest powitania i z wyczekiwaniem przyglądał się gościom.

Mariata wyjaśniła, że Rahma potrzebuje pomocy znachora, a także jedzenia i picia.

- W tej chwili nie mogę wam nic dać w zamian, ale później coś przyniosę, trochę srebra...

Mężczyzna roześmiał się.

- A co nam po srebrze? Wybłagaj u amenokała jakieś odroczenie; to najlepsze, co możesz nam dać w zamian.

- Nie sądzę, żeby amenokał znał słowo „odroczenie” - powiedziała Rahma.

Naczelnik wyglądał na zaskoczonego, ale nic nie rzekł.

- Nie potrafię wstawić się za wami u amenokała - odezwała się Mariata łagodnie. - Ale przyniosę wam herbatę i ryż.

Mężczyzna przyłożył dłoń do piersi i skłonił się.

- Dziękuję, to nam się bardzo przyda. Mariata zwróciła się do Rahmy.

- Jutro do ciebie przyjdę.

- Tylko na pewno, musimy się śpieszyć.

- Nie pójdę z tobą.

- Och, myślę, że pójdiesz. Rozejrzyj się. Potrafisz zaakceptować to, co się tutaj dzieje?

Mariata była zdumiona. - Co masz na myśli?

Przecież były w zwykłej wiosce harratin, biednej i zaniedbanej.

- Przyjrzyj się, przyjrzyj się naprawdę. Czy nie widzisz, że oni głodują? Mariata rozejrzała się, po raz pierwszy zwracając uwagę na szczegóły.

Dzieci miały wielkie oczy, ich brzuszki były wzdęte, rączki i nóżki cienkie jak patyczki. Dorośli wyglądali na wyczerpanych, jakby zaharowywali się na śmierć, jaskrawe wzory ich tunik odwracały uwagę od otepiałych oczu, zapadniętych policzków i zrozpaczonych twarzy.

Rahma wskazała na dywan tkany przez kobiety.

- Nawet to zabiorą ludzie Moussy. Wezmą wełnę i wzór: Kel Bazgan sprzedadzą to z zyskiem, a harratin nie dostaną w zasadzie nic. - Podeszła do kobiet i przemówiła do nich w ich języku, a one szybko coś odpowiedziały. Rahma skinieniem przywołała Mariatę. - Widzisz to? Mają tylko zepsute ziarno, z którego mogą zrobić mąkę, same kłosa, które wygrzebali z plew - to nawet nie jest jedna piąta

zbiorów, które zapewnia im kontrakt. A widzisz te dzieci, które się tam bawią...

Pomiędzy chatami dwójka maluchów o jaśniejszej skórze kucała w błocie, a dwoje starszych dzieci opartych o ścianę chaty przyglądało im się z niechęcią.

Mariata skinęła głową. Rahma cmoknęła.

- Czy te maluchy wyglądają jak prawdziwe dzieci harratin? Nie wydaje mi się; mają zbyt jasną skórę. Myślę, że Rhossi zostawia swoje nasienie gdzie tylko się da. Mówiono mi, że pierwsze dziecko zostało spłodzone siłą, druga dziewczyna nie chciała skończyć jak pierwsza i poszła na ustępstwo.

W drodze do obozu Mariata raz jeszcze spotkała Naime z stadkiem kóz i po raz pierwszy zauważyła, jak wiele ich było - czarne i brązowe, łaciate i srokate, białe i rudawo - pomarańczowe - wszystkie kręciły się między drzewami, skubiąc każdy listek, jaki udało im się znaleźć. Na skraju obozu minęła stado owiec, dorosłe spętane, jagnięta puszczane wolno, gdyż nigdy nie oddalały się zbyt od matek. Wyglądały na wypasione i żwawe i było ich takie mnóstwo, że nie potrafiła ich zliczyć. Pojawiły się też namioty, a obok nich bezcenne wielbłądy - krępe z Maghrebu, długowłose berabisze, niewysokie szare adrary i mehari, cenne białe wielbłądy z wyżyny Tibesti w Czadzie. Mehari były luksusowymi, drogimi zabawkami bogatych młodzieńców, którzy rzadko używali ich do tego, po co były wyhodowane: szybkich biegów przez głęboką pustynię i napaści na inne plemiona lub karawany. Zamiast tego wystawiali je w wyścigach, robiąc przy tym zakłady. Mariata wiedziała, że dwa z wielkich białych wielbłądów, płocze, z wysoko uniesionymi łbami, należały do Rhossiego.

Z zewnątrz niskie namioty Kel Bazgan wyglądały na skromne, proste schronienia, jednak w ich wnętrzu kobiety trzymały swoje skarby: kolorowe dywany, miękkie owcze skóry, rzeźbione krzesła i łóżka, skrzynie pełne srebrnej biżuterii, wełniane tuniki, pantofle i sandały ozdobione ćwiekami z mosiądzu, cudownie kolorowe skórzane torby z frędzlami. We wschodniej części kobiecych namiotów ich mężowie składali swoje najcenniejsze rzeczy: miecze wykute ze stali z Toledo przed trzema wiekami i przekazywane z pokolenia na pokolenie, tcherot i gris - gris, grube srebrne naramienniki i bogato zdobione siodła. Były tam też worki z ryżem,

prosem, mąką, naczynia z oliwą i oliwkami, pojemniki z przyprawami przywiezionymi z targów na północy. Kobiety były pulchne, dzieci tłuste. Nawet psy były dobrze odżywione. Tylko biedacy byli chudzi. Plemię Bazgan nie było może tak potężne jak Kel Taitok, ale i tak był to zasobny klan. Rozglądając się, Mariata miała wrażenie, że widzi wszystko po raz pierwszy. Po raz pierwszy też poczuła wstyd. Nigdy nie zastanawiała się nad przepaścią dzielącą życie jej współplemieńców i życie harratin, od których byli zależni, uważając ją za naturalny porządek rzeczy. Oni byli arystokracją, zaś harratin im służyli, za swą pracę otrzymując zapłatę. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, że mogą nie być opłacani dobrze, czy przynajmniej uczciwie.

Kiedy tak tamtej nocy siedziała przy ognisku wraz z resztą kobiet posilających się przyprawioną baraniną ze smakowitymi plackami, przygotowanymi po południu przez niewolników, nagle naszła ją myśl, że w wiosce harratin nie widziała żadnego zwierzęcia. Była absolutnie pewna, że nikt z jej mieszkańców nie posmakuje mięsa dzisiaj ani nawet w tym miesiącu i kiedy to sobie uświadomiła, kawałek jagnięciny utknał jej w gardle, aż zakrztusiła się i nie mogła przestać kaszleć.

- Co ci jest, Mariato? - zapytała ją ciotka Dassine. Była kobietą o przenikliwym spojrzeniu i ciętym języku.

- Straciłam apetyt - odparła Mariata niezbyt uprzejmie.

Siedząca obok Dassine Yallawa zmierzyła ją chłodnym wzrokiem, po czym zwróciła się do sąsiadki.

- Kel Taitok jedzą tylko najdelikatniejsze w smaku gazele: widocznie nasze biedne owieczki nie są dość smaczne dla naszej królewskiej krewniaczki.

Mariata odsunęła od siebie resztę posiłku.

- Nie jestem głodna, chociaż spotkałam dzisiaj wielu, którzy byli. Zwróciły się ku niej zaciekawione spojrzenia.

- Czyżby jakichś żebraków? - zapytała Dassine.

- Waszych harratin - odpowiedziała zwięźle Mariata. - Brzuchy ich dzieci są spuchnięte z głodu. A dorośli też są wychudzeni jak patyki.

Rozległy się pomruki. Mariata odróżniała tylko pojedyncze słowa, ale spojrzenia, jakimi obrzucały ją kobiety, były pełne wrogości. W końcu odezwała się Yallawa.

- To nie jest temat odpowiedni dla niemających o niczym pojęcia młódek. - Nie odrywała od Mariaty zimnych oczu. - A młódce, której los zależy od dobroci innych, tym bardziej nie przystoi wygłaszać równie głupich i niechcianych opinii.

- Nie moja wina, że moja matka nie żyje, a ojciec przemierza solny szlak. Sama na pewno nie zdecydowałabym się na pobyt z wami, ale nie miałam wyboru.

Twarz Dassine wykrzywiła złość.

- Kiedy mój brat wziął sobie twoją matkę za żonę, Kel Taitok traktowali tych z nas, którzy przebyli kawał drogi, żeby być na weselu, jakbyśmy byli wasalami składającymi im hołd. Kobiety zasłaniały usta ręką i śmiały się z naszej ciemniejszej skóry, kpiły z naszych ubrań, naszej biżuterii, z tego, jak nasi mężczyźni nosili swoje welony. Możesz się wywyższać, możesz się chełpić swoim lepszym pochodzeniem, ale na mnie nie robi ono wrażenia. Masz szczęście, że jesteś wystarczająco ładna i piękny syn Awy zwrócił na ciebie uwagę; taki związek utemperuje przynajmniej twoją arogancję.

Mariata podniosła się i bez słowa odeszła, bojąc się, że mogłaby odpowiedzieć w niezbyt cywilizowany sposób.

Idąc do namiotów, postarała się możliwie jak najszerszym łukiem obejść ognisko mężczyzn; mimo to kątem oka dostrzegła, jak Rhossi ag Bahedi odrywa się od pozostałych. Przyspieszyła kroku, ale on bez trudu ją dogonił i zagroził jej drogę, wpatrując się w nią błyszczącymi oczami.

- Chodź ze mną.  
- Z własnej woli nigdzie z tobą nie pójdę.  
- Jeżeli wiesz, co dla ciebie dobre, powinnaś robić, co ci każę.  
- Odkąd to mężczyzna ma prawo rozkazywać kobiecie?  
- Pożałujesz, jeśli mnie nie posłuchasz.  
- Na pewno pożałuję, jeżeli posłucham. Chwycił ją za ramię.  
- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś nikomu nic, czego nie powinnaś była mówić.

- Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Potrząsnął nią.

- Wiesz aż za dobrze.  
- Och, na przykład jak to dzielnie rzucasz kamieniami w bezbronne stare kobiety?

- Nie żyje? - zapytał odrobinę zbyt skwapliwie. Mariata przyjrzała mu się ciekawie.

- Czemu spadkobierca potężnego wodza plemienia tak bardzo przejmuje się losem biednej wędrownej baggara?

Rhossi spojrzał na nią wściekle.

- Właśnie, baggara, oto kim jest, niczym więcej. Ale czy przeżyła? Mów natychmiast.

- Z radością cię informuję, że jej śmierć nie obciąża twojego sumienia. Rhossi puścił ją i odsunął się nieco.

- Cieszy mnie to. - Nie mówił szczerze. - Gdzie jest teraz? Mariata zawahała się.

- Poszła swoją drogą - rzekła w końcu i patrzyła, jak ulga maluje się na jego twarzy. - A teraz ja pójdę swoją. - Ziewnęła szeroko. - Dzisiejsze wydarzenia bardzo mnie zmęczyły.

- Odprowadzę cię do namiotu ciotki. Mariata zaśmiała się.

- Chyba nie potrzebuję ochrony, żeby bezpiecznie wrócić stąd do domu.

- Mimo wszystko. - Ujął ją za łokieć i powiodł od ogniska. - Nikomu nie wspominaj o tej kobiecie, słyszysz?

- Kim ona jest, że tak się martwisz, żeby nikt się o niej nie dowiedział? Zacisnął szczęki.

- Nikim szczególnym.

Przy wejściu do namiotu Dassine Mariata przystanęła.

- Dobranoc, Rhossi.

Uwalniając się od niego, weszła do środka. Nachyliła się, zapaliła świecę w lampionie i przyklękła, żeby przyszykować sobie posłanie. Przywiozła ze sobą haftowaną narzutę okrywającą łóżko: pochodziła z południa Maroka i Mariata ją uwielbiała. Rzędy haftowanych czerwono wielbłądów, nierozpoznawalnych dla nikogo, kto nie znał abstrakcyjnych geometrycznych figur, maszerowały na złotym tle; na brzegach stylizowane kwiaty układały się w gwiaździsty wzór jak mozaikowe kafelki, które kiedyś widziała w Tamanrasset. To najbardziej przypominało jej dom. Opuścili go w takim pośpiechu. „Zabierz tylko to, co zdołasz unieść”, powiedział zwięźle jej ojciec. „Twoja ciotka Dassine ma wszystko, czego będziesz potrzebować, a ja nie chcę opóźnić karawany, wlokąc po pustyni twoje rzeczy”.

Musiała zostawić kilkanaście pięknych tunik, zimowe buty, zdobne sandały, mnóstwo kolorowych chust na głowę i szali, swoje

kozuchy i piękne kozłe skóry, które jej matka trzymała, żeby po ślubie Mariata mogła zrobić sobie namiot. Wszystko co ze sobą zabrała, mieściło się w drewnianej skrzyni stojącej przy łóżku: biżuteria, kosmetyki, niewielki nóż i zapasowa tunika. To co miała na sobie i ta kapa na łóżko były wszystkim, co posiadała na tym świecie - a przynajmniej tutaj. Przesunęła dłonią po haftach, przepiękna poczuciem samotności i tęsknoty za domem.

- Bardzo jest piękna.

Obróciła się, ale zanim zdążyła krzyknąć, usta zatkała jej czyjaś ręka. Czowała na niej zapach baraniego tłuszczu i zwęglonego w ogniu drewna.

- Kogo chcesz zawołać? Twój ojciec i bracia są gdzieś na Saharze i wloką obładowane solą wielbłądy jak jacyś zwykli handlarze, którymi zresztą są. Może ciotkę? Nie może znieść twojego widoku. Twoje kuzynki, Anę i Nofę? Obie od lat uganiają się za mną; ale one mnie nie interesują - wielkie, tłuste krowy. Wszyscy mężczyźni żyją w strachu przed moim wujem, a ja jestem wybranym przez niego następcą. Jesteś obca w tym plemieniu, Mariato, a ja jestem spadkobiercą jego wielkiego wodza. Nikt nie kiwnie nawet palcem, żeby mnie powstrzymać. A zresztą któremu z nas ludzie dadzą wiarę?

Rhossi popchnął ją twarzą na łóżko i przygniótł ją całą, dusząc swym ciężarem. Nie mogła krzyczeć, prawie nie mogła oddychać. Po chwili poczuła powiew zimna na swoich obnażonych udach i dłoni usiłującą rozsunąć jej nogi, wbijające się w delikatną skórę paznokcie.

- Nie walcz - powiedział. - Spodoba ci się; dziewczętom zawsze się podoba, jak się już przyzwyczajają. Leż spokojnie, do cholery.

Jej krzyki protestu tłumiała pościel.

- Nie musisz martwić się o dziecko: nie będziesz musiała go zabić - zostaniesz moją żoną. Nie będzie żadnego wstydu.

W pewnej chwili jego uchwyt zelżał i wtedy w Mariatę wstąpił duch, rozwścieczony, żądny zemsty, obdarzony nadnaturalną siłą. Szarpiąc się i wijąc, wydała z siebie zwierzęcy dźwięk, ochryply i gardłowy. Jej prawe ramię wystrzeliło i łokciem trafiła Rhossiego prosto w usta. Wszystko zamarło.

Mariata wyprostowała się, obciągając suknię na kostki. Ze skrzynki przy łóżku dobyteła mały sztylet i dysząc ciężko, wyciągnęła przed siebie, gotowa go użyć.

Rhossi miał oczy wielkie jak talerze. Dotknął swojej twarzy. Kiedy cofnął rękę, cała była pokryta krwią, a on patrzył na nią, jakby i ręka, i krew należały do kogoś innego. Kiedy splunął, na piękną kape wypadł ząb, plamiąc ją innym odcieniem czerwieni. Rhossi patrzył na to z niedowierzaniem, potem przeniósł wzrok na Mariatę. Wyrwał mu się cichy jęk i zaczął płakać. Zerwał się na nogi i wybiegł z namiotu.

Mariata spoglądała za nim. Następnie zaczęła metodycznie krzątać się po namiocie, gromadząc wszystko, co będzie jej potrzebne.

Godzinę później zjawiała się w wiosce harratin.

- Nikomu nie mów, że widzieliście mnie albo Rahmę - poleciła naczelnikowi. - I dopilnuj, żeby nikt z wioski, nawet dzieci, także z niczym się nie zdradził. Ukarzą was, jeśli dowiedzą się, że nam pomogliście.

Dała mu ryż, mąkę i herbatę, które skradła z namiotu Dassine. Następnie chwyciła Rahmę za ramię i powiodła do miejsca, gdzie dwa piękne białe, w pełni osiodłane wielbłądy, wcześniej należące do Rhossiego ag Bahedi, czekały na nie pokornie, skąpane w blasku będącego w trzeciej kwadrze księżyca.



## ROZDZIAŁ 6

Czyżbym kładąc się spać wieczorem, zapomniała zdjąć amulet? Można by pomyśleć, że trudno zapomnieć o czymś równie masywnym. Ale ja miałam go na sobie, gdy obudziłam się następnego ranka.

Kiedy spuściłam nogi z łóżka, miałam wrażenie, że znajduję się w dwóch miejscach naraz, ale w żadnym nie jestem tak naprawdę obecna. A gdy rozsunęłam zasłony, wydało mi się, że londyńskie słońce, które mnie oświetliło, jest przygaszone, jakby ktoś zamienił stuwatową żarówkę na energooszczędny odpowiednik.

Jadąc metrem do pracy, po raz pierwszy od lat miałam świadomość, że miliony ton kamienia, ziemi, rur i budynków przygniatają tunel, którym mknęliśmy z nienaturalną prędkością. Spróbowałam odwrócić swoją uwagę od tej niepokojącej myśli i powiodłam wzrokiem po wagonie. Reklama wakacji w Egipcie, sznur wielbłądów na tle wydm i piramid; tanie loty do Marrakeszu... W Knightsbridge wsiadło kilka zagranicznych kobiet i stały, kołysząc się wraz z pociągiem, a w szparach ich czarnych nikabów widać było tylko mocno obrysowane czarną kredką oczy. Jedna z kobiet spojrzała w moją stronę, powiedziała coś do swoich towarzyszek i wzrok wszystkich spoczął na mnie.

Zakłopotana wzięłam porzucony przez kogoś egzemplarz „Guardiana” i otworzyłam na chybił trafił. W wiadomościach ze świata moją uwagę przykuł akapit: „Czterech zakładników, pracowników francuskiej firmy nuklearnej Areva zostało porwanych przez odłam Nigeryjskiego Ruchu na rzecz Sprawiedliwości, tak zwaną grupę bojowników o wolność Tuaregów”. „Tuaregowie” - to słowo rzuciło mi się w oczy. Miało obce brzmienie, nie wiedziałam, co znaczy, a mimo to wydało mi się dziwnie znajome. Czułam, że natknęłam się na nie niedawno, i że było bardzo ważne, jednak w gmatwaniu pamięci nie umiałam go z niczym powiązać. „Rzecznik grupy oświadczył, że czterej schwytani zakładnicy są w «dobrym stanie» przetrzymywani w Air, spornej strefie Nigru”. Nagłe z przerażającą ostrością przypomniałam sobie, jak moja matka mówiła o ogromnych złożach uranu odkrytych na terenie ówczesnej francuskiej kolonii w Nigrze, które to odkrycie pozwoliło Francji stać się mocarstwem nuklearnym. Ach tak, Niger. W wyobraźni słyszałam, jak z tym swoim leniwym, rozwlekłym akcentem wymawia dwie

długie, obco brzmiące sylaby: „Niii - džair”. Dziadek ze strony matki dorobił się znacznej części swojej niemałej fortuny właśnie tam i w innych francuskich koloniach, inwestując w górnictwo. Albo, jak swego czasu ujęłam to podczas jednej z pełnych pasji młodzieńczych kłótni, w jakie się z nim wdawałam: „dokonując gwałtu na afrykańskich zasobach naturalnych”. Mój młodzieńczy polityczny zapał szybko ustąpił miejsca bardziej tłumionej, osobistej złości, a w następnej kolejności skrytemu, ostrożnemu konserwatyzmowi, który doprowadził mnie do nauki księgowości i wreszcie mojej wygodnej pracy zawodowej. Czując przelotną falę wstydu, czytałam dalej.

„Gdzie niegdyś nasze rodziny wypasały swoje stada i trzymały swoje wielbłądy, teraz nie ma nic poza ogromnymi przemysłowymi nieużytkami. Nikt nie pytał nas o zgodę, nikt nie wypłacił nam żadnego odszkodowania. Ukradli nam nasze ziemie; ukradli nam nasze życie, a nasze dzieci okradli z należnego im dziedzictwa. Nasz lud został pozbawiony środków do życia. Przetrzymany zakładnikom nie stanie się krzywda: chcemy jedynie, aby świat nas zrozumiał i wysłuchał. Nie chcemy waszych bomb atomowych, nie chcemy waszych kopalń. Pragniemy tylko żyć wolno na ziemiach naszych przodków”.

Na koniec artykuł przypominał, jak to w 2002 roku brytyjski premier, Tony Blair, twierdził w tzw. dossier Blaira, że Saddam Husajn próbował kupić od Nigru ogromne ilości uranu, by zbudować „broń masowej zagłady”, co było głównym punktem usprawiedliwienia „wyprzedzającego” ataku na Irak. Zamieszczono również niewielką i raczej niewyraźną mapkę regionu. Ze zmarszczonymi brwiami wpatrywałam się w nią, czując pod czaszką ucisk narastającego niepokoju. W końcu niezdolna do odczytania maleńkiego druku nazw, strzepnęłam gazetę i przekartkowałam, aż znalazłam dział kulturalny. A tam jakby za sprawą jakiejś złośliwej siły, która za cel postawiła sobie dręczenie mnie, zobaczyłam zdjęcie grupki mężczyzn w turbanach zawiniętych równie skomplikowanie i dokładnie jak u mężczyzn pojawiających się w moich snach. Sukces pustynnego bluesa - głosił tytuł, pod którym znajdowała się pełna uznania recenzja nowej płyty tuareskich muzyków występujących pod nazwą Tinariwen.

Tuaregowie. Teraz już przypomniałam sobie, gdzie natknęłam się na to słowo. W opisie mojego ojca o możliwym pochodzeniu amuletu. Poczułam, jak po skórze przebiegają mi ciarki.

Przez cały dzień słyszałam w głowie cichy pomruk, jakby ktoś pograżony był w długiej rozmowie z jakąś częścią mnie, do której nie mogłam dotrzeć, w innym pokoju, za moimi plecami, tuż za zasięgiem słuchu, w obcym języku. Momentami wpatrywałam się w kolumny liczb, jakby zapisane były hieroglifami lub w alfabecie punickim, a ja w żaden sposób nie umiałam ich odczytać.

Po powrocie do domu odpaliłam laptop i poszukałam lotów do Maroka. Po raz ostatni byłam za granicą wieki temu. Strach przed lataniem był tylko jednym z powodów; nie miałam z kim jechać, jako że Eve rozwiodła się dopiero niedawno. Na dodatek Afryka, przecież to na drugim końcu świata, prawda?

Jest bliżej, niż ci się wydaje.

Teraz głos dochodził z bliska, gdzieś z tego samego pokoju, w którym byłam. Potrząsnęłam głową i skupiłam się na znalezieniu najlepszych połączeń. Następnie, osiągnąwszy cel, otworzyłam pudło i wyjęłam zapiski ojca.

Notatki dotyczące grobowca w pobliżu Abalessy.

Abalessa (szerokość 22°43 '60 N, długość 6°1 '0 E, na wysokości 3000 stóp) leży niemal w samym sercu wielkiej pustyni. Teren jest surowy i skalisty. Gdy miejsce zostało odkryte przez Byrona Khun de Proroka w 1925 roku, w pierwszej chwili mogło z łatwością zostać przeoczone, wyglądając jak jeszcze jeden kamienisty kopczyk, inaczej zwany redjem, jakich wiele można znaleźć na Saharze. Pierwsze wykopaliska odsłoniły wielki pomnik o wymiarach ponad 80 stóp wzdłuż dłuższej przekątnej i 75 stóp wzdłuż krótszej, zbudowany przy użyciu starodawnych technik bezzaprawowych, ze starannie dobranych i ułożonych kamieni. Nieregularność konstrukcji, surowość stylu i kamieniarki sugerują pochodzenie berberyjskie, a nie jak sugerowano (zobacz dalsze zapiski), rzymskie.

Wewnątrz znajduje się przedsionek i różne pomieszczenia, z których w największym znaleziono berło.

Według świadków szkielet królowej pustyni spoczywał zawinięty w czerwoną skórę ozdobioną płatkowym złotem. Leżała ze zgiętymi kolanami podciągniętymi pod piersi, na spróchniałych pozostałościach drewnianego katafalku powiązanego sznurami splecionymi z

barwionej skóry i materii. Jej głowę okrywał biały zawój i trzy strusie pióra; z uszu zwisały dwa szmaragdy, jedno ramię ozdabiała dziewięć złotych bransolet, osiem srebrnych drugie. Wokół kostek, szyi i pasa leżały rozrzucone paciorki z karneolu, agatu, amazonitu.

Na podstawie tych szczegółów wysunięto wniosek, że ciało należało do wysoko urodzonej kobiety. Profesorowie Marice Reygasse i Gautiers z Muzeum Etnograficznego są przekonani, że w tym miejscu znajdują się szczątki legendarnej królowej Tin Hinan.

Tin Hinan (dosł. „Pani Namiotów”) jest matką założycielką i duchową przewodniczką pustynnych ludów koczowniczych zwanych się Kel Tagelmust („Zasłaniający Twarz”) lub Kel Tamaszek („Mówiący w Języku Tamaszek”). Arabowie znają ich jako Tuaregów. „Tuareg” to arabskie słowo i według niektórych źródeł oznacza „Odrzuconych przez Boga”, jako że ci nomadowie z uporem przeciwstawiali się arabskiej inwazji w VIII wieku. Zgodnie z ich mitologią Tin Hinan pochodziła z berberyjskiego regionu Tafilalt w południowym Maroku i samotnie bądź - jak chce inna wersja tej legendy - w towarzystwie jednego służącego pokonała tysiąc mil pustyni do Hoggaru, gdzie założyła swoje plemię. Nadano jej tytuł Tamenokalt (rodzaj męski: Amenokal, rodzaj żeński z berberyjskiego przyjmuje na początku i końcu „t”) i jest znana nawet współczesnym plemionom jako „Matka Nas Wszystkich”. Arystokratyczni Tuaregowie twierdzą, że mogą dowieść swych korzeni sięgających bezpośrednio do niej.

Wśród przedmiotów pogrzebowych odnalezionych przez de Proroka w grobowcu znajdowała się drewniana miska powszechnie używana do przechowywania wielbłądziego mleka. Na jej podstawie znajdował się wizerunek złotej monety z głową cesarza Konstantyna II (A.D. 337 - - 340). Sposób pochówku nie zgadza się z muzułmańskimi rytuałami pogrzebowymi (islam na tych terenach został wprowadzony przez Arabów ze Wschodu około VIII wieku). Odnaleziono również doskonale zachowaną glinianą lampkę powszechnie stosowaną przez Rzymian, najwyraźniej często używaną i okopconą. Eksperti datują pochodzenie podobnych lamp na III i IV wiek. Tak więc dzięki tym szczegółom można z dużą dozą pewności stwierdzić, że grobowiec pochodzi z IV wieku naszej ery i bez wątplenia jest współczesny późnemu Imperium Rzymskiemu.

Amulet, jaki odnaleźliśmy w grobowcu, jest podobny do owych tcherot noszonych jako amulety przez tuareskich mężczyzn i kobiety dla ochrony przed złymi duchami, dlaczego jednak został przeoczony podczas wykopalisk w 1925 roku, a także późniejszych, z lat trzydziestych i pięćdziesiątych, jest dla mnie niewytłumaczalne. My odkryliśmy go przy samym wejściu do przedsionka, gdzie leżał na wierzchu i nie było na nim żadnych śladów świadczących, by kiedykolwiek spoczywał pod ziemią. Ponadto widnieją na nim inskrypcje z terenu Adach, zaś czerwone koła z krwawnika są nowsze od karnalitowych paciorków znalezionych w grobowcu. Na skalnej ścianie powyżej znaleźliśmy inskrypcję, którą tutaj skopiowałem; nikt jednak nie zdołał jej odczytać, zaś pochodzenie amuletu pozostaje tajemnicą.

Poniżej znalazłam kilkanaście dziwnie wyglądających symboli napisanych niebieskim atramentem.

Zdjęłam amulet i przyjrzałam mu się z powagą. Czy trzymałam w ręce jeden z grobowych skarbów legendarnej królowej, czy też tajemnica sięgała jeszcze głębiej?

## ROZDZIAŁ 7

W pośpiesznej ucieczce z obozowiska i przed gniewem Rhossiego ag Bahedi Mariata zdołała zabrać do wielbłądziej zagrody tylko jedno siodło: to, które przywiozła ze sobą z domu w Alhaggarze. Była to piękna rzecz, odziedziczona przez nią po praprababce, wykonana ze skóry i rzeźbionego drewna, ozdobiona ornamentami z brązu i miedzianymi ćwiekami. Kiedy na nim siedziała, czuła się jak księżniczka, za którą zresztą się uważała. Nie chciała oddawać go starszej kobiecie, ale zmusiła się do tego wiedzona poczuciem grzeczności.

Rahma spojrzała na siodło i roześmiała się. - Myślisz, że potrzebna mi taka nieporęczna starość?

Zaczęła cmokać, a kiedy mehari zgiał nogi, przywiązała swoje sandały do sznura, chwyciła zwierzę za dolną wargę, przerzuciła nogę nad jego szyją i usadowiła się przed jego garbem, tuż nad kłębem. Jedną nogę trzymała zgiętą pod sobą, jakby miała zastąpić jej siodło. Popatrzyła w dół i uchwyciła przelotne spojrzenie Mariaty, pełne zachwytu.

- Mój ojciec miał same córki; kiedy czasy były ciężkie, jeździłam z karawaną.

Mariata niepewnie popatrzyła na swojego wielbłąda. Pokonała całą drogę z Alhaggaru do Air, ale głównie siedząc w palankinie, jak przystoi kobiecie z jej statusem.

- Pociągnij mu głowę w dół - poleciła jej Rahma. Mariata tak uczyniła i dobrze wyszkolone zwierzę uklękło. - Zdejmij buty i trzymaj je na kolanach. Żeby skręcić w lewo, klepnij go w prawą stronę szyi, w lewą, jak chcesz, żeby skręcił w prawo. Oprzyj podeszwy stóp o zagłębienie w jego karku, żebyś czuła, jak się rusza. Możesz nim kierować w ten sposób, ale także za pomocą uzdy. Jak chcesz, żeby stanął, klepnij go mocno w tył głowy i głośno syknij. Gotowa?

Mariata szarpnęła za uzdę, ale wielbłąd tylko cicho zaryczał.

- Co mam zrobić, żeby ruszył?

Jechały przez całą noc, w dół stromymi żlebami wyrytymi przez rzeki i skalistymi wąwozami, kierując się na północ i zachód. Na bezchmurnym niebie lśnił księżyc, kąpiąc wszystko w srebrzystym blasku. Zawył szakał, a jego towarzysz odpowiedział, ich krzyki przebiegły nad wzgórzami i wzdłuż kręgosłupa Mariaty.

Na każdy dźwięk nocy odwracała głowę, wypatrując pościgu, jednak żaden nie nadciągał. Pasma Bazgan wznosiło się za ich plecami postrzępione i majestatyczne; w dole widziała, jak koryta rzek - niektóre połyskujące, inne najwyraźniej wyschnięte - wiją się stepem na południe.

- Tam w dole - powiedziała Rahma, machając ręką w bliżej nieokreślonym kierunku - o pół dnia drogi stąd leży Agadez, brama do Tenere.

Tenere: w ich języku „Pustka” lub zwyczajnie „Pustynia” - ponad tysiąc mil gołych skał i piasku. Nawet teraz ojciec i bracia Mariaty brną przez nią, wędrując starożytnym szlakiem łączącym Fezzan, Egipt i starożytne Imperium Songhaj. Przez wieki karawany przewoziły złoto, kość słoniową, bawełnę, skórę i niewolników przez Tenere do wielkich cywilizacji na końcu szlaku, lecz tamte cudowne dni dawno minęły; teraz karawany wymieniają suszone warzywa i worki z prosem na sól, i po ciężkich targach z Kanuri, właścicielami kopalń, opłaceniu ludzi, przez których ziemie przejeżdżają, i zapłaceniu za wodę czerpaną ze studni zysk, jaki im zostaje, jest co najwyżej skromny. Czasami rabusie atakują handlarzy; czasem burze piaskowe i zdradliwe ruchome piaski - fesh - fesh - pochłaniają całe karawany, pozostawiając jedynie kości, które odnajdują się po latach. A zdarza się, że wszelki ślad po nich ginie na zawsze.

- Będziemy jechać przez Tenere? - zapytała Mariata. Na myśl o tym odczuwała mieszaninę lęku i radości. Po raz pierwszy, kiedy w ciszy nocnego powietrza jej ciało kołysało się w rytm dziwnego kroku wielbłąda, dotarło do niej, że nie ma pojęcia, dokąd jadą. Wiedziała tylko to, co powiedziała jej Rahma: że wędrowała osiem dni, aby ją odnaleźć.

Rahma zaśmiała się cicho.

- Wielkie nieba, skądże!

Nie dodała nic więcej i jechały dalej w milczeniu. Opuściły wyżynę Air i wjechały w szerokie oued, które prowadziły na dno rozciągającej się niżej doliny - wypełnione łupkiem wyschnięte koryta rzeczne, po których wielbłądy szły bez trudu, z chrzęstem stąpając swoimi szerokimi kopytami po luźnych kamykach. Gdy sponad wzgórz za ich plecami weszło słońce, w jego długich czerwonych promieniach zalewających okolicę drzewa akacjowe jakby zapłonęły żywym ogniem. Wciąż jednak nigdzie nie było widać Rhossiego.

Gdy teren przeszedł w szeroką równinę, Rahma smagneła swojego wielbłąda, a ten z miejsca przyśpieszył kroku. Obejrzała się przez ramię.

- Szybciej! - ponagliła Mariatę. - Na pewno nas ścigają, tym bardziej że ukradłaś bardzo cenne wielbłądy. Musimy oddalić się od nich najbardziej, jak tylko się da.

Mariata nerwowo klepnęła swojego wielbłąda w zad, on jednak tylko obrócił wielką białą głowę i popatrzył na nią ogromnymi wilgotnymi ślepiami ze znudzonym i jednocześnie pełnym wyższości wyrazem.

- Błagam - poprosiła, wbijając pięty w boki zwierzęcia. - Idź szybciej. Przez nieco dłużej niż dzień krajobraz był zielonoszary, niekończąca się roślinność na przemian ze skałami. Stopniowo jednak zieleń ustąpiła brązom i wkrótce jedyną roślinnością były już tylko szorstkie i pożółkłe trawy. Przejechały przez otwarty teren pokryty wyłącznie gołymi skałami i łachami czarnego jak smoła żwiru, porośniętymi tu i ówdzie głogami, tygrysim buszem i z rzadka tamaryszkiem w miejscach, gdzie poziom wód gruntowych był wyższy. Następnego dnia pojawiły się piaski, niekończące się faliste wydmy, brązowe, wyrzeźbione przez wiatr.

Mariata spoglądała w dal, gdzie piasek i niebo zlewały się w drżącą mgiełkę, i czuła, jak jej umysł szybuje daleko, jakby i on chciał rozplątać się w bezkresnej dali. Ogarnął ją cudowny spokój, rozluźniający, kojący całe ciało.

- Piękne - wyszeptała. - Jakie to piękne. Rahma uśmiechnęła się.

- I jak wszystkie piękne rzeczy, śmiertelnie niebezpieczne, jeżeli nie zostanie potraktowane z należnym szacunkiem.

- Przebyłaś całą tę drogę pieszo?

- Tak.

Mariata pokręciła głową, nie posiadając się ze zdumienia.

- Musisz naprawdę bardzo kochać swojego syna.

- Kocham.

- Opowiedz mi o nim. Czy jest przystojny? Czy jest szlachetny i pisze poezję? Czy ubiera się na niebiesko? Czy skórę ma zabarwioną na indygo od zawoju? Czy przemierza pustynne szlaki? A może jest wojownikiem ze słynnym mieczem, którego imię wykrzykuje, gdy rzuca się w bój?

Starsza kobieta cmoknęła.



- Wy, młode dziewczyny, jesteście wszystkie takie same: naiwne, romantyczne marzycielki. A wszyscy chłopcy są źli: nie, nawet gorsi, z tymi swoimi marzeniami o wojnie i głupotą. Teraz powiem tylko, że leży bliski śmierci. Jeśli umrze, nic więcej nie musisz wiedzieć; jeżeli przeżyje, sama o wszystko go zapytasz.

Mariata była zawiedziona.

- Nie powiesz mi nawet, jak się nazywa?

- Na imię ma Amastan.

- A pełne imię? Jak brzmi?

Rahma westchnęła.

- Zadajesz bardzo dużo pytań.

- Skoro mam przebyć pustynię, chyba powinnam wiedzieć coś o człowieku, dla którego wyruszyłam w tę podróż.

Przez długą chwilę starsza kobieta milczała ze wzrokiem utkwionym w rozciągającą się przed nią dziką dal, mrużąc oczy w jasnym, przejrzystym powietrzu. W końcu się odezwała.

- Nazywa się Amastan ag Moussa.

- Jak Moussa ag Iba, amenokal, wielki wódz plemion Air?

- Dzięki Bogu nie jest podobny do ojca.

- Jest jego synem?

Starsza kobieta klepnęła zdecydowanie swojego wielbłąda w głowę i zasyczała głośno. Zwierzę posłusznie zatrzymało się i opadło na kolana, a ona z łatwością ześlizgnęła się na ziemię.

- I wobec tego kuzynem Rhossiego? - nie ustępowała Mariata.

- Nie waż się sądzić Amastana podług tego, co wiesz o tamtym. Dopóki nie urodził się mój syn, Rhossi był oczkiem w głowie Moussy. Wystarczyło, że Rhossi tylko o czymś wspomniał i z miejsca to dostawał - jakieś świecidełko, najlepszy kęs mięsa, drewniany miecz do zabawy. Ale Amastan był pierworodnym Moussy i jego spadkobiercą; ojciec uwielbiał go od chwili, gdy tylko go ujrzał, co Rhossiego doprowadzało do szaleństwa z zazdrości. Kiedy mój chłopak rósł, przez cały czas znajdowałam na jego ciele siniaki i rany, jakich nie mógł nabawić się w czasie zwyczajnych igraszek, a raz przyszedł do mnie ze śladami odcisków palców na szyi, jakby ktoś próbował go udusić. Nigdy nawet słowem nie poskarżył się na Rhossiego, ale matka wie.

- I dlatego odeszłaś?

Rahma zacisnęła mocno wargi.

- Teraz pójdziemy pieszo - rzekła do Mariaty.
- Pieszo? - Mariata była przerażona.
- Musimy dać odpocząć wielbłodom.

Pociągnęła długi łyk wody z bukłaka, po czym podała go Mariacie, a sama osłoniła sobie chustą twarz, tworząc coś na podobieństwo męskiego turbanu. Następnie chwyciła swojego wielbłąda za uzdę i ruszyła przed siebie żwawym krokiem, trzymając się prosto jak trzcina.

Mariata na wpół zsiadła, na wpół spadła ze swojego wierzchowca i zrobiła to co Rahma, obwiązując sobie twarz swoją ciemną chustą tak, że widoczne były tylko oczy. Ponieważ nie przywykła do noszenia zawoju, było jej niewygodnie i duszno, ale jak tylko od strony wydm nadleciał pierwszy podmuch wiatru, zrozumiała, czemu było to konieczne. Drobinki piasku wbijały się w skórę, kłuły w oczy. Gorący piach parzył jej stopy przez cienkie sandały; zeszywniała od wielogodzinnej jazdy na wielbłądzie, więc poruszała się ciężko i niezgrabnie.

Pomimo wieku i obrażeń zadanych przez Rhossiego, Rahma kroczyła ze swobodą, jakby podobne podróże odbywała każdego dnia. Mariata pomyślała, że idzie jak mężczyzna, członek karawany, albo myśliwy, i nie mogła nie odczuwać podziwu dla starszej kobiety, tak twardej i zdecydowanej. Kiedy wiatr się wzmógł, Rahma przeszła na zawietrzną stronę wielbłąda, by w marszu osłaniał ją swoim ciałem. Mariata zrobiła to samo. Szły tak, aż słońce stanęło wysoko na niebie, a pościg za nimi wciąż się nie pojawiał.

Mariata szła, aż dłużej już nie mogła; potem szła dalej. Szła jak w transie albo we śnie, jej nogi poruszały się automatycznie, ręką trzymała wielbłąda za uzdę; szła, aż przestała być świadoma niewygody, która na początku dnia doprowadzała ją do furii. Uwolniony od potrzeb ciała, jej umysł szybował daleko i swobodnie. Dlaczego wyruszyła w tę szaloną podróż z kobietą, którą dopiero co poznała, na dodatek w tak dziwacznych okolicznościach? Czy pozostanie z plemieniem rzeczywiście byłoby takie straszne? Gdyby krzyknęła, ktoś na pewno przyszedłby jej z pomocą, bez względu na to co mówił Rhossi. Ochrona kobiet była dla jej ludu świętością; kobiety były otaczane największym szacunkiem. Strach przed siostrzeńcem Moussy wypaczył jej logikę, doprowadził ją do podjęcia szalonych decyzji. Wtedy jednak przypomniawszy sobie głodujących

harratin i wybuchowy charakter wielkiego wodza, który jak wszyscy twierdzili, był umierający. A kiedy on umrze, wodzem zostanie Rhossi, a wtedy nikt jej przed nim nie obroni. Przecież on nawet próbował udusić syna amenokala!

Rozmyślała nad tym. Cokolwiek zaszło pomiędzy Rahmą i Moussą, musiało być poważne: nie zdarzało się, żeby amenokal rozwodził się z żoną, albo co jeszcze gorsze, żeby ona rozwiodła się z nim. Mariata podejrzewała jakiś skandal.

Wszystkie te myśli krążyły w jej głowie jak ćmy wokół płomienia, czasem znikając w ciemnościach, kiedy indziej znowu wpadając w światło i wirując w nim szaleńczo.

W końcu Rahma odwróciła się ku niej i powiedziała coś bezgłośnie.

Mariata podniosła głowę. Przed sobą zobaczyła palmy drżące w rozpalonej mgiełce. Zastanawiała się, czy to miraż. Słyszała, że pustynia potrafi płatać podobne figle, zwłaszcza początkującym podróżnikom.

- Oaza - powtórzyła Rahma wyraźniej. - Oaza Doum. Mamy za sobą więcej niż połowę drogi.

Napoły wielbłądy i puściły je, by się pały. Uzpełniły wodę w bukłakach, a potem, kiedy Rahma usnęła w cieniu, Mariata siedziała z nogami zanurzonymi w chłodnej guelta i wpatrywała się w odbicie daktylowych palm i w lśniące niebo ponad nimi. Ten spokój! Nigdy nie czuła takiego spokoju. Wcześniej wciąż zjawiał się i odchodził ktoś z rodziny i znajomych, hałasowały dzieci, kozy i psy, nieustannie trzeba było wypełniać obowiązki dnia codziennego. Była Mariata ult Yemma, córką Tofenat, córką Ousmana, siostrą, kuzynką, należała do plemienia. Potem została bratanicą Dassine, obcą z plemienia Taitok, nagle zmuszoną, by przebywać wśród plemienia Bazgan; zabraną z ojczyściej ziemi i porzuconą wśród obcych, a ponieważ Kel Bazgan byli dla niej obcy, wydawali się tacy liczni, z imionami, rodzinnymi więzami i historiami, których nie zdążyła jeszcze poznać, kłębiący się po obozowisku, rozmawiający, krzyczący, zajmujący się sprawami, o których nie miała pojęcia. Lecz teraz, w tej chwili była tylko ona - Mariata - i śpiąca twardo jak kamień Rahma, kobieta poznana zaledwie dzień wcześniej, z którą nie łączyły jej ani lojalność, ani plemienne więzy. I pustynia, piękna, surowa i wieczna.

To uczucie oswobodzenia, doskonałego istnienia nabrzmiewało w niej, aż zakręciło się jej w głowie i poczuła, jakby mogła ulecieć w złociste powietrze niczym nić babiego lata...

Nie miała pojęcia, ile minęło czasu, odkąd tak siedziała, ale z zadumy wyrwał ją nagły, gwałtowny hałas, jakby gdzieś nieopodal dwa kamienie uderzyły o siebie.

W jednej chwili jak kot, który niby śpi, ale tak naprawdę tylko drzemie z jednym okiem otwartym, Rahma zerwała się na równe nogi.

- Mariato, łap swojego wielbłąda. No już, pośpiesz się!

- Dlaczego?

- Nie ma czasu na pytania. Szybko!

Mariata pobiegła i złapała za sznur swojego mehari, po czym stała z uzdą w ręku niezdecydowana, nie mając pojęcia, co robić.

- Wsiadaj, wsiadaj! Jedź tam, na te wydmy i czekaj na mnie; oni tam nie dojadą, piasek jest za głęboki. Ruszaj!

- A co z tobą?

- Rób, co ci mówię, dziewczyno, albo obie zginiemy.

W końcu udało się Mariacie zmusić swojego wielbłąda, żeby klęknął, po czym ruszył. Ledwie go dosiadła, a już jakby intuicyjnie wiedział, czego się od niego oczekuje. Uderzyła go po zadzie, a on przyspieszył, swoimi wielkimi, szerokimi kopytami wzbijając tumany piasku. Wydmy zbliżały się, wielkie, falujące wzgórza. Skierowała zwierzę w stronę wyrwy między dwoma największymi i chyba tylko siłą woli zmusiła je do wdrapania się i przejścia na drugą stronę. Tam, nie czekając, aż wielbłąd się zniży, zsunęła się z niego i podpełzła, by wyrzeć znad grzbietu wydmy. Oaza wydawała się odległa o całe mile, znacznie dalej, niż zdołałaby odjechać w tak krótkim czasie i przez chwilę nigdzie nie mogła dostrzec Rahmy i jej wielbłąda. Czując narastającą panikę, rozpaczliwie przeczesywała wzrokiem okolice: jeżeli zgubi Rahmę, niechybnie zginie. I wtedy nagle kątem oka dostrzegła jakiś ruch.

To była Rahma, daleko z prawej strony, galopująca na wielbłądzie, którego niezgrabne nogi fruwały we wszystkie strony. Mariata patrzyła, jak zacierają ku wschodniemu krańcowi długiego pasma wydm, na których ona się skryła, i znikają jej z oczu.

W tej chwili rozległ się zupełnie inny dźwięk, ochryply pomruk, niski i dudniący. W stronę oazy zmierzał, pędząc, zakurzony pojazd: ciężarówka z kilkoma ubranymi na ciemno mężczyznami na pace,

trzymającymi wymierzone w niebo strzelby. Mariata zamarła. Czyżby Rhossi wezwał siły rządowe, żeby mieć pewność, iż odzyska swoje wielbłądy? I sprowadzi ją na powrót do plemienia? Jej żołądek przeszył lodowaty skurcz.

Ale chyba nawet Rhossi nie zaangażowałyby policji? Plemienni ludzie żyli, nie bacząc na granice państw ani jurysdykcję i czynili tak od tysiącleci. Mariata leżała tam zawieszona w czasie, czekając, aż coś się wydarzy, przesądzając jej los. Żeby mnie nie zobaczyli, szeptała bezgłośnie, ale zaraz wprowadziła zmianę do swojej modlitwy: żeby nie zobaczyli nas. Niech sobie pójdą i nie zobaczą nas...

Minęło kilka uderzeń serca i zapadła cisza, z wyjątkiem szumu krwi w jej uszach. Nawet wielbłąd zdawał się rozumieć, że musi być cicho; przykląkł po chłodnej stronie wydmy, gdzie słońce jeszcze nie doszło, z wysoko uniesioną głową, ze wzrokiem nieskierowanym na nic konkretnego mrugał tylko dziwną, przezroczystą błoną trzeciej powieki, usuwając w ten sposób ziarenka piasku.

Nagle jeep pojawił się znowu, pędem wyjeżdżając z oazy na wschód dobrze ubitym traktem. Przejechał nim kilkaset jardów i nagle skręcił w miejscu, gdzie dosłownie kilka minut wcześniej skręciła też Rahma na swoim wielbłądzie. Mariata wstrzymała oddech; jej serce zaczęło walić, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Patrzyła, jak jeep zaczyna wdrapywać się na wydnię, po czym zakopuje się w głębszym, bardziej miękkim piasku na zboczu. Dwaj mężczyźni wyskoczyli ze strzelbami przewieszonymi ukośnie przez plecy, powiedzieli coś do siebie z ożywieniem i ruszyli w górę, reszcie towarzyszy pozostawiając zadanie wypchnięcia pojazdu z piachu. Mężczyźni ubrani byli w spodnie, nie tuniki - na modłę zachodnią, zaś na głowach zamiast turbanu czy zawoju mieli czapki. Mariacie przyszło na myśl, że gdy tak wspinali się po wydmie, wyglądali jak pająki, chudzi, czarni, szybcy i niebezpieczni. Wkrótce osuwający się piasek zaczął utrudniać im wspinaczkę.

Co powinna zrobić? Wskoczyć na wielbłąda i uciec, zanim ją dostrzegą, czy też czekać i mieć nadzieję, że przejdą obok? Już niemal zdecydowała, że dosiądzie wielbłąda i spróbuje zbiec, kiedy coś syknęło. Mariata instynktownie podniosła się na nogi, bo przecież ukąszenie żmii rogatej może zabić.

- Na ziemię!

To była Rahma prowadząca wielbłąda za kawałek tkaniny, który zawiązała wokół pyska swojego wierzchowca.

Mariata posłusznie przywarła płasko do gorącego piasku.

- Kim oni są? - szepnęła.

- To żołnierze.

- Żołnierze? Jacy żołnierze?

- Teraz wszędzie są żołnierze. Z tej strony - Rahma machnęła ręką w lewo - świeżo niepodległe państwo Mali; z drugiej - machnęła w prawo - Niger. Na północy Algieria. Wszyscy mają żołnierzy, którzy tu się kręcą całymi tłumami. Pod tymi piaskami znaleźli złoża bezcennych rud i teraz wszystkie rządy chcą na nich położyć łapę. Wyrwać ziemi jej wnętrzości, zniszczyć nasze odwieczne tereny, zastrzelić nas, jeśli wejdziemy im w drogę. - Wzięła kolejny skrawek materiału i szybko obwiązała nim pysk drugiego wielbłąda. Nie uciszy w ten sposób zwierzęcia, ale przynajmniej ryk, którym mogłoby zdradzić swoją obecność, będzie nieco przytłumiony. - A teraz, jeśli nie chcesz zginąć, chodź za mną jak najszybciej.

Powiodła Mariatę w dół wydmy, bacząc, by jej falisty grzbiet cały czas je osłaniał, zagradzał widok dwóm żołnierzom. Kiedy schodziły, Rahma, pomagając sobie liściem palmy, wygładzała ślady, jakie zostawiły. Tropiciel nomada nie dałby się oszukać, ale z daleka wydma będzie wyglądała na względnie nietkniętą.

Po miękkim piasku zbiegły do głębokiej doliny między piaszczystymi wzniesieniami, skąd Rahma poprowadziła je do kolejnego skrzyżowania wydm, gdzie wielkie góry piasku wznosiły się ze wszystkich stron.

Rahma wepchnęła uzdę w dłoń Mariaty.

- Zaczekaj tutaj.

Po czym oddaliła się, by biegiem wspiąć się na wysoką wydmy, skąd mogła dostrzec prześladowców. Mariata skuliła się, podciągając kolana pod piersi. Żołnierze. Mężczyźni uzbrojeni w strzelby. Wrogowie. Nigdy wcześniej nie brała pod uwagę możliwości, że mogłaby mieć jakiegoś wroga, kogoś, kto naprawdę chciałby ją zabić. Rzecz jasna między plemionami dochodziło do sporów, były pojedynki i najazdy, ale to dotyczyło mężczyzn. Nigdy nikt nie groził żadnej kobiecie przemocą - z wyjątkiem Rhossiego. Ale nawet Rhossi nie przeraził jej tak, jak ci anonimowi umundurowani mężczyźni. Po raz pierwszy odkąd znalazły się na pustyni, naprawdę się bała.

## ROZDZIAŁ 8

W dolinie zalegały coraz głębsze cienie, kiedy Rahma w końcu pojawiła się znowu, wymachując wściekle łokciami i wzbijając stopami tumany piachu. W zakurzonej tunice i z oczami połyskującymi złością wyglądała niemal jak jeden z duchów pustyni. Mariata mocniej przycisnęła kolana do piersi.

- Zaatakowali cię? - zapytała nieśmiało. - Stało ci się coś?

- Wsiadaj na wielbłąda - odparła starsza kobieta, prawie na nią nie patrząc. Sama rozpełtała swojego i pośpiesznie go dosiadła.

- Poszli sobie? - spróbowała ponownie Mariata, kiedy udało się jej zrównać z towarzyszką, Rahma jednak ograniczyła się tylko do zwięzłego „tak”, po czym zacisnęła usta i wbiła wzrok przed siebie, pogrążona we własnych myślach, od których jej czoło pokryło się plątaniną zmarszczek.

Mariata próbowała jeszcze kilka razy wydobyć coś z niej na temat żołnierzy, gdy mijały wydmy za wydmy, aż w końcu wyjechały na szeroką piaszczystą równinę, jednak starsza kobieta nie dała się sprowokować i przez ten ani następny dzień nie odezwała się prawie wcale. Pod koniec trzeciego dnia, kiedy wyjeżdżały z oazy, słońce powędrowało na zachód, opadło i znikło, okradziony z czerwieni krajobraz pogrążając we fiolecie i chłodzie.

Wschodzący księżyc skąpał piach w świetle, a mijane pojedyncze akacje przybierał w upiorną srebrzystość. Mariata nigdy nie widziała czegoś podobnego: bezkresna, obojętna kraina, którą zdawały się jechać bez końca. W miarę jak teren stawał się coraz bardziej płaski, twardniało też podłoże, a spomiędzy coraz liczniejszych kamieni małymi kępkami wyrastała roślinność. Wreszcie w miejscu, gdzie ogromne pojedyncze głazy tworzyły wznoszące się wysoko, samotne skały Rahma zatrzymała swojego wielbłąda.

- Zostaniemy tu do świtu - oznajmiła. - Nocą nie możemy zapuszczać się na wzgórza: w świetle księżyca duchy przodków stają się mściwe.

Wraz z nastaniem nocy nawet najłagodniejsze z duchów zmieniały swoją naturę. Mariata wymamrotała zaklęcie, które powinno ochronić ją przed ich niebezpiecznym wpływem, i zapatrzyła się na pogrążone w cieniu wzniesienia, lecz w ciemnościach nie dostrzegała żadnych obozowisk, ognisk, świateł. Widziała jedynie

skały rozrzucone po okolicy, jakby jakiemuś olbrzymowi nagle znudziła się zabawa.

- To starożytne magiczne miejsce pełne baraka - powiedziała Rahma cicho. - Tutaj żadne duchy nie zrobią nam krzywdy.

Skały były olbrzymie, ale dla Mariaty nie miały w sobie nic magicznego, nie wyglądały jej też na miejsce błogosławione. Wyczerpana zamknęła oczy. Bolał ją każdy miesiąc, każdy włos na głowie. Marzyła, by położyć się na spoczynek w namiocie; chciała przytulić policzek do poduszki, okryć się kocem i spać, spać, spać. Ze zmęczenia aż się zachwiała i musiała przytrzymać się najbliższej skały, by nie upaść. Całe gorąco dnia wyparowało z kamienia: teraz był zimny i szorstki w dotyku; szorstki i zimny, ale jakby żywy...

Nagle przed oczami pojawiły się kolejno obrazy: kobieta, od której lez ciemniał kolor indygo jej tuniki; dziecko o okrągłej główce chwytające się matczynej spódnicy; błysk miecza wyrzuconego w powietrze, srebro połyskujące błękitem. Zawinięte w powijaki dziecko o wielkich ciemnych oczach, leżące bezradnie w piasku. Wznoszące się i opadające nagie ciało mężczyzny, jego pośladki połyskujące w migotliwym blasku świecy. Wstrząśnięta otworzyła oczy.

- Co się stało? - zapytała ostro Rahma, chwytając ją za ramię. - Zobaczyłaś coś?

Nie wiedzieć czemu zawstydzona, Mariata wyzwoliła ramię z uchwytu.

- Nie, nic, jestem po prostu zmęczona.

Zdjęła z wielbłąda koc i położyła się na ziemi, lecz sen nie nadchodził. Świat wirował w niej, jakby wciąż szła; w głowie jej się kręciło. Wizje napływały jedna po drugiej - uzbrojeni mężczyźni ze strzelbami przewieszonymi przez ramię; zdecydowanie zbyt blisko pożądliva twarz Rhossiego, szkielet, który minęły na pustyni, z kośćmi oskubanymi przez sępy i wybielonymi przez słońce; zagłodzone dzieci, szlochające kobiety - aż wreszcie zebrało się jej na mdłości ze zdenerwowania. Kiedy usiadła, żeby oczyścić umysł, mogła myśleć tylko o tym, że jest sama jedna na tym świecie, zdana na jego łaskę, bez nikogo, kto by ją ochronił, oprócz tej dziwnej, szalonej kobiety. Wysoko nad nią świeciły gwiazdy nieporuszone jej sytuacją. Ogarnęła ją żalność nad samą sobą, do oczu napłynęły szczypiące łzy i wtedy usłyszała głos.



„Pamiętaj, kim jesteś, Mariato. Pamiętaj o swoim dziedzictwie. W sobie masz nas wszystkie: jesteśmy z tobą zawsze, aż do samej Matki Nas Wszystkich. Pamiętaj, kim jesteś, i nie wpadaj w rozpacz.

Tamtej nocy Mariata śniła. Była z powrotem w Hoggarze: jego wzgórza wznosiły się poszarpaną linią na tle błękitnego nieba, a ona sama siedziała w słońcu i patrzyła, jak jej matka zaplata włosy Azaza. Kiedy ostatnio go widziała, jej brat był wysoki i chudy, już prawie mężczyzna w tunice i błękitnym zawoju, ale we śnie wciąż był chłopcem o okrągłych, roześmianych oczach i z szeroką szparą między przednimi zębami. Pamiętała, jak biegali wkoło starych kobiet i zmyślali historie, żeby bronić się nawzajem przed karą, gdy któreś zostało przyłapane na jakiejś psocie. Baye, najmłodszy, raczkował golutki w piasku. Moja matka była taka piękna, pomyślała Mariata, patrząc na jej szybkie, zwinne dłonie i skąpaną w słońcu ślicznie wyrzeźbioną twarz. Nie wiedziała, jak długo przyglądała się tej tchnącej spokojem scenie: wszystko działo się we śnie. Nad głową Yemmy przemykały chmury, słońce zachodziło i wschodziło, zachodziło i wschodziło znowu, a ona zaplatała pierwsze warkocze Bayego, wyciągając ręce ponad wielkim, sterczącym brzuchem. A potem padł na nią cień, ona podniosła wzrok i uśmiechnęła się, a świat znieruchomiał. Cóż to był za uśmiech! Mariata mogłaby patrzeć na ten uśmiech przez cały dzień, całą noc. Było w nim tyle miłości, taka radość. Przez chwilę zastanawiała się, co też wywołało ten niebiański uśmiech na twarzy jej matki, i wtedy ujrzała siebie idącą obok swojego wysokiego ojca niosącego koszyk pełen fig, za którymi matka wprost przepadała w tej swojej ostatniej ciąży. I wiedziała, jak zresztą wiedziała od zawsze, że matka ją kocha, że nie z własnej woli zostawiła ją na tym świecie; że zawsze jej strzegła.

Obudziły Mariatę pierwsze promienie słońca, które padły na jej twarz. Przez chwilę nie wiedziała, gdzie jest; czuła tylko, że jest wypoczęta i przepelniona spokojem. Kiedy się przeciągnęła, jej stawy nie zatrzeszczały ani nie zaprotestowały; kiedy wstała, pewnie trzymała się na nogach, a jej mięśnie się nie skarżyły. Być może, pomyślała sobie, było coś z prawdy w opowieściach Rahmy o skałach: może rzeczywiście tkwiła w nich jakaś moc. Zwinęła swój koc i poszła przyjrzyć się głazom z bliska.

Trzy czwarte wielkiej skały skrywało się w chłodnym cieniu. Obeszła ją w kółko, nie mogąc nadziwić się jej ogromowi. Kiedy

jednak dotarła na drugą stronę, odkryła, że od wschodu skalna ściana jest oświetlona jaskrawym blaskiem wschodzącego słońca. W jej środkowej części, wijąc się od ziemi niemal do samego szczytu, pięć metrów wyżej widniały wyrzeźbione litery i symbole w starożytnym języku jej ludu. Mariata wyciągnęła szyję.

„Dzisiaj pochowaliśmy Majda, dzielnego człowieka, męża Taty i ojca Rhissy, Elagi i Houny”, głosiła jedna z inskrypcji.

Druga brzmiała po prostu: „Sarid miłuje Dinbiden, która jego nie miłuje”.

Trzecia była początkiem wiersza.

- "Asshet nan - nana shin ded Moussa, tishenan n ejil - di du - nedwa" - przeczytała Mariata na głos. „Córy naszych namiotów, córki Moussy, myślcie o nocy naszego odejścia.

Jeszcze inny napis, pochyły i uciekający w prawo, odczytała z początku jako: „Miłość trwa, chociaż życie nie”. Po chwili zdała sobie sprawę, że można to również odczytać jako: „Długa miłość zdarza się rzadziej niż życie”. Zmarszczyła brwi, nie mogąc zdecydować, które znaczenie jest właściwe. Istniała jeszcze trzecia możliwa interpretacja, a mianowicie: „Gdzie znajdzie się miłość, tam pozostaje”.

- Poetyckie, prawda? Mariata odwróciła się i ujrzała u swego boku Rahmę.

- Kto to wyrzeźbił? Ludzie z twojej wioski? Starsza kobieta roześmiała się.

- Niektóre inskrypcje zrobili Kel Nad, Ludzie Przeszłości. Nikt nie wie, jakie są stare; były tu już w czasach, których nie sięga pamięć tych najstarszych, a nawet ich rodziców i dziadków.

Mariata zmarszczyła czoło.

- Ale wydają się takie... nowe.

Nie było to odpowiednie słowo, zwłaszcza dla kogoś, kto miał się za poetkę. Chciała powiedzieć, że uczucia wyrażone w napisach były takie same jak te, które odczuwają jej pobratymcy, i to każdego dnia.

- Przeszłość zawsze jest z nami - stwierdziła Rahma. - A ludzie zasadniczo są tacy sami, ci, co żyją teraz, i ci z przeszłości.

Tego ranka wydawała się radośniejsza, być może dzięki perspektywie triumfalnego powrotu do domu z potomkinią Założycielki.

Na myśl o pokładanych w niej nadziejach Mariata poczuła ogarniające ją zdenerwowanie. Łatwo przyszło jej podjąć decyzję o

odejściu od Kel Bazgan, wtedy uczyniła to, nie martwiąc się o przyszłość, a w czasie wędrówki przez pustynię niewiele myślała. Starła się nie zastanawiać nad tym zbyt. Powtarzała sobie, że zasadniczo ludzie wszędzie są tacy sami. Nie ma się czego lękać.

Wkroczyły do wioski i starsza kobieta długo i z wielką uprzejmością witała się z każdym, kto wyszedł jej na spotkanie (a takich było wielu).

- Mam się dobrze - odpowiadała niezmiennie. - Dziękuję, mam się dobrze.

Następnie pytała każdego o jego rodzinę i wszystkie nowiny, cierpliwie wysłuchując odpowiedzi, chociaż wszystkie brzmiały podobnie: Mam się dobrze, moja żona ma się dobrze, moi synowie mają się dobrze, moje córki mają się dobrze, Bogu niech będą dzięki. Na koniec obracała się i wskazując na Mariatę, przedstawiała ją jako: „Mariatę ult Yemma ult Tofenat, córkę Kel Taitok, która przybyła z Gór Air, od Kel Bazgan, u których mieszkała i wraz ze mną przebyła Tamesnę, by obejrzeć mojego syna i wygnać duchy, które przejęły nad nim władzę”.

Mariata zauważyła, że początkowy szacunek, jaki wzbudziło jej szlachetne pochodzenie i przebyta przez nią droga, na wzmiankę o Amastanie szybko ustąpił miejsca rezerwie, ale ludzie byli uprzejmi i życzyli jej wszystkiego dobrego. Te błogosławieństwa miały uchronić ją przed złymi duchami, z którymi być może będzie miała do czynienia.

Rahma przemówiła do drobnej ciemnoskórej kobiety w jaskrawoczerwonej chustce na głowie, a ta odbiegła gdzieś, by chwilę później powrócić z miską ryżu wymieszanego z mlekiem. Mariata spojrzała tęsknie na ryż i zaburzało jej w brzuchu. Niestety.

- Musimy spróbować przywrócić go do jakiegoś stanu równowagi - mówiła Rahma do kobiety i wszystko wskazywało na to, że nie ma co marzyć o śniadaniu, przynajmniej dopóki nie zobaczą pacjenta.

Minęły zagrodę, w której biegały i pasły się kurczaki, co było dla Mariaty zaskoczeniem: nomadowie nie trzymali kur, gdyż te nie potrafiły wędrować przez pustynię ani latać, zaś wielbłądy i osły i tak dźwigały dość, by dokładać im jeszcze dodatkowy ciężar. Zauważyła też sporą liczbę glinianych chat, najwyraźniej zbudowanych na stałe, a

wokół nich rośliny - drzewo figowe, gdzie indziej znów krzaczki pomidorów.

- Czy twoje plemię nie wędruje już po solnym szlaku? - spytała zaciekawiona.

- Niektórzy owszem. Wciąż jeszcze mamy kilku poganiaczy karawan, ale dwa lata temu straciliśmy na pustyni całą karawanę; zaś w ubiegłym sezonie choroba powaliła znaczną liczbę naszych wielbłądów i osłów. Bieda i niespokojne czasy zmusiły wielu naszych harratin i niewolników do szukania schronienia w miastach, do czego dodatkowo zachęca ich nowy rząd: życie jest ciężkie, i to coraz bardziej. Nasz lud potrzebuje młodych, takich jak Amastan, bardziej niż kiedykolwiek dotąd w naszej historii. Bez niego i jemu podobnych, żeby przeżyć, będziemy musieli harować na roli.

Mariata była przerażona.

- Ale przecież jesteśmy panami pustyni, nie jakimiś biednymi wieśniakami!

- Nasze dumne dziedzictwo przestanie mieć znaczenie, jeśli wszystko dalej będzie tak wyglądało.

Na końcu spotkały dziwną osobę w luźno zarzuconym zawoju, który odsłaniał - co było szokujące - dolną część twarzy o skórze koloru węgla drzewnego i ciężkie srebrne kolczyki zwisające z uszu. Dziwna postać chwyciła Mariatę za ręce i mocno je przytrzymała. Za przyczynę tego braku powściągliwości Mariata uznała fakt, że owa osoba nie należała do Zasłaniających Twarz, i z trudem powstrzymała się, by nie wyrwać rąk. Co prawda nawet gdyby chciała, nie zdołałaby tego uczynić, gdyż nieznajomy trzymał ją z zaskakującą siłą. Gdy jednak się odezwał, jego głos brzmiał jak u chłopca, którego struny głosowe nie dojrzały jeszcze do wydawania niskich, głębokich tonów dorosłego mężczyzny; zaś ręka, którą ścisnął, zdawała się dotykać czegoś, co podejrzanie przypominało miękkość kobiecych piersi. Mariata była kompletnie ogłupiała.

- Ach, córo Hoggaru, przybyła z tak daleka. Witaj, witaj w Teggart.

- Dziękuję - odparła Mariata, uprzejmie pochylając głowę. Raz jeszcze spróbowała cofnąć ręce, ponownie bez skutku.

- Urocza dziewczyno, duchy przyjmują różną postać. Strzeż się melancholijnego piękna Kel Asuf, bo może cię urzec. Dostrzegam w

tobie dzikość; a dzikość przyciąga dzikość. Mam nadzieję, że głowę posiadasz całą.

Wyrzekłszy te dziwne słowa, dziwna istota uwolniła rękę Mariaty i poszła sobie. Mariata odprowadziła ją wzrokiem.

- O co mu chodziło? A poza tym czy on to on?

- Tana? - Rahma uśmiechnęła się. - Nie mamy słowa, które nazywałoby, kim jest Tana. Słyszałam, jak obcy mówili o niej homme - femme, ale to nie jest wobec niej uczciwe. Powiedzmy, że Bóg pobłogosławił ją dwukrotnie. W niej można odnaleźć idealną symetrię obu płci, a poza tym to doprawdy niezwykła osoba. Czasem wie więcej niż normalni ludzie. Była córką naszego kowala, kiedy wieś była na tyle bogata, żeby mieć własnego, a kiedy umarł, ona została i pełni niektóre obowiązki enad.

Inadan byli kowalami i mistrzami tajemniczych rytuałów: mieszkający we wsi kowal nadzorował ceremonie, zabijał ofiarne kozy, pilnował ognia i wykonywał rzeczy z żelaza, którego nikt z Kel Tagelmust, a już na pewno żadna kobieta, nie mógł bezpiecznie dotknąć.

- Czy ona nie może uleczyć Amastana?

- Raz, po jego powrocie była go zobaczyć; potem nie chciała się nawet do niego zbliżyć.

Mariata zastanowiła się nad tym w milczeniu.

- O co jej chodziło, kiedy mówiła o całej głowie? - zapytała po chwili.

- Czasem mówimy tak o uczniu medycyny, który osiągnął pełnoletniość, kiedy jego wiedza staje się kompletna.

Mariata poczuła, jak powraca uczucie paniki.

- Ale ja nigdy nie uczyłam się medycyny! W ogóle nigdy niczego się nie uczyłam!

- Są rzeczy, których nie można się nauczyć: dary niebios, dary, które mamy we krwi.

Rahma chwyciła ją za ramię, jakby się przestraszyła, że Mariata może uciec; Mariatę nagle ogarnął lęk: lęk, że syn Rahmy może być szalony i majaczyć, toczyć z ust pianę jak wściekły pies, skory do przemocy. Bała się też, że może będzie wyglądać zupełnie normalnie, i tylko w oczach będą mu tańczyć duchy. Bała się, że niczego nie zdołała i mimo swego wspaniałego rodowodu okaże się tylko zwykłą

dziewczyną. Nie wiedzieć czemu, ta ostatnia możliwość przepełniała ją większym strachem.

\*

Za ostatnimi namiotami, chatami i zagrodami dla zwierząt znajdowała się kępa oliwnych drzew, a za nią, po drugiej stronie skalistego skrawka ziemi, pomiędzy dwoma tamaryszkami ktoś wznosił prowizoryczny szałas, ledwie kilka koców i starych worków na ziarno zawieszonych na stelażu z gałęzi. W ich cieniu Mariata spostrzegła mężczyznę w czarnej tunice i ciasno zawiniętym turbanie, z pozostawioną jedynie wąską szparą odsłaniającą kawałek twarzy, w której połyskiwała złowrogo para ciemnych oczu.

Mężczyzna siedział ze skrzyżowanymi nogami, bez ruchu, z rękami na kolanach. Nie zmienił pozycji, kiedy zbliżyły się do niego, nie czyniąc najmniejszego choćby gestu na powitanie. Nie zareagował nawet, gdy Rahma kucnęła obok niego i przyłożyła mu dłoń do policzka.

- Bądź błogosławiony, Amastanie, mój synu. Wyglądasz lepiej niż wtedy, kiedy cię opuszczałam, bez cienia wątpliwości. Zjedz odrobinę ryżu i mleka, by schłodzić nadmiar gorąca, jakie w tobie tkwi.

Postawiła miskę na ziemi obok talerza z nietkniętym chlebem i daktylami. Amastan nawet na nią nie spojrzał.

- Zobacz, przyprowadziłam ci jeszcze kogoś, gościa z bardzo daleka. To Mariata ult Yemma ult Tofenat z Kel Taitok, w prostej linii wywodząca się od Tin Hinan. Przebyła Tamesnę tylko po to, żeby cię zobaczyć. Nie wstaniesz i nie powitasz jej, nie poprosisz, aby się rozgościła, jak przystoi panu tego domostwa?

Mariata domyśliła się, że próbowała go rozweselić, gdyż nie było to żadne domostwo, a on na pewno nie był panem niczego, nawet własnych zmysłów. Przyjrzała się temu kawałkowi jego szczupłej ciemnej twarzy, której nie zakrywał turban, dostrzegając jedynie, że kości leżą tuż pod skórą, brwi są ładnie ukształtowane, i że na tle ciemnej opalenizny skóry kurze łapki w kącikach oczu odbijają się wyraźną bielą. Teraz kiedy znalazła się tak blisko niego, nie wydawał się już taki przerażający, o czym pomyślała z pewną ulgą, i zaczęła się z wolna rozluźniać, kiedy oderwał wzrok od ziemi, w którą wpatrywał się z takim uporem, i spojrzał na nią.

Mówi się, że kiedy gazela osaczona jest przez myśliwych, ogarnia ją taki paraliż i niemoc, że stoi nieruchomo, chociaż gdyby postanowiła zerwać się do biegu, bez trudu wymknęłaby się swoim prześladowcom. Tak właśnie poczuła się Mariata, gdy Amastan popatrzył na nią: sparaliżowana, przerażona do cna i absolutnie niezdolna do podjęcia jakiegokolwiek próby ratunku.

Stwierdziła, że patrzy w najbardziej wymowne oczy, jakie kiedykolwiek widziała. Były podłużne, w kształcie migdałów, oczy poety, nie wojownika czy szaleńca; z chwilą gdy wbił w nią spojrzenie, nie była w stanie myśleć o niczym poza tym, że jest to spojrzenie głębokie i ciemne jak woda połyskująca na dnie studni: ostatnia o tej porze roku woda pozostała przed całkowitym wyschnięciem studni, a ci, którzy z niej korzystają, będą cierpieć pragnienie, by w końcu umrzeć.

Serce Mariaty zaczęło bić jak szalone. Poczuła, jak drżą jej mięśnie nóg, jakby chciały ją wyprowadzić, szybko, jak najszybciej, bez względu na to, czy świadomie by im to nakazała czy też nie. Jednak pomimo to tkwiła dalej w tym samym miejscu, jakby nagle zapuściła w nim korzenie.

Nagle wszystko się skończyło. W jednej chwili oczy Amastana wypełniły się łzami, które popłynęły niepowstrzymane. Widok płaczącego mężczyzny był szokujący. Mężczyźni znani byli ze swej wstrzemięźliwości w okazywaniu uczuć: należało to do kodeksu asshak, kodeksu dumy i dobrego zachowania. Mariata poczuła, jak jej serce wyrывa się ku płaczącemu.

Są kobiety, które nie potrafią powstrzymać się, by nie naprawić czegoś, co się zepsuło, kobiety czujące ciężar odpowiedzialności za utrzymanie porządku świata - nawet jeśli polega to na takich drobiazgach, jak spranie brudu z odzieży, zamiecenie namiotu czy naprawienie rozerwanego koszyka. Mariata nigdy nie miała się za jedną z nich. Lecz oto siedział przed nią mężczyzna, którego życie pękło na pół, i nagle zapragnęła na powrót złączyć obie te połówki.

- Od jak dawna jest w takim stanie? - zapytała Mariata, kiedy wraz z Rahmą zmierzały w stronę wioski. W miarę jak rosła odległość dzieląca ją od opętanego mężczyzny, jej serce wracało do normalnego rytmu; mimo to wciąż czuła jego obecność, jakby zostali przywiązani do siebie jakimś sznurem, który z każdym uczynionym przez nią krokiem coraz bardziej się naprężał.

Rahma chwilę milczała. W końcu doszły do wielkiej skały. Rahma zatrzymała się i usiadła, zwracając twarz ku słońcu. Mariata dostrzegła na jej policzkach ślady łez, które zdążyły już obeschnąć.

- Przywiózł go jego wielbłąd, jakby znał drogę do domu, chociaż nie było go tutaj od roku, może dłużej. Amastan zwisał z niego, otumaniony. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje: oczy miał otwarte, ale nie poznawał nawet własnej matki. Cały pokryty był krwią. Myślałam... - Jej głos zadrżał.

- Myślałam, że nie żyje... albo że jest śmiertelnie ranny. Jego miecz zniknął

- Siepacz, który kiedyś należał do mojego brata, anet ma Amastana, a przedtem do jego anet ma. Amastan nigdy dobrowolnie nie rozstałby się ze swoim mieczem, ucieleśniał jego dumę. Nie miał ze sobą niczego, żadnego jedzenia ani wody. Nie mam pojęcia, jakim cudem przeżył, chyba duchy musiały trzymać go przy życiu z sobie tylko znanych powodów.

Ale miał jedną rzecz. Trzymał ją zaciśniętą w prawej dłoni. Próbowaliśmy rozewrzeć mu palce, ale on rzucił się na nas jak wściekłe zwierzę. Wciąż to ma. Wiem, że gdybyśmy go oderwali od tego czegoś, zdołalibyśmy go uratować. Jestem pewna, że Kel Asuf czerpią z tej rzeczy swoją moc. Próbowaliśmy wszystkiego: znachorki dawały mu zioła na sen, ale nie chciał ich zażyć. Enad śpiewał pieśń wiatrów, a my waliliśmy w bębny, żeby odegnać duchy, wszystko na próżno. Marabuci modlili się nad nim i przypinali mu do ubrania wersety z Koranu. Wiedziałam, że to na nic: rozwścieczony zdarł z siebie wszystko i biegał nagi! Magik z Timbuktu otoczył jego szafas talizmanami i fetyszami, które przywiózł z południa: Amastan zignorował wszystko i ułożył się do snu z prawą ręką wepchniętą pod siebie. Każdy, kto próbował siłą otworzyć mu dłoń, spotykał się z wściekłością duchów, które w nim zamieszkały. Jest taki od trzech miesięcy, może trochę więcej: ale nie wytrzyma już zbyt długo.

Mariata przygryzła wargę.

- Chcę pomóc, ale nie wiem, co mogłabym zrobić. Rahma obróciła się, by na nią spojrzeć.

- Zapłakał, kiedy cię ujrzał, Mariato. To pierwsza ludzka reakcja, jaką pokazał przez ten cały czas. - Westchnęła i wstała, nagle wyglądając na bardzo wyczerpaną. - Jako chłopiec, Amastan uwielbiał poezję - mówiła dalej. - Uwielbiał układać piosenki i wiersze;



czarował miejscowe dziewczęta swoim talentem do słów. Wszystkie chciały go poślubić, ale on powiedział, że nie ożeni się, dopóki nie dotrze do Drzewa Tenere (Drzewo Tenere było samotną akacją, niegdyś uważaną za najbardziej samotne drzewo na Ziemi - jedyne w promieniu 200 km. Było punktem orientacyjnym na trasie karawan na obszarze Tenere na Saharze w północno - wschodnim Nigrze (przyp. tłum.)), nie zobaczy morza i nie dotknie śniegu, który pokrywa najwyższe szczyty górskie.

Mariata uśmiechnęła się. Do niej też przemawiały takie romantyczne pomysły.

- Co z tego udało mu się osiągnąć?

- Wszystko. I wtedy się zaręczył. Z dziewczyną z Gór N'Fughas. Pojechał tam, żeby przywieźć ją, aby jeszcze przed ślubem mogła poznać mnie i jego babkę. Widzisz, moja matka była zbyt stara i schorowana, żeby samej odbyć taką podróż. Umarła, zanim Amastan wrócił. Myślę, że dla niej to było błogosławieństwo.

Słyszając to wszystko, Mariata poczuła niepokojące ukłucie. Był zaręczony? Upomniała samą siebie, bo przecież to nie jej sprawa, że nieznanemu jej mężczyźnie jest z kimś związany, lecz jakaś jej część poczuła się głęboko rozczarowana.

- A gdzie ona jest, jego ukochana? Rahma odwróciła wzrok.

- Nie wiem. Nikt nie wie: wygląda na to, że zniknęła. Ale błagam cię, nie dawaj posłuchu plotkom. - Nim Mariata zdążyła pojąć, o co chodzi w tej dziwnej prośbie, Rahma mówiła dalej pospiesznie. - Słowa to najpotężniejsza magia ze wszystkich; twoja babka dobrze o tym wiedziała. Moc słów przechodzi w twojej rodzinie z pokolenia na pokolenie, poczynając od Matki Nas Wszystkich: jakże inaczej zdołałaby przekonać innych, by przyszli do niej na pustynię i założyli nasze plemię? Była tylko zwykłą dziewczyną - nie starszą niż ty teraz - dziewczyną z zakurzonej małej wioski na południu Maroka. A mimo to miała w sobie taką moc, że opuściła bezpieczne miejsce i znalazła inne, gdzie zaczęła nowe życie na pustkowiu. By tego dokonać, musiała porozumiewać się z Kel Asuf, zostać jedną z nich lub zmusić ich, by byli posłuszni jej woli, albowiem pomogli jej ukształtować nasz lud. Jej moce musiały przejść po kądzieli, jak wszystkie cenne rzeczy, i teraz na pewno mieszkają w tobie. Muszę w to wierzyć albo stracimy Amastana na zawsze. Pomożesz mu? Siedź przy nim, opowiadaj mu historie, układaj dla niego wiersze, rób mu talizmany;

uciszaj duchy, naginaj je do swojej woli. Spróbuj go namówić, żeby oddał tę rzecz, którą ściska w prawej dłoni. Zrobisz to?

- Spróbuję - rzekła Mariata, ale przerażenie jej nie opuszczało.

Amastan wrócił do wioski cały skąpany we krwi i bez swojej narzeczonej. Ona, Mariata, miała nie słuchać plotek. Ale nagle przypomniała się jej ludowa powiastka z Air, często opowiadana nocą przy ognisku: Krwawe zaślubiny Iferouane. Mówiła o tym, jak przystojny, bogato wystrojony obcy zjawiał się w wiosce ku wielkiej ucieście miejscowych dziewcząt i w ciągu kilku tygodni wybrał sobie najpiękniejszą, oczarował pięknymi słowami i następnie szybko poślubił z błogosławieństwem jej rodziny. Lecz podczas pierwszej nocy weselnych uroczystości z namiotu nowożeńców dobiegł wielki tumult i żalosne zawodzenie dziewczyny. Starsi kręcili głowami: pan młody nie powinien się śpieszyć i przymuszać młodej żony już pierwszej nocy. Na dziecku poczętym przy świetle księżyca przez całe życie ciążyła klątwa. Niczego dobrego z tego nie będzie. I rzeczywiście, kiedy rankiem jedna ze starszych kobiet poszła zanieść młodemu śniadanie, powitał ją smutny widok: namiot pełen krwi, włosów i kości i ani śladu młodych. Jednak bracia panny młodej wytropili ślady wielkiego kota, poszli za nim aż do jego leża w górach i zabili po ciężkiej walce. W jego brzuchu znaleźli resztki swojej siostry, ale ani kawałeczka pana młodego; domyślili się więc, że przystojny nieznajomy był zmiennokształtnym duchem pustkowi, który swą prawdziwą postać odzyskał w noc poślubną.

Nie zdołała odpędzić natrętnej myśli: czy Amastan również był takim potworem? Czy opętany przez demony zabił swoją ukochaną? Nie chciała się dowiedzieć, a mimo to musiała poznać prawdę.

Rahma zaprowadziła ją do swojego namiotu. Był bardzo piękny, zrobiony z ponad stu kozlich skór.

- Przywiozłam go ze sobą, kiedy rozwiodłam się z Moussą ag Iba - powiedziała, zanim Mariata zdążyła zapytać. - Ten namiot, dwunastoletniego Amastana i starego osła, który zdechł już dawno temu. Przeklęty marabut zarządził, że muszę zrzec się całego wiana, chociaż miałam pełne prawo je zatrzymać. Powiedział mi, że Bóg wystawił mnie na próbę, kazać mi pogodzić się z tym, że Moussa wziął sobie drugą żonę, że źle postępuję, rozwodząc się z nim z powodu takiej drobnostki. Pokazałam mu siniaki na nogach i rękach; on się tylko uśmiechnął i powiedział, że czasem mężczyzna musi zbić

zonę, żeby nauczyć ją, jak ma się właściwie zachowywać. Wtedy uciekłam się do starych sposobów. Marabut już nie żyje, a z tego co słyszałam, Moussa bardzo cierpi na bóle brzucha.

Mariata popatrzyła na nią.

- Rzuciłaś na niego klątwę?

- Na nich obu. Sęk w tym, że Moussa zawsze był silnym mężczyzną. Długo wytrzymał.

Coś w Mariacie zadrżało.

- Skoro potrafisz rozkazywać duchom, dlaczego nie możesz uratować Amastana?

Rahma zaśmiała się gorzko.

- Na świecie musi panować równowaga. Myślę, że w ten sposób duchy mi o tym przypominają.

W ciągu następnych dni codziennie na parę chwil Mariata zakładała białą szatę i białe nakrycie głowy, które pożyczyła jej Tana - na szczęście i żeby zrównoważyć czerń tkwiącą w Amastanie - i szła do szafasu, gdzie siedziała wraz z chorym i najpierw po cichu, w głowie układała wiersze, potem wypowiadała je na głos. Jej obecność zdawała się mu nie przeszkadzać; można by nawet rzec, że w ogóle jej nie zauważał. Nie pojawiły się żadne łzy, spojrzenia, od których stawało serce, nie było też śladu duchów, które go opętały. Jeżeli słyszał jej wiersze i opowieści, w żaden sposób tego nie zdradził; po jakimś czasie stwierdziła, że jego obecność działa na nią kojąco, a nawet inspirująco. Wkrótce zdołała ułożyć najlepsze jak dotąd w swoim życiu wiersze, zonglując słowami, formując je w złożone akrostychy, pomiędzy liniami zatrzymując magię. Niektóre szkicowała na ziemi za pomocą patyka, większość jednak zachowywała w głowie. Jej pacjent zaś pozostawał niewzruszony, jakby nic z tego nie wywierało na nim żadnego wrażenia.

Codziennie zabierała nietknięte jedzenie, które przyniosła mu poprzedniego dnia. Jak mógł żyć bez jedzenia? Myślała, że musi napędzać go coś innego, nienaturalnego, może nawet bezbożnego. Nagle, któregoś dnia znalazła miskę przewróconą, a mleko wsiąkające w ziemię. To było tabu i niewątpliwie świadczyło o działaniu duchów. Obrysowała wokół miskę wizerunkami talizmanów, by zniwelować działanie złych mocy.

Kilka dni później zaczął się jej okres. Marabut kazałby się jej zaszyć w namiocie, ale Rahma tylko się roześmiała.

- Teraz masz największą moc: krew jest silniejsza od mocy duchów.

I rzeczywiście, kiedy tego dnia zaniósł Amastanowi jego miszkę mleka z ryżem, on podniósł ją z ziemi i zjadł. Ale uczynił to palcami lewej ręki, co było obrzydliwe.

Przez cały czas trzymał prawą rękę zaciśniętą, a ona zauważyła, że ilekroć zdarzyło się jej na nią spojrzeć, kłykcie bieleły, jakby zaciskał ją wtedy jeszcze bardziej.

Któregoś dnia, zainspirowana starożytnymi inskrypcjami na skałach, obok których przechodziły z Rahmą ostatniej nocy podróży przed przybyciem do wioski, Mariata ułożyła wiersz i zaczęła recytować go na głos:

Córy naszych namiotów, córki Moussy

Myślcie o nocy naszego odejścia

Siodła kobiet gotowe czekają na wielbłądach

Kobiety majestatyczne w swych szatach wychodzą Jest pośród nich Amina, o oczach błyszczących Jest i Houna, w nowej chuście na głowie. Piękna Manta, świeża jak nasienie palmy...

- Nie!

Jego krzyk był przeraźliwy, rozdzierający serce. Mariata zerwała się na nogi, nagle przerażona widokiem twarzy Amastana wykrzywionej w jakimś potwornym spazmie. Była niemal pewna, że z ust wyrosną mu kły, pazury u rąk, futro pokryje skórę, ale ten pojedynczy okrzyk zdawał się go do cna wyczerpać i osłabić. Rozwarł prawą rękę i dostrzegła błysk przedmiotu, który w niej skrywał.

- Manta, och, Manta - wyszeptał, a przynajmniej Mariacie wydawało się, że to słyszy. Z oczami zamkniętymi z cierpienia, przycisnął przedmiot do czoła.

Dostrzegła, że to amulet, solidny kwadrat metalu, na środku z wypukłym guzem, ozdobionym kółkami krwawnika i wrytymi wzorami. Pokryty był czymś zaschniętym, jakby rdzą.

## ROZDZIAŁ 9

Miałam mnóstwo dni wolnych do wybrania: ani razu przez ostatnie trzy lata nie wykorzystałam ich w całości. Z pewnym niepokojem udałam się do starszego partnera i zapytałam, czy mogę dostać sześć tygodni urlopu, z czego trzy bezpłatnego. Ze wstydem muszę przyznać, że za wymówkę posłużyła mi śmierć ojca: przygotowanie domu na sprzedaż wymagało tak wielu zabiegów, a potem bardzo chciałabym zmienić na jakiś czas otoczenie.

Richard zgodził się ze skwapliwością, która była niemal obraźliwą.

Czułam się winna; ale wtedy spoglądałam na pudło i od nowa budziło się we mnie oczekiwanie. Jechałam do Afryki, podążając za „drogowskazami” na ścieżce mojego życia, jak określił to ojciec. Jechałam zawieźć amulet z powrotem na kontynent, z którego pochodził, i może odrobinę wywabić wilka z lasu. Sprawdziłam Abalesse w atlasie i znalazłam ją zaznaczoną jako maleńki punkcik na południu Algierii. Maroko - Algieria; Tafraout - Abalessa. W porównaniu z ogromem ciemnego kontynentu odległości między tymi miejscami nie wydawały się przerażające. Mając trzy tygodnie do dyspozycji, wraz z Eve damy radę zapuścić się na południe w głąb Sahary na wyprawę kończącą wszystkie wyprawy.

Z niecierpliwością czekałam, aż wyruszymy; była to jednak niecierpliwość podobna do tej, która ogarniała mnie przed egzaminami. Chciałam, żeby już się rozpoczęły, żebym mogła przestać się denerwować, chciałam być już w ich trakcie, zamiast wyobrażać je sobie jako koszmar, którym wcale nie musiały być. Tak naprawdę to zwyczajnie chciałam przestać myśleć.

Moją niepokohamowaną energię skierowałam na sprzedaż domu i całkowicie zatraciłam się w biurokracji, niekończących się bezużytecznych sprawozdaniach, gwarancjach i dokumentach, które zgodnie z nową legislacją były niezbędne. Dałam wycenić zbiory i oddałam je na aukcję, zaś firma sprzątająca zajęła się resztą. Znalazłam agentkę i wysłuchiwałam jeremiad o stanie rynku nieruchomości, o konieczności „ubrania” domu w bardziej nowoczesny styl, by przyciągnąć „odpowiedni rodzaj” potencjalnych nabywców, o wynajęciu mebli, roślin doniczkowych i spryskaniu wszystkich kątów zapachem świeżo parzonej kawy i chleba tuż przed demonstracją.

- A czy jest też zapach rozgrzanej słońcem świeżo skoszonej trawy, którym można by spryskać ogród? - zapytałam z sarkazmem, kiedy stałyśmy w mżawce, spoglądając na przerośnięty gąszcz niegdyś będący warzywną grządką. Zobaczyłam, jak rozważa moje pytanie.

- Co za wspaniały pomysł - powiedziała z namysłem, po czym wyjęła notes i zapisała sobie wszystko, nieświadoma mojego niedowierzającego wzroku.

W dniu, w którym miałyśmy wylecieć, obudziłam się o piątej rano z krzykiem i zlaną potem, ponieważ zostawili mnie na rozpalonej pustyni, zbyt słabą, bym mogła doczołgać się do połyskującej w oddali wody. Usiadłam w łóżku z walącym szaleńczo sercem. Skąd wziął się taki sen? Czy był skutkiem mojego strachu przed lataniem, czy też czymś jeszcze bardziej niewytłumaczalnym? Próbowałam nie zastanawiać się nad innymi możliwościami, a kiedy spakowałam amulet i pozostałą zawartość pudła do torby razem z paszportem, niepokój zastąpiło lekkie wyczekiwanie.

Okazało się, że nie my jedne wybierałyśmy się do Maroka na wspinaczkę. W kolejce do odprawy na Gatwick, wśród zwykłej zbieraniny poszukujących słońca turystów i rodzin z zawodzącymi dziećmi, znajdowało się kilka grupek ludzi taszczących górskie plecaki, worki z linami, a nawet kilka crashpadów. Przeważnie mieli po dwadzieścia lat i wydawali mi się potwornie młodzi w swoich wystrzępionych džinsach Fat Face i kolorowych polarach. Dziewczyny miały jasne, splecione w dredy włosy, chłopcy nosili skórzane bransoletki. Ustawiliśmy się z naszym wózkiem w kolejce i plecak Eve natychmiast zsunął się z niego i z głośnym pacnięciem wylądował na betonowej posadzce. Był w nim cały sprzęt, ciasno upchnięty, wobec czego plecak ważył co najmniej tonę. Eve postawiła go pionowo i próbowała wepchnąć z powrotem na wózek, kiedy zjawił się młody człowiek i bez wysiłku dźwignął plecak, po czym odwrócił się i uśmiechnął do nas. Miał szeroką, sympatyczną twarz, jasne włosy i lekkiego zęza, to wszystko razem sprawiało, że wyglądał trochę jak pirat.

- Siemka, jestem Jez - powiedział z rozwlekłym akcentem z Sheffield. - Widzieliśmy, jak przyszłyście, i od razu powiedzieliśmy: wspinają się! Tak po prostu. Widać po tym, jak się ruszacie. Dobrze mówię, co nie, Miles?

Jego towarzysz był o rok, może dwa starszy i nieco staranniej wyglądał. Kiwnął głową, odrobinę nieśmiało, jakby nie miał zbytnej ochoty na dalszą rozmowę.

- Plecaki też nam trochę pomogły. Jez wyraźnie zainteresował się Eve.

- Wybieracie się do Taфраout?

Eve uśmiechnęła się, wprawiając go w zachwyt, czemu trudno się dziwić.

- Jasne. A wy?

- Oczywiście. O tej porze to najlepsze miejsce do wspinaczki na świecie, poza tym tubylcy nie są tam tacy napastliwi, jak gdzie indziej w Maroku.

- No, nie mów, byli przecież ci naciągacze od dywanów - przypomniał mu Miles. - Strasznie im zależało, żebyśmy weszli do ich sklepu. Gonili nas po całej ulicy!

Jez roześmiał się.

- No, i byli ubrani jak Tuaregowie. A tacy z nich Tuaregowie jak my czy wy. Ale dywan był niezły. Położyłem go w pokoju: teraz codziennie przypomina mi Maroko.

Byli mili; usiedliśmy na kawę w jednej z kawiarenek w hali odlotów i wymienialiśmy się opowieściami o najfajniejszych wspinaczkach, ulubionych szczytach, trudnościach, które napotkaliśmy i których udało się nam uniknąć, zaliczonych i przeżytych upadkach. Ani się obejrzeliśmy, jak siedzieliśmy w samolocie, a ja nie zdążyłam nawet pomyśleć o moim panicznym lęku przed lataniem.

Krótki lot jest jak mgnienie oka dla doświadczonego podróżnika, który nie boi się, że spadnie z nieba w płomieniach paliwa lotniczego, jednak dla tych z nas, którzy w kółko sobie to wyobrażają, czas staje się niemiłosierną torturą, minuty wloką się wypełnione przy każdym drgnięciu czy podskoku niemającą końca paniką. I bez względu na to co myślą sobie linie lotnicze, żadne drinki czy wózki z towarami wolnocłowymi nie są w stanie odwrócić uwagi człowieka cierpiącego na prawdziwą fobię latania.

- Słowo daję - powiedziała Eve, widząc, jak moje kłykcie bieleją, kiedy na przemian zaciskałam i rozluźniałam pięści. - Pojąć nie mogę, że spokojnie wchodzisz bez zabezpieczenia na ściankę, a w samolocie

dosłownie umierasz ze strachu. Masz, poczytaj sobie przewodnik, zajmiesz się czymś.

Jak powiedzieli Jez i Miles, wokół Tafraout kilometrami ciągnęły się skały idealne do wspinaczki, z tysiącem tras i kolejnym tysiącem jeszcze nieprzetartych szlaków. Skupiłam się na przeglądaniu przewodnika, wybierając potencjalne cele, ale wciąż wracałam do fotografii szczytu znanego jako Assgaour lub inaczej Lwia Głowa, z dziwną, podobną do twarzy ścianą. Trzeba będzie wspiąć się trasą wzdłuż nosa Lwa: czułam to w kościach. Lew wpatrywał się we mnie, rzucał mi wyzwanie mające być rytuałem wejścia do serca Afryki.

Dotknęłam amuletu schowanego w kieszeni i moje lęki ucichły. Nawet kiedy słyszałam zgrzyty i skrzypienie wysuwanego podwozia, kiedy zaczęliśmy podchodzić do lądowania w Agadirze, nie myślałam o spadaniu i ognistej kuli, tylko spokojnie schowałam przewodnik do torby i w ogóle się nie zdenerwowałam, kiedy koła samolotu uderzyły w betonowe podłoże.

Na lotnisku pojawiły się wszystkie wynajęte samochody z wyjątkiem naszego. Zdezorientowane po długiej odprawie stałyśmy przed budynkiem terminala w palącym słońcu, a Eve wybrała numer, który nabazgrała sobie z tyłu swojego notesu, usłyszała całą serię piknięć, ale żadnego sygnału, i dopiero po kilku próbach wybierania różnych kombinacji udało się jej dodzwonić. Łamaną francuszczyzną wydukała, że nasz samochód nie przyjechał. Kobieta na drugim końcu linii coś do niej powiedziała, a twarz mojej przyjaciółki skrzywiła się z przerażenia.

- Plus lentement! - jęknęła i wcisnęła telefon mnie.

W trakcie długiej i zawilej rozmowy wyszło na jaw, że dokonując rezerwacji drogą telefoniczną, Eve udało się zamówić samochód na godzinę dwunastą w nocy, czyli o północy zamiast w południe. Midi, minuit. Westchnęłam. Eve uznała to za komiczne; tyle tylko, że jak się okazało, do wieczora nie było żadnego wolnego samochodu. Kiedy przekazywałam jej tę niezbyt miłą informację, Eve patrzyła na mnie zmartwiona i pełna skruchy.

- Hej, dziewczyny!

Srebrno - błękitny peugeot 202 zatrzymał się przed nami. Za kierownicą siedział Miles; Jez opuścił szybę w oknie i szczyrzył do nas zęby w uśmiechu.

- Jedźcie z nami! Machnęłam ręką.



- Nie, naprawdę, poradzimy sobie. Mamy samochód, tylko przyjedzie trochę później.

Trochę później... za jakieś osiem godzin.

Ale Jez już wysiadł z peugeota i z niejakim trudem upychał plecak Eve do i tak już pełnego bagażnika, zaś Eve sadowała się na tylnym siedzeniu.

- Hej! - krzyknęłam do niej. - Będzie nam potrzebny własny samochód, no wiesz, na Saharę.

Obejrzała się przez ramię.

- Zawsze możemy coś wynająć w Taфраout.

Wzruszyłam ramionami, przeprosiłam panią w firmie wynajmującej samochody i w ślad za Eve wcisnęłam się obok stosu plecaków, na tylne siedzenie.

- Może być trochę ciasnawo - odezwał się Miles niechętnie, jakby niespecjalnie cieszyła go perspektywa wleczenia nas ze sobą, ale humor niedługo mu się poprawił, kiedy jechaliśmy przez miasteczko pełne wszelkiego rodzaju środków lokomocji: autobusów, samochodów, skuterów, rowerów, wózków ciągniętych przez osiołki, przemieszczających się z różną prędkością i w najróżniejszych kierunkach, do czego dochodziły setki pieszych próbujących przejść przez ulicę w najmniej odpowiednich miejscach, a niekiedy nawet przystających i gawędzących z kierowcami i poganiaczami osłów. Byli tam mężczyźni w długich tunikach o wyrazistych, brązowych jak orzechy i pokrytych siecią zmarszczek twarzach; kobiety w czarczafach; dzieci w kolorowych dresach; dziewczyny w białych szkolnych kombinezonach bądź džinsach i kolorowych chustkach na głowie. Klaksony trąbiły nieustannie; ludzie krzyczeli, śmiali się, gwizdali; osły ryczały. Z zardzewiałego mercedesa, który przemknął niebezpiecznie blisko, wyprzedzając nas ze złej strony, dobiegała rycząca na pełny regulator muzyka: wysoki głos kobiety zawodził przenikliwie w takt dudniących bębnow.

Mijaliśmy rzędy sklepików: spożywczych i farbiarni, warsztatów samochodowych, z artykułami żelaznymi, piekarnie, sklepy z dywanami; sklepy z materacami, zrolowanymi matami, ogrodowymi meblami z białego plastiku czy oponami leżącymi na chodniku; i jeden sklep, który chyba sprzedawał pomalowane wyłącznie na niebiesko metalowe taczki. Obróciłam się, żeby pokazać to dziwo moim towarzyszom, ale wtedy po drugiej stronie drogi zobaczyłam

muła ciągnącego długi wóz, na którym leżała wypatroszona, pocięta karoseria starej dacji. Na masce, na skleconym naprędcie siedzeniu tkwił mężczyzna trzymający lejce, za nim wewnątrz samochodu majestatycznie siedziały odziane na czarno, zawoalowane kobiety. Niemal spodziewałam się, że zaraz niczym królowe pomachają oficjalnie do tłumów, odsłaniając długie białe rękawiczki.

- Patrzcie! - krzyknęłam, ale Miles nie odrywał wzroku od drogi przed sobą, starając się uniknąć zderzenia z tysiącem wyrastających przed nami przeszkód, zaś Jez i Eve pogrążeni byli w zażartej dyskusji o jakimś zespole, o którym nigdy nawet nie słyszałam. Kiedy w końcu oderwali od siebie oczy, hybrydowy pojazd i jego pasażerowie zostali daleko w tyle, a ich miejsce zajął szereg budynków municypalnych, wartownia z uzbrojonymi mężczyznami w mundurach i długie, w kolorze ochry mury fortu, który wyglądał na bardzo stary, a jednocześnie całkiem nowoczesny.

Dalej zaczynały się tereny wiejskie; ciągnące się kilometrami uprawy, gdzie rośliny hodowane były w poliestrowych tunelach i pod osłoną siatek broniących dostępu ptakom; pola krzaczków chilli, palm bananowych, oliwnych gajów, cytrynowych i pomarańczowych drzewek, palm obwieszonych ciężkimi kiściami daktyli. Krajobraz stawał się coraz bardziej otwarty, suchy i czerwony. Grupka kobiet we fioletowych, żółtych i czarnych tunikach odbijała się jaskrawo od przykurzonej pomarańczowej ziemi, na której pracowały. Opuncje, kaktusy i akacje tworzyły naturalne żywopłoty oddzielające pola, na których pasterze siedzieli w cieniu rzucanym przez samotne drzewa, pilnując stad wychudzonych owiec i czarnych kóz szukających czegoś, czym mogłyby się napaść. Upiorna strefa przejściowa, gdzie wszystko - drzewa, skały, drogi i pola - pokrywał biały pył, stanowiąca przejście z terenów nadmorskich w wyżyny. Tuż za drogowskazem do Kamieniółomów Atlas, gdzie ogromne wzgórze z białego kamienia było podbierane z dwóch stron, jakby dwa rywalizujące ze sobą olbrzymy chciały pożreć je w całości, skręciliśmy z głównej drogi i rozpoczęliśmy mozolną wspinaczkę ku niebieskim górom majaczącym mgliście na horyzoncie.

Na pierwszym albo drugim biegu peugeot wdrapywał się po wąskich i przyprawiających o zawrót głowy serpentynach. Widoki były oszałamiające, a niebezpieczeństwo wypadku tak ogromne, że w

końcu wszyscy umilkliśmy, tylko od czasu do czasu robiąc uwagi na temat przepastnego urwiska z prawej strony.

- Jak do licha można minąć się z kimś na takiej drodze? - zapytała Eve ze grozą i w tym samym momencie wielka, obładowana, chybotliwa ciężarówka, obwieszona girlandami talizmanów przynoszących szczęście i pomalowana jaskrawo w palmy i wielbłądy wyjechała zza zakrętu prosto na nas, mogliśmy więc przekonać się o tym osobiście: należało uciekać z drogi, chroniąc się w pierwszej napotkanej niszy w skalnej ścianie, albo mieć czołowe zderzenie z kimś, kto więcej wiary pokładał w łut szczęścia niż ostrożną jazdę. Chociaż siedziałam z tyłu, moja stopa odruchowo wcisnęła wyimaginowany pedał hamulca do deski.

- Huh, niewiele brakowało! - Jez odwrócił się, żeby sprawdzić, jak się mamy.

Żeby nie myśleć, czy aby na pewno dobrze czynię, oddając swoje życie w ręce Milesa, postanowiłam skorelować okolice, przez którą jechaliśmy, z mapą rejonu kupioną przeze mnie w księgarni Stanfords w Covent Garden. Mapa była wydrukowana w Maroku i w niczym nie przypominała brytyjskich map, do których byłam przyzwyczajona. Skali nie było, kolory były inne, drogi trudne do znalezienia na obrazie terenu, a niektóre berberyjskie nazwy miejsc tak egzotyczne, że nawet nie umiałam wypowiedzieć ich w myślach: Imi Mqourn, Ida Ougnidif czy Tizg Zaouine. Szybko czysta urokliwość krajobrazu i luksus podziwiania poszarpanej linii horyzontu, skorodowanych masywów, kamiennych tarasów i wyschniętych rzecznych koryt porośniętych wzdłuż migdałowcami zamiast konieczności skupienia się na drodze zaczęły mnie urzekać i uspokajać. Nie spodziewałam się, że Maroko będzie takie piękne - chociaż to piękno miało niewiele wspólnego z łagodnie falującą zielenią angielskich nizin, wpisując się raczej w surowość, dzikość i szorstkość. Pomyślałam sobie, że żyjący tu ludzie również muszą być surowi, dzicy i szorstcy, jakże bowiem inaczej zdołaliby przetrwać w takim miejscu.

Przejeżdżaliśmy przełęcz Tizi - n - Tarakatine, kiedy słońce zaczęło swoją powolną wędrówkę ku linii horyzontu; lecz kiedy pokonywaliśmy krętą drogę przez szczyt góry, powietrze było przejrzyste, a cienie ostre i w kolorze indygo. Wyjechaliśmy zza zakrętu i aż zapało mi dech. Przed nami rozciągała się majestatyczna

dolina Ameln, wijąc się aż po horyzont, z prawej strony zamknięta górującą nad nią olbrzymią ścianą góry Jebel el - Kest.

- Widzicie tamten szczyt? - krzyknął Miles przez ramię i pokazał na skalną ścianę. Podążyłam wzrokiem za kierunkiem, jaki wskazywał jego palec. Nawet na pierwszy rzut oka góra prezentowała się imponująco.

- Przez sam środek biegnie klasyczny Joe Brown 5b. Middle Ground, tak się nazywa. Prawdziwe чудо: strome, długie, niesamowita przepaść.

Uśmiechnęłam się. Jego entuzjazm był zaraźliwy, a poza tym to takie typowe dla tego trzeźwo myślącego wspinacza z Yorkshire, żeby pośród łamiącej język berberyjskiej egzotyki nadać trasie równie przyziemną, prozaiczną nazwę. Kiedy zjeżdżaliśmy do doliny, nawet Miles się rozchmurzył i zaczął pokazywać inne trasy, które zaliczyli albo mieli zamiar to zrobić: Great Flake, Old Friends, White Tower, Black Groove, Black Streak, Great Slab i Agony Arete. Przez całą drogę w dół czerwone ściany wznosiły się pionowo nad nami. Na myśl, że można się na nie wspiąć, dłonie najpierw zaczęły mnie swędzieć, potem mi się spociły. Byłam na przemian zafascynowana i zdenerwowana samym ogromem tras: niektóre miały chyba z trzysta metrów, może więcej. Nigdy nie wspinałam się na nic równie wielkiego; całe swoje doświadczenie zdobyłam na brytyjskich szczytach, w większości sześćdziesięcio-, siedemdziesięciometrowych. Wyższe, bo sięgające stu metrów, były tylko kornwalijskie granitowe ściany skąpane w łagodnym słońcu, z morzem chlupoczącym u stóp i lodami, które po skończonej wspinaczce można kupić na parkingu. Tutaj wspinaczka będzie trwać od świtu do zmierzchu w afrykańskim gorącu, na nieznaną skalę, w kraju, w którym nie ma ani ekip ratunkowych, ani łatwych dróg w dół; a już z całą pewnością nie ma co marzyć o lodach w czekającej na szczycie furgonetce. Zerknęłam na Eve, żeby zobaczyć, jak reaguje na gigantyczne skalne ściany, ale była znacznie mniej doświadczona ode mnie i nie doceniała stopnia trudności, jaki przyjdzie nam pokonać. Biorąc zaś pod uwagę właśnie ten jej brak doświadczenia, to ja będę podejmowała wszystkie decyzje, i prawdopodobnie to ja będę przeważnie szła jako pierwsza. Nagle przeraziła mnie wizja samotnej wspinaczki w takim miejscu. Co prawda lubię mieć nad wszystkim kontrolę, ale ciężar odpowiedzialności wydał mi się przytłaczający.

Może to i lepiej, że jesteśmy z tymi chłopakami: znają tutejsze skały i okolice. Może z początku powspinamy się we czwórkę, dopóki nie nabiorę wprawy.

Kiedy zjechaliśmy do doliny, nerwy wciąż miałam napięte. Jez odwrócił się do nas z uśmiechem.

- Widzicie to? - powiedział, wskazując przez okno najwyższy szczyt w paśmie. - Jutro was tam zabierzemy. Będziecie zachwycone, no nie, Miles?

Miles obejrzał się przez ramię z sardoniczną miną.

- Gratisowa usługa: wspinaczka z doświadczonym przewodnikiem. W zamian możecie nam postawić kolację.

- Jasne, ale przez cały tydzień. - Jez mrugnął do nas, a może tylko uciekło mu to trochę zezowate oko? - Świetny spacer, niesamowite widoki. Parkuje się w Assgaour i przechodzi przez ruiny starożytnej wioski, a potem kozią ścieżką na szczyt. Trzeba na to kilku godzin, chyba że się gna biegiem, jak my w zeszłym roku. Zatrzymaj się, Miles; niech dziewczynki poczują bluesa.

Miles zatrzymał samochód na nieutwardzonym zjeździe i wszyscy wysiedliśmy szczęśliwi, że możemy rozprostować nogi po trzech godzinach jazdy. Po klimatyzowanym wnętrzu samochodu powietrze było gorące i suche, przesycone piźmową, ziemistą i ostrą wonią. Zamknęłam oczy, wdychając zapach niepodobny do niczego, co kiedykolwiek czułam w Anglii. A jednak dziwnie znajomy.

- Chyba się nie boisz?

Poczułam czyjaś dłoń na ramieniu i aż podskoczyłam. Miles wpatrywał się we mnie z natężeniem. Miał bardzo niebieskie oczy, co z jakiegoś powodu wydało mi się niesamowicie dziwne: przez parę sekund patrzyłam na niego, jakbym miała przed sobą kosmitę, aż wreszcie zmieszany przeniósł wzrok na Jeza, który pokazywał Eve różne trasy.

- Wybacz, nie o to chodziło - powiedziałam. - Po prostu zamysliłam się.

- To nie byle jakie trasy, większość z nich. Trzysta metrów. W przewodniku podają, że to 5b, ale tak trudno jest tylko miejscami. Przeważnie można sobie wybierać: no wiesz, wybierasz jakiś chwyt, nie podoba ci się, to zwyczajnie rezygnujesz.

Oboje uśmiechnęliśmy się i skrępowanie minęło.

- Popatrz - powiedział. - Niesamowite, no nie? Jak z kreskówki. Niektórzy tego nie dostrzegają i muszę przyznać, że w pełnym słońcu widać lepiej. Ale jak już zauważysz, nie możesz tego n i e widzieć, kiedy popatrzysz na górę - to jak Magiczne Oko.

Popatrzyłam. Nad skupiskiem glinianych domków w odcieniach różu i terakoty wznosiła się ciemnoczerwona skalna ściana, przy której biały meczet i drzewa wydawały się malutkie. Zdawało się, że ogromne stożkowate twory skalne piętrzą się jeden na drugim, z pograżonymi w granatowym cieniu wyszczerbionymi krawędziami. Trudno było ocenić wielkość: całość wyglądała przytłaczająco. Słuchając wskazówek Milesa, odnalazłam gigantyczną krawędź biegnącą z prawej strony wzdłuż brzegu najwyższego szczytu i wznoszącą się wyżej. Chwilę trwało, zanim zrozumiałam, co Miles mi pokazuje, ale kiedy mi się to udało, nie byłam w stanie oderwać wzroku. Są! Dwa głęboko ocienione ślepia, długi nos i zakrzywiona morda: lwia głowa: ta Lwia Głowa. Coś niesamowitego, jedyne w swoim rodzaju. Serce zaczęło mi walić. Zamknęłam oczy, ale wtedy na tle lwa ujrzałam dumną twarz młodego mężczyzny, o czarnych wyrazistych oczach...

## ROZDZIAŁ 10

W Tafraout roilo się od czarnookich mężczyzn, jednak żaden nie był tym, którego „widziałam” w chwilach zadumy. Nie dało się jednak zaprzeczyć, że miejscowi Berberowie byli przystojnymi ludźmi o mocno zarysowanych kościach twarzy, przykuwających uwagę rysach i smukłej budowie ciała. Patrzyłam, jak wędrują po mieście w swoich zakurzonych tunikach, rozmawiają, palą, śmieją się ze swoich żartów, czasem trzymają za ręce.

- Ciągle to tutaj robią - powiedział Miles, pokazując na dwóch starszych panów w tunikach z kapturami i w charakterystycznych dla tego regionu żółtych skórzanych pantoflach, którzy szli, trzymając się za ręce.

- No, z początku, jak tu przyjechaliśmy, trochę się bałem - dodał Jez. - Pomyślałem, że to jakieś pedały czy coś w tym rodzaju.

Eve parsknęła śmiechem.

- Ależ jesteś zacofany. Poza tym według mnie to słodkie. Fajnie, że mężczyźni nie kryją się z uczuciami, że potrafią publicznie okazywać czułość przyjaciołom i rodzinie. Świat na pewno byłby sympatyczniejszy, gdyby wszyscy chodzili, trzymając się za ręce.

Jez spojrzał na Milesa i uniósł brew.

- Co powiesz na spacerek?

- Z miłą chęcią.

Poszli ulicą rączka w rączkę, na użytek publiczności z przesadną afektacją. Miejscowi przyglądali się, z początku zaskoczeni; zaraz jednak zaczęli się szeroko uśmiechać. Dwóch chłopców w koszulkach Manchester United, kopiących piłkę na ulicy przed kawiarnią, w której piliśmy kawę i studiowaliśmy przewodniki, ze śmiechem ruszyło za nimi, niesamowicie trafnie parodiując sposób, w jaki się poruszali.

- Nie jestem pewna, kto wygrał ten konkurs wygłupów - powiedziałam do Eve, ale cieszyłam się, że nikt nie poczuł się obrażony popisami Jeza i Milesa.

Miasto mile mnie zaskoczyło. Nie wiem, czego oczekiwałam od miejsca, w którym planowałyśmy się zatrzymać, ponieważ na zdjęciach widziałam tylko okolicę i skały. Może spodziewałam się ujrzeć gliniane chaty podobne do tych pod Lwią Głową, staroświeckie, jak nie z tego świata. Większość z tego, co zobaczyliśmy w Tafraout, była nowoczesna: wzdłuż głównej ulicy

ciągnęły się niskie budynki, na których parterze mieściły się sklepiki czy kawiarnie, były też trzy meczety i hotel na wzgórzu, zbudowany w stylu zabudowań kasba. Przyjechaliśmy akurat w czasie, kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, i nie widzieliśmy zbyt wielu kobiet.

- Pewnie siedzą w domach i gotują dla swoich mężczyzn, jak wszystkie dobre żony - powiedziała Eve, ja jednak nie byłam taka pewna.

Te nieliczne kobiety, które do tej pory udało mi się zobaczyć, pracowały w polu albo właśnie z niego wracały, od stóp do głów zakutane w tradycyjne dla tego obszaru czarne stroje, tak udrapowane, by kunsztownie haftowane rąbki były jak najlepiej widoczne. Na nogach miały czerwone skórzane pantofle i dreptały, uginając się pod ciężarem zieleniny, zapewne paszy dla zwierząt. Utrzymanie zwierząt w tym rejonie musiało być bardzo trudne i pracochłonne. Jedynymi roślinami, jakie widziałam po drodze z doliny, były kaktusy, palmy w wyschłych korytarzach rzek i jakieś drzewa o powykręcanych gałęziach, których nie rozpoznałam, a które znaczyły pomarańczowoczerwony krajobraz w tak regularnych odstępach, że bez trudu wyobraziłam sobie, jak pod powierzchnią ziemi skomplikowany system korzeni pełzających we wszystkich kierunkach w rozpaczliwym poszukiwaniu wody precyzyjnie wyznacza terytorium każdego z nich. Gdyż mimo wszystkich oznak nowoczesności - aptek, samochodów i anten satelitarnych - był to rejon na pograniczu pustyni, skalisty, suchy i zakurzony; życie tutaj musiało być ciężkie. W przewodniku wyczytałam, że większość miejscowych mężczyzn niemal cały rok pracowała z dala od domu, w miastach całego Maroka, dzięki swemu berberyjskiemu sprytowi, determinacji i silnemu poszanowaniu pracy prowadząc świetnie prosperujące niewielkie biznesy w Casablance i Marrakeszu i posyłając pieniądze na utrzymanie swoim rodzinom. Mówi się, że dominujący nad doliną lew strzeże ich kobiet, dzieci i starców, podczas gdy oni przebywają daleko. Rzeczywiście, jak zauważyłam, prawie wszyscy napotkani przez nas mężczyźni byli albo starcami, albo młodymi chłopcami. W takim środowisku kobiety muszą być naprawdę silne i samowystarczalne.

Patrzyłam, jak dwie z nich szły drogą, wspólnie taszcząc wielki kosz z warzywami. Zatrzymały się, by przywitać się z mężczyznami stojącymi przed piekarnią; jeden młodzieniec ujął dłoń starszej



kobiety i pocałował ją, następnie swoją ręką dotknął serca. Był to gest pamiętający jeszcze czternasty wiek, przejaw starodawnej rycerskości. Widząc to, uśmiechnęłam się szeroko i wciąż się uśmiechałam, kiedy niewiasty szły w naszym kierunku, pogrążone w rozmowie. Gdy się zbliżyły, starsza umilkła, jakby czując na sobie moje spojrzenie, po czym wolną ręką szybko uniosła chustę, zasłaniając dolną połowę twarzy, a jej towarzyszka błyskawicznie uczyniła podobnie. Przyspieszyły kroku i minęły nas z odwróconymi głowami. Sprawilo mi to dziwny zawód i poczułam się naznaczona jako turystka, obca w ich świecie. Co oczywiście było zgodne z prawdą.

Mężczyźni wyraźnie lepiej sobie radzili w nawiązywaniu międzykulturowych więzi. Nieco dalej na ulicy Jez i Miles wraz z przedrzeźniającymi ich chłopcami zaczęli kopać piłkę, a niektórzy ze starszych mężczyzn przyłączyli się do zabawy, pokrzykując, śmiejąc się, biegając i kiwając z tak radosnym entuzjazmem, jaki rzadko się widuje, chyba że u dzieci.

- Ach - powiedziała Eve. - Piłka nożna: język uniwersalny.

Siedziałyśmy, popijając kawę i patrząc sobie, jak kręci się świat. Po drugiej stronie ulicy dwa koty - prądkowane, podobne do tygrysów zwierzaki o bystrych żółtych ślepiach i długich łapach - leżały w cieniu markizy przed zakładem golibrody i robiły to samo. Jakiś metr dalej zdziczała suka leżała na boku, a trzy szczeniaki ją ssały. Wychodzący ze sklepu ludzie przekraczali je ostrożnie, chociaż na pewno gdzieś kiedyś czytałam, że muzułmanie nie znoszą psów, mając je za nieczyste. Nikt tu nikomu nie przeszkadzał, każdy robił, na co akurat miał ochotę: czułam, jak z każdą chwilą odprężam się coraz bardziej, a mała Isabelle we mnie, ciasno skulona, rozluźnia się po kawałeczku.

Wieczorem poszliśmy do restauracji, którą Miles odkrył w czasie swojej pierwszej wizyty, i okazało się, że poza nami postanowili z niej skorzystać członkowie jeszcze co najmniej trzech grup wspinaczy. Niektórzy zdążyli zahaczyć o hotelowy bar, jako że był jedynym miejscem w mieście mającym licencję na sprzedaż alkoholu i parę osób lekko się już zaprawiło. Ze śmiechem i pokrzykiwaniami wędrowaliśmy w ciemnościach wąską uliczką, wzdłuż której wznosiły się stare gliniane domki. Drzwi do restauracji były oświetlone ozdobną latarnią i porośnięte hibiskusem i bugenwillą. Na zewnętrznej ścianie widniało wymalowane jaskrawymi kolorami wielkie,

uśmiechnięte słońce, idealny symbol miasta i jego podejścia do życia. Miles zapukał do drzwi i już po chwili otworzył je wysoki mężczyzna w błękitnej berberyjskiej tunice i czerwonym turbanie. Gdy taksował nas wzrokiem, oczy mu błysnęły - kilkunastu wspinaczy z Zachodu, w niechlujnych dżinsach i bluzach z polaru, zionących piwem, kobiety z bezwstydnie odsłoniętymi głowami - i zastanawiałam się, co też sobie o nas pomyślał, głośnych, brudnych, rozbestwionych: sami niewierni; on jednak przygarnął Jeza i Milea serdecznym uściskiem, którym jakby objął nas wszystkich i zagarnął całą grupę do środka.

- Mój dom waszym domem! - odezwał się po angielsku z silnym akcentem, a my posłusznie zdjęliśmy buty i usiedliśmy na wskazanych przez niego miejscach, na taboretach i wykładanych poduszkami ławach wokół niskich okrągłych stolików. Przy blasku świec odbijającym się migotliwie od rzeźbionych sztukaterii i kolorowych brokatów delectowaliśmy się smakowitą soczewicą i podplomykami, wyśmienitym jagnięcym tajine ze śliwkami i migdałami, wonnym kuskusem z kurczakiem i kolorowymi warzywami, przyprawionym czerwonym sosem, którego smak tak nas zachwycał, że natychmiast zaczęliśmy błagać o przepis.

Restaurator postukał się w nos.

- To rodzinny sekret - powiedział. - Zawiera mieszaninę ponad dwudziestu różnych przypraw. Gdybym wam powiedział, jak się go robi, nie miałibyście powodu, żeby tu wrócić. Nie byłoby magii. A tajemnica jest bardzo ważna w życiu, nie?

Co rzekłszy, zebrał nasze puste talerze i szumiąc swoją błękitną szatą, zniknął w kuchni.

Z uniesionymi brwiami zerknęliśmy z Eve na siebie.

- On jest całkiem, całkiem, nie sądzisz?

- Rzeczywiście, bardzo interesujący - przytaknęłam zamyślona.

W ludziach, których zdążyliśmy przez te kilka godzin spotkać, była jakaś niezależność, pewność siebie i swoboda pociągająca dla kogoś, kto przywykł do zadziornego wywyższania się facetów z Londynu, wiecznej rywalizacji mającej maskować głęboki brak poczucia bezpieczeństwa i nieufności wobec innych.

- Nie interesujcie się zbytnio - powiedział Jez, przyglądając się z rozbawieniem, jak wyciągamy szyje, usiłując zajrzeć do kuchni. - Ktoś już was uprzedził. W zeszłym roku poznaliśmy jego żonę.

Rozmowa niechybnie zesłała na wspinaczkę i plany na następny dzień. Stanowiliśmy bardzo mieszaną grupę - pod względem wieku, umiejętności, ambicji. Trzy kobiety, jedna z nich siwowłosa i po pięćdziesiątce, dwie (Jess i Helen) młodsze i demonstrujące zdecydowanie za dużo golizny, oraz - oprócz Jeza i Milesa - pięciu mężczyzn: dwóch w średnim wieku i trzech młodych narwańców przechwalających się, jakie to nowe trasy tym razem zaliczą.

- Hektary niezdojanych skał - mówił blondas - dziesiątki tras do zrobienia.

Brzmiało to, jakby był przednią strażą zwycięskiej armii, lada moment mającą zniewolić dziewice zdobytego miasta.

Helen nachyliła się przez stół i zatrzepotała rękami do Jeza.

- Z tego co słyszę, może tu być trochę ciężko. Mam na myśli wspinaczkę. Tak sobie pomyślałyśmy z Jess, że może ty i Miles moglibyście wziąć nas jutro ze sobą, zabawić się w naszych przewodników. Pomóc nam trochę na ścianie?

Przyznała, że nigdy wcześniej nie wspinały się w naturalnych warunkach.

Na twarzy Milesa odmalowało się istne przerażenie, Jez jednak wykazał się większą delikatnością.

- Wybaczcie, dziewczyny, bardzo byśmy chcieli, ale jutro zabieramy ze sobą Eve i Iz. Spróbujcie bulderki na granitowej ścianie. Jest tam nawet kilka tras ze spitami, w sam raz dla was - technicznie trudne, ale nie niebezpieczne.

Helen posłała mi spojrzenie przesycone czystą babską zawiścią, wściekłe i zawzięte. Wzruszyłam lekko ramionami - mnie to nie rusza, złotko - ale Eve była absolutnie zachwycona.

- Właśnie, idziemy na Lwią Głowę - powiedziała, gestem posiadaczki kładąc rękę na udzie Jeza, a ja patrzyłam, jak on przybiera kamienny wyraz twarzy, starając się nie zdradzić zaskoczenia.

Ktoś jednak ulitował się nad dziewczynami: starszy mężczyzna w okularach, o bladej, smętnej twarzy, który był z żoną - kobietą ze ściętymi krótko siwymi włosami - i szwagrem.

- Jutro wspinamy się tuż nad Oumsnat - zwrócił się do Helen. - Jest tam pojedyncza ścianka z mnóstwem tras dla początkujących. Możecie wybrać się z nami.

Widziałam, że Helen nie zamierza poddać się bez walki, szczęśliwie jednak rozmowę przerwał właściciel restauracji. Pojawił

się z wielką tacą, na której stał srebrny imbryk i kilkanaście szklanek. Za nim podążała blondynka w marokańskiej tunice i džinsach, która uśmiechnęła się rozbawiona naszym zaskoczeniem na widok wyłaniającej się z berberyjskiej kuchni Europejki, a nie jednej z wszechobecnych zakutanych w czerń kobiet. Restaurator zaczął podawać herbatę, z werwą nalewając ją z trzymanego absurdalnie wysoko czajnika. Płyn tworzył gęstą pianę, trafiając do małych zdobnych szklaneczek, które kobieta nam podawała wraz z kunsztownie udekorowanymi maleńkimi migdałowymi herbatniczkami. Kiedy doszła do mnie, znieruchomiała i nachyliła się.

- Jaki piękny. Kupiła go pani tutaj?

Zapomniałam, że noszę na szyi amulet; wspinacze zbyt byli zajęci swoją pasją, by zwrócić na niego uwagę. Musnęłam go palcami i nagle poczułam, że jest ciepły w dotyku, jakby przejął temperaturę od świec i jedzenia i zgromadził ją w czerwonych szklanych płytkach.

- Ach, nie. To był... prezent.

- Coś pani o nim wie?

- Co nieco - odparłam ostrożnie.

- Dla mnie wygląda jak Moack. - Jez wyszczerzył zęby w uśmiechu. - No nie, Miles?

Miles skrzywił się, wykazując kompletny brak zainteresowania.

- Kto się dzisiaj wspina z Moackami? Cholerna starość.

- Tato podarował mi swój: najlepsza pętla, jaką miałem - powiedział Jez wesoło.

Żona restauratora uśmiechnęła się.

- Wątpię, żeby to zrobili w Sheffield - powiedziała, sprytnie rozpoznając jego akcent. - Wygląda raczej, jakby pochodził z pustyni albo przynajmniej powstał na wzór ozdób robionych przez plemiona z pustyni. Tafraout leży na starożytnym szlaku handlowym prowadzącym z Sahary w stronę Taroudant i na wybrzeże. W wyrabianej tu biżuterii widać bardzo silne wpływy z południa.

- Z pustyni? Jest pani pewna? Roześmiała się.

- Przepraszam, ale nie, nie do końca. Żaden ze mnie ekspert. Ale powinna pani popytać. Mhamid ma podobne naszyjniki na swoim straganie na suku. Houcine też. Może pani ich zapytać, jeśli chce pani dowiedzieć się czegoś więcej o naszyjniku.

Jej mąż pojawił się koło nas i wbił we mnie swoje błyszczące czarne oczy.

- To z Taibem powinna pani porozmawiać. Moim kuzynem. Jest ekspertem od antyków, ma biznes w Paryżu - Parii - ale teraz jest w Tafraout, na vacances. Mogę was umówić, jeśli pani chce.

- Nie, nie, dziękuję; to bardzo miłe z waszej strony, ale nie - powiedziałam zakłopotana, a on wzruszył ramionami i wrócił do nalewania herbaty.

Czułam, że inni na mnie patrzą, czułam na sobie ciężar ich spojrzeń, który mnie przygniatał; sprawiał, że naszyjnik ważył tonę. Szybko przełknęłam, zamknęłam oczy. Panika wzbierała we mnie czarną falą, gorsza od wszystkiego, co kiedykolwiek przeżyłam podczas wspinania się; gorsza niż wtedy, kiedy byłam na Bubble Memory, zagubiona na zwietrzałym piaskowcu, pośród kruszących się szczelin, a moja jedyna dobra pętla asekuracyjna wyśliznęła się. Zrobiło mi się najpierw gorąco, potem zimno, a serce waliło mi i waliło. Do gardła podeszła mi żółć. Przełknęłam ją i zmusiłam się, by oddychać miarowo. Wracaj do pudełka, wściekle rozkazałam panice. Wracaj na miejsce w tyle głowy, gdzie upychałam to wszystko, co nie miało prawa się wydostać. Ścisnęłam amulet w dłoni i czułam, jak pulsuje w rytm mojego tętna, coraz wolniej i wolniej. Kiedy otworzyłam oczy, ujrzałam, że tak naprawdę nikt na mnie nie patrzy, nawet Eve. A zwłaszcza nie ona; spijała każde słowo z ust Jeza, całym ciałem nachylona ku niemu, z rozchylonymi wargami i wzrokiem tak rozgorączkowanym, że aż musiałam się odwrócić. Zupełnie jakbym zaskoczyła ich nagich i spoconych. Czułam się dziwnie zawstydzona i przestraszona, jak gdybym w jakiś sposób była za nią odpowiedzialna. Schowałam amulet pod bluzę i z trudem zmusiłam się, by na powrót skupić się na toczącej się wokół mnie rozmowie.

W nocy spałam kiepsko, co chwila budząc się na dźwięk żalostnego wycia zdziczałych psów i poprzedzającym świt wezwaniu do modlitwy. Leżałam w swoim wąskim, jednoosobowym łóżku i słuchałam miarowego oddechu Eve śpiącej po drugiej stronie pokoju. Strzępki snów przelatowały mi przed oczami, męcząco czając się na skraju świadomości, choćbym jednak nie wiedzieć jak się starała, umykały mi, pozostawiając mnie w poczuciu nieokreślonego lęku, jak gdyby coś strasznego wydarzyło się bardzo blisko mnie, coś, od czego będzie zależał mój los: jakieś ostrzeżenie, a może przeczucie.

## ROZDZIAŁ 11

Mariata siedziała w kucki w szałasie z palmowych gałęzi oddalonym nieco od wioski i przyglądała się, jak zręczne ręce enad obrabiają kawałek żelaza nad płomieniem rozżarzoną do białości. Młot wznosił się i opadał w rytmie, który prawie ją uspił. Było niemal coś pierwotnego w procesie, który tak ją zafascynował; zafascynował, ale prawdę mówiąc również odstręczał, co w znacznej mierze odpowiadało uczuciom, jakie żywiła wobec enad. Chociaż w swoim nowym domu spędziła już wiele tygodni i w zasadzie codziennie chodziła do kuźni, żeby przyglądać się, jak pracuje enad, Mariata wciąż nie wiedziała, co ma myśleć o Tanie, jej wielkich dłoniach i drobnych, choć bez wątplenia kobiecych piersiach, jej luźnym turbanie i męskim ubiorze. Dla kobiety obrabianie żelaza nad otwartym ogniem było tabu, ale takim samym tabu było, by kobieta się temu przyglądała; Tana jednak nie była zwyczajną kobietą, podobnie jak Mariata, a coś w osobie enad i jej rzemiośle przemawiało do niej. Czy znajdowała podobieństwo w tworzeniu poezji i sposobie, w jaki Tana nadawała kształt żelazu i srebru, bez ustanku waląc w nie młotkiem i mierząc krytycznym wzrokiem, krzykiem reagując na wszelkie niedoskonałości i atakując metal pełnymi złości szturchnięciami i delikatnymi uderzeniami, póki nie stał się uległy jej woli? A może chodziło o to, że po długich godzinach spędzonych przy Amastanie budziła się w niej potrzeba znalezienia kogoś, kto porozumiewał się z duchami i był w stanie pojąć, jak wyczerpujące i trudne to było. A może chodziło o to, że wierzyła, iż enad może uwolnić więzione w ogniu duchy. Nie ulegało wątpliwości, że kawałek, nad którym pracowała w tej chwili Tana, był znacznie bardziej krnąbrny niż zazwyczaj. Kobieta kowal złapała przedmiot swymi delikatnymi szczypcami i przyglądała mu się krytycznie, a nieprzeniknione rysy jej twarzy połyskiwały w przerażającej czerwonej poświacie rzucanej przez płomienie. Był to klucz wielkości dłoni, wzdłuż całej powierzchni i pokarbowany: skończony będzie pasował do misternie wykonanego zamka, który Tana zrobiła dzień wcześniej i który będzie zamontowany do wielkiego drewnianego kufra mającego pomieścić wszystkie skarby wodza. Kobieta kowal uniosła klucz do oczu i zerknęła na Mariatę przez znajdujący się na jednym jego końcu okrągły otwór, który miał przedstawiać świat.

Drugi koniec klucza miał kształt półksiężyca symbolizującego bezkresne niebo.

- Powiedział już coś do ciebie?

Mariata poczuła, że się rumieni. Spuściła wzrok na monetę, którą się bawiła, a którą wzięła ze stosu srebrnych przedmiotów przygotowanych do przetopienia na biżuterię dla kolejnego kupca.

- Dzisiaj rano, kiedy przyniosłam mu owsiankę, odezwał się. - Nie dodała jednak, że poza tymi pierwszymi słowami, skierowanymi bezpośrednio do niej (nie można bowiem brać pod uwagę wszystkich tych nieumyślnych wybuchów gniewu bądź strachu, zdających się mieć swoje źródło gdzieś w głębi jego mrocznych wspomnień, a wywoływanych jakimś fragmentem ułożonego przez nią wiersza lub gestem, wybuchów, które czasem ją przerażały i sprawiały, że uciekała), dotknął też delikatnie wierzchu jej dłoni, a jej zdało się wtedy, jakby poraziła ją błyskawica i dotarła do najtajniejszych głębi jej jestestwa.

Twarz Tany wciąż nie zdradzała żadnych uczuć.

- Jesteś pewna, że to przemówił Amastan, a nie zamieszkujące go duchy?

Mariata odwróciła monetę i rozwścieczona skupiła się na niej. Dopiero kiedy wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, dostrzegła, że patrzy nie na plątaninę przypadkowych kresek i żłobień, lecz rysunek, wyobrażenie rzeczy należących do żyjącego świata, a nie martwego metalu. Wzory zdobiące dywany i szale to zupełnie co innego: tkaniny były zrobione z żywych rzeczy, z wełny owiec i wielbłądów albo z krzewów bawełny rosnących nad rzekami. Ale we wzorach na metalu było coś złego. Obróciła monetę, wyprostowała ją, obróciła znowu. Z jednej strony widniało coś przypominającego złowieszczy ptaka o dwóch głowach i rozpostartych skrzydłach, których lotki wyglądały jak palce; na odwrocie był profil raczej otyłej osoby o nieokreślonej płci, a wokół jej głowy, wzdłuż krawędzi monety znajdowały się dziwne symbole.

- Kto to jest? - zapytała, unosząc monetę. - To mężczyzna czy kobieta? Tana zmarszczyła brwi.

- A czy to takie ważne, żeby wiedzieć?

Mariata nigdy wcześniej nie widziała narysowanej osoby, podobnie jak żadnej innej żywej istoty, która wyglądałaby tak jak w rzeczywistości. Wyznawcy nowej religii twierdzili, że podrabianie

dzieł Allaha jest świętokradztwem i wyrazem braku szacunku: nawet symbole, którymi ozdabiali swoje wyroby tkackie, były mocno stylizowane, trójkąty oznaczały wielbłądy, romby bydło, kropkowane kółka żaby, będące symbolem płodności. Mariata nie widziała niczego ukazanego z równą starannością, tak szczegółowo, że bez trudu można było dostrzec pukle włosów czy fałdy szaty zsuwającej się z ramienia. Jeszcze dokładniej przyjrzała się monecie. Znaczkę wzdłuż jej krawędzi w niczym nie przypominały tiffinagh, ale miała przecucie, że składały się na swego rodzaju język. Nie potrafiła powiedzieć, skąd się ono brało; po prostu się domyślała.

- Być może. Byłam ciekawa. Po prostu chciałam wiedzieć. Enad uśmiechnęła się szerzej, chociaż jej oczy zachowały chłód.

- Wszyscy chcą wiedzieć. „Jest mężczyzną czy kobietą?”. To pytanie zawsze ciśnie się im na usta, brzęczy im na końcu języka jak jakaś wielce ważna pszczoła. Jak możemy się dowiedzieć? Czy mamy wpełznąć do jej namiotu i kiedy się rozdzieje, podejrzeć, jakie ma organy? Czy mamy wpaść na nią w tłumie, pomacać ją przez ubranie, udając, że tylko się przeciskamy?

Mariata była przerażona.

- Wybacz, zupełnie nie to miałam na myśli. Chciałam tylko wiedzieć, czemu ta osoba jest na monecie i kim może być.

- To talar, a kobieta nazywała się Maria Teresa. Była wielką królową. Monetę wybito podczas jej panowania w osiemnastym wieku, według tego, jak chrześcijanie liczą swoje lata.

- Nigdy o niej nie słyszałam.

Tana roześmiała się, a jej ciężkie srebrne kolczyki zakołysały się, odbijając migotliwie światło.

- Ach, więc dziecię z rodu Tin Hinan wierzy, że jest tylko jedna wielka królowa, tak? Mam dla ciebie nowinę, Mariato z Hoggaru: na świecie jest wiele królowych i wiele krain poza tymi, które znasz. To była królowa, a nawet więcej niż królowa - była cesarzową. Cesarzową Świętego Cesarstwa Rzymskiego, królową Węgier, Rumunii, Chorwacji, Sławonii, arcyksiężną Austrii, księżną Parmy i Piacenzy, wielką księżną Toskanii, matką Marii Antoniny, królewskiej małżonki króla Francji Ludwika XVI, której głowę ścięli jej własni poddani.

Mariata nie słyszała o żadnym z tych miejsc poza Francją; ich obco brzmiące nazwy spłynęły po niej i nie poruszyły jej w



najmniejszym stopniu, ale ostatni szczegół sprawił, że przerażona wpatrywała się w Tana.

- Na gilotynie: ogromny ostry nóż z wielką szybkością opadł na linach.

Tana uderzyła kantem jednej dłoni o drugą tak gwałtownie, że Mariata aż podskoczyła.

- Ale przecież kiedy w chwili śmierci głowa zostanie oddzielona od reszty ciała, dusza będzie się wiecznie błąkać. Kel Asuf ją pojma i stanie się jednym z nich, jednym z Ludu Pustyni.

Nie było na świecie gorszej rzeczy. Wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Że też coś równie okropnego mogło przytrafić się kobiecie, która także była córką wielkiej królowej. Niemal poczuła na swojej szyi dotyk chłodnego ostrza...

- To byli okrutni ludzie. - Tana przechyliła głowę na bok, zastanawiając się nad tym. - Świat pełen jest okrutnych ludzi, dzięki którym Kel Asuf są bardzo zadowoleni.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Myślisz, że spędziłam tu całe swoje życie? Podróżowałam, i to dalej, niż mogłabyś sobie wyobrazić.

- Sądziłam, że tu jest twój dom.

- Inadan zawsze podróżowali. Roznosimy wieści, jesteśmy posłańcami Kel Tamaszek, poza tym kowalami i twórcami. Przechowujemy wiedzę plemion i wiemy rzeczy, o których nikt nie chce nawet myśleć.

Mariata nie wiedziała, jak ma rozumieć to końcowe oświadczenie, wobec tego zwróciła się z pytaniem.

- To znaczy, że podróżowałaś też solnym szlakiem?

Tana wzięła swój pilnik i przesunęła nim po szorstkiej krawędzi klucza.

- Dosłownie i w przenośni. - Wykrzywiła usta w kwaśnym uśmiechu. - Mój ojciec był wędrownym kowalem, który często towarzyszył karawanom; matka niewolnicą z jego plemienia. Z początku traktowali mnie jak chłopca. Może nawet nie znali mojego sekretu: matka zawsze mnie zakrywała i nazywała swoim synem. Kto by wątpił w słowa matki? Od ojca nauczyłam się fachu i podróżowałam z nim. Z azalay przebyłam El Djouf, przewoziłam sól z Tawdenni do Adagh i Air, nawet do twoich rodzinnych stron, Hoggaru. A potem zaczęły mi się miesiączki i urosły mi piersi.

Mariata pochyliła się ku niej, teraz już zafascynowana. - I co zrobiłaś?

- Na początku wpychałam sobie między nogi gałgany i załatwiałam się na osobności. Nikomu nie pozwoliłam oglądać swojego ciała. To nie było trudne: na pustyni nikt się nie myje ani nie rozbiera. Ale potem zakochałam się w jednym takim z karawany.

- Powiedziałaś mu? Pilnik szurał i szurał.

- Co, że go kocham? Albo że nie byłam „jak inni mężczyźni”? - Umilkła. - Ani jak kobiety, jeśli już o tym mowa. Nie, nie powiedziałam mu żadnej z tych rzeczy, ale wpatrywałam się w niego takimi maślanymi oczami, że w nocy zaczął mnie unikać. Przez całą tę długą podróż, chociaż słońce paliło mnie jak ogniem i brakowało wody, myślałam, że umrę nie z gorąca czy pragnienia, ale z miłości. Za każdym razem kiedy na niego patrzyłam, a on odwracał wzrok, czułam się, jakby ktoś wbijał mi sztylet w serce. Kiedy śmiał się z innymi mężczyznami, ale milkł, gdy przechodziłam obok, łkałam w duszy. Kiedy przyjechaliśmy do jego wioski, a on oświadczył, że ożeni się ze swoją kuzynką, poszłam na pustynię, padłam na ziemię i błagałam Allaha, by zesłał mi śmierć. Baghi n'mout, powiedziałam, jestem gotowa: moja godzina nadeszła. Ale nie zabrał mnie do siebie i oto jestem tutaj, na swój sposób szczęśliwa. Zaakceptowałam swoje miejsce na świecie, tak samo jak to, że nigdy nie zostanę ani mężem, ani żoną. Lecz musisz wiedzieć, że rozumiem, czym jest miłość do mężczyzny.

Mariata poczuła się jak jeden z tych kawałków kolorowego szkła, którymi kobieta kowal ozdabiała swoje dzieła: przezroczysta pod jej sokolim okiem. Serce zaczęło walić jej bardzo szybko; wyczuwała swój puls bijący o monetę, którą zaciskała w dłoni.

Tana odłożyła klucz i pilnik.

- Taka gwałtowna miłość nigdy nie jest dobra, moje dziecko. Otacza cię pustynia; po co wpuszczać ją do środka?

- On potrzebuje kogoś, kto by go kochał - powiedziała Mariata, nie patrząc na nią.

- Jego matka kocha go wystarczająco za wszystkich innych - odrzekła Tana chłodno.

- Przebyła Tamesnę, żeby mnie odnaleźć, ponieważ wierzyła, że mogę mu pomóc. Muszę sprawić, że ozdrowieje. Muszę! I tak się stanie, ja to wiem.

- Jesteś bardzo młoda, a młodzi nigdy nie słuchają starszych, zwłaszcza w sprawach serca. - Tana potrząsnęła głową. - Usłyszysz niejedną plotkę, tego jestem pewna. Cóż, nie jestem wielką zwolenniczką plotek: Bóg jeden wie, że w moim długim życiu zbyt wiele ich dotyczyło mnie osobiście; ale muszę to powiedzieć, moje dziecko: strzeż się Amastana. Niesie ze sobą woń śmierci. Nie pachnie jak szczęśliwy mężczyzna ani jak ktoś, kto sprowadza szczęście na tych, co są blisko niego.

Włoski na karku Mariaty stanęły dęba.

- Musisz zapytać samą siebie, czemu duchy za nim podążają - mówiła dalej enad. - Czy ścigają go za te wszystkie życia, które odebrał, czy za te, które dopiero ma odebrać?

Mariata wpatrywała się w nią przerażona. Nie wierzyła, że Amastan może być mordercą - nie mogła.

- Jest w mocy duchów, to prawda: nawiedzają jego sny. Ale to nie jego wina - powiedziała z uporem. - Przyciąga je ta rzecz, którą ściska w swojej prawej dłoni.

- Widziałaś, co to jest?

- Amulet. I jest na nim zaschnięta krew.

Enad syknęła cicho, a może to tylko ożywił się jakiś płomyk w jej palenisku.

- Kiedy zjawił się tu na początku, bardzo przypominał swojego ojca - odezwała się po chwili. - Język miał jadowity jak u żmii i mnóstwo było w nim złości. Czasem trudno wyzwolić się spod pierwszego wrażenia, jakie ktoś na nas zrobił. - Wstała i przeszła przez kuźnię. - Ale powinnam była mu pomóc, kiedy przyszedł do mnie z amuletem. Wszystkie nasze czyny mają swoje konsekwencje; czasem wracają, żeby nas prześladować.

Z prostego skórzanego pudełka Tana wyjęła niewielki woreczek na czarnym sznurku i powiesiła go Mariacie na szyi. Wydzielał niemiłą piżmową woń, a kiedy Mariata pochyliła głowę, żeby mu się przyjrzeć, była pewna, że pośród innych, trudniejszych do rozpoznania rzeczy, dostrzega kurzą łapę.

- Gris - gris będzie cię chronić przed tym, z czym będziesz musiała się zmierzyć - oznajmiła Tana. - Ale ufam, że nigdy nikomu nie powiesz o tym, co ja tu dzisiaj robiłam. Wystarczająco ciężko jest być enad, nie będąc tak do końca mężczyzną, i nie chcę, żeby moja reputację obciążały jeszcze oskarżenia o czary.

Oczy Mariaty zrobiły się okrągłe.

- Jesteś czarownicą?

- W zasadzie nie, moje dziecko, nie. Przepowiadam przyszłość; od czasu do czasu rozmawiam z duchami. Ale są w tym plemieniu tacy, którzy chętnie znaleźliby powód, żeby mnie przegnać, chociaż jestem tylko słabą istotą.

Wysoka kobieta kowal nie wydawała się Mariacie kimś słabym - wręcz przeciwnie, z tymi mocno umięśnionymi ramionami, wielkimi dłońmi i ponadprzeciętnym wzrostem, jak również płonącymi złotobrazowymi oczami, tak jasnymi w porównaniu z ciemną, antracytową skórą.

- Chodź, odwiedzimy twojego Amastana i zobaczymy, co możemy zrobić.

Widząc, że nadchodzi, Amastan poprawił turban i usiadł, opierając się o ścianę swego szałasu. Mariata pomyślała, że wygląda jak pies, który boi się bicia. Kiedy się zbliżały, wpatrywał się w twarz Tany, nawet na chwilę nie odrywając od niej wzroku.

- Amastanie ag Moussa. Pora oddać amulet.

To mówiąc, kobieta kowal podeszła wprost do niego z wyciągniętą, otwartą, skierowaną ku górze dłonią.

Amastan tak wytrzeszczył oczy, że wokół jego ciemnych źrenic dostrzec można było białko. Następnie przycisnął prawą rękę do piersi, lewą zaś szczelnie zasłaniał turbanem twarz, jakby był tarczą mogącą ochronić go przed enad. Przez kilka chwil trwali tak bez ruchu. Potem Tana zaczęła recytować w języku, którego Mariata nie rozumiała, chociaż słyszała wciąż powtarzane imię Amastana, pojawiające się wśród śpiewnych, obco brzmiących słów. Spod tuniki dobyła kawałek srebra zawieszony na długim sznurku i zaczęła kołysać nim przed Amastanem. Mariata widziała, jak jego oczy podążają za nim, niezdolne uwolnić się od kołyszących ruchów wisiora.

Trwało to tak długo, że Mariacie zaczęło kręcić się w głowie. Potem usłyszała, że Tana przerwała swą melodyjną recytację i przemówiła bardzo wyraźnie.

- To ten amulet trzyma cię w swojej władzy, Amastanie ag Moussa. Musisz go tylko oddać. Trzeba uwolnić duchy, które w nim zamieszkują: to okrutne, że tak je tam więzisz. Nie poproszę, byś zwrócił amulet mnie; wiem, że mnie się lękasz, tak jak duchy, których

strzeżesz. Ale może oddasz go tej, której serce stoi dla ciebie otworem. - I skinęła na Mariatę, by ta się zbliżyła. - Oddaj amulet, Amastanie ag Moussa. Pozwól, by Mariata ult Yemma, córka rodu Tin Hinan, wzięła go od ciebie. Zrób to teraz.

Przez kilka uderzeń serca powietrze między nimi wisiało ciężkie i nieruchome. Potem, niczym pogrążony we śnie człowiek, Amastan rozwarł palce prawej dłoni i wyciągnął przed siebie talizman.

Ani na chwilę nie przestając kołysać wisiosem i nie odrywając wzroku od Amastana, Tana przemówiła cicho.

- Weź go, Mariato. Weź go od niego, szybko, już. Jesteś chroniona przed duchami, zaufaj mi, ale tylko ty możesz to zrobić. Łączy was więź zaufania.

Mariata zawahała się. A jeśli duchy wyskoczą z amuletu i ją pochłoną? Czy będą ją prześladować do końca życia? Czy oszaleje, zostanie wyrzutkiem, skazana na życie poza społecznością, wygnana do nędznego szałas, jak ten tutaj, niczym chory pies? Odegnęła te myśli i wbrew wszystkim jej dziwactwom wierzyła enad, kiedy ta twierdziła, że to prawda. Uklękła przed nim na jedno kolano i szybko wzięła do ręki amulet zawieszony na długim sznurku ozdobionym czarnymi koralikami. Przez chwilę czuła w dłoni pulsowanie, jakby przesyłał swą moc od Amastana do niej; po chwili więź została zerwana.

Urzeczony wzrok Amastana oderwał się od wisiora enad i przeniósł na Mariatę. Mariata widziała, jak mężczyzna marszczy brwi i spogląda na pustą dłoń, gdzie wciąż jeszcze widniał głęboko odcisnięty ślad amuletu. Zmarszczka się pogłębiła. Po chwili uniósł głowę i wbił spojrzenie w Mariatę. Opuszczając głowę tak, by Mariata zasłoniła Tanie widok, oderwał lewą rękę od twarzy, pozwalając turbanowi opaść. Mariata patrzyła oniemiała. Po raz drugi w życiu widziała odsłoniętą twarz dorosłego mężczyzny, lecz gest Amastana wyrażał bezbronność, dar dla niej, coś zupełnie odmiennego od aroganckiej pogardy Rhossiego dla przyzwoitości. Nie przypominał też zbytnio swego kuzyna: kościec miał delikatniejszy, a policzki ponad niechlujną brodą zabarwione były na ciemny błękit. Oto patrzyła na mężczyznę, który podróżował po świecie i smagany pustynnymi wiatrami chronił się przed nimi, osłaniając twarz turbanem, którego barwnik indygo przeniknął w jego skórę. Potem schylił głowę, przesunął dłonią po twarzy, wyczuwając nieznaną

szorstkość pokrywającego ją zarostu, i wolno, z namysłem, owinał ją turbanem.

- Czy możecie poprosić moją matkę, aby przyniosła mi przybory do golenia i miskę z wodą, żebym mógł zobaczyć, kim teraz jestem? - zapytał po chwili. - Zapewnijcie ją, że nie poderżnę sobie gardła nożem.

\*

Od tego dnia Amastan powrócił do plemienia, chociaż głównie trzymał się na uboczu i rzadko rozmawiał z innymi mężczyznami. Ludzie raczej starali się go unikać, zerkając na niego z ukosa, gdy myśleli, że nie patrzy. Matka traktowała go jak wracającego do zdrowia inwalidę, przynosząc mu specjalne przysmaki i oddając własne mięso. Była bardzo zadowolona z Mariaty i uważała, że syn na powrót stał się sobą dzięki niej. Z początku Mariata nie wiedziała, jak ma reagować; nie mogła powiedzieć Rahmie, co zrobiła enad, ponieważ sama nie do końca to rozumiała. Tana zastosowała jakieś dziwne czary; duchy odeszły z własnej woli; pozbycie się amuletu rzeczywiście pozwoliło Amastanowi odzyskać zmysły; a może z jakiegoś tylko jemu znanego powodu zakończyć długi i bolesny okres odosobnienia - każda z tych wersji mogła być prawdą. Wobec tego postanowiła uśmiechać się i powtarzać, że jest szczęśliwa, iż Amastan ozdrowiał, a ona mogła w tym pomóc.

- Musisz zostać z nami tak długo, jak zechcesz - powiedziała jej Rahma, jakby Mariata miała inny wybór. - Jesteś dla mnie jak własna córka.

- To bardzo miłe z twojej strony - odrzekła Mariata, chociaż nie mogła spojrzeć starszej kobiecie w oczy: wiedziała przecież, że wcale nie chce być traktowana jak siostra Amastana. Nosiła jego amulet, obmyty z krwi, schowany pod tuniką, na sercu.

## ROZDZIAŁ 12

Koszmarne wizje, które nawiedziły moje sny tamtej pierwszej nocy spędzonej w Tafraout, prześladowały mnie, powracając w przebłyskach, kiedy pokonywaliśmy dwugodzinną drogę przez piękny skalisty teren wiodący do stóp Lwiej Głowy. Przez kolejne dwie godziny, kiedy w dwuosobowych zespołach - ja z Milesem, Jez i Eve za nami - pokonywaliśmy wznoszącą się nad nami trzystumetrową trasę, przechodziłam każdy odcinek z większą ostrożnością, niż miałam normalnie w zwyczaju, czując, że te niepokojące sny wciąż czają się na skraju mojej świadomości. Stawiałam stopy z przesadną precyzją, ostrożnie badałam każdy chwyt, zanim zdecydowałam się na nim podciągnąć, z podręcznikową dokładnością obkładałam za każdym razem linę i sprawdzałam węzły i karabinki w uprząży z tak neurotyczną uwagą, że Miles musiał dostawać szału ze zniecierpliwienia. Było aż nadto oczywiste, że wolałby wspinać się tylko z Jezem, szybko i w alpejskim stylu. I tak miał szczęście: przynajmniej zmieniałam się z nim jako pierwsza i robiłam, co do mnie należało. Eve, najwolniejsza i najmniej doświadczona z naszej czwórki, ani razu nie szła jako pierwsza, a to znaczyło, że Jez musiał prowadzić każdy odcinek, co wymagało powolnego i uciążliwego przeciągania liny na każdym przelocie, w wyniku czego plątała się, powodując dalsze opóźnienia.

Przez ostatnie dwa odcinki Miles cmokał z niezadowolenia i kłął pod nosem, chociaż słońce było cudowne, a wspinaczka w większości niezła i bezstresowa. Kiedy jednak dotarliśmy do najniebezpieczniejszego trawersu pod ogromnym, niemożliwym do przejścia dachem, biegnącego ukośnie po niepewnej skale, której wierzchnie warstwy z powodu długotrwałego wystawienia na ciepło i zimno łuszczyły się, odchodząc cienkimi płatami, smyrgnął po nim, nie zatrzymując się nawet, żeby jako drugiej zabezpieczyć mi przejście. Rozzłoszczona wybrałam linę. Długie trawersy były tak samo niebezpieczne dla drugiego, jak dla pierwszego. Kiedy odpada się na pionowym wyciągu, kiedy linę ma się zawsze nad sobą, leci się w dół metr, w najgorszym razie dwa; ale kiedy odpada się jako drugi na trawersie, leci się od miejsca odpadnięcia do punktu, w którym prowadzący obłożył linę; a w tej chwili dla mnie oznaczało to dwadzieścia metrów. Nie mogąc się powstrzymać, spojrzałam w dół, co zwykle robiłam bez zbytniego strachu, i ujrzałam, że trawers wisi

nad przepaścią i kiedy zacznę go przechodzić, będę miała pod sobą ziejącą dziurę, co najmniej pięćdziesięciometrową. Tak mi się przynajmniej wydawało: jej ogrom był trudny do oszacowania. W dole widziałam tylko punkciki zielonych drzew na tle pomarańczowo - różowej skalistej ziemi, a pod nimi czarne plamki, będące zapewne kozami, choć z tej wysokości wyglądały jak mrówki.

Popatrzyłam przed siebie, ale Milesa już nie widziałam, bo zdążył wspiąć się na krawędź, a lina znieruchomiła. Spojrzałam w lewo. Daleko pod sobą widziałam podskakującą niebieską bandanę Jeza, który piął się w górę. Eve była dla mnie niewidzialna przez wybrzuszenie w skale. Zostałam sama. Pokusa, by poczekać, aż Jez dotrze do półki, była ogromna; w cieniu nawisającego dachu było zimno, ciemno i samotnie; nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach miejsce mogło przerażać, co dopiero kiedy miało się w perspektywie to, co ja musiałam zrobić. Lecz po paru minutach lina podskoczyła trzy razy: sygnał, że Miles dotarł do bezpiecznego punktu i założył przelot. Wypięłam liny prowadzące i patrzyłam, jak wiją się po skale, aż napięły się w mojej uprząży. Cyk, cyk, cyk. Kolejny sygnał: ma mnie, podobnie zresztą jak ja jego - z tym że w przenośni. Drżącymi rękami usunęłam szpejo, na którym była nasza asekuracja, i teraz z kolei ja szarpnęłam za linę. Mogę się wspinać. Dotknęłam amuletu, który na szczęście przyczepiłam sobie na karabinku do uprząży, żeby mu się nic nie stało, i zaczęłam trawers. Chwiejnie zrobiłam pierwsze dwa ruchy, czując się bardzo zagrożona. Teraz linę miałam maksymalnie naciągniętą: wystarczy jeden fałszywy ruch i pofrunę wzdłuż skały, zaliczając odpadnięcie, w którym w najlepszym razie obedrę sobie skórę z rąk i twarzy, w najgorszym zaś szarpnę punkt asekuracyjny z taką siłą, że oboje zlecimy z góry. Drżenie w rękach rozprzestrzeniło się na mięśnie ramion, następnie ud i kolan. Balansowałam na łuszczącej się na pięć centymetrów skale, bez chwytu, z obydwiema dłońmi przyciśniętymi do kwarcytu: niebezpiecznie, delikatnie mówiąc. Weź się w garść, Izzy, fuknęłam na siebie wściekle. Do ciężkiej cholery, weź się w garść. Jesteś na linie i nie umrzesz.

A jeśli...

Wykonałam kolejny ruch, przywierając płasko do skały. Wciąż żadnych porządnych chwytów, kolejny ruch; palce u nogi w szczelinie. Malutki kawałek skały oderwał się pod naciskiem mojej



nogi i podskakując, poleciał w dół. Słyszałam, jak spada: stuk, stuk, stuk. I cisza, kiedy poleciał w nicość. Już nie drżałam; teraz dygotałam, trzęsłam się cała.

Kurwa, weź się w garść, Izzy: to tylko 5a.

Popatrzyłam w dół, oparłam lewą stopę możliwie najpewniej, żeby przesunąć prawą, i wyciągnęłam rękę. Nic, a przynajmniej prawie nic. Prawie nic będzie musiało wystarczyć. Moje całe ciało zatrzęsło się, kiedy przygotowałam się do przeniesienia ciężaru; wtedy zobaczyłam liny. Gigantyczna pętla zwisała pomiędzy mną a moim asekurantem: Miles, znudzony i wkurzony, nie wybierał ich tak szybko, jak powinien. Krzyknęłam do niego.

- Wybierz!

Mój głos jak kamień przepadł w pustym powietrzu. Zresztą napięta lina i tak wytrąciłaby mnie z równowagi, przypomniałam sobie. Niech to diabli. Wzięłam głęboki oddech, żeby ochłoniąć, i przeniosłam ciężar na prawo...

Kawał kwarcytu wielkości cegły oderwał się spod mojej prowadzącej stopy i poleciałam w dół, raz po raz obijając się o skałę, zbyt szybko, żeby krzyknąć czy w pełni zarejestrować ból, kiedy uderzałam z całej siły, a to kostką, a to policzkiem, nosem, biodrem, kolanem, czołem... Nie wiadomo skąd rozległ się krzyk, przenikliwy i oniryczny: gdzieś daleko pode mną, a może tylko w mojej głowie? Nie umiałam powiedzieć. Czekałam, kiedy runę w przepaść, ale nagle, z szarpnięciem, które niemal wywichnęło mi biodro, zatrzymałam się. Wisiałam ukośnie, spoglądając w dół. Ale dziwnie. Gdyby zatrzymała mnie lina, byłabym zwrócona do niej twarzą lub plecami, ale nie pod takim nienaturalnym kątem. Popatrzyłam w górę. Liny, dwa węże, jeden jaskraworóżowy, drugi jaskrawoniebieski zwisały luźno na tle czerwonego kwarcytu, obojętne na mój los. Wisiałam tam, bojąc się poruszyć, ledwo ważąc się na oddech. Więc to nie lina mnie uratowała, lecz uprzęż. Zapewne jedna z pętli zaczepiła się o występ skalny. Wróciła panika: pętle nie były obliczone na utrzymanie takiego ciężaru; w każdej chwili to, co mnie trzyma, może pęknąć, ja runę w dół urwiska i to będzie na tyle.

Powolutku odwróciłam głowę, żeby zobaczyć, co mnie zatrzymało. Wzrok miałam zamglony; w głowie mi dzwoniło od wszystkich uderzeń, które zaliczyłam. Przez kilka chwil nie dawałam wiary własnym oczom. Choć to w zasadzie niemożliwe, wydawało mi

się, że mój amulet wbił się w szczelinę skalną i że wisiałam na jego wąskim skórzanym pasku, przyczepionym minikarabinkiem do pętli w uprząży. Nie dowierzając, wpatrywałam się w to połączenie przyczyny, skutku i czystego, zwykłego łutu szczęścia. Po czym gwałtownie obróciłam się, żeby dłonie i stopy oprzeć o skałę i zdjąć ciężar z tego kruchego punktu podparcia. Porządny stopień; chwyt. Dzięki Bogu. I ledwo odetchnęłam, pękł skórzany pasek przytrzymujący amulet. Przywarłam twarzą do skały, z sercem walącym tak mocno, że bałam się, iż sam jego łomot pozbawi mnie mojego i tak dość wątpliwego oparcia.

Pod wpływem zagrożenia szybko odzyskałam trzeźwość umysłu. Wbiłam spit w szczelinę, przełożyłam repsznur przez pętlę przy uprząży, wpięłam w karabinek, po czym go zablokowałam. Dzięki temu zdobyłam się na odwagę, żeby raz jeszcze spojrzeć na amulet. Tkwił tam, wbity swoją najszerszą krawędzią, połyskując srebrem w słońcu. Wyglądał na bardzo zadowolonego z siebie, jakby powstał właśnie dla tej chwili. Ale siła upadku go zdeformowała: widziałam, jak jest wygięty i zniekształcony. Zapewne nigdy nie da się go stamtąd wyjąć. Będę go musiała poświęcić, zostawić Lwiej Głowie w podziękę za kolejny dowód jej legendarnej opieki nad kobietami. Wyciągnęłam rękę, muskając palcami amulet jakby w geście pożegnania, a on osunął mi się na dłoń.

Dygocząc, wepchnęłam go do kieszeni spodni i zasunęłam zamek błyskawiczny. Następnie, wściekle tłumiąc strach, wypięłam się i z sercem tłukącym się jak zamknięty w klatce ptak zaczęłam wspinać się do Milesa. Znacznie łatwiej było mi iść do góry, niż trawersować. Kiedy pojawiłam się nad krawędzią, w miejscu gdzie założył przelot, wciąż jeszcze pospiesznie wybierał linię.

- Zwolnij - powiedział. - Ledwo za tobą nadażam.

Dyszał i sapał, wpinając mnie w punkt asekuracyjny. Dopiero kiedy to zrobił, przyjrzał mi się dokładniej.

- Chryste, jak ty wyglądasz? Co się stało?

Dotknęłam ręką twarzy, a kiedy ją odjęłam, była cała we krwi. Nagle dotarło do mnie, że w wielu miejscach jestem obolała, i to naprawdę bardzo.

- Ach... - Słowa uwięzły mi w gardle.

Spojrzałam w dół, z wysiłku łupnęło mnie w głowie. Spodnie przesiąkały mi krwią, i chociaż jednak kolano mi dokuczało,

instynktownie czułam, że odniosłam znacznie poważniejsze obrażenia. Kiedy pobudzona odpadnięciem i gwałtownym szukaniem zabezpieczenia adrenalina opadła, odezwał się tępy, okrutny ból w lewej kostce. Ostrożnie uniosłam nogawkę, żeby ocenić szkodę.

Kostka była spuchnięta, płat skóry groteskowo opadał na but do wspinania. Nagle stwierdziłam, że nie dam rady. Pomyślałam, że zwymiotuję. Miles przeraził się nie na żarty.

- Jezu, coś ty zrobiła? Jak się tu, do diabła, wspięłaś? Dasz radę ruszać tą nogą?

Wpatrywał się w zmasakrowane ścięgno, ale nawet nie próbował obejrzeć go dokładniej. Zobaczyłam, jak umyka wzrokiem w stronę wielkiej, poszarpanej góry pod nami, i wiedziałam, że już przewiduje trudności z zejściem i sprowadzeniem rannej kobiety. Przesunął ręką po twarzy w geście, który mówił aż nadto wymownie: „Nie pisałem się na coś takiego”.

- Usztywnię ją - powiedziałam dziarsko, zła na siebie, że w ogóle pozwoliłam, aby doszło do takiej sytuacji, zła, że muszę zdać się na łaskę obcego. - Zabandażuję i założę but.

Miles skubnął się w wargę.

- No nie wiem.

Wydawał się kompletnie zagubiony. Potem przepiął linę i podszedł do miejsca, skąd miał widok na postępy drugiego zespołu. Tam gdzie od początku powinien był założyć przelot, żeby mieć na oku swojego drugiego, pomyślałam ze złością. Lecz nie było sensu obwiniać kogokolwiek: spadłam z własnej winy. Nie sprawdziłam stopnia, zanim przeniosłam na niego ciężar, mimo całej swojej ostrożności, jaką do tamtej chwili zachowywałam. Wspinając się, człowiek szybko uczy się brać odpowiedzialność za własne błędy i żyć z ich konsekwencjami. To jedna z tych rzeczy, które najbardziej podobały mi się w tym sporcie: przyczyna i skutek były jasno określone. Podobnie powinno być w życiu, niestety rzadko tak bywa.

Miles z wyraźną ulgą wrócił do mnie.

- Jez będzie tu za chwilę. Usiadł i w milczeniu bawił się swoim sprzętem, poprawiając go na uprząży. Głowę trzymał schyloną, unikając kontaktu wzrokowego ze mną. Nie zamieniliśmy już ani słowa.

Czas płynął powoli. Po jakichś piętnastu minutach znad krawędzi wychynęła głowa Jeza w niebieskiej bandanie. Uśmiechał się od ucha

do ucha, najwyraźniej zachwycony ogrzewającym mu plecy marokańskim słońcem, ciepłą skałą pod palcami, ilością wolnej przestrzeni pod stopami, finezją ruchów. Kiedy jednak zobaczył, w jakim jestem stanie, jego uśmiech znikł.

- Do kurwy nędzy, Izzy, coś ty zrobiła?

Zaczekałam, aż usadowi się bezpiecznie na półce, i ostrożnie przedstawiłam mu skorygowaną wersję zdarzeń. Nie chciałam mówić, jak Miles zawiódł z asekuracją swojego drugiego; jak się niecierpliwił, źle komunikował. Jez zdarł z głowy bandanę, zwilżył ją odrobiną wody ze swojej manierki i pochylił się, żeby wytrzeć mi twarz. Powstrzymałam go, wzięłam od niego chustkę i przyłożyłam ją sobie do nosa.

- Nie jest złamany? Potrząsnęłam głową.

- Chodzi o jej kostkę - powiedział Miles obojętnie, spoglądając na krajobraz.

Gdybyśmy byli na Evereście, pomyślałam, zostawiłby mnie na pastwę losu, porzucając w strefie śmierci, bo przecież każdy odpowiada za siebie. Ale Jez był z innej gliny. Wprawna ręką przesunął po poranionym, opuchniętym miejscu, a ja bez powodzenia starałam się nie skrzywić.

- Możesz nią ruszać?

Nie mogłam, a próbując, jęknęłam tylko.

- Jasna cholera, Izzy, chyba to spieprzyłaś. Kiedy zszokowana otworzyłam usta, on mrugnął do mnie łobuzersko.

- To czysto techniczny termin. Usiądź wygodnie i pozwól, że pan doktor zajmie się wszystkim.

Sprawnym ruchem rozdarł bandanę na pół, związał jej końce i w jednej chwili zręcznie unieruchomił mi kostkę. - Może założę but, żeby ją trochę bardziej usztywnić.

Jez nie był przekonany.

- Obawiam się, że potem nie dałabyś rady go zdjąć. Daj, popatrzę.

Chwilę później zdjął mi buty do wspinania, przypiął je z tyłu do mojej uprząży, dopasował sznurowanie w moim traperze do opuchniętej kostki, po czym związał najmocniej, jak mógł, pilnując, żebym przy okazji nie zemdląła. Widząc, jak zbladłam, poklepał mnie łagodnie po kolanie.

- Sprowadzimy cię na dół, spokojna czacha.

- Bardzo was przepraszam, naprawdę - powiedziałam, choć przeprosiny nie przysły mi łatwo. - Kiepski początek wspinaczkowych wakacji. Mam nadzieję, że nie wierzycie w znaki.

Miles milczał. Jez wzruszył ramionami.

- Przy wspinaniu zdarzają się wypadki. Dlatego tak je kochamy, nie?

Zrobił na linie pętlę, założył na nią ósemkę i wpiął do swojej uprząży, po czym zsunął się do miejsca, z którego mógł widzieć Eve i asekurować ją. Patrzyłam, jak pokazuje jej podniesione kciuki, i zastanawiałam się, jak moja przyjaciółka poradzi sobie z trawersem, ale kiedy w końcu pojawiła się na szczycie, z oczami wielkimi jak spodki ze skupienia i strachu, zobaczyłam, że uprząż ma ciężką od przyrządów asekuracyjnych: Jez musiał zabezpieczyć dla niej cały wyciąg. Odbyli we dwojkę szybką cichą rozmowę, której nie dosłyszałam, po czym Eve przeczołgała się po półce i wpięła w zabezpieczenie.

- Boże, Iz, tak mi przykro. Jez podejrzewa, że jest złamana.

Nie to chciałam usłyszeć. Cholera. Teraz naprawdę znalazłam się w tarapatach. Zmusiłam się do uśmiechu.

- Może. No cóż, przynajmniej trafiła się nam świetna okazja, żeby poćwiczyć techniki ratunkowe, co?

Miles wpiął Jeza w linę prowadzącą i Jez przeszedł na krawędź grani uzbrojony w szpeje, pętle i wściekle zdeterminowaną minę. Po chwili wrócił, pełznąc jak krab po skalnej płycie.

- Dobra - powiedział. - Przeprowadzimy cię przez ten kawałek i myślę, że starczy nam liny, żeby spuścić cię z krawędzi na górną część żlebu. Potem Eve zjedzie do ciebie, a Miles i ja zbierzemy szpeje i skończymy ostatni wyciąg, a potem dołączymy do was, OK?

- Dam sobie radę - oznajmiłam stanowczo. - Jak spuścicie mnie do żlebu, jakoś dotrę do samochodu, choćbym miała przez tydzień szorować zadkiem po ziemi. Eve, skończ wspinaczkę, nie pękaj. Mną się nie zajmuj.

Przeraziła się.

- Nic z tego. Nie zostawię cię.

- Słowo, wolałabym sama to załatwić; po co wszystkim rozwalać dzień? - Wbrew temu co mówiłam, wcale nie czułam się taka odważna.

Przygotowanie lin do zjazdu trwało całe wieki. Nikt nie pozwolił mi nawet kiwnąć palcem i w jednej sekundzie z doświadczonego wspinacza zmieniłam się w inwalidę, ciężar, który trzeba jakoś przetransportować na dół. W środku cała się gotowałam i próbowałam nie myśleć, co mnie czeka: zejście, szukanie pomocy medycznej, a jeśli kostka faktycznie była złamana, spędzenie reszty wakacji w charakterze bezużytecznego i ciężko znudzonego balastu.

Co prawda niezdarnie, ale jakoś udało mi się wstać i spojrzeć w dół. Czekala mnie daleka droga. Miałam nadzieję, że sześćdziesięciometrowe liny dosięgną ziemi, ale stąd nie można było zobaczyć, gdzie dokładnie wylądują, ponieważ skała najpierw wyrzuszała się, a potem wcinała głęboko. Żeby się przekonać, trzeba było zjechać. Oparłam się o rozgrzaną skałę i złana potem patrzyłam, jak Jez robi na końcach węzły (chyba myślał podobnie jak ja), następnie zwija je wprawnie i wyrzuca w powietrze. Oboje, wstrzymując oddech, nasłuchiwalismy odgłosu uderzenia, kiedy liny spadną na ziemię, ale w najważniejszej chwili dobiegł nas tylko bek kozy. Jez uśmiechnął się do mnie.

- Oho, chyba właśnie zamordowałem naszą kolację! - Podał mi pętlę z asekuracji. - Jednego nie rozumiem - powiedział, zniżając głos - jak to możliwe, że nie spadłaś na sam dół. Widziałem, że Miles nie zabezpieczył trawersu.

Nie chciałam mówić mu o amulecie. Teraz to, co się stało, wydawało się nierealne.

- Uprząż - odezwałam się w końcu dziarsko. - Zahaczyła się o skałę i zatrzymała mnie.

Gwizdnął cicho. - Masz szczęście, że żyjesz.

Naprawdę nie miałam ochoty o tym mówić. Zalewały mnie fale bólu, od których kręciło mi się w głowie, a pulsowanie z kostki przenosiło się na biodro, przesywało do szpiku kości. Na przemian robiło mi się słabo i niedobrze, a po chwili byłam aż nadto świadoma wszystkiego, co działo się wokół; zmieniłam się w jeden wielki kłębek nerwów i dudniacej w żyłach krwi.

- No dobra - powiedziałam dziarsko. - Pora ruszać.

- Poszukaj jakiegoś cienia i zaczekaj na nas. Zajmie nam to z godzinę.

- Nachylił się i sprawdził zapięcia mojej upręży, przyrząd zjazdowy i karabinki. - Zaopiekuj się Eve. - powiedział nagle.

- Eve umie o sobie zadbać.

- Jasne, wiem. Niezależna nowoczesna kobieta i takie tam. Chodzi o to, że naprawdę mi się podoba. - Uciekające oko nagle zrobiło się wielkie i czujne, kiedy spięty czekał na moją reakcję. Na co liczył: moje błogosławieństwo?

Zmusiłam się do uśmiechu. - W takim razie powodzenia. Ustawiłam się na krawędzi i pozwoliłam, żeby liny przejęły mój ciężar.

Zjazd zawsze mnie przerażał - ten pierwszy krok w przepaść, jak Głupiec w talii tarota, wieczny ryzykant polegający tylko na dobrym zabezpieczeniu - ale kiedy już zaczęłam, nie było tak źle. Pierwsze dwadzieścia metrów, kiedy miałam kontakt ze skałą, pokonałam, skacząc jak komandos z SAS, ale potem zawisłam nad przepaścią niczym pajak na swojej jedwabistej nitce.

Zjeżdżałam etapami, starając się nie przegrzać przyrządu zjazdowego, cały czas sprawdzając teren w poszukiwaniu odpowiedniego miejsca do lądowania. Na tle jaskrawych kolorów ziemi nie mogłam dokładnie zobaczyć końców lin; potem nagle dotarło do mnie dlaczego. Zwisły luźno jakieś pięć metrów nad ziemią, gdzie zleb przechodził gwałtownie w coś, co było chyba wyschniętym korytem rzeki. W głowie zaczęło mi się kręcić i dudnić. Czyżbym doznała wstrząśnienia mózgu? Tylko tego było mi trzeba. Niech to licho. Nie było szans, żebym zeskoczyła, nie z rozwaloną kostką. Zrobiłam na linie węzeł i wpięłam go w uprząż, żebym mogła zatrzymać się i pomyśleć. Jez nie mógł mnie tu widzieć, ponieważ zniknęłam za skalnym załomem. Popatrzyłam w dół: może zdołam rozkołysać się i dotrzeć do wyższej części zlebu? Chyba raczej nie: lina na pewno by się zerwała, a ja poleciałabym w przepaść...

- Hoi!

Jakiś głos, gdzieś z dołu. Obróciłam się i spojrzałam. Dwie postaci w tunikach i dziesiątki małych czarnych kóz i wychudzonych owiec kręcących się wokół oraz ciemnobrązowy osiołek objuczony koszami. Mężczyzna, który wołał, osłonił dłonią oczy i znowu coś krzyknął w niezrozumiałym dla mnie języku. Po chwili zawołał zupełnie wyraźnie.

- Voulez - vous de l'aide?

Cóż, owszem: ale co on mógł zrobić? Przecież wisiałam tu na linie!

- Oui, merci! - odkrzyknęłam, głównie przez grzeczność. Mężczyzna wdrapał się po żlebie i zawołał po francusku.

- Widzi pani tę półkę?

Pokazywał na miejsce ponad nim i kiedy spojrzałam, rzeczywiście jakieś dziesięć metrów pode mną zobaczyłam szeroką półkę i nieco głębiej jaskinię. Może by mi starczyło liny, żeby tam się dostać, ale skała była wcięta i trudno będzie mi się odpowiednio rozkołysać. Odkrzyknęłam jednak, że tak. Mężczyzna pobiegł do osiołka, poszukał czegoś w koszach i chwilę później wrócił z krótką liną obciążoną kamieniem. Potem zrzucił z siebie tunikę i zobaczyłam, że ma na sobie dzinsy i T - shirt. Wspiął się po skale na półkę z liną przewieszoną przez ramię. Kiedy zwrócił ku mnie uśmiechniętą twarz, przekonałam się, że rzeczywiście jest jednym z miejscowych Berberów, mimo płynnego francuskiego akcentu. Pod zabrudzonym białym turbanem widać było brązową jak orzech skórę, ostre kości policzkowe, typowe dla mieszkańców tego terenu, i żywe czarne oczy.

- Może pani zjechać trochę niżej? Wypięłam węzeł i obniżyłam się; potem obłożyłam linę wokół nogi, żeby choć jedną rękę mieć wolną. Adrenalina i świadomość, że muszę się skupić, stłumiły ból i zawroty głowy, i kiedy rzucił do mnie linę, złapałam ją bez trudu. Była to lina pociągowa dla osła, zużyty kawałek starego niebieskiego polipropylenu, wystrzępiony i wyblakły na słońcu, o szorstkich, kłujących zadziórach z nylonu.

- Przyciągnę panią na półkę. I zaczął ciągnąć za swoją linę, aż węzły na mojej zjazdówce znalazły się w zasięgu jego ręki. Bezpieczna, zjechałam po ostatnim odcinku liny, jaki mi jeszcze został, aż stanęłam jedną stopą na półce.

- Złamana kostka - powiedziałam, pokazując na lewą nogę. Cheville cassee. - Tak myślę.

Twarz mu znieruchomiała i spoważniała, a potem krzyknął coś w swoim ojczystym języku do znajdującej się poniżej drugiej osoby, jak teraz zauważyłam, kobiety w niebieskiej chustce związanej na karku w węzeł.

- Moja siostra przyprowadzi osła starą kozią ścieżką - powiedział do mnie i pokazał na miejsce, w którym półka zniknęła za ogromnym drzewem, zdającym się wyrastać wprost ze skały.

Ból i ulga były tak ogromne, że zdołałam jedynie skinąć głową. Drżącymi palcami wypięłam się ze zjazdówek, szarpnęłam nimi



mocno, żeby dać znać Jezowi, że jestem już na dole, i patrzyłam, jak magicznie się cofają, by po chwili zniknąć zupełnie.

Chwilę później musiałam chyba zemdleć, bo nie pamiętam, jak zjawiała się kobieta, zdejmowali mi plecak czy ładowali na osiołka i kozią ścieżką sprowadzali w dół zlebu. Wszystko, co mi się przypomina, to tylko jaskrawe przebłyski, jak zdjęcia albo pojedyncze klatki filmu: kaktus z jaskrawobiałymi kwiatami, błysk ogona znikającej w ciemnej szczelinie jaszczurki, tuż przy moim nosie pyszczek jednej z małych kóz, przyglądającej mi się ciekawie żarłocznymi żółtymi ślepiami. Czerwone skały w formie ogromnych słupów i głazów, szarozielone żłobienia skalistych ścian kanionów, raz skąpanych w blasku, to znowu pograżonych w cieniu. Małe śliniaczki z białymi skorupkami wyglądającymi jak kamyki kwarcu; płaskie, fioletowe niczym ametysty kwiaty; śpiewny pomruk przyciszonej rozmowy rodzeństwa na tle głośnych kozich pobekiwań. Wyczuwałam oddalającą się złowieszczą obecność góry, która mnie pokonała, a potem znowu straciłam przytomność.

## ROZDZIAŁ 13

Przez następne tygodnie plemię stopniowo przyjmowało do siebie Amastana, bardzo grzecznie, ale z rezerwą, przynajmniej na zewnątrz pokazując, że doszedł do siebie po długiej i tajemniczej chorobie. Pod koniec okresu rekonwalescencji nikt nie wspominał o charakterze czy przyczynie jego chwilowego obłąkania; nikt już nie plotkował o losie ukochanej, którą zostawił w górach. Na powrót stał się sobą: duchy go opuściły, odegnane przez dziewczynę z Hoggaru, którą z dumą zaczęli traktować jak jedną ze swoich. Mariata odkryła, że inne kobiety ją zaakceptowały, zachęcając, by zajęła pośród nich miejsce. Po niechęci doświadczanej ze strony Kel Bazgan życzliwość nowego otoczenia przyjmowała z ulgą; cieszyła się, że jej pochodzenie traktowane jest z większym szacunkiem. Tutaj nikt się z niej nie naśmiewał ani nie przezywał jej Tukulinden - Małą Księżniczką - wykrzywając z przekąsem i kpina wargi, poza tym chociaż wiedziała, że tak naprawdę Amastan wyzdrowiał dzięki Tanie, nie protestowała, kiedy jej przypisywano całą zasługę. Starsze kobiety znosiły jej daktyle i z niekłamanym podziwem słuchały jej poezji, przynosząc bębenki i układając do jej wierszy muzykę; matki nalegały, by uczyła ich dzieci pisać w tiffinagh, a niezamężne dziewczęta przychodziły do niej, prosząc o kawałki papieru, w które mogłyby zawinąć swoje amulety - te bardziej pobożne domagały się wersetów z Koranu, które przyniosą im szczęście, zaś te zabobonne szukały miłosnych talizmanów i czarów do ochrony przed tehot, złym okiem. W zamian służyły własnymi radami:

- Powinnaś wyjść za mąż i zostać tu z nami - powiedziała Khadija.

- Nie bądź głupia - zbesztła ją Nofa. - Mariata jest Kel Taitok: czemu miałyby się zniżyć i poślubić mężczyznę z Kel Teggart?

Niektóre kiwały na to potakująco głowami, ale Yehali się oburzyła.

- Nasi mężczyźni są równie dobrzy jak ci z Hoggaru! - powiedziała gwałtownie. - Są wysocy, przystojni i zaprawieni w trudach. Dzięki temu mają smukłe członki i odważną duszę.

- Jeśli chodzi o Ibrahima, to jest zbyt poważny! - powiedziała któraś i wszystkie parsknęły śmiechem. - Ale jego brat, Abdullah, to dobry człowiek, a z Aklim można się dobrze zabawić. Nie musi

wychodzić za mąż, jeśli nie chce skalać swojego porządnego pochodzenia.

- Ale musi chcieć tańczyć!

- Ach, jeśli chce się potańczyć, to najlepiej z Kheddou.

- On lubi tańczyć aż za bardzo - powiedziała Nofa i wszystkie podniosły swoje chusty, zasłaniając usta, i zaśmiały się na całe gardło, a Mariata nagle pojęła, że słowa „taniec” używały, mając na myśli zupełnie coś innego, i zarumieniła się gwałtownie.

- Ach, wszystkie tańcowałyśmy z Kheddou w swoim czasie - przyznała Tadla. - Jest wyśmienitym tancerzem. Ale jak chcesz się z nim zabawić, musisz się pospieszyć, bo w następnym miesiącu poślubia Leilę.

- Biedna Leila, z tym to będzie miała ręce pełne roboty - powiedziała Nofa z udawaną powagą, reszta z miejsca pojęła dwuznaczność i ze śmiechem wychwalała jej dowcip.

Mariata kręciła głową, uśmiechając się. Ależ one były wulgarne, te kobiety Kel Teggart; pracowały ciężko, przez brak niewolników i harratin, którzy zajmowałiby się codziennymi obowiązkami, nie miały zbyt wiele czasu na wypoczynek, ale kiedy już zaczynały się bawić, wkładały w to całe serce.

Tadla westchnęła.

- Niełatwo tu znaleźć dobrego męża, to prawda. Wielu mężczyzn pochłonął solny szlak; inni poszli w góry. Mało jest porządnych mężczyzn, spośród których można wybierać.

- Jest Bazu.

- Za gruby.

- Makhammad?

- Zbyt pobożny.

- Azelouane?

- Za stary

- Jest jeszcze Amastan ag Moussa - powiedziała któraś. - Było nie było, amenokal jest jego ojcem. Nie skalałby krwi Mariaty.

Zapadła cisza, jakby kobiety ważyły słowa, zanim zdecydują się je wypowiedzieć. Po chwili odezwała się Yehali.

- Jest bardzo przystojny, ten syn Rahmy. Najpiękniejsze ma dłonie. - Po czym wszystkie zaczęły prześcigać się w wychwalaniu kolejnych zalet Amastana.

- To najlepszy poeta w okolicy. W roku przed zarazą szarańczy pokonał wszystkich startujących w ahal.

- Umie też tańczyć - nie, tańczyć naprawdę; nie bądź taka wulgarna, Nofa, zgorszysz Mariatę. Ma niezwykle zwinne stopy i potrafi skakać wysoko jak gazela.

- I jest prawdziwym znawcą wyścigów wielbłądów.

- Włada mieczem.

- Strzela też dobrze!

- Wiele podróżował.

Z tego wszystkiego Mariata dowiedziała się, że zanim „wyjechał”, jak ujmowały to dziewczęta, Amastan był gorąco witany gościem w osadzie, gdy odbywając swoje coroczne wyprawy handlowe, z rzadka zaglądał do niej, by odwiedzić rodzinę i przywieźć dziewczętom podarki. Był lubiany i podziwiany, prawdziwy mężczyzna, którego każda chętnie wzięłaby sobie za męża. Ogarnął je smutek na wieść, że znalazł sobie oblubienicę gdzie indziej. Ale wtedy... Tadla zmieniła temat.

- Cóż, może jednak nie Amastan. On nie ma szczęścia, a w tych dniach potrzebni nam są tacy, co je mają.

- Mają szczęście i bogactwo - zgodziła się Nofa. - Co najmniej pięć wielbłądów.

- Dziesięć!

Mariata pozwoliła, by ich żarty unosiły się wokół niej jak chmura. Nie potrzebowała zachęty, żeby zainteresować się Amastanem, bo prawdę mówiąc, jej myśli niemal wyłącznie krążyły wokół niego. Zdziwiło ją jednak, że inne dziewczęta nie zauważyły, jak bardzo w ciągu tych kilku minionych tygodni on interesował się nią, co zresztą jej odpowiadało. Co wieczór o zachodzie słońca szukał jej, a potem razem spacerowali i rozmawiali trochę; raz ujął jej dłoń i musnął ją ustami. Kiedy na nią patrzył, czuła, jak jego spojrzenie ją pali; nie było to uczucie miłe, ale i tak za nim tęskniła i dzień nie był udany, dopóki on ze swego miejsca przy ognisku dla mężczyzn nie popatrzył tam, gdzie ona siedziała wśród kobiet przy ich własnym ogniu.

Odkąd zaczęła przynależeć do ziomków Amastana, odkryła, że sprawia jej przyjemność życie, które kiedyś uważałaby za uwłaczające jej godności. Poddała się codziennemu spokojnemu rytmowi dnia, każdego ranka wstając o świcie, by wydoić kozy, w te dni zaś, kiedy nie szła ze zwierzętami na pastwisko, z radością zostawała w wiosce,

gdzie wraz z innymi kobietami mełła ziarno na codzienne tagella, przysłuchując się pogaduszkom i plotkom, umilając towarzyszkom czas swoją poezją, podczas gdy one parzyły i piły niekończące się dzbanki zielonej herbaty. Być może sama prostota i absorbująca przydatność codziennej rutyny sprawiły, że ogarnęło ją obce poczucie spokoju.

Mimo to codziennie rano, zanim jeszcze zaczęła doić kozy lub wykonywać inne obowiązki, chodziła na najwyżej położony punkt za wsią i spoglądała na wschód, wypatrując, czy Rhossi ag Bahedi nie nadjeżdża, by zabrać ją i swoje wielbłądy z powrotem do Air. Jednak któregoś dnia uświadomiła sobie, że upłynęło pięć księżyców, odkąd zbiegła z Kel Bazgan, i skoro on nie zdołał połączyć jej zniknięcia ze znienawidzoną ciotką ani nie zmusił harratin, by wyjawili mu to, co wiedzą, było mało prawdopodobne, by nagle zjawił się w Teggart. Ze swojej strony Rahma dopilnowała, by oba rzucające się w oczy białe mehari zostały odprowadzone na targ wielbłądów daleko na północy, do Goulemine, gdzie delikatnie zmieniono im piętna zdradzające przynależność do Bazgan, po czym sprzedano za doskonałą cenę, nie zdarzało się bowiem, żeby dwa białe tibesti tej klasy trafiały na sprzedaż w tamtej okolicy. Oddała Mariacie wszystkie pieniądze, jakie udało się za nie uzyskać, co nie było małą sumą, nawet po odjęciu marży, którą naliczali handlarze. Nie chciała też przyjąć niewielkiej prowizji za swój udział w transakcji.

- Teraz jesteś kobietą samotną, a ja na własnej skórze przekonałam się, jak ciężko jest kobiecie bez rodziny i majątku. Część pieniędzy możesz zainwestować w karawanę, kiedy azalay ruszą w drogę, albo powierzyć je Amastanowi, gdy znowu zajmie się handlem.

Mariata wątpiła, by do tego doszło, gdyż podczas rozmów, jakie w ciągu ostatnich tygodni z nim odbyła, syn Rahmy nie wykazywał zbytniego zainteresowania powrotem na solny szlak. Co prawda nie udało się jej przekonać go do mówienia o poważnych rzeczach, ilekroć bowiem schodziła na mniej bezpieczne tematy, on stawał się milczący i zamknięty w sobie.

- Widziałem dość pradawnych szlaków handlowych w swoim życiu

- powiedział, a jego niski głos wyraźnie odbijał się na tle głośnego, przenikliwego rechotu rozochoconych, podnieconych żab. - Nigdy więcej na nie nie wyruszę.

- Opowiedz mi, co widziałeś - poprosiła Mariata z płonącymi oczami.

- Twoja matka mówiła mi, że kiedyś przysiągłeś sobie dotrzeć do Drzewa Tenere, zobaczyć morze i dotknąć śniegu w najwyższych górach; powiedziała też, że wszystko to ci się udało.

Oczy Amastana migotały w czerwonym blasku zachodzącego słońca, ponieważ jednak pozostała część jego twarzy skrywał starannie i nad wyraz przyzwoicie zawiązany turban, Mariata nie potrafiła nic z niej wyczytać. Po chwili usiadł na kamieniu i zaczął mówić, jakby przemawiał do publiczności, przez cały czas obracając w dłoniach wyschlą gałązkę oleandra, jakby powtarzany w kółko ten sam ruch pomagał mu w porządkowaniu wspomnień, i nagle Mariata przypomniała sobie gawędziarza, który swego czasu odwiedził jej dom w Hoggarze i który przybył z workiem pełnym kamieni. Każdy kamyk oznaczał jedną z jego wspaniałych opowieści, a gawędziarz podsunął worek kobietom, pozwalając każdej wybrać historię, której chciała posłuchać. Amastan przemawiał z takim samym przekonaniem.

- Przebyłem pustynię kamienistą, pustynię skalistą i pustynię piaszczystą; pieszo i na grzbiecie wielbłąda wędrowałem po pradawnych szlakach. Widziałem, jak słońce płomieniście wschodzi nad wydmowym morzem; widziałem, jak noc okrada świat z kolorów, oblekając wszystko w upiorną szarość, ponad którą gwiazdy lśniły niczym klejnoty hurysy, przewoziłem indygo z farbiarni w Kano, proso i daktyle tam i z powrotem z Inga i Ghat. Widziałem targi złota w Tafilalt, przebyłem góry wielkiego Atlasu; tam właśnie widziałem śnieżnobiałą substancję zwaną śniegiem, która choć zimna, pali skórę niczym ogień. W słynnym mieście Marrakeszu chodziłem po głównym placu i poznałem gwar, jaki robią setki tańczących chłopców, zaklinaczy węży, gadających ptaków, magików, wróżbitów i szarlatanów. Widziałem ogromny błękitny ocean w Agadirze, który jak bezkresne wydmy lśni i faluje poruszany pieszczotą wiatru, tak samo jak nasze piaski; przemierzałem zdeptane szlaki handlowe gór Antyatlasu od murów obronnych Taroudant przez potężny Jebel el - Kest i w dół, do pięknego miasta przy oazie, Tafraout...

Kiedy wędrowaliśmy przez Wielką Pustkę, zdążając do żup solnych w Bilmie i Kauar w Sudanie, widziałem słynne Drzewo Tenere: samotną akację stojącą niczym odwieczny wartownik w

samym środku najokrutniejszego pustkowia na świecie. Nasi azalay oddali jej cześć, jak od wieków czynili to wszyscy poganiacze karawan; ona trwa, ślepa i kolczasta, samotna i wytrwała w palącym gorącu pustyni, jest talizmanem przetrwania dla naszego ludu. Mówi się, że kiedy Drzewo Tenere runie, zginą też Zasłaniający Twarz. Chciałem ją ujrzeć, tylko raz, żeby przekonać się, że wciąż żyje. Ale to było pięć długich lat temu i zważywszy na to, co od tamtej chwili widziałem, obawiam się, że umiera, a może już jest martwa.

Gałązka w jego dłoniach pękła z głośnym trzaskiem i nawet żaby zamilkły jak nożem uciął. Amastan siedział zapatrzony w dal, jakby na bezkresnym czerwieniejącym niebie widział najczarniejsze wizje przyszłości.

Mariata westchnęła zauroczona.

- Gdybym była mężczyzną, na pewno spędziłabym życie na wielbłądzim grzbiecie, podróżując od jednego cudu do drugiego.

Amastan prychnął, wracając do rzeczywistości.

- Ach, mały wędrowiec; twoja wizja świata jest bardzo romantyczna! Nauczyłem się zonglować słowami jak derwisze, żeby czarować i mamić. Rzadko słyszy się, żeby poeci opowiadali o trudach rozkopywania wyschłych studni, o smrodzie ciał i odchodów gnijących na ich dnie; o obrzydliwym smaku słonawej wody, którą trzeba pić, żeby przeżyć, o potwornych kolkach, jakie trzeba znosić; o tym, jak skóra robi się stara i wysuszona przez wciskające się wszędzie drobiny piasku, jak tyłek boli od drewnianego siodła tak, że człowiek woli iść pieszo, chociaż gorąca ziemia parzy stopy przez podeszwy sandałów. Nie piszą pieśni o tym, jak nawet na największym pustkowiu robactwo dostaje się do chleba, a suszone kozie mięso jest tak twarde, że można sobie na nim połamać zęby, bo nie ma wody, w której można by je rozmiękczyć, brakuje śliny, przez co ma się wrażenie, że w ustach utknął kłęb bawełnianej waty; jak strach i pragnienie przepelniają nienawiścią i nieufnością wobec każdego napotkanego człowieka. Nikt słowem nie wspomina o skorpionach, żmijach rogatych, szakalach i bandytach. Nie sądzę, żeby azalay było miejscem dla dziewczyny.

Mariata zachnęła się.

- Nie doceniasz mnie.

- Czyżby? Nie słyszałaś, że żadna kobieta ani koza nie jest dość twarda, żeby przebyć pustynię?

- W takim razie jak według ciebie dotarłam tutaj? - krzyknęła Mariata sprowokowana. - Nie zapominaj, że urodziłam się w Hoggarze i już pokonałam szmat drogi, żeby dotrzeć do Air, a potem przebyłam Tamesnę tylko po to, by namówić demona, żeby zostawił cię w spokoju! I nie zapominaj, że wywodzę się w prostej linii od Matki Nas Wszystkich, która pokonała tysiąc mil pustyni i dała początek naszemu ludowi! - Pod koniec tej tyrady policzki miała czerwone, a pięści zaciśnięte.

Amastan był zachwycony; dostrzegła to po głębszych zmarszczkach wokół kącików jego oczu. Nachylił się i zerwał jaskraworóżowy kwiat oleandra z rosnącego za nim wysokiego krzewu i wsunął go jej za ucho, gestem tak niespotykane jak dla niego intymnym, że policzki Mariaty przybrały barwę o ton ciemniejszą od koloru kwiatu. Gdy Amastan przemówił, głos miał łagodny.

- Kiedy Tin Hinan odbyła swoją sławetną podróż, szła przez krainę porośniętą falującą trawą, gdzie drzewa akacjowe rozpościerały swoje dające cień konary i pasły się stada antylop i gazeli. Wtedy to nie była pustynia, lecz prawdziwy raj.

Mariata patrzyła na niego.

- Jak to możliwe? Pustynia jest wieczna. Pustynia jest gorącym sercem ziemi, kotłem, w którym powstało wszelkie życie. Wszyscy o tym wiedzą. Nawet demony zrodziły się tutaj, ich żywiołem jest gorąco i płomień, to ogniste duchy; jak mogły zrodzić się na porośniętej trawą ziemi?

- Mogę zaprowadzić cię do jaskiń w Tassili i pokazać skalne malowidła Kel Nad, Ludu z Przeszłości, myśliwych ukazujących zwierzęta, na które polowali - antylopy i gazy, pasiaste konie i żyrafy; stworzenia żyjące na sawannie i równinach - starsi wierzą, że te malowidła powstały jeszcze w czasach przed Matką Nas Wszystkich.

Mariata odwróciła głowę. Nie to pragnęła usłyszeć.

- To im się wszystko przyśniło - powiedziała z pogardą. - Sama widziałam podobne malowidła na skałach w moich rodzinnych stronach. Widziałam Białą Damę z Inawanghat z rogiatym Księżycem na głowie, rzeką gwiazd płynącą między jego rogami, brzuchem pełnym lśniących nasion, które spadają też z jej rąk. Czy to malowidło też jest wzięte z życia?



- Ach, złapałaś mnie, z tą swoją kobiecą logiką. Może jednak nie masz serca poetki.

- Ale przynajmniej jakieś mam - mruknęła, nagle zapominając o ostrożności.

Amastan wstał gwałtownie i zdenerwowanym krokiem odszedł od niej; potem, jakby nagle zmieniając zdanie, zawrócił i stanął, górując nad nią.

- Nigdy nie mów w ten sposób! - zażądał ze złością. - Nigdy.

Wyjął kwiat z jej włosów i cisnął na ziemię, nagłym, pełnym wściekłości ruchem wdeptał go w kurz i odszedł w zapadające ciemności.

Następnego wieczora nie przyszedł do niej, dzień później również nie, a ona płaczem kołysała się do snu. Na trzeci dzień wstała jeszcze przed słońcem, wydoiła kozy, dopuściła do nich młode i powiodła całe stado na wypas nad rzekę. Tam przyłożyła sobie zimne rzeczne kamyki do rozpalonych i opuchniętych oczu i czekała, póki nie zniknie zaczerwienienie, a ona przestanie wyglądać jak żaba.

- Przepraszam.

Obróciła się. Amastan oderwał się od pnia drzewa, jeden cień wyłaniający się z drugiego. Turban miał zawiązany wysoko i sam był wysoki jak drzewo. Zdawał się sięgać nieba. Czarne kreski na powiekach podkreślały blask jego oczu.

- Nie spałaś?

Mariata potrząsnęła głową, nie ufając sobie na tyle, by odpowiedzieć.

- Ja też nie. Sen nie zawsze jest dla mnie ucieczką, jak dla innych. - Umilkł pogrążony w myślach. Po długiej chwili przemówił znowu. - Nie jestem dość dobry dla ciebie. Dla żadnej kobiety. Ale więcej nie będę cię nachodził.

Patrzyła na niego przerażona.

- Czemu tak mówisz? Lubię spędzać z tobą czas. Myślałam... Miałam nadzieję... - Nie odważyła się powiedzieć tego, co kryło jej serce.

- Nie miej, Mariato. To zbyt niebezpieczne.

- Niebezpieczne?

Odwrócił się od niej. Gdy spojrział na nią znowu, zdało się jej, że dostrzega w jego oczach dawne szaleństwo. Kiedy otworzył usta,

sądziła, że znowu zawyje, on jednak przemówił, tak cicho, że ledwo rozróżniła słowa.

- Mam serce, ale jest rozdarte na dwoje.

Wciąż nie może zapomnieć o swojej ukochanej, pomyślała Mariata i przeszył ją ból.

- Co to znaczy? - zapytała z lękiem.

Amastan zgiął swoją wysoką sylwetkę i przysiadł na kamieniu obok niej.

- Chciałbym, żeby świat był inny, Mariato. Chciałbym móc wymazać przeszłość. - Urwał, spojrzał na nią, potem odwrócił wzrok.

- Chciałbym móc zacząć od nowa. Wziąć sobie żonę, spłodzić z nią dzieci, być szczęśliwym. - Mówił niemal szeptem. - Ale nie mogę.

- Nie możesz? - powtórzyła.

- Świat nie jest taki, za jakiego miałem go jeszcze rok temu; ja nie jestem tym samym mężczyzną.

Zapadła między nimi ciężka cisza i w tej samej chwili słońce wysunęło się zza horyzontu i skąpało ich w swym czerwonym blasku. Rzeka u ich stóp nabrała barwy krwi.

- Świat nigdy nie jest taki sam - przemówiła Mariata łagodnie. - Wszystko się zmienia, więc i my musimy. Obok naszego zimowego obozowiska, w którym mieszkałam jako dziecko, płynie w skałach strumień. Kiedy byłam mała, ułożyłam wzdłuż jego nurtu rząd kamieni, a kiedy po roku wróciliśmy do obozu, kamienie znikły. Ułożyłam więc następne, ale rok później ich również nie znalazłam. Szukałam ich przekonana, że ktoś się ze mną droczy, ale po kamieniach nie było nawet śladu. W końcu zrozumiałam, że strumień się przesuwa z każdym mijającym rokiem o szerokość dłoni. I zrozumiałam, że kiedy zrobię się już stara, strumień będzie zupełnie inny od tego, na który wtedy patrzyłam. Nic na świecie nie trwa w bezruchu, Amastanie, a ponieważ świat wokół nas się zmienia, my zmieniamy się wraz z nim. Nigdy nie jesteśmy tacy sami, jak byliśmy dzień wcześniej, ponieważ zmienia nas to, czego doświadczamy. Ja nie jestem już tym naiwnym dzieckiem, które wyruszyło z Hoggaru.

Spojrzała na niego wymownie, on jednak odwrócił się.

- To co mówisz, jest być może prawdą - powiedział - ale mnie bardzo zmieniło wszystko, co widziałem. Co robiłem. - Umilkł na długą chwilę. - Tego, co ci teraz powiem, nie chciałem nigdy nikomu zdradzić. Ale nosiłem to w sobie wystarczająco długo, poza tym

winien ci jestem prawdę. - Wziął głęboki oddech, po czym wolno wypuścił powietrze. - Ostatnia kobieta, którą kochałem, umarła, i to w najokropniejszy z możliwych sposób.

Stało się, pomyślała Mariata. Teraz powie mi, jak ją zabił, i wtedy dowiem się, jakim jest potworem. Chciała uciec, ale ponieważ musiała poznać prawdę, została.

- Jej śmierć ciąży mi na sumieniu - zaczął, potwierdzając jej najgorsze obawy; jednak opowieść, jaką z trudem cedził słowo po słowie, brzmiała zupełnie inaczej, niż się spodziewała.

Spotkał Mantę, kiedy jeszcze niemal jako chłopiec wraz z karawaną przejeżdżał przez jej wioskę. Wywarła na nim ogromne wrażenie, gdyż nie była tak samo nieśmiała jak inne dziewczęta; zanim odjechał, pocałowała go w usta, a dotyk jej warg towarzyszył mu przez całe długie zimowe miesiące, kiedy wędrował przez pustynię. Przywoził jej podarki i zarobione pieniądze; w końcu, podczas wizyty w trzecim roku, obiecała za niego wyjść. Dla przypieczerowania ich zaręczyn podarował jej amulet.

- Powinien był ją ochronić.

Mariata czuła, jak ciężki kawałek srebra przywiera do jej ciała. Uniosła dłoń, by go dotknąć przez cienki materiał tuniki.

- Masz go przy sobie.

Popatrzyła przepełniona winą i zobaczyła, że nie odrywa od niej oczu.

- Nie chcę go odzyskać; przynosi pecha. Ty też nie powinnaś go nosić; nie daje szczęścia nikomu, kto go ma.

Mariata wyjęła amulet spod sukni i zdjęła przez głowę. Spoczywał w jej dłoni, czarne paciorki na sznurku migotały w świetle, a oni oboje na niego patrzyli.

- Ale jest taki piękny - powiedziała cicho. - Jak może przynosić pecha? Widzisz te symbole tefok, słońca, tutaj i tutaj. - Przesunęła palcami po krążkach z karneolu. - Czerwony to szczęśliwy kolor.

Amastan miał ponury wyraz twarzy.

- Otwórz go - rzekł.

Mariata obejrzała talizman, obracając go w dłoniach. Spróbowała wsunąć paznokiec we wgłębienie na górze i na dole, ale talizman był z jednego kawałka i nic się nie poruszyło. Kręciła dyskami z karneolu, naciskała i podważała środkowy guz: bez efektu. Obróciła amulet i spróbowała na odwrocie znaleźć jakąś skrytkę, ale nic nie odkryła.

- Jak?

Amastan chwycił środkowy guz i przesunął go w bok.

Mariata patrzyła, jak amulet odsłania swoją tajemnicę: sekretny schowek zawierający... pustkę. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Amastan nie poruszał się, lecz trzymał swoją twarz bardzo blisko jej; czuła owiewające ją ciepło jego oddechu.

- Tu nic nie ma - powiedziała, stwierdzając oczywistość.

- Poszedłem do enad - do Tany - i poprosiłem, żeby włożyła tu ochronny talizman. Ale ona... zobaczyła coś, ledwo go dotknęła. Wiedziała... coś. Próbowwała odebrać mi amulet, powiedziała, że ktoś rzucił na niego urok. Byłem zły. Siłą go od niej wziąłem i odszedłem, obrzucając ją obraźliwymi słowami. Chciałem iść do marabuta, żeby kupić werset z Koranu, ale nigdy mi się to nie udało. Nie wiem, co mnie powstrzymywało; może jakieś przesady. A może duma. Sądziłem, że wystarczy sam podarunek, że siła mojej miłości wystarczy, żeby ją chronić. - Potrząsnął głową. - Nie wiem, co sobie myślałem. Była taka szczęśliwa, kiedy go jej dawałem. Jest bardzo stary, z najprzedniejszego srebra. Nosila go przez cały czas, aż...

- Aż? - Bez względu na dalszy ciąg musiała to usłyszeć.

Amastan nie śpieszył się. Słyszała jego oddech, urywany, stopniowo coraz wolniejszy, kiedy odzyskiwał nad sobą panowanie.

- W nowym rządzie, który nazywa siebie niepodległym, jest mnóstwo ludzi z południa, tych, którzy nienawidzą nas najbardziej. Oskarżają nas, że z ich przodków uczyniliśmy niewolników, że wykorzystywaliśmy ich lud. To był pretekst, żeby nas prześladować. Niektórzy członkowie rządu wykorzystują swoją władzę przeciwko nam, odgórnie wyznaczając granice, nie pozwalając, żeby nasi ludzie je przekraczali bez dokumentów, które oni uznali za niezbędne; ale co Tuaregowie mają wspólnego z granicami i dokumentami? Zawsze handlowaliśmy wszędzie i ze wszystkimi, od Sahelu po morze. Kim oni są, ze swoimi rosyjskimi strzelbami i zachodnimi mundurami, żeby nazywać nas „niecywilizowanymi” i „barbarzyńcami”, żeby narzucać nam swój styl życia? Zawsze nienawidzili naszego ludu, ponieważ my jesteśmy wolni, a oni są biedni, ponieważ my nie chcemy mieszkać w nędzy ich miast, poddać się ich rządowi, dać się uwięzić w wyznaczonych przez nich granicach. To co robią, nazywają „prawem”: ale to nic więcej jak mord i prześladowania. Oni są zwykłymi tchórzami! - Walnął pięścią o skałę. - Wszelki opór

wykorzystują jako pretekst do atakowania starców, nieuzbrojonych kobiet i dzieci.

Głos uwiązał mu w gardle. Zerkając spod oka, Mariata zobaczyła błysk nieskrywanych łez.

Manta mieszkała, powiedział jej, w wiosce na północy. Mówiła mu o kłopotach; głównie drobnostkach. Zmiana rządu i odejście Francuzów dodały odwagi wieśniakom z Songhai, którzy zaczęli łupić wszystko, co wpadło im w ręce, choćby nie wiedzieć jak było skromne: żywy inwentarz, jedzenie, koce, nawet garnki. Składano skargi, ale nic z tego nie wynikało. Mnożyły się plotki o niesprawiedliwości i napaściach. Młodzi mężczyźni, którzy bądź to wędrowali po solnym szlaku, bądź polowali, po powrocie zastawali swoje obozowiska w ruinie, matki i ukochane zhańbione lub obrabowane, ale nikogo nigdy nie pociągano do odpowiedzialności. Sytuacja wszędzie wokół tylko się pogarszała. Ludzie znikali, zabierani na „przesłuchania”. Powróciły zadawnione niesnaski i urazy; zatrutowano studnie, niszczone zbiory.

Młodzi mężczyźni z plemion próbowali stawiać jakiś opór, ale nie było wspólnej strategii, żadnego połączenia sił, tylko organizowane na małą skalę akcje w odwecie za doznane krzywdy i okrucieństwo, a to tylko zdawało się pogarszać wszystko. Lepsze jednak takie działanie niż żadne. Amastan przyłączył się do grupy oporu w Górach N'Fughas.

- Poszliśmy w ślady Kaocena, bohatera pierwszego powstania: walczyliśmy jak szakale, nie lwy. Atakowaliśmy i uciekaliśmy, czyniąc jak najwięcej szkód. - Umilkł i głęboko westchnął. Przesunął dłonią po twarzy. Któregoś dnia dowiedzieli się, że żołnierze wtargnęli na odległe tereny na południu, gdzie mieszkała Manta. Dochodziły niepokojące wieści: kobiety gwałcono, żeby zanieczyścić sławną tuarecką krew; tuareckie dzieci siłą osiedlano w miastach. Próbował namówić innych wojowników, by poszli wraz z nim, ale oni toczyli własne bitwy, wyruszył więc sam. - Chciałem ją uchronić przed nieszczęściem. - Zamknął oczy. Wznoszące się nad nimi niebo było blade, bezlitośnie niebieskie. Mariata miała wrażenie, że jeśli odezwie się słowem, runie na nich.

W końcu Amastan podjął opowieść głosem bezbarwnym od tłumionych emocji, ze wzrokiem wbitym w jeden punkt na rzece.

- Jechałem całą noc wzdłuż podnóża wzgórz, czujny na każdy dźwięk. Z jakiegoś powodu bałem się jak nigdy dotąd w życiu. Kiedy mój wielbłąd wypłoszył z krzaków ptaka, omal nie umarłem ze strachu. Każdy cień zdawał się kryć zagrożenie. Krajobraz, który przez lata podróży znałem tak dobrze za dnia, w ciemnościach zdawał się innym światem, w którym roiło się od afritów i ghuli, mściwych duchów śmierci. Wyczułem wioskę, jeszcze zanim ją zobaczyłem. Nie umiem opisać tego jedyne w swoim rodzaju zapachu: nie można sobie tego wyobrazić. Mogę tylko powiedzieć, że gdybyś tak jak ' ja choć raz go poczuła, towarzyszyłby ci do końca życia. Nigdy nie zdołałem się go pozbyć. Czując go, mój wielbłąd zrobił się nerwowy, nie chciał iść dalej. Zaczął się wlec, opierać. Jego ryk rozdarł noc. Musiałem użyć całej swojej siły woli, żeby w ogóle zechciał się ruszyć. Nawet w ciemnościach poznałem, że w powietrzu unosi się chmura, gęsty czarny dym o obrzydliwym smaku, który niby tłuszcz osiadł mi na języku. Z obozu nie dobiegał żaden dźwięk - nie zaszczekał pies, nie zabeczała koza, nikt nie siedział przy ognisku. Pomyślałem, że może ludzie porzucili to miejsce, poszli wyżej w góry...

Kiedy znalazłem się bliżej, poczułem w powietrzu benzynę. To nie był dobry zapach. Po co Tuaregom benzyna? To była obca woń. Ogarnęły mnie złe przeczucia. Chciałem zawrócić. Ale wiedziałem, że nie mogę.

Zobaczyłem przy wejściu do wioski usypany kopiec. Niemal minąłem go bez zastanowienia, ale nagle księżyc zaświecił zbyt jasno. Kopiec usypany był z głów, nie kamieni. Pod wpływem szoku spadłem z wielbłąda; uderzyłem o ziemię i leżałem bez czucia aż do wschodu słońca.

Głów było dokładnie trzydzieści cztery. Policzyłem je wszystkie. Trzydziestu czterech ludzi, których dusze będą błąkać się po wieczność. Czułem je wokół siebie, jak rozzłoszczone krążą w powietrzu. Głowa Manty była trzydziesta pierwsza. Usiadłem, tuląc ją na kolanach. Ona, która była taka piękna, taka pełna życia, teraz stała się twardą zimną masą, całą w zakrzepłej krwi, poszarpaną. Jej błyszczące oczy zasze mgłą, nieruchome...

Słowa urwały się gwałtownie, on jednak jakby sięgnął w głąb siebie i zaczął mówić dalej.

- Błagałem, by jej duch przemówił do mnie, on jednak milczał z wyrzutem. Nie przybyłem jej na ratunek, a amulet nie zdołał ochronić jej przed złem, które przybyło do wioski.

Znalazłem amulet, wciąż jeszcze na jej ciele: nie spalili jej, tak jak wielu innych, wraz z kozami i krowami, porąbanymi maczetami, rozrzuconymi wszędzie, cuchnącymi. Nie powiem ci, jak wyglądała Manta, kiedy ją znalazłem. Ze wszystkich sił próbowałem połączyć jej głowę z tym, co zostało z jej ciała, ale kawałki nie chciały się zrosnąć, choć wściekałem się i błagałem na przemian. Chyba wtedy zmysły mnie opuściły do reszty i przyszedł po mnie Kel Asuf, bo nic więcej nie pamiętam. Nie mam pojęcia, jak wróciłem do Teggart, nie wiem, jak przeżyłem, czy coś jadłem i piłem. Nie byłem już człowiekiem. Nie byłem nim do chwili, gdy przyszałaś i spojrzełaś mi w oczy. Pomyślałem, że jesteś nią, że wróciła do mnie. A potem wiedziałem już, że nie jesteś.

- I dlatego zapłakałaś.

Mariata wzięła jego dłoń i położyła sobie na kolanach, ale wtedy stanął jej przed oczami straszny widok Amastana siedzącego na ziemi w wymordowanej wiosce, z odrąbaną głową ukochanej w ramionach, przemawiającego do niej jak szaleniec, gładzącego jej martwą skórę.

Zanim się zorientowała, biegła, gnała, jakby ścigało ją tysiąc demonów. Zatrzymała się dopiero w obozie, a kiedy znalazła się w namiocie Rahmy, rozglądała się wokół ogłupiała, nie mając pojęcia, jak do niego trafiła.

## ROZDZIAŁ 14

Gdzie ja jestem? Zamrugałam i spróbowałam skupić wzrok, ale w głowie miałam mętlik, a przed oczami przesuwała mi się ziemia i zanim zdołałam w jakikolwiek sposób temu zaradzić, zaczęłam wymiotować niepowstrzymanie, rżąc i krztusząc się, aż nabrałam przekonania, że jeszcze chwila, a pozbędę się żołądka.

- Comment allez - vous?

Głos był łagodny, ale pytanie wydało mi się absurdalne. Przełknęłam resztkę żółci i spróbowałam odzyskać orientację. Olśniło mnie, że podróżuję twarzą w dół, przewieszona przez grzbiet osła.

- Czy możemy się zatrzymać? - wycharczałam. - Pouvons - nous arreter?

Zważywszy na okoliczności, jakaś tkwiąca gdzieś głęboko część mnie pogratulowała sobie, że posiadam umiejętności, które pozwalają mi prowadzić konwersację w dwóch językach.

Jak za sprawą czarów świat przestał się poruszać i mdłości powoli ustąpiły. Mocne ręce pomogły mi zmienić pozycję na zwierzęciu i nagle w zasięgu mojego wzroku pojawiła się obca mi jeszcze wtedy twarz.

- Ca va? Vous allez bien? - zapytał nieznajomy, a ja przypomniałam sobie młodego człowieka w miejscowym stroju, który pomógł mi zejść z góry.

- Gdzie mnie zabieracie? - zapytałam niewdziecznie, przerażona, że jestem zdana na czyjąś łaskę.

- Do domu Nany - padła odpowiedź.

- Nany?

- Naszej babci, Lalli Fatmy. To znana powszechnie uzdrowicielka i zielarka. Tutaj rosną rośliny, jakich nie ma nigdzie indziej na świecie, a Nana jest ekspertem, jeśli chodzi o ich zastosowanie.

Panika zawładnęła mną bez reszty.

- Nie, nie, to absolutnie nie wchodzi w grę - powiedziałam, usiłując nadać mojemu głosowi zdecydowane brzmienie, jakiego używałam, zwracając się do tępych pracowników tymczasowych, których mi podsyłali pod nieobecność mojej asystentki, wymawiając każde słowo powoli i z przesadną dokładnością. - To bardzo miłe z waszej strony, ale nie. Musicie zawieźć mnie do szpitala. Na prześwietlenie.



Mężczyzna roześmiał się; cóż jednak jest zabawnego w człowieku, który z najprawdopodobniej złamaną kostką chce jechać do szpitala? Zmusiłam się, żeby spróbować jeszcze raz.

- Proszę posłuchać, trzeba mi prześwietlić kostkę i prawdopodobnie założyć gips, żeby mogła się poprawnie zrosnąć. Naprawdę nie wydaje mi się, żeby jakieś rośliny mogły tutaj pomóc.

Lecz mój zbawca obrócił się bez słowa, a ja pomyślałam, że może jego francuski jednak nie był tak płynny, jak sądziłam. Westchnęłam. Ponad jego ramieniem dostrzegłam pierwsze zabudowania średniowiecznej wioski - zbiorowisko glinianych chat w takim samym różowoczerwonym odcieniu jak otaczające skały, jakby wyrastały ze swego naturalnego otoczenia. Miały płaskie dachy i malutkie, oprawione w żelazo okienka, a niektóre były chyba tak wiekowe, że zdawały się na powrót przemieniać w głazy i skały. Szans na szpital tutaj raczej nie było. Czarno odziane kobiety przestały siekać warzywa i kopać w ziemi i przyglądały się nam w milczeniu nieufnymi, smoliście czarnymi oczami. Dzieci natomiast na widok Europejki na osiołku biegały wokół z krzykiem i śmiechem. Kozy i owce kręciły się, nerwowo pobekując; nie była to pora, o której zwykły wracać z pastwisk w górach. Co się dzieje? Ogromny biały kogut stojący na murze na nasz widok nastroszył swój jaskrawoczerwony grzebień; jego kurzy harem dziobał i skrobał pylistą ziemię u jego stóp.

- Tutaj nie ma szpitala - odezwał się mężczyzna tonem pogawędki, potwierdzając moje najgorsze obawy - a przynajmniej nie takiego, o jakim pani myśli. Nie ma aparatu rentgenowskiego ani lekarza... cóż - przerwał na chwilę - moja babka jest lepsza od wszystkich lekarzy razem wziętych. Przyjeżdżają do niej po porady z Taroudant i Tiznit; nawet z Marrakeszu.

Wyobraziłam sobie, jak za jakiś czas kuśtykam o lasce, ponieważ noga źle się zrosła; nie, mój rozgorączkowany umysł poszedł dalej: zamiast prawdziwej, którą stracę z powodu zakażenia krwi i gangreny wywołanej leczeniem dziwacznymi ziołami, mam protezę, sztuczną nogę...

- Na miłość boską! - krzyknęłam już niemal na skraju hysterii, czując, jak do końca tracę kontrolę nie tylko nad chwilą obecną, ale nawet nad przyszłością. - Potrzebny mi lekarz!

Nikt nie zwrócił na mnie uwagi z wyjątkiem obszarpanych dzieci z ich ciemnymi roześmianymi oczami. One uważały, że jestem komiczna.

Dziewczyna, która prowadziła osiołka, oddała uzdę mężczyźnie i pobięła naprzód.

- Lalla Fatma! Lalla Fatma! - wołała.

Z glinianych domków wychyły niewiasty w najróżniejszym wieku, żeby zobaczyć, skąd takie zamieszanie. Widząc mnie, kobietę z Europy, uniosły swoje chusty, żeby zasłonić sobie twarze i włosy, być może spodziewając się, że zaraz wyciągnę aparat i zacznę im robić zdjęcia, jak większość niemających o niczym pojęcia turystów. Chwilę później osiołek zatrzymał się przed murem pomalowanym na ten sam różowordzawy kolor, co reszta zabudowań. Mój wybawiciel zdjął mnie z jego grzbietu i wziął na ręce, okazując się zdumiewająco silnym jak na kogoś o tak szczupłej budowie ciała, i poniósł przez ogród pachnący pomarańczowymi i cytrynowymi drzewkami, oliwkami i różami. Szedł ubitą na ziemi ścieżką, a przekraczając próg, musiał zgiąć się niemal w pół, żeby przenieść mnie przez niskie drzwi.

Kontrast między jaskrawym słońcem a mrocznym niczym jaskinia wewnątrz był tak ogromny, że przez chwilę sądziłam, iż ośleplam. Kiedy oczy mi się przyzwyczyły, zobaczyłam, że ogromna izba, w której się znaleźliśmy, pełna była kobiet. Niektóre krzątały się przy domowych pracach, inne oparte o ściany trajkotały świergotliwie jak ptaki, gestykułując przy tym żywo ozdobionymi henną dłońmi. Jedna z kobiet ubijała coś w wielkim kamiennym młódczu; inna doglądała węgla w palenisku na środku pomieszczenia, nad którym grzał się wielki, poczerniały miedziany czajnik, buchając kłęбами pary; jeszcze inna obierała soczewicę, wyłuskując małe ziarna z łupin; czwarta przędła wełnę. Piąta - potwornie gruba - ustawiała gliniane naczynia na niskim okrągłym stoliku, w czym pomagała jej dziewczyna, która sprowadzała osiołka z gór. Jakby tego było nie dość, przez otwarte drzwi wbiegły za nami cztery kozy, becząc głośno. Jedna z kobiet zerwała się, chwyciła szciotkę i zwracając się do każdej kozy po imieniu - Teaza! Imshi! Tufila! Azri! - przegoniła je na dwór. W głowie już mi wirowało.

Duża kobieta wstała i powiedziała coś do pozostałych. Wszystkie po kolei podniosły się, z szacunkiem pocałowały ją w rękę i wyszły, pozostawiając w izbie tylko nas czworo. Tam gdzie jeszcze przed

chwila panował ruch i gwar, teraz zaległa nagła i wymowna cisza. Berber posadził mnie ostrożnie na rozłożonej na podłodze macie, ale starsza kobieta ofuknęła go ze złością, więc pośpiesznie wymościł dla mnie miękkie posłanie z poduszek. Spoczęłam na nich i patrzyłam na kobietę, nie mając pojęcia, co powiedzieć. Wyglądała niesamowicie, ciemnoskóra i wielka, inaczej od reszty kobiet, ubranych na czarno, miała na sobie długą błękitną tunikę z narzuconym jedwabnym szalem w jaskrawe pomarańczowo - czarne pasy, zawiązanym w supeł na obfitym biuście. Na szyi nosiła naszyjnik z bursztynu o koralach wielkości jaj; z naciągniętych małżowin jej uszu zwieszały się ciężkie srebrne kolczyki. Rękawy sukni były podpięte, odsłaniając umięśnione przedramiona ozdobione srebrnymi bransoletkami, które zabrzęczały, kiedy skinęła w moją stronę.

- Marhaban, marhaban! - wykrzyknęła, po czym zaczęła trąkotać głośniejszą do dwójki, która mnie tu przywiozła. Podczas gdy oni w trójkę pograżyli się w najwyraźniej bardzo ożywionej dyskusji, ja rozglądałam się wokół. Wielkie dzbany z oliwą, tak ogromne, że bez trudu ukryliby się w nich złodzieje z bandy Ali Baby, stały wzdłuż dwóch ścian; obok nich zobaczyłam worki, zapewne z ziarnem lub mąką; zaś wokół wszystkich nierównych i chropowatych ścian z gliny były słoiki, pudełka i puszki - wiekowe pojemniki na herbatę Tetley, Lyons i chińską - i sądząc po markach i rodzaju, pochodzące chyba jeszcze sprzed wojny, chociaż ozdobne ornamenty i pozłotka lśniły jak nowe. Doznałam też czegoś zupełnie nowego: w nozdrza uderzyło mnie kilkanaście różnych zapachów, niektóre obrzydliwe, inne gryzące. Pośród nich bez wątpienia rozróżniłam zwierzęce łajno, lanolinę, olej do gotowania, przyprawy i pot; przede wszystkim zaś jakiś zupełnie nieznan mi zapach. Przez ból, hałas i zapachy wirowało mi w głowie, od tego wszystkiego zalała mnie fala mdłości, a przed oczami zamigotały czarne gwiazdki zapowiadające rychłą utratę przytomności.

Młody mężczyzna ukląkł koło mnie i łagodnie podniósł mi głowę.

- Nana mówi, że jestem bardzo nieuprzejmy i muszę panią przeprosić. - Przyłożył dłoń do serca. - Jestem Taib - Tai - iiiib - a to moja siostra, Hasna. - Skinął na szczupłą, poważną dziewczynę, która stała za nim. - Jesteśmy w domu mojej babki, Lalli Fatmy.

Rozpoznając swoje imię w potoku innych, niezrozumiałych słów, stara kobieta przekrzywiła głowę i poklepała się po obfitym łonie.

- Fatma, eyay, Fatma - powtórzyła. Wszyscy spoglądali na mnie wyczekująco.

Przez chwilę nie umiałam przypomnieć sobie, jak się nazywam. Po czym, wkładając w to isticie herkulesowy wysiłek, wygrzebałam z głowy potrzebną informację.

- Isabelle Treslove - Fawcett - powiedziałam i zobaczyłam, jak twarze im nieruchomieją. - Isabelle - dodałam, by wreszcie poddać się całkowicie. - Izzy.

I wtedy parsknęli śmiechem. Babcia Fatma wydała z siebie niski, buczący dźwięk, co rozśmieszyło ich jeszcze bardziej. Zgłupiałam do reszty.

- Wybacz - powiedział w końcu Taib. - Izi to w języku Berberów znaczy mucha, znieawidzone, wstrętne stworzenie.

Znieawidzone i wstrętne, szczęściara ze mnie.

Taib zwrócił się do babki i znowu zaczęli rozmawiać w swojej gardłowej mowie. Taib pokazywał przez drzwi, w kierunku gór, potem na mnie, wciąż jeszcze w uprząży, a stara kobieta przyglądała mi się ze zdumieniem. Powiedziała coś głośno i z naciskiem, uderzyła pięścią w dłoń, pokręciła głową. Podtekst był jasny: te nowoczesne Europejki, które sobie wyobrażają, że mogą robić to samo co mężczyźni! Wspinać się po górach, a potem co jeszcze? Nie dziwota, że teraz ma kłopoty.

Machnęła ręką z rezygnacją, a potem poszła dopilnować czegoś, co Hasna gotowała na palenisku i już po chwili zapach olejku różanego wymieszanego z czymś dziwnym i gorzkim dołączył do mieszaniny woni unoszącej się w izbie. Oczyszczeni atmosferę, babka rozłożyła na podłodze baranią skórę i usiadła na niej ze skrzyżowanymi nogami, zwinnie i bez trudu, jak ktoś, kto od dziesięcioleci ćwiczył mięśnie ud, po czym bez zbędnych ceregieli położyła ręce na mojej chorej kostce. Mój krzyk odbił się od ścian, nikt jednak nie zwrócił na niego uwagi. Wszyscy natomiast wpatrywali się w but marki Salomon, jakby zobaczyli coś zupełnie im obcego. Prawdą jest, że był to stary model, bardzo przeze mnie ukochany, w którym dziurki na sznurówki kryły się pod zapinaną na zamek błyskawiczny klapką z goreteksu. Dla niewprawnego oka musiało to wyglądać na niemożliwe do otwarcia: magiczny but. Taib dobył nóż i wziął się za przecinanie.

- Nie!

Nachyliłam się i nie zważając na mdłości, pokazałam mu, gdzie znajduje się zamek skrywający tajemnicę.

- Mais doucement, sil vous plait. Tres doucement.

Stosując się do mojej prośby, rozsunął zamek najszerszej jak się dało, rozsznurował but i z niezwykłą ostrożnością uwolnił z niego moją stopę - co i tak wycisnęło mi łzy z oczu. Po czym, nie wiedząc czemu, podał mi but. Przytuliłam go do piersi jak talizman.

Lalla Fatma objęła dłońmi moją kostkę i z wielką znajomością rzeczy unieruchomiła staw, jednocześnie badając ruchliwymi palcami nabrzmiałą wokół niego opuchliznę. Bolało, ale nawet w połowie nie tak bardzo, jak się obawiałam.

- La bes, la bes, la bes - mruzczała w kółko, jakby dodając mi otuchy.

Wkrótce rozluźniłam się, co było błędem. Ani się obejrzałam, jak chwyciła mi kostkę jedną ręką, drugą zaś z całej siły ją pociągnęła, wykręciła i rozległ się głośny trzask przypominający wystrzał. Zalała mnie czerwona fala, nawet nie tyle bólu, ile czegoś głęboko umiejscowionego i pierwotnego, jakby pod wpływem dźwięku ruszyła powódź adrenaliny, gwałtowna i czerwona. Potem jej miejsce zajęło białe światło, rozległy się oklaski i rozmowy.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, zobaczyłam, że staruszka jest niezmiernie z siebie zadowolona, jakby zrobiła coś, co przysporzy jej dodatkowej sławy. Nie wiadomo skąd zjawily się pozostałe kobiety, a ona natychmiast zaczęła nimi dyrygować i pomieszczenie po krótkiej chwili ciszy znowu zrobiło się głośne i pełne ruchu. Hasna podała babce naczynie zawierające błotnistą zieloną maź, stara kobieta szybko rozbiła jajko, wypiła białko, a żółtko dodała do mikstury. Postawiła naczynie obok paleniska, żeby się ogrzało, a sama podeszła do półek i po chwili wróciła, niosąc gliniany dzban z zalakowaną pokrywką. Używając siły, otworzyła ją i w powietrzu natychmiast rozszedł się obrzydliwy zapach: zjełczały, zepsuty, cuchnący nie do opisania. Babka powąchała go z zadowoleniem, wsunęła do dzbana rękę i wyciągnęła pełną garść ciemnej mazi. Potem uśmiechnęła się do mnie, pokazując znaczące braki w uzębieniu, i wyciągnęła rękę. Niech nawet nie zbliża się do mnie z tym obrzydlistwem, na pewno dziełem jakiejś czarownicy. Wcisnęłam się w ścianę.

- Nie - powiedziałam, kręcąc głową. - Nie, nie. Wodą, proszę, tylko wodą.

Taib przetłumaczył, ale babka nie chciała go nawet słuchać.

- Oho, oho - powtarzała w kółko. - Aman, oho.

Pogroziła mi palcem. A potem ze zdumiewającą, brutalną siłą chwyciła mnie za kostkę i zaczęła wcierać w nią paskudne mazidło długimi, zdecydowanymi pociągnięciami. Kiedy minęło moje przerażenie wywołane smrodem, zorientowałam się, że w zasadzie był to miły, sięgający w głąb ciała masaż, który rozprowadzał ciepło ze zranionego miejsca w górę, do uda, gdzie stopniowo się rozpraszało. Może ona naprawdę знаła się na tym, co robiła.

Moja kostka samoczynnie drgnęła. Poruszyła się! To znaczy, że jednak nie jest złamana, pomyślałam w przyływie nadziei, chociaż bolała jak diabli. Teraz babka pokryła ją grubą warstwą ciepłego zielonego mazidla, posypała trocinami dla unieruchomienia i obwiązała bandażem, który zrobiła, drąc na paski biały turban Taiba.

- Dwa tygodnie - przetłumaczył mi. - Musisz to trzymać przez dwa tygodnie. Masz zerwane więzadła, może też ścięgno, ale kości są nienaruszone.

W porównaniu z wizją utraty nogi była to dobra wiadomość, jednak nie tak wspaniała, jeśli chodzi o wspinaczkowe wakacje. Nie zrobiłam nawet jednej trasy, pomyślałam ponuro. Skrzywiłam się, zaraz jednak przypomniałam sobie wpojone mi przez matkę zasady dobrego wychowania i podziękowałam.

- Tanmirt, Lalla Fatma.

Tylko tyle zdołałam nauczyć się do tej pory, ale stara kobieta była zachwycona. Pomaszerowała rażno do worków pod ścianą i wróciła z czymś w głębokim rdzawoczerwonym kolorze. Taib stłumił uśmiech, jak magik pozwalający publiczności popatrzeć przez chwilę na królika, zanim z kamienną twarzą sprawi, że zniknie. Patrzyłam na niego, ale stara kobieta coś do mnie mówiła i wyprostowała palce, żebym mogła zobaczyć, co mi ofiaruje. Przez grzeczność sięgnęłam ręką, zaraz jednak z przerażeniem ją cofnęłam.

- Szarańcza - przetłumaczył Taib, wciąż panując nad twarzą. - Szarańcza je tylko najlepsze rośliny i ma wielką siłę w swoich skaczących nogach. Jak ją zjesz, jej siła przejdzie na twoją kostkę i szybko wyzdrowiejesz.

- Nie zamierzam jeść szarańczy - powiedziałam, odpychając rękę Lalli Fatmy, delikatnie, ale zdecydowanie.

- Ale jest suszona i posypana cukrem. Pyszne - mówił dalej Taib.  
- Jemy to jak cukierki. Zobacz. - Włożył jednego owada do ust i zaczął gryźć, a ja patrzyłam na niego przerażona, po chwili jednak wybuchłam śmiechem, kiedy wykrzywił się okropnie i wypluł przeżute resztki na dłoń. - OK. Są obrzydliwe. Nana będzie z nas bardzo niezadowolona.

Jego babka popatrzyła najpierw na niego, potem na mnie, cmoknęła i wyszła z pomieszczenia. Czyżbym ją śmiertelnie obraziła? Nie miałam pojęcia. Jednak po kilku minutach wróciła z czymś błyszczącym, co zaczęła owijać mi wokół kostki.

- Baraka - powiedziała, jakbym miała wiedzieć, co to znaczy. - Baraka.

- Na szczęście - przetłumaczył Taib. - Dla odwrócenia uroku i żeby lepiej się goiło. Ponieważ nie chcesz zjeść szarańczy, to ci pomoże.

Pochyliłam się. Za pomocą cienkich skórzanych sznurków do bandaża przymocowana była mała srebrna płytką. Serce zabiło mi szybciej. Odpięłam zamek błyskawiczny w kieszeni, wyjęłam z niej amulet i pokazałam go jej na otwartej dłoni.

- Popatrz.

Taib i jego babka wpatrywali się w dużą wersję przedmiotu przyczepionego do mojej kostki i zaczęli rozmawiać bardzo szybko, niemal stykając się głowami - jej osłoniętą czarno - pomarańczowym jaskrawym szalem, jego z krótko obciętych czarnymi włosami, przyprószonymi lekko siwizną. Był starszy, niż sądziłam na początku.

- Jest bardzo podobny, prawda? - zagadnęłam. Taib spojrzał na mnie.

- Pochodzą z różnych regionów. Mały należy do naszych mauretańskich przodków; ten drugi pochodzi chyba bardziej z południa. Ale oba na pewno są tuareskie. Skąd go masz?

- To był... prezent.

- Kosztowny. Bardzo piękna robota. Wiesz, skąd pochodzi?

- Chyba został znaleziony w grobowcu na pustyni - powiedziała wymijająco, nie mogąc przypomnieć sobie imienia kobiety, o której była mowa w archeologicznym artykule. - Kogoś, czyje imię znaczyło: „Pani Namiotów” czy coś w tym stylu.

Drgnął.

- Chyba nie Tin Hinan?

W jednej chwili rozpoznałam to imię.

- Tak. Tak się właśnie nazywała. Ale być może talizman nie ma z nią nic wspólnego.

Taib oglądał talizman w wielkim skupieniu. Po chwili pokręcił głową.

- Nie może być aż tak stary, to pewnie przypadek - mruknął, w zasadzie do siebie. - Mogę go od ciebie kupić?

Czy w ten sposób dawał mi uprzejmie do zrozumienia, że powinnam podarować amulet jego rodzinie w ramach podziękowania za uratowanie mnie? Nagle ogarnęła mnie irracjonalna wściekłość: cóż takiego dla mnie zrobili poza tym, że przywieźli mnie do tej starej wiedzmy z jej cuchnącą mazią i chłopskimi lekami. Amulet był mój i nie oddam go nikomu. Zacisnęłam go w dłoni.

- Nie jest na sprzedaż. Wzruszył ramionami.

- Nawet jeśli nie uda się ustalić jego pochodzenia, i tak można by dostać za niego dobrą cenę. W Paryżu. Jest wielu kolekcjonerów takich artefaktów: to oryginalna robota inadan, nie jakaś tam podróbka z niklu.

Spojrzałam na niego z ukosa.

- Dużo wiesz na ten temat.

- Chcesz powiedzieć, jak na biednego, zacofanego Berbera? - Zaśmiał się krótko. - Prawdę mówiąc, jestem tu tylko w odwiedzinach u siostry, Hasny - skinieniem wskazał na dziewczynę, która uśmiechnęła się do niego - Nany i rodziny. Przez resztę czasu zajmuję się północnoafrykańskimi antykami, głównie w Paryżu.

Nagle wiedziałam już, kim jest, i poczułam się jak idiotka. To kuzyn, o którym wspominał restaurator.

- Ach - powiedziałam. - Jesteś tym Taibem.

Kiedy było jasne, że nie zamierzam wyjaśniać swojej dziwnej uwagi, mówił dalej.

- Mogę przyrzeć się bliżej? To naprawdę piękna rzecz.

Niechętnie wyciągnęłam do niego rękę z moim amuletem, ale kiedy to robiłam, coś się w nim poruszyło. Obróciłam go i popatrzyłam na niego.

- Och! Chyba jest zepsuty. To musiało się stać, kiedy spadałam. - Nagle ogarnęły mnie mdłości. Amulet uratował mi życie, a teraz jest zniszczony.

Taib wyciągnął szyję.



- Nie jest zepsuty: popatrz.

Guz na środku był przesunięty, zmienił położenie pod wpływem siły upadku. Za nim było drugie dno, tajemny schowek. Całkiem zapomniałam o obrażeniach, jakie odniosłam, ponieważ wewnątrz ujrzałam malutki zwitek, chyba papieru, pergaminu; a może był to papirus czy coś, na czym starożytni ludzie pisali? Drżącymi palcami spróbowałam go wyjąć, ale tkwił w ukryciu bardzo długo i teraz stawiał opór.

- Ty spróbuj.

Podaliśmy amulet Taibowi, ale jego babka położyła mu dłoń na ramieniu i powiedziała coś tak głośno i szybko, że na twarzy mężczyzny odmalowało się zakłopotanie.

- Nana jest przesadna. Mówi, że lepiej nie zakłócać spokoju zmarłych.

- Zmarłych?

- To takie powiedzenie. Nie zaglądać w przeszłość. Martwi się, że może zawierać zaklęcie, przekleństwo, i nie chce, żeby przeszło na naszą rodzinę.

„Nie wywoływać wilka z lasu”. Nagle przypomniały mi się słowa z listu mojego ojca. Nic z tego! Zdecydowanie zaczęłam grzebać w malutkim otworze, aż w końcu zwitek papieru wypadł mi na dłoń. Czekałam na to dziwne łaskotanie, które poczułam, kiedy po raz pierwszy dotknęłam amuletu, nic podobnego jednak nie nastąpiło. Papier zdawał się bardzo delikatny, kruchy: bałam się, że rozsypie się z chwilą, gdy spróbuję go rozwinąć, ale musiałam wiedzieć, co zawiera. Ostrożnie go rozprostowałam. Co spodziewałam się zobaczyć? Coś na podobieństwo wiadomości w butelce, krzyczącej: „Pomocy!”? Nic nie rozumiejąc, wpatrywałam się w tajemne hieroglify: kółko przekreślone poziomą kreską, jak zakaz wjazdu; trójkąt ze sterzącą kreską, przypominający zamknięty parasol; ludzika z kreską z uniesionymi ramionami; X zamknięte od dołu i od góry; symbol przypominający odwrócony piknikowy stół; dwa malutkie kółeczka, jedno na drugim. Pismo zdawało się biec od jednej krawędzi do drugiej, i z góry do dołu, kunsztownie poprzeplatane, jakby w ochronie przed wścibstwem takich intruzów jak ja. Popatrzyłam na Taiba.

- Wiesz, co to jest: umiesz to przeczytać?

Potrząsnął głową.

- To tiffinagh, pisemna forma języka pustynnych plemion, która żyje dzięki kobietom Tuaregów, Kel Tamaszek. Czy umiem to odczytać? - Pokręcił głową. - Moja rodzina ma tuareskie korzenie, ale wszyscy, którzy umieli czytać w tiffinagh, nie żyją już od dawna.

- A twoja babka?

Widziałam, że stara kobieta wyciąga szyję, żeby zobaczyć, co znaleźliśmy; oczy miała szeroko otwarte, jakby coś wiedziała, ale wolała zatrzymać dla siebie. A potem podniosła ręce w geście obrony przed złem, obróciła się i wyszła. Oboje patrzyliśmy, jak zgina się w niskich drzwiach, wychodzi na podwórko i znika nam z pola widzenia.

## ROZDZIAŁ 15

Mariata unikała towarzystwa Amastana po jego ciężkim wyznaniu. Nie wiedziała, co mogłaby mu powiedzieć. Czemu nie potrafiła znaleźć właściwych słów? Dlaczego nie zareagowała na wielkie poświęcenie, jakim było zwierzenie się jej? Co z niej za poetka; więcej, co z niej za kobieta? Nie potrafiąc z nim rozmawiać, przysparzała mu dodatkowych cierpień: widziała to po sposobie, w jaki na nią patrzył, by zaraz szybko odwrócić wzrok; cień Manty nieodmiennie majaczył pomiędzy nimi. Mariata wyobrażała sobie, jaka była pełna życia, pewna siebie, ładniejsza od innych, trochę buntowniczką, nielekającą się pocałować mężczyzny, który jej się podobał, gotowa oddać mu serce, choć nie zdążyła go nawet dobrze poznać. Innymi słowy, dziewczyna podobna do niej. Co tym bardziej czyniło wszystko dla Amastana trudniejszym: w pewien pokretny sposób wydawało się zdradą wobec martwej kobiety i tragicznej miłości, która ich połączyła.

Jakiś tydzień później Amastan wyruszył z grupą myśliwych na północ w poszukiwaniu zwierzyny na weselną ucztę Leili i Kheddou. Przez kilka pierwszych dni odczuwała ulgę, że go nie widzi, szybko jednak zaczęła tęsknić za nim boleśnie, czując, że serce obróci się jej w kamień, jeśli wkrótce go nie zobaczy. Jakby z zemsty za tę tęsknotę, Manta co noc nawiedzała jej sny, z których Mariata budziła się spocona i rozgorączkowana. Słyszała bezcielesny głos; widziała poruszające się pozbawione głowy ciało; głowa turlała się jej do stóp, otwierając usta, w których tkwił zakrwawiony amulet, teraz wiszący na szyi Mariaty...

Któregoś ranka, kiedy miesiła ciasto na tagellę, zjawiała się przy niej Rahma.

- Wyglądasz na zmęczoną, córko. Mariata przyznała, że niezbyt dobrze sypia.

- Ostatnio jest bardziej gorąco niż zwykle - przyznała Rahma z półuśmiechem, który zdradził Mariacie, że kobieta wie, iż to nie jedyny powód. Kiedy znowu zaczęła mówić, że jej syn wyruszy na solny szlak, Mariata uderzyła w ciasto z całą siłą.

- Nie sądzę, żeby twój syn miał jeszcze kiedykolwiek wyruszyć z karawaną.

Rahma przestała zgarniać pył i piach ze stolnicy i spojrzała uważnie na Mariatę.

- Co on ci powiedział? Powiedział ci już, co stało się z Mantą?

Nawet dźwięk jej imienia dźgał Mariatę jak nóż, milczała jednak. Nawet gdyby znalazła w sobie dość siły, nie do niej należało opowiadanie tej historii.

Rahma nie dawała za wygraną.

- Myślę, że musimy się dowiedzieć; ale to ty musisz go zapytać; przede mną zawsze miał sekrety, nawet jako dziecko. Kiedy miał pięć lat i jego wuj podarował mu nóż, schował go w piasku za namiotem, bo się bał, że mu go zabiorę. Raz podczas zabawy ze starszymi chłopcami zranił się w kolano i był zbyt dumny, żeby mi się poskarżyć, bo a nuż zabroniłabym mu się z nimi bawić: zakrzepła krew przylepiła mu się do spodni, ale ukrywał to przede mną przez pięć dni, aż materiał wrósł mu w ranę. Do dzisiaj ma bliznę. - Posmutniała. - Obiecuj mi, Mariato, że się dowiesz. Obiecuj mi, ze względu na nas obie.

Mariata popatrzyła na nią zaskoczona.

- Dlaczego mnie o to prosisz?

- Widziałam, jak na niego patrzysz. - Machnęła ręką, widząc, że Mariata chce zaprotestować. - Obie go kochamy. Kiedy wróci, zrobię, co mogę, żeby ci pomóc, a ty zrobisz wszystko, żeby pomóc mnie. Obie zapewnimy Amastanowi wszystko, czego mu potrzeba.

- To znaczy?

Rahma patrzyła na nią spod przymkniętych powiek.

- Zostanie tu z nami obiema, założy rodzinę, która da mu siłę i nadzieję, jakiej potrzebuje, żeby odbudować swój świat.

- Nie sądzę, żeby był już na to gotowy - powiedziała Mariata ostrożnie. - Prawdę mówiąc, jestem tego nawet pewna, nieważne, czy ze mną czy z kimkolwiek innym.

- W takim razie powinniśmy dopilnować, żeby tak się stało - rzekła Rahma i zacisnęła usta.

Z całej okolicy zaczęli się zjeżdżać goście weselni, niektórzy aż z Tafadek i Iferouane: ciotki, wujowie, bracia, kuzynowie, starzy przyjaciele. Ciężko było ich wszystkich nakarmić i pomieścić: zaszlachtowano kilka cennych kóz, także kurczaków, chociaż starsi nie będą ich jedli, uważając za tabu. Jako słodką przekąskę przygotowano specjalne danie, półmisek szarańczy ugotowanej i posypanej cukrem.

Po kilku dniach wrócili myśliwi, przywożąc sporo królików, mnóstwo pięknie nakrapianych kur żyjących dziko na wzgórzach i dwie gazy, które upolowali na płaskowyżu nad wioską. Stary kozioł, który miał być tego dnia zaszlachtowany, gdyby myśliwi wrócili z pustymi rękami, został ulaskawiony. Mężczyźni w wiosce śmiali się z tego i jeden z nich powiesił skórzany amulet na szyi zwierzęcia, by zapewnić mu błogosławieństwo baraka. Wszyscy byli w wyśmienitych nastrojach. Wszyscy oprócz Rahmy i Mariaty, ponieważ Amastan nie wrócił z pozostałymi. Myśliwi powiedzieli, że ruszył w drogę, chociaż nie potrafili powiedzieć dokąd.

Mariata próbowała rzucić się w wir przygotowań do wesela, ale nie miała do tego serca. Ranek spędziła na pieczeniu jednego bochenka chleba za drugim: wyrabiała ciasto, odstawiała, by wyrosło na ogrzanych słońcem kamieniach, rozpalając ogień za ogniem, aż powstał żar, który odsuwała na bok, a pod rozgrzany nim piach wkładała chleby i zasypywała żarem, w połowie pieczenia przewracając bochenki na drugą stronę. Był to wymagający skupienia proces i chociaż nieobecność Amastana odczuwała jak niedająca się niczym zapelnąć pustkę, z niezwykłą starannością przykładała się do pieczenia i doczekała się pochwały nawet ze strony starych, pomarszczonych kobiet, które weselny chleb piekły od pół wieku.

Po południu, kiedy zrobiło się zbyt gorąco, by szykować jedzenie i poruszać się w piekącym słońcu, kobiety schroniły się do namiotów, żeby uciąć sobie drzemkę, poplotkować, wybrać biżuterię i stroje na zbliżający się wieczór, przyczernić oczy i nałożyć hennę; mężczyźni tymczasem pochowali się w cieniu drzew na drugim końcu obozowiska.

Podczas gdy Nofa malowała henną płomienie i kwiaty na stopach i dłoniach panny młodej, Leila ubłagała Mariatę, by ta zaplotła jej włosy na modłę noszoną w Hoggarze, która kobietom z Kel Teggart wydawała się efektowna i niespotykana. Czas miło płynął na pogawędce i układaniu włosów, a kiedy fryzura była skończona, wszystkie wolne panny zaczęły domagać się podobnych, Mariata jednak odgoniła je.

- Tak może wyglądać tylko panna młoda: gdybyście wszystkie były uczesane jednakowo, czy mogłaby się czuć wyjątkowa?

Miały tak zawiedzione miny, że koniec końców zmiękła i zaplotła włosy kilku młodszym dziewczynom. Kiedy wreszcie uporała się z

kolejką chętnych, bolały ją palce, ale zobaczyła jeszcze jednego kandydata, czteroletniego Idrissę, który za nic nie chciał zrezygnować z żadnej rozrywki, jaka przypadła w udziale jego siostrze.

- Jeszcze ja - zażądał. - Ja też chcę mieć takie włosy.

Chociaż zmęczona i nieszczęśliwa, Mariata z trudem zdołała ukryć uśmiech. Jak wszyscy malcy w plemieniu, Idrissa miał pojedynczy warkocz wyrastający z czubka jego ogolonej główki, który Mariata wzięła do ręki.

- Idrisso, jeżeli zawinę ci włosy ciasno wokół głowy, jak twojej siostrze, za co anioły cię złapią, kiedy się przewrócisz?

Zastanowił się, ale zaraz na jego buzi pojawiła się sprytna minka.

- Uczesz mnie tak jak Tarichat, a ja obiecuję, że będę uważał, żeby się nie przewrócić. A jutro uczeszysz mnie na nowo.

Wszystkie dziewczęta roześmiały się.

- Ten mały zostanie niezłym kupcem.

- Owszem, już się nieźle targuje - zgodziła się Mariata. - Ale wiesz co, Idrisso, kiedy uczeszę cię jak Tarichat, będziesz wyglądał jak dziewczynka i inni chłopcy będą się z ciebie śmiali.

Idrissa zastanowił się nad tym poważnie, po czym oświadczył:

- Nie chcę wyglądać jak dziewczynka.

I uciekł, śmiejąc się i pokrzykując, by bawić się z innymi chłopcami, którzy za zagrodą dla kóz rzucali psom patyki.

Mariata wciąż z uśmiechem na twarzy wyszła z namiotu, kiedy zorientowała się, że ktoś ją obserwuje. Obróciła się. Za nią znajdowały się namioty kobiet, w których głośno było od śmiechu; tam wszyscy jednak wesoło oddawali się swoim zajęciom i nikt nie zwracał na nią uwagi. Na prawo były zagrody dla zwierząt i bawiące się dzieci; na lewo samotny gaj oliwny; przed nią teren, na którym mężczyźni popijali herbatę, palili i rozmawiali. Nikt nie patrzył w jej stronę. Znowu poczuła mrowienie i zwróciła się w stronę oliwnego gaju. Bardzo wolno, jakby tłumacząc z obcego języka, jej oczy wyłoniły stojącą bez ruchu wysoką postać i ciemny ubiór majaczący niczym cień na tle srebrnozielonego listowia. Jej puls nagle przyspieszył; nawet z tej odległości nie dało się nie rozpoznać Amastana. Czemu tam stał i patrzył na nią? Wszędzie wokół panował rwetes i rozgardiasz przygotowań do wesela; ludzie śmiali się i śpiewali, znosząc naczynia, jedzenie, dywany i bębenki na miejsce uroczystości. On był patrzącym na to wszystko outsiderem, jedynym

nieruchomym punktem w ożywionej krzątaninie. Mariata czuła, że serce ciągnie ją ku niemu, jakby byli czymś ze sobą połączeni. Muszę do niego podejść, pomyślała. Muszę z nim porozmawiać, zasypać przepaść, jaka nas podzieliła, i to dzisiaj. Drżała, wciąż wahając się przed podjęciem decyzji; nagle ktoś stanął jej na drodze. To była Tana, z rękami wciąż splamionymi krwią od sprawiania mięsa.

- Nie rób tego - powiedziała, wpatrując się z napięciem w Mariatę.

- Czego?

- Nie idź do niego. Zostaw go w spokoju.

- Nic nie robiłam - odparła Mariata zdenerwowana. Skąd enad wiedziała, co ona sobie myśli? Jej ręka powędrowała do skrytego pod suknią amuletu.

Tanie nic nie umknęło.

- Widzę, że już za późno. Cóż, ten talizman ci nie pomoże i nie mnie ciebie powstrzymać. Ale powtórzę: nie idź do niego. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

- Nie wiem, o co ci chodzi. Chciałam tylko pomóc Leili zakładać biżuterię.

- Od tego ma siostry.

- Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób, jakbym była jakimś intruzem, kimś, dla kogo nie ma tu miejsca?

Spojrzenie Tany było ciemne i nieprzeniknione, skrywało wszystkie jej sekrety.

- Zobaczyłam śmierć we wnętrzościach i natychmiast przyszłam, żeby cię ostrzec. Powinnaś odejść. Możesz wziąć mojego muła.

Mariata patrzyła na nią.

- Co? Czyją śmierć widziałas? Ale en ad już odchodziła.

- Dokąd mam pójść? - krzyknęła Mariata za nią, ale enad nie odpowiedziała.

Mariacie zrobiło się gorąco, potem zimno. Miała Tanę za przyjaciółkę, tak jak ona obcą przyjętą przez plemię. Ale spojrzenie kobiety kowala było równie wrogie jak jej niepokojące słowa, mimo że zaproponowała jej muła. Czy aż tak bardzo chciała, żeby Mariata odeszła? Czy naprawdę widziała we wnętrzościach śmierć i czy była to śmierć Mariaty? Uderzyła ją inna myśl, jeszcze gorsza od poprzedniej: być może Tana ujrzała śmierć Amastana, za którą w

jakimś sensie ponosiła winę ona, Mariata, i dlatego powinna odejść. Przez długie godziny ucztowania, przy wtórze skocznej muzyki, podczas tańców, rytuału porwania panny młodej i zamknięcia nowożeńców w nowym namiocie Leili, Mariata czuła, jak słowa enad kłębią się i snują w jej głowie, tkając pajęczynę myśli, w której czuła się uwięziona jak mucha. Po zachodzie słońca nie potrafiła się rozgrzać. Dygotała, nawet siedząc tuż przy ognisku, a wspólny śpiew, który zwykle tak uwielbiała, teraz jej nie cieszył. Kiedy tańczyła, to jakby do innej melodii niż reszta dziewcząt, do bębnów słyszanych z wielkiej odległości, wybijających wolniejszy, bardziej uporczywy rytm. Podczas przyśpiewek układanie wierszy nie przychodziło jej tak samo łatwo jak zawsze, gubiła się, nie pamiętała łączących słów, których powinna się trzymać, zapominała języka w ustach. W pewnej chwili dostrzegła spojrzenie, jakie wymieniły między sobą Nofa i Yehali, aż nadto wymowne. Co się dzisiaj dzieje z Mariatą? Z niczym sobie nie radzi: przez nią wszystkie wychodzimy na głupie! Zauważyła, że nawet Amastan przygląda się jej z lekkim zdziwieniem, zmarszczka na czole wyraźnie była widoczna w wąskiej szparze jego turbana. W końcu nie mogła już dłużej tego znieść i wymknęła się cichaczem. Z namiotu zabrała tych kilka rzeczy, z którymi tu przyjechała, bukłak z kozłej skóry na wodę, o co nikt nie będzie miał do niej pretensji, była tego pewna, i trochę upieczonego przez siebie dzisiaj chleba. Potem jak gdyby w transie ruszyła przez obozowisko w stronę kuźni enad i niewielkiej zagrody, w której kobieta kowal trzymała swojego muła. Stała w końcu koło palika, do którego muł był przywiązany. Popatrzyła na zwierzę, które odpowiedziało jej obojętnym spojrzeniem, a jego ślepia połyskiwały w ciemności.

- Cóż, jesteś tu, i ja jestem także - szepnęła do niego Mariata. - Choć kto nam powie, dokąd mamy się udać?

Muł rzecz jasna nie miał na to odpowiedzi, lecz powietrze za plecami Mariaty jakby się poruszyło i rozległ się niski głos.

- Dokądkolwiek chcesz iść, ja cię tam zaprowadzę.

Odwróciła się. Za nią stał Amastan, a jego niebieska tunika zlewała się z ciemnością nocy.

- Ty też chcesz, żebym odeszła? - Ja? Nie.

- Chociaż byłam dla ciebie okrutna?



Nic na to nie odrzekł, ale wydało się jej, że w jego oczach błysnął jakby cień uśmiechu. Owady nocy cykały; z odległej rzeki bryza niosła godowy rechot żab.

- Okrucieństwo i dobroć, dobroć i okrucieństwo - przemówił Amastan w końcu. - Kto je potrafi odróżnić? Rzucone w powietrze jak moneta mają dwie strony.

Mariata zmarszczyła brwi.

- Chyba zauważyłeś, że dzisiaj nie jestem gotowa na słowne gierki, nie mam też nastroju, żebyś kpił sobie ze mnie jak z jakiegoś dziecka. - Podniosła z ziemi stojące tam kosze, przerzuciła je przez grzbiet zwierzęcia i włożyła do nich tych kilka rzeczy, które ze sobą miała. Następnie z westchnieniem zwróciła się do Amastana. - Ponieważ za chwilę wyjeżdżam, będzie lepiej, jeśli przemówię otwarcie. Przyjechałam tutaj, żeby pomóc mężczyźnie, którego wszyscy mieli za szalonego, mordercę opętanego przez demony, który wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będąc w mocy złych duchów, zabił swoją ukochaną. Twoja matka przebyła Tamesnę, żeby mnie odnaleźć, przekonana, że dzięki swemu pochodzeniu będę mogła pomóc. Szybko jednak stało się jasne, że nie ma we mnie żadnej magii, ponieważ nie mogłam dla ciebie nic uczynić. To Tana uwolniła cię od przesładujących cię duchów, nie ja; i zrobiła to ze względu na mnie, nie ciebie. Ponieważ, widzisz, ach, jakie to trudne... - przesunęła dłonią po twarzy i mówiła dalej szybko, zniżając głos niemal do szeptu. - Ponieważ, widzisz, ulitowała się nie nad tobą, lecz nade mną. - Zerknęła na niego z obawą, by sprawdzić jego reakcję na te słowa, on jednak żadnym gestem nie zdradził, czy ją rozumie. - A potem opowiedziałeś mi całą prawdę o tym, co spotkało... Mantę. Otworzyłeś przede mną serce, a ja zamiast współczucia, które powinnam była okazać komuś, kto doświadczył czegoś tak przerażającego, uciekłam jak dziecko wystraszone bajką o potworach! Ty tak długo nosiłeś w sobie wszystkie te straszliwe wspomnienia, a ja... uciekłam. Wstyd mi za to. Być może jednak nie jestem taka dorosła, jak mi się wydawało, mimo to jednak nie powinieneś kpić ze mnie jak z dziecka.

- Na żadne dziecko nie reaguję tak, jak na ciebie, uwierz mi - odezwał się Amastan poważnie. - W istocie napawasz mnie niepokojem.

- Ja napawam niepokojem ciebie?

- Byłem bezpieczny w swoich ciemnościach, ukryty przed wszystkim. Nikt tam nie mógł mnie dotknąć, a moje demony strzegły mnie przed światem. A potem zjawiłaś się ty i światło twoich oczu oraz ostre słowa twojej poezji przebiły się przez moją tarczę ochronną. Tana może uwolniła mnie od demonów, ale to ty otworzyłaś drzwi, przez które mogły uciec. Twój wdzięk mnie poraził, ale twoje milczenie przerażało. Kiedy nie chciałaś ze mną mówić ani nawet na mnie spojrzeć, czułem, jakby noc wróciła, by na nowo mnie pochłonąć. Czułem, że nie ma już żadnej nadziei. Kiedy więc myśliwi wyruszyli, poszedłem z nimi. Byle dalej od ciebie, dalej od plemienia, od wszystkiego. Potem zostawiłem myśliwych i wędrowałem sam. Szedłem daleko bez jedzenia, bez wody, czekając, aż przybędzie śmierć. Ale kiedy tak siedziałem i czekałem, ujrzałem, że wokół mnie świat kręci się dalej, jakbym był czymś zupełnie bez znaczenia: nie ważniejszy od patyka czy kamienia. Wiewiórki ziemne biegały, zakopywały zebrane orzechy i sikały, żeby oznaczyć miejsca, w których je schowały; ponieważ ja siedziałem bez ruchu, nie zwracały na mnie uwagi, biorąc mnie za jeszcze jedną martwą przeszkodę, wokół której muszą biegać. Przemknęła obok mnie jaszczurka, tak szybko przebierając łapkami, że prawie nie dotykała ziemi, a ja wcześniej od niej zauważyłem żmiję, która wystrzeliła spomiędzy kamieni i chwyciła ją w paszczę. Kiedy zapadła noc, leżałem na plecach i patrzyłem na krążące po niebie gwiazdy, patrzyłem, jak Przewodnik ze swoją trójgwiezdą laską prowadzi konstelacje po nieboskłonie, i czułem się jednocześnie wielki i malutki, jak jedna z tych okruszyn życia. I zrozumiałem, że prawdopodobnie nie mogłem nic zrobić, żeby uratować Mantę; żadne czary nie uchroniłyby jej przed śmiercią, że kosmiczny plan jest zbyt potężny, by jeden człowiek zdołał go zmienić, że może nie ma żadnego świata duchów, magii ani zaklęć, że ludzie mówią o tych wszystkich rzeczach ze strachu, ponieważ nie potrafią przyjąć brutalnej prawdy: śmierć i niebezpieczeństwo towarzyszą nam przez cały czas i nie jesteśmy w stanie im zapobiec. Że życie jest krótkie i okrutne, za to gwiazdy - te maciupkie klejnoty światła gdzieś tam wysoko w ciemnościach - one są wieczne. I może my także tam się udajemy, kiedy tu nadchodzi nasz kres. Wierzysz w to, Mariato? Że po śmierci stajemy się gwiazdami, małymi punkcikami jasności w nieskończonym morzu czerni? Czy może zwyczajnie idziemy do ziemi, żeby tam zgnić?

Mariata patrzyła na niego zasmucona, nie wiedząc, co rzec. Przez chwilę wydawało się jej, że jego myśli zwracają się ku niej, ku sprawom serca i rzeczom, które można pojąć, o których mężczyzna i kobieta mogą rozmawiać. Ale wtedy zбочył na niebezpieczny grunt. Została wychowana, by wierzyć w duchy - w dżiny w ich wszystkich postaciach. Mówienie o nich to jednocześnie zachęta, by zjawiły się ich całe tłumy, a o tej późnej godzinie na pewno nie zjawi się żaden dobry dżin, lecz Kel Asuf, Ludzie Pustkowie, ci, którzy odciągają myśli żywych od rodzin i bezpiecznego blasku ognisk, zamieniając ich w szakale, zdziczałych padlinożerców pustyni; ifryty i demony, duchy nocy; ghule, te mściwe dusze skrzywdzonych i przeklętych, które krążą wokół miejsc, gdzie ich życie przedwcześnie dobiegło końca, spragnione cierpienia innych, by ich własne stało się mniej dotkliwe; qareen, osobiste demony, zawsze gotowe szeptać do ucha i namawiać do złego, sprowadzać pocziwą duszę na manowce.

A to całe gadanie o gwiazdach i śmierci: skąd mu się to wzięło? Babka nauczyła ją kosmologii ich świata, każdą jej część wplatając w opowieści i wiersze z czasów jej własnej babki, która z kolei nauczyła się ich od starszych pokoleń. Wiedziała, że zmarli, którzy nie zaznali spokoju, chodzą po ziemi; że po śmierci trzeba natychmiast wejść z powrotem w ciało, nienaruszone, z twarzą zwróconą na wschód, grób przywalić siedmioma płaskimi kamieniami, żeby dusza została tam, gdzie jej miejsce, i zabezpieczyć kolczastymi gałęziami, żeby dzikie zwierzęta nie rozszarpały ciała. Fizyczna powłoka na pewno gnije w ziemi: śmierć otacza ją nieustannie - martwe kozy i psy, wielbłądy i niemowlęta - to fakt niezaprzeczalny; ale żywot duszy to zupełnie inna sprawa. Wyznawcy nowej religii mówili o jakimś bliżej nieokreślonym niebie, do którego udają się dusze wybranych, ale ludzie tacy jak jej babka, i ci jak Rahma, odrzucający nauki islamu, patrzyli na świat w ciemniejszy, bardziej pierwotny sposób. Lecz nikt nie mówił o duszach w gwiazdach. Szalona wizja zmarłych unoszących się ponad nią na bezkresnym niebie wydawała się jednocześnie obraźliwa i rewolucyjna; czuła, jak jej umysł buntuje się na samą myśl, że coś takiego byłoby możliwe. Potrząsnęła głową.

- Nikt nie powinien w nocy mówić o takich rzeczach. To przyciąga zło. - I dotknęła amuletu, który nosiła na szyi.

Amastan uśmiechnął się.

- Wciąż masz mój amulet.

- Od chwili kiedy odebrałyśmy ci go.

- Kiedyś wierzyłem, że mieszka w nim całe zło świata. - Postąpił krok w jej stronę, chwycił za kolorowy sznurek z koralików, na którym wisiał talizman, i wydobył go spod jej sukni. - Ale kiedy zobaczyłem go na tobie, zrozumiałem, że to nie może być prawda. Moje serce się raduje, kiedy widzę, że go nosisz, Mariato. - Popatrzył na nią spokojnie. - Zanim spotkałem Mantę, moje serce nigdy nie zabiło żywiej. Myślałem, że to się już nie powtórzy.

- A teraz? - zapytała zdenerwowana, z jawną tęsknotą w oczach.

Milczał tak długo, że zaczęła obawiać się, iż zbyt go naciskała, przekroczyła granicę, okazując brak szacunku. On jednak ujął ją za rękę, obrócił dłonią do góry i wpatrywał się w nią w skupieniu.

- Taka mała rączka - powiedział i uniósł jej dłoń do ust.

Przez miękki materiał zawoju czuła na skórze ciepło jego warg i pomyślała, że nie zdoła ustać na nogach.

- Pójdź ze mną - rzekł w końcu i poprowadził ją ku rzece.

## ROZDZIAŁ 16

Z miłej drzemki wyrwał mnie przeraźliwie rozdzierający krzyk dziecka.

Obróciłam się i ujrzałam jasnowłosego brzdąca, który leżał na ścieżce i walił piąstkami w ziemię, z buzią poczerwieniałą z wściekłości. Jego umęczona matka, o takich samych blond włosach, przedefilowała przez udekorowane roślinami hotelowe patio i podniosła go.

Za nimi szczyty Ameln Valley lśniły w słońcu; Lew wyglądał, jakby drzemał zmożony upałem.

- On się nudzi jak mops! Nie mam pojęcia, czemu uznałeś, że przyjazd tutaj to taki świetny pomysł: on nie ma się tu czym zająć! - krzyknęła przez ramię do męża, łysiejącego mężczyzny, który z zapamiętaniem studiował mapy rozłożone na stoliku kilka metrów ode mnie. Kobieta wróciła i bezceremonialnie posadziła mu na kolanach rozwrzeszczane dziecko. Mężczyzna spojrzał na nie zaskoczony, jakby nie miał pojęcia, co też to takiego. Potem nachylił się, z tacy z herbatą wziął migdałowe ciastko i wetknął malcowi do buzi; dziecko kompletnie zaskoczone umilkło w ułamku sekundy.

Poczułam przyptyw współczucia dla malucha. Gdyby wypadało, żebym dostała podobnego ataku wściekłości, nie wahałabym się ani chwili. W pobliżu jednak nie było nikogo, kto podniósłby mnie z ziemi, otrzepał z kurzu i nakarmił migdałowym ciastkiem, żebym się zamknęła. Cóż, przynajmniej ciastkiem mogłam poczęstować się sama: zamówiłam miętową herbatę wraz z wyśmienitymi dodatkami i kompletnie o niej zapomniałam, zapadając w drzemkę. Chłopak, który podawał do stołu, najwyraźniej był zbyt uprzejmy, żeby mnie obudzić. Nalałam sobie herbatę do szklanki, niestety, zrobiła się chłodna i przybrała pomarańczową barwę od zbyt długiego parzenia, a kiedy się jej napiłam, była w smaku gorzka jak piołun.

Spędziłam trzy dni moich bezcennych wakacji uwięziona w hotelu w Tafraout, dając odpocząć mojej przeklętej kostce, podczas gdy cała reszta świetnie się bawiła. Pierwszego dnia, kiedy Taib mnie uratował i odtransportował tutaj, Eve została ze mną, jednak przytłaczający mnie ciężar winy na widok jej znudzenia, które dzielnie starała się ukryć, był gorszy od samotności. W końcu nie mogłam go już znieść i kazałam jej dołączyć do Milesa i Jeza.

Drugiego dnia prawie mi się podobało, że mam do dyspozycji tyle czasu i nie muszę nic robić ani nigdzie iść. Siedziałam na tarasie z twarzą zwróconą do słońca jak jakiś ciepłolubny kwiat i czułam, jak moje napięte jak postronki nerwy powoli się rozluźniają. Podziwiałam imponujące widoki, nie mogąc się nadziwić, że znalazłam się na kontynencie, na którym ludzkość wzięła swój początek. Patrząc na ogromne, niezmiennie od wieków zbocza z kwarcytu, piętrzące się wzgórza z pomarańczowoczerwonego granitu i jaskrawe plamy zieleni w oazach na dnie doliny, bez trudu mogłam wyobrazić sobie życie toczące się tutaj od najwcześniejszych czasów: niekończącą się procesję ludzi i zwierząt, wędrujących, by sprzedać swoje towary, wymienić plony i artefakty na to, czego sami nie mogli wyprodukować i wyhodować. Kiedy patrzyłam na miejscowych, krzątających się niespiesznie wokół swoich codziennych spraw, w długich szatach i nakryciach głowy - kobiety w chustkach, mężczyźni w turbanach - które nosi się tu od stuleci, niemal wyobraziłam sobie siebie jako podróżnika w czasie i jednocześnie turystę, kogoś, kto przebył nie tylko tysiące powietrznych mil, ale także tysiąclecia.

Jednak świeżość wrażeń na nowym miejscu zaczęła blednąć, a ja żałowałam już, że byłam tak niemiła dla Taiba, kiedy podrzucił mnie do hotelu po tym, jak jego babka odprawiła nade mną swoje czary. Cóż, może nie tak do końca podrzucił, jako że uparcie chciał na rękach przenieść mnie z osiołka do hotelowego holu, niczym pan młody przenoszący swą oblubienicę przez próg. Ta nadmierna poufałość rozwścieczyła mnie niepomiernie, wyrwałam mu się więc i potraktowałam nad wyraz niegrzecznie, nie chcąc, aby srogo wyglądający recepcjonista dostrzegł w naszym zachowaniu coś niedozwolonego.

- Jutro albo pojutrze przyjadę po ciebie, obwiozę po okolicy swoim samochodem, jeśli będziesz chciała - zaoferował uprzejmie.

Odmówiłam, a teraz żałowałam.

Spojrzałam na zegarek. Minęła dopiero trzecia. Niesamowicie, jak wlecze się czas, kiedy nie spędza się go w żaden pożyteczny sposób. Otworzyłam wymiętoszony przewodnik w próżnej nadziei, że znajdę w nim jakiś tajemny rozdział, którego jeszcze nie przeczytałam, ale oczywiście nie została ani jedna kartka, której bym nie przewróciła. Przeczytałam już też jedyną przywiezioną przez siebie książkę - biografię Gertrudy Bell - i w przypiływie rozpaczy przeszukałam

bagaż Eve, gdzie jednak udało mi się znaleźć tylko dziewczynską powieść, niestety po dwóch stronach bzdurnej paplaniny o chłopakach i butach nie byłam w stanie dłużej się na niej skupić. Praca i jej rygory trzymały mnie w ryzach jak fiszbyny gorsetu; wspinałam się podczas takich jak te wakacji, wprowadzając do nich własną rutynę i rozkład dnia, według których żyłam. Nie mając ani jednego, ani drugiego, byłam kompletnie zagubiona, jak bezkształtna, bezrozumna meduza. Nienawidziłam tego poczucia bezradności, braku wewnętrznej motywacji. Rzeczywiście byłam takim robotem zaprogramowanym przez nudne, w kółko jedne i te same wymogi zachodniego stylu życia i pracy, że nie potrafiłam znaleźć sobie żadnej rozrywki, mając jedynie zwichniętą kostkę? Jak radzili sobie inni, znacznie boleśniej dotknięci jakąś niemocą?

Teraz już na siebie zła postanowiłam wybrać się do miasta, bez względu na wszystko. Może odwiedzę sklepy z biżuterią, o których wspominała kobieta z restauracji, popytam trochę o amulet. Biorąc pod uwagę, że całkiem znośnie posługiwałam się francuskim, może uda mi się też porozmawiać nieco o okolicy, miejscowej kulturze i obyczajach. A może tylko pokręcę się między straganami małego suku, który zauważyłam, gdy kupowaliśmy prowiant na naszą wspinaczkę na Lwią Głowę. Kto wie, jakie jeszcze dziwactwa odkryję w miejscu, w którym je się szarańczę dla zabawy?

Ożywiona tymi wstępnymi planami byłam gotowa do działania. Żeby się nie rozmyślić, położyłam dwadzieścia dirhemów za herbatę na tacy, wepchnęłam przewodnik do torby i powoli wstałam, balansując na zdrowej nodze. Potem ostrożnie postawiłam chorą stopę na ziemi i na próbę częściowo przeniosłam na nią swój ciężar. Jezu! Pod wpływem ostrego bólu, jaki przeszył mi całą nogę, ze świstem wciągnęłam powietrze. Chwyciłam się stołu i czekałam, aż ból minie, co rzeczywiście po chwili nastąpiło. Kiedy jednak zgięłam palce, żeby uczynić następny krok, kolejny, mniejszy ból dźgnął mnie w łydkę. Au! Jeśli przyjdzie mi spędzić w tym przeklętym hotelu jeszcze jeden dzień, choćby godzinę... Zrobiłam krok, i następny.

- Mademoiselle?

Głos rozległ się tuż za moimi plecami. Obróciłam się, straciłam równowagę, osunęłam się na ziemię, waląc kostką o metalową nogę krzesła, by wreszcie zaryć twarzą w kamienie na patio. Pod wpływem

bólu z cywilizowanej istoty ludzkiej zmieniałam się w ordynarnego bachora.

- Cholera! Co to, kurwa, za chore pomysły, żeby tak mnie zachodzić od tyłu i brać z zaskoczenia? Jezu, moja cholerna kostka! Chryste miłosierny!

Jeszcze przez jakiś czas miotałam się i przeklinałam, posługując się moim najlepszym wspinaczkowym angielskim, aż wreszcie cała wściekłość i ból ze mnie uszły. A przez cały czas jakaś cząsteczka mnie jak mały demon przycupnięty na moim ramieniu i szepczący do ucha przypominała mi człowieka bez nóg, którego widziałam w mieście, jak na małym wózek odpychał się kłykciami po ulicy i żartował z biegającymi wokół dziećmi; starą kobietę zgiętą nieomal wpół przez jakąś okrutną postać skoliozy, która wykręcała głowę pod niesamowitym kątem, żeby uśmiechnąć się do każdego mijanego człowieka i życzyć mu miłego dnia i baraka; przeraźliwie wychudzonego chłopca, który spadł na głowę ze swego osiołka na samym środku ulicy, po czym natychmiast, jak napędzany sprężyną, zerwał się na nogi, otrzepał z pyłu i roześmiał, by odwrócić uwagę od tego, że wszyscy wokół śmiali się z niego, choć przecież na pewno bardzo się potłukł. Ja miałam tylko skręconą kostkę, a robiłam idiotyczną scenę, jak ujęłaby to moja matka. „Izzy, nie rób sceny”. Jakby to był najgorszy grzech pod słońcem. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że nawet jasnowłosego malec przygląda mi się z otwartą buzią.

Tak jest, pomyślałam brutalnie, wciąż tkwiąc w niewygodnej i ośmieszającej pozycji na nierównej ziemi. Dobrze się przyjrzyj: tak wygląda porządny napad wściekłości u dorosłego, synku. Może powinieś przyswoić sobie kilka ładnych anglosaskich słówek, żebyś mógł naprawdę wstrząsnąć swoimi okropnie ważnymi, należącymi do klasy średniej rodzicami?

Ktoś ujął mnie pod pachy, dźwignął do pionu i posadził na krześle, potem zaczęła się jakaś krzątanina, szybka paplanina w niezrozumiałym berberyjskim języku i już po chwili nadbiegł pracownik hotelu, niosąc dzbanek z wodą i mały biały ręcznik. Zanim się zorientowałam, ktoś zaczął mi ocierać twarz, mrucząc uspokajająco po francusku.

- To tylko otarcie, nic złego się nie stało.



Odepchnęłam ręcznik od swojej twarzy, nagle rozjuszona, że ktoś narusza moją osobistą przestrzeń.

- Proszę dać mi spokój!

- Najmocniej przepraszam, ale próbowałem tylko pomóc.

Jakżeby inaczej, był to Taib, ze smutkiem wypisanym na jego widocznej pod turbanem twarzy o ostrych rysach.

- Przepraszam - bąknęłam skrepowana swoim wybuchem. - Po prostu mam dość tego, że ciągle ktoś musi mi pomagać.

- Pomyślałem sobie, że może wybralibyśmy się do wioski w górach, do pewnej bardzo starej kobiety, która być może będzie umiała powiedzieć, co znaczą inskrypcje na twoim amulecie.

Popatrzyłam na niego.

- Naprawdę? - Ciekawość walczyła we mnie z ostrożnością. Czy mogę zaufać temu człowiekowi, którego ledwo co poznałam? „Czy możesz zaufać mężczyźnie?”, podpuszczał głos rozbrzmiewający w mojej głowie. Metaforycznie westchnęłam głęboko i odgoniłam tę myśl. - OK...

- Chyba już starczy tego wylegiwania się na słońcu, prawda? Uśmiechnęłam się do niego udobruchana.

Siadł obok i popatrzył na mnie uważnie.

- Europejczycy zwyczajnie nie przywykli, żeby siedzieć i nic nie robić. - Zaśmiał się. - My, Marokańczycy, możemy spędzać beczynn timer całe dni. W Paryżu tylko pracuję, pracuję i pracuję: cały dzień, czasem całą noc. Tutaj - rozpostarł ręce, dając do zrozumienia, że mówi o całym mieście i majestatycznych górach - znowu staję się sobą. Zwalniam, czasem nawet zatrzymuję się zupełnie. Późno wstaję, długo i powoli jem śniadanie, potem siedzę w kawiarni i rozmawiam z przyjaciółmi. Odwiedzam wszystkich sąsiadów i krewnych, za którymi stęskniłem się, kiedy byłem w mieście, dowiaduję się, co u nich nowego, spędzam z nimi czas. Patrząc, jak słońce zmienia kolor skał. Dużo śpię albo siedzę i patrzę, jak płynie sobie życie. Ale widzę, że tobie przychodzi to z trudem.

Potrząsnęłam głową.

- Nie znoszę tak nic nie robić. Dostaję od tego szału.

- Bardzo źle. To mogłoby ci dobrze zrobić.

Rzuciłam mu wrogie spojrzenie, ale postanowiłam ugryźć się w język.

- Tak... ta starsza pani. Gdzie jest i jak ją znalazłeś?

- Mieszka w wiosce o parę godzin jazdy stąd na południe, w miejscu, które nazywa się Tiouada. Nana знаła ją, kiedy była dzieckiem: jest... jest daleką kuzynką.

- I umie czytać w tiffinagh? Wzruszył ramionami.

- Tak mówiła Nana. Ale co masz do stracenia? W najgorszym razie spędzisz czas w towarzystwie jednego z najbardziej czarujących synów Tafraout i w ramach bonusu zwiedzisz przepiękne okolice. Według mnie to całkiem niezły interes.

- Naprawdę?

Rzucił mi nieśmiałe spojrzenie spod rzęs, które jak zauważyłam z irytacją, były dłuższe od moich.

- Często to słyszę.

- A czy muszę zapłacić za ten przywilej?

Zaczynałam przyzwyczajać się do oczekiwań miejscowej ludności, która z uśmiechem udając, że chce się turystom przysłużyć, tak naprawdę tylko czekała, żeby zedrzeć z nich skórę.

Taib chyba poczuł się obrażony, ale szybko to ukrył.

- Jeśli masz ochotę, możesz dorzucić się do paliwa - odrzekł krótko i wstał, szykując się do wyjścia. - Radzę wziąć kurtkę. Po zachodzie słońca w górach robi się naprawdę chłodno.

Patrzyłam za nim, jak szybkim krokiem zbiega ze schodów na hotelowy parking, i poczułam nagły przypływ irytacji. A potem, podskakując i kuśtykając na przemian, poszłam do pokoju po kurtkę.

Dotarłam na parking i chociaż rozglądałam się uważnie, nigdzie nie dostrzegłam Taiba. Parę zwyczajnych kombi porzuconych przez niezbyt mądrych kierowców smażyło się w pełnym słońcu; zabytkowy renault kierownika hotelu stał chytrze ukryty w cieniu figowca. Poza tym zobaczyłam jeszcze tylko pustego pick - upa dacie i lśniącego czarnego SUV - a. Nawet po tak krótkim pobycie w Maroku bez trudu i z dużej odległości odróżniałam miejscowe auto od zagranicznego: uznałam, że Taib musiał pojechać zatankować przed naszą wyprawą. Kiedy więc SUV nawrócił z cichym pomrukiem i zatrzymał się przy mnie, byłam szczerze zaskoczona.

- VW Touareg - powiedziała, opadając na siedzenie dla pasażera. - Wybrałaś go ze względu na nazwę?

- Absolutnie nie - odparł z kamienną twarzą i ruszyliśmy w skórzanym klimatyzowanym luksusie.

Zjeżdżaliśmy ze wzgórza, mijając nowoczesne domy w kolorze terakoty, internetową kafejkę z ręcznie wymalowanymi napisami na szybie; sklepik sprzedający miejscowe antyki; staruszka dosiadającego bokiem wychudzonego osiołka; ciężarówkę, z której wyładowywano dziesiątki kontenerów z napojami do magazynu, który według mnie i tak był już zawalony po sufit. Wyciągnęłam szyję.

- Zwyczajna coca - cola - zauważyłam. - Koszmar.

- Ach, tak - powiedział Taib. - Nikt nie lubi dietetycznej: dla tutejszych ludzi cukier to waluta. Jeśli pijesz colę light, na pewno jesteś biedna. Nawet jeżeli kosztuje tyle samo. Handlowaliśmy nim; wiesz, cały świat używał marokańskiego cukru. Nowożeńcom wciąż daje się głowy cukru, jest to świetny prezent także przy innych wyjątkowych okazjach. Moja matka ma jeszcze głowy, które sama dostała z okazji ślubu, a także tę, która upamiętnia moje urodziny.

- Naprawdę? - Byłam zaintrygowana. - Głowy cukru? Chyba w życiu żadnej nie widziałam.

- Zobaczysz.

Kiedy wjechaliśmy do centrum miasta, zobaczyłam, że wszędzie kręcą się dzieci w wieku szkolnym, dyskutują o czymś z ożywieniem albo snują się grupkami po troje lub czworo, chłopcy w poprutych džinsach z targu, T - shirtach i podróbkach butów Nike, dziewczynki, wszystkie szczuplutkie i ciemnowłose, w džinsach i białych płaszczach, jakby właśnie skończył się zlot młodych adeptów chemii. Prawie żadna z nich nie zasłaniała włosów, natomiast te nieliczne kobiety, które zobaczyłam - ich matki, ciotki i starsze siostry - wszystkie nosiły przepisowe czarne haiki, spod których dostrzec można było jedynie ich twarze, ruchliwe brązowe dłonie i jaskrawo obute stopy. Mężczyźni siedzieli przy kawiarnianych stolikach wzdłuż ulicy, palili, pili herbatę i rozmawiali, chociaż ich oczy leniwie bacznie śledziły każdy szczegół. Wkoło panował niespieszny spokój: nikt w zasadzie niczym szczególnym się nie zajmował, może z wyjątkiem pracowników kawiarni. Na centralnym placu Taib zatrzymał samochód i wysiadł, zostawiając mnie samą. Zaczęłam się rozglądać. Wzdłuż placu z jednej strony mieściły się zakurzone sklepiki. Wystawione w nich były na sprzedaż dywany, których jaskrawe kolory dzień po dniu blakły w słońcu, osiągając w końcu barwy jak ze starego kolorowego zdjęcia; pasiaste wełniane płaszcze i tuniki z kapturem, z pozoru zbyt grube i ciepłe, by można je nosić

gdziekolwiek poza biegunem południowym; zdobione ornamentami miecze i sztylety; srebrna biżuteria i naszyjniki z wielkich kamieni rozwieszane na wyblakłym filcu; miedziane czajniki, pozieleniałe od śniedzi, mnóstwo wielkich, starych glinianych dzbanów, takich samych jak te, które widziałam w domu Lalli Fatmy - wszystko dla turystów, ale na tyle nędzne, by mogło być autentyczne.

W samochodzie zaczęło robić się gorąco: przekreśliłam kluczyk w stacyjce i opuściłam okno. Ledwo to zrobiłam, dwaj nastoletni chłopcy siedzący na jednym zdezelowanym rowerze przejechali wolno obok mnie i jeden z nich spojrzął na mnie przez ramię. Powiedział coś do kolegi, który siedział z przodu, opierając stopy na ramie, istna płatanina kolan i łokci, a potem zawrócił rower i ruszył w przeciwnym kierunku.

- Gazela! - oświadczyli obaj jednocześnie i chichocząc, odjechali.

Gazela? Czy miało to być obraźliwe czy też wręcz przeciwnie, powiedzieli mi komplement? Nie miałam najmniejszego pojęcia. Chyba lepiej, że na mój widok nie krzyknęli: „hipopotam!” albo „słoń!”, ale mimo to... Obejrzałam się i zobaczyłam, że ta uwaga rozśmieszyła niektórych mężczyzn w kawiarni. Inni przyglądali mi się tymi swoimi leniwymi czarnymi oczami, z nieprzeniknionymi twarzami. Odetchnęłam z ulgą, widząc, że wraca Taib, mimo że pogrążony był w gwałtownej dyskusji z kimś w tunice barwy królewskiego błękitu, pięknie haftowanej złotem i w wielkim czarnym turbanie. Obaj wyrzucali z siebie z szybkością karabinu wściekłe, gardłowe słowa i dziko wymachiwali rękami. Nagle Taib chwycił swego towarzysza za ramiona i byłam przekonana, że wdadzą się w bójkę, ale już po chwili obejmowali się serdecznie, zanosząc głośnym śmiechem. Najwyraźniej nie rozumiałam nie tylko języka, ale też mowy ciała typowej dla tutejszej kultury.

Taib doszedł do samochodu, otworzył drzwi i pokazał mi swego towarzysza.

- To mój kuzyn, Azaz.

Byli mało do siebie podobni, jak na członków tej samej rodziny. Taib miał delikatne, pociągłe kości twarzy, zaś Azaz był pucołowaty i nosił wielkie wąsiska jak Saddam Husajn.

- Witam, witam - powiedział, z ożywieniem ściskając moją rękę.

- Bardzo dobrze mówię po angielsku, po francusku i niemiecku też;

wszyscy turyści przychodzą do mnie po radę. Bardzo mi przykro z powodu wypadku, jaki miała pani na Lwiej Głowie.

Poczułam się zaskoczona.

- Czy wszyscy w Tafraout już o tym wiedzą? - zapytałam niezbyt zadowolona.

- Ależ oczywiście - zapewnił mnie. - Wszyscy! Wszyscy wiedzą o młodej Angielce na górze. Ale bardzo cieszymy się, że nasz Lew się panią zaopiekował i zesłał Taiba, żeby pomógł.

- W zasadzie Angielka tylko w połowie: po ojcu Angliku, ale matce Francuzce.

- Pani przyjaciele chyba zmartwili się, kiedy zeszli z Lwa i nie mogli pani nigdzie znaleźć.

- Ich też znacie?

- Oczywiście! Znam wszystkich wspinaczy, którzy tu przyjeżdżają. Bardzo wielu Anglików! Poznałem Joego Browna i Chrisa Boningtona, i dziennikarzy, którzy piszą przewodniki i artykuły do gazet: wszyscy przychodzą do mnie, a ja opowiadam im o górach i tutejszych trasach. Więc tak, znam pani przyjaciół Milesa i Eve, i jej miłego męża, Jeza.

- Nie jest jej mężem - powiedziałam.

Azaz nie wydawał się tym w najmniejszym stopniu przejęty, wręcz przeciwnie - roześmiał się serdecznie i z kłaśnięciem złączył dłonie. Zauważyłam, że były bardzo pulchne i miękkie. Na pewno nie były to ręce wspinacza.

- Ach, my tu jesteśmy bardzo wyrozumiali, nie przejmujemy się. Będziemy go nazywać jej copain, najserdeczniejszym przyjacielem.

Azaz odsunął się. Kątem oka dostrzegłam, jak wraz z Taibem wymieniają spojrzenia, po czym obaj wsiedli do auta, Azaz do tyłu; co prawda tak bardzo wychylił się do przodu między siedzeniami, że równie dobrze można było uznać, że siedzi z przodu razem z nami. Razem z Taibem jak nakręceni paplali po berberyjsku, nie kłopotując się nawet, żeby mi tłumaczyć. Wyjechaliśmy pędem z miasta i pomknęliśmy w górę, pnąc się na płaskowyż. Zaczęła mnie ogarniać lekka panika; dokąd my znowu jedziemy? Nawet nie umiałam sobie przypomnieć nazwy wioski, do której się udawaliśmy: jak mam podjąć podstawowe środki bezpieczeństwa i wysłać Eve SMS - a z informacją, gdzie aktualnie się znajduję? Po raz kolejny uświadomiłam sobie, że nic nie wiem o Taibie, o jego kuzynie nawet

nie wspominając. Może wywożą mnie w jakieś oddalone miejsce, żeby zrobić ze mną coś strasznego? Czy moje ciało zostanie porzucone na pustkowiu, wydane na pastwę sępów i szakali? Czy tu w ogóle są sępy? Pomyślałam o mężczyznach w przydrożnej kawiarni, jak z męską solidarnością uśmiechali się do żartujących sobie ze mnie chłopców na rowerze: jeśli zniknę, czy wszyscy tutaj nabiorą wody w usta i przyjmą obojętną postawę wobec świata domagającego się wyjaśnień, tak samo jak tutejsza architektura kryje ich sekrety za wysokimi murami i zasłoniętymi oknami?

- Muszę zawiadomić moją przyjaciółkę Eve, gdzie jestem, bo będzie się martwić - odezwałam się głośno, wchodząc im w rozmowę.

- Nie ma takiej potrzeby - uspokoił mnie Taib. - Wszyscy wiedzą, że pojechała pani z nami do Tiouady - dzisiaj tam jest fichta.

- Co takiego?

Ale oni już dyskutowali dalej. Tii - łada. Tiiiuooda. Jak to się pisze? Wygrzebałam z torby telefon, włączyłam go i już miałam zacząć pisać SMS, kiedy rozległo się głośne pipnięcie i na ekranie wyskoczyła ikonka koperty. Zdaje się, że dostałam wiadomość. Otworzyłam ją.

**JACYŚ GOŚCIE ZAPROSILI NAS NA KOLACJE W SWOJEJ WIOSCE. CHYBA NIE MASZ NIC PRZECIWKO. NA RA EVE X.**

Super. Już miałam odpowiedzieć, kiedy sygnał zamigał, po czym zniknął. Jeszcze lepiej.

- Co to jest fichta! - zapytałam, korzystając z chwilowej przerwy w ich rozmowie.

- Une fete, świętowanie, przyjęcie!

- Duuuuże przyjęcie - rozpromienił się Azaz. - Dużo muzyków, wszyscy będą baaardzo szczęśliwi. A Taib i ja będziemy grać.

- Grać?

- Na bębnach! Agwal i tamtam; Mohammed przyniesie ganga... Ganga! Chodziło mu o gandzię? Co to ma być za impreza? Moja panika wzrosła.

- Gdzie one są, te bębny? - zapytałam.

- Z tyłu, za Azazem. Obróciłam się. Za tylnym siedzeniem piętrzył się stos rupieci: koce, pudełka, jakaś skrzynka; a także, owszem, dwa nieznanne mi przedmioty okryte wielobarwnym kocem.

- Myślałam, że mamy tylko wpaść, żeby zobaczyć się ze staruszką, zapytać ją o amulet i zaraz wracać.

Taib obrócił się ku mnie z obojętną twarzą.

- W Maroku nikt nigdy nie „wpada”, żeby z kimś się zobaczyć - powiedział gładko. - U nas gościnność jest tradycją. Będzie jedzenie i herbata, i muzyka...

- A jak długo to wszystko potrwa? Muszę wracać do hotelu.

- No tak, masz tyle innych rzeczy do roboty.

Patrzyłam na niego, oblewając się gorącym rumieńcem. Wiedziałam, że jestem niewdzięczna, nieufnie reagując na zaproszenie i szansę poznania prawdziwego miejscowego życia; byłam jednak kompletnie na to nieprzygotowana i czułam, jak tracę nad wszystkim kontrolę. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie zażądać, by zawrócili samochód i zawieźli mnie z powrotem do Taфраout, ale w rzeczy samej cóż takiego tam na mnie czekało? Kolejne nudne, wlekące się godziny na hotelowym tarasie z widokiem na zachodzące słońce, w zapadającym stopniowo mroku; samotna kolacja w nie najlepszej hotelowej restauracji... Na miłość boską, Izzy, zbeształam się w myślach, spróbuj trochę pożyć. Zaryzykuj. Zmusiłam się do uśmiechu.

- OK, brzmi świetnie.

- Będiesz zachwycona - obiecał, po czym natychmiast wdał się z Azazem w kolejną ożywioną, niezrozumiałą dyskusję. Berberyjski był wymownym językiem, pełnym zwarć krtaniowych i szczekających dźwięków dobywanych z głębi gardła, brzmiącym jednocześnie szybko i agresywnie, jak wszystkie języki, których nie rozumiemy. Wraz z licznymi wymownymi gestami towarzyszącymi nawet najprostszej rozmowie przyjaciół czy kuzynów przypominał kłótnię, po chwili jednak zaczęłam się uspokajać, przestałam zwracać uwagę na niezrozumiały hałas, skupiłam się za to na przesuwających się za oknem widokach.

A cóż to były za widoki! Poszarpane i rozległe jak na szerokim ekranie w kinie, ciągnące się niczym obietnica, a może i groźba. Niczego równie wielkiego ani pustego w Brytanii nie było nigdzie. Nawet płaska okolica, przez którą jechaliśmy, była spektakularna, poznaczona tu i ówdzie wielkimi skałami, przez żywioły wyrzeźbionymi w fantastyczne kształty: pięciometrowe grzyby, z niegdyś masywnymi trzonami teraz startymi przez nieustanny grad drobinek piasku na cienkie patyczki; wielkie głazy podobne do płaskich naleśników ułożonych w stos; gigantyczne szpice, ostre i

zakrzywione jak orle dzioby; zaokrąglone formy przypominające przycupnięte zające lub śpiące kobiety, dziesiątki wyniosłych wież.

Taib dotknął mojego ramienia i pokazał jedną z nich, samotną i wysoką.

- Widzisz? Nazywamy ją Aglain.

Na tylnym siedzeniu Azan parsknął nagłym śmiechem. - A co to znaczy? - zapytałam, po czym jak głupia natychmiast tego pożałowałam, ponieważ odpowiedź była groteskowo oczywista.

- Kutas z jajami - odparł z połyskującymi złośliwie oczami.

- Kobiety, które pragną dziecka, przychodzą tutaj, żeby go dotknąć - dodał Azaz pomocnie. - I to działa! Mój kuzyn ma wiele dzieci po odwiedzeniu Aglain.

- Chcesz go dotknąć? Mogę podjechać - zaproponował Taib niewinnie. - Ten samochód poradzi sobie w każdym terenie.

- Nie! - wybuchłam. - Nie chcę. Cóż za prymitywna bzdura.

- Ma już pani dzieci? Azaz chyba nie bawił się w tę samą grę co jego kuzyn, ale ja i tak byłam zła.

- Nie.

- Ale jeszcze nie jest pani za stara, żeby mieć dzieci - ciągnął, nie zwracając uwagi na zasady dobrego wychowania czy mój coraz większy niepokój.

- W mojej kulturze kobiety robią karierę zawodową - powiedziałam oschle. - I uważamy, że to jest równie ważne jak posiadanie dzieci.

- Nic nie jest równie ważne jak posiadanie dzieci - odparł z powagą, a ja odwróciłam się, żeby nie widzieć ich wścibskich oczu.

Chwilę później skręciliśmy w lewo i wkrótce droga zaczęła się piąć, wijąc się ostrymi serpentynami, a przyprawiające o zawrót głowy ogromne głazy piętrzyły się ze wszystkich stron. W pobliżu szczytu obejrzałam się, chcąc spojrzeć na krajobraz, przez który przejeżdżaliśmy, i na widok jego ogromu aż mi dech zaparło. Gigantyczna, niemal kompletnie naga skalista przestrzeń, tylko miejscami naznaczona wielkimi głazami lub szczątkową roślinnością, lecz nigdzie ani jednego domu, ani jednej żywej duszy. Daleko, bardzo daleko widziałam ciemną, groźną ścianę masywu Jebel el - Kest górującą nad doliną Ameln i nie posiadałam się ze zdumienia, że nawet z tak wielkiej odległości wyraźnie dawało się odróżnić ciosane zarysy Lwiej Głowy. Nic dziwnego, że czczona była w miejscowej



mitologii: nawet w tej dzicy nie sposób było zgubić się, mając tak charakterystyczny punkt odniesienia. Wyobraziłam sobie dawnych handlarzy zmierzających na północ z wielbłędami objuczonymi złotem, kością słoniową i strusimi piórami, jak docierają na szczyt tej góry, na którą teraz wdrapywał się nasz touareg, i wyznaczają kierunek swojej dalszej wędrówki wprost na Lwią Głowę z ulgą w sercu, kuszeni obietnicą żyznych oaz po tygodniach, może nawet miesiącach trudnej podróży.

Po drugiej stronie przełęczą krajobraz znowu się zmienił, otwierając się na imponującą krętą dolinę, wyrzeźbioną przez jakąś potężną, dziś już zapomnianą rzekę, której nurt zostawił po sobie strome czerwone klify przypominające wcale nie w miniaturze Wielki Kanion, z wyraźnie widocznymi warstwami, niczym diagram w podręczniku geologii. Tutaj jednak nie było wielkiej rzeki Kolorado ani w ogóle niczego, co swym potężnym nurtem zdołałoby wyrzeźbić ten wielki wąwóz. Hen, w dole, w korycie rzeki znajdowały się jedynie suche skały, wygładzone i wybielone przez pradawną wodę. Zjeżdżaliśmy w dół, po jednej stronie mając pionową przepaść, po drugiej niebotyczne, chwiejne skały poznaczone kępami małych pomarańczowych kwiatuszków i kolczastej opuncji. Kozy ze swoimi wąskimi ślepiami przyglądały się, jak pokonujemy zmierzającą ku widmowej rzece drogę. Gnaliśmy po wybojach, wzbijając kłęby kurzu, zostawiając za sobą istną dymną zasłonę. Przez jedną ulotną, surrealistyczną chwilę czułam, że przyszłość rozwija się przede mną jak asfaltowa wstęga drogi, po której jechaliśmy, prowadząc w nieznane, i że cała moja przeszłość powoli, ale nieodwołalnie znika, zmieniając się w pył i kurz za naszymi plecami.

## ROZDZIAŁ 17

Tiouada, kiedy w końcu do niej dojechaliśmy, okazała się niewyróżniającym się niczym szczególnym skupiskiem obracających się w ruinę starych glinianych chat i nowoczesnych budynków z pustaków. W porównaniu z Taфраout wydawała się bardzo biedna i zaniedbana, wioska balansująca na krawędzi istnienia. Wszystko wkoło było suche, suche i suche. Minęliśmy zagrodę, w której stał osiołek uwiązany do słupka wystrzępionym starym sznurem. Podniósł łeb i popatrzył na nas tępo, niczego nie oczekując od życia i nie będąc tym brakiem oczekiwań rozczarowanym. W zagrodzie nie dostrzegłam nawet jednego zielonego ździebełka, żadnego listeczka, roślinki; sznur wydawał się jedyną jadalną rzeczą w zasięgu zwierzęcego pyska.

Wioska była opustoszała, okiennice i drzwi pozamykane, nawet krata w obowiązkowym sklepie spożywczym była spuszczone; nigdzie ani śladu jakiegokolwiek ruchu. Rdzewiejące samochody smażyły się w popołudniowym słońcu, na ulicy nie bawiło się ani jedno dziecko; żaden zdziczały kot czy choćby pies nie wylegiwał się w cieniu wąskich liści eukaliptusa rosnącego na placu. Z pewnością wioska nie wyglądała na miejsce, w którym można by rozwiązać jakąś tajemnicę, trudno było uwierzyć, że mieszka tu jedyna pozostała przy życiu strażniczka starodawnego języka: można by pomyśleć, że w ogóle nie mieszka tutaj nikt. Miałam wrażenie, że wszyscy mieszkańcy zebrali się i po długiej debacie podjęli wciąż odkładaną decyzję o porzuceniu wioski, pozostawieniu jej na pastwę suszy i pustyni, po czym spakowali dobytek i wyruszyli w poszukiwaniu lepszego życia: gdzieś, gdzie wyższy jest poziom wód gruntowych i rośnie jakaś roślinność.

- Gdzie są wszyscy? - zapytałam w końcu.

- Zobaczysz - odparł zwięźle Taib.

Minęliśmy szereg budynków administracyjnych, przy których zwisała bez życia czerwono - zielona narodowa flaga. Zobaczyłam nagryzmołone na zielono graffiti VIVE LE TIFINAGH! Niech żyje tiffinagh! I coś, co wyglądało jak tańcząca postać z kresek ze zgiętymi kolanami i uniesionymi rękami, namalowana czarną farbą na najdalszej ścianie, w pozycji jednocześnie wyzywającej i delirycznej. Z jakiegoś powodu wydała mi się dziwnie znajoma. Zapytałam Taiba, co oznacza.

- Duma Berbera - odparł tajemniczo. - Nazywa się Aza: to symbol Amazigh - Ama - zir - Wolnych Ludzi.

- Naprawdę? - zaciekawił mnie. - Kim są Wolni Ludzie? Taib uśmiechnął się niewesoło.

- To my. Berberowie to pierwotni mieszkańcy Afryki Północnej. Byliśmy tutaj przed przybyciem Rzymian, na długo przed Arabami, mieliśmy nasz własny język i kulturę; naszą religię i wierzenia. Arabowie przybyli ze wschodnich pustyń w siódmym wieku, przynosząc ze sobą islam jak płonący miecz. Arabscy najeźdźcy postanowili, że mówienie po berberyjsku i posługiwanie się alfabetem tiffinagh będzie nielegalne - posługiwanie się berberyjskim nawet we własnym domu uznawane było za akcję wywrotową. Ale Berberowie są dumnym narodem i ponieważ zawsze wiedli życie pełne trudów, wiedzą, jak walczyć z przeciwnościami. Zaczęli się buntować i byli brutalnie represjonowani. Lecz mimo to nadal walczyli i przez całe wieki z uporem opierali się integracji z Arabami, potem z Francuzami. Powstał berberyjski ruch separatystyczny. Za panowania ostatniego króla, Hassana II, każdy kto popierał berberyjską sprawę, ryzykował chłostę albo jeszcze coś gorszego. Ale im mocniej deptasz węża, tym bardziej chce cię ukąsić.

- Tak - powiedział Azaz, a na jego wesołej zwykle twarzy teraz malowała się powaga. - To były złe czasy. Wielu ludzi zwyczajnie znikło.

- Ojciec Azaza był członkiem ruchu separatystycznego, ale nie walczył zbrojnie: tylko agitował za wolnymi wyborami. Zmarł w więzieniu - powiedział Taib ponuro. - Dzisiaj się o tych rzeczach nie mówi. Nowy król jest inny. Bardziej postępowy od swojego dziadka, Mohammeda V, czy ojca, Hassana II. Wie, że jeżeli Maroko ma stać się nowoczesnym, skutecznym państwem, on musi unikać rozdźwięków i politycznych niepokojów.

Skreśliśmy za kolejny róg i drogę zagrodziło nam stadko wychudzonych owiec. Nie wierzyłam własnym oczom: gdzie miały pastwisko? Nigdzie nie widziałam nawet śladu zieleni. Słowo daję, zwierzęta tutaj muszą być tak samo wytrzymałe jak ludzie. Myśl, że ktoś mógłby je jeść, wydała mi się nieprzyzwoita.

- Dlaczego nie ma większego poparcia dla ruchu? - zapytałam.

Taib zastanawiał się nad odpowiedzią, palcami wybijając na kierownicy skomplikowany rytm w oczekiwaniu, aż owce zejda z drogi.

- Większość Marokańczyków ma berberyjskie korzenie, ale nie tak wielu uważa się w dalszym ciągu głównie i przede wszystkim za Berberów. Nie stać ich na to. Ostatnie stulecie było szczególnie trudne. Francuzi skolonizowali Maroko i pozbawili go większości zasobów. Wojny przychodziły i mijały: nieuniknionym skutkiem stała się powszechna bieda. Kto chce coś w życiu osiągnąć, musi biegle mówić po arabsku i po francusku. Jak ktoś mówi po berberyjsku, ludzie mają go za prymitywnego wieśniaka i odpowiednio traktują. Młodsze pokolenie zrezygnowało z walki o byt na wsi: przenieśli się do miast i przyjęli zachodni styl życia. Woleli raczej stać się częścią systemu, niż z nim walczyć. - Westchnął. - Moja rodzina jest dobrym przykładem, chociaż Lalla Fatma wciąż jest ostoją naszego dziedzictwa. Zapomnieliśmy nasz pradawny język i stare obyczaje. Nawet w najbardziej odległych zakątkach nasi ludzie nie potrafią już czytać ani pisać w tifinagh. Udało nam się zachować język mówiony, ale alfabetu już nie znamy. Teraz przynajmniej popierany jest pomysł, żeby zaczęli uczyć go w szkołach: król nazwał kulturę Amazigh „narodowym skarbem”. Ale szkoda już się dokonała: wstyd mi, że nie możesz zwyczajnie podejść do kogoś w Tafraout i poprosić, żeby przeczytał ci inskrypcję na twoim amulecie; że nikt już tego nie potrafi, chociaż to pisana forma naszego języka, dialektu, którym posługujemy się na co dzień.

Aż do tej chwili nie zdawałam sobie sprawy, że język, który wszędzie wokół słyszałam, i dziwne symbole na amulecie w ogóle mają ze sobą jakikolwiek związek. I nagle dotarło do mnie, dlaczego sigil na murze wydał mi się znajomy: był to jeden z symboli inskrypcji. Coś niesamowitego: nieoczekiwane odkrycie jednocześnie podniosło mnie na duchu i wywołało w głowie mętlik.

Ostatnia owca zeszła na kamieniste pobocze drogi, a my skręciliśmy w lewo, na nieutwardzoną drogę, po której koła samochodu sunęły z głośnym chrzęstem.

- A gdzie w tym wszystkim są Tuaregowie? - zapytałam.

Taib z wprawą omijał wyrwy w drodze, kręcąc kierownicą w lewo i prawo.

- Dobre pytanie. Kiedyś wszyscy byliśmy jednym ludem: Berberowie zamieszkiwali całą Afrykę Północną, od Maroka na zachodzie aż po Egipt na wschodzie. Ale kiedy Rzymianie podbili Maghreb, niektóre lokalne ludy skapitulowały, inne się opierały, a pozostałe zbiegły na pustynię. Tuaregowie to ci, którzy wybrali pustynię. Tam, żyjąc poza politycznymi granicami i kontrolą, zdołali umknąć nawet beduińskim najeźdźcom. Zabrali ze sobą korzenie naszej kultury, w tym także starożytny alfabet. Teraz są jedynymi strażnikami tiffinagh, zwłaszcza jeśli chodzi o jego starożytne wykorzystanie, jak na przykład inskrypcja na twoim amulecie.

- Naprawdę uważasz, że jest starożytny?

- Bez wątplenia został wykonany w tradycyjnym stylu. Musisz pamiętać, że jeszcze do niedawna Tuaregowie żyli tak samo jak przez tysiące lat. Ale ostatnie pokolenie musiało przeżyć susze, głód i prześladowania; ich liczebność dramatycznie się zmniejszyła. Bez wątplenia też współczesny świat wywarł jakiś wpływ. Kiedy mówię, że twój amulet jest stary, chodzi mi o to, jak jest zrobiony. Ten kształt i wzornictwo pokolenia kowali przekazywały sobie z ojca na syna. Tak więc twój naszyjnik może mieć tysiąc lat, ale równie dobrze sto, może mniej: trudno powiedzieć. Rozpoznaję motywy, ale musiałbym wiedzieć coś więcej o jego pochodzeniu, żeby dokładniej określić jego wiek. Z drugiej strony napis ukryty w środku może nam w tym pomóc. I tu właśnie pojawia się Lallawa.

- Ach - powiedział Azaz, niepomiernie uradowany na dźwięk tego imienia. - Lallawa: robi najlepsze m'smen na świecie!

Lallawa. To imię słyszałam ciągle w swoich snach. Coś bardzo zimnego musnęło moje serce.

Jednak Lallawa nam nie otworzyła, kiedy zapukaliśmy do jej drzwi. Taib zajrzał przez okno, głośno wołając jej imię.

- Robi się coraz bardziej głucha - zwierzył mi się. - Poza tym dużo teraz śpi.

Wciąż jednak nie było żadnej odpowiedzi.

Przeszliśmy na tył małego domku podobnego do innych - z glinianej cegły w kolorze terakoty - i znaleźliśmy pustą zagrodę. Na ziemi walały się kurze pierze i kozie bobki, ale ani śladu zwierząt, jedynie powietrze ciężkie było od stęchlizny.

Azaz zmarszczył brwi i powiedział coś do Taiba, który pokręcił głową.

- Jej zwierzęta znikły. A była z nich bardzo dumna. Dzieje się coś złego. Pójdę poszukać Habiby. Ona będzie wiedziała.

- Kim jest Habiba?

- To... kuzynka - powiedział w końcu. - Moja i Azaza. Lallawa kiedyś mieszkała z rodziną Habiby.

Wróciliśmy z powrotem tą samą drogą do opustoszałego miasta, obok budynków pokrytych wywrotowym graffiti. Tuż za placem zatrzymaliśmy się w cieniu muru ozdobionego kolorowymi malunkami postaci z kreskówek Disneya, sławnych piłkarzy i wytwornymi zawijasami arabskich napisów.

- Habiba tutaj uczy - wyjaśnił Taib, gdy znowu wysiedliśmy z auta.

Późne popołudniowe słońce uderzyło mnie w głowę jak młotem i uprzytomniłam sobie poniewczasie, że niczego nie zjadłam, a co ważniejsze, nie piłam od dobrych kilku godzin. Taib podszedł do mnie i bez słowa, nie czekając na pozwolenie, objął mnie w pasie ramieniem, żeby pomóc mi iść. Już otwierałam usta, by zaprotestować, ale poszłam po rozum do głowy i nie odezwałam się. Chciał tylko pomóc, a cień na końcu szkolnego podwórza wabił, jednak mimo wszystko krępowała mnie jego bliskość, dotyk jego biodra, żylaste mięśnie poruszające się w jego ramionach; ciepło ciała przenikające przez jego bawełnianą tunikę.

W drzwiach szkoły - niewielkiego budynku z prefabrykatów, z kilkoma chwiejnymi schodkami z drewna przed wejściem - Azaz wyprzedził nas i poszedł pierwszy. Znikł w ciemnym wnętrzu i chwilę później usłyszałam znajome staccato berberyjskiej mowy, a po chwili głośne, piskliwe okrzyki i śmiech. Taib pomógł mi pokonać schody i weszliśmy do upragnionego cienia.

Mimo późnej godziny trzydzieścioro, może czterdzieścioro dzieci w każdym możliwym wieku tłoczyło się w małej salce. Na widok podskakującej turystki zaczęły uśmiechać się jak szalone, połyskując w mroku zaskakująco białymi zębami. Niektóre z młodszych przysłoniły buzie rączkami, wpatrując się we mnie z nieskrywanym zachwytem; inne wykrzykiwały słowa, których w żaden sposób nie mogłam zrozumieć, i śmiały się, wciąż się śmiały. W końcu ich nauczyciel, szczupły mężczyzna o wielkich, szczerych oczach, ubrany w przykurzoną brązową tunikę niczym ksiądz w przebraniu, dał znak, by uspokoiły się i uciszyły, a wśród nich zapanował jako taki

porządek. Wtedy mężczyzna obrócił się do Taiba i Azaza, wdając się z nimi w ożywioną dyskusję.

Rozejrzałam się. Kiedy moje oczy przywykły do mroku, zauważyłam, jak bardzo dzieci różniły się od siebie. W Tafraout, zaledwie parę godzin jazdy stąd, wszystkie dzieci wyglądały w zasadzie tak samo: miały skórę w kolorze kawy z mlekiem i czarne lśniące włosy. Tutaj widziałam każdy możliwy odcień z wyjątkiem typowej europejskiej bieli. Jedna dziewczynka, o oczach w kolorze tarniny, śliczna jak arabska księżniczka w pastelowej chustce na głowę i kolczykach z koralików, miała skórę jasną jak moja zimą; jej sąsiadka była ciemna jak heban, miała główkę okrągłą jak piłka, a włosy splecione w misterną koronę. Obok niej siedział chłopczyk, może sześciolatek, o ostro zarysowanych kościach policzkowych i subtelnym berberyjskim rysach, przy nim smukła istotka niewiadomej płci miała głowę całkiem wygoloną, tylko z jej czubka wyrastał długi warkocz. Kiloro dzieci nosiło podkoszulki, które wyglądały, jakby należały do kogoś innego, czasem nawet do kilku innych osób, jednak większość ubrana była w tradycyjne tuniki, błękitne bądź w kolorze musztardy.

Sala była nieskazitelnie czysta, i całe szczęście, jako że wszyscy siedzieli na podłodze. Na ścianach wisiały prace autorstwa dzieci: rysunki domków, uśmiechniętych słońeczek i kreskowych postaci, identyczne na całym świecie, poza tym haftowane obrazki i ręcznie tkane małe dywaniki o prostych geometrycznych wzorach, takich samych jak te, które widziałam płowiejące w słońcu na targu w Tafraout.

Ktoś pociągnął mnie za rękaw. Spojrzałam w dół i zobaczyłam uśmiechającą się do mnie małą dziewczynkę z brakującymi przednimi ząbkami.

- Asseyez - vous, madame! - poprosiła, ciągnąc mnie w stronę poduszki ceremonialnie położonej na podłodze na wprost dzieci.

Usadowiłam się z trudem i w jednej chwili dzieci dopadły mnie jak szarańcza, rozchichotane i paplające, domagające się mojej uwagi, jak gdyby fakt, że znalazłam się na tym samym poziomie co one, pozwalał im uznać mnie za jedną z nich. Jedna dziewczynka wdrapała mi się na kolana.

- Bonjour - zaćwierkała, wpatrując się we mnie wielkimi czarnymi oczami.

- Bonjour - odpowiedziałam niepewnie.

Nie pamiętałam, kiedy po raz ostatni miałam fizyczny kontakt z dzieckiem, nie mówiąc już o tym, żeby jakies z taką wesołą pewnością zasiadło mi na kolanach.

- Jak ci na imię?

Nic innego nie przyszło mi do głowy.

- Voyez! - zażądała, podsuwając mi pod nos zeszyt.

Na kartce nagryzmoliła długopisem pięć prostych symboli: małe kółko, pozioma kreska, wielkie kółko z kropką w środku, małe kółko, duże kółko przekreślone poziomą kreską.

- Mon nom! - oznajmiła z dumą. - Hasna.

Popatrzyłam zdumiona na Taiba.

- Napisała swoje imię? W tiffinagh?

Uśmiechnął się z dumą.

- Tak. Habiby nie ma i w zastępstwie uczy ich Abdelkader, tylko dzisiaj. To wielkie szczęście: jest pionierem badań berberyjskich. Może pokażesz mu swój amulet?

Kiedy w końcu do tego doszło, nie byłam już taka pewna, czy chcę, żeby tajemnica skrywana przez amulet została rozwiązana. A jeśli napis był niczym innym jak tylko imieniem, napisanym przez kogoś od dawna nieżyjącego, imieniem w żaden sposób niemającym nic wspólnego z nikim żywym, a już na pewno nie ze mną? Albo zawierał starodawną klątwę, jak wierzyła babka Taiba? Serce zaczęło mi bić szybciej, coraz szybciej. Jednak wszystkie oczy spoczęły na mnie, a ja całą tę drogę przebyłam w tym właśnie celu gdybym odmówiła, zachowałabym się idiotycznie. Wyjęłam amulet z torebki i podałam go Taibowi, który ostrożnie przesunął największy guz i wytrząsnął sobie na dłoń ukryty pod nim zwitek papieru. Abdelkader wziął go i rozprostował, a zmarszczka między jego brwiami zrobiła się bardzo głęboka, kiedy wpatrywał się w zawiłą inskrypcję.

Niezwykła cisza spowiła całe pomieszczenie, jakby nawet dzieci pojmowały, że dzieje się coś bardzo ważnego, że na ich oczach dokonają się czary pod warunkiem, że będą bardzo, ale to bardzo cicho.

Po chwili nauczyciel obrócił karteczkę i znowu się jej przyjrzał. Podszedł z nią do okna i uniósł pod światło; wrócił na środek klasy i zaczął się przechadzać. Dzieci wpatrywały się w niego z szeroko otwartymi oczami, wyczekująco. Mnie dłonie zaczęły się pocić i



świerzbic tak samo jak przy planowaniu skomplikowanego przejścia. W końcu Abdelkader długo i rozdzierająco westchnął.

- Tutaj moja znajomość tifinagh jest dalece niewystarczająca - zwrócił się do mnie swoją nienaganną francuszczyzną. - Naturalnie rozpoznaję kilka znaków; ale kształty liter różnią się znacząco na obszarze, gdzie używa się tifinagh, a to oznacza dobrze ponad połowę kontynentu! Poza tym muszę przyznać, że nie wiem, w jakim kierunku należy je czytać - nie, nie, proszę się nie śmiać: to wcale nie takie proste. Najczęściej czyta się od prawej do lewej, ale starsze napisy mogą być ułożone od dołu do góry. W końcu początkowo pisało się w tym języku na skałach, więc zaczynanie od dołu ma sens.

Rzecz jasna Tuaregowie posługują się najstarszą formą języka, i najczystsza: samogłoski są domyślne. Od tamtych czasów jego formy zmieniały się zarówno pod względem geograficznym, jak i językowym. Dlatego obawiam się, że w tej postaci nie potrafię go zrozumieć. - Rozłożył ręce w przeproszającym geście.

Taib powiedział coś do niego w ich języku, a Abdelkader podrapał się w ucho i kiwnął głową, potem ponownie skinął w stronę karteczki, coś wskazując; następnie obaj popatrzyli na amulet. Wtedy Azaz coś powiedział, po czym obaj jednocześnie zaczęli głośno mówić. Nie byłem w stanie pojąć, jak mogą się zrozumieć, najwyraźniej jednak oni dogadywali się znakomicie.

Dzieci zaczęły się już niecierpliwić, ja zresztą też.

- Co jest? - zapytałam stanowczo. - O czym rozmawiacie?

W końcu to był mój amulet.

Taib odwrócił się do mnie.

- Wybacz. Abdelkader uważa, że jest stary i bez wątplenia tuareski: mówi, że w alfabecie nie ma żadnych współczesnych naleciałości, zmiany pojawiły się, żeby oddać te dźwięki i znaki, które w oryginalnym alfabecie były niedopuszczalne. Na przykład samogłoski: starsze wersje tifinagh rzadko korzystają z samogłosek, których my obecnie używamy. To wszystko jest bardzo skomplikowane... - Urwał, jakby zwykła kobieta nie była w stanie pojąć złożoności tematu.

Zjeżyłam się wewnątrz, a on jakby intuicyjnie to wyczuwając, podniósł ręce w obronnym geście i dodał:

- Mówi też, że Habiba jest z Lallawą, która jest bardzo chora. Wszystkie kobiety ze wsi doglądają jej na zmianę. Skoro już tu jesteśmy, powinniśmy przynajmniej złożyć swoje uszanowanie.

Dom rodzinny Habiby był skromny i niczym się nie wyróżniał. Dwa piętra z pustaków, małe okienka z żelaznymi kratami i drzwi obramowane krzykliwymi płytkami fabrycznej roboty. Drzwi były otwarte; Taib wszedł od razu, wołając od progu.

Z pokoju wybiegła kobieta, naciągając welon na głowę. Na widok pierwszego gościa zaniepokojenie na jej twarzy ustąpiło miejsca bezgranicznej radości. Taib postąpił ku niej i ucałował ją cztery razy w policzki, wylewnie, z serdeczną zażyłością, bez zwykłej rezerwy, która - jak uważałam - była typowa dla relacji męsko - damskich w tym kraju. Patrząc, jak ona ściska jego dłonie w swoich i oboje rozmawiają, niemal stykając się głowami, czułam się jak podglądaczka.

Potem kobieta spojrzała przez ramię i kiedy mnie ujrzała, jej oczy na moment się zwięzły.

Kiedy Taib odwrócił się ku nam, jego twarz wyrażała smutek.

- Lallawa jest bardzo chora, ale Habiba mówi, że musimy wejść i zobaczyć się z nią. - Jego ton sugerował, że może to nasza ostatnia szansa.

- Może zaczekam na zewnątrz - powiedziałam.

Pod wpływem spojrzenia Habiby czułam się jak intruz wdzierający się do osobistego świata choroby i bólu. Taib jednak nawet nie chciał o tym słyszeć. Kiedy Azaz również przywitał się ze swoją kuzynką, jak mi się zdało, znacznie mniej zażyłe, Taib wprowadził mnie do pokoju. Tam na niskich sofach ustawionych wzdłuż ścian siedziało kilka kobiet w czarnych sukniach i nakryciach głowy, pomiędzy nimi zaś, na posłaniu rozłożonym wprost na ziemi spoczywała nieruchoma postać. Kobiety wyglądały jak wrony zgromadzone wokół trupa, kiedy jednak ujrzały Taiba i Azaza, ich poważny nastrój znikł i nagle wszystkie zerwały się na nogi, mówiąc jednocześnie. Nastąpiły pocałunki i uściski dłoni; potem Taib ukląkł przy ułożonym sztywno ciele. Wyciągnęłam szyję. Przez chwilę myślałam, że kobieta nie żyje, nagle jednak uniosła wolno rękę i poklepała go po twarzy. Azaz ukląkł także, a staruszka zwróciła twarz najpierw ku jednemu, potem drugiemu i uśmiechnęła się bezzębnymi ustami. Skórę miała w kolorze wypalonego węgla drzewnego, jakby

życie już z niej uszło. Twardówka jej oczu miała niezdrową, mocno żółtą barwę, źrenice zaś były mleczone od katarakty. W końcu Azaz skinął, żebym się zbliżyła, a ja usłyszałam swoje imię, kiedy Taib tłumaczył jej, kim jestem. Uklękałam niezgrabnie.

- Salaam - powiedziałam, wykorzystując to, czego dowiedziałam się z lektury słowniczka na końcu mojego przewodnika, i wyciągnęłam rękę. Jej palce chwyciły moją dłoń lekko, co było jak muśnięcie motyli skrzydeł. - Salaam aleikum, Lallawa.

Zasze bielmem oczy wpatrywały się we mnie z napięciem, a jej palce zacisnęły się na moich jak szpony. Próbowałam się uwolnić, ale uścisk miała zdumiewająco silny jak na kogoś tak chorego. Wykrzywiła usta, jednak to, co się z nich dobyło, brzmiało bardziej jak gulgot niż słowo.

- Pokaż jej amulet - polecił mi Taib.

- Jesteś pewny? Wydaje się bardzo chora i nie sądzę, że powinnam zwracać jej głowę.

- Nie, proszę. - Obok Taiba stanęła Habiba i położyła mu na ramieniu dłoń, swobodnie, lecz jednocześnie sugerując, że Taib należy do niej. - To przypomni jej dobre życie, jakie miała. Sprawi jej ogromną przyjemność, naprawdę.

Wyjęłam amulet, a szponiasta ręka po omacku odnalazła moją. Przysunęła sobie amulet do twarzy tak blisko, że srebro zaparowało od jej oddechu. A potem z westchnieniem przycisnęła do niego usta. Kiedy kładła głowę z powrotem na poduszkę, jeden kącik jej ust uniósł się, podczas gdy drugi pozostał bezwładny, a ja zrozumiałam poniewczasie, że musiała przejść udar.

- A...daa.

- Adagh? - zapytał Taib, a ona potaknęła skinieniem głowy. Taib otworzył schowek i wyjął z niego karteczkę, oddał mi amulet, ostrożnie rozłożył papier i wyciągnął do niej.

Habiba potrzęsnęła głową.

- Nie da rady tego odczytać. Jest już prawie całkiem ślepa.

Lecz staruszka wydawała się zdeterminowana. Patrzyliśmy, jak mruży oczy i wysiła się, unosząc głowę z poduszki, jakby próba odczytania napisu była fizycznym zmaganiem. Dotknęła znaków i wymamrotała coś. Taib nachylił się tak blisko, że papier znalazł się w odległości dwóch centymetrów od jej oczu. Widziałam w nich

frustrację, kiedy na próżno usiłowała skupić wzrok; wreszcie wielka łza kapnęła jej z jednego oka i spłynęła głęboką bruzdą wzdłuż nosa.

- Przestań - powiedziałam cicho. - Ona się denerwuje.

Taib delikatnie poklepał staruszkę po policzku i przysiadł na piętach.

- Tanmirt, Lallawa. Tanmirt.

Zwinął karteczkę i schował w amulecie, który spoczywał w mojej dłoni. Jego palce musnęły moje, a ja poczułam, jak moje ramię przeszywa prąd. Zaskoczona tym uczuciem nie od razu zareagowałam, kiedy Habiba dotknęła mego ramienia.

- Chodź - powiedziała. - Chodź ze mną.

Wyszłam za nią z pokoju, mijając odziane na czarno kobiety, patrzące na mnie z zaciekawieniem swoimi żywymi czarnymi oczami. Poszłyśmy długim korytarzem, z którego drzwi wiodły do innych małych, ciemnych pokoi, aż znalazłyśmy się na niedużym kwadratowym podwórku zadaszonym sitowiem, przez które światło słoneczne sączyło się ukośnie, swą bielą ostro kontrastując z cieniami. Na środku podwórka znajdowała się sucha fontanna. Habiba gestem skierowała mnie ku niej, po czym nacisnęła przełącznik na ścianie. Rozległ się hurkot pompy i strumyczek wody popłynął przewodem do fontanny.

- Przykro mi, że przebyłaś taki kawał drogi na próżno. Jej wzrok pogarszał się od kilku miesięcy, ale ostatni atak był najgorszy w skutkach. Umyj tutaj ręce i swój amulet - powiedziała. - Bieżąca woda ugłaska duchy.

Duchy? Co za przesady. Lecz pokuśtykałam do fontanny i zrobiłam, jak mi kazała. Najpierw umyłam ręce, a potem mokrymi palcami przetarłam srebro i szkło, uważając, żeby woda nie dostała się do schowka. Rytuał tego zabiegu miał w sobie coś kojącego, choć może podziałał tak na mnie jedwabisty dotyk wody na moich rękach, przyjemnie chłodny w porównaniu z panującym upałem i ponurością pokoju chorej. Habiba podała mi ręcznik, a ja starannie wytarłam nim dłonie i amulet.

- Jest bardzo piękny - odezwała się. - Lallawa ma podobne. Pamiętam, jak mieszkała u nas, kiedy byłam malutka. Znalazłam jej biżuterię ukrytą pod jej matą do spania, wyjęłam całą, założyłam i podziwiałam się w lustrze. Myślałam, że wyglądam jak tuareska księżniczka, ale Lallawa mnie przyłapała i zbiła. - Uśmiech odmienił

jej twarz. - Krzyknęłam i pobiegłam poskarżyć się mamie, ale ona powiedziała, że Lallawa słusznie mnie zabiła, ponieważ każda, choćby najędzniejsza kobieta ma prawo do swojej własności. Ona jest bardzo stara, Lallawa; nikt nie wie, ile ma lat, a zwłaszcza ona sama. Miała długie życie, i to dobre, zważywszy wszystko, co ją spotkało. Naprawdę kochała pustynię. Zanim miała ostatni udar, obiecałam jej, że zobaczy ją jeszcze raz... - głos się jej załamał, a ja zrozumiałam, że usiłuje powstrzymać łzy, i nagle poczułam, że mnie samą także szczypią oczy. - Obiecałam, że przed śmiercią raz jeszcze powędruje solnym szlakiem. Ale jak sama widzisz, jest na to zbyt chora.

- Solnym szlakiem?

- To pustynne szlaki prowadzące do najodleglejszych miejsc na Saharze, drogi, którymi wędrowali handlarze ze swoimi karawanami wielbłądów. Drogi na targi, na których kupowano i sprzedawano niewolników, wymieniając na sól i inne towary. Tuaregowie często używają tej nazwy, kiedy mówią o „drodze życia” albo nawet „drodze śmierci”. Czasem oznacza to wszystko naraz. Przykro mi, że nie mogę zrobić dla niej tej ostatniej rzeczy; trudniej będzie jej teraz umrzeć w spokoju. Ale twój amulet był dla niej maleńką częścią pustyni.

Poczułam na swojej twarzy coś mokrego i chwilę później zrozumiałam, że to łzy, które przed chwilą szczypały mnie w oczy, teraz spływają mi po policzkach. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio zdarzyło mi się płakać: nauczyłam się gardzić takim sentymentalizmem. Po części byłam na siebie wściekła; lecz jednocześnie coś nowego, co we mnie powstało, a może tylko było przez długi czas uśpione - nie odczuwało wstydu.

Lecz Habiba odwróciła się ode mnie, żeby zerwać trochę mięty z przepelnionej wanny stojącej przy kuchennych drzwiach. Skinęła, żebym weszła do środka, i przyglądałam się, jak bierze się do parzenia herbaty, gotując wodę na pojedynczym gazowym palniku, ogrzewając srebrny czajnik, wrzucając garść sproszkowanej herbaty, sporą garść świeżej mięty i trzy wielkie kostki cukru.

- Rany boskie, aż tyle cukru daje się do każdego dzbanka miętowej herbaty?

Pomyślałam o tych wszystkich szklankach napoju, które wlałam w siebie od przyjazdu do Maroka, i aż się wzdrygnęłam. Habiba roześmiała się.

- To i tak mało: wy, Europejczycy, nie lubicie za dużo cukru, zauważyłam, że nawet Taibowi zmienił się gust, odkąd wyjechał do Paryża.

Kiedy to mówiła, w jej głosie usłyszałam jakąś ostrość i zaczęłam zastanawiać się, co oznaczała, choć równie dobrze mogło to być złudzenie.

- Czy wszyscy młodzi mężczyźni wyjeżdżają? To znaczy, do pracy?

- Tutaj trudno zarobić na życie. Widziałaś: wszędzie bieda i susza, i z każdym dniem robi się coraz biedniej i coraz bardziej sucho. Nie ma pracy, pieniędzy, wygod. Więc tak, młodzi mężczyźni - a teraz także młode kobiety - wyjeżdżają, żeby się kształcić, dostać pracę i posyłać pieniądze do domu tym, którzy zostali. Tak się dzieje w Maroku.

- Tym, którzy zostali, musi być trudno - powiedziałam, patrząc, jak wylewa napar z pierwszej szklanki z powrotem do czajnika i miesza w nim składniki. - Zwłaszcza kobietom.

- Wszystkim jest trudno. Czasem nie wracają.

- Jak Taib?

Obrzuciła mnie nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Taib i ja byliśmy sobie obiecani, odkąd byliśmy dziećmi.

- To bardzo długie zaręczyny.

- Odłożyliśmy ślub do czasu, aż będziemy mieli za co założyć dom. Ja pojechałam do Agadiru, żeby dalej się uczyć i szkolić na nauczyciela; Taib pojechał do Francji. I cóż, został tam. Podoba mu się... styl życia, tak sądzę.

Sposób, w jaki wypowiedziała „styl życia”, miał w sobie tyle pogardy, że usłyszałam w nim całą niechęć islamskiego świata do błędzących, samolubnych, pozbawionych moralności poglądów Zachodu. Poczulałam się dotknięta.

- No dobrze, jesteś już wykwalifikowaną nauczycielką, a on zarobił dość pieniędzy, żeby sobie jeździć nowiutkim samochodem, kiedy więc bierzecie ślub?

Zacisnęła usta, jakby powstrzymywała się przed odpowiedzią, i ze złością wlała strumień bulgoczącego złocistego płynu do pierwszej ozdobnej szklanki na tacy.

- Za kogo się uważasz, żeby nas osądzać? - zapytała oskarżycielsko. - Ja już nie roszczę sobie do Taiba żadnych praw poza rodzinnymi. Możesz sobie z nim sypiać, jeśli taka twoja wola.

Prawdę mówiąc, „sypiać” to mój eufemizm. Użyte przez nią francuskie słowo baisier uderzyło mnie jak policzek. Ujrzałam w jej oczach blask triumfu, gdy dotarło do mnie jego znaczenie; następnie odwróciła się, chwyciła tacę i pomaszerowała do salonu, gdzie podobne do wron kobiety czekały na poczęstunek, zostawiając mnie, bym sama o własnych siłach pokuśtykała za nią zaskoczona, oniemiała i bardzo oburzona.

Chciałam złapać ją za ramię, obrócić ku sobie, tak żeby ta śmiertelnie słodka herbata chlusnęła na wszystkie strony, i zażądać wyjaśnień, o co jej chodziło. Naturalnie niczego takiego nie zrobiłam, lecz przycupnęłam pokornie na brzeżku jednej z sof i sączyłam koszmarną herbatę, unikając jej wzroku, słowem nie odzywając się ani do niej, ani do nikogo w ogóle. Nie musiałam: trajkotały w tym swoim piekielnym narzeczcu, nie zwracając uwagi na moją obecność; co jakiś czas jednak niewidzący wzrok umierającej kobiety spoczywał na mnie, dziwnie skupiony, nieruchomy i niepokojący. Odetchnęłam, kiedy w końcu po długim, bardzo długim czasie wyszliśmy.

## ROZDZIAŁ 18

Chyba nie czułaś się tam zbyt dobrze - odezwał się Taib do mnie w samochodzie.

Wzruszyłam ramionami.

- Miałam o czym myśleć.

Wolno skinął głową.

- Tak, wiem, jak to jest. Ja też mam wiele do przemyślenia. Nie wyjaśnił jednak, co takiego.

Atak Habiby wstrząsnął mną, chociaż mój początkowy gniew wywołany obrazą dawno minął. Uznałam, że jest zazdrosną kobietą, dla której stanowiłam zagrożenie, i zaczęłam się zastanawiać, czy ją i Taiba wciąż coś łączy, wbrew temu co mówiła. Ich wzajemna serdeczność wydała mi się szczerą, trudno jednak było mi ocenić, ile uczuć ich pocałunki maskowały bądź zdradzały. I czy w jego gestach skierowanych ku mnie odczytywała coś, czego nie było? A może jej wrogość wynikała z poczucia, że straciła go dla Francji i tamtejszych kobiet? Biorąc pod uwagę trudne warunki, w jakich musiała żyć, zakopana w zakurzonej małej wiosce, w tym ponurym domu z kontyngentem starych kobiet o wścibskich oczach i umierającym gościem, rozumiałam jej frustrację. Bez trudu mogła pozazdrościć nowoczesnej Europejce, która tanecznym krokiem (czy raczej kulejącym) zjawiała się wsparta na ramieniu mężczyzny, niegdyś jej przyrzeczonego na męża, z nieskromnie odsłoniętą głową, zegarkiem Longines na opalonym nadgarstku i torebką od Prady, kobiecie, która mogła (gdyby tylko zechciała) dowolnie korzystać z przyjemności i nie bacząc na społeczny osąd ani żadne inne niechciane konsekwencje, żyć sobie dalej. Lecz jedna myśl nie dawała mi spokoju: jeżeli to nie zawiść albo nie tylko ona pobrzmiwała w jej atakującym tonie, lecz także głęboko zakorzeniona, wyniosła pogarda? Cóż takiego Habiba dostrzegła we mnie, co wzbudziło ten niesmak? Przecież, myślałam sobie, zachowywałam się uprzejmie i z szacunkiem, mimo wszystkich zachodnich nawyków i odkrytej głowy. Prawdą jest, że nie znałam jej języka, to normalne, że obcokrajowców, którzy nas nie rozumieją i nie potrafią się z nami porozumieć, mamy za ignorantów. Lecz było w tym coś więcej: jej postawa nie oznaczała tylko pogardy, miała konkretną przyczynę. Ona mnie osądzała, jakby miała mnie za kogoś, kto źle wybrał w życiu, kto z właściwej drogi zboczył na moralne bezdroża.



Dotarło do mnie, że przywykłam, by traktowano mnie z szacunkiem. Poruszałam się w świecie, gdzie byłam postrzegana w społecznym kontekście wyznaczanym przez zawodową hierarchię. W pracy określała mnie pozycja zajmowana w firmie, posiadany autorytet, ważni klienci, z którymi miałam do czynienia, i doskonała pensja, jaką otrzymywałam. Nawet poza pracą, na ulicach stolicy przywykłam, że ludzie odczytywali wyznaczniki mojego wyglądu - zadbane włosy, wypielegnowane ręce, drogie ubrania, dyskretne, lecz kosztowne dodatki, moje maniery i pewność siebie - z nich wnioskuje, jaką zajmuję pozycję. Zrozumiałam, że nawet ja czerpałam swoje poczucie wartości z tych powierzchownych oznak. Kim jednak była Isabelle Treslove - - Fawcett? Kim była naprawdę? Jak się nad tym zastanowić, ta fasada sukcesu była krucha, za nią krył się ktoś bez znaczenia, jak ze snu. Pieniądze są ważne, ale same w sobie nic nie znaczą: są tylko przymierzem z przyszłością, a jaka była moja przyszłość? Rodziny nie miałam, przyjaciół niewielu, żadnej wiary, w żadnego boga ani w nic poza własnym doświadczeniem. Nagle pojęłam, że przez całe swoje życie zamykałam się przed światem, chroniłam się przed wszystkim, co w nim trudne i nieprzewidywalne, a co mogło mnie zniszczyć, zbudowałam wokół siebie mur z finansowej niezależności i pracy niewymagającej emocjonalnego zaangażowania. Wiedziałam, że miałam powody, by z takim trudem zbudować ten system ochronny, a strategia, którą przyjęłam, pozwalała mi jak dotąd żyć bezboleśnie, jednak Habibie udało się tym wszystkim zachwiać.

I ta stara kobieta, wolno dokonująca żywota na podłodze salonu. Poruszyła mnie godność, z jaką Lallawa przyjmowała swój los, ciepło, z jakim ujmowała dłonie tych, którzy przyszli ją odwiedzić, krzywy uśmiech, który ani na chwilę nie zniknął z jej łagodnej, zatroskanej twarzy. Myślałam o tym, jak co chwila bezbłędnie zwracała się ku mnie przez te długie krępujące godziny spędzone w tamtym małym pokoju, jakby ona także zastanawiała się, kim jestem, a może nawet czy jestem coś warta. Jak musiała się czuć, zabrana ze swego domu na pustyni i zmuszona do życia w takim miejscu jak Tiouada? Leżała, marząc, by raz jeszcze przed śmiercią ujrzeć piękno wydm pustyni, uwolnić swą duszę na wielkiej otwartej przestrzeni, jaką zapamiętała z młodości, a zamiast tego traciła po kolei zmysły, uwięziona w

czterech ponurych ścianach, pod niskim sufitem i czujnym wzrokiem podobnych do wron kobiet, zdana na opiekę Habiby o ciętym języku.

Taib i Azaz byli dziwnie milczący, kiedy jechaliśmy zakurzonymi drogami, fioletowymi w ostatnich promieniach zachodzącego słońca, pogrążeni we własnych myślach. W ciszy, zakłócanej chrzęstem opon sunących po nierównej nawierzchni, usłyszałam cel naszej podróży, jeszcze zanim go dostrzegłam: basowe dudnienie bębnów pulsujące w zmierzchającym powietrzu, któremu towarzyszył jęklivy dźwięk jakiegoś instrumentu strunowego i wysoki do granic kobiecy śpiew. Zatrzymaliśmy się przed wysokim glinianym murem, a kiedy Azaz otworzył mi drzwi, hałas niemal mnie ogłuszył.

Taib odezwał mi się prosto do ucha; czułam na szyi gorący powiew jego oddechu.

- Witaj na prawdziwej berberyjskiej fichta - powiedział.

Po chwili chwycił mnie na ręce i znalazłam się w niesamowitej scenerii. Z drzew obsypanych granatami i pomarańczami zwieszały się lampiony, rzucając migotliwy blask świec na tańczące pod nimi postacie: mężczyźni w turbanach i wirujących tunikach; kobiety z oczami pomalowanymi czarną kredką i w błyszczących srebrnych kolczykach, rytmicznie wymachujące nad głową dłońmi ozdobionymi henną. W tłumie biegały dzieci ubrane w swoje najlepsze rzeczy: chłopcy w białych tunikach i jaskrawych żółtych pantoflach; dziewczynki w kolorowych kaftanach, malcy o wielkich czarnych oczach, z brakującymi ząbkami, z piąstkami wczepionymi w czarne suknie i haftowane welony matek. Grupa mężczyzn w pasiastych tunikach, białych turbanach, z ceremonialnymi sztyletami, waliła w przeróżne bębny, śląc w noc mocny skomplikowany rytm, grożący pochłonięciem każdego przejawu znajdującej się w pobliżu indywidualności, i to pochłonięciem jej w całości. Przytłoczona tym wszystkim rozglądałam się wokół w poszukiwaniu jakiegoś punktu zaczepienia, niestety na próżno.

Na obrzeżach ogrodu, na niskich sofach i małych drewnianych stołeczkach siedziały przycupnięte podobne do wron stare kobiety, takie same jak tamte zgromadzone w salonie Habiby, czekające, aż śmierć przyjdzie zabrać staruszkę - od stóp do głów odziane na czarno, z twarzami brązowymi jak łupiny orzecha, z dłońmi jak szpony zaciśniętymi na szklankach z herbatą.

Taib posadził mnie na wolnym miejscu na jednej z sof, obok grupki roześmianych dziewcząt zajmujących się młodszym rodzeństwem i zostawił.

- Siedź tutaj - powiedział do mnie, jakbym miała jakiś wybór. - Wrócę za chwilę.

Kiedy podniosłam wzrok, żeby popatrzeć, jak idzie przez tłum, poczułam na sobie spojrzenie bystrych czarnych oczu starych kobiet, przenikliwe i zaciekawione. Zorientowały się, że na nie patrzę, i bez mrugnięcia okiem wytrzymały mój wzrok; potem zaczęły trajkotać jak sroki, co i rusz na mnie zerkając i kiwając palcami. Wiedziałam, co sobie myślą: teraz już miałam ten przywilej, że wiedziałam, co dzieje się w głowach miejscowych kobiet. Okrutnie skrepowana ich wrogością sięgnęłam do torebki po telefon, żeby raz jeszcze wysłać SMS do Eve - cokolwiek, byleby nawiązać przyjazny kontakt we własnym języku - ale zamiast niego do mojej ręki trafił amulet.

Poczułam jego kwadratowe krawędzie i spoczął na mojej dłoni, solidny, znajomy, kojący. Wzdłuż ramienia popłynęła mi nagła fala ciepła łagodząca skórę i w jednej chwili naszła mnie myśl, że może jednak nie jest aż tak źle, że nie jestem wrogiem na siłę zakłócającym ich prywatne święto, kimś obcym na nie swojej ziemi, otoczonym przez nieprzyjaznych Innych, lecz mile widzianym gościem. Nie, kimś więcej: w pewnym sensie stanowią tego część, jestem jedną spośród wielu; że bębny dudniące z siłą przenikającą mnie do szpiku kości są częścią mnie, a moje serce bije zgodnie z ich rytmem. Kiedy Taib w końcu wrócił do mnie, siedziałam rozradowana z małą dziewczynką na kolanach, podczas gdy inna ze szczęśliwą miną zaplatała mi włosy, a ja klaskałam w dłonie i kiwałam się w rytm muzyki, jakbym przez całe życie nic innego nie robiła.

Uśmiechnął się do mnie i z wdziękiem opadł na ziemię tuż obok, przez cały czas trzymając talerz z furą jedzenia. Za nim zjawił się Azaz ze srebrnym naczyniem, dzbanem i białym ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Ukląkł przy mnie i nalał wody, bym mogła obmyć ręce. Cóż za kurtuazja! Uśmiechnęłam się do niego, kiedy myłam i wycierałam dłonie, a on odwzajemnił uśmiech, wesoły i pogodny. Dzieci sobie poszły dopiero, kiedy Taib wyjął dla nich zza uszu garście migdałów, co powitały radosnym chichotem.

- Niezła sztuczka - zauważyłam.

- Dużo bratanków i brataniek. Mam praktykę.

- Nigdy nie chciałeś mieć własnych dzieci?

Podał mi talerz z dymiącą baraniną, warzywami i wielkim kawałkiem macy balansującym niebezpiecznie na krawędzi. Woń przypraw i owoców uniosła się z talerza, a mój nos dosłownie zadrżał jak u psa. Nie odpowiadając, przyglądał się, jak pałaszuję, a ja tak byłam zaabsorbowana wyśmienitym jedzeniem, tak pożywnym i idealnie skomponowanym - soczysta jagnięcina z dodatkiem miękkich, słodkich śliwek, chilli i czosnku zmieszanych ze smakami, których nie umiałam nazwać, ale przesyconych wonią płatków różanych i drzewa sandałowego, a może przyprawami, które mają jedynie nazwy nadane im przez używających je Berberów - że dopiero kiedy pochłonęłam połowę zawartości talerza, przypomniałam sobie, że mi nie odpowiedział. Popatrzyłam na niego z poczuciem winy i zobaczyłam, że przygląda mi się z rozbawieniem, ale bardzo uważnie.

Przełknęłam to, co miałam w ustach.

- Żadnych dzieci? - powtórzyłam.

- To bardzo osobiste pytanie.

- Czyżby? Taki mam dzisiaj osobisty dzień. Twoja kuzynka potraktowała mnie dzisiaj bardzo niegrzecznie.

Uniósł brwi.

- Naprawdę?

Nie miałam zamiaru przytaczać dokładnie jej słów: były zbyt ordynarne i czułabym się skępowana, jakbym próbowała go zaszokować, poderwać go w raczej pokrętny sposób.

- Powiedziała też, że byliście zaręczeni.

Twarz mu znieruchomiała, stała się zamknięta i nieprzystępna, jakby ktoś spuścił żaluzje.

- Byliśmy - powiedział po długiej pauzie. - Dawno temu.

- I co się stało?

- To sprawa pomiędzy nią i mną, i naszą rodziną, i na pewno nie jest tematem do rozmowy z kimś obcym.

Cóż, dostałam za swoje. Wyprostowałam się urażona, a Taib zaczął pałaszować resztę jedzenia na talerzu. Po chwili wstał, zabrał pusty talerz i bez słowa znikł w tłumie. Kilka minut później wrócił, niosąc pod pachą bęben wyglądający jak wielki tamburyn i drugi, składający się z dwóch glinianych naczyń pokrytych skórą. Większy podał Azazowi, sam zaś usiadł ze skrzyżowanymi nogami na macie w samym środku tańczących i zaczął wybijać żywy, synkopowy rytm.

Wkrótce kilkunastu mężczyzn zebrało się wokół niego, wtórując mu na własnych instrumentach lub tylko klaszcząc w dłonie. Wysoki młody mężczyzna z czymś przypominającym banjo usiadł przy nich, dodając jazzową nutę do melodii, którą podchwycili już wszyscy zebrani.

Patrzyłam, jak Taib gra i śpiewa, z zamkniętymi oczami, zatracony w muzyce. Miał przyjemny, delikatny tenor, smutny i ujmujący, i śpiewał z pasją, całym sercem, aż na szyi powychodziły mi ściegna. Byłam zdumiona: do tej pory nie wydawał mi się tak uczuciowym człowiekiem ani na tyle charyzmatycznym, by zostać głównym śpiewakiem. Ludzie już tańczyli, mężczyźni robili dwa posuwiste kroki w bok, klaskali w ręce i wracali. Młodsze kobiety wiły się w cnotliwej, ubranej wersji tańca brzucha, wdzięcznie poruszając dłońmi na wszystkie strony, starsze natomiast kołysały się i kiwały do rytmu, roześmiane i już nie tak wronowate jak wcześniej. Piosenka trwała i trwała, potem przeszła w następną i następną. Ktoś roznosił szklanki z miętową herbatą, małe migdałowe ciasteczka i coś wyglądającego jak krówki, czym poczęstowałam się z entuzjazmem. Niestety, okazało się, że smakuje jak balsa, która natychmiast pozbawiła mnie całej śliny i zabiła całą dotychczasową przyjemność z jedzenia.

Zerknęłam na zegarek. Rany boskie! Była prawie północ. Kiedy muzyka na chwilę ucichła, udało mi się pochwycić wzrok Taiba, który podszedł do mnie.

- O której chcesz wracać? - zapytałam. - Chyba powinnam zawiadomić Eve.

Był jakiś nieobecny, zamyślony.

- Oczywiście. - Przesunął dłonią po twarzy. - Posłuchaj, muszę z kimś porozmawiać. Daj mi chwilę. Zadzwoni do swojej przyjaciółki i zawiadom ją, że u ciebie wszystko w porządku, a ja zaraz wrócę. Powinnaś mieć tu dobry zasięg.

Powinnam? W tej dżicy wydawało się to mało prawdopodobne. Kiedy jednak wyjęłam telefon, zobaczyłam, że wykres zasięgu jest niemal pełny. Wybrałam numer Eve z listy kontaktów i czekałam. Telefon dzwonił. I dzwonił. Och, Eve, westchnęłam w duchu. Gdzie u licha jesteś? Po chwili, jakby słysząc moje połajanki, odebrała.

- Halo?

- Eve? To ja.

Rozległ się jakiś szelest, jakby przekładała telefon do drugiego ucha. .

- Och, cześć, Liz.

Głos miała jakiś dziwny: niewyraźny i stłumiony; może spała?

- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić. Po prostu nie zamykaj drzwi, wróć dzisiaj, chociaż chyba dość późno.

W tle usłyszałam, że coś mówi, ale dźwięki były zduszone, jakby zasłaniała słuchawkę ręką. Próbowałam się skupić, ale wokół mnie panował zbyt duży harmider głosów i śmiechu. Kolejna próba zasłonięcia słuchawki, po czym usłyszałam, głośno i całkiem wyraźnie:

- Daj spokój, Jez, przestań! Daj spokój! Szszsz, bądź cicho, to Izzy.

Wpatrywałam się posepnie w telefon, jakbym na jego małym matowym ekraniku mogła zobaczyć nasz niezbyt piękny hotelowy pokój z brązowymi płytkami na podłodze i burymi zasłonami. Czy zapalili jedną z tych zapachowych świeczek, które Eve ze sobą przywiozła, zamiast wystawiać się na bezlitosne światło sześćdziesięciowatowej gołej żarówki zwisającej ze środka sufitu? Złączyli razem dwa pojedyncze łóżka czy gnieśli się na wąskim materacu Eve, ze splecionymi nagimi kończynami, potem lśniącem na ich gładkich skórkach?

- Och, Eve.

Nagle poczułam się wykończona, pusta w środku.

- Co? Nic ci nie jest? Gdzie się podziewasz?

- Słuchaj, to nic. U mnie wszystko w porządku. Jestem z Taibem na czymś w rodzaju imprezy, w jakiejś wsi na południu. Nie wiem, ile czasu zajmie nam powrót, ale nie martw się o mnie, OK?

Rozłączyłam się, nagle bardzo samotna, i rozejrzałam się po ludzkim morzu, w którym byłam nieruchomą małą wysepką. Bębniarze ogrzewali skórę swoich bębnow nad ogniem, grupka kobiet grała na strunowych instrumentach w kształcie małych dziwnych altówek; siedzące u ich stóp dzieci ssły daktyle. Taib wrócił, prowadząc starszego mężczyznę z siwiejącymi włosami i wielkim wąsem.

- Mustafa zawiezie cię do Taфраout - oznajmił bez wstępów. Wydawał się znużony, jakby dużo go kosztowało przekonanie Mustafy, że to dobry pomysł.

Patrzyłam na niego, czując się jeszcze bardziej odrzucona.

- To jakieś żarty! Przecież ja go nie znam! Nie mam zielonego pojęcia, kim jest!

- To mój wuj. Będiesz z nim całkowicie bezpieczna. Poza tym razem z tobą pojedzie moja ciotka i jej trzy córki.

- A ty zostaniesz na przyjęciu do samego świtu? Westchnął głęboko.

- Zabiorę Lallawę na pustynię. To jej ostatnie życzenie, a ja mam i czas, i samochód, żeby to dla niej zrobić. Musiała mi opaść szczeka.

- Och.

Kucnął obok mnie.

- Chciałem cię zapytać, czy nie chciałabyś zobaczyć Sahary, tym bardziej że to tylko parę godzin jazdy stąd; ale potem doszedłem do wniosku, że to szalony pomysł. Prawie mnie nie znasz; a Lallawa, przy całym swoim stoicyzmie i odwadze, będzie wymagała opieki, a twoja kultura nie przyzwyczaiła cię do tego, i wtedy pomyślałem, że poproszę Mustafę, aby odwiózł cię do hotelu. Jeżeli jednak nie chcesz z nim jechać... - Westchnął i rozłożył ręce w bezradnym geście. - Wybacz. Obiecałem odwieźć cię do Tafraout, dałem swoje słowo. Pojedziemy teraz, a po Lallawę wrócę jutro.

- Nie. - Miałam wrażenie, że przemawia przeze mnie ktoś inny; ktoś lekkomyślny. Widziałam jakby z oddali swoją rękę, która podnosi się i dotyka jego ust, każąc mu zamilknąć. - Nie, chcę pojechać z tobą. Też chcę zobaczyć pustynię. Z tobą i Lallawą. Zabierz mnie z sobą na Saharę.

Działałam jak zdalnie sterowana, jakbym robiła pierwszy krok wiodący w bezkresną przepaść. Stało się, tak po prostu, i odtąd moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

## ROZDZIAŁ 19

W ciągu minionych dni i tygodni myśli Mariaty krążyły wyłącznie wokół nowego zmysłowego świata, do którego wprowadził ją Amastan. Myślała o nim tak często, że czasem zastanawiała się, czy jej osobisty demon miał dostęp do tych myśli i wykorzystywał je, by ją zwodzić w nowy, pomysłowy sposób. Pamiętała każdy szczegół chwil, które spędzali razem, żyła jak w transie, nieustannie od nowa je przeżywając. Pamiętała, jak leżeli pod oleandrami, których ciężki zapach unosił się w powietrzu, Amastan odwijał swój turban powoli i ze spokojem; ona wygłodniałym wzrokiem wpatrywała się w rysy jego twarzy, które widziała dopiero po raz drugi w życiu, i to w tak odmiennych okolicznościach. Pamiętała, jak on przytulił swój nagi policzek do jej, a ona wstrzymywała oddech tak długo, że niemal zemdląca. Jak jego gorący oddech owiewał najpierw jej szyję, potem piersi. Na to wspomnienie wciąż drżała zachwycona, wyczekując chwili, gdy dotknie ją znowu.

Odkryła, że inaczej patrzy na pozostałych członków plemienia. Czy oni również doświadczyli podobnego cudu? Im bardziej im się przyglądała, jak kręcą się przy codziennych obowiązkach, tym mniej prawdopodobne jej się to wydawało. Na przykład stary Taib siedzący na skale i za pomocą igły i szpagatu szyjący coś z kawałka kolorowego materiału: czy jego serce było kiedyś tak szybko na czyjś widok, że o mało nie rozerwało mu żeber? Albo Nadia z brązową twarzą wyżłobioną przez słońce i śmiech, której mąż handlował gdzieś daleko: czy leżała nocą w swoim namiocie i myślała o nim, z ręką wepchniętą między nogi? Albo wiecznie zła Noura: mając szóstkę dzieci, musiała coś czuć do Abdelrahmana, choć widząc ich razem, trudno było w to uwierzyć, tak zajadle kłócili się o mole, które wdały się w wełnę, albo brak cukru w zapasach. Mariata nie umiała sobie wyobrazić, żeby tych dwoje pożerało się kiedyś wzrokiem, jak teraz ona i Amastan. A kiedy rozmowa kobiet w obozie schodziła na Kheddou i Leilę, świeżo poślubioną parę, w tonie dziewcząt nie było słyhać zazdrości czy tęsknoty, lecz sprośność i ordynarność. Mimo to oczy Leili lśniły, a policzki były zarumienione, kiedy w końcu wyszła z namiotu nowożeńców, w następnych zaś dniach Mariata widziała, jak czasem siedziała zapatrzona w dal lub wieczorem w ogień i uśmiechała się skrycie do siebie, i wtedy wiedziała, że nie tylko ona jedna na świecie tak się czuje. Świat był skąpany w cudownej



mgiełce: z trudem odróżniała jeden dzień od drugiego. Nie umiała skupić się na codziennych czynnościach. Przypalała chleb, przekarmiała kury, nie budziła się na czas, kiedy przychodziła jej kolej dojenia kóz. Marzyła, by dzień się już skończył: pragnęła jedynie leżeć z Amastanem w ciemnościach i czuć, jak ich krew pulsuje jednym rytmem. Czasem widziała, jak Tana przypatruje się jej zmrużonymi oczami, ale enad nie namawiała jej więcej, żeby odeszła z plemienia, i wydawało się Mariacie, że nic nie jest w stanie naruszyć idealnej otoczki szczęścia, w jakiej spędzała swoje dni, strzeżona przez potęgę własnej zmysłowości. Nawet widok Amastana i innych mężczyzn rozmawiających z dwoma ciemno odzianymi mężczyznami, którzy wraz z zachodem słońca zjawili się na obrzeżach obozowiska, nie przstraszył jej tak, jak powinien, mimo że dostrzegła błysk pasów z amunicją krzyżujących się na ich piersiach i strzelby przewieszane ukośnie przez plecy. Gdy tej nocy Amastan przyszedł do niej później niż zwykle, tak była ogarnięta pożądaniem, że kompletnie wyleciało jej z głowy, aby zapytać, kim byli tamci mężczyźni, kiedy jednak zaczął owijać sobie wokół twarzy zawój, szykując się do powrotu do męskiej części obozu, położyła mu dłoń na ramieniu.

- Kim oni byli, ci mężczyźni, z którymi rozmawiałaś? Twarz Amastana przybrała tajemniczy wyraz.

- Przyjaciele. Nie ma potrzeby, żebyś się tym zajmowała. Mariata uniosła się gniewem.

- Bo jestem kobietą?

- Bo cię to nie dotyczy.

- Nie mów tak! Wszystko co dotyczy ciebie, dotyczy także mnie!

- Są pewne sprawy, o których nie możemy rozmawiać. Obudziła się w niej zazdrość.

- Na przykład o Mancie?

- Zawsze będę czcił jej pamięć.

- Sprawię, że o niej zapomnisz!

Przyciągnęła jego twarz do swojej i pocałowała go gwałtownie.

Po chwili Amastan odsunął ją łagodnie. Ujął jej twarz w swoją dłoń.

- Nigdy nie zapomnę Manty, chociaż w tej chwili moje serce należy do ciebie.

- A więc weźmiemy ślub? Patrzyła na niego wyzywająco. Słowa wibrowały w powietrzu między nimi. Twarz Amastana była nieprzenikniona.

Po kilku długich jak wieczność chwilach przemówił cicho.

- Naprawdę byś mnie chciała? - zapytał. - Ty, kobieta z takim pochodzeniem? Wiesz, że nie posiadam bogactwa, nie płynie też we mnie szlachetna krew.

- Dorobimy się własnego bogactwa i stworzymy własny ród. Razem. Powoli skinął głową. Potem uwolnił się od niej i wstał.

- Muszę o tym pomyśleć. Nie patrzył jej w oczy i byle jak owinął sobie zawój wokół głowy, jakby nie mógł się doczekać, by od niej odejść.

Mariata zerwała się na równe nogi, z pięściami zaciśniętymi, jakby chciała go uderzyć. W zamian jednak zaczęła gwałtownie uderzać w swoją suknię, strzepując z niej pył, uschłe liście i zmiażdżone płatki. Czowała, jak gorący płyn, który w niej zostawił, spływa jej po wewnętrznych stronach ud.

- Nie ma o czym myśleć - powiedziała przez zaciśnięte zęby. - Czy bawiliśmy się jak dzieci, pokładając się razem przez te ostatnie tygodnie? Myślisz, że robiłam to ot, tak sobie, byle tylko zaspokoić własną przyjemność? A może postanowiłam udoskonalić umiejętności - nauczyć się tańczyć, jak to delikatnie ujmują kobiety z twojego plemienia - których będę potrzebować, żeby gdzie indziej poszukać sobie odpowiedniego męża? - Patrzyła na niego. - Co ty sobie myślałeś?

Amastan uniósł rękę dłonią go góry, uspokajająco.

- Proszę, Mariato, przestań. Prawdę mówiąc, w ogóle nie myślałem. Czas, który z tobą spędzałem, był jak balsam na stare rany; ale powinienem był być mniej samolubny, myśleć nie tylko o własnych potrzebach. W tej chwili możemy zbyt wiele stracić, biorąc ślub. Ty, my wszyscy.

Mariata spoglądała na niego z wyższością, czując w sobie siłę swojej protoplastki; władzę wszystkich kobiet nad mężczyznami.

- Nie mów mi, proszę, co jest dla mnie najlepsze. Inni mężczyźni tego próbowali i mylili się. Kiedy byłam mała, bracia powiedzieli mi, że ukąszenie skorpiona najlepiej jest potrzebę gorącym piaskiem, a to najgorsze, co można zrobić: palec spuchł mi jak jajko. Kiedy umarła moja matka, ojciec zabrał mnie z mojego plemienia i zostawił na łasce

Kel Bazgan, co było jeszcze gorszym błędem. To ja podjęłam decyzję, żeby z twoją matką przebyć Tamesnę; ja, nikt inny, postanowiłam lec z tobą, ponieważ wiedziałam, że zostaniemy poślubieni. Tylko ja wiem, co jest dla mnie najlepsze; a ponieważ kochasz mnie, tak jak ja kocham ciebie, nie widzę żadnych przeszkód. - Ujęła amulet, który nosiła na szyi, i oznajmiła: - Biorę ciebie, Amastanie ag Moussa, za swojego męża po wsze czasy, i noszę twój talizman na znak naszego związku. - Następnie sięgnęła po swój szal i okryła nim głowę, jak kobieta zamężna. - Widzisz? Łatwo poszło. Jutro pójdziemy do twojej matki, powiemy jej o naszych zrękowinach, ona przygotowuje wesele, rozpowie, by znaleziono mojego ojca i braci, by mogli zostać zaproszeni na naszą uroczystość. O niczym więcej nie trzeba myśleć.

Amastan chwycił ją za ramiona; nie był to jednak czuły uścisk. Jego palce, spięte od powstrzymanego gniewu, wbijały się w nią boleśnie.

- Mariato. - Nie skończył zawijać swojego turbanu: długi koniec tagelmust opadał mu na tunikę, zostawiając jego usta, jeszcze przed chwilą całujące ją z taką czułością, odsłonięte w nocnym powietrzu. Ich kąciki opadały ze smutkiem. - To nie jest czas na wesele i świętowanie. Nadchodzi wojna, wojna, którą trzeba stoczyć, jeżeli nasz lud ma przetrwać. Jeżeli uciekniemy, jeżeli polegniemy, Wolny Lud przestanie istnieć, nie zostanie po nas żaden ślad. Ci mężczyźni, którzy tu dzisiaj byli, należą do grupy, którą rząd nazywa rebeliantami: są częścią ruchu oporu walczącego o utworzenie wolnego państwa Tuaregów - Azaouad, które będzie rozciągać się od L'Air aż do Adagh, nawet do twojego Hoggaru. Szukają wojowników we wszystkich plemionach w okolicy. Pójdziemy wszyscy: ja i Kheddou, Ibrahim, Bazu, Amud, Azelouane, Illi, Makhammad, Gibril, Abdallah, Hamid i cała reszta; wszyscy, którzy są zdolni do walki. Musimy, bo jeśli nie staniemy do walki, to co stało się z wioską Manty, spotka nas i wszystkich w całym Adagh. To co spotkało Mantę - gwałt, mord, poćwiartowanie - spotka moją matkę, moich kuzynów, moich przyjaciół. Spotka też ciebie, Mariato; a tego bym nie zniósł. Oni nas nienawidzą. Chcą nas zniszczyć, zmieść z powierzchni ziemi, po której stąpamy. Żalują nam powietrza, którym oddychamy, wody, którą pijemy. Samo nasze istnienie jest dla nich wyzwaniem i tylko w to wierzą. Dlatego musimy walczyć z nimi równie zaciekle, jak oni walczyliby z nami: ogień można zwalczyć tylko ogniem. W tej chwili

został nam jedynie zbrojny opór, chociaż potrzebna nam będzie cała siła, spryt i baraka naszych przodków, jeżeli mamy wygrać z ich strzelbami, gazem i podłością. Musisz pozwolić, bym poszedł i to zrobił, Mariato; a kiedy zwyciężymy i nasz lud będzie bezpieczny, wtedy pomyślimy o małżeństwie. Tylko wtedy będziemy mogli mieć szansę na szczęście i nadzieję na przyszłość, i przyszłość naszych wspólnych dzieci.

W jego oczach płonął gniew i zapał, jakby dostrzegał, co go czeka.

- A Kheddou i Leila? Zaledwie kilka tygodni temu tańczyłeś na ich weselu i nikt wtedy nie wspominał o wojnie.

- Nie mogę podejmować decyzji za innych.

- W takim razie nie próbuj jej podejmować i za mnie! Nie jestem jakąś kruchą istotką, którą trzeba chronić przed złem tego świata! Matka zawsze mi powtarzała, że wszystko co w życiu ważne, bierze się z serca - narysowała na ziemi kółko z kropką w środku - a my krążymy coraz szerzej i szerzej w Kręgu Życia, tak jak horyzont świata obraca się wokół nas i naszych stad. Jesteśmy częścią wszystkiego i wszystko jest częścią nas. Jeżeli ma być wojna, to będzie - powiedziała gwałtownie - ale stawimy jej czoła razem, poślubieni na oczach świata. Jeżeli ty będziesz walczył, to i ja również. Daj mi do ręki włócznię, zatknij miecz za pas, a ja będę walczyć jak mężczyzna. A jeśli wszystko ma się zakończyć w morzu krwi, niechaj mnie ono także pochłonie; jeśli zaś zwyciężymy, będę ten triumf dzielić z tobą.

W ciemnościach jej oczy odbijały blask księżyca, jakby płonął w nich zimny ogień, dla Amastana zaś była w tej chwili raczej duchem żywiołów niż kobietą z krwi i kości. Wielu mężczyzn złękłoby się tego widoku, jego jednak wypełniła nagle rozsadzająca pierś duma z siły jej determinacji, mocy jej miłości do niego. W lędźwiach znowu zapłonął mu ogień. Cóż może oprzeć się takiej sile? Każdy, kto spróbuje się jej przeciwstawić, zostanie złożony jej w ofierze; jakaś jego część tego zapragnęła. Chwyił ją i pocałował gwałtownie.

- Jesteś jak lwica. Ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Lwica? Nie. Moim zwierzęcym duchem jest tylko pokorny zając.

- Pokorny? Nie sędzę. Zając to najszlachetniejsze ze stworzeń; tak jak kobieta, która będzie moją żoną.

Następnego ranka poszli oboje do Rahmy i poinformowali ją o swoich zamiarach.

Rahma ucałowała rękę swojego syna i przycisnęła ją do serca. Potem objęła Mariatę.

- Och, córko, nie mogłaś przynieść mi bardziej radosnej wiadomości.

Widząc je, zwrócone ku sobie twarzami, Amastan pomyślał, jak bardzo są do siebie podobne, obie z ostrymi profilami i ciemnymi błyszczącymi oczami: dwie lwice nielekające się niczego, gotowe stanąć przeciwko całemu światu, by bronić swego. Nie jestem ich godzien, pomyślał, lecz nic nie rzekł.

Wieści o zrękowinach spadły na okolicę jak szarańcza na zboże. Wszyscy tylko o nich mówili. Zdania były podzielone: Mariata co prawda zrobiła dobre wrażenie na członkach plemienia, byli jednak tacy, którzy uważali ją za zbyt wysoko urodzoną na żonę mężczyzny z Kel Teggart, nawet jeżeli jego ojciec był amenokal związku plemion Air. Starsi pamiętali złe przeczucia, jakie mieli, kiedy Rahma wychodziła za Mousse ag Iba. Kiwali głowami i ze świstem wciągali powietrze przez zęby, gdy z podwiniętym ogonem wróciła do plemienia, nie mogąc niczym specjalnym pochwalić się po dwunastu latach spędzonych u boku mężczyzny znanego z okrucieństwa i wynoszenia się nad innych, poza namiotem, z którym wyjechała, zdychającym osłem i ponurym dzieckiem, małym na swój wiek, skorym do napadów złości i pyskatym. Z czasem zaczęli lepiej myśleć o Amastanie, gdyż wyrósł na wysokiego i silnego mężczyznę, mistrza w poezji i tańcu, wysoce cenili jego zdolności myśliwskie; nie ufali jednak jego usposobieniu i osądom, poza tym mieli go za pechowca, który zbyt często ściągał na siebie zły los. Martwili się na myśl, że osiadzie wśród nich z nową oblubienicą: ile czasu upłynie, pytali, zanim dobry dżin go opuści po raz kolejny i przyjdą po niego Kel Asuf, i wszystkich tych, którzy znajdą się zbyt blisko? Pozdrawiali go jak zawsze uprzejmie, wieszowali, życzyli baraka, długiego życia i wielu dzieci, i modlili się, by postąpił jak należy, zabierając Mariatę ul Yemma do obozu jej matki w odległych górach Hoggaru. Tak jak przystoi, przypominali sobie nawzajem, zważywszy na jej pochodzenie.

Jednak młodsze kobiety nie podzielały wątpliwości swoich rodziców i dziadków i traktowały Mariatę tak samo, jak traktowałyby

każdą inną mającą poślubić przystojnego młodzieńca. Ciemną pastą z henny wymalowały jej na dłoniach księżycy i kwiaty symbolizujące zaręczyny. Minął dzień, pasta wyschła i odpadła, ukazując ciemnobrązowe wzory wsiąknięte w skórę, które Amastan całował podczas ich nocnych schadzek. Ukryte w swoich namiotach uczyły ją sprośnych piosenek i wierszyków, a ona zarykiwała się ze śmiechu tak głośno, że aż Nadia przyszła przekonana, że jedna z jej jałówek zabłądziła. Leila, grając rolę doświadczonej młodej mężatki, wzięła Mariatę na stronę, by wyjawic jej tajemnice małżeńskiego łoża.

- W pierwszą noc poślubną nie możesz go do siebie dopuścić: ma cię traktować jak brat siostrę. Tak trzeba. W drugą noc może cię pocałować jak przyjaciel i przytulić cię, kiedy uśniesz; nic ponad to. Dopiero trzeciej nocy może cię potraktować jak mąż żonę.

Następnie wyjaśniła, nie szczędząc praktycznych szczegółów, co to dokładnie oznacza, i była zdumiona niewzruszonym spokojem młodszej kobiety wobec tak dosadnych opisów. Mariata ze swojej strony podziękowała Leili z powagą i wsunęła na jej smukły brązowy przegub jedną ze swoich pięknych srebrnych bransolet jako symbol ich przyjaźni. Leila później opowiedziała Nofie i Yehali, że kiedy Mariata jej słuchała, była przerażona jak młoda gazela.

Szczyście Mariaty zakłócał jedynie brak jej własnej rodziny, z którą mogłaby się nim dzielić. Rozesłano posłańców na szlaki biegnące na południe i wschód od Bilmy w nadziei, że znajdą jej ojca i braci. Podróżnych rozpytywano, czy gdzieś się z nimi nie spotkali. Byli handlarze zmierzający z Zinderu do Timbuktu, którzy opowiadali, że kiedy będąc w mieście, nocowali w funduq, słyszeli opowieści o karawanie, która wracając z kopalni soli w Bilmie, przepadła gdzieś w Tenere, i że byli w niej ojciec z dwoma synami; nikt jednak nie pamiętał, jak się nazywali, a ponieważ podobny opis odnosił się do większości wypraw handlowych, nikt owych wieści nie wziął sobie zbyt do serca. Mariata jednak, nie okazując co prawda niepokoju, udała się mimo wszystko do kobiety kowala, by ta odczytała jej znaki dotyczące tych plotek.

Tana w cieniu wielkiego tamaryszku rosnącego na skraju obozowiska szyła coś ze skóry, o barwach tak żywych i jaskrawych jak świeże owoce. Mariata zastanawiała się, co też to może być, tak wymyślnie zdobione skomplikowanymi wzorami i frędzlami. Rzadko

zdarzało się jej oglądać coś równie pięknego i teraz z trudem mogła oderwać wzrok.

Tana przyjrzała się jej ponuro. Od nocy zaślubin Kheddou i Leili nie zamieniły ani słowa.

- To podróżna torba - powiedziała enad bez wstępów i uniosła dzieło wysoko, a frędzle opadły i zafalowały. - Będzie ci potrzebna.

- Mnie?

- Wyruszasz w długą podróż.

Dało to Mariacie do myślenia. Czy kobieta kowal znowu chciała, by odeszła? Z drugiej strony ona sama zaproponowała Amastanowi, by po ślubie wybrali się w podróż do Hoggaru, chciała bowiem zawiadomić o małżeństwie swoich kuzynów, ostatnich, jacy zostali jeszcze z czcigodnej rodziny jej matki, i w szańcu ze wzgórz za Abalessą spędzić z nimi bezpiecznie zimę. Z całego serca pragnęła pokazać ukochanemu góry, wśród których dorastała, ostre szczyty pokrywane się purpurą w blasku zachodzącego słońca; chłodne, zacienione guelta, w których woda utrzymywała się przez cały rok. Amastan wysłuchał jej uprzejmie, ale nie powiedział niczego zobowiązującego. Nie mówił o tym głośno, ale ona wiedziała, że jego myśli krążą wokół coraz bliższej wojny. Mimo to była pewna, że po ślubie zdoła go przekonać, dlatego teraz nie domagała się od Tany wyjaśnień, lecz zadała pytania, z którymi do niej przyszła.

- Powrózysz mi i powiesz, czy mój ojciec i bracia są jeszcze wśród żywych?

Bystre oczy Tany wpatrywały się w nią; przewiercały ją na wylot jak pchnięcie lancą. W końcu enad westchnęła i podniosła się.

- Chodź ze mną.

W mroku kuźni Tana zaparzyła herbatę, używając tehergele, tinhert i ziół, których Mariata nie znała. Odrąbała kilka kawałków z głowy cukru i rozpuściła je w garnku. Potem wstała i jak mężczyzna nalala płyn z dużej wysokości, tak że chlusnął do szklanki, pieniąc się jak zimowy wodospad.

- Musisz wypić trzy szklanki, za każdym razem nalewane od nowa - powiedziała surowo do Mariaty. - Pierwsza jest mocna jak życie.

Usiadła naprzeciwko dziewczyny i pchnęła ku niej szklankę. Mariata wypiała, delektując się złożonym smakiem aromatycznej herbaty. Tana ponownie napełniła szklankę.

- Druga jest słodka jak miłość.

Mówiąc to, spoglądała na Mariatę niemal z nienawiścią. Mariata uniosła naczynie do ust i rzeczywiście teraz napój wydawał się słodszy.

- A to ostatnia szklanka. - Tana podsunęła ją ku niej i czekała. Mariata podniosła szklankę i przyjrzała się drobinkom herbaty i ziół wirujących w bursztynowym płynie. Wydawał się bardziej chłodny i ciemniejszy od poprzednich dwóch porcji: podejrzewała, że to dlatego, iż herbata parzyła się dłużej. Kiedy jednak pociągnęła pierwszy łyk, prawie się zakrzuszyła. Odstawiła naczynie.

- Ma obrzydliwy smak.

- Musisz wypić. - Enad przysiadła na piętach i patrzyła na Mariatę nieustępliwie, aż ta opróżniła szklankę do dna. Wtedy uśmiechnęła się zadowolona. - Trzecia szklanka jest gorzka jak śmierć - powiedziała.

Mariata wciąż czuła posmak na języku i przez jedną straszliwą chwilę zastanawiała się, czy kobieta kował ją otruła, i nie poczuła się wcale lepiej, widząc, jak Tana zasłania drzwi długą kotarą ze skóry, a na piasku przy progu układa gris - gris. W kuźni zapanował mrok: Mariata siedziała nieruchomo, nie wając się poruszyć, prawie nie oddychając. Ogień w palenisku zamigotał, a w jego blasku ostre rysy Tany stały się nagle ponure i demoniczne. Wtedy oznaczyła na podłodze miejsce, wygładzając piasek w kształcie zbliżonym do kwadratu. Na koniec kobieta kował podeszła do słupa podpierającego dach i popatrzyła w górę. Białe światło dnia sączyło się przez dymnik, padając na prostą skórzaną sakwę wiszącą na haku. Powietrze wokół sakwy migotało i poruszało się; drobinki kurzu i popiołu tańczyły w podmuchach wydostających się na zewnątrz. Wirowały i wiły się jak derwisze i przez jedną chwilę Mariacie wydało się, że widzi duchy drżące na skraju inkarnacji, gotowe zbudzić się do życia. Pod wpływem herbaty kręciło się jej w głowie. Enad sięgnęła po sakwę i zważyła ją w dłoni. Coś w środku zabrzęczało.

- Co w niej jest? - zapytała Mariata, starając się nie zdradzać lęku. Tana wysypała część zawartości sakwy na swoją dużą brązową dłoń.

W zamyśleniu muskała ją kciukiem. Potem wyciągnęła rękę, pokazując Mariacie. Na jej dłoni leżały kamienie, gładkie, takie same, jakie można znaleźć na dnie rzeki. Lecz wyciągnięte z wody



wydawały się brzydkie i nijakie. Mariata była rozczarowana, wyglądały tak zwyczajnie.

Kobieta kowal ze stukotem wrzuciła je z powrotem do sakwy.

- W każdym mieszka duch - powiedziała i z satysfakcją patrzyła, jak Mariata się kuli. - Tak właśnie je wybierałam: kiedy w czasie suszy szukałam ich wzdłuż oued, mieszkający w każdym z nich duch wołał do mnie. Zbieranie kamieni w płynącej rzece jest zbyt niebezpieczne: wszyscy wiedzą, że duchy spotykają się w wodzie. Ale kiedy są suche, mają mniejszą moc i wtedy mogą nad nimi panować. Przeczytam ci Drogi Życia i Drogi Śmierci i sprawdzimy, co ujrzymy.

Dotknęła amuletu Mariaty, postukała w niego kilka razy, potem dotknęła jej czoła, ramion, dłoni i stóp. Najwyraźniej usatysfakcjonowana ochroną, jaką zapewnił ten rytuał, zaczęła wyjmować z sakwy kamienie, rzucać je w górę lewą ręką i łapać prawą. Niektóre łapała parami, inne pojedynczo. Układała je w pionowej linii, jak wyrzeźbione litery tiffinagh na głazach wokół obozowiska: jeden, potem dwa, znowu dwa, jeden. Następnie wyrzuciła w powietrze kolejną partię kamieni, złapała je, przyjrzała się im, poruszając ustami, jakby coś liczyła. Od czasu do czasu unosiła brwi, jakby zdziwiona; zaciskała usta, marszczyła czoło.

Dalej były dwie pary i dwa pojedyncze, w różnych konfiguracjach. Wyglądało to na niemal przypadkowe, ale kobieta kowal przyglądała się wróżbie z takim skupieniem i uwagą, że Mariata nie miała wątpliwości, iż system opierał się na doborze i układzie, których nie rozumiała.

Kolejne kamienie wzleciały w powietrze i spadły, układane wzdłuż dwóch pierwszych linii: trzy pary, pojedynczy czerwony kamień. Enad zasyczała i skrzywiła się; nie wyglądała na zadowoloną.

- Co widzisz? - zapytała Mariata, nie mogąc dłużej znieść napięcia, Tana jednak potrząsnęła głową.

- Nie przeszkadzaj duchom, kiedy pracują - skarciła ją ostro.

Ułożyła ostatnią linię: dwie pary; jeden kamień, tym razem czarny; ostatnia para. Enad usiadła i w zamyśleniu przypatrywała się swemu dziełu. Podniosła pojedynczy czerwony kamyk, obróciła go i odłożyła na miejsce. Teraz strona, którą leżał do góry, była ciemnobrązowa: wyglądał mniej złowrogo. A może jednak bardziej?

- Twój ojciec i bracia wciąż podążają Drogą Życia, ale śmierć idzie ich śladem - powiedziała w końcu Tana. - Krew zostanie rozlana.

Mariata nie wiedziała, jak odczytać to tajemnicze oświadczenie.

- Żyją? - Tak.

Enad przesuwiała ręką po czterech liniach, czubkami palców znacząc ślady w piasku, poruszając kamieniami z wielką prędkością, jakby grała w szaloną strategiczną grę, co robili czasem starcy, pokonując linię wroga dwoma szybkimi posunięciami.

- Podróże, podróże, podróże - powiedziała ze złością. - Cóż, to było wiadomo. - Wydawało się, że mówi do siebie. - Od niewiadomego do znanego; od znanego do niewiadomego. Poświęcenie; zdrada; nieuchronna kolej rzeczy. - Podniosła biały kamyk, przyjrzała mu się uważnie. - Co robisz tutaj, na Drodze Śmierci, skoro przedstawiasz nowe życie? - spytała go rozzłoszczona, zupełnie jakby kamień dostał nagle ust i mógł jej odpowiedzieć.

On jednak uparcie milczał. Odłożyła go na miejsce i ze zmarszczonym czołem wzięła czarny. - Duch, który mieszka w tym kamieniu, jest przekorny - oznajmiła. - Uwielbia psuć moje wróżby. Mariata czekała.

- Co ten czarny przedstawia? - zapytała w końcu. Tana westchnęła.

- Przypadek. Psuje całą wróżbę.

- To znaczy, że mogą już nie żyć? Mój ojciec i bracia?

- Nie, nie. Nie widzę nikogo z twojej rodziny wśród umarłych. - Zacisnęła usta i mruknęła pod nosem. - Za to dużo innych ludzi.

- Co? - Mariata nachyliła się bliżej. - Co powiedziałaś?

Enad wstała, odsunęła skórzaną kotarę, wpuszczając do wnętrza blask słońca.

- To bez znaczenia. Jest już zapisane i nic nie mogę zrobić, żeby temu zapobiec: nie widzę czasu ani miejsca, tylko krew i oczy. Śmierć to drzwi, przez które wszyscy musimy przejść; możemy się tylko modlić, żeby nie dotrzeć do nich zbyt szybko, inszallah.

## ROZDZIAŁ 20

Nikomu nie wydało się dziwne, gdy o trzeciej nad ranem zjawiliśmy się z Taibern w domu Habiby, by zabrać Lallawę na wycieczkę na pustynię. Powitały nas natomiast uśmiechy podobnych do wron kobiet i powszechna zgoda, że tak wczesny wyjazd to bardzo dobry pomysł. Słyszając nowinę, staruszka nie posiadała się z radości. Chwyła Taiba za rękę i zaczęła obsypywać je pocałunkami, jednocześnie cały czas coś mamrocząc. Słyszałam, że powtarza słowo baraka.

- To znaczy „błogosławieństwo” - wyjaśniła mi Habiba.

Nasze wcześniejsze starcie zostało jakby zapomniane. Habiba chyba cieszyła się, że zabieramy Lallawę na pustynię; mimo to złośliwie przemknęło mi przez myśl, że cieszy się, iż nie będziemy z Taibem sami, tylko we dwoje, a staruszka w pewnym sensie odegra rolę przyzwoitki, przynajmniej trochę psując nam zabawę. A może zwyczajnie cieszyła się, że przynajmniej na chwilę nie będzie musiała zajmować się chorą i trochę sobie odpocznie.

Kobiety - wrony zabrały Taiba, by przygotować dla nas śniadanie i rzeczy niezbędne w podróży, kiedy jednak chciałam udać się z nimi, Habiba chwyciła mnie za ramię.

- Pomóż mi przy Lallawie.

Ubieranie staruszki trwało całą wieczność, i nie tylko dlatego, że ja nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Lallawa postanowiła, że na podróż musimy wystroić ją w jej najlepsze rzeczy i właśnie ten jej upór był powodem opóźnienia. Myślałam, że założy wszechobecną czarną suknię, jakie nosiły wszystkie kobiety - wrony: ale, och nie. Habiba została wysłana po nieskończoną ilość potrzebnych rzeczy; staruszka trzymała ją kurczowo za rękę, dobitnie wskazując palcem każde żądanie na długiej liście. Wizja podróży na pustynię zdawała się napędzać ją energią, niczym jakieś magiczne paliwo.

Kiedy zostałam z Lallawą sam na sam, nie wiedziałam, co mówić, tym bardziej że nie znałyśmy ani jednego słowa w żadnym wspólnym języku, i ze zdenerwowania uśmiechałam się tylko jak wariatka. Lallawa ożywiła się nagle i klepnęła mnie w rękę. Paplając coś, dotknęła swojej szyi, robiąc ręką ruch sugerujący kwadrat. Amulet. Wyjęłam go z torebki, wsunęłam jej w palce i patrzyłam, jak przybliżyła go sobie do oczu i obraca bez końca, jakby przyglądając się każdemu detalowi. Zastanawiałam się, co tak naprawdę widzi? Czy dostrzega

kształt, rzeźbienia na krawędziach? A może tylko dotykem rozpoznaje jego wielkość, szklane koła i wypukły guz? Nie miało to chyba znaczenia, ponieważ uśmiech, jakim mnie obdarzyła, wyrażał najczystsza radość, a kiedy oddała mi amulet, ujęła mój policzek z taką czułością, że aż mi dech zaparło.

Habiba wróciła z naręczem tkanin i torbą pełną różnych rzeczy i Lallawa całą swoją uwagę skupiła na niej, pokorna jak dziecko. Rozebrałyśmy ją z bielizny nocnej, którą miała na sobie, i Habiba wzięła zawiniątko ciemnoniebieskiego materiału z lekkim metalicznym połyskiem.

- To tamelhaft - wyjaśniła, po czym rozpostarła materiał i kiedy podniosłam Lallawę, żeby ją podtrzymać, zaczęła drapować na niej ubiór. - Bardzo tradycyjny; dzisiaj już staromodny. - Przytrzymując strój dwoma ozdobnymi agrafami zapiętymi na ramieniu, wygładziła fałdy i cofnęła się o krok. - Pięknie.

Lallawa uśmiechnęła się błogo i z dumą poklepała jedną ze srebrnych zapinek na ramieniu.

- Są bardzo stare - powiedziała do mnie Habiba. - Dzisiaj trudno znaleźć fibule równie pięknej roboty.

Przyszła kolej na dalszą biżuterię: parę ciężkich srebrnych kolczyków, kilkanaście bransolet, niektóre cienkie jak strumień światła, inne masywne, ozdobione geometrycznymi wzorami, dwa ciężkie sznury kauri i trzy małe amulety, które Habiba przypięła w różnych miejscach na sukni. Strój dopełnił haftowany szal udrapowany przez Habibę na głowie staruszki.

Zaciekawiły mnie motywy, które pojawiały się na wszystkich częściach garderoby.

- Bardzo dużo trójkątów. Habiba zaśmiała się.  
- Ostre rogi odstraszą złe oko, może nawet mają je przebić.  
- Okropność! Wzruszyła ramionami.  
- Starzy ludzie święcie w to wierzą; według nich zło czyha wszędzie. Nie tylko złe oko, ale także złe duchy - demony. - Chyba zrobiłam głupkowatą minę, bo nachyliła się ku mnie. - Nie słyszałaś o dżinach?

Pokręciłam głową. Nagle coś mi zaświtało.

- Chyba że chodzi ci o dżina, jak w Aladynie?

Pobieżnie opowiedziałam jej bajkę z Tysiąca i jednej nocy, którą czytałam jako dziecko.

Zmarszczyła czoło, po czym roześmiała się.

- Ach, chodzi ci o Ala al - Dina i lampę, którą znający się na magii Maur wysłał mu, żeby ją naprawił w Alf Layla Wa - Layla. Tak, twój „dżin” to właśnie wielki i potężny duch, chociaż jest trochę bardziej posłuszny od podłych stworzeń, w które wierzą starzy ludzie i które ciągle czyhają, żeby słabych i głupich zwieść na manowce, niweczyć ich plany, psuć jedzenie i mieszać ludziom zmysły. Prawie wszystko co Lallawa nosi na sobie, ma odstraszać takie duchy: kolor jej sukni, czernidło na oczach; nawet henna na jej palcach. - Powiedziała coś do staruszki, a ona z ożywieniem pokiwała głową i udzieliła długiej odpowiedzi. - Mówi, że taka ochrona będzie jej potrzebna, kiedy wyruszy na pustynię, bo pustynia jest nie tylko jej domem, ale także domem całej masy złych duchów. Bardzo się cieszy, że ty masz swój własny amulet, który będzie cię strzegł. Nalega jednak, żebyś go założyła.

- Naprawdę?

Wyjęłam amulet, a on zaciążył mi w dłoni.

- Bardzo by ją to ucieszyło. Niechętnie założyłam amulet na szyję. Habiba przyjrzała mu się z powagą.

- Dobrze. Poczułam się skrepowana jej wzrokiem. Szybko zmieniłam temat.

- A co z jej lekarstwami? Habiba roześmiała się. /

- Nie weźmie niczego, co przepisują jej lekarze, tylko ziołowe leki, jakie robią stare kobiety. Ale ostatnio nie chce już zażywać nawet tego.

- Nic się jej nie stanie, prawda? - zapytałam zdenerwowana. Nagle dotarło do mnie, że wyprawa na pustynię z taką chorą starą kobietą nie jest najlepszym pomysłem.

Habiba szybko domyśliła się, o co mi chodzi.

- Nic jej nie będzie, inszallah. A jeśli coś się stanie... - Rozłożyła ręce. - Taib się tym zajmie: jest bardzo zaradny. Ty nie musisz się o nic martwić.

Poczułam się słusznie skarcona; po raz kolejny wyszedł na jaw mój zachodnioeuropejski egoizm. Po prawdzie nagle przeraziła mnie ta bliskość śmierci. Ale dla tutejszych ludzi śmierć była czymś wszechobecnym, częścią życia, co nam, mieszkańcom Zachodu, było obce. My trzymaliśmy ją na dystans, była czymś odległym, klinicznym i zakazanym, jakby świadomość, że nie jesteśmy w stanie

kontrolować wszystkiego, mogła zburzyć całą tę kruchą fasadę, jaką zbudowaliśmy wokół siebie.

Taib wsunął głowę przez drzwi. Chyba brał prysznic: miał mokre włosy, a turban luźno zarzucony wokół szyi, poza tym ubrany był w T-shirt i dżinsy, które musiał nosić wcześniej pod tuniką, teraz zwiniętą pod pachą. Na widok wystrojonej Lallawy uśmiechnął się szeroko.

- T'fulkit - powiedział; cokolwiek to znaczyło, musiało sprawić jej wielką przyjemność, bo jej pomarszczona twarz cała się rozpromieniła.

Potem spojrzał na mnie. Jego wzrok prześlizgnął się po amulecie i na powrót spoczął na mojej twarzy.

- Pięknie - rzekł cicho i wpatrywał się we mnie, aż musiałam odwrócić wzrok.

Schylił się i podniósł staruszkę, tak samo jak wcześniej wniósł mnie do hotelu; kiedy jednak ja byłam sztywna i broniłam się, Lallawa uśmiechała się tak szeroko, że widziałam jej podniebienie.

Usadowiliśmy ją na tylnym siedzeniu samochodu, bezpiecznie kokonie z koców, zapiętą pasem, a ja wróciłam po torbę z jedzeniem i picciem, którą kobiety - wrony przygotowały nam na podróż. W drzwiach Habiba uścisnęła mnie krótko, ale mocno.

- Dziękuję, że to robisz - powiedziała, wpatrując się we mnie uważnie ciemnymi oczami. - Dziękuję. I przepraszam, że wczoraj byłam taka niemila. Robicie dobrą rzecz, ty i Taib.

Obróciła się, pomachała mi i weszła do domu.

- Vous allez bien, madame? - zapytałam staruszkę, chociaż wiedziałam, że mnie nie rozumie. Jej mała pomarszczona twarz była skierowana ku mnie, otoczona zwojami szala i srebrną biżuterią: wyglądała jak przepowiadająca przyszłość cyganka porwana z budy na molo. Koc poruszył się i wychyłała spod niego ręka brązowa jak małpia łapka i po chwili ujrzałam uniesiony do góry kciuk w uniwersalnym geście wyrażającym, że wszystko jest OK.

Wyjechaliśmy z Tiouady, kiedy słońce pojawiło się nad wzgórzami, oświetlając samochód swoimi promieniami. W godzinie świtu nic się nie poruszało poza stadkiem wróbli urządzających sobie poranną kąpiel w pyłe przy drodze; wyfrunęły w powietrze, ich ciemnobrązowe skrzydełka odbijały światło, które nagle zabarwiło je magicznym złotem, aż migotały jak smugi ognia na tle błękitnego nieba.

Obróciłam się, żeby pokazać jej Lallawie, ale jej głowa już się kiwała, a złożone na brzuchu ramiona unosiły się i opadały rytmicznie.

- Śpi - powiedziałam cicho do Taiba, a on zerknął we wsteczne lustro.

- Niepotrzebnie szepczesz, jest prawie całkiem głucha.

- Biedactwo. I te jej oczy. Ma jaskrę, prawda?

- Właściwie kataraktę. Życie w pustynnym słońcu szkodzi oczom - przyznał. - Ale coś tam jeszcze widzi.

- Sądziłam, że jest prawie zupełnie ślepa. Mam nadzieję, że coś będzie miała z tej podróży.

- Ślepa czy nie, pustynię zobaczy na pewno - rzekł tajemniczo Taib. - To dar, jaki dzieli z Zasłaniającymi Twarz.

- Zasłaniającymi Twarz?

- Kel Tagelmust: ludzie, którzy noszą zawoje. Tak nazywają siebie ludzie pustyni. Nazwa „Tuaregowie” nie jest zbyt często używana.

- Ale tak właśnie mówiłeś, kiedy opowiadałeś mi o swoich korzeniach. Nazwałeś siebie Tuaregiem.

Prawie niezauważalnie wzruszył ramionami.

- To poręczne uproszczenie. W zasadzie to arabski neologizm. Niektórzy uważają, że wywodzi się od nazwy regionu znanego jako Targa w Libii, ponieważ jeden Tuareg to „Targui”; według innych oznacza „Odrzuceni przez Boga” lub „Ci, których Bóg przeklął”, ale pewnie dlatego, że tak długo opierali się beduińskim plemionom, które napadały ich od południa w ósmym wieku, siłą narzucając islam.

- A Błękitni Ludzie? Słyszałam, że tak też się ich nazywa.

- Oprócz wielbłądów nade wszystko cenili sobie swoje tuniki i turbany w kolorze indygo; dobry materiał w kolorze indygo jest bardzo drogi i niełatwo go dostać. Od wieków był swego rodzaju walutą w całej Afryce, a żeby wyprodukować taką tkaninę dobrej jakości, trzeba się dużo i ciężko napracować: farbiarze Hausa farbują materiał dziesięć razy, a potem biją go, aż nabierze połysku. Im lepsza jakość, tym więcej jest w materiale barwnika i tym więcej przejdzie go na skórę, na stałe czyniąc tego, kto go nosi, jednym z Kel Tagelmust. Co najdziwniejsze, to naprawdę chroni skórę: dzięki temu wilgoć nie ucieka z ciała, a kobiety twierdzą, że działa też jak kosmetyk. Dlatego są Błękitnymi Ludźmi.

- To znaczy, że też Błękitnymi Kobietami. - Uśmiechnęłam się. - Ale Lallawa... wybacz mi, proszę... Lallawa ma znacznie ciemniejszą skórę niż reszta twojej rodziny. Nie jest do was specjalnie podobna.

Chociaż nadal był do mnie zwrócony profilem, zauważyłam, że jest zakłopotany.

- Tak naprawdę nie jest... z rodziny, nie od początku. Jest iklan.

- Iklan?

- Niewolnik.

- Niewolnik? - Usłyszałam, jak mój głos wznosi się o oktawę.

Taib westchnął.

- Lallawę kupił pradziadek Habiby za sól od handlarzy na południu Algierii. Nikt dokładnie nie wie, skąd pochodzi, zwłaszcza sama Lallawa: została schwytana, kiedy była zaledwie dzieckiem. Prawdopodobnie padła ofiarą wojny plemiennej w Gwinei albo na Wybrzeżu Kości Słoniowej, wzięta do niewoli razem z innymi członkami jej plemienia i sprzedana przejezdnym handlarzom. To działo się w czasach, kiedy nasza rodzina wciąż jeszcze prowadziła pustynne życie, a Lallawa była młoda i silna. Jest z nami od tamtej pory: iklan nie są traktowani jak niewolnicy w twoim rozumieniu, lecz jak zwykli członkowie plemienia. Mieszkają w tym samym obozowisku, pokonują te same ciężkie drogi, jedzą to samo; sami wybierają sobie mężów i żony, sami wychowują dzieci, a kiedy są już starzy i nie mają siły pracować, opiekujemy się nimi tak samo jak innymi starymi ludźmi. Kiedy więc ojciec Habiby postanowił skończyć z życiem nomady i zamieszkać w Tiouadzie, Lallawa rzecz jasna przybyła wraz z rodziną. Powiedziała, że zawsze marzyła o własnym domu i własnych zwierzętach: wobec tego bracia Habiby wybudowali dla niej dom i zagrodę, potem sami przenieśli się do Casablanki. Smutno jej było opuszczać dom, ale była już zbyt chora, by mieszkać samotnie.

Patrzyłam na niego, próbując to wszystko uporządkować. Trudno sobie wyobrazić, że w dzisiejszych czasach można być niewolnikiem, siłą zabranym z domu, od rodziny, uprowadzonym i sprzedanym jak każdy inny towar. Trudno sobie wyobrazić, że w obecnym, dwudziestym pierwszym wieku żyje kobieta, która na własnej skórze doświadczyła tego wszystkiego, a teraz śpi sobie smacznie na tylnym siedzeniu samochodu, w którym siedzę. Nie byłam w stanie tego pojąć



ani tym bardziej usprawiedliwić, choćby Taib nie wiadomo jak swobodnie o tym mówił.

- A kiedy ten proceder, to całe niewolnictwo wreszcie się skończyło? - zapytałam, na próżno starając się ukryć oburzenie w moim głosie.

Przemówił dopiero po dłuższej chwili.

- Cóż, różnie to było. Tuaregowie to ludzie, którzy nie uznają granic, tradycyjnie więc nie podlegają żadnej formie scentralizowanej władzy czy prawa, lecz wyłącznie swoim plemiennym wodzom i naczelnikom miejscowych związków plemiennych. Na pewno pamiętasz, że Afryka Północna i Zachodnia jeszcze całkiem do niedawna była skolonizowana, głównie przez Francuzów. Kolonialiści w zasadzie nie dostrzegali niewolnictwa; zwyczajnie nie zajmowali się tym problemem. Dopiero kiedy poszczególne kraje zaczęły odzyskiwać niepodległość w latach sześćdziesiątych, niewolnictwo zostało prawnie zakazane, a styl życia Tuaregów zniszczony, często siłą.

- A co ty myślisz o tej części swojego dziedzictwa? - zapytałam naprawdę zciekawiona.

Obrzucił mnie surowym spojrzeniem.

- A co ty myślisz o swoim dziedzictwie? Z matką Francuzką i ojcem Brytyjczykiem na pewno miałaś kilku przodków, którzy posiadali niewolników.

Nie wydało mi się to do końca uczciwe, ale żadna riposta nie przychodziła mi do głowy, więc przez jakiś czas w milczeniu jechaliśmy zakurzoną okolicą, mijając wieże z kruszącymi się skał i wyschłe koryta rzek z brzegami porośniętymi skąpą roślinnością, od czasu do czasu oszłamiające swą zielonością kępki oleandrów lub palm. Nieliczne ludzkie siedliska, przez które przejeżdżaliśmy, robiły raczej przygnębiające wrażenie: przysadziste jednopiętrowe budynki z gliny o tej samej brązowoczerwonej barwie co ziemia, z której wyrastały. Im dalej przesuwalismy się na południe, tym skromniej się te osady prezentowały, coraz częściej widać było ściany z gołych pustaków, jakby mieszkańcom brakło optymizmu, by pomalować swoje domy, jakoś o nie zadbać. Tutaj człowiek przegrywał wojnę z naturą, ślady jego działalności coraz mniej były widoczne; przez kilka kilometrów nie spotkaliśmy żadnego innego pojazdu.

W powietrzu na zewnątrz wirowały chmury pyłu; mimo włączonej klimatyzacji i tak czułam jego ostry, stęchły zapach, zatykał mi nos, osadzał się w ustach, przytłaczał płuca. Pokryte kurzem równiny ustąpiły miejsca poszarpanemu księżycowemu krajobrazowi z nagimi szczytami i wznoszącymi się pionowo skalnymi ścianami, wbitymi w twardą ziemię pod kątem jak statki zatopione w morzu kamieni, przywodząc mi na myśl, mimo różnic w kolorycie i kształtach, północne wybrzeże Devonu w okolicach Hartland i Sharpnose, gdzie jednego lata pojechałam się wspinać, ale przesądnie nigdy nie chciałam tam wrócić. Panowała tam ponura, przerażająca atmosfera, nawet w słoneczny dzień. Było to przekłete wybrzeże, na którym ciągle rozbijał się jakiś statek i ktoś się topił, gdzie śmierć i nieszczęście gościły od dawna. Tutaj, identycznie jak tam, miałam to samo wrażenie: że jesteśmy intruzami w miejscu, gdzie natura nas sobie nie życzy, dlatego jakby celowo przystroiła się w brzydką, niegościnną szatę, próbując nas odstraszyć. Wciąż jeszcze snułam te gotyckie rozważania, gdy przerwał je okrzyk Taiba.

- Popatrz!

Zatrzymał samochód w samą porę, bym zobaczyła lisa z niesamowicie puszystym ogonem, który napędzany energią wyzwoloną nagłym dopływem adrenaliny gna w górę po niemal pionowej skale, przerażony hałasem, jaki powodował nasz zbliżający się samochód.

Przyglądałam się temu zaskoczona i pełna podziwu; podziwu dla jego zwinności, szybkości i gęstego, lśniącego rdzawoczarnego futra; zaskoczona, że coś tak pięknego i pełnego życia egzystuje w tym pełnym kurzu, rozpalonym jak kocioł miejscu. Dla mnie był to cud życia objawiony w samym środku martwoty. Powiedziałam o tym Taibowi.

Prychnął.

- Jasne, że są tutaj zwierzęta! Myślałaś, że skoro ich nie widzisz, to ich nie ma? I że ponieważ nie widać ludzi, to nie ma tu życia? Lis tu mieszka, bo są tu króliki, na które może polować; są króliki, bo mają smaczne roślinki i dobre kryjówki pomiędzy głazami. Patrz uważnie, a zobaczysz jastrzębie i sowy. A kiedy zajdzie słońce, usłyszysz szakale i dzikie świnie. Tymi dolinami przechodzą stada gazeli w drodze na północne pastwiska. Jak widzisz, życie jest wszędzie, nawet w głębi pustyni.

- A co to był za lis? Nigdy nie widziałam żadnego z taką kitą ani z takim ciemnym futrem.

Popatrzył na mnie dziwnie.

- Zwyczajny lis - powiedział.

Chwilę później czarny ptak z białym ogonem przeleciał nisko nad ziemią tuż przed maską samochodu i znikł w gałęziach kolczastego drzewa.

- Co to było? - zapytałam.

- Drzewo to akacja. A ptak? Nie mam pojęcia.

- Myślałam, że wiesz wszystko o przyrodzie - zakpiłam i zobaczyłam, jak zaciska zęby.

- My tutaj nie podzielamy europejskiej pasji do nazywania i kategoryzowania - ofuknął mnie. - Wam się wydaje, że kiedy nadajecie czemuś nazwę, automatycznie coś o tym wiecie; ale gdybym jednak podał ci nazwę tego ptaka, co byś o nim wiedziała? Nic, co ma jakieś znaczenie: znalazłabyś tylko sztuczną nazwę, jaką ktoś przypadkowo mu nadał, ale która w żaden sposób nie sprawi, że będzie lepiej latał czy wyda na świat więcej młodych. Takie nazywanie naszego świata to tylko kolejna forma kolonializmu.

Jego słowa mnie dotknęły.

- Słuchaj, to nie ja skolonizowałam wasze nędzne państewko! Nawet nie lubiłam swojej francuskiej rodziny.

Zobaczyłam, jak drgają mu wargi, i zrozumiałam, że połknęłam przynętę.

- No właśnie, Isabelle, opowiedz mi o swojej rodzinie, swoim dzieciństwie.

- Wolalabym nie - odparłam sztywno.

- Co, chcesz mnie ukarać, bo byłam dla ciebie niemiła?

- Nie w tym rzecz. Chodzi o to, że... cóż, nie ma specjalnie o czym opowiadać.

- To najsmutniejsze, co można powiedzieć o swoim dzieciństwie. Naprawdę potrafisz o tym tak zwyczajnie zapomnieć?

- Byłam wtedy inną osobą.

- Jak to możliwe? Kiedy przypominam sobie siebie, jak miałem cztery lata, potem dziewięć czy piętnaście, wciąż jestem tym samym człowiekiem, którym byłem wtedy - obojętnie, czy chodzę ulicami Paryża czy suku w Tafraout. To kim jestem, nie zmieniło się jakoś znacząco. Wiem więcej o życiu, o innych ludziach, o sobie. Ale mam

nadzieję, że nie straciłem tej zasadniczej niewinności czy radości, którą miałem jako chłopiec.

Siedziałam w milczeniu, myśląc o tym wszystkim, zazdrosząc mu tej prostoty, przejrzystości w życiu. Czy pamiętam siebie jako czterolatkę? Być może, gdybym spróbowała, i to całkiem wyraźnie - mała Izzy, wiecznie w ogrodzie, czymś zajęta: budową zamków i kryjówek, wyplataniem wianków ze stokrotek, robieniem domków dla dżdżownic i gniazd dla ptaków, które w nich nigdy nie zamieszkały. Uśmiechnęłam się, ale wspomnienie okraszone było smutkiem, bo już nie byłam tamtą Izzy.

- Ty mi opowiedz o swoim dzieciństwie - poprosiłam w zamian, uciekając przed trudnym tematem.

Jechaliśmy przez niekończące się przestrzenie pełne poszarpanych skał, niskich zboczy i czarnych wzgórz w kształcie piramid majaczących mgliście w przepelnionym kurzem powietrzu, Lallawa pochrapywała cicho na tylnym siedzeniu, a Taib opowiadał mi historie ze swojej młodości. Jak był przywódcą bandy chłopaków grasujących po całym mieście, kradnących owoce z sadów, toczących wojny pomiędzy skałami. Pewnego razu w targowy dzień zakradli się do zagrody dla osłów i uwolnili wszystkie zwierzęta, rozpędzając je po okolicznych wzgórzach, a kiedy biedni chłopci wrócili z soku z workami pełnymi zakupów, odkryli, że ich transport biega po całej okolicy, porykując ze zdenerwowania. Kiedy indziej uciekali w góry z jedzeniem, jakie udało im się wyżebrać albo ukraść. Któregoś dnia zadaniem Taiba było zdobycie kury, wobec czego zakradł się do sąsiada i umknął z wrywającą się kurą ukrytą pod tuniką. W górach mieli zarżnąć biednego ptaka, ale okazało się, że mają tylko jeden scyzoryk, tak tępy, że nie zdołali skrzywdzić kury, która tylko gdakała jak oszalała, a na koniec wyrwała się i połykając, uciekła, z szyją przekrzywioną pod dziwnym kątem i gubiąc pióra, a oni śmiali się tak bardzo, że nawet nie mieli siły za nią gonić.

- Wolę myśleć, że wciąż gdzieś tam sobie żyje - powiedział Taib, a oczy mu błyszczały. - Może założyła dynastię poszarpanych górskich kur o krzywych szyjach.

Na drodze oznaczonej napisem, że biegnie do Akki, Lallawa obudziła się gwałtownie. Patrzyłam, jak skulona przy oknie wygląda przez nie niedowidzącymi oczami, z dłonią przyciśniętą do szyby, która zachodziła parą od jej oddechu. Powiedziała coś do Taiba, a on

zatrzymał samochód i podał mi pudełko z jednorazowymi chusteczkami. Widniał na nim napis „Beaury” i podobizna nieśmiało spoglądającej arabskiej księżniczki w ozdobie z koralików na głowie, z poczernionymi oczami i wyraźnym wąsem.

- Ona musi... no wiesz.

Wraz z Lallawa udało się nam przeżyć ten przymusowy postój z dużą godnością, zwłaszcza biorąc pod uwagę moją chorą kostkę, jej wiek, niedołężność i pozorne rozmiary. Okazało się, że pod kilometrami tkaniny kryje się kruche, wątłe ciało: czułam jej wszystkie kości, obwisłe ciało i zwiotczałe mięśnie, kiedy pomagałam jej wsiąść do samochodu. Wróciły moje złe przeczucia. Obejrzałam się do tyłu, gdzie Taib sadowił Lallawę wygodnie, on jednak mówił coś do niej żartobliwie i nie patrzył na mnie. Miał opuszczone oczy, policzki uśmiechnięte, całą uwagę skupioną na Lallawie, a mną wstrząsnęła nagła świadomość, jak bardzo jest przystojny - nie tylko fizycznie, z ostro zarysowanymi kośćmi twarzy, wysoką szczupłą sylwetką, ale również w sposobie, z jakim odnosił się do starszej pani: z nieudawaną serdecznością i ciepłem, przy których moje obawy były małostkowe i samolubne.

Jechaliśmy jakieś pół godziny, kiedy Taib zjechał z drogi na punkt widokowy, gdzie ze szczytu ogromnej skarpy mogliśmy podziwiać najbardziej niesamowity widok. Tuż pod nami z czerwonej zakurzonej ziemi wyrastały szmaragdowozielone oazy; za nimi krajobraz robił się płaski i ciągnął w nieskończoność, niemający kresu koc ze skał i piasku okrywający ziemię.

- Na południe stąd jest kopalnia złota w Akce, a potem już tylko Sahara. - Taib przysłonił ręką oczy i dodał niby mimochodem: - Kopalnia złota największa w Afryce.

Zobaczyłam, jak Lallawa krzywi się i dotyka jednego z amuletów.

- Usłyszała nazwę „Akka” - powiedział Taib z uśmiechem, widząc moją minę. - Jednak nie jest aż tak głucha. I zna legendę.

- Jaką legendę?

- Kiedy w tej części Maroka zostało odkryte złoto, ludzie oszaleli. Porzucili żony, dzieci, byle tylko szukać złota; całymi dniami i nocami nic tylko kopali i kopali. Opętała ich chciwość, a może demon. Kiedy Bóg to zobaczył, zesłał na ziemię wielką powódź, po niej suszę, a wreszcie plagę szarańczy, żeby pokazać im wartość

rzeczy, od których zależy życie. W naszej kulturze złoto ściąga pecha. Bogactwo przynosi tylko nieszczęście, wyzysk i śmierć.

- A ja myślałam, że bieda przynosi znacznie więcej śmierci i nieszczęścia niż odrobina złota - odezwałam się lodowato.

- Ludzie nie giną z braku złota - rzekł cicho. - Ale wielu umiera, goniąc za nim; jeszcze więcej zostaje przy okazji zdeptanych. Życie mnie nauczyło, że bogaci nigdy nie zostali nimi ucziwie.

- Co w takim razie robisz w Paryżu, zamiast zostać tutaj i ożenić się z Habibą? - zapytałam urażona. - Sprzedajesz artefakty waszej kultury, na pewno po bardzo zawyżonych cenach, swoim bogatym klientom?

Popatrzył mi prosto w oczy z taką mocą, że jego spojrzenie było niemal wyczuwalne.

- Pieniądze, jakie zarabiam, handlując tuareskimi towarami, wracają do Tuaregów. Dzięki nim udało się nam otworzyć wędrowną szkołę, żeby dzieci nomadów mogły się uczyć wszystkiego, co im potrzebne do poruszania się we współczesnym świecie, i potem uczyły własne dzieci. Uczą się historii swojej kultury, przekazywania historii, które opowiadają im ich dziadkowie, zachowywania ustnej tradycji w formie pisemnej, dla przyszłych pokoleń. Opłacamy też wędrownego lekarza, który odwiedza obozowiska.

Zaczerwieniłam się.

- Przepraszam.

- A co ty robisz, Isabelle, kiedy nie jesteś na wakacjach i nie spadasz z gór?

Ledwo zaczęłam tłumaczyć mu, na czym polega korporacyjna księgowość, ogarnęło mnie potęgujące się z każdą chwilą, dotąd mi obce ogromne poczucie wstydu. Szczyciłam się moim wzbudzającym zawiść portfolio wysoko notowanych na giełdzie klientów, znajomością podatkowych kruczków i procedur, swoją starannością i sprytem. Kiedy wyjaśniałam Taibowi, na czym polega to, czym zajmuję się od dwudziestu lat, ogarniał mnie coraz większy niesmak wobec siebie i systemu, którego byłam częścią.

- Jak widzisz, tym właśnie się zajmuję - powiedziałam na koniec ze znużeniem. - Pomagam tłustym kotom unikać płacenia podatków rządowi, dzięki którym reszcie ludności żyłoby się może lepiej, zaoszczędzić pieniądze, które można by wydać na pomoc biednym, ogrzewanie dla starych ludzi, lepsze szkoły i szpitale...

- Tłustym kotom? - przerwał mi.

Tak się rozgorączkowałam, że tam, gdzie nie znałam francuskiego zwrotu, wtrąciłam jego tłumaczenie z angielskiego.

- Les gros chats - przetłumaczyłam, ale on był jeszcze bardziej zdziwiony.

Próbowałam wyjaśniać dalej, aż w końcu mi przerwał.

- Ab, les rats dans un fromage! Chciwi ludzie, którzy nie chcą się z nikim dzielić.

Jak szczury w serze.

Skinęłam ponuro głową. Tak, to świetnie odnosiło się do tych chciwych, wykorzystujących wszystko, wyzbytych z moralności korporacji, z którymi miałam do czynienia. Zorientowałam się, że już od jakiegoś czasu musiała we mnie drzemać głęboko zakorzeniona uraza do wszystkich tych szczwanych, zadowolonych z siebie biznesmenów w garniturach z Savile Row i z uśmiechami, które zawdzięczają prywatnym dentystom, wysypujących się przed naszym biurem ze swoich lśniących limuzyn z szoferami, emitujących chmurę spalin wielką jak Arktyka; których pozbawione twarzy korporacje radośnie wydobywały, wierciły i pozbawiały Trzeci Świat jego surowców naturalnych, i których poczucie społecznej odpowiedzialności było klinicznie amputowane z chwilą, gdy przychodzili na świat w prywatnych szpitalach. Wszyscy ci wielcy bossowie przemysłu, którzy zatrudniali mnie w zamian za porządną pensję i premie kilkaset razy przewyższające średnią krajową płacę, żebym wynajdowała dla nich śliskie luki prawne, ukrywając ich zyski w „badaniach” i innych wolnych od podatków działaniach. Wystarczyło zaledwie kilka tygodni z dala od tego wszystkiego, żebym zaczęła się zastanawiać, czy jeszcze kiedykolwiek zdołam wrócić... Kiedy to sobie uświadomiłam, poczułam się bardzo nieswojo.

Mijaliśmy zakurzone, kryte brezentem ciężarówki, kilometr po kilometrze przemierzając suchą, bezlitosną krainę. Przejechaliśmy przez brzydkie nowoczesne miasto Tata i punkt kontrolny w Tissint, gdzie Taib spędził kilka nerwowych chwil w policyjnej budce, udowadniając, że samochód jest jego własnością, pokazując swój paszport i mój, i dowody tożsamości Lallawy, tłumacząc, dokąd się wybieramy, i udzielając odpowiedzi na mnóstwo bezsensownych pytań. Tuż przed Foum - Zguid zjechał z drogi na nieoznakowany i

nieutwardzony trakt. Szybko samochód został poddany ciężkiej próbie, kiedy Taib włączył napęd na cztery koła i zaczął lawirować między głazami i wyrwami. Kurz był wszędzie. Jechaliśmy, podskakując na wyboistej nawierzchni, aż wibrowały mi wszystkie zęby, a ja błogosławiłam swoje nieduże piersi i porządny stanik z fiszbinami. Sięgnęłam do tyłu i wzięłam Lallawę za rękę.

- La bes? - zapytałam, używając jednego z nielicznych zwrotów, jakie zdążyłam sobie przyswoić.

- La bes - odparła, uśmiechając się jak głupek. - La bes, la bes.

Po pokonaniu szczególnie trudnego odcinka popatrzyłam na Taiba z pewnym niepokojem.

- Długo tak jeszcze będzie czy to tylko skrót do lepszej drogi?

Obrzucił mnie lekceważącym spojrzeniem.

- Myślisz, że jest autostrada na pustynię?

- No nie, ale... - Poczułam się głupio, umilkłam więc.

- Nie martw się, dobrze znam drogę, chociaż na pewno nie jest dla turystów.

- Są tacy, którzy się tu zapuszczają, a potem giną albo psuje im się samochód?

- Och, tak - odparł radośnie. - Bez przerwy. Według nich Sahara to świetne miejsce na przygodę. Mają za swoje, kiedy okazuje się, że tak nie jest.

- I co się z nimi dzieje?

Nie odrywał wzroku od drogi, ale zobaczyłam, że uśmiecha się złowieszczo.

- Nie zauważyłaś kości, które wszędzie się tu walają?

Pokazał na lewo, gdzie nędznie wyglądające drzewo zdołało przebić się przez skały i ubity piach. Pod nim zobaczyłam rozrzucone...

- Och...

Patrzyłam przerażona, po czym zorientowałam się, że spoglądam na kupkę wybielonych przez słońce gałęzi.

Taib przez kilka minut śmiał się cicho do siebie. Zakpił sobie ze mnie. Zawstydzona patrzyłam, jak z wprawą zmienia biegi, i wbrew sobie podziwiałam jego umięśnione ręce, gładką brązową skórę pokrytą delikatnymi ciemnymi włoskami i zupełnie niespodziewanie poczułam, jak przeszywa mnie rozkoszny dreszcz. Na ogół nie znosiłam, kiedy prowadził ktoś inny, a ja byłam zdana na jego łaskę.



Co się ze mną dzieje? Czy to Taib tak na mnie działał ze swoją niewymuszoną pewnością siebie i zaradnością, mężczyzna nielekający się chyba niczego, a przede wszystkim wyprawy z umierającą kobietą i kulawą turystką na Saharę; a może to coś wrodzonego we mnie zmieniało swoją naturę?

Nagle to co czułam, stało się podobne do krajobrazu, przez który jechaliśmy: znalazło się w stanie przejściowym, schwyte pomiędzy kontrolą i bezradnością; cywilizacją i dziczą; znanym i niewiadomym.

Lecz już po chwili moje medytacje zostały przerwane, ponieważ zorientowałam się, że strzałka na kontrolce paliwa opadła na czerwone pole.

- Taib! Paliwo nam się prawie skończyło!

Popatrzył na mnie, niewzruszony moim napadem paniki.

- Wiem.

- Może powinniśmy zawrócić i gdzieś zatankować?

- Nie ma takiej potrzeby.

Nie ma potrzeby? Będziemy jechali napędzani powietrzem, a może pójdziemy dalej pieszo? Patrzyłam na przerażającą skalistą pustkę rozciągającą się wokół. Gdzie spojrzałam, wszędzie wyglądała tak samo. Za nami płaskowyż, z którego zjechaliśmy, majaczył spowity błękitną mgiełką; z obu stron kamienisty teren tu i ówdzie poznaczony nagimi skałami; przed nami płaska, surowa ziemia zlewająca się z niebem w rozpalonej, migoczącej mgle. Spoglądałam na martwą kamienistą pustynię, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, choćby śladu życia, nic jednak nie przykuło mojego wzroku poza ciągnącymi się bez końca skałami i pyłem. Wyglądało to tak, jakby przed milionami lat ogromne morze cofnęło się, odsłaniając dno i wystawiając je na pastwę palącego słońca. A tymczasem wskaźnik paliwa opadał i opadał coraz niżej.

Po jakimś czasie Taib wyjął komórkę z kieszeni w bocznych drzwiach, wybrał jakiś numer i zaczął rozmawiać. Macki współczesnego świata sięgały wszędzie, kpiąc sobie ze słowa „odludzie”. Jako produkt tego właśnie świata powinnam poczuć się lepiej, widząc, że pomoc jest w zasięgu jednej rozmowy przez telefon. Przypomniałam sobie opowieści o himalaistach, którzy ze strefy śmierci na Evereście wzywali pomoc; teraz okazało się, że Sahara także nie jest taka niedostępna. Poczułam w sobie pustkę

rozczarowania, jak gdyby ktoś okradł mnie z jedynej jak dotąd pustynnego przeżycia.

Nie kierując się żadnym drogowskazem, Taib zjechał z traktu, którym dotąd z chrzęstem zmierzaliśmy, w prawie niedostrzegalną dróżkę odbijającą niemal pod kątem prostym. Między ciągnącymi się bez końca głazami i skałami zaczęły pojawiać się łachy piachu, roślinność stała się jeszcze rzadsza i bardziej kolczasta, drzewa ustąpiły miejsca marnie wyglądającym krzakom i kaktusom. Teren opadł na dno wyschłej rzeki, by zaraz się wznieść, a samochód chwycił się gruntu co chwila innym kołem. Kiedy wspięliśmy się na szczyt wzniesienia, w oddali dojrzałam plamkę zieleni połyskującą pośród wydm. Im usilniej się jej przyglądałam, tym bardziej odległa i zamglona mi się wydawała, Taib jednak skierował ku niej samochód i po zdającej się ciągnąć w nieskończoność chwili rozłożył liście daktylowych palm zarysowały się wyraźnie na tle bezlitosnego niebieskiego nieba, odbijając się doskonale w gładkiej jak srebrzyste lustro tafli wody. Taib zaparkował w ich błogosławionym cieniu i pomógł Lallawie wysiąść. Patrzyłam, jak podpira się obydwoma rękami o bok auta i głęboko wciąga powietrze, z powiekami zaciśniętymi tak mocno, jakby nie chciała, by nawet najbardziej zamazany widok zakłócił ostrość pozostałych zmysłów. W końcu obróciła się do Taiba.

- Zair Foukani - powiedziała, a on zdumiony uniósł brwi.

- Wie, gdzie jesteśmy - powiedział do mnie. Był wyraźnie poruszony.

Uśmiechnęłam się, kiwając głową. Żadna sztuka domyślić się, że jesteśmy w oazie: staliśmy w cieniu i nawet ja wyczuwałabym zapach wody, gdybym się postarała.

- Nie, ona dokładnie zna naszą pozycję: wie, jak nazywa się oaza i w którą stronę wyruszymy stąd na stary handlowy szlak, solny szlak.

Poczułam, że przeszywa mnie dreszcz, mimo panującego upału.

## ROZDZIAŁ 21

Zjedliśmy prosty, ale bardzo smaczny posiłek złożony z chleba i koziego sera, migdałów i daktyli, taki sam, jaki musiały od wieków spożywać tysiące podróżników pod tymi samymi palmami. Osłaniając oczy przed blaskiem bijącym od rozciągającej się wokół ziemi, bez trudu mogłam sobie wyobrazić karawanę wielbłądów rysującą się na tle bladego nieba, jak znużona wędrowniką w rozpalonym kotle Sahary z ulgą zbliża się do jej kresu i obietnicy cienia i wody. Kiedy jednak kończyliśmy się posilać, na horyzoncie pojawiły się nie wielbłądy, lecz chyba jeep, jeden z tych, które widuje się w czarno - białych filmach o wojnie, o bokach w kolorze khaki, obitych, pogiętych i zakurzonych. Wyglądało to tak, jakby części pustyni wyrosły koła, na których teraz toczyła się w naszą stronę. Powinniśmy się bać? Czytałam w przewodniku okropne historie o turystach atakowanych i napadanych na pustyni, okradanych z samochodów i porzucanych na śmierć. Zerknęłam na Taiba, ale on już stał, z półuśmiechem na ustach. Po chwili zaczął zawijać sobie turban na głowie.

Jeep zatrzymał się obok naszego samochodu i wysiadło z niego trzech mężczyzn. Ubrani byli podobnie jak Taib, w mieszaninę ubrań zachodnich i miejscowych: dzinsy i podkoszulki, na głowach turbany. Taib jednak nosił swój turban luźno zawinięty, tym mężczyznom zaś widać było tylko oczy, ciemne i połyskujące w wąskiej szparze zawoju. Chcieli ukryć swoją tożsamość? Zdenerwowana obróciłam się do Taiba i ujrzałam, że zawiązał swój turban identycznie jak oni. Dwaj mężczyźni zbliżyli się i przywitani: skinęli głowami i wymienili oszczędny uścisk dłoni, ledwo dotykając palców i dłoni, zupełnie inny od wylewnych gestów, jakie widziałam w berberyjskich wioskach. Trzeci mężczyzna trzymał się na dystans. Spojrzał na mnie, potem na Lallawę. Zaczekał na przerwę w rozmowie i przemówił do Taiba głośno i gwałtownie. Taib machnął w moją stronę lekceważąco - zwyczajna turystka - i mężczyzna, jakby udobruchany, kiwnął głową i sięgnął po coś z tyłu samochodu. Wyciągnęłam szyję i udało mi się dojrzeć rzędy wielkich pojemników na olej. Trzy z nich zostały wyjęte, pieniądze przeszły z rąk do rąk, trzeci mężczyzna przeliczył je starannie, pozostali dwaj zaś pomogli Taibowi wlać paliwo do baku. Wszyscy uprzejmie się pożegnali, mężczyźni wsiedli do jepra i odjechali.

- Cóż, to najbardziej niezwykła stacja benzynowa, jaką zdarzyło mi się odwiedzić - powiedziałam wesoło, kiedy odjeżdżaliśmy z oazy, kierując się na wschód.

- Tak tu załatwiamy sprawy - powiedział Taib cicho. Rozluźnił turban, odsłaniając ponownie nos i brodę. Uśmiechał się.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- Kim byli ci mężczyźni?

- Myślę, że lepiej o to nie pytać. Zezłościłam się.

- Chciałabym wiedzieć. - Nagle przyszło mi do głowy: - Przemycnicy?

Oderwał wzrok od drogi i patrzył na mnie przez chwilę, po czym znowu skupił się na jeździe.

- Być może.

- Skąd u licha biorą benzynę? Wzruszył lekko ramionami, jakbym zadała głupie pytanie, na które nie warto odpowiadać.

- Algieria jest jednym z głównych producentów ropy na świecie. Wszędzie są ropociągi i wielkie rafinerie. Czasem tu i tam ginie kilka baryłek...

Nielegalna ropa. Za kradzież grozi tutaj prawdopodobnie śmierć przez rozstrzelanie. Pod warunkiem, że złodziej zostanie złapany.

- Czy to znaczy, że jesteśmy niedaleko Algierii? - zapytałam po chwili.

- Jesteśmy w Algierii.

- Słucham? - Patrzyłam na niego zdumiona, nagle przypominając sobie wzmiankę o Abalessie w dokumentach ojca. - Nie widziałam żadnej granicy, punktu kontrolnego, w ogóle nic.

- Nie można legalnie przekroczyć granicy między Marokiem i Algierią. Jest zamknięta od 1994 roku. Prawdę mówiąc, nasze stosunki były napięte od wojny piasków w 1963.

- Brzmi jak z Tolkiena!

Uśmiechnął się blado.

- Myślę, że więcej miała wspólnego z ropą niż z piaskiem. Ale czy nie jest tak zawsze? Teraz wojny nie ma, ale sytuacja wciąż jest napięta. Obie strony starają się pilnować granicy najlepiej, jak potrafią, ale to osiemnaście tysięcy kilometrów: nie da się jej patrolować, nie mając ogromnej ilości ludzi, poza tym koszty są gigantyczne. Oba kraje korzystają z potężnych teleskopów

ustawionych na posterunkach, ale ludzie i tak prześlizgują się codziennie. Polisario, trabandistes, uciekinierzy, nomadowie.

- Co nam robią, jeśli nas znajdą? - zapytałam słabo, już widząc siebie w brudnej zaszczurzonej celi w algierskim więzieniu.

Podskoczyliśmy gwałtownie na wyboju i wrzasnęłam.

- Przepraszam. Ale rozejrzyj się: jesteśmy na pustyni. To idiotyzm myśleć, że można upilnować coś tak umownego jak polityczna linia pomiędzy dwoma krajami na takim terenie. Jak ktoś może „posiadać” tutejszą ziemię? To dzikie miejsce: należy do nas wszystkich. Równie dobrze można postawić płot z drutu kolczastego w poprzek Atlantyku i zabronić rybom go przekraczać.

Patrzyłam, jak wokół nas piach zaczyna piętrzyć się coraz wyżej, i zastanawiałam się, w co ja się właściwie wpakowałam. Szybko zrobiło się jeszcze gorzej, ponieważ teraz jechaliśmy już po kompletnym bezdrożu. Taib wyskoczył szybko z auta i spuścił trochę powietrza z kół, ale i tak ślizgaliśmy się na wszystkie strony, jakbyśmy jechali po śniegu. Brnęliśmy po powierzchni pokrytej skorupą zaschłej gliny, przez którą miejscami przebijały się ostre trawy, po czym nagle pokonaliśmy wzniesienie i znaleźliśmy się na wielkim nieruchomym morzu z piasku, którego brązowawe fale ciągnęły się w nieskończoność.

Widok był tak piękny, że zaparł mi dech w piersiach. Tylko to jedno słowo przyszło mi na myśl. To nie była pustka, śmiertelna czy przerażająca. To było piękne. Dla kogoś, kto pochodzi z miasta, wolna przestrzeń jest piękna. A te zdające się nie mieć końca, powtarzające się połacie, fale i wzniesienia były niezwykle eleganckie. Podążałam wzrokiem za wdzięcznymi kształtami i poczułam, jak mój umysł się wycisza, ukojony powtarzalnością form, naprzemiennym światłem i cieniem, wyraźnymi granicami pomiędzy jedną ostro zarysowaną wydumą i następną. Regularność tego widoku sprawiła, że na chwilę zapomniałam, iż w tej pięknej krainie samotność i śmierć czają się na nieostrożnych i nieprzygotowanych, może także na nas. Naprawdę niesamowite było, że zaledwie sześć godzin jazdy wystarczyło, byśmy ze względnej cywilizacji berberyjskich wiosek, z ich domami i sklepami, utwardzonymi drogami przenieśli się tutaj. Powiedziałam o tym Taibowi.

- Osiem godzin w quat'quat', ale ponad tydzień na wielbłądzie lub pieszo.

- Poważnie?

Gwizdnęłam. Cóż to by była za wędrówka, jakiej trzeba by wytrzymałości, wiedzy i determinacji. A przecież wciąż byliśmy zaledwie na północnych krańcach największej pustyni na świecie. Nie potrafiłam pojąć, jak kupcy i ich karawany przebywające całą pustynię, wioząc złoto i kość słoniową, sól i strusie pióra, zdołali przetrwać w takim miejscu. To niebywałe osiągnięcie bohaterskich i twardych ludzi. Wtedy przypomniało mi się, że przewozili przecież nie tylko towary, ale także tysiące niewolników z subsaharyjskich państw.

Obróciłam się do Lallawy i zobaczyłam, że patrzy prosto na mnie.

- Bidd! - odezwała się nagle i Taib nacisnął stopą hamulec, zwalniając łagodnie, aż w końcu zatrzymaliśmy się.

Zatroskany odwrócił się i zapytał o coś Lallawę, a ona odpowiedziała mu szybko. Zadał kolejne pytanie i tym razem odpowiedź była jeszcze szybsza i pełna złości. Chyba musi natychmiast załatwić potrzebę fizjologiczną, pomyślałam i aż jęknęłam w duchu, zaraz jednak zrugłam się za samolubstwo, odpięłam pas i otworzyłam drzwi. Po klimatyzowanym wnętrzu samochodu zmiana temperatury była szokująca i w jednej chwili poczułam, jak włoski w moim nosie wysychają na wiór. Słońce grzmotnęło mnie w głowę jak młotem. Pomogłam Lallawie wydostać się do tego piekarnika i skrzywiłam się, kiedy niechcący obciążyłam chorą nogę. Lallawa stała, chwiejąc się lekko, z twarzą zwróconą ku niebu i z zamkniętymi oczami. Słońce odbijało się od jej biżuterii, wydobywając oleisty połysk z błękitnej szaty. Nagle staruszka zaczęła iść. Natychmiast chwyciłam ją w pasie, ona jednak mnie odgoniła.

- Oho, oho!

Sunęła noga za nogą, piasek przesypywał się jej po żółtych pantoflach, a ona szła: nie jak ślepa kobieta z rękami wyciągniętymi przed siebie dla utrzymania równowagi, lecz jak ktoś, kto brnie przez antarktyczny sztorm, z ogromnym trudem i na przekór wszystkiemu.

Chciałam iść za nią, ale Taib złapał mnie za ramię.

- Zostaw ją. Chce to zrobić. Nie upadnie, a nawet jeśli, to ziemia nie jest przecież twarda. Niech to zrobi sama, skoro taka jest jej wola.

Patrzyliśmy więc, jak posuwa się wolno, aż nagle opadła na kolana. Rzuciłam się ku niej przekonana, że zasłabła, ale ona w tym samym momencie zaczęła śpiewać niesamowitym, eterycznym trelem,

który wzbijał się w powietrze jak ptasi świergot, i nagle przypomniały mi się skapane w słonecznym blasku wróble, ich ciemnobrązowe skrzydełka lśniące złościście i poczułam, jak sztywnieją mi włosy na karku.

Inadan mówią, że wszystko ma swój kres  
Chrząszcze, które pełzają, ptaki, które fruwiąją  
Kwiaty rozkwitłe w deszczowej porze  
Wielbłądzica, która swych młodych rodzić już nie może.  
Dni moje ciemne są jak moje noce  
Tinad mówi, wszyscy rodzimy się i odchodzimy w mroku  
W mroku więc idę do was teraz, duchy pustkowia  
Które cierpliwie mnie wyczekiwałyście  
Słyszałam, jak nocą wraz z wiatrem mnie wzywałyście.  
Dni masła i daktyli minęły już dawno  
Dni moje ciemne są jak noce  
Słońce za horyzont opadło jak ognista kula  
Czas mi wyruszyć z azalay  
Na długi, trudny solny szlak  
By spotkać kres wędrówki swej.

Czy były to słowa piosenki, czy tylko rozbrzmiewały w mojej głowie, kiedy ona śpiewała? Nie wiem tego po dziś dzień; wiem tylko, że gdy przebrzmiała ostatnia nuta, zorientowałam się, że ściskam amulet z taką siłą, iż jego krawędzie wbiły mi się boleśnie w dłoń.

Popatrzyłam na Taiba i ujrzałam, że po policzkach spływają mu łzy. Nie czynił nic, by je ukryć czy powstrzymać: płynęły, tworząc ciemne plamy w zwojach turbanu pod brodą. Odwróciłam wzrok i zobaczyłam, że Lallawa położyła się na piasku.

- Co ona robi? - zapytałam szeptem, on jednak nie odpowiedział.

Podszedł za to do niej, ukląkł i wziął ją za rękę. Słyszałam cichą wymianę słów, a potem Taib wstał i mijając mnie, poszedł do samochodu. Kiedy wrócił, niósł pod pachą zwinięty biały materiał. Dał mi znak, żebym usiadła, sam także usiadł na piasku z białą tkaniną złożoną na kolanach i zapatrzył się w dal, jakby na coś czekał.

Słońce nad naszymi głowami paliło, w panującym upale niebo stało się niemal białe, rozciągające się wokół piaski połyskiwały we wszystkich odcieniach szarości. Dudniąca w uszach krew zdawała się jedynym dźwiękiem na całym świecie. Wzięłam garść piasku tak gorącego, że parzył mi podrażnione przez amulet miejsca na dłoni, i

pozwoliłam, by przesypał mi się przez palce. Miliony drobniuteńkich ziarenek, każde będące kiedyś częścią głazu, przyniesione tutaj przez pustynne wiatry w tajemniczym procesie trwającym całe milenia. Czas jakby przestał płynąć, a ja patrzyłam, jak każda drobinka spada i miesza się z miliardami innych pod nim, znowu nabrałam garść i znowu wysypałam. Robiłam to w kółko, jak uzależniona, czując, że muszę to powtarzać, by zapanować nad wzbierającą we mnie paniką.

Po trudnym do określenia czasie coś poruszyło się na granicy mojego wzroku. Był to długonogi czarny żuk przemykający po piasku jak grzbietopławek biegnący po powierzchni wody dzięki napięciu powierzchniowemu. Patrzyłam, jak żuk zaczyna wspinać się na wzniesienie z miękkiego piasku, który osuwał mu się spod jego roztańczonych nóżek. Do góry, na dół. Góra, dół. Wpatrywałam się w niego, jakby siła mojej woli mogła mu pomóc. W końcu postanowił spróbować pod innym kątem i upór pozwolił mu wreszcie pokonać grzbiet, za którym zniknął mi z widoku, pozostawiając jedynie serię hieroglificznych śladów na piasku.

Nie mam pojęcia, jak długo czekaliśmy ani skąd Taib wiedział, że to już koniec, ale w jednej chwili siedział nieruchomo jak skała, a już w następnej rozprostował długie nogi i wstał, by podejść do staruszki. Patrzył na nią długo, nie wypowiadając ani słowa, a ja z jego bezruchu wyczytałam, że Lallawa umarła.

Serce zaczęło walić mi jak szalone, ale z drugiej strony, czego się spodziewałam? Przecież od chwili gdy opuściliśmy Tiouadę, było to pewne i ostateczne zakończenie naszej podróży, czyż nie? Część mnie, należąca do dwudziestego pierwszego wieku - ta Isabelle, która pracowała w londyńskim City i przestrzegała obowiązujących w nim, narzuconych reguł, ubrana w profesjonalny mundurek, starająca się nie pamiętać o surowej naturze świata - była przerażona, że pozwoliłam, by coś podobnego się wydarzyło, że nie zażądałam, aby Taib po prostu zapakował Lallawę do samochodu, choćby i wbrew jej woli, i zawiózł ją do najbliższego szpitala. Ale drzemiąca we mnie pradawna, pierwotna istota radowała się odwagą starej kobiety, jej godnością, zazdrościła powagi, z jaką odeszła z tego świata. Podeszłam do Taiba i spojrzałam na leżące na ziemi martwe ciało Lallawy. Na jej twarzy malowała się błogość, oczy miała zamknięte, usta wygięte w uśmiechu. Jej amulety, naszyjniki, bransolety i kolczyki połyskiwały w słońcu.



- Proszę - powiedział Taib. - Pomóż mi ją rozebrać.

Popatrzyłam na niego.

- Słucham?

- Musimy obmyć ciało.

Rozejrzałam się. Tak jest, nie myliłam się: byliśmy na Saharze.

- Nie ma wody - zauważyłam głupkowato. Westchnął.

- Po prostu pomóż mi ją rozebrać.

Nigdy wcześniej nie widziałam, o dotykaniu nie wspominając, martwego ciała. Wrażliwa, przesądna część mnie na samą myśl poczuła obrzydzenie, Taib jednak zmierzył mnie surowym wzrokiem.

- Sam sobie nie poradzę, a nasza tradycja nakazuje, by zrobiła to kobieta. Nie jesteś w Londynie, przecież wiesz o tym: musisz przestać myśleć jak londynka.

Przełknęłam z trudem ślinę.

- OK.

Wspólnie ostrożnie rozebraliśmy Lallawę z kunsztownie udrapowanego stroju, odkładając na bok każdą sztukę biżuterii. Kiedy była prawie naga, Taib wstał.

- Przyzwoitość zabrania mi dalszego udziału, więc powiem ci, co masz robić. Wiem, że to dla ciebie trudne, ale, Isabelle, pamiętaj, że robisz to dla Lallawy, oddajesz cześć jej pamięci i naszym zwyczajom. Po pierwsze, musisz wypłukać wnętrze jej ust. Przyniosę z samochodu trochę wody.

Wrócił z dwulitrową plastikową butelką wody mineralnej, którą dał mi w Taфраout, we względnie cywilizowanym świecie, gdzie można było coś kupić i gdzie nikt nie wspominał o chowaniu zmarłych niewolnic na pustyni. Niewiele w niej już było, ale chyba dość, żeby wypłukać usta zmarłej. Wzięłam od niego butelkę, zebrałam się w sobie i łagodnie dotknęłam twarzy staruszki. Stężenie jeszcze się nie rozpoczęło i wciąż była ciepła, ale może od słońca. Kiedy jej dotknęłam, wbrew temu czego się spodziewałam, nie wstrząsnął mną dreszcz obrzydzenia, ale na pewno zaraz się pojawi. Otworzyłam jej usta i ujrzałam bezzębną jaskinię, poszarzały i cofnięty w głąb język. Starając się panować nad wyobraźnią, wlałam wodę do jej ust, po czym zamknęłam oczy i włożyłam do środka palce, by je obmyć. W dotyku były śliskie i trochę lepkie, a co jakiś czas wyczuwałam twarde wybrzuszenia, jakby skały na dnie morza.

Na koniec przechyliłam jej głowę, tak że woda wyciekła, wsiąkając w piasek.

- Teraz zmocz ręce i obmyj jej trzykrotnie twarz.

Zrobiłam, jak mi kazał. Za trzecim razem poszło już łatwo. Obmyłam jej czubek głowy, czując pod palcami sztywne, suche i sprężyste warkocze.

- Teraz weź czysty piasek i wetrzyj go delikatnie w jej dłonie, ramiona, łokcie, stopy i kolana, zawsze od lewej do prawej.

To trochę trwało i przez cały czas głosik w mojej głowie przypominał mi, że dotykam skóry zmarłej kobiety, skóry innej w kolorze i szorstkości od wszystkich dotąd mi znanych. Obmyłam piaskiem nogi staruszki, czując, że mięśnie pod moimi palcami poruszają się jak ciasto. Piersi Lallawy leżały płaskie i bezwładne. Popatrzyłam na Taiba. Odwrócił wzrok.

- Tak, musisz. I całą resztę też.

Zacisnęłam zęby i bez słowa skargi robiłam, co musiałam, za wszelką cenę starając się zagłuszyć wewnętrzny wrzask kobiety, która w miarę możliwości starała się nie dotykać nikogo i teraz zwyczajnie nie mogła pojąć, co się dzieje. W którymś momencie Taib odwrócił Lallawę, a ja „umyłam” jej plecy i pośladki. W końcu Taib oznajmił, że dobrze się spisałam, i razem ubraliśmy ją z powrotem i założyliśmy całą biżuterię.

Stałam i patrzyłam na nią. Ubrana, z rękami złożonymi na piersiach wyglądała poważnie i imponująco, a ja nagle poczułam się dumna z niej, i z siebie także. Taib poszedł do samochodu i wrócił ze zwojem białej tkaniny. - To jej całun. Prosiła, żebym go zabrał.

- Od początku wiedziałeś, że ona...

Skinał głową.

- Ona wiedziała i ja też. Ale gdybym ci powiedział, że to bardzo prawdopodobne, ten dzień okazałby się o wiele gorszy, prawda?

Nie mogłam się z nim nie zgodzić. Pomogłam mu zawinąć Lallawę w jej całun, aż cała pod nim znikła. Wtedy Taib poszedł do auta, a chwilę później wrócił z łopata.

- Pochowasz ją tutaj, sam jeden?

Było to głupie pytanie: a co według mnie się działo? Po cóż innego odprawiłam wszystkie te pogrzebowe rytuały, po co zawinęliśmy ją w całun? Może gdzieś w skrytości ducha myślałam, że odwieziemy ją samochodem z powrotem do cywilizacji.

- Oczywiście. Takie było jej życzenie.

- Ale co na to władze? Nie musisz nigdzie zgłosić jej śmierci? Dostać aktu zgonu i tak dalej? Nie będzie żadnego dochodzenia, kiedy okaże się, że znikła?

Popatrzył na mnie długo i wymownie.

- Isabelle, zapomnij o Londynie, pomyśl o tym, gdzie jesteś. Lallawa jest z pustyni, teraz pustynia się o nią upomniała.

- Ale ona nie jest „z pustyni”. Pochodzi z jakiegoś zupełnie innego miejsca. Została porwana i uprowadzona na pustynię - upierałam się jak osioł. - Dlaczego chciała umierać tutaj? Dlaczego miałyby chcieć, żeby ją pochować tutaj, w piasku, z dala od wszystkich, których znała? Nie rozumiem. W ogóle nic już nie rozumiem... - Zachłysnęłam się, usilnie próbując się nie załamać.

Niepewnie dotknął mojego ramienia.

- Ona wiedziała, czego chce, Isabelle. A niby czemu wystroiła się jak królowa? Byłbym szczęściarzem, gdybym oszczędził choć w połowie tak spokojnie, kiedy moja chwila nadejdzie.

Jak królowa... Słowa echem odbiły się w mojej głowie. Jak królowa, w klejnotach i odświętnym stroju, pochowana w piaskach pustyni. Odepchnęłam go.

- O Boże.

- Co? Isabelle, co się stało?

- Coś... coś dziwnego, nie wiem. Nie zwracaj na mnie uwagi, po prostu jestem trochę zdenerwowana, nic więcej.

Wierzchem dłoni dotknął mego czoła.

- Chyba masz lekkie porażenie słoneczne. Powinienem być o tym pomyśleć. Idź i usiądź w samochodzie, Isabelle. Ja wszystkim się zajmę.

Z przedniego siedzenia przyglądałam się, jak Taib wyznacza i kopie grób. Słońce zaczęło już zachodzić. W końcu otrząsnęłam się na tyle, że zdołałam wysiąść z auta i pójść mu pomóc. Razem złożyliśmy ją w ziemi i zasypaliśmy piaskiem zawinięte w biel ciało. Pilnowałam jej, kiedy Taib poszedł znaleźć kamienie na grób. Po kolei znosił siedem płaskich głazów i z namaszczeniem układał je na górze.

- Niechaj ziemia lekką ci będzie, Lallawo - powiedział cicho. Uroczyście zdjęłam swój amulet i zważyłam go w dłoni, potem nachyliłam się, by złożyć go na grobie.

- Żeby jej strzegł - zaczęłam mówić, ale słowa stłumił warkot mknących ku nam przez pustynię pojazdów.

Taib zrobił z ręki daszek, osłaniając oczy przed zachodzącym słońcem. Po chwili złapał mnie za ramię i tak gwałtownie poderwał na nogi, że aż krzyknęłam.

- Wracaj do samochodu - powiedział. - Już.

- Dlaczego? Kim oni są?

Amulet zwisał mi w ręce, w czerwonych kołach ze szkła odbijając płomienście promienie słoneczne.

- Idź do samochodu - powtórzył gwałtownie.

Zanim jednak zdążyłam zrobić, jak mi kazał, dwa wielkie SUV - y zatrzymały się w tumanach kurzu i wyskoczyli z nich ubrani na ciemno mężczyźni w szczelnie zawiniętych turbanach, kilku uzbrojonych w karabiny.

- Merde - odezwał się Taib. - Chyba mamy kłopoty.

## ROZDZIAŁ 22

Czas mijał. Dziewczęta ćwiczyły swoje tańce i piosenki. Mężczyźni zajmowali się swoimi sprawami i nikt nie mówił o niczym niezwykłym. Okresy Mariaty pojawiały się i kończyły. Życie płynęło zwyczajnie. Mimo jej protestów Kel Bazgan zostali powiadomieni o jej zbliżającym się zamążpójściu, na wypadek gdyby ojciec i bracia zjawili się tam przejazdem po drodze do Bilmy. Ale nie był to jedyny powód.

- Nikt lepiej ode mnie nie rozumie twojej niechęci - powiedziała z westchnieniem Rahma - ale, Mariato, masz tam ciotki i kuzynów. Naszym obowiązkiem jest zawiadomienie ich o ślubie. Wyobraź sobie ich gniew, gdybyśmy tego nie zrobili, jakby na nas napadli, oskarżyli o skandal, może nawet porwanie?

- A Rhossi? Będzie wściekły z powodu wielbłądów. Rahma zacisnęła szczęki.

- Jakich wielbłądów? Nic nie wiem o żadnych wielbłądach. Widzisz tu gdzieś białe mehari wśród tych nędznych stworzeń, które należą do Kel Teggart? - Ośloniła oczy daszkiem z ręki. - Bo ja nie. - Obróciła się do dziewczyny. - Mariato, musimy zrobić to jak należy. Inaczej dotknie cię złe oko, a Amastan zaznał już w swoim życiu aż nadto nieszczęścia. Oni tu nie przyjadą: to dla nich zbyt daleko, za dużo wysiłku, i nie są aż tak głupi, żeby spodziewać się wystawnej uczyty i królewskich wygód. Możesz sobie wyobrazić swoją ciotkę Dassine albo nowe żony Moussy w takich warunkach?

Była to prawda: Mariata nie mogła. Mimo wszystko niepokój jej nie opuszczał, a dodatkowo martwiła się, kiedy Amastan i spora liczba innych młodzieńców znikła, oficjalnie udając się na targ oddalony o trzy dni, by kozie mleko i ser, skóry i skórzane wyroby wymienić na miód i przyprawy na wesele. Minał tydzień, a oni nie wracali; potem dziesięć dni. Nikt nie zdawał się tym przejmować. Jak gdyby nigdy nic kobiety czyściły srebro piaskiem, wietrzyły swoje najlepsze stroje, naprawiały uszkodzone hafty, zaplatały sobie nawzajem włosy, wcierały w skórę masło. Zaręczynowa henna na rękach Mariaty wypłowiwała, pozostawiając po sobie tylko blady brązowy ślad, delikatny jak koronka, prawie niewidoczny na jej opalanej skórze.

Wreszcie część mężczyzn wróciła z jedzeniem i głowami cukru w prezencie dla młodej pary. Amastana jednak wśród nich nie było. A także, jak zauważyła, Bazu i Azelouane. Bazu nie był żonaty, a jego

ojciec wyjechał z azalay; nie było komu się martwić, że jeszcze nie wrócił.

- Pewnie zaleca się do dziewcząt w Kidal - powiedziała Tadla i wszystkie się roześmiały.

- Żebracy nie mogą wybrzydzać!

- Ale czemu Amastan i Azelouane jeszcze nie wrócili?

Zapadła cisza. Noura popatrzyła na Nofę, która niemal niedostrzegalnie potrząsnęła głową. Była siostrzenicą Azelouane. Mariata zauważyła tę wymianę spojrzeń i poczuła ucisk w sercu.

- Co? - powiedziała. - Czego mi nie mówicie? Nofa nachyliła się i położyła jej dłoń na ramieniu.

- To nic. Nie zamartwiaj się. Azelouane nie jest już taki młody jak kiedyś; na pewno się nie śpieszą i podróż zajmie im dzień, może dwa dłużej.

Mariata nie dopytywała się dalej, ale nie była przekonana. Azelouane może i miał już swoje lata, ale był wytrzymały jak akacjowe drzewo, zaprawiony przez czas i wiatry, zdolny przetrzymać największe trudy. Nie, podejrzewała, że nieobecność Amastana nie miała nic wspólnego z Azelouane. Może zmienił zdanie co do ożenku z nią i jak powiadali jej pobratymcy, że w jego wątrobie ostygł. Albo to, albo spotkało go coś strasznego. Wyobrażała sobie, że spada z wielbłąda w jakimś skalistym wąwozie i krew płynie mu z nosa i uszu. Lub pada ofiarą bandytów, zamordowany. A może, co gorsza, leży w ramionach innej kobiety w jakimś obozowisku. Wiedziała, że to bezsensowne myśli, ale nie potrafiła się od nich uwolnić. Nie mogła spać, nie mogła nic robić, z wyjątkiem najprostszych rzeczy, a nawet z nimi sobie nie radziła. Przywoływała imię Amastana, wpatrując się w wiadra wody nabieranej z rzeki, lecz woda nie chciała zdradzić swoich tajemnic. Nocami słała swojego ducha, by szukał go na ścieżkach snu, jednak na próżno. Kiedy nie mogła spać, chodziła po obozowisku w milczącym blasku gwiazd, aż kozy wyczuwały jej obecność i beczwały, domagając się uwagi w nadziei, że zostaną wcześniej wypuszczone, a może czeka je niespodziewane karmienie. Którejś nocy, gdy księżyc wisiał na niebie cieniutki i wykrzywiony jak sztylet, wspięła się na wzgórze na zachód od obozowiska, na Orła i Zająca, dwa szczyty, których dziwaczne kształty odznaczały się na horyzoncie. Nie bacząc na demony, które mogły czaić się w pobliżu, wpatrywała się w krajobraz w nadziei, że gdzieś wypatrzy ukochanego. Tak naprawdę

nie spodziewała się znaleźć Amastana, lecz jakiegokolwiek działanie było lepsze od bezczynności; czuła się odważna i ożywiona, chodząc po okolicy, kiedy cały świat pogrążony był we śnie, bez względu na wszystkich Kel Asuf, którzy mogą kręcić się w pobliżu. Kiedy więc zobaczyła dwóch jeźdźców w ciszy nadjeżdżających przełęczą, przeraziła się tak, że prawie wpadła w panikę.

Jeźdźcy siedzieli wysoko wyprostowani i prowadzili dwa inne objuczone wielbłądy. Zawoje odsłaniały im tylko oczy, na plecach mieli przewieszane na ukos karabiny. Mariata z całej siły wyteżała wzrok. Czy pierwszy jeździec podobny był do Amastana? Z tej odległości nie potrafiła powiedzieć. Czy ten drugi mógł być Bazu lub Azelouane? A może to zbliżali się bandyci, którzy chcą napaść na obóz? Kimkolwiek byli, lada chwila znajdą się przy niej. Powinna się wycofać, zbiec ze wzgórz i wszcząć alarm; ogarnęła ją jednak nieposkromiona ciekawość i wiedziała, że nie zdoła odwrócić się i odejść, tak samo jak nie potrafi fruwać niczym sowa. Wobec tego wślizgnęła się w wąską szczelinę między dwoma wysokimi głazami i stała tam w zimnych ciemnościach, z piersią przyciśniętą do skały tak mocno, że czuła trzepoczące w niej serce, jakby siedziała tam uwięziona mysz.

Kiedy jeźdźcy wspięli się na szczyt, rozpoznała pierwszego wielbłąda z ich stada, brzydkiego srokatego mauretańczyka należącego do Bazu ag Akli. Za nim podążało wielkie jasne zwierzę, jak się jej wydawało wielbłąd o imieniu Taorka, będący własnością Azelouane. Bazu i Azelouane. Poczwała się tak rozczarowana, że aż zapiekły ją oczy. Gdzie był Amastan?

Jeden z mężczyzn coś powiedział i poznała, że to głos starego przebiegłego poganiacza karawan, Azelouane. Jeźdźcy zatrzymali się, kazali opaść swoim wielbłądom na kolana i zsiadli z nich. Razem polecili, by pozostałe dwa wielbłądy również uklęknęły; dopiero wtedy zorientowała się, że trzeci wielbłąd niósł nie juki, lecz człowieka - albo martwego, albo bardzo poważnie rannego. Wyrwał się jej jęk, lecz obaj mężczyźni byli zbyt zajęci rozmową, by ją dosłyszeć. Postać poruszyła się, uniosła głowę. Nawet z tej odległości, w tych okolicznościach Mariata wiedziała, że to Amastan. Już miała wyskoczyć ze swej kryjówki, kiedy głośno i wyraźnie dobiegł ją jego głos.

- No, jeszcze nie umarłem - powiedział, a pozostali dwaj mężczyźni zaśmiali się. - Niedaleko stąd do obozu. A jeśli ktoś przyjdzie...

- Nie przyjdzie.

- Bardzo jesteś pewny. Azelouane wzruszył ramionami.

- Nie możemy tego trzymać w obozie. Ludziom nie wolno ufać. Ich sympatie są podejrzane i różne. Sami nie wiedzą, czego chcą. Nie tak jak za starych, dobrych czasów.

- Nikt nie może się dowiedzieć - powiedział Bazu. Był zdenerwowany.

- A co powiemy o mojej ręce? - zapytał Amastan. On z kolei był tylko zniecierpliwiony.

- Nikomu nie pokazuj rany.

- Nawet Mariacie?

- Zwłaszcza jej. Ona jest Kel Taitok: Kel Ahaggar. Hoggar kapituluje: zawsze tak robią. Oddziały pomocnicze z Hoggaru walczyły dla Francuzów, którzy zabili Firhouna, kiedy uciekł z więzienia w Gao; ojciec mi o tym opowiadał.

- Ojciec Azelouane walczył razem z Kaocen w wielkim powstaniu - przypomniał Bazu Amastanowi.

Mariata skuliła się w cieniu. Chciała wyskoczyć, sprzeciwić się im, bronić swoich przed ich pomówieniami, ale teraz nie mogła się ujawnić: wydawało się jej to zbyt niebezpieczne. Domyślała się, co przydarzyło się Amastanowi i co kryły dwa wielkie toboły, które mężczyźni zdejmowali właśnie z czwartego wielbłąda. Sapiąc z wysiłku, Bazu i Azelouane ściągnęli pierwszy toból i postawili go na ziemi. Coś głucho w nim chrupnęło. Azelouane wyprostował się i rozejrzał wokół. W końcu wskazał na szczelinę, w której ukrywała się Mariata.

- Tam - powiedział. - Między Orłem i Zającem.

O, nie. Mariata zaryzykowała, by raz jeszcze zerknąć na Amastana, który teraz przynajmniej stał o własnych siłach, po czym wcisnęła się głębiej w szczelinę, gdzie nie sięgało światło księżyca, które mogłoby ją zdradzić. Bazu i Azelouane wnieśli pierwszy tłumok do szczeliny i Mariata usłyszała, jak głucho opada na piach. Z ogromnym wysiłkiem Bazu wepchnął go najdalej, jak się dało, aż w końcu toból oparł się o golenie dziewczyny. To co było w worku, było ciężkie i twarde; kiedy Bazu go pchnął, Mariata o mało nie straciła



równowagi i nie przewróciła się na niego, Bazu jednak musiał uznać, że wystarczająco ukrył tajemniczy ładunek, ponieważ wycofał się. Chwilę później mężczyźni wrócili z drugim workiem, który ustawili na pierwszym, aż po pas przyszpilając ją do skały.

- Powinno być dobrze - powiedział Azelouane. - Wracajmy do obozowiska. Przy odrobinie szczęścia oporządziemy wielbłądy i może uda nam się załapać na kilka godzin snu, zanim wszędzie słońce.

Odeszli, szurając stopami po piasku. Chwilę później rozległ się gulgot protestujących wielbłądów i skrzypienie drewnianych siodeł, gdy dosiadali zwierząt. Wreszcie odjechali, a ona została w ciemnościach sama z kontrabandą.

Niczego nie mogła dojrzeć, ale i tak wiedziała. Powinna przeleźć przez ciemne worki i biegiem wrócić do obozowiska, wybierając inną drogę niż jeźdźcy na swoich wielbłądach. Nie powinna patrzeć, ale musiała. Wśród Zasłaniających Twarz krążyło wiele opowieści o ciekawskich kobietach, które ściągnęły na siebie nieszczęście, otwierając cudze sakwy, słoje lub skrzynie. Kobietach połkniętych przez dziny, zamienionych we wrony; wessanych w pustkę, gdzie rozlegało się tylko niekończące się zawrodoenie porwanego wiatrem piasku. Ale podobnie jak owe kobiety, Mariata nie mogła się powstrzymać. Chyłkiem przepelzła przez worki, czując, jak ich twarda zawartość przesuwają się pod jej ciężarem, i znalazła się u wyjścia ze szczeliny. Tam, przy wpadającym jej przez ramię bladym świetle księżyca, zajrzała do niższego tłumoka. Ujrzała w nim stos ciężkich czarnych pojemników i nie miała pojęcia, co to takiego. Kiedy jeden z nich podniosła, coś w nim zagrzechotało, jakieś niewielkie, przesuwające się w środku przedmioty. Odłożyła go, marszcząc brwi, zakryła tłumok i sprawdziła zawartość drugiego. W środku były drewniano-metalowe przedmioty, których dziwne ciemne kształty zdawały się pochłaniać księżycowy blask. Mariata wzięła jeden do ręki i aż się skuliła. Wiedziała od razu, że to broń, ale niepodobna do żadnej, jaką dotąd widziała. Nie przypominała strzelb, z jakimi mężczyźni chodzili na polowania, jeszcze mniej kunsztownie zdobione staromodne karabiny, których używali podczas rytualnych fantazji. Ta była lżejsza, bardziej skomplikowana i wyglądała dużo groźniej. Przypominała jej skorpion. Na opakowaniu widniał napis podobny trochę do tiffinagh, ale nie potrafiła go odczytać, co tak ją przestraszyło, że odłożyła broń na miejsce i zasłoniła worek.

Broń. Zagraniczna broń. I stopy amunicji.

Przysiadła na piętach. Powstanie. Wielkie powstanie. Jej myśli galopowały. Buntownicy, rebelia. Wolni Ludzie - Imazighen - pozbawieni wolności. Słowa wirowały jej w głowie i wiedziała, że wojna, o której mówił Amastan, już się zaczęła, a on nie był tylko biernym obserwatorem; wobec tego, przez związek z nim, ona również nie.

## ROZDZIAŁ 23

Gdzie byłeś?

Leżeli w swojej kryjówce, w zagłębieniu pomiędzy oleandrami nad rzeką. Żaby milczały; cała woda znikła, wysuszona przez słońce, które z każdym dniem paliło coraz mocniej, w miarę jak ziemia obracała się powoli. W jej ojczystych stronach o tej porze roku przenieśliby się już na wzgórza, gdzie wciąż jeszcze w zacienionych guelta można było znaleźć wodę, lub na niziny, gdzie pastwiska nawadniali pracujący dla nich harratin; Kel Teggart byli jednak zbyt biedni, by mieć harratin, nie potrafili powstrzymać ich przed ucieczką do miast.

Amastan odgarnął jej włosy z twarzy. Skórę miała lepka od potu po akcie miłosnym, w trakcie którego dosiadła go pod osłoną ciemności, pod pomiętymi ubraniami kryjąc sekret ich cielesnego złączenia. Przesunął palcem po jej czole, wyczuwając rysującą się na nim zmarszczkę, i pomyślał o tym, jak kuszą los za każdym razem, kiedy to robią, w nocy, bez schronienia i żadnej ochrony wystawiając się na łup tak wielu złych sił.

- Na targu - odparł swobodnie, wygładzając zmarszczkę. - Widziałaś, co przywieźliśmy. Pomyśl, jak pięknie będziesz wyglądać w szalu na głowę, który ci kupiłem. Te muszelki, którymi jest ozdobiony, nazywają się kauri; pochodzą z ziem na wybrzeżu indyjskiego kontynentu, daleko na wschodzie. Podobno handlarze kupowali je najpierw tutaj, w czasach faraonów: możesz to sobie wyobrazić, jeszcze przed czasami Tin Hinan! Kto wie, niektóre z tych muszelek mogą być starsze niż twoja protoplastka, starsze od Matki Nas Wszystkich. Przez te wszystkie lata były w obiegu jako waluta, od Malediwów po Egipt, przez całą Wielką Pustynię, aż trafiły do rąk najpiękniejszej dziewczyny, jaka kiedykolwiek się narodziła. Jakże wspaniale będą się prezentować, przyozdabiając moją oblubienicę w dzień naszego ślubu! Są równie białe jak twoje zęby, jak białka twoich oczu, które lśnią dla mnie niczym gwiazdy na niebie. Ależ będą błyszczały!

Mariata przygryzła wargi. Uwielbiała, kiedy tak mówił, snując opowieści o egzotycznym świecie, którego nigdy nie zobaczy, nie pozwoliła jednak, żeby odwrócił jej uwagę.

- Gdzie byłeś? - powtórzyła pytanie. - Oprócz targu? - Kiedy nie odpowiadał, zacisnęła uda tak mocno, że aż się skrzywił. - Boli, prawda? Twoja ręka? Jak to się stało? Przypomnij mi jeszcze raz.

Amastan popatrzył na nią, mrużąc oczy.

- Nie powinnaś tak wypytywać swojego męża. To obraża mój honor.

- Jeszcze nie jesteś moim mężem, Amastanie ag Moussa. A ani przez chwilę nie wierzyłam, że spadłeś z wielbłąda, ty, taki doświadczony jeździec. - Przytrzymując jego rękę kolanem, zaczęła odsuwać z niej rękaw, odsłaniając ukryty pod nim bandaż. Amastan leżał i pozwolił, by go odwinęła, powoli i metodycznie, aż ukazała się ciemna rana z zaschlą krwią, która w świetle gwiazd wydawała się czarna. - A to na pewno nie powstało w wyniku upadku z wielbłąda.

- Dałem słowo, że nic nie powiem.

- Bo Kel Ahaggar to zdrajcy? Zaskoczyła go kompletnie. Uwolnił się od niej i uniósł, wpierając na łokciach.

- Czemu tak mówisz?

- Skąd macie broń, Amastanie?

- Zastanawiam się, czy nie jesteś jednym z Kel Asuf. Zamieniasz się w ptaka i niewidzialna fruwasz w powietrzu? A może twój osobisty duch przenika przez skały pod postacią myszy? Jesteś zmiennokształtna? Czy kiedy otworzą nasz namiot w naszą trzecią poślubną noc, znajdą tylko moje przeżute kości?

Patrzył na nią z ostrożnym respektem, a może to był strach?

- Dość tych bzdur - rzekła zniecierpliwiona. - Wszystko słyszałam; wiem, o co chodzi. Jeżeli zbliża się niebezpieczeństwo, jak mówi Tana, chcę być na nie przygotowana. Kobiety Tuaregów zawsze były tak samo gwałtowne i odważne jak ich mężczyźni. Naucz mnie strzelać z tej skradzionej broni, Amastanie, a kiedy przyjdzie pora, dowiodę, że Kel Taitok nie są kolaborantami ani tchórzami!

Amastan wpatrywał się w nią z podziwem. Potem się roześmiał.

- Kałasznikowy to nie jest broń dla kobiet! Sam dobrze nie wiem, jak się z nich strzela, chociaż kiedy ramię mi się zagoi, Azelouane mówi, że mnie nauczy. Jeśli wtedy dalej będziesz tego chciała, nauczę cię, jak korzystać z karabinu. - W jednej chwili spoważniał. - Niestety, Mariato, nie mogę ci powiedzieć, skąd mamy tę broń, to zbyt niebezpieczne. Gdyby informacja dotarła do niewłaściwych ludzi, to

byłaby katastrofa dla nas wszystkich. Zaufaj mi w tej jednej rzeczy, dobrze? Spokojnie wytrzymała jego wzrok.

- Dobrze.

Wraz ze zbliżającym się dniem zaślubin Mariata czuła, jak narasta w niej napięcie. Chciała mieć to już za sobą, pragnęła, by jej związek z Amastanem został oficjalnie pobłogosławiony, jakby jego zalegalizowanie mogło ustrzec ich przed złem, którego zbliżanie się wyczuwała. Jej niecierpliwość była namacalna: kurczyły się jej mięśnie i nie mogła usiedzieć spokojnie, nawet kiedy drapowano na niej przepiękne materiały, spośród których miała wybrać jeden na weselny strój.

- Ten niebieski jest z targu w Kano, ten przepiękny zielony także. Tylko zobacz, jak lśni.

- Zielony przynosi pecha - powiedziała któraś z kobiet i wszystkie popatrzyły na Mariatę, czekając, by wyraziła swoje zdanie.

Myśli kotłowały się jej w głowie: dopiero po chwili zorientowała się, że wszystkie na nią patrzą, czekając, co powie. To sprawia im dużo większą przyjemność niż mnie, pomyślała. Co się ze mną dzieje? Większość dziewcząt poświęciłaby się bez reszty przygotowaniom, rozkoszując się wyborem haftów, wyszywanych klejnotami pantofli, bransolet, kolczyków, malowanych henną wzorów, wiedząc, że do końca swych dni będą rozkoszować się wspomnieniami tych chwil, przypominać je sobie, kiedy ich własne córki, a potem wnuczki będą wychodziły za mąż... Ona jednak nie mogła odpędzić od siebie ponurych przeczuć, które sprawiały, że najchętniej wzięłaby ślub natychmiast, w tym, w czym stoi, bez tego całego bezsensownego zamieszania. Kiedy jednak popatrzyła na pełne wyczekiwania twarze, na oczy błyszczące życzliwością i zachwytem, pomyślała, że może te zaślubiny są ważniejsze dla plemienia niż pary, która ma się pobrać, dając wszystkim okazję do radosnego spotkania, może więc powinna jak najlepiej odegrać przypisaną jej w nim rolę.

- Nie, zielony nie - powiedziała w końcu. - Niebieski jest piękny.

- I bardzo tradycyjny - odezwała się Rahma z aprobatą.

Mariata zauważyła jej wzrok. Cóż, czemu nic sprawić radości przyszłej

teściowej? To takie łatwe i nic nie kosztuje.

- W takim razie niebieski,

Przyszła kolej na welon, pantofle i błyszczące haftowane wstążki, sznury koraliki, paski i brosze; niekończąca się lista drobnych, ale niezwykle istotnych decyzji. Wszyscy wokół niej kłócili się o drobiazgi; Mariata miała wrażenie, że pogrążona jest w jakimś śnie, unosi się niczym cień, myślami krążąc zupełnie gdzie indziej.

- Więcej czernidła. Potrzebujesz więcej czernidła.

Mariata zerknęła krytycznie w lustro. Oczy miała już olśniewające, białka odbijały się niesamowicie od ciemnych tęczy i proszku antymonowego. Wydawały się ogromne.

- Po co mi więcej? Nigdy nie byłam tak umalowana. Nofa pokręciła głową, cmokając.

- To twoje wesele, wszyscy będą o tobie mówili. Staniesz się celem dla tehot, złe oko będzie czyhać na ciebie wszędzie, więc musisz nałożyć jak najwięcej czernidła, żeby odpędzić złe moce. - Zanurzyła srebrną szpatułkę w małym słoiczku, wyjęła, ostrożnie zdmuchnęła nadmiar proszku. - A teraz zamknij oczy i pozwól mi pracować.

Mariata posłusznie zrobiła, co jej kazano: nie było sensu się spierać. Dzień wcześniej przez pięć godzin dziewczęta zaplatały jej włosy i ozdabiały dłonie i stopy henną, spierając się i debatując nad wyborem wzorów. Dawno już przestała zabierać głos w jakiegokolwiek sprawie: była zbyt szczęśliwa, zbyt rozmarzona, że w końcu, w końcu wychodzi za Amastana. A przedwczoraj? Prawie się roześmiała na samą myśl. Co za kontrast w porównaniu ze strojeniem się i szykowaniem, całym tym kobiecym świątkiem. Przedwczoraj godzinę przed wschodem słońca była z nim na wzgórzach. Opierała długą lufę karabinu o skalny występ, ucząc się, jak kontrolować oddech, żeby nie przestrzelić; jak delikatnie naciskać spust i jak przygotować się na silny odrzut broni w chwili wystrzału. Gdy dzień zmierzał ku końcowi, udało się jej trafić w dwa kawałki drewna i porcelanową skorupę, które Amastan ustawił jako cel; niestety strzelanie do ruchomego celu okazało się znacznie bardziej skomplikowane. Była zachwycona szybkością i celnością, z jaką Amastan trafił skalnego gołębia, a potem dziką świnię, którą wypłoszyli z krzaków.

- Co z nią zrobisz? - zapytała, spoglądając na dziwne stworzenie z racicami o bokach porośniętych ostrą szczecina. - Możemy ją zabrać ze sobą? - Stopą trąciła zwierzę w zad. Był zadziwiająco twardy. - Ma na sobie mnóstwo mięsa.

- Na niebiosa! Połowa plemienia nawet tego nie tknie; więcej niż połowa. Nie wiesz, że islam zabrania jeść wieprzowiny?

- To jest świnia? - Mariata nigdy wcześniej żadnej nie widziała. Z ciekawością przyglądała się szczeciniastemu pyskowi z ostrymi kłami.

- Piękny odyniec. Nie martw się. - Z mądrą miną postukał się w bok nosa. - Zjedzą go.

- Szakale? Amastan roześmiał się.

- Można ich tak nazwać.

Wspólnie zaciągnęli zabite zwierzę pod skały i przywalili stosem kamieni, żeby nie padło łupem padlinożerców.

- Szkoda takiego dobrego mięsa. Nie martw się, nie pójdzie na marne. Na skale obok wejścia do jaskini, w której ukryli odyńca, wykrobał

kilka znaków.

- Amastan zaprasza na ucztę - przeczytała Mariata napis w tiffinagh z uśmiechem.

Wspominając teraz tę chwilę, uśmiechała się jeszcze szerzej.

- Widzicie, już jej się marzy trzecia noc poślubna - powiedziała Bicha, trącając łokciem Nofę, której ręka drgnęła i pociągnęła długą czarną kreskę aż do nosa Mariaty, co niepomiernie rozbawiło wszystkie kobiety, które zaczęły się śmiać i pogwizdywać.

Przez cały tydzień zjeżdżali się weselni goście, niektórzy z podarkami, większość z pustymi rękami. Mariata była zaskoczona: wszyscy byli jej obcy. Amastan jednak zdawał się ich znać. Patrzyła, jak się z nimi witał: delikatnie poprawiał zawój, by okazać szacunek, wymieniał przelotny uścisk dłoni, niemal jak muśnięcie, delikatnie przykładając rękę do serca. W większości byli to mężczyźni niewystrojeni w eleganckie szaty, lecz noszący zwykłe, zakurzone tuniki. Wyglądali zbyt surowo na muzyków, chociaż mieli ze sobą jedynie instrumenty.

- Kim oni są? - zapytała Rahmę, ale starsza kobieta tylko wzruszyła ramionami.

- Mówi, że to przyjaciele.

Jej tisaghsar, prezenty ślubne, składano na szerokim niebieskim kobiercu rozłożonym na środku placu do tańca; rzeźbiona drewniana skrzynia wypełniona przyprawami, dar od mężczyzn z plemienia, suknia, naszyjnik z bursztynów wielkich jak ptasie jaja, jeden worek z

ryżem i drugi, pełen prosa, mózdzierz z tłuczkiem, pęczek górskiego tymianku, rankiem zebrany przez stare kobiety, osełka, nóż z kościaną rączką, nowy bukłak, kilka garnków, koc, mata z sitowia i para kurcząt, a do tego zwój śnieżnobiałej bawełny, którą Amastan przywiózł z targu w Kidal, na koniec wreszcie misternie wykonana srebrna zawieszka do welonu, długa na dłoń i ciężka jak grzebień, którą Mariata będzie nosić jako mężatka.

W końcu wyszła na jaskrawe słońce w połyskującej błękitnej sukni, z twarzą pomalowaną ochrą, ustami i oczami poczernionymi proszkiem, rękami i stopami pokrytymi zawijasami z henny, wielkimi kolczykami w kształcie trójkątów w uszach, srebrnymi amuletami odpędzającymi zło przypiętymi do sukni w różnych miejscach, kilkunastoma kolorowymi bransoletkami na rękach. Ujrzała kobiety z plemienia, zajęte rozstawianiem jej ślubnego namiotu w dyskretnej odległości od tego, który dotąd dzieliła z Rahmą. Tworzyło go przynajmniej czterdzieści kozlich skór: nie miała pojęcia, skąd ich tyle wzięły i jak zdołały je zszyć bez jej wiedzy. Te ich sekretne działania ujęły ją do głębi. Kel Teggart byli biednymi ludźmi i nie mieli czterdziestu kóz na zbyciu; fakt, że zrobili to dla niej, obcej, pozbawionej rodziny tak ją zaskoczył, że rozplakała się serdecznie.

Podbiegła do niej Tadla, a jej ponura zwykle twarz teraz rozpląwała się w szerokim uśmiechu. Objęła Mariatę ciepło, dzięki wieloletniemu doświadczeniu nie naruszając amuletów, nie psując też efektów ciężkiej pracy Nofy, którą było nałożenie makijażu.

- No, no, kochana, nie przejmuj się: to twój szczęśliwy dzień i cieszymy się razem z tobą. Przyniesiesz nam wszystkim radość i szczęście, i nową, silną krew twojego plemienia; dzięki tobie moja ukochana przyjaciółka Rahma jest dumną i szczęśliwą kobietą, prawda, moja droga?

Mariata podniosła wzrok i zobaczyła Rahmę, jak wyciera ręce w suknię i z czołem błyszczącym od potu po wysiłku, jakiego wymagało postawienie namiotu, uśmiecha się od ucha do ucha.

- Wiesz, że nie możesz wejść, zanim nie weźmiesz ślubu: to przynosi największego pecha. Zostaw to nam. Pięknie ci wszystko urządzimy: niczego ci nie zabraknie. Utkaliśmy ci nowy dywan, zobacz. - Machnęła ręką i krzyknęła do pozostałych kobiet, a one pobiegły, by już po chwili wrócić z długim rulonem, który natychmiast z dumą rozwinęły.



- Ja wybierałam kolory! - krzyknęła Noura. - Czyż nie są przepiękne? Porosty na tę cudną zieleń są ze wzgórz: zbierałyśmy je całe wieki, ale widzisz, to kolor samego Proroka. Na błękit użyłyśmy indygo, nie oszczędzałyśmy na niczym! A ta przepiękna czerwień powstała dzięki skórkom z wilczej cebuli.

- A ja na brzegach utkałam żaby - powiedziała Leila, wskazując na geometryczny wzór z trójkątów i kropek.

Mrugnęła do Mariaty i wszystkie zachichotały: wiadomo było, że żaby są symbolem płodności, a także przynoszą szczęście, bo przecież mieszkały w wodzie.

- Pamiętaj, żeby dobrze ustawić łożko na tym dywanie, to dasz wtedy wielu synów swojemu mężowi.

Rozległy się krzyki i pohukiwania i nagle wszyscy dokądś biegli. Rahma złapała Mariatę pod łokieć.

- To ofiara: chodź popatrzeć.

Na miejsce obchodów przyprowadzono małego byczka i młodzi mężczyźni z plemienia stanęli kręgiem wokół niego, dzierżąc ceremonialne lance. Na ich ramionach połyskiwały bransolety; słońce paliło. Cielak cofnął się, zobaczył, że nie ma drogi ucieczki i zaczął biegać w kółko jak oszalały, przewracając przerażonymi ślepiami, niezgrabnie wymachując na wszystkie strony długimi nogami.

Na weselu Kheddou i Leili nie było byczka: było to zbyt kosztowne. Natomiast Amastan podróżował i handlował latami, co pozwoliło mu zgromadzić niewielką sumkę. Wiano dla Mariaty również było całkiem pokaźne, chociaż nie było go komu przekazać, wobec tego więc powierzono je amghrar plemienia, wdowcowi o imieniu Rhissa ag Zeyk. Miał je mieć w swojej pieczy do czasu, aż będzie mogła się nim opiekować rodzina dziewczyny. Gdyby coś przytrafiło się Amastanowi lub małżeństwo zostało rozwiązane, pieniądze pomogą wychować ich dzieci.

Z kręgu wystąpił Amastan i stanął na środku, błękit jego szaty połyskiwał swym metalicznym blaskiem, kraj turbana ozdabiał diadem z amuletów. Lanca, którą trzymał, była bardzo stara, lecz jej szpic śmiertelnie ostry. Byczek stanął przed nim, zrobił zwód i rzucił się do ucieczki, jakby przeczuwając swój los w lśniącym metalu. Stojący wokół rozsunęli się, by zrobić więcej miejsca zwierzęciu, które stanęło po przeciwnej stronie i z lękiem wpatrywało się w zbliżającą się postać.

- Czy kobieta kowal nie może zwyczajnie poderżnąć mu gardła?  
- zapytała cicho Mariata, kurczowo ściskając rękę Rahmy.

Starsza kobieta roześmiała się.

- Wątpię, żeby roczny byczek dał radę skrzywdzić naszego chłopca - powiedziała, Mariacie jednak nie o to chodziło.

Zabijanie zwierząt czy to dla pożywienia, czy na ofiarę, nigdy nie robiło na niej specjalnego wrażenia, ale nagle ogarnęło ją gwałtowne przeczucie, bo głośno i wyraźnie przypomniała sobie słowa enad: „Poleje się krew...”. Krew cielaka poleje się dzisiaj tak czy owak, jednak nie chciała patrzeć, jak go zarzynają, bez względu na to jak wspaniałe byłoby to widowisko czy jak tradycyjny rytuał.

- Nie! - krzyknęła, a ludzie obrócili się ku niej zdumieni. - Takie zabijanie to zły omen - oświadczyła. - Czuję to tutaj... - Przycisnęła dłoń do boku, tuż nad wątrobą, do miejsca w ciele, w którym rodzą się najgłębsze i najprawdziwsze przeczucia.

Patrzyli na nią, a ona po raz pierwszy odkąd opuściła Kel Bazgan, czuła napływającą ku niej falę nienawiści.

Amastan przeszedł przez teren uroczystości. Kilka kroków przed nią wbił szpic lancy głęboko w ziemię.

- Skoro nie życzysz sobie, bym zabił to zwierzę, uszanuję twoją wolę. - Obrócił się i przemówił do tłumu. - Jak wiecie, Mariata uratowała mnie przed Kel Asuf. Słyszysz duchy. Jeśli mówi, że zabicie byczka to zły omen, powinniśmy szanować jej przeczucia.

Ludzie zaczęli mamrotać; wielu dotykało swoich amuletów. Można nie poświęcić cielaka na wesele z powodu braku pieniędzy, lecz zebranie się w tym celu i niedokonanie obrządku to już zupełnie inna sprawa.

- Nic dobrego z tego nie będzie - ktoś powiedział.

- Kobiety nie powinny wtrącać się w zwyczaje mężczyzn - dodał inny.

- Chyba już wiadomo, kto będzie rządził w tym małżeństwie - rozległ się czyjś głos i wielu się zaśmiało.

Amastan pokręcił głową ze smutkiem.

- Możecie sobie ze mnie kpić, ale ja zbyt szanuję swoją oblubienicę, żeby w ten wielki dzień przysparzać jej cierpienia. Na południowe mechoui już się piecze piękne jagnię, będzie mnóstwo mięsa i nie trzeba przelewać więcej krwi. Dlatego daruję temu stworzeniu życie.

Przyłożył dłoń Mariacie do serca, wyrwał lancę z ziemi i odszedł do swoich towarzyszy, rzemieślnikom pozostawiając zadanie schwywania byczka i odprowadzenie go do zagrody.

Rahma poklepała Mariatę po ramieniu.

- Lepiej niech zaczną grać, nie uważasz?

Skinęła na głównego grajka i orkiestra szybko chwyciła za instrumenty i zaczęła grać swoją wersję Myśliwego i gołąbki, co odwróciło uwagę ludzi od przykrego zajścia z przerwana ofiarą.

Zjawiła się Tana i stanęła przed Mariatą.

- Dzielnie się spisałaś, mała, ale to i tak niczego nie zmieni. - Przyjrzała się sukni i ozdobom dziewczyny, przekrzywiając na bok głowę jak orzeł obserwujący swoją ofiarę. - Może być - oznajmiła w końcu. - Chociaż jak widzę, wciąż z uporem nosisz ten przeklęty amulet.

Rzeczywiście, amulet Amastana zajmował honorowe miejsce na piersi Mariaty. Tana wyciągnęła rękę i puknęła w niego delikatnie, na tyle jednak silnie, że Mariata poczuła, jak ozdoba wbija się jej w mostek; i nagle mechanizm puścił i otworzył się schowek. Tana przytrzymała go palcem, by wieczko się nie zamknęło, i wsunęła do środka malutki zwitek pergaminu, po czym umieściła na miejscu szklany guz.

- Na szczęście - powiedziała. - I życie. To talizman, który powinnam była zrobić dla Amastana, kiedy mnie o to poprosił po raz pierwszy. Może tym razem na coś się przyda. Ale to nie jest twój prezent ślubny.

I nagle nie wiadomo skąd wyciągnęła cudowną skórzaną sakwę z frędzlami w kolorach szmaragdowej zieleni, szkarłatu i błękitu, którą szyla jakiś czas temu, gdy Mariata zastała ją pod tamaryszkim. Przełożyła skórzany pasek przez głowę dziewczyny i wsunęła go pod ramię, umieszczając torbę tak, że opadła na nasadę pleców, gdzie spoczęła, pasując tak idealnie, jakby stanowiła jej część, z tym że obciążało ją coś, co znajdowało się w środku. Mariatę ogarnęła ciekawość: natychmiast okręciła się, torba przesunęła się na przód i dziewczyna z zachwytem podziwiała cudowne kolory, motywy w kształcie słońca i staranne szycie, jednocześnie sięgając, by sakwę otworzyć.

- Teraz nie należy jej otwierać - powiedziała Tana surowo, przesuając sakwę z powrotem do tyłu. - Będiesz wiedziała, kiedy należy to zrobić.

Będziesz musiała dokonać wyboru; gdy ratować trzeba będzie dwa życia. Wybieraj mądrze, choćby to było najtrudniejsze. - Potem uśmiechnęła się, a gwałtowne spojrzenie jej oczu złagodniało. Dotknęła policzka Mariaty. - Uważaj na siebie, mała.

I odeszła, zostawiając Mariatę, która odprowadzała ją wzrokiem, zastanawiając się, jak dziwnie ostatecznie to zabrzmiało. Jednak nie miała czasu na rozwikłanie niezrozumiałych słów Tany, gdyż zjawił się marabut, by poprowadzić ceremonię zaślubin. Wypowiadali krótkie formułki przysięgi, świadkowie przemówili w ich imieniu, oni położyli ręce na Koranie, wymieniono podarki i w surrealistycznie krótkim czasie stali się mężem i żoną.

Po formalnościach i błogosławieństwie marabuta reszta dnia upłynęła na zwykłych weselnych przyjemnościach. Były śpiewy, granie na bębenkach, częstowano się piekącym się od świtu na różnie jagnięciem, daktylami, przyprawami i chlebem. Odbyły się wyścigi wielbłądów, tancerze z mieczami popisywali się swoją zwinnością i umiejętnościami; potem niezamężne dziewczęta tańczyły piękny rytualny guedra, taniec błogosławieństwa, w ozdobach z kauri na głowach, wykonując stopami oszczędne, lecz precyzyjne ruchy, aż wreszcie słońce zaszło, starcy zaczęli podsypiać ukojeni łagodnym, monotonnym klaskaniem, które przeszło wreszcie w kulminacyjne crescendo, kiedy tancerki poruszały głowami i strzelały warkoczami wijącymi się jak atakujące węże. Powietrze było gęste od baraka unoszącego się jak wielka naelektryzowana chmura szczęścia i szczodroblowości. Ludzie przygarniali je do siebie, dotykali nawzajem swoich rąk, brzuchów, serc i głów. Całowali amulety, robiły to także dzieci, by baraka się szerzyło. Kobiety zawodziły radośnie, Amastan tulił dłonie Mariaty do serca: w końcu byli małżeństwem.

Dalej świętowali i muzykowali w najlepsze. Mężczyźni rozgrzewali swoje bębny nad ogniskiem, żeby ich skóry bardziej się napięły i można było wybijać szybszy rytm. Starsi pili wzmacniającą herbatę i przegryzali daktylami, żeby nabrać sił i wytrwać do późnej nocy, plotkując w grupkach, młodym pozwalając na flirty i żarty bez krępujących spojrzeń zameężnych i żonatych.

Księżyc stał wysoko na niebie, kiedy na tle gładów po wschodniej stronie obozowiska pojawiły się jakieś postacie: liczna grupa jeźdźców na wielbłądach. Alarm podniósł jeden z muzyków, który poszedł załatwić się w krzaki. Bębniarze przerwali w pół dźwięku; tancerze nerwowo dreptali w miejscu. Amastan powiedział coś cicho do Bazu, który wymknął się w noc. Kilku innych poszło jego śladem.

- Kto to może być? - zapytała Mariata.

W pokrytej bladą ochrą twarzy jej poczerwione oczy wydawały się ogromne.

- Nie wiem - odparł Amastan, ciaśniej zawijając swój turban. - Może to jacyś spóźnieni goście, którym podróż zajęła więcej czasu. A może nie. Idź do swojego nowego namiotu, Mariato. Przed nim znajdziesz miecz wbity w ziemię dla odpędzenia złych duchów. Przynieś mi go, dobrze?

- Oni nie wyglądają mi na duchy - rzekła z powątpiewaniem, ale poszła spełnić jego prośbę.

Zabytkowy miecz o rękojeści owiniętej miedzianym drutem i ozdobionej kolorowymi wstążkami ze skóry był pożyczony od Azelouane. Mariata chwyciła go i pobiegła z powrotem, czując, jak skórzana sakwa od Tany obija się jej o plecy, a miecz o nogę; jednak Amastana nie było tam, gdzie go zostawiła. Z przerażeniem zobaczyła go daleko na drugim końcu obozowiska, jak biegnie w stronę gładów, ze strzelbą myśliwską przewieszoną przez plecy. Stała z mieczem w ręce, czując się jak głupiec; po chwili ruszyła za nim. Inni mężczyźni pochwytili swoje strzelby i biegli także; mężczyźni, których wcześniej nie widziała, a może tylko nie rozpoznawała w tym wojennym zapale. Jeźdźcy zbliżali się niewzruszeni, gdy rozległ się pojedynczy strzał.

- Kim jesteście? - To krzyknął amghrar swoim starczym głosem, który drżał jak u kobiety.

Nie padła żadna odpowiedź, ale być może go nie dosłyszeli. - To demony - powiedział ktoś. - Trzeba było zarznąć byczka: duchy są rozgniewane i przyszły upomnieć się o krew, na którą czekały.

- Przedstawcie się albo będziemy strzelać! - krzyknął znacznie głośniejszym głosem Amastan.

Jeden z dosiadających wielbłąda jeźdźców zbliżył się.

- Nazywam się Ousman ag Hamid, z Kel Ahaggar, a moją córką jest Mariata ult Yemma. Przybyłem z mężczyznami z Kel Bazgan i moimi synami, Azazem i Baye.

Mariacie zaparło dech. Podbiegła do Amastana.

- To mój ojciec, mój ojciec i bracia.

Wpatrywała się w ciemność, starając się odróżnić trzech mężczyzn, których od tak dawna nie widziała. Czy wędrówki w pustynnym słońcu zdołały ich bardzo odmienić? Czy przybyli z radością, by świętować ich związek, czy też przymuszeni poczuciem rodzinnego obowiązku? Zdenerwowanie ustąpiło nagle euforii wywołanej świadomością, że nie ma już znaczenia, czy przybyli z błogosławieństwem czy też bez: ona i Amastan byli prawnie poślubieni i nikt nie mógł ich już rozdzielić.

- Witajcie! - krzyknęła. - Witajcie wszyscy na naszej weselnej uczcie!

Wieść szybko się rozeszła: ludzie zaczęli się śmiać, napięcie opadło, muzycy zebrali się ponownie. Wysłano kogoś, by zarządził kozę i rozniecił na nowo ogień, ktoś inny zaczął parzyć herbatę: goście na pewno podróżowali długo i z daleka, skoro przybyli tak późno, a droga przez Tamesnę nie była łatwa.

Jeźdźcy byli już prawie na terenie obozowiska, kiedy jeden z nich oddzielił się od grupy i stanął w migotliwym blasku ognisk.

- Zanim zaczniecie dalej świętować, trzeba jeszcze uregulować jeden dług! - rozległ się ochryply głos.

Mariata osłupiała. Poczowała, jak ogarnia ją lodowate przerażenie. Jeszcze zanim światło ognia padło na jego twarz, wiedziała, że to Rhossi ag Bahedi.

- Ta kobieta jest złodziejką! - zawołał głośno Rhossi. - Ukradła mi dwa wielbłądy; ale co jeszcze gorsze, skradła mi też serce!

Ludzie spoglądali na siebie zdezorientowani. Czy to jakiś żart czy też poważny zarzut?

Rhossi wyprostował się na swoim wysokim siodle, górując nad nimi wszystkimi.

- Mariata ult Yemma zabrała mi bez mojej zgody dwa piękne wielbłądy Tibasti; poza tym, jak wiedzą wszyscy wśród Bazgan, była ze mną zaręczona. Teraz wyjaśniła się tajemnica jej nagłego zniknięcia: widzę, że ukradł ją jeden z Kel Teggart. Ma więc teraz honorowy dług do spłacenia. Stoi za mną słowo amenokala związku

plemiennego z Air, Moussy ag Iba. Oświadczył on, że to prosta sprawa i nic złego nie musi się stać. Oddajcie mi moje wielbłądy i dziewczynę, a odjedziemy, nie chowając urazy.

Wtrącił się Ousman, podjeżdżając swoim wielbłądem przed mówiącego.

- Nigdy słowem nie wspomniałeś o żadnych „zrękowinach”, kiedy wyruszaliśmy tutaj - odezwał się cichym, lecz złowieszczym tonem.

- Gdybym to zrobił, przeprowadziłbyś mnie przez Tamesnę? Wzrok, jakim spojrzął na niego ojciec Mariaty, stanowił wystarczającą odpowiedź. Rhossi roześmiał się.

- No właśnie. Powiedzmy, że pomiąłem ten szczegół. Ale rozmawiałem o nim z moim wujem, który jak wiesz, jest umierający. I wiesz także, co to oznacza dla ciebie i twojej siostry, twoich siostrzeńców i kuzynów.

Ousman tak spojrzął na Rhossiego, że ten musiał odwrócić wzrok. Potem odezwał się bardzo cicho, ale zdecydowanie.

- Przebyłem długą drogę, żeby odnaleźć córkę. Miałem nadzieję, że zdążę na czas i odwiode ją od tego małżeństwa. Gdybyś nie spadł ze swojego wielbłąda, kiedy wjeżdżaliśmy do Doum, byłibyśmy tu wczoraj. Gdybyś wciąż nie jęczał i nie kazał nam się co chwila zatrzymywać, żebyś sobie mógł smarować obolały tyłek jakimiś głupimi maściami i mościć siodło gorzej jak baba, przyjechalibyśmy przedwczoraj. Teraz mówisz mi o jakichś zaręczynach, o których nie miałem żadnego pojęcia. Sprawę wielbłądów łatwo można było rozwiązać, nie musieliśmy po to jechać przez Tamesnę. Może i reprezentujesz Mousse w tej sprawie; może nawet zostaniesz następnym wodzem Bazgan; ale Mariata jest moją córką i jeżeli choć trochę ci na niej zależy, pozwolisz mi to załatwić jak należy.

Klepnął swojego wielbłąda, który posłusznie ukląkł; Ousman zsiadł z niego i podszedł do miejsca, gdzie Amastan i Mariata stali razem, przyglądając się w milczeniu, Amastan ze swoją strzelbą, Mariata dzierżąc w dłoniach zabytkowy miecz.

Kiedy dzieliło ich już tylko kilka kroków, Ousman skinął głową.

- Córko.

- Ojczy.

Nie uścisnęli się.

- Sądziłem, że jesteś bezpieczna u swojej ciotki Dassine, najwyraźniej jednak wzięłaś sprawy w swoje ręce. Zaledwie przed tygodniem do Bazgan dotarła wieść o twoim zbliżającym się zamążpójściu i muszę przyznać, że twoja ciotka jest wielce niezadowolona.

Mariata wysunęła szczękę.

- U Kel Bazgan nie miałam zapewnionego bezpieczeństwa, ojczu. Postanowiłam więc ich opuścić i przybyć tutaj.

- Później porozmawiamy o bezpieczeństwie. Wydaje się natomiast, że ukradłaś Bazgan wielbłądy, jak złodziej pod osłoną nocy, nikomu nic nie mówiąc, dokąd się wybierasz; jak się domyślam, wielbłądy znikły w tym samym czasie. Czy masz coś do powiedzenia w tej sprawie?

Mariata wygięła usta.

- Nie pora teraz rozmawiać o tym. Miałam swoje powody, a kiedy je poznasz, będziesz zły, chociaż nie na mnie. Powiem jedynie, że z radością zapraszam ciebie, moich braci i wszystkich, którzy ci towarzyszą, na moje wesele; natomiast Rhossi ag Bahedi nie jest tu mile widziany, ani w ogóle nigdzie tam, gdzie ja się znajduję.

Słyszając to, Amastan gwałtownie obrócił ku niej głowę.

- Rhossi?

Jego kłykcie pobieleły, gdy mocniej ścisnął strzelbę. Mariata położyła mu dłoń na ramieniu.

- Nie pora teraz na to. - Na powrót zwróciła się do Ousmana. - Ojczu, przedstawiam ci Amastana ag Moussa, który jest synem amenokala i prawym, szlachetnym mężczyzną, nie rozumiem więc, czemu ciotka nie pochwała mojego wyboru, poza tym, że nie zapytałam jej o zdanie. Ale rozesłaliśmy posłańców po wszystkich szlakach, żeby spróbowali odnaleźć ciebie i moich braci, moją najbliższą rodzinę. Nie otrzymaliśmy żadnej odpowiedzi, sama więc podjęłam decyzję o poślubieniu Amastana, do czego miałam prawo.

Ousman skinął powoli głową.

- Wiem, zawsze tak było. Ale świat dzisiaj zmienia się zbyt szybko i nasze zwyczaje za tym nie nadążają. Mariato, pozwól, że powiem wprost. Nie mam nic przeciwko mężczyźnie, którego wybrałaś, chciałbym jednak, żebyś odłożyła wesele i pojechała ze mną: nasz lud jest w niebezpieczeństwie, tutaj bardziej niż gdzie



indziej, i dlatego właśnie przybyłem, by zabrać cię do miejsca, w którym osiedlimy się i będziemy bezpieczni.

- Osiedlimy się? - Mariata patrzyła na niego.

- Wziąłem sobie nową żonę. Mieszka w mieście Tafilalt na południowym wschodzie Maroka. Porzucam pustynne szlaki i zamieszka tam wraz z nią. Razem z jej ojcem otworzyliśmy tam interes. Ty i twoi bracia pojedziecie ze mną i zaczniecie nowe, lepsze życie.

- W Maroku? - Mariata wpatrywała się w ojca z przerażeniem, Amastan jednak postąpił krok naprzód.

- Rozumiem, że troszczysz się o dobrobyt swojej córki, ale mogę cię zapewnić, że jej bezpieczeństwo leży mi na sercu jak nic innego, zwłaszcza teraz, kiedy jesteśmy małżeństwem.

- Ale to dopiero wasza pierwsza noc poślubna? - Wtrącił się Rhossi. Mówił w zasadzie spokojnie, ale oczy miał nabiegłe krwią, a jego wzrok zionął ogniem.

Amastan przyznał, że tak jest w istocie.

Rhossi zwrócił się do Ousmana.

- Nie jest więc jeszcze za późno; wszak wszyscy wiedzą, że dopiero trzeciej nocy małżeństwo jest skonsumowane jak przystoi. Powierz mnie bezpieczeństwo swojej córki, panie, a ja będę strzegł jej życia całą potęgą Air, kiedy już zostanę wodzem.

Ousman potrząsnął głową.

- To bardzo szlachetna propozycja, Rhossi, ale ja już postanowiłem, że Mariata pojedzie ze mną do Tafilalt.

- Nigdzie nie pojedę, ojczyźnie, nie bez mojego męża.

Dołączył do nich kolejny mężczyzna: amghrar, Rhissa ag Zeyk. On i Ousman pozdrowili się, jak wymaga obyczaj, następnie wódz Kel Teggart przemówił.

- Ci młodzi wzięli ślub zgodnie z prawem, udzielił im go marabut na oczach całego plemienia. Amastan to porządny człowiek: znam go prawie przez całe jego życie i mogę za niego ręczyć.

- Ja znałem go przez dwanaście lat, zanim przyjechał do tej szkurzej nory, i wiem, że to nędzny robak! - wybuchnął Rhossi.

- A ty, ty jesteś tyranem i tchórzem, o czym może zaświadczyć każde dziecko, które w Bazgan było mniejsze albo młodsze od ciebie!  
- krzyknął Amastan.

Wtedy Rhossi popchnął go z całej siły w pierś, obiema rękami; Amastan potknął się i niemal upadł. Mariata skoczyła między nich.

- Przestańcie! Wstydz się, Rhossi ag Bahedi! To moje wesele, czas świętowania. Każdy, kto nie chce z nami dzielić radości, niech odejdzie, natychmiast.

Amghrar uśmiechnął się, jego przebiegłe oczka błysnęły w blasku ognia. Choć na pozór zwracał się do niej, całą uwagę skupił na Rhossim ag Bahedi.

- Nie możemy odesłać tak znużonych wędrowców, nie ofiarując im gościny, choć jesteśmy biedniejsi w materialne dobra od Kel Bazgan. Mam nadzieję, że znajdziecie u nas ciepło i wygodę, zwłaszcza w tak radosny dzień. Odłóżcie na bok wszystko, co was dzieli, pokornie was proszę. Ousmanie ag Hamid, twoja córka została zaślubiona temu mężczyźnie z własnej i nieprzymuszonej woli: raduj się wraz z nią. Rhossi ag Bahedi, jutro porozmawiamy o twoich wielbłędach; myślę jednak, że nie znajdziesz żadnych pięknych Tibasti w tej „szczurzej norze”. Ciężko nam się żyje, a nasze wielbłądy to zwykłe robocze zwierzęta; nie stać nas na zabawki bogaczy.

Rhossi szarpnął się do przodu.

- Moje wielbłądy to nie żadne „zabawki”, kupiłem je do hodowli, najlepsze Tibasti. Nie da się obliczyć strat, jakie poniosłem, nie mogąc sprzedać byczków, które mogłem z nich mieć.

Amastan wzruszył ramionami.

- Cóż, skoro nie da się obliczyć, nie mamy jak wynagrodzić ci twojej straty, nawet jeżeli twoje wielbłądy zostały ci skradzione, w co jednak mocno wątpię. Najprawdopodobniej nie uwiązałeś ich jak należy i poszły poszukać sobie lepszego domu, gdzie nikt nie będzie się na nich wyżywał.

- Wiesz bardzo dobrze, że ona je ukradła! - rozsierdził się Rhossi.  
- Może i jest twoją żoną z nazwy, ale to ze mną pierwszym zległa!

I w przeraźliwej ciszy, jaka zapadła po tych okropnych słowach, wymienił prawdziwie niewyobrażalną sumę za dwa skradzione wielbłądy, o której wiedział, że zapłacić by ją mogli co najwyżej sułtani ze starożytnego Imperium Songhai, których pałace lśniły od złota. Słyszając ją, wszyscy oniemieli. Rhossi z zadowoleniem popatrzył na przerażone twarze wokół siebie.

- Jeśli nie możecie zapłacić, nie przyjmę za nie żadnego zadośćuczynienia z wyjątkiem tej kobiety, zameźnej czy też nie!

Mariata dłużej tego znosić nie mogła.

- Jesteś szalony! Przede wszystkim nigdy z tobą nie zległam, o czym dobrze wiesz. Próbowałeś mnie zmusić i był to wystarczający powód, żebym opuściła Kel Bazgan tak szybko i potajemnie, jak to zrobiłam. Po drugie, kiedy się broniłam, uderzyłam cię w twarz, a ty wrzasnąłeś jak dziecko. Po trzecie, porozmawiajmy o wielbłędach. Prawdą jest, że użyłam dwóch zwierząt, o których wiedziałam, że należą do ciebie; ale wzięłam je jako zapłatę za obrazę mojego honoru, a według moich obliczeń za nią i za drugą, gorszą, której dopuściłeś się właśnie publicznie, teraz winien mi jesteś jeszcze trzy dodatkowe wielbłądy! Tych, które wzięłam wtedy, już tu nie ma, zostały sprzedane na targu w Goulemime. Wciąż mam pieniądze, które za nie dostałam; ale w porównaniu z twoimi wygórowanymi żądaniami nie dostałam za nie zbyt wiele. Może to nawet nie były samce albo może zostały wykastrowane, bo na pewno nie zachowywały się tak, jak powinny prawdziwe byki. Wiele jest stworzeń na świecie, które wydają się piękne i dumne, i szczycą się nie wiadomo jakim pochodzeniem, a tak naprawdę, kiedy przychodzi co do czego, nie potrafią się nawet parzyć!

Teraz już słuchał tego cały tłum ludzi; ktoś parsknął śmiechem i wkrótce wszyscy mężczyźni Kel Teggart chichotali szyderczo. Nigdy nie przepadali zbyt za Kel Bazgan: podłość, z jaką wódz Air potraktował Rahmę, była obrazą dla całego plemienia.

Rozwścieczony Rhossi chwycił Mariatę za rękę i boleśnie ją wykręcił.

- Mów prawdę, ty mała suko. Rozłożyłaś przede mną nogi i byłaś zachwycona! Noc w noc wracałaś po więcej!

W tej samej chwili Mariata poczuła, że ktoś chwyta ją za drugą rękę, wrywa z niej miecz, nastąpiła gwałtowna szamotanina, ona nagle była wolna, a Rhossi leżał na ziemi, na nim okrakiem siedział Amastan, z mieczem przyciśniętym do jego gardła.

Trudno opisać, co działo się dalej. Rozległ się pojedynczy strzał rozdzierający nocną ciszę. Nikt nie wiedział, co robić, jak zareagować. Wszyscy znieruchomieli, z przerażeniem rozglądając się wokół. Czy to runęła jakaś skała, czy broń wypaliła przez przypadek? Huknął drugi strzał i jakiś mężczyzna krzyknął; potem zapanował ogłuszający

hałas, a pojedyncze strzały strzelb zastąpił przerażający, nieprzerwany dźwięk kanonady z broni automatycznej. Jak w sennym koszmarze Mariata zobaczyła, że Amastan pada do tyłu, nagle oderwany od piersi Rhossiego. Przód jego tuniki - pięknej, kosztownej błękitnej tkaniny z metalicznym połyskiem - teraz w blasku księżyca całkowicie zmienił barwę na czarną, rozlewając się powoli mokrą plamę. Amastan leżał nieruchomo za Rhossim ag Bahedi, z rękami odrzuconymi za siebie, z których wypadł bezużyteczny zabytkowy miecz. Na tle twardej, ciemnej, pokrytej pyłem ziemi jego dłonie wydawały się blade i delikatne, lekkie i miękkie jak płatki oleandra.

Kobieta krzyknęła jego imię raz po raz

- Amastan, Amastan, Amastan! - które dzwoniło w głowie Mariaty, aż stało się wyzbytym sensu słowem z dziecinnej rymowanki i dopiero po zdającej się nie mieć końca chwili zrozumiała, że słyszy swój własny głos, obłąkany i rozpaczliwy.

Wkrótce utonął w wielkim rwetesie - wrzaskach, zawodzeniu i gwałtownej strzelaninie, wszędzie wokół padali ludzie, chwytając się siebie kurczowo, krzycząc w agonii i ze strachu, wymachując rękami, stopami szukając oparcia, jakby walczyli z potężną wichurą.

Wielbłądy ryczały; ktoś przebiegł w płonącym ubraniu; to była Leila, zorientowała się przerażona Mariata. A potem pojawił się mężczyzna - nie, wielu mężczyzn, dziesiątki, zdawało się, że setki, zalewali obozowisko jak mrówki, a twarze mieli nagie, nieosłonięte. Mariata ruszyła w stronę, gdzie leżał Rhossi (Gdzie był teraz? pojawiło się w jej głowie pytanie, lecz pozostało bez odpowiedzi, ale jej to nie obeszło) i chwyciła Amastana za rękę.

- Wstawaj! Wstawaj! Atakują nas! - Lecz ramię było bezwładne w jej ręce. Bezwładne jak martwe jagnię, które wiosną wydała na świat zdychająca owca, przerażająco bezwładne, wiotkie i oślizgłe, jakby nie było w nim ciała, mięśni, woli życia. Mimo to potrzasała nim histerycznie. - Amastan!

Był tylko nieprzytomny: wiedziała o tym. Leżał tam z zamkniętymi oczami, śpiący w samym środku zamętu.

- Amastan! Wstawaj! - Zdołała wsunąć mu rękę pod plecy i spróbowała go unieść, ale był taki ciężki. Tak straszliwie ciężki. Był szczupłym mężczyzną, żyłastym i zwinnym: czemu tak trudno było go ruszyć? Czuła się otepiała, niczego nie pojmowała. - Amastan! -

wrzasnęła na niego przepelniona wściekłością, w którą zaczęło wkradać się przerażenie.

Ktoś ją chwycił i odciągnął.

- Już mu nie pomożesz!

Zaparła się nogami, wczepiła palcami w rękaw szaty swojego męża, zaciskając je jak szpony, bo wiedziała, że jeśli go teraz puści, nigdy więcej już go nie zobaczy.

- Nie! - zawyła. - Nie!

Drogi błękitny materiał nie puszczał, wiążąc dwie szarpiące się postacie w dziwacznych ramach. Nagle z głośnym trzaskiem, który dał się słyszeć nawet w tym ogłuszającym hałasie, podarł się, a jej w rękach został tylko zakrwawiony strzép. Nareszcie wyswobodzoną, ktoś ją obrócił, uniósł, przrzucił sobie przez ramię i poniósł.

Ze swej dziwnej pozycji, spoglądając na wszystko do góry nogami, zobaczyła, jak Rhossi ag Bahedi ściąga jej brata Azaza z wielbłąda, aż chłopak runął bezwładnie na ziemię, jej wróg zaś dosiada zwierzęcia i zaciekle kopie w zad, zmuszając, by się podniósł i zaczął biec. Ujrzała, jak Baye się schyla, wciąga Azaza na swojego wierzchowca; docierało do niej, że nic jej to nie obchodzi, chociaż wiedziała, że powinno. Nie interesował jej los innych, nawet jej rodzonych braci. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, zwłaszcza oglądane z tej odwróconej pozycji. Rzeczywista była tylko nieruchoma postać leżąca na ziemi za nią, z każdym krokiem coraz bardziej odległa, aż nawet wyciągając szyję, straciła ją z oczu kompletnie.

Widziała, jak jeden mężczyzna powala Tanę na ziemię, a drugi zdziera z niej suknię; zobaczyła, jak głowę amghrara obojętnie ścina dwóch chłopców o ciemnych twarzach. Azelouane szedł przez plac, ściskając w dłoniach błyszczącego kałasznikowa, z zaciętym wyrazem twarzy widocznym w błyskach światła odbijającego się od lśniącej lufy. Widziała, jak łagodna Tadla krzyczy jak oszalała, kiedy umundurowany mężczyzna usiłował rozplatać kryjące się za nią dziecko. Ostatnią rzeczą, którą ujrzała, była Rahma dzielnie oganiająca się od napastnika płonąca gałęzią. On obrócił się i niedbale oparł o biodro swoją podobną do skorpiona broń i spokojnie wystrzelił jej prosto w twarz, aż płomień z lufy rozświetlił noc; kiedy Rahma okręciła się i upadła, inny mężczyzna chwycił ją za długie warkocze i

odrabiał jej głowę jednym potężnym ciosem połyskującej w księżycu maczety.

## ROZDZIAŁ 24

Kim jesteście i co tutaj robicie? Pytanie zostało zadane po raz drugi: tym razem po francusku. Taib trzymał ręce uniesione w powietrzu. Mężczyźni, którzy wysiedli z zakurzonego SUV - a, nosili turbany zasłaniające im twarze, oczy ukrywali za połyskującymi okularami słonecznymi; mieli ciężką broń. Było ich siedmiu. Ten, który przemawiał - wysoki i żyłasty, o skórze pociemniałej na głęboki brąz - swój półautomatyczny karabin trzymał wycelowany w Taiba. Drugi mierzył do mnie. Nigdy dotąd nie widziałam broni: prawdziwej, śmiertelnej broni trzymanej przez kogoś, kto zdawał się aż nadto dobrze wiedzieć, jak jej użyć, i kto bez mrugnięcia okiem władowałby we mnie kilkanaście kul, po czym zostawił, bym wykrwawiła się na piasku. Dziwne, ale ta perspektywa nie wzbudzała we mnie żadnych emocji; nie czułam gniewu ani strachu: wyłącznie jakieś otepienie, jakby mój mózg pracował na neutralnym, jałowym biegu.

- Przyjechaliśmy zobaczyć pustynię - wyjaśnił Taib. - Moja przyjaciółka jest turystką: Angielką.

- Nikt tu nie przyjeżdża! Przekroczyliście granicę nielegalnie: czegoś takiego nie robi żaden przewodnik turystyczny. Kim jesteście? Pokaż mi jej paszport i twój dowód tożsamości.

Jego niewymuszona pewność siebie, nawet niepoparta namacalną groźbą ze strony broni, nie pozostawiała wątpliwości. Taib szybko wykonał polecenie, wręczając mu swoje dokumenty i swoją torebkę. Mężczyzna wysypał z niej całą zawartość: długopisy, kosmetyki, szczotkę do włosów, notes, pomadkę do ust, portfel, złożone papiery, paszport - wszystko wypadło na ziemię, wzniesając niewielkie obłoczki kurzu.

Mężczyzna schylił się i podniósł mój paszport. Przekartkował i schował do kieszeni. Następnie wziął portfel, otworzył i uśmiechnął się do swoich kompanów.

- Mnóstwo euro i trochę dirhemów.

Rzucił mój portfel do jednego z mężczyzn, który wepchnął go sobie do kieszeni. Już otwierałam usta, żeby zaprotestować, zaraz jednak zmieniłam zdanie. Kim byli ci mężczyźni? Czy policjanci kradną tak otwarcie? Słyszałam niejedną historię o policjantach żądających łapówki, ale myślałam, że chodzi zwyczajnie o bakszysz, drobną korupcję. Ci mężczyźni nie wyglądali mi na policjantów ani w ogóle na żadnych oficjalnych przedstawicieli władzy. Prawdę mówiąc,

o wiele bardziej przypominali tamtych mężczyzn, od których Taib kupił nielegalne paliwo, w swoich połowych mundurach, pustynnych butach, nie wspominając już o pełnym incognito.

Zbliżał się do mnie trzeci mężczyzna. Szedł, kołysząc biodrami, pewnym, swobodnym krokiem. Kroczył, jakby wszystko wokół należało do niego - pod warunkiem, że pustynia w ogóle może być czyjąś własnością. Jeśli nosił broń, ja jej nie widziałam.

- A to co? - gestem wskazał na piaszczysty kopczyk przywalony siedmioma płaskimi kamieniami. - Coście tam pochowali?

Popatrzyłam na Taiba, nie wiedząc, co mam powiedzieć.

Mężczyzna czubkiem buta dźgnął kopczyk, odrzucając jeden z kamieni.

Nie wiedzieć czemu, ten postępek przywołał do życia moje emocje.

- Nie! - wrzasnęłam gwałtownie.

Taib krzyknął coś w swoim ojczystym języku i jeden z mężczyzn grzmotnął go kolbą swojej broni, powalając na ziemię. Leżał tam i trzymał się za głowę. Wszelka nadzieja, jeżeli w ogóle ją miałam, że napastnicy odjadą i zostawią nas w spokoju, w tej chwili przepadła bez reszty.

Teraz mężczyzna, chyba ich przywódca, podszedł do mnie. Czułam, jak przyspiesza mi puls.

- Coście tam schowali - narkotyki? A może broń? - zapytał surowo. - Mów albo zastrzelę twojego przewodnika.

Byłam tak wstrząśnięta, że się roześmiałam.

- Ani jedno, ani drugie.

Taib za moimi plecami krzyknął.

- Powiedz mu, Isabelle; powiedz mu o Lallawie.

Popatrzyłam na groźnie nachylającego się nade mną mężczyznę, nieznanego, obcego w stroju będącym mieszanką tradycji i nowoczesności.

- Tam jest ciało starej kobiety - powiedziałam smutno. - Nazywała się Lallawa, była... krewną mojego przyjaciela Taiba. Chciała po raz ostatni przed śmiercią zobaczyć pustynię; przywieźliśmy ją tutaj, ona umarła i pochowaliśmy ją. To wszystko.

Mężczyzna wpatrywał się we mnie przez długą chwilę, przez te połyskujące czarne okulary jego spojrzenie nie miało w sobie nic ludzkiego i było niepokojące.



- W życiu nie słyszałem równie bzdurnej historyjki - powiedział w końcu z pogardą.

- Ale to prawda!

Powiedział coś do swego kompana, a ten opadł na kolana i zaczął usuwać kamienie z grobu.

- Nie macie za grosz szacunku dla zmarłych? - zapytałam ze złością.

Nikt nie raczył mi odpowiedzieć. Patrzyłam, jak ze swoich samochodów poprzynosili łopaty, po czym zawzięcie i skrupulatnie zaczęli odkopywać grób Lallawy.

- Przestańcie! Przestańcie! - Spojrzałam na Taiba, ale on wciąż siedział na ziemi, trzymając się za głowę, podczas gdy jeden z napastników przeszukiwał naszego touarega, wyrzucając na piach koce, płyty i bębunki. - Nie możesz ich powstrzymać?

Uniósł powoli głowę i spojrzał mi w oczy.

- A wyglądam na kogoś, kto może to zrobić?

Zarówno w jego postawie, jak i tonie dawało się wyczuć rezygnację, zgodę na to, co się działo i co tylko Bóg mógł zmienić.

Myślałam, że na widok ciała staruszki przestaną, ale nie. Bardzo szybko znaleźli owinięte w biały całun zwłoki. Przywódca nachylił się i strzepnął z tkaniny piasek, ale nawet to mu nie wystarczyło: odsunął materiał, odsłaniając martwą twarz starej kobiety. Być może na widok jej bogatej biżuterii zdarł całun do końca i ukazały się błyszczące amulety, pierścienie i bransoletki na jej skrzyżowanych rękach. Mężczyzna klęczał bardzo długo, wpatrując się w ozdoby Lallawy, aż zaczęłam myśleć, że wszystkie je zrabuje. Pozostali jednak cofnęli się o parę kroków i mamrocząc coś w zdenerwowaniu, dotykali schowanych pod chustami naszyjników lub wykonując dziwne gesty rękami, jakby coś od siebie odpędzali. Na tle ciemniejącego nieba przedstawiało to niesamowity widok. W końcu, nie dotykając biżuterii, przywódca grupy naciągnął z powrotem całun na zwłoki, po czym szepnął coś do swoich ludzi, a ci z wyraźną niechęcią przyklękli i wyjęli ciało Lallawy z jej miejsca, w którym spoczęła na tak krótko.

Nie mogłam oderwać od niej wzroku, tak niedbale wydobyteż znowu na powietrze. Śnieżna biel całunu, który Taib układał tak troskliwie, dbając o godność starej kobiety, teraz została zbrukana piaskiem, zniszczona i zbezczeszczona ich rękami. Ledwo zdążyłam

pogodzić się z myślą, że umarła, i że ja miałam tak czynny udział w jej dziwnym pochówku, widząc ją na nowo odkopaną, swobodnie, lecz mimo wszystko z poszanowaniem, załamałam się. Płakałam i płakałam skulona nad swoim amuletem, dławiąc się gwałtownym szlochem zdającym się dobywać z moich trzewi; ciemnych miejsc, które świadomie pozostawiałam nieodkryte i niezbadane, jak starożytna piramida skrywająca straszliwe, śmiertelne skarby. Łzy płynęły głośne, gwałtowne, niespodziewane jak pustynna powódź. Nie byłam w stanie ich powstrzymać, wyglądało na to, że w końcu całkowicie straciłam nad sobą panowanie. Nie wiedziałam nawet, dlaczego płaczę. Być może spowodował to widok bezczeszczonych zwłok staruszki, a może Taiba, pobitego i powalonego na ziemię, lub świadomość, że znaleźliśmy się w rękach brutalnych uzbrojonych mężczyzn, a może zwyczajnie dały o sobie znać gwałtowne emocje skumulowane przez cały dzień. Tak czy owak, pęknięcie, które pojawiło się w od tak dawna szczelnie zamkniętej tamie, teraz puściło na dobre.

Nikt nie zwracał na mnie najmniejszej uwagi, co bardzo mi odpowiadało. Mężczyźni byli zbyt zajęci szukaniem czegoś, co według nich mogło być ukryte w grobie: kopali i kopali bez końca. Taib siedział z pochyloną głową, jak ktoś pogrążony w modlitwie, strzegący go zaś bandyta palił, a dym z jego papierosa unosił się cienką strużką w ciemniejące niebo.

W końcu dowódca coś powiedział i mężczyźni odłożyli łopaty.

- Chyba mówiłaś prawdę - odezwał się do mnie z niechęcią. Jego francuski brzmiał twardo, miał silne afrykańskie naleciałości z dalekiego południa, bez płynności, jaką dawało dokładne marokańskie wykształcenie czy odwiedziny u rodziny we Francji. - Wstań i wracaj do samochodu.

Chwiejnie stanęłam na nogi.

- A co z Lallawą? Zostawicie ją tak, na żer szakalom?

- Nie jesteśmy dzikusami - powiedział ostro i rozkazał swoim ludziom, by pochowali ją raz jeszcze.

Podeszłam wolno do touarega i usiadłam obok Taiba. Stojący nad nim strażnik przyglądał mi się zmrużonymi oczami. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat: jego skóra była delikatna, niemal pokryta jeszcze młodzieńczym meszkiem, choć na czole rysowała mu się głęboka zmarszczka, i druga, w kącikach ust; kiedy zaciągał się

papierosem, twarz marszczyła mu się jak u mężczyzny rozsiadającego się na kanapie. Zobaczył, że mu się przyglądam, i zasłonił twarz turbanem, jakbym przyłapała go na robieniu czegoś zdożnego. Taib ujął mnie za rękę i wyczuł w niej amulet. Zasepił się.

- Na twoim miejscu założyłbym go i zakrył - powiedział cicho, a ja poszłam za jego radą. - Nie bój się - dodał.

- Kim oni są? I czego od nas chcą?

Niemal niedostrzegalnie wzruszył ramionami.

- To trabandistes - przemytnicy. Może nawet coś więcej. Domyślałam się, że przekonamy się o tym bardzo niedługo. - Pomyślałam, że jak na człowieka który właśnie oberwał w głowę kolbą karabinu, był niezwykle spokojny, chociaż na czole miał zadrapanie i opuchliznę, jakby zaczynał mu w tym miejscu wyrastać róg. Dotknęłam go delikatnie. - Dobrze się czujesz?

Skinał głową.

- Alhamdulillah.

Przesunął dłoń po twarzy, palcami dotykając ust, potem niżej, piersi.

- Salama - przemówił cicho młody człowiek z bronią.

Nie miałam pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Powinnam była poczuć się tym bardziej obca, jak intruz z Europy biorący udział w północnoafrykańskim dramacie, co dziwne jednak, ta wymiana słów podziałała na mnie kojąco. Obróciłam głowę, żeby popatrzeć, jak pozostali mężczyźni wkładają biedną Lallawę z powrotem do grobu, i zdumiałam się, widząc, z jaką robią to uwagą, uklepując dno wykopu swoimi łopatami i wygładzając piasek rękami, następnie układając ciało, jakby staruszka ciągle jeszcze żyła. Dowódca osobiście poprawił fałdy całunu, podobnie jak wcześniej robił to Taib, aby szczelnie zakrywał ciało Lallawy, jego końce zaś wepchnął pod spód. Widziałam, jak pochyła głowę i dotyka najpierw swego czoła, później serca. Nagły chłodny powiew wiatru znad pustyni przyniósł do mnie pomruk słów i poruszył zawojami mężczyzn, którzy następnie zasypali grób i przywalili go kamieniami, chowając Lallawę lepiej i głębiej, niż zdołał uczynić to Taib przy mojej pomocy. Przez kilka chwil stali wszyscy wokół mogiły w milczeniu, być może pogrążeni w modlitwie, a ja pomyślałam, jak dziwną stanowią wartę honorową, i że mimo wszystko być może Lallawa nie miałaby nic przeciwko temu powtórnemu pochówkowi.

Kiedy mężczyźni obrócili się, by powrócić do samochodów, było już prawie ciemno. Gdy się zbliżali, Taib wstał, a ja ze zdumieniem zauważyłam, że na nowo zawiązał swój turban, tak że teraz zasłaniał mu prawie całą twarz, odkryte pozostawiając jedynie oczy. Dowódca trabandistes popatrzył na niego z zaciekawieniem, potem powiedział coś, co rozbawiło pozostałych. Taib wyprostował się i odpowiedział, a ja z jego postawy wywnioskowałam, że się broni. Padały kolejne słowa: tamci wydawali się mniej agresywni. Wszyscy przewiesili swoje strzelby przez plecy, nikt już w nas nie celował. Czyżby mieli zamiar nas wypuścić? Bałam się oddychać ze strachu, że zniszczę coś, co ledwie dostrzegalne unosi się w powietrzu. Potem ktoś coś powiedział do Taiba, on zareagował ze złością, niemal krzycząc. Położyłam mu rękę na ramieniu w nadziei, że może zdołam go uspokoić, on jednak odepchnął ją, jakby mnie tam wcale nie było.

- O co chodzi? - zapytałam przerażona. - Co oni mówią? Odpowiedział mi nie Taib, lecz jeden z trabandistes.

- Pojedziecie z nami.

- Pojedziemy dokąd?

- Do naszego obozu.

- Ale dlaczego? Nie możecie nas po prostu wypuścić? A tak w ogóle to kim jesteście?

Taib skrzywił się, dając mi jasno do zrozumienia, żebym siedziała cicho.

Spojrzenie przemytnika było nieprzeniknione, tak głębokie i poważne jak nietknięty światłem staw.

- Nie twoja sprawa, kim jesteśmy. Nas natomiast bardzo interesuje pani, pani Isabelle Treslove - Fawcett. - Sposób, w jaki wypowiedział moje nazwisko, sprawił, że zabrzmiało obco i niezrozumiale. - Wsiadajcie do samochodu.

Otworzył tylne drzwi touarega. Zawahałam się.

- Gdzie jest mój paszport?

Czysty idiotyzm: pytanie tak bardzo brytyjskie i kompletnie nieadekwatne do sytuacji. Jednak nikt się nie roześmiał.

Przemytnik poklepał się po kieszeni na piersi. Potem skinął na Taiba i szepnął jakiś rozkaz, Taib zaś bez słowa wręczył mu kluczyki.

- Wsiadaj do samochodu, Izzy - powiedział cicho. - Naprawdę nie mamy wyboru.

## ROZDZIAŁ 25

Cztery miesiące minęły od napadu na obozowisko. Mariata niewiele zapamiętała z podróży z Adah do Imteghren: prawie niczego nie zauważała, skupiona wyłącznie na płonącym w niej bólu. Kiedy przekraczali Vallee de l'Azaouagh, wjeżdżali na Tamesnę i zмирzali na północ, nie chciała niczego jeść i odwracała głowę od strawy. Nocą leżała na kocu rozłożonym na ziemi, z otwartymi oczami, i wpatrywała się w gwiazdy, przyciskając kurczowo do serca mały strzęp błękitnej tkaniny z zaschłą na rdzawo krwią. Rankiem jej bracia zastawali ją zawsze w tej samej pozycji i przerażało ich to. Recytowali zaklęcia przeciwko złemu oku, kiedy myśleli, że ich ojciec tego nie widzi, bo natychmiast kazałby im przestać.

- Jeżeli wasza macocha zobaczy, że zachowujecie się jak głupi baggara, wszystkich nas przegoni z domu. Teraz będziemy nowoczesnymi ludźmi i lepiej zacznijcie do tego przywykać.

(Kiedy jednak wędrowali przez Great Erg i pojawiła się groźba, że pochłonie ich burza piaskowa, wszyscy słyszeli, jak ojciec mamrocze wszelkie możliwe zaklęcia na odpędzenie demonów).

Mariata nie wywarła dobrego wrażenia na swojej nowej rodzinie. Wymizerowana i słaba, z czarnymi oczami jak wypalone węgle, zapadniętymi i pozbawionymi blasku, wyglądała jakby lada chwila miała przejść przez drzwi śmierci, co prawdę rzekłszy, przyjęłaby z radością. Wszystko co czyniło z niej Mariatę, zostało jej odebrane: brnęła przez kolejne dni na podobieństwo żywego trupa, pogrążona w rozpacz po Amastanie, ukojenia szukając w marzeniach.

- Co my z nią pocniemy, Ousmanie? - nękała go nowa żona. - Mówiłeś, że będzie mi pomagać w domu i opiekować się Mamą Erquią, a ona tylko siedzi na podwórku z twarzą obróconą do ściany: nie mogę jej zmusić, żeby weszła do domu. Chyba boi się schodów. Wyobrażasz sobie, jak trudno będzie mi znaleźć dla niej dobrego męża, jeżeli ludzie się dowiedzą, że wnosi w posagu szaleństwo i chorobę?

- Już ci mówiłem, moja córka jest szlachetnej krwi: to księżniczka Kel Taitok. Nie przywiozłem jej tutaj dla zamażpójścia, tylko dla bezpieczeństwa.

Aicha posłała mu sardoniczne spojrzenie, unosząc jedną z elegancko podkreślonych kreską brwi. Ciągle jeszcze przyzwyczajała

się do swojego nowego męża; nie wiedziała, na ile tak naprawdę może sobie pozwolić. Ale wkrótce pozna go wystarczająco dobrze.

Kiedy był w pracy, zakładając ze swoimi synami i jej ojcem nowy sklep, Aicha, jej babka Mama Erquia i jej młodsza siostra Hafida stawały na podwórku nad Mariatą i dręczyły ją, nie przejmując się, czy jest księżniczką czy też nie.

- Wstawaj, ty leniwa wieśniaczko! - wrzeszczała babka, nie otrzymując żadnej odpowiedzi.

- Jest jak jeden z tych pogryzionych przez pchły kundli, które całymi dniami wylegują się na targu i nic, tylko śpią - powiedziała Aicha, krzywiąc wargę.

- Te, które od czasu do czasu osaczają i trują na tyłach rzeźni, żeby się nie rozmnażały i nie wydawały na świat tego swojego ohydneho potomstwa - wtórowała Hafida.

Nigdy wcześniej nie było w jej życiu nikogo, nad kim mogłaby się znęcać, rzucała wyssanymi pestkami daktyli i zaśmiewała się, kiedy przyklejały się do sukni Mariaty.

- Chciałabym, żeby ją też ktoś zagonił na tył rzeźni. Patrzcie na nią, jaka jest brudna i cuchnąca, tylko zaśmieca mi podwórzec! - skarżyła się Mama Erquia. Miała pokrytą zmarszczkami brązową twarz, zwiędłą i bezzębną, co czyniło ją bardzo podobną do jednej z tych starych małp, które trzymają zamknięte w klatkach na targowisku. - Nomadzi: barbarzyńcy, wszyscy, jak jeden!

- Ale niektórzy z ich mężczyzn są całkiem, całkiem - zaprotestowała Hafida. - Tacy szlachetni i pełni dramatyizmu, cali zakryci swoimi błękitnymi zawojami.

Zazdrościła swojej siostrze, ponieważ Ousman był bardzo przystojny i niezwykły w swoim tuareskim stroju i z pustynnymi manierami, jej własny narzeczony zaś był gruby, nudny i dwukrotnie od niej starszy.

- To prawda: nie mogę zbyt uskarżać się na Ousmana - powiedziała Aicha. - Jest dziwny i traktuje mnie jak królową. Może tylko mógłby się częściej myć. Ale kobiety! Chodzą po mieście jak bezwstydnice z odkrytymi włosami, żeby mogli je widzieć wszyscy mężczyźni i ich synowie, i to ich bezczelne spojrzenie. Widziałam, jak zaczepiają mężczyzn i otwarcie rozmawiają z nimi na ulicy!

- Nie są lepsze od suk w rui - wyrzuciła z siebie Mama Erquia. - W byle zaułku zadrą spódnice przed każdym. A mężczyźni uganiają

się za nimi z fiutami sterczącymi jak u psów. Nie mają krztyny przyzwoitości. Ani jednej nie widziałam nigdy w meczecie.

- Z tą tutaj będzie inaczej, zapewniam cię - powiedziała Aicha, patrząc wymownie na Mariatę. - Prosiłam Lallę Zohrę, żeby przyszła w przyszłym tygodniu.

- Ma'allema? - Oczy Hafidy zrobiły się okrągłe ze strachu.

- Ta dziewczyna potrzebuje wskazówek. Trzeba ją nauczyć, jak powinna zachowywać się przyzwoita młoda kobieta, żeby nie przynosiła nam wstydu.

Lalla Zohra była ogromną babą - jędzą, od stóp po czubek głowy odzianą na czarno. Przybyła, w prawej ręce dzierżąc własny Koran, w lewej zaś długą witkę, którą biła po rękach dziewczyny nie dość uważnie słuchające jej nauk czy to haftowania, pisania, czy zachowania. Dziewczęta z Imteghren nosiły ślady jej połajaneł - widoczne, blade blizny w kształcie półksiężyca na dłoniach i te niewidzialne, lecz bolesne, trudno gojące się rany na duszy.

Hafida żywiła tak głęboko zakorzeniony strach przed ma'allem, że na czas jej odwiedzin wymyśliła sobie jakieś bardzo ważne zajęcie na drugim końcu miasta, zostawiając Aichę samą, i to w bardzo złym nastroju. Nic też nie wskazywało, by miał ulec poprawie.

- Salaam aleikum. - Ma'allema czekała, Mariata jednak nie odpowiadała. Stara kobieta popatrzyła na Aichę. - Czy ona nie umie mówić?

- Nie jak cywilizowany człowiek - odparła Aicha i wyniośle ściągnęła usta.

Ma'allema przeszła przez podwórzec.

- Mariato, nazywam się Lalla Zohra i przybyłam do ciebie, niosąc ci słowa Proroka i światło Allaha, abyś mogła pojednać się z nim i ze swoją rodziną i zaczęła zachowywać się, jak przystoi. Pokój z tobą.

Czarne oczy uniosły się i rozpalone spoczęły na starej, wyzywającej i zrozpaczonej.

W swoim długim życiu ma'allema widziała już wszystko: taka demonstracja milczącej obrazy na pewno nie zdoła jej zniechęcić.

- Kiedy starsi i lepsi od ciebie cię pozdrawiają, moje dziecko, nie wolno zapominać o manierach - powiedziała surowo. - Spróbujmy raz jeszcze. Salaam aleikum, Mariato. No, powtarzaj za mną: wahi aleikum es salaam.

Znowu czekała, lecz cisza, jaka nastąpiła, ciężka była od wrogości.

Coś błysnęło, rozległ się świst i witka wylądowała z głośnym pacnięciem. Mariata warknęła głucho jak osaczony wilk. I jak osaczony wilk wyszczerzyła zęby na ma'allema.

Lalla Zohra złapała rękę Mariaty i obróciła ją do Aichy.

- Widziałas, w jakim ona jest stanie? Wstydz się, Aicho Saari. Czy ty i twoja siostra nie pokazałyście jej, jak należy dbać o czystość w porządnym muzułmańskim domu?

- Jak niby mam ją umyć? Ona nawet nie wchodzi do domu - powiedziała obrażona Aicha. - Dotąd mieszkała tylko w namiotach i boi się dachu i schodów.

- Tylko to, że ktoś zachowuje się jak dzikus, nie oznacza, że należy mu na to pozwolić. Na tobie spoczywa odpowiedzialność - jako na porządnej muzułmance i nowej matce tej biednej dziewczyny - za pokazanie jej, jak uprzejmy, bogobojny człowiek winien się zachowywać.

- Matka! Ona jest niewiele młodsza od mojej siostry! Uważam, że skoro postanowiła żyć jak zwierzę, będę ją jak zwierzę traktować.

Oczy ma'allema błysnęły. Wyprostowała się i wsparła ręce na szerokich biodrach.

- Prorok naucza, że ten, kto jest dobry dla boskich stworzeń, jest dobry dla samego siebie; dobry uczynek dla zwierzęcia jest tak samo dobry jak dla człowieka; zaś okrucieństwo wobec zwierząt niczym nie różni się od okrucieństwa wobec ludzi. Pamiętam, że sama uczyłam cię tych hadisów. Ale oprócz tego wszystkim moim uczennicom wbijałam do głowy, że czystość jest najważniejsza. Taharah. Aicho. Taharah\ Wstydz się. Allah kocha tych, którzy nieustannie się do niego zwracają. I kocha tych, którzy zachowują niewinność i czystość. Jak mogłaś pozwolić, żeby znalazła się w takim stanie? Idź mi zaraz, przynieś ręczniki, myjki i mydło. Zabieramy ją do hamman!

Mariata z ponurą miną szła prowadzona przez dwie porywaczki do hamman, szczęśliwa, że w końcu wyszła z domu. Imteghren było nieciekawym miastem, ponurym i zakurzonym. Piach leżał na ulicach i ciężką chmurą unosił się w powietrzu. Trudno doprawdy uwierzyć, że w średniowieczu stanowiło część potężnego Sijilmassa, miasta handlowego, na którego targowiskach sprzedawano heban, kość słoniową, przyprawy, oliwę, perfumy, niewolników i wszelakie złote



skarby, które płynęły szlakami z Imperium Songhai w drodze do Marrakeszu, Fezu i Meknes, śródziemnomorskich portów i królestw na północy. Teraz wszystko cuchnęło kozim łajnem, olejem kuchennym i wyziewami spalin. Mariata patrzyła na nieznanym pojazdy przedzierające się przez zatłoczone ulice, rżące i plujące obłokami czarnego dymu, i kurczowo ścisnęła swój amulet. Zabiedzone owce i kozy kręciły się między stosami kuchennych odpadków walającymi się na rogach ulic; zdziczałe psy leżały stłoczone w zacienionych miejscach; dzikie koty przemykały się, kiedy psy ich nie widziały, i kradły ochłapy ze śmietników. Ludzie byli wszędzie: potwornie otyłe kobiety zakutane w suknie i welony, mimo obojętności upału zakryte szczelnie od stóp do głów; chudzi mężczyźni w pasiastych tunikach i żółtych sandałach, z odsłoniętymi twarzami. Mariata uważała, że wyglądają głupio i słabo, bardziej jak chłopcy niż dorośli mężczyźni. Nawet mężczyźni, którzy chowali swoje twarze pod brodami, wydawali się jej dziwni, jakby w połowie przerwano im zjedanie czarnej owcy. Patrzyła na nich bezczelnie, a oni odwzajemniali spojrzenie i uśmiechali się wielkimi wilgotnymi ustami i żarłocznymi oczami, aż wzdrygając się, odwracała twarz.

Okalające miasto mury starożytnej fortecy były wyszczerbione przez pociski wystrzelone w dawnych wojnach, chociaż Mariata nie umiała sobie wyobrazić, kto i po co chciałby zdobyć miasto, a tym bardziej go bronić. Lepiej niech pochłonie je pustynia, pomyślała. Niech pochłonie ich wszystkich. Nie chciała żyć.

Łaźnia znajdowała się w centrum miasta, obok suku i straganów rzemieślników, w cieniu wysokiego minaretu głównego meczetu.

- Rozbieraj się! - rozkazała Lalla Zohra, jak tylko znalazły się w przebieralni. - Zdejmuj wszystko - no dalej.

Mariata skrzyżowała ramiona i patrzyła na nią. Obeznana z każdą formą oporu, ma'allema wezwła kąpielową. Jeżeli Lalla Zohra była dużą kobietą, to Khadija była monstrualna: dwa razy szersza w biodrach i biuście, z kręconymi włosami schowanymi pod kolorową chustką i krzywymi zębami sterczącymi we wszystkich możliwych kierunkach. Działając z zaskoczenia, zdołała ściągnąć z dziewczyny z pustyni skórzaną sakwę z frędzlami, którą Tana zrobiła dla Mariaty, potem obie zdarły z niej suknię, czemu Aicha przyglądała się z boku z dziwnym półuśmiechem na twarzy. Przy zdejmowaniu amuletu

doszło do szarpaniny. Kiedy wreszcie udało się go zdjąć, wszystkie trzy były czerwone i zlane potem.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Lalla Zohra na widok wielkiej dziury wyszarpanej w jej galabii.

Aicha niewzruszona zsunęła amulet ze sznurka z koralików. Nawet w mroku przebieralni czerwony karneol w amulecie zamigotał złowieszczo.

- Ciekawe, ile Ali mi za to da - zastanowiła się. - To czyste srebro, na pewno.

Zohra pogroziła jej palcem.

- Naszyjnik należy do dziewczyny i nie ma znaczenia, jak źle się zachowuje. A ty dobrze wiesz, co Święty Koran mówi o kradzieży i złodziejach.

Aicha nadaśała się; potem wsunęła amulet do kieszeni swojej sukni, wraz z biżuterią należącą do niej, „dla bezpieczeństwa”. Spokojnie zdjęła suknię i powiesiła ją na kołku, podczas gdy Zohra i Khadija rozbierając się, na zmianę przytrzymywały Mariatę. Mariata z niedowierzaniem wpatrywała się w nie wszystkie: nigdy wcześniej nie widziała zupełnie nagiej kobiety.

- Chodź ze mną, moja kochana. - powiedziała Khadija Chafni. - Wyszorujemy cię i będziesz taka czysta, jakbyś dostała nową skórę. - Obróciła się do Zohry. - Ależ ona cuchnie: gdzie wyście ją znalazły? W funduq, gdzie spała razem z wielbłądami?

- Mniej więcej. Pochodzi z pustynnego plemienia - powiedziała Aicha szyderczo. - To tuareska księżniczka, a przynajmniej tak mówią.

Khadija pokręciła głową i szcęknęła swoimi krzywymi zębami.

- Ach, te dziewczęta z pustyni. Nigdy się nie myją; niektóre to nawet boją się wody. Twierdzą, że w wiadrach mieszkają demony, dacie wiarę? A jak przy tym wrzeszczą, coś okropnego. Można by pomyśleć, że czystość to jakaś tortura, a nie przyjemność.

- I obowiązek - przypomniała Lalla Zohra surowo. - Święty obowiązek.

Zaciągnęły ją, sztywną i opierającą się, do gorącej łaźni - tam w ogłuszającym hałasie, wśród lśniących kafelków i kamiennych płytek na podłodze, Mariata rozglądała się z przerażeniem. Wszędzie gdzie spojrzała, widziała nagie ciała, błyszczące od wody i potu, czarne włosy spływające potokami z pleców i piersi. Ze zdumieniem zdała

sobie sprawę, że muszą to być te same kobiety, które widziała w mieście tak szczelnie zakryte, że u niektórych widać było tylko oczy, teraz bezwstydnie nagie w swoim towarzystwie, bez cienia skrępowania ukazujące swoje najbardziej intymne części ciała, pozbawione, jak Mariata chcąc nie chcąc zauważyła, wszelkiego owłosienia. Wśród ludu z jej plemienia, chociaż kobiety chodziły z gołą głową i nie nosiły welonu, taka nieskromność uważana była za skandaliczną.

Wciąż gapiła się osłupiała, kiedy Aicha niespodziewanie wylała na nią kubek gorącej wody. Krztusząc się, Mariata zamachnęła się na nią i wrzasnęła ile sił w płucach. A kiedy kąpielowa zaczęła nakładać na nią gęste czarne mydło zrobione z oliwnej masy i glinki, opędzała się od jej wielkich natrętnych dłoni.

- Przestań zachowywać się jak dziecko! - warknęła Lalla Zohra, przytrzymując ją za nadgarstki.

- Jestem dorosłą kobietą: zostawcie mnie w spokoju. Oczy Mariaty płonęły z oburzenia.

Były to pierwsze słowa, jakie od niej kiedykolwiek usłyszały. Na chwilę zamarły.

- Jeżeli chcesz, żebyśmy traktowały cię jak dorosłą - powiedziała w końcu Lalla Zohra - musisz się jak dorosła zachowywać. Masz, weź to i umyj się. Dokładnie.

Wyciągnęła do Mariaty garść pełną mydła.

Mariata niepewnie wtarła czarną maź w jedną rękę. Była obrzydliwa, oślizgła jak żabia noga. Niemożliwe przecież, żeby od czegoś tak czarnego i obrzydliwego człowiek robił się czysty. To przeczyło wszelkiej logice.

- A teraz szoruj z całej siły! - Zohra podała jej kawałek szmatki z powiązanych sznurków i patrzyła, jak Mariata niepewnie pociera nią namydlone miejsca. - Mocniej!

- O, tak. - Khadija położyła swoją wielką dłoń na dłoni Mariaty i przycisnęła, przesuwając po skórze, aż ta zaczęła ją piec. - Widzisz? - ucieszyła się. - Brud schodzi. Patrzcie! - Obróciła się i skinęła na kobiety z Imteghren. - Widziałyście kiedyś tyle brudu? Patrzcie, schodzi wielkimi czarnymi płatami. Pod spodem to dziecko będzie białe jak Arabka!

Wszystkie zaczęły się śmiać i przyglądać uszczęśliwione, że nareszcie mogą jawnie zaspokoić swoją ciekawość. Mariata popatrzyła na nie.

- Na co się gapicie? Nie patrzcie na mnie, tylko na siebie, jakie jesteście obwisłe, blade i tłuste jak larwy! - Dźgnęła palcem jedną kobietę, która podeszła zbyt blisko, w jej wielki bandzioch, a potem wyszczerzyła na nią wszystkie zęby i śmiała się, kiedy cofnęły się w kłęby pary. - Co, boicie się, że was pogryzę? Przecież to właśnie robią ludzie pustyni, Kel Asuf! Tak, teraz jestem jedną z Ludzi Pustkowia i jestem z tego dumna!

Po czym wybiegła z pomieszczenia z parą, chwyciła suknię Aichy, swoją i sakwę z frędzlami, i nawet się nie wycierając, ubrała się i pędem wypadła z hamman, a jej długie czarne warkocze wiły się jej po plecach jak mokre węgorze.

Znalazł ją Ousman, po zachodzie słońca, na południowej drodze wiodącej do Erfoud i dalej na Saharę. Podjechał do jej wielbłąda zniszczonym jeepem i opuścił pokryte kurzem okno.

- Co też ci przyszło do głowy?

- Nie zostanę z tymi ludźmi.

- I dokąd pójdziesz?

- Na pustynię.

- Bez zapasów?

- Mam wodę - powiedziała z uporem, pokazując na stary bukłak z kozłej skóry przewieszony przez plecy. - I jedzenie. - Worek suchego chleba.

- Poza tym - odrzuciła głowę i srebrny amulet błysnął w gasnącym świetle

- nie obchodzi mnie czy przeżyję, czy umrę. Niech się dzieje, co chce, byle nie w tamtym obrzydliwym miejscu.

Ousman wysiadł z jepea i wolno obszedł wielbłąda. Był to mauretańczyk, wielki, brązowy i trochę parchaty. Ousman poklepał go w wychudzony zad, pomacał po sterczących żebrach; potem chwycił go za uzdę i z wprawą pogrzebał mu w pysku, aż ukazały się jego wielkie brudne zębiska. Wielbłąd ryknął, oburzony takim brakiem szacunku. Ousman popatrzył mu w oczy i zwierzę spokorniało, kiedy jednak przesunął się, żeby obejrzeć zagłębienie na jego szyi, obrócił groźnie łeb i wyszczerzył zęby, gotowy ugryźć. Nawet nie patrząc,

Ousman uderzył go w nozdrza, a on aż zagulgotał ze zdziwienia. Ojciec popatrzył na Mariatę, kręcąc głową.

- Cóрко, skoro już chcesz uciekać na pustynię, zrób to przynajmniej na wielbłądzie, który nie będzie przynosił wstydu Zasłaniającym Twarz. Ten tutaj ma przegniłe zęby, za mało tłuszczu, szyję wytartą od uprzęży. W najlepszym razie ma co najmniej dziewięć lat. Kto ci sprzedał ten chodzący wór kości?

Mariata popatrzyła na niego prawie tak samo gniewnie jak wielbłąd.

- Jednooki mężczyzna.

Ousman potrząsnął głową.

- To oszust! Wszyscy wiedzą, że każdy wielbłąd na końcu targu nadaje się tylko do garnka. Ile mu za niego dałaś?

Nie chciała odpowiedzieć. Ousman bił wielbłąda, aż w końcu zmusił go, żeby ukląkł, potem ściągnął z niego wierzgającą i krzyczącą Mariatę i siłą wsadził do jeepa. Przywiązał wielbłąda do tylnego zderzaka i wolno, bardzo wolno pojechał z powrotem do Imteghren, z pozamykanymi oknami, żeby Mariata nie zdołała uciec.

W domu wbrew swojej woli została zamknięta w pokoju z jednym małym okienkiem, które było zakratowane. Słyszała, jak w zamku przekręca się klucz; podbiegła do okna i zobaczyła ojca, jak kroczy zdecydowanie, prowadząc za sobą wielbłąda. Wrócił dopiero, kiedy muezin wzywał wiernych do piątej modlitwy, bez wielbłąda.

W pokoju obok toczyła się rozmowa, najpierw przyciszonymi głosami, potem coraz głośniejszymi. Mariata przyłożyła ucho do drzwi.

- Ta latawica! - Głos Aichy był piskliwy i pełen oburzenia. - Zrobiła to, żeby mi ubliżyć. Dostałam tę biżuterię w prezencie ślubnym od ciebie, a ona o tym wiedziała. I zostawiła mnie w hamman w samej tylko bieliźnie. Taki wstyd! Musiałam pożyczyć galabiję od Khadiji Chafni i teraz mam u tej tłustej maciory dług, który sobie z wielką przyjemnością odbierze. Fuj. Ta mała suka, przeklęty niech będzie dzień...

Ousman odpowiedział coś gniewnie, ale zbyt cicho, by Mariata zdołała usłyszeć. Mimo to uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd Amastan zginął.

## ROZDZIAŁ 26

Za kradzież biżuterii swojej macochy, z której od jednookiego handlarza wielbłądów udało się Ousmanowi odzyskać tylko część, Mariatę codziennie spotykała jakaś z pozoru drobna kara. Lalla Zohra przychodziła każdego ranka, żeby czytać jej Koran; po początkowym buncie Mariata zaczęła z przyjemnością słuchać zawartych w nim opowieści. Dzięki niektórym nawet udawało się jej zapomnieć na chwilę o masakrze w wiosce i przepelniającej ją pustce samotności. Aicha jakby wyczuwając, że kara nie jest dla Mariaty wystarczająco bolesna, wynajdowała dla niej wciąż nowe i uciążliwe obowiązki. Mariata musiała czyścić, zamiatać i prać każdy strzęp materiału, jaki znajdował się w domu, aż ręce miała czerwone i spierzchnięte, a plecy obolałe. Wyprała chyba wszystko, co się tylko dało: rzeczy, które wcześniej nigdy nie widziały dziennego światła. Kiedy z tym się uporała, Aicha przyniosła jej chodniki i koce, narzuty na sofę, poduszki, ścierki do naczyń, do kurzu, serwetki, a Mariata prała i biła kijanką wszystkie, na wpół przytomnie, pogrążona w jakimś otumanieniu. Każdy fizyczny wysiłek uwalniał ją na chwilę od tkwiącej w niej ciemności; poza tym wtedy Aicha choć na chwilę przestawała się jej czepiać.

Któregoś dnia jej brat Azaz zastał ją na podwórzu zgiętą nad balią i krztuszącą się wściekle od śmierdzącego detergentu. Patrzył, jak płucze i wykręca coś białego i ogromnego, po czym ociekające rozwiesza na sznurku.

- Co to jest?

Ściągnął rzecz ze sznura i przyłożył do siebie: było dwa razy większe od niego.

- Reformy Mamy Erqui - wyjaśniła Mariata, wzdychając. - Nosi je pod suknią. Mają tutaj taki zwyczaj.

Azaz nie miał jak dotąd okazji, by się o tym przekonać osobiście: dziewczęta w Imteghren najwyraźniej nie chciały mieć z nim nic wspólnego, a kiedy próbował się do nich zalecać, krzyczały i opędzały się od niego. Nie były takie jak dziewczęta z pustyni. Szybko odwiesił reformy z powrotem.

- Stara wiedźma! Czemu pierzesz jej cuchnącą bieliznę? Jesteś Kel Taitok, to dla ciebie obraza!

Mariatą uśmiechnęła się do niego ze znużeniem.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Powiem ojcu; nie mogą traktować cię w ten sposób! Odwróciła wzrok.

- To nic nie da. Kiedy jednak Aicha i Hafida wyszły z domu, a ich wstrętna babka chrapała w swoim pokoju, Mariata poszukała ojca.

- Traktują mnie jak niewolnicę - powiedziała do niego ze smutkiem i pokazała spierzchnięte, czerwone ręce.

Ousman odwrócił wzrok, wyraźnie skrepowany.

- W Maroku żyją inaczej niż my: nie mają niewolników. Tutaj każdy wykonuje swoją „pracę”. - Mówiąc o tym, użył słowa, którego Mariata nie знаła; w języku tamaszek nie było takiego czasownika.

- Aicha i Hafida nic nie robią!

- Gotują, i to całkiem dobrze. Nawet twoje kości obrosły trochę mięsem.

Próbowały zmusić Mariatę, żeby gotowała. Był to eksperyment trwający zaledwie jeden dzień.

- Nienawidzę ich i nienawidzę ich jedzenia! - Chwyła go za ramię. - Pozwól mi wrócić do domu, ojczu, do Hoggaru. Pojadę z każdą karawaną, jaka zjawi się w Imteghren, nie będę wybrzydzać. Mogą mnie nawet spakować razem z towarem, nic mnie to nie obchodzi: tylko pozwól mi jechać.

On był jednak nieugięty.

- Zostaniesz. Stare czasy umierają, musimy się dostosować do zmian. Poza tym z powodu konfliktu między Marokiem i Algierią przez Imteghren nie jeżdżą żadne karawany; żołnierze pilnują granic.

- A co mnie obchodzą jakieś granice? Jesteśmy Zasłaniający Twarz. Nie uznajemy granic: nasz kraj jest tam, gdzie chcemy, nasze terytorium nosimy w sobie. - Ileż to razy słyszała, jak Amastan mówi takie rzeczy? Oczy wypełniły się jej łzami. - Jak możesz wytrzymać to nudne, osiadłe życie wśród tych okropnych ludzi?

Ojciec zacisnął szczękę: zrozumiała, że w tej kwestii zdania nie zmieni. I wiedziała dlaczego. Co noc z drugiego końca domu dobiegały ją jego jęki rozkoszy i przenikliwe, ptasie piski jego nowej żony. Przywoływały niechciane wspomnienia o jej życiu z Amastanem, które tak brutalnie zostało jej odebrane. Każdej nocy śniła, że leży przy nim nieopodal rzeki, czuła pod plecami jego gładką, ciepłą skórę, mięśnie reagujące na jej dotyk, i budziła się zapłakana z tęym, mocnym bólem w brzuchu.

A potem jej ojciec i bracia wyjechali w podróż, by kupić towar do nowego sklepu w Marrakeszu, i Mariata została całkowicie zdana na łaskę Aichy. Ponieważ nie było komu jej bronić, Aicha traktowała ją ze złośliwym lekceważeniem, nie spuszczać z niej oka, kiedy robiła, co do niej należało, cały czas wygłaszając złośliwe uwagi do swojej siostry.

- Patrz, jak niezgrabnie obchodzi się z naczyniami, Hafido. Na pustyni jedzą na kamieniach. Tych to nawet ona nie rozbije.

- Jak myślisz, na głowie rosną jej szczurze ogony? Może zamiast mózgu ma szczurze gniazdo?

- Według mnie, siostrze, to nie wygląda jak włosy.

- A ta wielka puszka, którą nosi na szyi: w życiu nie widziałam równie szpetnego naszyjnika. Biedactwo, pewnie się jej wydaje, że jest coś warty.

- Na pewno wierzy, że mieszka w nim jakiś duch: afrit albo dżin!

- To strasznie zacofani ludzie, ci nomadowie, staroświeccy barbarzyńcy. Co oni wiedzą o współczesnym świecie? Nawet nie mają domów, Hafido, wyobrażasz to sobie? Mieszkają w domach z kozlich skór, razem ze swoimi kozami.

- Pewnie dlatego ona tak śmierdzi.

- Nie martw się, siostrze, jutro wypada jej dzień na kąpiel.

- Jak można żyć bez prądu i bieżącej wody.

Siostry były bardzo dumne, że ich dom jako jeden z pierwszych w mieście ma takie udogodnienia.

- Bez prysznic.

- I samochodów.

- Bez targu i tylko z jedną śmierdzącą suknią.

- Myślisz, że jej ojciec spółkował z kozą, żeby ją mieć?

Nastąpiła przerwa, potem rozległo się uderzenie, po nim krzyk i wreszcie lodowaty głos Aichy.

- Nie waż się tak mówić o moim mężu.

Następnego dnia w hamman, kiedy Mariata się rozebrała, Aicha przyjrzała się jej krytycznie.

- Nabrałaś ciała, córko. Do twarzy ci z tym.

- Moja matka była tuareską księżniczką i już nic żyje - odparła Mariata obrażonym tonem. - Nie nazywaj mnie córką.

Aicha wzruszyła ramionami.



- Czy ci się to podoba czy nie, teraz ja zajmuję miejsce twojej matki. - Przechyliła na bok głowę i od stóp do głów obrzuciła Mariatę spojrzeniem. Na jej czole pojawiła się zmarszczka. Obróciła się do siostry.

- Hafido, przytrzymaj ją.

- Dlaczego?

- Nie dyskutuj, tylko rób, co mówię.

Hafida posłusznie złapała Mariatę za ramiona. Aicha obesła ją wokół, bacznie się przyglądając. Ze zmarszczonymi brwiami patrzyła na pełniejsze piersi dziewczyny i zaokrąglone kształty.

- Kiedy miałaś ostatni okres? - zapytała ostro. Mariata spoglądała na nią tępo.

- Co?

- Twój okres. Miesięczne krwawienie. Mariata zaczerwieniła się po linię włosów.

- To nie twoja sprawa. Aicha nie dała się zniechęcić.

- Teraz jestem twoją macochą i masz mi odpowiedzieć. Pomyśl więc: kiedy to było?

Cisza. Mariata zastanawiała się nad pytaniem, teraz już ze względu na siebie samą. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz krwawiła. Na pewno nie od czasu wyjazdu z Adach. Nie myślała o tym: zbyt wiele się działo, była w żałobie. Teraz jednak, kiedy Aicha zwróciła jej uwagę, zajrzała w głąb siebie, czego od bardzo, bardzo dawna nie robiła; i już wiedziała. Tak zwyczajnie, po prostu wiedziała. To co sobie uświadomiła, zmieniało wszystko, miało przeogromne znaczenie. W samej głębi jej jestestwa rozbłysła iskierka, rozpalając jej brzuch, ogarniając żebra, pochłaniając serce, aż czuła, jakby płonęła cała - ogniem nadziei. Amastanie, och, Amastanie...

Musiła uśmiechnąć się do siebie, bo gdy ponownie dostrzegła Aichę, starsza kobieta patrzyła na nią z rosnącą wściekłością.

- Nie mam pojęcia - powiedziała Mariata, zbierając się w sobie.

- Bezczelna bękarca! - Aicha chwyciła ją za rękę i z taką siłą zaczęła potrząsać, że głowa dziewczyny kiwała się na wszystkie strony. - Myśl, niech cię szlag! Myśl. Kiedy krwawiłaś? Jesteś tu już trzy miesiące: nie krwawiłaś przez cały ten czas ani razu? Jesteś chora? Nie wyglądasz na chorą. - Rozzłoszczona zbliżyła swoją twarz do Mariaty. - Udało ci się jakoś wymknąć z domu i sprzedawać mężczyznom?

Oczy Mariaty zrobiły się tak wielkie, że wokół całych tęczówek widać było biało. Nie mogąc wyrwać się Hafidzie, splunęła na Aichę, która z całej siły uderzyła ją w twarz, tak mocno, że uderzenie echem odbiło się od kafelków.

Wściekły krzyk Mariaty wywabił kąpielową Khadiję Chafni z jej przedpokoju.

- Co się tu dzieje? Znowu jakieś kłopoty z tuareską dziewczyną? Ludzie zaczną gadać.

- I to na pewno! - Aicha rzuciła Mariacie jej suknię. - Ubieraj się! Idziemy do domu, zanim wszyscy odgadną, jaki wstyd cię spotkał.

Mariata jednak nie czuła wstydu: tylko radosny, z każdą chwilą większy triumf.

Bezpieczna we własnym domu, Aicha była nieustępliwa. Naradziła się gorączkowo z Mamą Erquią, rodzinnym ekspertem w podobnych kwestiach, po czym stara posłała chłopca na osiołku do leżącej nieopodal wioski po znachorkę. Kilka godzin zajęło, aż wezwana się zjawiała, i Aicha już pieniała się ze wściekłości, Mariata zaś ze spokojem przyzwyczajając się do myśli, że jest w odmiennym stanie.

Znachorka nie pochodziła z Imteghren, lecz należała do Ait Khabbashi, plemienia półnomadów, żyjącego na skraju pustyni. Ubrana była w błękitną suknię spiętą wielką srebrną agrafą, na czole zaś miała jawnie wytatuowany magiczny znak: dwie ukośne kreski przecinające się u góry z trójkątem z trzech kropek. Wielki kolorowy szal spowijał jej głowę i opadał na plecy. Wprowadzona do pokoju, w którym siedziała zamknięta Mariata, zrzuciła szal zamaszystym ruchem.

Po kilku minutach macania znachorka oznajmiła, że dziewczyna Tuaregów jest w czwartym miesiącu ciąży, może nawet dalej. Aicha zbladła. Rękami zasłoniła usta.

- O mój Boże - wymamrotała. - Mój Boże, co my poczniemy? Jakież to wstyd dla nas wszystkich. Zniszczy naszą reputację. - Zwróciła się do znachorki. - Możecie jakoś pomóc?

Air Khabbashi przyjrzała się Mariacie, z przekrzywioną na bok głową spoglądając na nią bystrym jak u ptaka okiem.

- Pomogę przy porodzie, kiedy przyjdzie pora. Aicha wbiła w nią wzrok.

- Nie, nie, źle mnie zrozumiałaś. Chcę, żebyś się tego pozbyła.

- Nikt nie będzie pozbywał się mojego dziecka - odezwała się cicho Mariata, ale żadna z kobiet nie zwracała na nią uwagi.

Znachorka popatrzyła na Aichę ze spokojem.

- To za duża ciąża, żebym mogła coś z nią zrobić. - Tak żeby Aicha nie widziała, kobieta spojrzała Mariacie prosto w oczy. Mrugnęła błyskawicznie jedną powieką, po czym obróciła się do Aichy. - Obawiam się, że nie mogę ci pomóc.

Aicha jęknęła głośno.

- Jesteś tego pewna?

- Całkowicie. Wybacz.

- Żadna z ciebie znachorka, ty stara oszustko!

Air Khabbashi pokręciła głową z udawanym smutkiem.

- Co ludzie pomyślą, kiedy im powiem? Wielkie nieba, będą zdumieni na wieść, że tuareska córka urodzi w tym domu prędzej od ciebie.

Z satysfakcją potarła rękę.

Aicha zacisnęła usta. Po chwili zdjęła z nadgarstka jedną ze złotych bransoletek i rzuciła nią w kobietę.

- Weź to, ale siedź cicho. Jak tylko usłyszę choćby szept, będę wiedziała, że to twoja sprawka, a wtedy po ciebie przyjdę. W nocy. Słyszysz mnie?

Znachorka popatrzyła na nią z obrzydzeniem. Potem zwróciła się do Mariaty i powiedziała coś w starym języku. Mariata chwyciła jej rękę i uśmiechając się, ucałowała je, potem ucałowała własne i przycisnęła do serca.

- Dziękuję - odpowiedziała w tej samej mowie.

- Wynoś się!

Aicha chwyciła znachorkę za ramię i wbijając jej paznokcie w skórę, popchnęła ku drzwiom.

Kobieta nawet się nie skrzywiła. W drzwiach wyrwała się jej i wykonała skomplikowany gest w powietrzu, jednocześnie coś recytując.

- Na nic więcej i tak nie zasługujesz!

Następnego dnia znalazły dziwne znaki wypisane kredą na drzwiach. Na ich widok Mama Erquia prawie zemdląła z przerażenia. Oparła się o drzwi, ściskając głowę w dłoniach.

- Sehura - powtarzała. - Sehura, sehura... To moja wina: wiedziałam, że to czarownica. Sprowadziłam na nasz dom klątwę!

Przez cały ranek nikt nie zdołał niczego więcej z niej wydobyć. Kiedy poszły na suk po warzywa, Mariata zauważyła, że ludzie, którzy zapewne przechodzili wcześniej koło ich drzwi, teraz przyglądali się im ciekawie i nikt ciepło nie pozdrawiał Aichy jak zazwyczaj, lecz wszyscy trzymali się z daleka, jakby cierpiała na zakaźną chorobę.

Wróciwszy do domu, Aicha była rozsierdzona. Wkroczyła do pokoju starej i włączyła lampę, zalewając pomieszczenie ostrym światłem.

- Wyłącz to, wyłącz!

Mama Erquia zasłoniła głowę rękami, jęcząc, że przyjdzie po nią demon.

Mariata uśmiechnęła się do siebie. Dzisiaj prawie nie mogła przestać się uśmiechać. Czuła, jakby nosiła w sobie rozpalony piec, jakby cały świat odradzał się w jej brzuchu. Słusznie się domyślała: znachorka rzuciła klątwę na dom i wymalowała na drzwiach znak mający przyciągnąć każdego znajdującego się w pobliżu dzina. Zanim jednak wyszła, pobłogosławiła Mariatę i dziecko, które w sobie nosiła, by ich klątwa nie dosięgła.

- Obyś miała pięknego syna - powiedziała Mariacie. - Tak pięknego i silnego jak jego ojciec.

W podzięcie za to Mariata ucałowała jej rękę.

Ousman nie zdążył jeszcze dobrze wejść do domu po swojej podróży do Marrakeszu, kiedy dopadła go Aicha.

- Ona jest w ciąży!

- Kto jest w ciąży?

- Twoja córka! Twoja głupia, głupia córka. - A kiedy uniósł ręce, jakby broniąc się przed jej słowami, rzuciła do niego oskarżycielsko: - Wiedziałeś o tym?

Ousman westchnął.

- To żaden wstyd dla kobiety nosić dziecko swojego męża - powiedział.

- Jakiego męża? Nie ma żadnego męża - darła się Aicha, z rękami na biodrach.

- Nie, teraz nie: on nie żyje.

- Nikt ani przez chwilę nie uwierzy w tę bajeczkę. Cóż, lepiej, żeby miała męża, i to szybko: nie pozwolę, żeby przez nią nasza reputacja była szargana po ulicach.

- Wciąż jest w żałobie po jego śmierci. A nasze kobiety zawsze same decydowały, kogo i czy w ogóle poślubią. Nie zmuszę Mariaty do małżeństwa, jeżeli sama nie będzie tego chciała.

- Przecież to kompletne bzdury! Co z ciebie za mężczyzna, skoro nie potrafisz rozkazywać nawet własnej córce?

- U nas się tak nie postępuje.

- Ale nie mieszkaś już w namiocie jak jakieś zwierzę, a twoja córka nie może rozkładać nóg przed każdym, kto się jej spodoba. My mamy swoje zasady, a ja nie przyjmę pod swój dach bękarta!

Inny mężczyzna zapewne by ją uderzył, Ousman jednak był Tuaregiem, wychowanym, by szanować kobiety, choćby były najbardziej irytujące. Zamiast tego odwrócił się i wyszedł w zapadającą noc, by wrócić dopiero, gdy wszyscy mieszkańcy domu już posnęli. Następnego ranka Mariata, która wstała wcześniej, żeby mieć dla siebie choć trochę czasu, zanim spadną na nią kolejne nieuniknione obowiązki, zaskoczona znalazła go zawiniętego w koc i śpiącego na podłodze salonu. W pierwszej chwili wzięła go za kogoś obcego, wędrowca, który zakradł się do domu nocą, nigdy bowiem wcześniej nie widziała swojego ojca z odsłoniętą twarzą. Na dodatek nosił brodę! Była to rzadkość wśród jej ludu. Kiedy jednak otworzył oczy, rozpoznała go.

Skrepowana skrzyżowała ramiona.

- Co, już ci powiedziała?

Ousman podniósł się z podłogi, wziął swój tagelmust i zawinął go wolno i starannie, aż znowu był przyzwoicie zakryty. Dopiero wtedy zdawał się zdolny do podjęcia tematu.

- Szczęścia, córko.

- Nie wyglądasz na zbytnio zadowolonego.

- Nie jestem ani szczęśliwy, ani nieszczęśliwy. Ale martwię się o ciebie.

- I dobrze, bo twoja nowa żona postanowiła znaleźć kogoś, kto zabije moje dziecko!

Ousman wydawał się dotknięty.

- Byłoby lepiej, Mariato, gdybyś wzięła sobie męża. Mężczyznę stąd, który zaopiekuje się tobą i dzieckiem, kiedy już przyjdzie na świat.

Mariata skuliła się.

- Nigdy! Jak możesz w ogóle o tym myśleć!

- Aicha nie pozwoli ci mieszkać pod tym dachem z nieślubnym dzieckiem.

- Ono nie jest nieślubne!

- Mimo wszystko: nie ma męża, który uznałby to dziecko za swoje. Nikogo, kto cię ochroni. A w tym domu nie ja rządę. Prowadzę interesy z ojcem Aichy i poza tobą mam jeszcze synów, o których muszę się troszczyć. Najlepsze co możesz dla siebie zrobić, to znaleźć sobie męża, który będzie cię chronił przed opinią ludzi.

- Nie obchodzi mnie, co ci ludzie o mnie myślą - nienawidzę ich wszystkich! Naprawdę wierzysz, że mogłabym poślubić któregoś z tych z gołą twarzą, który nie wie, co to szacunek, nie ma żadnego dziedzictwa, nie zna kodeksu asshak!

- Zamilcz. Ci ludzie może mają inne zwyczaje niż my, to prawda, ale kiedyś, bardzo dawno temu byliśmy jednym ludem. Nasza własna założycielka wywodzi się z tego właśnie rejonu, twoja własna protoplastka, Tin Hinan. Twój ród ma swój początek tutaj, na tej właśnie ziemi.

Mariata patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Pochodziła stąd? Nic dziwnego, że odeszła: ja bym szła tysiąc mil pustynią, byle tylko uciec z Imteghren.

Jej ojciec westchnął.

- Mariato, to żadna ujma poślubić mężczyznę z Imteghren.

- Nie zgodzę się, żeby jakiś inny mężczyzna uważał moje dziecko za własne. Prędzej zamieszkam na ulicy.

Ousman uczynił gest mający odgonić złe uroki.

- Uważaj, jakie wypowiadasz życzenia, córko.

Ousman i jego nowa żona pojednali się: znowu nocną ciszę w domu zakłóciły ich krzyki. I jakoś udało się osiągnąć kompromis. Aicha rozpuści wieści, że jej pasierbica gotowa jest do zamażpójścia; jednak w zgodzie z tuareską tradycją Mariata będzie miała prawo dokonać ostatecznego wyboru męża spośród starających się o jej rękę kandydatów.

- Nie ma czasu do stracenia - surowo oznajmiła Aicha siostrze. - Jak ciąża zacznie być widoczna, który mężczyzna uzna za swoje dziecko urodzone zbyt szybko?

- Najlepiej nie wybierać mężczyzny, który potrafi liczyć. - Była to jedyna rada, jaką potrafiła dać Hafida.

Z jakiegoś powodu w Imteghren było więcej nieżonatych mężczyzn niż wolnych kobiet. Nikt nie znał przyczyny owego braku dziewcząt w wieku odpowiednim do małżeństwa, ale fakt pozostawał faktem. Poza tym po mieście najwyraźniej się rozniosło, że choć gwałtownego usposobienia, Mariata była piękną, a mężczyźni intrygowali możliwość poślubienia tuareskiej panny o wybuchowym charakterze. Słyszeli, że dziewczyny nomadów mają temperament, nie są takie nieśmiałe i trudne do zdobycia jak miejscowe dziewczęta, reputacja Mariaty zaś (ekscesy w hamman na pewno się temu przysłużyły) zdawała się to potwierdzać, i tak miejscowi kawalerowie zaczęli błagać swoje matki i ciotki, by udały się z wizytą do domu macochy Mariaty. Ku swemu przerażeniu dziewczyna odkryła, że jest towarem wielce pożądanym. Wyszukowana w jedną z najlepszych sukni Aichy w pastelowym kolorze podkreślającym jej cerę i w szalu skrywającym jej małżeńskie uczesanie, przyglądała się swemu odbiciu w wielkim lustrze w sypialni Hafidy. Pomyślała, że z oczami obrysowanymi czarną kreską i kremowym różem, który Hafida wtarła w jej blade policzki, wygląda jak jedna z tych paskudnych plastikowych lalek, które widziała na suku: manekiny, ale wyglądające jak prawdziwe małe ludziki. Jej dusza buntowała się przeciwko takiemu traktowaniu, ale poddawała się mu.

- To nie siebie widzę - powtarzała z mocą. - To tylko maska.

Poza tym szybko pozbędzie się wszystkich zalotników i ich podobnych do wron matek. Co do tego nie miała wątpliwości. A im dłużej będzie grała w idiotyczną grę Aichy, tym dłużej jej dziecko będzie bezpieczne.

Bracia uważali pomysł z takim wystawianiem siostry na sprzedaż za obraźliwy i poniżający i przez chwilę Mariata miała nadzieję, że może Azaz i Baye odwiodą od niego ojca; wkrótce jednak okazało się, że Aicha ma znacznie większy wpływ na Ousmana niż jego własna rodzina.

Nie trzeba było długo czekać, by matki, ciotki, kuzynki i różni młodzi mężczyźni z miasta zaczęli przybywać z wizytą. Spędzali jakąś godzinę, siedząc w salonie wraz z Aichą i jej babką, popijali miętową herbatę i rozwodzili się nad cnotami i zaletami swoich synów i siostrzeńców - jaki to on przystojny, pracowity, najstarszy z dziesiątki albo ósemki, bądź siódemki; taki dobry człowiek, pobożny, kochający dzieci, zręczny i może dać trzy tysiące dirhemów i trochę

kóz za odpowiednią narzeczoną. Następnie Mariata w obcym dla siebie przebraniu była wprowadzana, sadzana w otoczeniu swojej nowej, znienawidzonej rodziny i musiała kiwać głową i uśmiechać się, choć w głębi duszy wszystko w niej aż kipiało, kiedy kobiety wypytywały Aichę o jej umiejętności. Czy Mariata piecze dobry chleb? Utrzymuje dom w czystości? Czy wstaje przed pierwszym paniem koguta: czy potrafi ciężko pracować? Wie, jak zrobić kozi ser i prząść wełnę? Czy haftuje i szyje ubrania? Potrafi przygotować jak należy kuskus i zna sekret pasty harissa? Recytuje Koran, przestrzega Ramadanu i pór modlitwy jak porządna muzułmanka? Na koniec wreszcie ściszonymi głosami, jakby nie miała uszu albo wręcz nie była przy tym obecna, pytały, czy zachowała czystość i wciąż ma nienaruszoną błonę dziewiczą. A Aicha, patrząc im bez mrugnięcia prosto w oczy, na wszystkie te pytania odpowiadała tak i tak, i tak, podczas gdy Mariata czerwieniła się aż po nasadę włosów i marzyła, żeby zedrzeć z siebie pożyczoną suknię i zacząć wszystkich ich okładać grubym kijem, wydając przy tym tuareskie okrzyki wojenne. Pamiętając jednak o dziecku, znosiła wstyd i tłumiała wściekłość. Wreszcie przysłała pora na wizyty młodych kawalerów.

Kilka dni później pierwszy zalotnik - Hassan Boufouss - zjawił się w najlepszej białej tunice, w której chodził do meczetu, i białej mycce w towarzystwie swoich dwóch babek, ojca i trzech sióstr. W gościnnym salonie wielkie smętne oczy Hassana w panice przesuwały się po gładkich gipsowych ścianach, półkach z talerzami i ozdobami, kolorowym dywanie i rzeźbionych oknach, co i rusz kierując się ku drzwiom, jakby gość tylko marzył, żeby przez nie czmychnąć.

Aicha wypchnęła Mariatę przed siebie. Tuareska dziewczyna zjawiała się w przekrzywionej chustce na głowie i z zarumienionymi policzkami, jak gdyby tuż przed wejściem brała udział w szarpaninie. Pogardliwym wzrokiem zmierzyła zebranych i zwróciła się do Aichy.

- Kim są ci wszyscy ludzie? - Skrzyżowała na piersi ramiona. - Nie będę tego robić, kiedy oni wszyscy się na mnie gapią.

Starsze kobiety wymieniły spojrzenia.

- Wybaczcie dziewczynie: jest nieśmiała i nie nawykła do naszych obyczajów - wyjaśniła Aicha, odpychając Mariatę do tyłu.

- Na pewno nie jestem nieśmiała! - Mariata zdarła przeszkadzającą jej chustkę, odsłaniając plemienne uczesanie.



Wszyscy zamarli z przerażenia. Jedna z babek złapała Hassana za rękę.

- Zupełnie brak jej skromności - oznajmiła i szarpnięciem zmusiła wnuka, by wstał.

Mariata uśmiechnęła się i odstepiła na bok, by mogli przejść. Hassan dreptał jak potulne ciele za swoją babką, chociaż wychodząc, zerkał ciekawie na tuareską dziewczynę, jakby spoglądał na kawałek zakazanego świata; świata, z którego na zawsze pozostanie wykluczony.

Następnego dnia, niezrażony plotkami o nieprzystojnym zachowaniu Mariaty, które natychmiast rozeszły się po mieście, przybył Bachir Ben Hamdu wraz z rodzicami. Bachir różnił się zasadniczo od swego kuzyna Hassana. Mariata była zszokowana jego wyzywającym ubiorem. Nie dość, że twarz miał odsłoniętą jak wszyscy tutejsi mężczyźni, to na dodatek ubiór, jaki włożył na dolną część ciała, wśród jej ludu noszony był wyłącznie jako bielizna, gdyż przylegając obcisłe, bezwstydnie ukazywał wszystko. Patrzyła na niego z kamienną twarzą, z oczami utkwionymi nieruchomo gdzieś pomiędzy jego brodą a pasem, podczas gdy on witał się, stojąc pod czujnym wzrokiem portretu króla Hassana II. Powiedział jej, jak się nazywa, wyraził radość z poznania jej i nadzieję, że wkrótce ich znajomość stanie się bardziej zażyłą. Wypowiadając tę ostatnią uwagę, nie mrugnął ani nie wykonał żadnego zdrożnego gestu, kiedy jednak dotykał jej dłoni swoją, gorącą i spoconą, zeszywniała cała z obrzydzenia.

Aicha była zachwycona.

- Wszystko poszło doskonale - oświadczyła po ich wyjściu. - Myślę, że przedstawi swoją ofertę.

- Ofertę? A co ja jestem, jakiś wielbłąd, którego można kupić i sprzedać? Aicha zaśmiała się bezlitośnie.

- Niestety, aż tak pożyteczna nie jesteś.

Któregoś dnia do drzwi zastukał mężczyzna. W domu nie było nikogo poza Mariata i Mamą Erquią, która spała. Mariata wyjrzała przez zakratowane okienko przy drzwiach. Na zewnątrz stał przysadzisty mężczyzna w wystrzępionej tunice, zakrwawionym fartuchu i głęboko nasuniętej na uszy, robionej na drutach czapeczce. Rękawy miał za krótkie; kończyły się kilkanaście centymetrów nad

przegubami, ukazując wielkie owłosione przedramiona. Ręce wyglądały na brudne.

Ponieważ jego widok niezbyt się jej spodobał, Mariata odezwała się do niego przez kratę.

- Kim jesteś i czego chcesz?

- Nazywam się Mbarek Ait Ali - odparł mężczyzna szorstko - i mam sprawę do pani tego domu.

- Aicha Saari jest w tej chwili nieobecna, ale wróci później - wyjaśniła Mariata ostro w nadziei, że przybysz odejdzie. Przez okienko dochodził ją jego stęchły zapach, mocny i zwierzęcy. Skrzywiła się.

- Zaczekam na nią.

- Proszę bardzo - powiedziała Mariata uprzejmie. Mężczyzna przekrzywił głowę.

- A z kim mam przyjemność rozmawiać? - Głos miał szorstki, jego grzeczne słowa zabrzmiały sarkastycznie.

Mariata wyprostowała się.

- Jestem Mariata ult Yemma z Kel Taitok. Mężczyzna przysunął się i zbliżył oko do kraty. Oburzona Mariata cofnęła się.

- Widzę, że jednak nie kłamię - powiedział po chwili i odszedł, śmiejąc się do siebie.

Kiedy Aicha wróciła, Mariata ją zagadnęła.

- Był tutaj jakiś mężczyzna i szukał cię - powiedziała. - Przedstawił się jako Mbarek Ait Ali.

Aicha była zdziwiona.

- Ale przecież wiedział, że nie ma mnie w domu: godzinę temu mijałam jego sklep przy suku i pytał o zdrowie Mamy Erqui. - Zmrużyła oczy. - Wpuściłaś go?

- Obrzydliwie śmierdział - odparła Mariata - i miał na sobie poplamiony krwią fartuch; oczywiście, że go nie wpuściłam.

Chwilę później znowu ktoś zapukał i Aicha pobiegła otworzyć. Zaciekawiona Mariata wślizgnęła się do pokoju obok, żeby zobaczyć, kto to taki. Był to mężczyzna o niskim głosie, który wydał się jej znajomy. Padły zwyczajowe powitalne formułki, po czym przemówiła Aicha.

- Mariata mówiła mi, że już byłś wcześniej.

- Tak - odrzekł mężczyzna. - Przyszedłem z propozycją. - Był z siebie bardzo zadowolony.

- Propozycją?  
- Bardzo ważną propozycją.  
- Na pewno nie chcesz rozmawiać z moim mężem?  
- Sądzę, że takie sprawy załatwia się z panią domu. Niestety nie mam pośredniczki, którą mógłbym prosić, by przemówiła w moim imieniu, ponieważ moja matka zmarła.  
- Cóż - powiedziała Aicha zaskoczona. - W takim razie wejdź, proszę.

Kiedy jednak przyjrzała się jego zniszczonym butom i postrzępionej tunice, wprowadziła go do komórki zamiast do salonu. Mariata podążała za nimi w bezpiecznej odległości.

Mbarek rozejrzał się sardonicznie po nędznej izdebce.

- Tutaj prowadzisz rozmowy o małżeństwie, pani Saari? - zapytał rozbawiony.

- Małżeństwie? - zdumiała się Aicha. - Myślałam, że chcesz mi sprzedać mięso.

Podszuchującą w ukryciu Mariatę zatkało. Rzeźnik? Rzeźnik miał czelność przychodzić i prosić o rękę księżniczki w prostej linii wywodzącej się od Tin Hinan? Przypomniała sobie mężczyznę o byczym karku w poplamionym krwią fartuchu i w głos się roześmiała.

Odgłos zaniepokoił Aichę.

- Jedną chwileczkę - powiedziała do rzeźnika. - Przejdź, proszę, do salonu, a ja przyniosę nam herbatę.

W kuchni Aicha złapała Mariatę, która właśnie próbowała uciec na podwórko.

- Chodź ze mną - powiedziała zdecydowanie. - I bądź uprzejma.

- Mam być uprzejma dla kogoś takiego? Zwykłego rzeźnika, który ma na rękach krew zwierząt, a krew niewolników płynie w jego żyłach?

Wściekłość zbudziła drzemiącą w niej od pokoleń tuareską wyniosłość.

- Żebracy nie mogą wybrzydzać! - ofuknęła ją Aicha. - A teraz idź po szal, żeby schować te obrzydliwe szcurze ogony!

- Rozumiem, że mężczyźni nie przystoi zjawiać się w domu kobiet i zgłaszać swojej własnej kandydatury - powiedział rzeźnik, jednym potężnym siorbnięciem opróżniając szklankę miętowej herbaty. - Niestety nie mam żadnych kobiet w rodzinie, które mogłyby się zająć tak delikatną sprawą. Musicie mi wybaczyć mój prosty

wygląd i mowę. Lubię osobiście załatwiać swoje sprawy, również w ten sam, prosty sposób.

Odstawił szklanę na tacę i nachylił się, dłonie trzymając złączone.

Mariata nie mogła nie zauważyć zaschłej krwi pod jego paznokciami. Przynajmniej, pomyślała z obrzydzeniem, patrząc na brudne nagie stopy

- które na tle delikatnych barw najlepszego dywanu wydawały się ogromne, paskudne i o pożółkłych jak szpony paznokciach - przed przyjściem zdjął ten swój poplamiony krwią fartuch.

- Więc jak w każdym uczciwym interesie, przyszedłem złożyć ci dobrą ofertę za dziewczynę. - Skinął głową w stronę Mariaty, ale oczu nie odrywał od Aichy. - Jest nomadką, wiem, ale nie mam jej tego za złe. Na pewno uda mi się ją ucywilizować, nie? - Rozłożył ręce w przeproszającym geście. - Co nie znaczy, że już nieźle się w tej kwestii nie napracowałam.

- Ofertę za dziewczynę? - powtórzyła Aicha, chyba trochę wystraszona.

- Uznałem, że potrzebna mi druga żona. - Druga żona?

- Pierwsza jest chora; poza tym zrobiła się zbyt gruba, żeby uganiać się za dziećmi...

- Może byłoby lepiej, gdybyś zatrudnił służącą, zamiast szukać kolejnej żony - odezwała się Aicha lodowatym tonem.

- Cóż, pewnie tak, ale mężczyzna ma pewne... potrzeby. Poza tym mam same dziewczynki, a potrzebni mi synowie, którzy w przyszłości przejmą interes.

Mbarek otwarcie popatrzył na Mariatę i oblizwał wargi. Na ich widok, tak przypominających błyszczące wnętrzości, Mariacie zrobiło się niedobrze.

- Nie zostałam drugą żoną króla, a co dopiero rzeźnika! Aicha spojrzała na nią wściekle, ale rzeźnik tylko się roześmiał.

- Nie ma sensu strofować dziewczyny ze względu na mnie. Lubię zawzięte kobiety. Za tę tu zapłacę ci dobrą cenę.

I całkowicie otwarcie i bez cienia skrepowania wymienił kwotę, jej wysokość sprawiła, że Aicha otworzyła usta z wrażenia.

- Wielki Boże - powiedziała słabym głosem. - Wielki Boże.

A potem tylko na niego patrzyła, jakby zapomniała języka w gębie. Mariata wykorzystała okazję.

- Nie można kupić księżniczki Kel Taitok - odezwała się zjadliwie.

- Lepiej pójdz na targ i znajdź sobie tam ładną tłustą owcę, która zaspokoi twoje... potrzeby.

Z zadowoleniem patrzyła, jak najpierw jego wielka nalana twarz z ciemnoczerwonej przybiera niezdrową barwę szarych wymiocin, a potem on sam strąca tacę z herbatą i wychodzi.

W następnym tygodniu zjawił się Omar Agueram z siostrami. Omar był miłym człowiekiem, wysokim i na tyle dobrze zbudowanym, że odrobinę przypominał Mariacie Amastana. Kiedy się do niej uśmiechnął, wybuchła płaczem, zaskakując tym siebie oraz wszystkich obecnych. Siostry zakreśliły się wokół niej, ocierając jej oczy, żeby nie rozmazała sobie czarnych kresek, poklepując uspokajająco po ramionach. Kiedy nastąpił spokój, Omar zaczął raz jeszcze.

- Mam nieduży zakład stolarski - wyjaśnił. - Obok murów kasby, odziedziczony po ojcu, który zmarł w zeszłym roku. Ciężko pracowałem, żeby odzyskać klientów; ojciec długo chorował i zalegał z terminami, więc nie miałem czasu, żeby myśleć o sobie. Ale teraz interes idzie dobrze, bardzo dobrze. Mam tyle pracy, że sam nie dałbym rady, więc zatrudniłem dwóch pomocników. Teraz mogę się ustatkować i ożenić. I chciałbym mieć dzieci, dużo dzieci.

Mariata poczuła, że znowu zbiera się jej na płacz. Inna kobieta w jej sytuacji z radością przystałaby na tego uprzejmego człowieka i życie, jakie proponuje, ona jednak wciąż nie mogła dojść do ładu ze swoimi marzeniami. Hamując łzy, przypomniała sobie o swoim dziedzictwie Kel Taitok i przybrała najbardziej wyniosłą postawę.

- Wolałabym raczej wychowywać kozy - odezwała się lodowato. Omar był zaskoczony, ale Mariata należała do nomadów, a wiadomo, że u nich zwyczaje trochę się różnią, spróbował więc raz jeszcze.

- Możemy mieć kozy, jeśli zechcesz - powiedział, nachylając się ku niej. - A może później pomyślimy o dzieciach.

Nic z tego: był za dobry. Ze strachu, że w końcu przyjmie jego oświadczenia, Mariata wybiegła z pokoju.

Mijały tygodnie, kolejni kandydaci przybywali do domu Saari, chociaż to, co mówiło się o „tuareskiej księżniczce”, nie było zbyt zachęcające. Zjawił się niewysoki okrągłutki mechanik z palcami poplamionymi nikotyną; starszy nauczyciel, któremu zmarła żona;

kierowca autobusu z zapadniętymi policzkami i siwiejącym wąsem. Mariata paradowała przed nimi wszystkimi jak klacz szlachetnej krwi; ale nawet kiedy odzywała się uprzejmie, spojrzenie miała obraźliwe, wkrótce zaś co bardziej spostrzegawcze krewne zaczęły zauważać wybrzuszenie, coraz bardziej widoczne nawet pod najobszerniejszymi sukniami, w jakie ją ubierano. Aicha wychodziła ze skóry, wreszcie któregoś ranka dopadła Mariatę na podwórku.

- Musisz wyjść za męża! W tym mieście nie można mieć dziecka bez męża!

- Ja mam męża - odparła głucho Mariata.

- On nie żyje! Nie żyje, nie żyje, nie żyje! - Aicha podkreślała każde słowo, wymalowanym paznokciem dźgając pasierbicę w rosnące z każdym dniem piersi. - Nie żyje, odszedł i nie wróci! Wbij sobie to wreszcie do tego swojego głupiego, tępego łba.

Mariata coraz częściej widziała, jak Amastan pada bez życia w pył, a wielka czarna plama rośnie na jego ślubnej szacie. Ból po jego stracie i stracie przyszłości, jaka ich czekała, przeszywał ją jak najzimniejszy pustynny wiatr.

- Może nie żyje - powiedziała posepnie, chociaż nawet te słowa były dla niej jak przyznanie się do porażki - ale dziecko jest jego i nie pozwolę, żeby jakiś inny mężczyzna rościł sobie do niego prawo.

- Jeśli urodzisz bękarta, ściągniesz wstyd na nas wszystkich! - wrzasnęła Aicha.

- Będą o tym gadać stąd aż do Ouarzazate! - zawtórowała jej Mama Erquia, uśmiechając się straszliwie.

- Posłuchaj mnie. - Aicha pogroziła palcem przed nosem Mariaty. - Jeżeli nie weźmiesz sobie męża, wyrzucę cię na ulicę i ogłoszę w całym mieście, że każdy może sobie ciebie wziąć jako dziwkę.

- Mój ojciec nie pozwoli, żebyś mnie tak traktowała.

- Ousman? Ousman zrobi to, co dla rodziny najlepsze. Jak jego interes ma się rozwijać, a jego synowie znaleźć sobie porządne żony, jeżeli wszyscy będą wiedzieli, że jesteś dziwką? Coś ci powiem - mówiła dalej, nachylając się bliżej. - Jeśli urodzisz to dziecko, zabiorę ci je, kiedy jeszcze będziesz leżała słaba w połogu, i zabiję własnymi rękami. Skręcę mu kark równie łatwo jak kurczakowi, a potem zaniosę jego cuchnące małe ciało do rzeźni, gdzie dzikie psy zawsze czekają na jakieś kości.

Choć była to przesada, właśnie ta groźba wydała się Mariacie najbardziej prawdziwa. Zamknęła oczy.

- Wyjdę za Omara - dobiegł ją jej własny, słaby głos. - Wyjdę za ciebie, Omara Aguerama.

Starucha zmierzyła ją ostrym wzrokiem, a potem zagdakała.

- Jedną ręką możesz prosić, drugą kraść - powiedziała. - Zobaczymy, której pierwszej się coś trafi.

Jednak wieści nie były pocieszające: Omar, ponaglany przez rodzinę, którą doszły plotki o stanie Mariaty, wycofał swoje oświadczenia. Jego wuj zjawił się u Ousmana z przeprosinami.

- Omar bardzo żałuje, że dał młodej damie złudne nadzieje, jednak w tej chwili nie może się póki co żenić.

Wuj, wytworny pięćdziesięciolatek, który pracował dla caid w lokalnych władzach, miał doskonale maniery. Uścisnął dłoń Ousmana, odwrócił się i wyszedł.

Aicha, która podsłuchiwała pod drzwiami, wpadła we wściekłość. W końcu, nie mogąc dłużej znieść jej płaczu, złości i piskliwego głosu, Ousman zrezygnował z prawa córki do dokonania wyboru. Następnego dnia Aicha sprzedała ją rzeźnikowi.

## ROZDZIAŁ 27

Tej nocy Mariata miała sen. Przyśniła się jej inna kobieta, w innych czasach. Nawet kiedy stała bokiem, widać było, że jest wysoka i majestatyczna. Nos miała długi, postawę królewską. Ubrana była w ciemną suknię, lecz głowę miała odsłoniętą: długie czarne warkocze spływały jej po plecach, sięgając pasa. W uszach kołysały się szmaragdowe kolczyki. Dziewięć złotych bransolet zdobiło jedno smukłe ramię, osiem srebrnych drugie. W pasie i na szyi nosiła sznury koralu z karneolu, agatu i amazonitu. Nagle obróciła się. Spojrzenie jej błyszczących czarnych oczu odbijających się od lśniącej bladej skóry wbiło się w Mariatę.

- Mnie też próbowali sprzedać - powiedziała. Jej tamaszek miał dziwny akcent, śpiewny, lecz mimo to brzmiał jak język Zasłaniających Twarz. - Wbrew mojej woli chcieli mnie zmusić do małżeństwa. Z synem rzymskiego gubernatora: wyobrażasz sobie? Chcieli, żebym do swojego łóżka przyjęła obcego: mówili, że to zaszczyt dla rodziny, że zawiążemy sojusz z Rzymianami. Z tymi oprawcami! - Odrzuciła głowę i czarne warkocze zafalowały jak węże. - Odmówiłam: ukarali mnie. Trzymali mnie w zamknięciu, aż powiedziałam im, że za niego wyjdę. Pozwoliłam im uwierzyć, że w końcu mnie złamali, że wygrali.

- Co zrobiłaś? - zapytała Mariata we śnie; lecz odpowiedź już znała.

Twarz nieznajomej zamazywała się, blakła, znikła. Nagle brwi zarysowały się mocniej i ujrzała, jak na rysy tamtej nakładają się rysy jej matki; potem nagle nos i broda wydłużyły się, a skórę pokryły zmarszczki i ukazała się jej babka ze swoim orlim nosem i przenikliwymi oczami. Na twarz nieznajomej nakładały się po kolei twarze innych kobiet, jedna po drugiej, coraz szybciej i szybciej, młode i stare, lecz jedno wciąż pozostawało niezmiennie: wyniosłe oczy, gniewna brew, ostro zarysowane kości, takie same, jakie miała Mariata.

- Odeszłam z Imteghren - powiedziała Tin Hinan. - Ruszyłam przez pustkowia. Szłam przez pola, sawannę, przez pustynię, aż doszłam do gór. Zajęło mi to cały miesiąc, ale na końcu drogi, u stóp potężnego Hoggaru rozstawiłam namiot. Tam gdzie się zatrzymałam, założyłam swój ród: Imazighen, Wolnych Ludzi. Twój lud. Nasz ród. Pozostań wolna, Mariato: nie pozwól, żeby cię sprzedali w haniebnę



małżeństwo, nie oddawaj swojego dziecka w cudze ręce. Zachowaj dumę; bądź silna. W tobie płynie moja krew. Jestem w tobie; nosisz mnie w sobie, jak wszystkie kobiety z naszego rodu - moje słowa, moją siłę, moją moc. Pora, byś ruszyła w moje ślady, odbyła tę samą podróż co ja kiedyś. Tobie będzie trudniej. Pustynia szeroko rozpostarła swoje szaty; a dziecko, które w sobie nosisz, czasem będzie bardziej ciężarem niż błogosławieństwem. Ale ja nie opuszczę cię ani na chwilę.

Sen o Tin Hinan krążył wokół Mariaty jak dokuczliwa babka. Całymi dniami groził jej palcem, nieustannie przypominając o sytuacji, w jakiej się znalazła, zachęcając do działania. Prawdę rzekłszy, Mariata żadnej zachęty nie potrzebowała. Doskonale wiedziała, że będzie musiała opuścić dom Saari, Imteghren i cały cywilizowany świat i zrobić to jeszcze przed poślubieniem rzeźnika. Choć instynkt podpowiadał jej, żeby zabrała swój znikomy dobytek i zwyczajnie wyszła z domu rankiem, zanim rodzina się obudzi, wiedziała, że to się nie uda. Popelniła ten błąd, kiedy za pierwszym razem wyruszyła na pustynię, ale teraz będzie mądrzejsza. Tym razem uczyni to skrycie, a wcześniej dobrze sobie wszystko zaplanuje.

Decyzja - wielka i nieunikniona - tkwiła w niej, solidna i dodająca pewności jak niewidzialny bliźniak amuletu Amastana: chroniła ją przed koszmarem przyszłości, jaka czekała ją z rzeźnikiem, tak samo jak amulet strzegł jej przed negatywnym działaniem wszechświata.

Data ślubu została wyznaczona i w tym względzie Mariacie dopisało szczęście, gdyż kuzyni rzeźnika musieli przybyć z Casablanki, a ciotka aż z Marsylii. Nie przyleci samolotem (to nienaturalne), podróż statkiem zaś trwała długo. Aicha była zła i próbowała przekonać rzeźnika, żeby najpierw odbyła się sama ceremonia, a odrębne przyjęcie dla krewnych w późniejszym czasie, lecz propozycja go zaskoczyła, poczuł się nią nawet urażony.

- Dlaczego tak mówisz? - Nadał policzki, a potem głośno wypuścił powietrze. - Czy jest jakiś powód takiego pośpiechu?

Aicha zapewniła go, że absolutnie żadnego nie ma poza tym, że o tej porze roku pogoda jest taka piękna i z całą pewnością bardziej sprzyjająca, zwłaszcza dla bardziej wiekowych gości, dla których gwałtowne spadki temperatury nocą mogłyby być zbyt dużym szokiem dla organizmu; następnie pomaszerowała na suk w poszukiwaniu kory z korzenia bawełny. Stary handlarz leków, którego

znalazła, udał, że nie usłyszał jej prośby i próbował sprzedać jej skórę węża dla ochrony przed chorobami, suszone kameleony i jaszczurcze łapy do odstraszenia złego uroku, a także korzeń topoli i wilczą cebulę. Kiedy Aicha dalej upierała się przy swoim, rozzłoszczony odesłał ją z kwitkiem.

- Takie rzeczy są niezgodne z wolą Boga!

Mariata natomiast za każdym razem kiedy była na suku, szukała w funduq podróźnych, mówiąc im, że martwi się o braci, którzy wybierają się na pustynię, i uważnie wysłuchiwała ich opowieści o wysychających studniach, chorych wielbłędach, burzach i kurzawkach. Inną kobietę takie straszne historie mogłyby odstraszyć, lecz Mariata była niezłomna w swej determinacji, dziedzictwo przodków dodawało jej pewności, wypytywała więc dalej i uważnie wszystko zapamiętywała. Od jednego dowiedziała się, jakich cech szukać u wielbłąda; drugi powiedział, ile mniej więcej trzeba zapłacić za porządne zwierzę. Było to oczywiście znacznie więcej, niż mogła zdobyć; mimo wszystko nie chciała się poddać. Coś się trafi. Chodziła od wielbłąda do wielbłąda, oglądając i porównując, aż któregoś dnia, gdy sprawdzała kolejnego wierzchowca, podszedł do niej jego właściciel, człowiek z zasłoniętą twarzą:

- Czy ona ci się podoba? - zapytał. Zaskoczył Mariatę. - Wygląda... sympatycznie.

- Ma podły charakter i nienawidzi wszystkich ludzi. Obrzydliwie ryczy, paskudnie gryzie i w ogóle nie słucha. Jednym słowem, jest jak każda znana mi kobieta.

Mariata roześmiała się.

- Wygląda na piękne, niezależne stworzenie. Nastąpiła chwila ciszy.

- Już cię widziałem w funduq - odezwał się w końcu handlarz. - Po co tu przychodzisz?

Mariata poczęstowała go tą samą historyjką co wszystkich, o planowanej przez braci długiej podróży, mężczyzna jednak przyglądał się jej sceptycznie.

- Bardzo się o swoich braci troszczysz - rzekł wreszcie.

- Owszem.

Mariata czuła, że się czerwieni. Szybko upiększyła swoją bajeczkę, że braciom może będzie potrzebny jeszcze jeden wielbłąd

do karawany, ale nim skończyła, widziała już, że stary handlarz nie dał się zwieść. Wbił w nią spojrzenie.

- Nie rób tego - rzekł. Mariata cofnęła się o krok.

- Czego?

- Tego, co widzę w twoich oczach.

- A co takiego w nich widzisz?

- Pustynię. - Ja... ach...

Chciała odejść, ale mężczyzna dotknął jej ramienia.

- Wybacz mi. Zbyt dużo czasu na pustkowiu wyostrzyło mi zmysły. Z tą cerą i takimi oczami musisz być Kel Taitok, prawda? Rzadko tu można spotkać kogoś z takim pochodzeniem.

Mariata ze zdumieniem patrzyła, jak jeszcze szczelniej osłania sobie twarz. Był to wyraz niezwykłego szacunku, coś, z czym od dawna już się nie spotkała.

- Stąd wyruszam na północ i nie będę już potrzebował tego wielbłąda ani mojego pustynnego sprzętu. Weź wszystko, z moim błogosławieństwem.

Patrzyła na niego, nie mogąc wykrztusić słowa.

- Nie mogę tak po prostu... tego wziąć - powiedziała w końcu.

- Przemyśl to przez noc. Jutro wciąż jeszcze tutaj będę.

Mariata biegiem wróciła do domu, przerażona i podniecona jednocześnie. Czyżby zdarzył się cud, na który liczyła, czy też było to zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe? Kiedy jednak dotarła na miejsce, okazało się, że los przygotował jej jeszcze jedną niespodziankę. Mama Erquia niespodziewanie i ciężko zachorowała, tak bardzo, że Aicha biegła po całym domu, zbierając wszystkie niezbędne rzeczy, jakie trzeba będzie zabrać do szpitala w Meknes.

- Jesteś nareszcie! - wykrzyknęła ze złością macocha. - Zbieraj się, szybko!

Mariata patrzyła na nią.

- Ja?

- Wybierzemy ci suknię ślubną w Meknes.

Była to ostatnia rzecz, jaką Mariata chciała robić, spróbowała jednak nie pokazać po sobie paniki.

- Nie, nie - rzekła. - Meknes to takie duże miasto: bałabym się tam jechać. Ty i Hafida na pewno same o wiele lepiej wybieriecie suknię dla mnie.

Czekała z walącym sercem.

Aicha wciągnęła powietrze przez zęby.

- Masz rację - oznajmiła w końcu. - Ty musisz zostać tutaj i przygotować jedzenie dla mężczyzn: posiłek w południe i na wieczór, kiedy już zamkną sklep. Wrócimy za tydzień, inszallah. Mama Erquia za nic nie odpuści twojego ślubu.

Rzeczywiście, chociaż nie mogła mówić, stara zmierzyła ją gniewnym wzrokiem, kiedy przechodziła obok niej.

Kobiety wyruszyły z samego rana autobusem do Meknes, zabierając Mamę Erquię opatuloną kocami; niedługo potem mężczyźni również wyszli, żeby otworzyć sklep. Mariata została sama. Po raz pierwszy cały dom był tylko dla niej. Cisza dziwnie ją przytłaczała, jakby coś czaiło się w pustych pokojach, gotowe rzucić się na nią i nie pozwolić jej uciec. Ostrożnie biegała po domu, zbierając wszystko, co będzie jej potrzebne, między innymi zwitek banknotów, który sprząając kiedyś najwyższą półkę w gościnnym salonie, znalazła w ozdobnym wazonie. Zwitek był lżejszy, niż kiedy widziała go ostatnio, co znaczyło, że Aicha musiała zabrać część pieniędzy do miasta, ale wciąż jeszcze została pokaźna sumka. Mariata wepchnęła pieniądze do sakwy z frędzlami, którą przywiozła z Adagh, a którą zrobiła dla niej Tana, wkładając do środka mały nożyk z rękojeścią ozdobioną znakami w tiffinagh; oselkę; dwa krzemienie; motek sznurka; trzy świece; kilka pęczków ziół; krzyż południa Agadez; błyszczący metalowy walec, którego przeznaczenia nie знаła; i strzępek błękitnej szaty ślubnej Amastana z jego zaschłą krwią.

Zjawiła się w sklepie tuż przed południem, w swojej najbardziej rzucającej się w oczy sukni. Azaz i Baye siedzieli na zewnątrz i grali w karty na zakurzonym chodniku. Wewnątrz, pod czujnym okiem trzech klientek, którym najwyraźniej wcale nie było spieszo wychodzić na panujący na dworze skwar, Ousman i jego teść, Brahim, przesypywali ryż z worka do plastikowego pojemnika broniącego dostępu szczyrom. Wszyscy popatrzyli na nią ze zdziwieniem, kiedy zjawiła się tak nieoczekiwanie, niosąc w rękach wielki tajine i worek placków pod pachą. Uśmiechnęła się do nich promiennie, postawiła tajine i placki na kontuarze, po czym zamaszystym gestem zdjęła pokrywkę. Natychmiast rozszedł się cudowny zapach przyprawionej ziołami jagnięciny i klientki wyciągając szyje, wachały z zachwytem. Ousman przyglądał się córce zdumiony.

- Najwyraźniej masz jakieś ukryte talenty, Mariato. A może - tu popatrzył na nią bystro - przez cały ten czas celowo zwodziłaś swoją macochę?

Mariata odwzajemniając spojrzenie, wyglądała jak ucieleśnienie niewinności i przykładości, po czym wróciła pospiesznie do domu, wiedząc, że przez jakiś czas nikt nie zauważy jej nieobecności. Przebrała się, pozbierała podróży ekwipunek, głowę owinęła welonem, żeby nikt jej nie rozpoznał. Z bijącym sercem, przez suk dotarła do labiryntu uliczek prowadzących do funduą. A jeżeli stary handlarz wcale nie mówił tego wszystkiego na poważnie?

I rzeczywiście, kiedy znalazła się w zadaszonym strzechą miejscu, gdzie zatrzymujący się w mieście wędrowcy przechowywali swoje zwierzęta, a sami spali zawinięci w koce w małych boksach, nigdzie nie dostrzegła starca. Kręciła się w kółko na wpół przytomna, wpatrując się w każdą wyciągniętą na ziemi postać, starając się rozpoznać mężczyznę. Nawet nie znała jego imienia...

- Córo Hoggaru, czy to mnie szukasz?

Z ulgi aż ugięły się pod nią kolana. Stał przed nią, wysoki i wyprostowany, mimo podeszłego wieku przenikliwym wzrokiem badając jej podróży strój, solidne buty i zwisającą na plecach sakwę z frędzlami.

- Przyszłam, żebyś dotrzymał danego słowa.

Widział, że chce już wyruszyć, ale zmusił ją, by usiadła i napiła się z nim herbaty w cichym kącie funduą, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać. Tam na niewielkim piecyku zagotował wodę i zaparzył, powoli i dokładnie, przestrzegając całego tuareskiego ceremoniału, mały srebrny czajniczek herbaty terghelle, gdy tymczasem Mariata wierciła się i denerwowała z niecierpliwości. W końcu przy drugiej szklance herbaty przemówił z powagą.

- Dam ci moją Moushi, ale to będzie pożyczka. Mariata oburzyła się.

- Mówiłeś, że to ma być prezent.

- Moushi to ona, nie żadne to. - Nachylił się ku niej. - Zaplanowałaś już sobie, jaką drogą pojedziesz? Wiesz, gdzie są ukryte studnie i gdzie znajdziesz dość paszy, żeby mój wielbłąd przeżył? Stąd do twojego pradawnego domu droga jest daleka: ponad tysiąc mil prosto jak leci ptak, a z ciebie przecie żaden ptak. Teren, jaki musisz pokonać, to jeden z najokrutniejszych na ziemi. Moushi nie jest już

młodym zwierzęciem i wiele musiała znieść: nie chciałbym, żeby padła gdzieś po drodze.

- Bardziej martwisz się o swojego wielbłąda niż o mnie. Wokół oczu starego handlarza pojawiły się kurze łapki.

- Przeżyliśmy razem pięć dobrych lat i bardzo ją lubię. Więcej czasu spędziłem z nią niż z własną żoną. - Umilkł na chwilę. - Poza tym ona nigdy nie pyskuje.

Mariata przypomniała mu, co mówił o wielbłądzicy, kiedy widzieli się ostatnio.

Zastanawiał się nad tym długą chwilę.

- No cóż, wszystko to prawda, co o niej mówiłem. Skończyliśmy właśnie wyczerpującą podróż i zachowywała się... krnąbrnie. Ale mogłem też źle się wyrazić. A strach, że mógłbym ją stracić, każe mi pamiętać o tym, co dobre...

Mariata patrzyła na niego.

- Wiem, o co ci chodzi! - wybuchła. - Najpierw każesz mi wierzyć w jedno, potem wynajdujesz problem, żebyś mógł podbić cenę, jak wszyscy ci bezbożni ludzie tutaj.

Dopiero co miała podobne doświadczenie z sąsiadką, która ugotowała dla niej tajine, po czym kazała sobie zapłacić dwa razy więcej, niż się umawiały.

Handlarz wcale się nie obraził wybuchem Mariaty, tylko spokojnie mówił dalej.

- Poza tym odkąd tu jesteśmy, najwyraźniej bardzo się przywiązała do dwóch innych wielbłądów w funduq i tak sobie myślę, że byłoby okrucieństwem je rozdzielać.

To już przechodziło ludzkie pojęcie. Mariata podniosła się, jednocześnie sięgając do sukni. Chwilę później w pyle na ziemi między nimi leżał zwitek banknotów.

- Masz! Weź to za to swoje wredne, paskudne, złośliwe, parszywe bydlę!

Ramiona starego zatrzęśły się i spod jego tagelmust dobiegł świszczący dźwięk. Nawet nie sięgnął po pieniądze.

- Zaczekaj tutaj - powiedział tylko.

Minęło pół godziny. Mariata chodziła tam i z powrotem. Minęło czterdzieści minut. Patrzyła, jak słońce pełza po słomianym dachu, a pasiaste cienie pomalutku wydłużają się placu jak przeciągające się pręgowane koty. Wyszła z funduq i rozglądała się po otaczających go

ulicach, nigdzie jednak nie zobaczyła ani handlarza, ani wielbłądów. Wróciła pod dach, przysiadła w cieniu i siedziała pogrążona w ponurych myślach. Zostawił ją zawstydzony, że zmienił zdanie i złamał dane słowo. A jeszcze bardziej prawdopodobne, że nigdy nie miał nawet takiego zamiaru. Ogarnął ją smutek, przygniatał do ziemi, odbierał rozsądek. Myśl, że miałyby wrócić i spędzić w domu jeszcze jedną noc, udając pozorny spokój, była koszmarna, wkrótce jednak nie będzie miała innego wyboru, jak tylko przyznać się do porażki, wrócić, wszystko co zabrała, odłożyć na miejsce i dać odpór podejrzliwym spojrzeniom rodziny, kiedy nie zostanie następnego posiłku, równie smakowitego jak południowy majstersztyk. Nazajutrz będzie musiała raz jeszcze zebrać się w sobie i powtórzyć cały podstęp, wrócić na suk, żeby znaleźć, wytargować cenę i kupić innego wielbłąda i całą resztę ekwipunku potrzebnego na podróż, i zacząć wszystko od początku. Wzdychając, wstała. W tym samym momencie mężczyzna pojawił się w wejściu. Nie zważając, że może zwrócić na siebie uwagę, Mariata pobiegła mu na spotkanie.

- Myślałam, że sobie poszedłeś... - zaczęła, ale handlarz przyłożył palec do zasłaniającego mu usta welonu i skinął, by wyszła za nim na rozpaloną, pozbawioną cienia ulicę.

Tam zobaczyła nie jednego wielbłąda, nie dwa, lecz aż trzy: Moushi handlarza, drugie, całkiem nieźle prezentujące się zwierzę i trzeciego, parchatego mauretańczyka. Cmoknięciami języka nakazał dwóm pierwszym wielbłądom uklęknąć, wsiadł na tego o imieniu Moushi i czekał. Mariata patrzyła na niego.

- Co robisz?

- Moushi nie wyruszy na pustynię beze mnie i bez swoich ukochanych. Dlatego wygląda na to, że będziesz miała towarzystwo w drodze do Hoggaru.

Nie tak sobie to zaplanowała i nie potrafiła pojąć, czym mężczyzna się kierował, proponując, że pojedzie z nią. Nie chce jej obrabować, bo przecież nie przyjął pieniędzy. Sprzeda ją w niewolę, może nawet, co jeszcze gorsze, Francuzom! Łatwo było wymyślić dowolną ilość straszliwych możliwości. Przyjrzała mu się bacznie.

- Czemu to robisz?

- Jeśli zamierzasz spędzić resztę dnia na zadawaniu pytań, być może się rozmyślę.

Mariata jednak nie dała za wygraną i stała, zadzierając buńczucznie brodę.

- Muszę znać twoje powody.

Handlarz milczał, ale jego wzrok spoczął wymownie na jej brzuchu.

- Nie znam się na kobiecym świecie, ale samotna podróż przez pustynię w twoim... stanie... na pewno skończy się nie jedną śmiercią, lecz dwiema.

Mariata zaczerwieniła się.

- Widzę, że wzrok masz iście sokoli. - Przygryzła wargę, rozdarta między poczuciem dumy a koniecznością. W końcu przemówiła. - Mój ojciec ożenił się powtórnie z osiadłą kobietą, a ona od początku chce pozbyć się wstydu, jakim jest ciężarna pasierbica. W końcu udało się jej sprzedać mnie rzeźnikowi.

Stary handlarz wciągnął ze świstem powietrze.

- I twój ojciec na to pozwala?

- We wszystkim ulega żonie.

- Będzie cię ścigał?

Mariata nawet się nad tym nie zastanowiła. Będą ją ścigać? Nie wyobrażała sobie, żeby ojciec tak postąpił, ponieważ Aicha będzie zachwycona jej zniknięciem, ale co z rzeźnikiem? Jak się rozniesie, że jego przyszła żona od niego uciekła, wyjdzie na głupca, a nie wyobrażała sobie, by potrafił łatwo się z tym pogodzić.

- Ktoś może.

Stary zastanawiał się przez chwilę, wreszcie skinął głową.

- Kobiety z naszego ludu są dumne i twarde. Ale nawet dla samej Tin Hinan podróż byłaby męcząca i najeżona niebezpieczeństwami. Pomiedzy Algierią i Marokiem wybuchł ostatnio gwałtowny spór o granicę: nazywają to piaskową wojną. Trzeba wiedzieć, gdzie najlepiej przejeżdżać z jednego terytorium na drugie, jeśli chce się uniknąć żołnierzy, a według mnie żołnierzy powinno się unikać zawsze, zwłaszcza jeśli jest się samotnie podróżującą kobietą. Niestety, nie mają w zwyczaju trzymać się tylko terenów przygranicznych: ich samochody można spotkać na wszystkich głównych szlakach do Tindouf. Trzeba znać mniej uczęszczane drogi i ukryte studnie, jeśli chce się podróżować w miarę bezpiecznie.



Mariata trawiła to w milczeniu, pamiętając, jak od kilku tygodni ludzie rozmawiali o konflikcie, ona jednak nie przywiązywała do tego większej wagi.

- Wydaje mi się, że to zbyt wiele prosić kogoś, kto właśnie ukończył długą podróż przez pustynię, by znowu na nią wyruszył w towarzystwie nieznamym kobiecie.

- Gdybym pozwolił ci, żebyś samotnie wybrała się na Saharę, moje sumienie nie zaznałoby spokoju do czasu, aż Allah wezwie mnie do domu.

- Ale dlaczego chcesz pomóc w ten sposób komuś obcemu? - dążyła Mariata.

Stary człowiek uśmiechnął się.

- Zasłaniający Twarz to jeden lud, mimo wszystkich odwiecznych plemiennych waśni. Poza tym jak ty podasz mi swoje imię, a ja tobie swoje, nie będziemy już sobie obcy. Nazywam się Atisi ag Baye, z Kel Rela.

Kel Rela. Niektórzy nazywali ich Kozim Ludem i patrzyli na nich z góry z powodu ich niskiego urodzenia. Mariata przyłożyła dłoń do serca.

- Ja jestem Mariata ult Yemma, córka Tofenat, tysięczna córka Matki Nas Wszystkich. Jedna z wersji historii mojej protoplastki mówi, że Tin Hinan odbyła swą podróż do Hoggaru ze sługą Takamą, od którego Kel Rela wywodzą swój ród. Słyszałam też, że historia może się na wiele różnych sposobów powtarzać. A los potrafi czynić cuda niczym magik.

W oczach starego handlarza na chwilę pojawił się błysk, potem mężczyzna wolno skinął głową, jakby zastanawiał się nad niepojętymi tajemnicami wszechświata.

W Maroku noc zapada szybko. W jednej chwili wszystko skąpane jest w purpurowym świetle, każda skała, krzew i wzniesienie tonie w jego pełgającym ogniu; a już w następnej złowrogie oko słońca miga i znika, wysysając cały koloryt, pozostawiając jedynie mrok i szarość.

Mariata kiwała się i chwiała na grzbiecie swojego potulnego wierzchowca, z plecami obolałymi od ruchu, do którego nie przywykła, kością ogonową obijającą się o twarde siedzenie, kłykciami pobielającymi od ściskania łęku staroświeckiego drewnianego siodła. Przed nią Atisi ag Baye siedział wyprostowany, tworząc jedność ze swoim wielbłądem i resztą świata. Za każdym razem

jednak, kiedy niewygodą zdawała się nie do zniesienia, przypominała sobie o losie, jaki zostawiała w Imteghren, i jakby za sprawą czarów jej kręgosłup się prostował, a ból znikał, przynajmniej na jakiś czas.

Jechali tak, wolno i metodycznie, bez przerwy od pięciu godzin, mijając piaszczyste wzgórza, pokryte pyłem palmeraies i nędzną roślinnością rozciągającą się na południowej części płaskowyżu Tafilalt. W końcu znaleźli się w dolinie, którą od tysiąca lat wędrowały karawany, zmierzając z pustyni ku morzu. Korytarz wyłobiony w piaskowcu był szeroki i głęboki; światło księżyca połyskiwało w wodzie na dnie doliny i prześwitywało przez pióropusze palm. Mijali niezliczone małe osady, których złote światelka znaczyły ciemność, pod murami kasby napotkali grupkę mężczyzn, którzy skuleni nad małym paleniskiem gotowali sobie wieczorny posiłek. Jego zapach doszedł do Mariaty, przypominając o jej własnym głodzie. Atisi powitał ich cicho, a oni mu odpowiedzieli i patrzyli, jak przejeżdżają, nie odrywając zaciekawionych oczu od bladego owalu odkrytej twarzy Mariaty, by wreszcie skupić się na powrót na swoim tajine.

Usłyszała swój własny głos, żalony jak wołanie sowy.

- Nie moglibyśmy przez chwilę odpocząć?

Nastąpiła długa, ciężka od ciszy chwila. W końcu stary handlarz się odezwał.

- Informacja zawsze znajdzie tych, którzy jej szukają; jeśli nie chcesz, żeby cię znaleźli i zabrali z powrotem do Imteghren, musimy oddalić się możliwie jak najdalej od Tafilalt.

Kiedy wreszcie rozbili na noc obóz, Mariata nie mogła usnąć, chociaż znużona była śmiertelnie. Leżała na wznak na szorstkim kocu z wielbłądziej sierści i wpatrywała się w niebo. Gdzieś tam, z góry, Amastan spoglądał na nią, a jego duch wędrował po odległym czarnym niebie. W każdej grupce gwiazd szukała jakiegoś znaku od niego, one jednak spoglądały na nią zimno i obojętnie. Musiała się na chwilę zdrzemnąć, bo gdy popatrzyła znowu, gwiazdy zmieniły położenie i niebo na skraju zaczynało się przejaśniać. Nieopodal wielbłądy wierciły się i prychały; gdy złota krawędź słońca pojawiła się nad horyzontem, jeden z nich wstał, jak gdyby wiedział, że odpoczynek dobiegł końca i trzeba ruszać dalej.

Atisi zaskoczył ją, nad małym ogniskiem przygotowując owsiankę, której miskę jej przyniósł, po czym oddalił się, pozwalając,

by posiliła się w spokoju. Nawet w drodze nie przystawało, aby mężczyźni i kobiety wspólnie spożywali posiłek, czy choćby widzieli się nawzajem w czasie jedzenia. Owsianka smakowała o wiele lepiej, niż się spodziewała, była gorąca i pachnąca pieprzem, więc Mariata zjadła ją szybko, a chłodne poranne powietrze tylko potęgowało jej apetyt.

Wczesnie rano na drodze do Merzougi minęły ich samochody. Były to prywatne ciężarówki pomalowane na czerwono i niebiesko, znacznie przeładowane i udekorowane talizmanami, plastikowymi kwiatkami, a także amuletami i wersetami z Koranu huśtającymi się pod wstecznymi lusterkami. Ich kierowcy przyglądali się podróżującej dwójce z większym niż zazwyczaj zainteresowaniem, a kiedy minął ich trzeci pojazd, Atisi sprowadził wielbłądy z drogi.

- Musimy odbić od normalnej drogi. W Tahani jest oaza. Tam się skierujemy i przeczekamy do zapadnięcia zmroku. Nocą łatwiej będzie przekroczyć granicę. Potem pojedziemy do Hamada du Guir i przez noc damy się wielbłądom paść. To ostatnie porządne pastwisko przed piaskami. A potem - rozłożył ramiona - nasze życie znajdzie się w rękach Boga.

W upale południa Mariata kołysała się w rytm stąpania wielbłąda, obojętna na monotonię wyschłych koryt rzek i spalonych słońcem wzgórz, wśród których się przemieszczali. Słońce waliło ją w głowę jak młotem, bez wytchnienia, aż krew dudniła jej w skroniach. Strumyczki potu spływały z karku w dół po plecach. Kręgosłup bolał od ciężaru coraz większego brzucha, nie miała jednak dość energii, by zmienić pozycję na twardym siodle, i jechała jak w zamroczeniu, otumaniona ruchami zwierzęcia, którego dosiadała. Nie spotkali nikogo poza pastuchem doglądającym stadka wynędzniałych czarnych kóz skubiących resztki roślinności porastającej nieprzyjazną okolicę. Cap był wychudzony i miał dziki wygląd: kiedy przejeżdżali, gapił się na nich smutno żółtymi skośnymi ślepiami, jakby wiedział, że jego stadko nieuchronnie zmierza ku swojej głodowej śmierci. Mariacie przyszło na myśl, że być może i ich los jest równie ponury i nieuchronny.

Odwagi, powiedziała sobie. To dopiero początek drogi, ma za sobą zaledwie kilka nędznych godzin, które są niczym w porównaniu z tygodniami, które ją jeszcze czekają. Czy zdoła je przeżyć w terenie, który wkrótce stanie się jeszcze bardziej okrutny i złowrogi od tych

kamienistych nieużytków, które dopiero co przebyli? Czy szaleństwem była wiara, że zdoła odbyć tak niebezpieczną podróż? Czy podjęcie tej próby było niebezpiecznym samolubstwem? Jeszcze dobrze nie zaczęli, a ją już nawiedzały wątpliwości. Dotknęła amuletu, żeby odpędzić złe myśli, i w tej samej chwili wspięli się na kamieniste wzniesienie, z którego w oddali dojrzała zielone palmy Tahani.

Mariata drzemała, leżąc w cieniu drzew. Spętane wielbłądy zawzięcie skubały każdą napotkaną roślinę, Atisi ag Baye siedział zaś na skraju oazy, wypatrując bandytów i oddziałów rebeliantów. Mariata drzemała i śniła. Była z powrotem w Adagh. A rytmiczny poszum wiatru w koronach palm zmienił się magicznie w odległe granie na bębnach i weselny śpiew, a ona leżała nie na twardej ziemi zawinięta w śmierdzący koc z wielbłądziej wełny, ale na miękkim łożu w swoim weselnym namiocie, pachnącym kadzidłem, w objęciach swojego męża, wdychając jego ciepły, pełen życia zapach, gdy tak spoczywali skóra przy skórze pod nakryciem haftowanym w geometryczne czerwone wielbłądy maszerujące na złocistym tle. W blasku świecy widziała na opalonym ramieniu Amastana, jak stylizowane kwiaty wyszyte wzdłuż krawędzi narzuty układają się w piękne gwiazdziste wzory, takie same jak mozaika z kafelków, którą widziała w meczecie w Tamanrasset. Westchnęła uszczęśliwiona. Czy ktoś może być bardziej szczęśliwy od niej? Chyba nie. Byli małżeństwem i teraz nikt już nie mógł ich rozdzielić: stali się jednym; mężczyzną i kobietą, którzy odtąd będą nawzajem swoimi oczami, uszami, sercem. Na zawsze pozostaną razem; wydadzą na świat kilkanaścioro dzieci i założą nową dynastię, oddając cześć imieniu Tin Hinan. A wraz ze swoimi stadami i wielbłądami będą wędrować solnym szlakiem do końca swoich dni, przenosząc się z jednej żyznej oazy do drugiej, wolni od wszelkich ograniczeń, żyjący w pokoju, w jedności z duchami. Leżała spowita w ciepło, które przyćmiewało jej myśli. Dryfowała zadowolona, na wpół świadomie rejestrując odległe bębnienie i regularny oddech Amastana, od którego jego pierś przytulona do niej unosiła się i opadała.

Po ciągnącej się w nieskończoność chwili usłyszała głos. Amastan do niej mówił, szeptał jej do ucha. Zmagała się z zalewającymi ją ciężkimi falami snu, starając się przebić na

powierzchnię świadomości. Co on mówił? Coś ważnego, niezwykle istotnego... Walczyła, by zrozumieć, wsłuchując się z całych sił.

- Pani...

Zerwała się i usiadła gwałtownie. Jednak ręka, która jej dotykała, nie należała do Amastana, lecz do starego człowieka o twarzy pomarszczonej i naznaczonej minionymi dekadami, chłód zaś, jaki czuła, spowodowany był cieniem, który na nią rzucał. Kim był? Przez długie sekundy nie miała pojęcia, nie potrafiła myśleć, gdyż jej przerażone serce waliło jak w gorączce. Wtedy mężczyzna cofnął się i znowu padł na nią rozpalony blask, a ona zaczęła mrugać i mrużyć oczy przed słońcem, które padało przez palmowe gałęzie, zajmując miejsce mroku i bezpiecznego kokonu jej małżeńskiego namiotu. Przestraszona zamknęła oczy, pragnąc dogonić sen, próbując skupić się na namacalnych szczegółach, które by go przywróciły, by spowił ją swoją odmienną rzeczywistością i przyniósł ukojenie. Resztki jego cudownej scenerii rozwiały się i wyparowały jak rosa wysuszona przez wschodzące słońce. Narzuta, pomyślała dziko, przyciągając do siebie maszerujące wielbłądy i gwiaździste kwiaty. Przez chwilę czuła chłodną bawełnę pod palcami i wypukłości szwów. A potem przypomniała sobie, gdzie po raz ostatni widziała te wysmakowane hafty: w namiocie swojej ciotki Dassine w górach Air, tamtej nocy, kiedy Rhossi ag Bahedi próbował ją zniewolić. I gdzie prawdopodobnie wciąż się znajdowały. Nigdy nie przywiozła narzuty do Adagh, prawie niczego nie wzięła, rzucając się do ucieczki przez Tamesnę z Rahmą, matką Amastana.

Amastan...

Na nowo dotarło do niej, że go utraciła. Krzyknęła boleściwie i zaczęła rozpaczliwie szlochać, znowu załamana utratą wszelkiej nadziei.

Atisi ag Baye wycofał się. Choć wiele lat już przeżył, o kobietach wiedział niewiele. Gwałtowność ich uczuć była dla niego bardziej obca i kłopotliwa od prostych wymogów pustyni. Odszedł więc na dyskretną odległość i rozpalił w małym piecyku, żeby przygotować herbatę. Doświadczenie go nauczyło, jak zbawienne działanie ma szklanka słodkiej zielonej herbaty: był to jeden z darów Allaha dla człowieka.

Kiedy wrócił, Mariata zdążyła się trochę uspokoić, choć ślady łez na jej policzkach wciąż jeszcze nie obeschły. Bez słowa podał jej

szklanę, a ona ją przyjęła z lekkim skinieniem głowy, dając mu znak, że docenia jego gest. Wypiła jej zawartość, wpatrując się ponuro w ziemię. W końcu po długiej chwili odezwała się:

- Muszę ci coś powiedzieć. Nie jest to ani piękne, ani miłe, kiedy zaś poznasz moją sytuację, być może zastanowisz się raz jeszcze, czy chcesz towarzyszyć mi w drodze przez pustynię.

Głos miała ochrypy i przerwała, by dojść do siebie.

Atisi siedział w milczeniu i czekał. Nauczył się cierpliwości, od dawna mając do czynienia z wielbłędami, które poza kobietami bez wątpienia były najbardziej nieodgadnionymi istotami, jakie Bóg kiedykolwiek stworzył. Poza tym wyczuwał w powietrzu historię, a wiedział, że każdą z nich opowiada się inaczej i nie wolno się śpieszyć.

I tak wreszcie Mariata opowiedziała handlarzowi, co się jej przytrafiło. Kiedy opisywała schorzenie Amastana jako chorobę sprowadzoną na niego przez Kel Asuf, krzaczaste brwi Atisi ag Baye uniosły się wysoko pod skraj jego turbana, a jedną ręką dotknął małych skórzanych amuletów, które nosił na rzemyku wokół szyi. Gdy mówiła o rytuale, dzięki któremu udało się uwolnić go od duchów, dopilnowała, by pojał, że nie była to jej zasługa, lecz raczej magiczne działanie wioskowego enad.

- Enad? Ach, inadan to mężczyźni o wielkiej mocy - Atisi pokiwał głową z namysłem. - Prawdą jest, że potrafią rozkazywać duchom.

- Ach, ten enad nie był mężczyzną - powiedziała Mariata.

- Kobieta enad? - W jego głosie słyhać było niedowierzenie. Kobietom nie wolno kuć żelaza: to tabu. Kucie żelaza oznaczało władzę

nad duchami, które mieszkały w ogniu, co z kolei mogło na zawsze odebrać kobiecie zdolność rodzenia dzieci. Poza tym wszystko czego się dotkną, na pewno nie będzie działać: klucz nie przekreśli się w zamku albo utknie i nie da się go wyciągnąć; narzędzie pęknie na pół, obuch toporka odpadnie i zrani zwierzę lub dziecko; miecz albo grot włóczni pękną w najważniejszym momencie. Wszyscy to wiedzieli.

Mariata popatrzyła niepewnie.

- Nie... do końca.

- Ani kobieta, ani mężczyzna? - Usiadł, zaczynając pojmować. - Pamiętam pewnego enad i jego żonę, którzy mieli kiedyś dziecko niebędące ani chłopcem, ani dziewczynką, ale jednym i drugim jednocześnie. Wędrowali z Kel Tedele. Myślę, że to możliwe...

- Ona - zawsze uważałam, że to ona - nazywała się Tana i była jedną z najbardziej niezwykłych osób, jakie znałam. Ale żyła wśród Kel Teggart.

Teraz stary handlarz spojrział wprost na nią.

- Żyła z Kel Teggart? Skinęła głową.

- Coś słyszałem... straszne rzeczy przydarzyły się temu plemieniu.

Mariata otworzyła usta, żeby przemówić; ale już jej zabrakło słów. Czowała, jakby w gardle utkwiał jej głaz, a jej uczucia rozbijały się o niego, kiedy próbowały się wydostać. Do oczu znowu napłynęły jej łzy.

Atisi odwrócił wzrok.

- Pójdę sprawdzić, co z wielbładami - powiedział ochryple.

Kiedy w zapadającym mroku jej twarz nie była tak dobrze widoczna, Mariata poszła do starego.

- Niewiele mówisz - rzekła - a ja jestem dumną kobietą, więc nie wpytuj o to, czego sama ci nie powiem. Dziecko, które noszę, nie jest dzieckiem wstydu, lecz dzieckiem mego męża, syna amenokala z Air, członka Kel Teggart. Nazywał się Amastan ag Moussa i był moim księżycem i gwiazdami. - Głos się jej załamał, wymówiła jego imię po raz pierwszy, odkąd widziała jego śmierć, która przez to stała się bardziej realna. - Nie pozwolę, żeby to dziecko wychowywał w hańbie jakiś rzeźnik. Teraz wiesz już wszystko, co powinieneś.

Atisi długo nic nie mówił. Na koniec westchnął.

- Słowo daję, wiele musiałaś wzbudzić zawiści, bo złe nie chce ci odpuścić. Mam tylko nadzieję, że z każdym krokiem odległość, jaka dzieli cię od twoich nieszczęść, będzie rosła. Inszallah.

Kiedy czekali na zapadnięcie nocy, Mariata po raz pierwszy od dnia ślubu otworzyła talizman Amastana i wytrząsnęła na dłoń schowany w nim zwitek papieru. W blasku wschodzącego księżyca przeczytała zaklęcie zrobione dla niej przez Tanę, jednak większość znaków była zbyt słabo widoczna i udało się jej odczytać tylko imię swoje i Amastana. Po chwili zrezygnowała: zawarte w inskrypcji czary nie zdołały ocalić Amastanowi życia, nie miały więc już

znaczenia. W nagłym przypiływie poczucia osamotnienia już miała wyrzucić bezużyteczny papierek. Ale zamknęła go w dłoni: jeśli zrobi to tutaj, w świetle i godzinie Kel Asuf, może ściągnąć jeszcze gorsze nieszczęście, wsunęła więc karteczkę z powrotem do skrytki i zasłoniła ją środkową wypustką.

Przy wschodzącym nad ich głowami srebrnym sierpie księżycą wyruszyli przez kamienistą ciemność w stronę drogi przecinającej sporne terytorium. Dla Mariaty był to martwy pas niczego, odrobinę jaśniejszy od ziemi, po której biegł, sztucznie ubity i wygładzony, ingerencja w pustynię. Jak okiem sięgnąć, nic się na nim nie poruszało, kiedy jednak dotarli do ostatniego zwaliska oddzielającego ich od drogi, w oddali pojawiły się reflektory. Nagłe światło padło na twarz Atisi i ujrzała w jego oczach niezrozumiały błysk. Obrócił się ku niej łbem swojego wielbłąda.

- Schowaj się za tamtymi głazami, szybko. Zmieści się tam tylko jedno zwierzę, ale nie trzy. Jeżeli się zatrzymają, porozmawiam z nimi. Pilnuj, żeby Moushi siedziała cicho, i cokolwiek by się działo, nie pokazuj się.

Moushi nie chciała odejść od swojego pana i Mariata musiała bardzo się natrudzić, żeby zaciągnąć ją za skały. I zdążyła w ostatniej chwili, ponieważ pojazdy z rykiem wjeżdżały na wzniesienie i zbliżały się ku nim z przerażającą szybkością. Zerkając z ukrycia, Mariata widziała, jak stary handlarz zsiada z wielbłąda i luzuje swój turban. Czy chciał w ten sposób okazać żołnierzom brak szacunku, czy też nie chciał wzbudzać w nich lęku?

Przez chwilę wydawało się, że nie zauważyli człowieka i dwóch wielbłądów, a może zwyczajnie nie przejęli się ich obecnością. Po chwili jednak jadący z przodu jeep zahamował z piskiem.

- Kim jesteś i co tutaj robisz? - krzyknął mężczyzna, celując do Atisiego z broni. - Pokaż mi swoje dokumenty!

Atisi gapił się na niego.

- Dokumenty? - zapytał, mówiąc z prymitywnym chłopskim akcentem.

Mężczyzna skinieniem nakazał dwóm innym w jeepie, żeby wysiedli.

- Weźcie od niego dokumenty. Dwaj żołnierze podeszli ze śmiechem.

- To tylko jakiś staruch; zgubił się na pustyni.



- Nikt nie może przejść bez dokumentów. Skąd możemy wiedzieć, czy nie jest marokańskim szpiegiem? Przeszukajcie też jego bagaż. Nie chcemy, żeby powtórzyło się fiasko z ubiegłego tygodnia.

•

Żołnierze posłusznie zaczęli dźgać i szturchać worki.

- Żadnej broni - powiedział wreszcie jeden.

- Idiota - odezwał się drugi, sięgając po strzelbę, która wisiała na boku wielbłąda Atisiego. - Tu ma broń.

Światło księżyca odbiło się od zabytkowej strzelby, zaszłego śnieżką srebra i talizmanów wykutych przez pradawnego kowala. Żołnierze śmiejąc się, podawali ją sobie.

- To stare żelastwo - powiedział jeden. - Raczej nie kwalifikuje się jako broń. Gdybyś chciał z tego wypalić, mógłbyś sobie odstrzelić głowę.

W szczęce Atisiego drgnął mięsień, milczał jednak i stał ze wzrokiem wbitym w ziemię.

- Co powiesz, stary? Gdzie masz dokumenty?

- Nie mam żadnych dokumentów. - Celowo udał, że z trudem wymawia słowo.

- Wszyscy jakieś mają.

Atisi wzruszył ramionami.

- Ja nie mam. Jestem tylko biednym starym człowiekiem, który odłączył się od karawany. Jeden z moich wielbłądów zachorował i musiałem zostać z tyłu.

- Sam?

Atisi popatrzył mu spokojnie w oczy.

- Sam.

- Puść go, Ibrahim. Inaczej będziemy musieli wypełnić raport, to nam zajmie całą noc.

- A tak w ogóle, to co on tam ma w tych workach? Coś... przydatnego?

Drugi żołnierz skrzywił się.

- Proso, trochę suszonego mięsa, daktyle, takie tam. W nędznych ilościach.

- Żadnego piwa?

Atisi spojrział na niego z pogardą.

- Żadnego.

Ibrahim wbił w niego wzrok.

- Poszcęściło ci się, człowieku. Nie mamy czasu dla takich nędznych starych nomadów. - Spojrzał na swoich dwóch podwładnych. - Ale zabierzcie mu broń.

- Nie! - Atisi krzyknął gwałtownie. - Należała do mojego dziadka. Kiedy sięgał po strzelbę, żołnierz, który ją trzymał, zamachnął się niedbale, ale z zamierzoną siłą. Trafił starca w skroń, a ten upadł z jękiem.

W tym momencie ryk Moushi rozdarł nocne powietrze.

- A - ua - aaaaaa!

Wielbłądzica skoczyła naprzód i Mariata nagle znalazła się na ziemi, ze stopą zaplątaną w derkę, wypuszczając z rąk lejce. W ten sposób uwolniona Moushi pognąła wprost do swojego pana, natomiast trzeci wielbłąd, zdenerwowany tym nieoczekiwanym obrotem akcji, szarpnął głową, oswobadzając się z uzdy. Pomknął drogą, oświetlony upiornie reflektorami jeepów, wyrzucając kopyta na wszystkie strony.

Padły strzały.

Mariata przez chwilę leżała oszołomiona, osłonięta cieniem rzucanym przez skały, po chwili jednak ogarnął ją potworny strach. Obrazy ataku na wioskę, które jak dotąd skutecznie od siebie odsuwała, teraz powróciły. Znowu ujrzała niespodziewaną napaść umundurowanych mężczyzn, błyski wystrzałów rozdzierające ciemności; Rahmę w płonącej sukni, żołnierzy powalających Tanę na ziemię, z żądzą i nienawiścią malującą się na ich ciemnych twarzach połyskujących w blasku ognia. Wciąż na nowo stawiała jej przed oczami ciemna plama rozlewająca się po pięknej ślubnej szacie Amastana i tajemnicza ciemna wilgoć na jej rękach, kiedy ojciec siłą odrywał ją od ciała męża. Przerazenie zapanowało nad nią bez reszty. Wpełzła bokiem do szczeliny między skałami, kurcząc się najbardziej, jak to możliwe, i słuchała krzyków żołnierzy, porykiwania wielbłądów Atisiego, dźwięków zlewających się w pojedynczy, niezrozumiały hałas zdradzający wyłącznie przemoc i brutalność. Czuła, jak narasta w niej krzyk. Jakaś część niej - rozsądna, świadoma, że musi przetrwać za wszelką cenę - wiedziała, że nie może pozwolić, by się wydostał; druga natomiast, bardziej dzika, starała się zwyciężyć. Kiedy tłumiała w sobie wzbierający wrzask, oczy niemal wyskoczyły jej z oczodołów; wepchnęła sobie do ust róg chusty, by się uciszyć. Co działo się ze starym? Czy go zastrzelili?

Nie śmiała wyrzeć ze strachu, że ją dostrzegą. Skoro tak potraktowali bezbronno starca, co zrobiliby z nią?

Zbliżały się kroki, chrzęszcząc na luźnych kamykach; słyszała głosy dobiegające z bardzo bliska.

- Co tam jest?

Mariata zamknęła oczy. Jednak od wyobraźni nie mogła uciec. Widziała, jak żołnierze rozdierają suknię Tany, wyciągają łapska do jej piersi... Może jeśli będzie miała dość szczęścia, zabiją ją. Amulet pulsował między jej palcami, rozpalony w jej dłoni, jakby małe czerwone koła parzyły jej skórę. Nie pozwól, żeby mnie zobaczyli...

W zasięgu jej wzroku pojawiła się noga, po chwili ręka i głowa w czapce. Postać schyliła się, wyciągnęła rękę i coś podniosła.

- Stara skórzana sakwa. Pewnie spadła z tego wielbłąda, co uciekł.

Odgłos wysypujących się na ziemię przedmiotów. Obuta stopa zaczęła je rozsuwać.

- Co jest w środku?

- Jak zwykle śmieci, takie, co to wszyscy noszą przy sobie. Świeczki, trochę sznurka, kilka kamieni, brudna stara szmata, zapalniczka i stary nóż.

- Nóż? Może nam się przyda?

- Cały pokryty jest magicznymi symbolami.

- To tylko zwykłe słowa, ty przesądny głupcze. Słowa to nie żadne czary.

- Mimo wszystko ja go nie podniosę. Słyszałem o tuareskich nożach z wyrzeźbionymi na nich klątwami. Nożach, które ożywały w rękach wroga i podrzynały mu gardło, że nawet nie zdążył mrugnąć.

- Na miłość boską. Dawaj, sam zobaczę. - Pojawiła się druga postać. Mężczyzna schylił się, zwrócony do Mariaty tyłem. Panowała cisza, kiedy przyglądał się nożowi. - Jest tępy. Co za gówno. - Nóż z brzękiem opadł z powrotem na ziemię. - Chyba jednak był sam.

- W takim razie dlaczego drugi wielbłąd był osiodłany? Powiedz mi, jak jakiś mądry.

Cisza.

- Widziałeś, co te wielbłądy wyczyniały. Chciałbyś zostać na pustyni bez osiodłanego wierzchowca, gdyby twój się wystraszył i uciekł?

Logika jego rozumowania chyba była miażdżąca dla drugiego mężczyzny.

- Wracajmy. To miejsce każdego może wystraszyć. Przysiągłbym, że przed chwilą słyszałem, jak ktoś oddycha.

Mariata wstrzymała oddech.

- Wiadomo, że pustynia wydaje dziwne dźwięki. Za dnia skały się rozgrzewają, w nocy robią się zimne: pękają, ich powierzchnia się kurczy. Pewnie to słyszałeś.

Drugi chyba protestował, ale głosy się oddalały i wkrótce nie potrafiła już odróżnić słów. Kilka minut później ryknęły silniki jeepa, światło reflektorów stopniowo się oddalało i zapadła dziwna cisza. Bardzo długo trwało, zanim Mariata zdecydowała się wyjść ze swej kryjówki przerażona tym, co może znaleźć.

Moushi leżała cała we krwi na poboczu drogi, jednak po Atisim ag Baye i dwóch pozostałych wielbłądach nie było nawet śladu. Zupełnie jakby wszystkich połknął demon. Mariata rozglądała się, ale wszędzie widziała to samo: pustkę. Pustą ciemność, prawie nietkniętą światłem księżyca, który schował się akurat za chmurami.

Dlaczego nie zrobiła nic, żeby pomóc staremu człowiekowi? Teraz zniknął, prawdopodobnie nie żył, a ona nie kiwnęła palcem, tylko schowała się jak jakiś nędzny tchórz. Kazał ci się schować, przypomniał głos rozbrzmiewający w jej głowie, ale i tak czuła wstyd. Otepiała podniosła z ziemi sakwę z frędzlami, którą dostała od Tany. Ostatnia rzecz łącząca ją z dawnym życiem. Była pusta, jej zawartość bezmyślnie rozrzucili żołnierze, lecz po kilku chwilach gorączkowych poszukiwań odnalazła osełki, motek sznurka, trzy świece i nóż, który wzbudził taki przesądny strach w sercu jednego z mężczyzn. Odbite światło księżyca naprowadziło ją do Krzyża Południa. Znalazła porzucone tu i ówdzie pęczki ziół; na koniec wreszcie krzesiwa, chociaż skąd mogła to wiedzieć, skoro wszędzie leżało mnóstwo podobnych kamieni? Ze zdziwieniem wypatrzyła w kurzu srebrny walec, który żołnierze nazywali zapalniczką. Wrzuciła ją do sakwy, gdzie brzęknęła nienaturalnie głośno w nocnej ciszy. Ale gdzie był błękitny strzępek? Nagle odnalezienie go stało się niepomiernie ważne. Nie bacząc, że mogą czaić się tam jadowite skorpiony, zaczęła macać ręką ziemię, jakby od tego czy go znajdzie, zależało całe jej życie i tego, kto w niej rósł. Długo to trwało, w końcu jednak odnalazła go na gałęzi kolczastego krzewu. Przycisnęła strzępek do

twarży, wdychając słaby, jedyny w swoim rodzaju zapach, następnie ucałowała tkaninę i ostrożnie schowała.

Potem przycupnięta na piętach wpatrywała się tępo w drogę biegnącą na południe. Gdzieś tam leżał Tinariwen, ogrom pustyni, tysiące mil pierwotnej, nieznannej ziemi: skały i pył niedające żadnego schronienia ani pożywienia; piaski nafaszerowane kośćmi dawno zmarłych - zaginionych legionów, przodków, nierozważnych najeźdźców; niekończące się fale piaszczystego morza i potężnych ergów; studni znanych tylko doświadczonym madugu, którzy prowadzili karawany; rzek płynących tak głęboko pod ziemią, że człowiek nie miał pojęcia o ich istnieniu. A wszystko to nie należało do nikogo z wyjątkiem demonów pustyni: Kel Asuf. Nic nie stało między nią a samotnością: nie miała przewodnika, wielbłąda, zapasów. Przed nią rozciągały się tylko szaleństwo i rozpacz.

Lecz za nią znajdowało się to, co знаła. Nawet pieszo i sama względnie łatwo odbyłaby podróż, wracając tą samą drogą, którą dotarła tutaj z Imteghren wraz z Atisim. Trafiając w ręce swojej macochy, musiałaby wyjść za przekłętą rzeźnika, zostać jego drugą żoną i niewolnicą; ale przeżyłaby, tak samo jak jej dziecko. Nie miała wyboru.

Mariata wstała i przewiesiła przez ramię skórzaną sakwę. A potem zdecydowanie zwróciła się twarzą na południe i ruszyła ku nieznanemu.

## ROZDZIAŁ 28

Na zewnątrz terenówki świat trząsał się i podskakiwał przy prędkości, która wydawała mi się niemożliwa do osiągnięcia na takich bezdrożach. Przycisnęłam twarz do zimnej szyby okna od strony pasażera i wpatrywałam się w głęboką, nieprzeniknioną ciemność. W czerń wrzynały się tylko blade strumienie światła reflektorów, rozjaśniając najbliższe górki piasku, dziwaczne wielkie rośliny, skupiska skał. Czasem koła uciekały w bok, jakby ślizgały się po śniegu, i kierowca spokojnie je korygował; poza tym jednak nie zbaczał z kursu, wciskając pedał gazu, jakby znał każdy metr pustyni, co zapewne było prawdą. Prowadził przywódca trabandistes; z tyłu siedzieli dwaj jego podwładni. Taiba zabrali do drugiego samochodu, który jechał za nami w pewnej odległości.

Teraz kiedy zdjął swoje okulary słoneczne, mogłam dokładniej określić wiek mężczyzny. Wokół oczu miał siateczkę głębokich zmarszczek, brwi zaś zaczynały mu siwieć. Oceniałam go na jakieś pięćdziesiąt pięć, góra sześćdziesiąt pięć lat. Pomimo to był silny i sprawny, w zgodzie z otaczającą go naturą, jak kawałek drewna przez długie lata konserwowany przez pustynię, wysuszony do cna przez słońce i spieczony w upale, aż zahartował się jak żelazo. Wyglądał też na mężczyznę, którego należało się bać: jego spojrzenie, kiedy kierował je na mnie, świdrowało i przebijało na wylot jak u jastrzębia.

- Jesteś bogatą kobietą, Isabelle?

Popatrzyłam na niego zaskoczona bezpośredniością pytania.

- Czemu pytasz?

Jego śmiech pozbawiony był wesołości.

- Chcę wiedzieć, czy twoja rodzina zapłaci dużo pieniędzy, żeby cię odzyskać.

- Odzyskać? - powtórzyłam głupkowato. - Co to znaczy?

- Jeżeli chcą, żebyś wróciła do nich cała i zdrowa, może będą musieli zapłacić za ciebie okup.

Okup? Pomysł był absurdalny, jak wyjęty z bajki. Któż, na rany boskie, miałby chcieć zapłacić za mnie okup? Ale z drugiej strony, co według mnie się tutaj działo? Po co na samym środku pustkowia uzbrojeni mężczyźni ładowaliby mnie do samochodu i na pełnym gazie wieźli w głąb pustyni do jakiegoś nienazwanego obozu? No jasne, mój umysł zarejestrował tempo, zostaliśmy uprowadzeni. Porwani. Przetrzymywani dla okupu.

- To znaczy, że jesteśmy zakładnikami? Przemytnik uśmiechnął się słabo.

- Można tak powiedzieć. Jeszcze nie zdecydowałem. A ty nie odpowiedziałaś na moje pytanie, Isabelle Treslove - Fawcett. Wybacz mi - nie jestem do końca au fait z niuansami brytyjskiej socjety - ale czy podwójne nazwisko, jak twoje, nie wskazuje, że pochodzisz z... jak by to ująć, wyższej kasty? Najbogatszej warstwy tegoż społeczeństwa?

Teraz to ja zaśmiałam się gorzko.

- Obawiam się, niestety, że w tym względzie ci się nie poszczęściło. Wszyscy z mojej rodziny nie żyją.

- Wszyscy?

Zwrócił ku mnie zaciekawioną twarz, a mnie naszła ta dziwaczna myśl, że już wcześniej widziałam gdzieś te oczy i musiałam odwrócić wzrok. Coś w nim było uderzająco znajomego. Przebiegł mnie dreszcz. Czy to strach? Zważywszy na okoliczności, wydawało się to najbardziej oczywiste, jeżeli jednak był to strach, różnił się na pewno od uczucia, które ogarniało mnie, gdy działo się coś strasznego: w najtrudniejszym momencie ciężkiej wspinaczki przed egzaminem i wcześniej, kiedy czekałam na odgłos kroków na schodach... szybko odepchnęłam od siebie te myśli: nawet teraz, kiedy zagrożenie było namacalne, wspomnienie tamtych chwil sprawiało, że dłonie zaczynały mi się pocić.

- Nie ma nikogo, kto by zapłacił, żeby mnie odzyskać.

- Nie wierzę w to, Isabelle. Ani trochę.

- Moja matka zmarła na raka, kiedy byłam na studiach. Ojciec kilka tygodni temu. Nie mam żadnego rodzeństwa.

- Utrata matki w tak młodym wieku jest zawsze ciężkim doświadczeniem, przyjmij też wyrazy współczucia z powodu niedawnej żałoby. - Na chwilę umilkł, ale inaczej niż się spodziewałam, nie poprzestał na tym. - Zawsze znajdzie się ktoś, kto zapłaci. Nie masz męża?

Obróciłam się do okna. Nie wiedzieć czemu ta bezkresna, pusta przestrzeń na zewnątrz pojazdu niepokoiła mnie znacznie mniej od tej ograniczonej wewnątrz. Może, myślałam gorączkowo, powinnam zacząć kłamać, jeśli chcę ocalić skórę. Skoro naprawdę nie znajdzie się nikt, kto byłby skłonny zapłacić za mnie okup, ci tutaj zwyczajnie

mnie zastrzelą i porzucą moje ciało na pustyni jako zbędny balast. Jakoś jednak nie potrafiłam się na to zdobyć.

- Nie - powiedziałam głucho po chwili. - Nie mam.

- Twój mąż również nie żyje? - naciskał.

- Nigdy nie miałam męża. Uniósł brew.

- Taka przystojna kobieta i niezamężna? To ci niespodzianka.

Przystojna? Nigdy bym siebie w ten sposób nie opisała.

- Nigdy się nie zdecydowałam.

- Niezerwana róża - rzekł z namysłem.

Miałam nadzieję, że nie myśli o tym, o czym sądziłam, że myśli.

- Cóż, tak bym tego nie nazwała - odparłam z moim najbardziej angielskim z akcentów.

- Nie ma znaczenia. Brytyjski rząd za ciebie zapłaci, jestem pewien.

- Moja matka była Francuzką. Mam podwójne obywatelstwo i zapewne oba rządy umyją ręce. Poza tym europejskie rządy przyjmują bardzo zdecydowaną postawę wobec porywaczy i kryminalistów. Nie mogą przecież ulegać szantażom, prawda?

Zobaczyłam, jak w policzku drga mu mięsień, nie wiedziałam jednak, czy to dlatego, że się uśmiechnął, czy był po prostu zły.

- Panno Fawcett, obawiam się, że istnieje wielka różnica między tym, co przedstawiciele rządów mówią publicznie, a tym, co robią w tajemnicy. - W jego głosie znać było rozbawienie. - Chociaż muszę przyznać, że Brytyjczycy są twardszym orzechem do zgryzienia od, dajmy na to, Francuzów. Publicznie oświadczają, że nigdy nie będą układać się z terrorystami, jak lubią nas nazywać, zwykle jednak zawsze jest do ubicia jakiś interes, jak my to mówimy, pod rękawem. Niewielki bakszysz przechodzi z ręki do ręki.

Terroryci? Samo słowo mnie zmroziło. Ci mężczyźni wyglądali mi na religijnych fundamentalistów, miałam jednak świadomość, że od 11 września wyobrażam sobie tego rodzaju ludzi jako brodatych, wymachujących karabinami AK47 talibów i młodych brytyjskich Pakistańczyków o mózгах wypranych przez zbuntowanych imamów głoszących bardzo nieislamskie nauki. A może byli politycznymi terrorystami, jak ci z Rewolucyjnych Sił Zbrojnych Kolumbii, którzy przez sześć długich lat więzili Ingrid Betancourt, poddając ją i jej towarzyszy niedoli niewyobrażalnym okrucieństwom? Serce zaczęło mi bić bardzo szybko.



- A jeżeli nie mają żadnego interesu do ubicia? - zapytałam niby to niefrasobliwie, ale zdradziło mnie drżenie głosu.

Zerknął na mnie.

- To byłoby... nad wyraz nieszczęśliwe zrządzenie losu dla ciebie.

Jeżeli więc nikt nie zapłaci za mnie okupu, zwyczajnie mnie zabiją, pomyślałam rzeczowo. Wydało mi się to tak nierealne, że prawie się roześmiałam.

- Mówisz tak, jakby porywanie ludzi było dla was czymś zupełnie zwyczajnym.

- Pieniądze są bardzo ważne dla naszej sprawy.

- Waszej sprawy? - Już nie chciało mi się śmiać. - Mówisz tak, jakby chodziło o akcję charytatywną, a nie przestępstwo.

- To co robimy i kim jesteśmy, możesz sobie nazywać, jak ci się podoba, mnie to nie obchodzi. Moi ludzie często nazywani są piratami pustyni. Zabieranie bogatym majątku, na który nie zasługują, od dawna jest naszym ulubionym zajęciem.

Już miałam odpowiedzieć na tę niezwykle interesującą uwagę, kiedy jeden z siedzących z tyłu mężczyzn coś powiedział, a kierowca odpowiedział, w jednej chwili z grzecznego i swobodnego w zachowaniu zmieniając się w spiętego i agresywnego. Usłyszałam rozmowę przez telefon, a potem przez długi czas nikt nic nie mówił, zaś cisza panująca w samochodzie aż kłuła jak kolczasty drut. Wreszcie w blasku reflektorów pojawiły się niewyraźne kształty niskich namiotów skupionych w zagłębieniu między wydrami i pojazd zatrzymał się.

Natychmiast z obozu wyłonił się tłum odzianych na czarno postaci. Przemysłnik wydał cały szereg ostrych poleceń i dwie z nich zaprowadziły mnie do jednego z namiotów. Musiałam zgiąć się wpół, żeby wejść; kiedy byłam już w środku, nie pozostawało mi nic innego, jak usiąść na macie i wpatrywać się w moich strażników.

- Moglibyście przynajmniej oddać mi moją torbę i przynieść trochę wody? - poprosiłam, ale oni patrzyli na mnie, nic nie rozumiejąc. Wstydziłam się drżenia w moim głosie, wstydziłam się strachu, jaki mnie ogarniał, kiedy zaczęło do mnie docierać, co naprawdę się dzieje.

Przez następną godzinę starałam się ten strach opanować. Skupiłam się na tym, co znajdowało się w moim małym więzieniu, i

zebrałam dywany i koce, których stos znalazłam w jednym kącie, moszcząc sobie z nich legowisko, by ochronić się przed zimnem pustynnej nocy. Patrzyłam na niezliczone gwiazdy lśniące zimno na strzępku aksamitnego nieba widocznym w otwarciu namiotu i próbowałam odszukać jakieś konstelacje w nieznannej mi mnogości, jednak na próżno. I tak zwykle umiałam rozpoznać jedynie trzy charakterystyczne gwiazdy w pasie Oriona, falistą linię dyszla Wielkiego Wozu i mrugające Plejady; na zewnątrz jednak były tysiące, może miliony migoczących światełek wielkości łebka od szpilki, o wiele więcej, niż zdarzało mi się widzieć, co sprawiło tylko, że czułam się jeszcze bardziej samotna i zagubiona. Wokół rozciągał się wyłącznie niezmierny ogrom, a ja byłam zaledwie nieistotną drobiną, okruszyną życia w przeogromnym wszechświecie, który będzie trwał wiecznie, wobec mnie obojętny. Nic już nie mówiło, że ja to ja: przepadłam na ciemnym kontynencie, lata świetlne od wszystkiego, gdzie byłam znana jako Isabelle Treslove - Fawcett: mojego ukochanego cichego domku, pełnego wymakowanych kosztownych mebli i starannie dobranych obrazów, moich eleganckich ubrań i wysokich obcasów, mojej pracy w finansowej fortecy, pieniędzy i szacunku, jakie mi zapewniała. Teraz nie miałam nic poza ubraniami na sobie, na dodatek przesiąkniętymi potem.

Próbowałam zasnąć, ale koce cuchnęły kozami i gryzły mnie w skórę, ziemia, na której leżałam, gniotła mnie w kości. W głowie kotłowały mi się myśli, tworząc płataninę obrazów z ostatnich kilku dni: główna ulica w Taфраout z trzymającymi się za ręce, przechadzającymi mężczyznami w tunikach; kobiety obładowane paszą dla zwierząt; leżąca na podłodze w domu w Tiouadzie, konająca powoli Lallawa, z której nie spuszczały oka odziane na czarno kobiety - wrony; dzieci tańczące na zabawie; sposób, w jaki Taib mnie trzymał, mięśnie jego ramienia prężące się pod moimi palcami... Już zaczynałam zapadać w sen, kiedy przypomniałam sobie upadek z Lwiej Głowy i zobaczyłam pędzącą mi na spotkanie czerwoną ziemię, i w jednej sekundzie rozbudziłam się kompletnie, z sercem objającym mi się o klatkę piersiową jak zeskakująca ze schodów gumowa piłeczka.

Wtedy dopadł mnie prawdziwy strach, porywając mnie, zanim zdążyłam obronić się przed rzeczywistością. Byłam całkiem sama w jakiejś bezimiennej części największej pustyni na świecie, uwięziona

przez mężczyzn posługujących się językiem brzmiącym tak obco, jak żaden inny mi znany, którzy chowali swoje twarze za kawałkami materiału, a półautomatyczną broń nosili tak swobodnie jak laski, nazywali siebie piratami i nie oburzali się, kiedy ktoś nazywał ich terrorystami. Nikt nie wiedział, gdzie jestem, i prawdę powiedziawszy, nikogo to nie obchodziło, może poza jednym Taibem, ale on także był w niewoli. Za moje uwolnienie zażądają pieniędzy od brytyjskiego rządu, który odmówi, a po kilku tygodniach, może miesiącach dyplomatycznych wysiłków, które i tak nic nie dadzą (pod warunkiem, że w ogóle zostaną podjęte), najprawdopodobniej zostaną zgwałcona, a potem zamordowana i nie doczekam się nawet tak prostego pochówku, jaki zapewniliśmy Lallawie. Jak coś podobnego mogło mi się przytrafić? Moje życie zawsze miało określone ramy, wybierałam tylko najbezpieczniejszą i najbardziej konserwatywną drogę, ryzykując wyłącznie w sposób ogólnie uznawany przez moje społeczeństwo lub tych, którzy przestrzegali zasad i norm postępowania. Czemu dałam się złapać na przynętę zarzuconą przez ojca, myślałam rozgoryczona. Gdybym nie otworzyła tej przeklętej puszeki Pandory na strychu, nic z tego by się nie wydarzyło. Dalej byłabym tą samą Isabelle co od dwudziestu lat: samowystarczalną, pewną siebie kobietą sukcesu, niepolegającą na nikim i niczym, byle tylko uniknąć rozczarowania.

Tyle tylko, podpowiadał cichy głosik gdzieś w zakamarkach umysłu, że przez cały ten czas uciekałaś przed wspomnieniami, grzebiąc wszystko, co czyniło z ciebie Izzy. Stałaś się korporacyjnym robotem: pogrzebałaś swoją indywidualność, swój zapał, świadomość. Straciłaś swoją dzikość, zgubiłaś gdzieś osobę, którą miałaś się stać. A teraz, kiedy odnalazłaś mężczyznę, który mógł pomóc ci na powrót stać się Izzy, w ogóle przestaniesz istnieć, on zresztą prawdopodobnie też.

Po policzkach zaczęły spływać mi łzy: łzy żalu nad samą sobą i strachu o siebie i Taiba; łzy żalu za tym, co mogło się stać. Ze zdumieniem stwierdziłam, że nie chcę umierać, że nagle na niczym tak mi nie zależy jak na przeżyciu, i nie wiedzieć czemu rozplakałam się jeszcze bardziej. Wyjęłam spod koszuli amulet, przycisnęłam go do policzka i zawodziłam jak zagubione dziecko. Wciąż żałośnie i głośno sapałam w śmierdzący koc, kiedy ktoś położył mi rękę na ramieniu, a ja prawie wyskoczyłam ze skóry.

- Izzy.

Podniosłam oczy. To był Taib, z twarzą majaczącą w mroku namiotu. Zalała mnie fala ulgi.

- Ty żyjesz! - wyrwało mi się.

Jego zęby błysnęły w ciemnościach.

- Myślałaś, że nie żyję?

Wytarłam ręką nos, brudząc ją całą śluzem. Nigdy w swoim życiu nie czułam się tak kompletnie zagubiona. Gdzie podziała się wyniosła Isabelle Treslove - Fawcett, kiedy potrzebowałam jej najbardziej?

- Tak... nie... sama nie wiem, co myślałam. - Wyprostowałam się i przecesałam dłonią włosy rozczochrane jak siano. - Nic ci nie jest? Skrzywdzili cię?

- Trochę poturbowali; nic straszego. Chyba uwierzyli, że jesteśmy tymi, za kogo się podajemy. Wybacz mi, Isabelle, to wszystko moja wina. Nigdy nie powinienem był cię zabierać: to było głupie i naiwne.

- Chciałam jechać - powiedziałam cicho. - Sama podjęłam ryzyko.

- Nie wiedząc, na co się narażasz. Powinienem był cię ostrzec, a nie popisywać się.

- Popisywać?

- Paliwo w oazie. Trochę to było na pokaz: chciałem, żebyś uwierzyła, że jedziemy na pustynię bez benzyny, a potem wytrzasnąć przemytników jak dzina. Jak się wchodzi w układy ze szmuglerami, nie wolno zapominać, że ich siatka sięga wszędzie.

- Nie rozumiem. Westchnął.

- Chociaż to wydaje się proste, kradzione paliwo nie bierze się znikąd. Potrzebna jest doskonała organizacja i poświęcenie, żeby je zdobyć, przeszmułować i sprzedać. Trochę znałem tych ludzi w oazie: już wcześniej miałem z nimi do czynienia. Najwyraźniej mają jakieś powiązania z grupą, która nas porwała, musieli im o nas donieść i powiedzieć, dokąd się wybieramy. Gdybyś nie była z nami, pewnie do niczego takiego by nie doszło. Jesteś cenna, Izzy: bogata Europejka, reprezentowana przez bogaty europejski rząd. Przydatna karta przetargowa.

Prawdziwa ironia, pomyślałam. Nigdy nie czułam się mniej przydatna czy mniej europejska.

W mroku rozbłysła zapalka. Obróciłam się, by doprowadzić się trochę do ładu, on jednak ujął mnie pod brodę i zwrócił twarzą do siebie. W świetle małej lampki, którą postawił na macie między nami, Taib pochylił się i bez słowa wytarł resztki moich łez. Potem przesunął palcem wskazującym po moim czole.

- Skąd wzięła się ta zmarszczka, Izzy? - zapytał łagodnie. Palec przesuwał się poziomo po mojej skórze, paląc ją jak ogniem. - A ta? Jest głęboka jak skiba na polu. - Delikatnie jak piórkiem muskał głęboką bruzdę biegnącą od nosa do kącika moich ust. - Albo ta? Ojej, to bardzo smutna zmarszczka. Daj, zobaczymy, może uda mi się ją wygładzić.

I zbliżył się, by mnie pocałować.

Nic nie mogłam poradzić: wzdrygnęłam się. Taib przysiadł na piętach, wyraźnie urażony.

- Przepraszam - powiedział cicho. - Zapomniałem się. Nie powinienem był tego robić. Prawie mnie nie znasz, znaleźliśmy się w tej beznadziejnej sytuacji, a ja zachowuję się bezmyślnie, jak głupek...

- Nie, to ja powinnam przeprosić. Chodzi o to... - Potrząsnęłam głową. - Nie potrafię się wyluzować. W tym problem, chociaż bardzo bym chciała. Ale nie potrafię. Nie potrafię...

Znowu popłynęły mi idiotyczne łzy, gorące i uparte. Wściekle tarłam oczy, jakbym w ten sposób mogła sprawić, że jednak się nie rozpłaczę.

Taib może chciał powstrzymać tę autoagresję, ponieważ chwycił moją rękę.

- Będzie dobrze, Izzy. Zobacysz. To nie są źli ludzie, chociaż może tak wyglądają. Są twardzi i szorstcy, wierzą w swoją sprawę, ale cię nie skrzywdzą, jestem tego pewny. Nie płacz; bardzo cię proszę. Nie mogę tego znieść. Jesteś lwicą: jesteś silna. Widziałem, jak wspinasz się na górę; widziałem, jak spadasz i prawie się zabijasz, ale ani razu nawet nie krzyknęłaś. Pochowałaś starą kobietę i nawet się nie skrzywiłaś. Jesteś silna, tylko o tym nie wiesz.

Obrócił moją rękę dłonią do góry i musnął ją wargami.

W innym czasie - każdej innej chwili mojego życia - wyrwałabym mu ją, jakby chciał mnie sparzyć, być może jednak, ponieważ czułam się winna za moje wcześniejsze zachowanie, teraz mu na to pozwoliłam. Nie mogłam sobie przypomnieć, żeby ktoś kiedyś tak mnie pocałował czy odnosił się do mnie z równą delikatnością. Przez

całe swoje dorosłe życie unikałam bliskości z mężczyznami: jeśli mam być szczerą, zwyczajnie się ich bałam. Popatrzyłam na głowę Taiba, porośniętą krótko obciętych włosami, tak ciemnymi przy jego kawowej cerze, i czułam... co? Nie był to strach, ale na pewno też nic miłego. Zaczęłam cofać rękę.

- Nie - powiedział, przytrzymując ją. - Spójrz: masz dłoń zaklinacza wody.

Popatrzyłam na niego jak na wariata.

- Słucham?

- Widzisz tę linię tutaj? - Dotknął linii, która poziomo biegła przez moją dłoń, dzieląc ją dokładnie na pół.

- Tak? - Zmarszczyłam brwi.

- Widziałaś kiedyś taką samą u kogoś innego?

- Nie mam zwyczaju łapać ludzi za rękę i oglądać ich dłoni - powiedziałam.

Ta rozmowa stawała się surrealistyczna.

- Linia zaklinacza wody prawie zawsze jest dziedziczna. W naszej kulturze bardzo wysoko się ją ceni, uważa się, że przynosi ogromne szczęście.

- Szczęście? - powtórzyłam z goryczą.

Pomyślałam o dłoniach mojej matki, takich drobnych i delikatnych. Moje, ciemniejsze i szerokie jak łopata, w niczym ich nie przypominały. Dłonie mojego ojca... Niemożliwy do odegnania obraz jego bladej ręki na moim brzuchu, sięgającej w dół. Wspomnienie było tak wyraźne, że aż się zakrztusiłam. Odepchnęłam je od siebie, jak wszystkie mu podobne, kiedy tylko się pojawiały, ono jednak było bardzo silne, a może ja za słaba. Zamknęłam oczy i znowu miałam czternaście lat. W szortach i T - shircie związanym w supeł pod biustem, jak u gwiazdy filmowej, którą widziałam w piśmie „Jackie”. Opalałam się w ogrodzie i weszłam do domu rozgrzana, wilgotna od potu, lepka od olejku Ambre Solaire, żeby napić się soku i trochę ochłonać. I tam, w kuchni, mój ojciec przywarł do moich pleców, wiążąc mnie przy zlewie, podczas gdy z kranu płynęła woda, rozcieńczając oranżadę, aż przelała się ze szklanki i zrobiła całkiem przezroczysta. Coś twardego jak kamień uwierało mnie w pośladki, a on przyciskał mi rękę do brzucha i wpychał ją w moje szorty.

- Och, Izzy - wydyszał mi do ucha. - Jesteś taka piękna. A potem zaprowadził mnie na strych... Walcząc ze wzbierającymi mdłościami, odsunęłam się od Taiba. On jednak mi na to nie pozwolił.

- O co chodzi? - zapytał. - Wyglądasz, jakbyś się mnie bała. Pokręciłam głową, z przerażenia niezdolna wykrztusić słowa.

- Nie ciebie - udało mi się w końcu wydusić. - Nie ciebie, nigdy w życiu.

- W takim razie czego?

- Nie mogę ci powiedzieć. - Znowu chciałam się odsunąć. - Przestań. Nie patrz na mnie, proszę.

- Uwielbiam na ciebie patrzeć, Isabelle. Jesteś taka piękna.

Zawyłam jak zranione zwierzę. I jak ono chciałam uciec na pustynię z krwawiącymi ranami, położyć się i pozwolić, by moje życie wraz z krwią wsiąkło w piasek, bym zwyczajnie... przestała... istnieć. Ale Taib mi nie pozwolił.

- Powiedz mi, Isabelle. Co sprawia, że tak cierpisz? Nie mogę na to patrzeć.

- A ja nie mogę ci powiedzieć. Nigdy nikomu nie powiedziałam.

- Zaśmiałam się cicho i gorzko. - Nie było nikogo, komu bym mogła. Nigdy nie ma nikogo, kiedy człowiek najbardziej tego potrzebuje: wcześniej się tego nauczyłam. A poza tym za bardzo się wstydziłam.

- Nie ma niczego, co mogłoby mną wstrząsnąć albo sprawić, że zmienię o tobie zdanie.

- Nie znasz mnie. Nic o mnie nie wiesz. Gdybyś mnie znał, prawdziwą mnie, nie mówiłbyś tak. Pogardzałbyś mną. Nie chciałbyś mieć ze mną nic wspólnego.

Słowa wylewały się ze mnie, tryskały obfitym, groźnym strumieniem. Próbowałam je powstrzymać, ale one wciąż napływały, z jakąś straszliwą siłą parły, by się ze mnie wydobyć.

I wtedy powiedziałam mu to, czego nigdy nikomu nie zdradziłam: mroczną, przepelniającą wstydem tajemnicę, którą pogrzebałam głęboko w sobie w tamto straszliwe lato, kiedy moje czternastoletnie życie pękło na pół. Przed nim byłam po prostu Izzy: troszkę szaloną, niewinną Izzy, która śmiała się i dokazywała, i często paplała bez namysłu, która wspinała się na drzewa, skakała z murów i z dziką radością rzucała się na życie przekonana, że jest niezniszczalna; po nim byłam już tylko Isabelle, złamaną, przerażoną Isabelle, porzuconą przez jedno z rodziców na wyzbytą z czułości łaskę drugiego. Nigdy,

nawet najlepszej przyjaciółce nie mogłam powiedzieć, co mnie spotkało, światu zaś nauczyłam się pokazywać cichą, pozbawioną wyrazu przedsiębiorczą maskę, z którą ostatecznie się utożsamiłam, stając się dokładnie taką właśnie kobietą. Brzydząc się sobie, wykorzeniłam ze swego życia wszystko, co czyniło ze mnie taką szaloną istotę, która sprawiła, że jej własny ojciec potraktował ją w tak nienaturalny sposób, po czym odszedł, przerażony swoim czynem. Stałam się kimś, kim na pewno bym nie była: zamkniętą w sobie, emocjonalną kaleką, żyjącą w strachu przed bliskością i ryzykiem, zamknięta na radość i swobodę.

Przez cały ten czas Taib ani na chwilę nie spuścił ze mnie poważnego spojrzenia swoich ciemnych oczu. Nie krzywił się, nie okazywał niesmaku, nie przerywał, nie próbował mnie dotknąć. Po prostu słuchał, jak nikt nigdy dotąd.

W końcu źródło słów wyschło, a ja poczułam się pusta jak tykwa, ze skórą suchą i napiętą jak bęben, w którego próżni tkwiły tylko moje kości.

Taib odwrócił wzrok i przez długą, bardzo długą chwilę milczał, aż w końcu uznałam, że czuje się zawstydzony moim brudnym wyznaniem tak samo jak ja.

- Biedna Isabelle; biedna mała Izzy - przemówił w końcu łagodnie. - To straszne, co cię spotkało. Zostało zdradzone twoje zaufanie, twoja niewinność. Jak można w ten sposób wykorzystać swoją przewagę, zrobić coś takiego dziecku, zwłaszcza swojemu? - Popatrzył na mnie i zobaczyłam w jego oczach odbity płomień świecy. - A ty obwiniałaś i nienawidziłaś siebie za to, co on ci zrobił.

- Och, jego też obwiniałam, możesz mi wierzyć - powiedziałam z goryczą. - Obwiniałam i nienawidziłam.

- Ale jednocześnie obwiniałaś i nienawidziłaś siebie.

Wiedziałam, że prawdą jest to, co mówi. Przez cały czas karałam siebie, ograniczając swoją swobodę, walcząc z nią. Narzuciłam sobie społeczne normy, pozwoliłam, żeby świat klasy średniej zamknął mnie w swojej jednolitej ekonomicznej strukturze, dzięki której pragnęłam panować nad każdym aspektem wszystkiego, co mnie otacza. I świetnie mi się to udawało. Tak bardzo bałam się wszystkiego, czego nie byłam w stanie kontrolować; przede wszystkim zaś bałam się siebie. Powoli skinęłam głową.

- Masz rację - przyznałam. - Ale nie wiem, jak to zmienić.



- Mamy takie powiedzenie: czas płynie tylko naprzód, wczoraj odeszło. Obróć się ku przyszłości, Izzy; przeszłość masz za sobą.

Uśmiechnęłam się do niego niepewnie.

- Chciałabym, żeby to było takie proste.

- Rzeczy są trudne tylko wtedy, kiedy im na to pozwalamy.

- Czasem rzeczy się nam przytrafiają i nie mamy nad nimi żadnej kontroli.

- Teraz mówisz zupełnie jak moja ciotka! Kiedy chorowała, mówiła, że taka była wola Boga, inszallah, i nic nie można na to poradzić, tylko się poddać. W efekcie czuła się tylko coraz bardziej chora. Moja babka, którą poznałaś, dostawała szału, słysząc to inszallah swojej siostry. „Nie jesteśmy marionetkami!”, krzyczała. „Wstań, zacznij się ruszać, zamiast skarżyć się, że masz zatwardzenie. Napij się wody; zjedz figi!”.

Choć nie było mi do śmiechu, chichotałam na cały głos. Właśnie wyjawiałam mu swój najgorszy, najbardziej mroczny sekret, coś, co zatruwało całe moje dorosłe życie; a on opowiada mi o zatwardzeniu swojej ciotki. Kiedy na niego popatrzyłam, zobaczyłam w jego oku błysk i zrozumiałam, że zrobił to celowo, żeby poprawić mi nastrój.

Skinał ledwie dostrzegalnie głową i spowaźniał.

- Prawdą jest, że islam naucza, że Bóg wyznacza nam ścieżkę, jaką podążamy w życiu. Bóg jest wszechwiedzący i wszechpotężny. Nie oznacza to jednak, że nie możemy postępować zgodnie z własną wolą. Wszyscy ponosimy odpowiedzialność za to, jak żyjemy i jak radzimy sobie z tym, co nas spotyka. Jesteśmy wolni, zaś odwoływanie się do woli boskiej nie usprawiedliwia złych decyzji, jakie podejmujemy. Zawsze musimy starać się być jak najlepszymi ludźmi, w tym życiu i w następnym. Kto wie, co niesie ci przyszłość, Isabelle? Przyszłość może być wspaniała.

- Albo bardzo krótka.

Mimo tego czarnowidztwa uśmiechałam się, Taib uśmiechał się do mnie, a ja czułam, że uwolniłam się od ogromnego ciężaru.

Popatrzyłam ponad jego ramieniem. Na zewnątrz wschodziło słońce: blada wstęga tajemniczego światła błysnęła na skrawku pustyni widocznym w przerwie ciemnego kręgu namiotów. Wypełzłam na chłodny piasek i stanęłam, by patrzeć, jak płonący okrąg pojawia się nad odległymi wydrami, przemieniając ich smętną szarość w intensywne złociste żółcie i kremy, ciemne zagłębienia

między nimi wypełniając kolorami. Był to najpiękniejszy widok, jaki kiedykolwiek w życiu oglądałam. Czułam, jak mój umysł uwalnia się od wszelkich myśli, jak opuszczają mnie dawne strachy i złe wspomnienia, aż staję się lekka jak rozpromienione powietrze, i nic nie oddziela mnie od nieba i piasku.

## ROZDZIAŁ 29

Mariata szła przez całą noc. Księżyc był dla niej łaskawy, ale czasem potykała się; raz nawet upadła i obdarła sobie kolana mimo grubej tkaniny, z jakiej była uszyta suknia. Szła jak we śnie, szła, jakby nie myślała o niczym innym poza tym, żeby iść. Rzeczywiście, starała się nie myśleć w ogóle, a gdy wątpliwości zaczynały dochodzić do głosu, odsuwała je od siebie, pozwalając, by kontrolę przejmowało ciało, i szła dalej. Mimo to nie było prawdą, że nie miała pojęcia, gdzie się znajduje ani w którym kierunku zmierza, ponieważ gdy na niebie przesuwają się konstelacje, wewnętrzny głos przykazywał jej, by baczyła, gdzie znajduje się ogon Skorpiona, i Mariata podświadomie podążała ku niemu, podczas gdy on nieubłaganie obniżał swoje żądło na południe i ku wschodowi.

Kiedy szła, po cichu recytowała sobie ludowe przyśpiewki z dzieciństwa, których uczyły ją matka i babka, piosenki, które słyszała przy ognisku, kiedy poganiacze karawan wracali ze swoich wypraw albo wojownicy z najazdów; strzępki dawno zapomnianych bzdur teraz dobywały się z mroków jej pamięci.

Dwa małe ptaszki siedziały na drzewie, Jeden podobny do mnie, drugi podobny do ciebie, Czarne jego skrzydełka i bystre jego oczy Ciśnij kamieniem, a ku chmurom skoczy.

Kamienie pod jej stopami były potwornie ostre. Żałowała, że założyła sandały, które przywiozła ze sobą z Adagh, zamiast zainwestować w solidne czerwone buty ze skóry, ulubione przez kobiety z Ait Khabbashi, buty z podeszwą z gumy Goodyear; buty, które zakrywały kostkę i były ciasno związane na goleniach. Takie obuwie nadawało się do wędrówek przez pustynię, gdzie każdy krok był niepewny, a ziemia pod stopami chrzęściła i osypywała się jak popiół. Wspinała się na wzniesienia i po drugiej stronie schodziła z nich, ślizgając się, z każdym krokiem czując, jak żwir usuwa się pod jej ciężarem.

Och, mój wielbłądzie, tak potężny i silny, Twój piękny garb ciężki od tłuszczu, Prowadź mnie, mój kochany, prowadź...

Nie, to na nic. Próbowwała nie myśleć o wielbłądach, gdyż wtedy wracało przerażenie i wspomnienie, jak żołnierze biją Atisiego. Kto wie, co go spotkało tam, na tej drodze? Czy pobili go do nieprzytomności i wzięli do niewoli? A może go zabili i pozbyli się gdzieś ciała? Widok leżącej przy drodze martwej Moushi i jucznego

zwierzęcia, które wierzgając na wszystkie strony kopytami, ucieka, znikając w ciemnościach, powrócił do niej znowu, a wraz z nim świadomość jej własnej głupoty, która pozwoliła, by znalazła się tutaj sama, nie mając niczego, nawet szklanki wody. Świadomość uporczywie powracała. Dźgała oskarżycielsko w każdej przerwie między piosenkami i wierszykami, którymi próbowała ją zdusić. Wciskała się między słowa i szeptała: „umrzesz”. „Umrzesz i nikt nawet nie oznaczy twojego grobu”.

Mariata zgrzytała zębami. „Zamknij się”, odpowiadała. „Dopiero co zaczęłyśmy i przed nami długa, bardzo długa droga. Jeżeli już w pierwszą noc straszysz mnie śmiercią, co sobie zostawisz na trzecią, piątą czy dwunastą?”.

Mijały godziny, gwiazdy sunęły po czarnym niebie, a ona wciąż szła, monotonnie kroczyła przez niekończący się płaski teren, a wszechobecny żużel zdierał jej sandały, wykrecał kostki i sprawiał, że mięśnie jej łydek protestowały z bólu. Skorpion zanurkował za krawędź świata i zniknął w próżni. Jedna po drugiej gwiazdy zaczęły tracić swój blask i w końcu księżyc oddał władzę nad niebem. Kiedy słońce pojawiło się ostatecznie, świat był szary i ponury. Bezbarwna kraina rozciągała się przed Mariatą, ponura i wroga. Wszystko co do tej pory pozbawione było kształtu, teraz ukazywało swoją jednostajność: mila za milą pokrytej kamieniami równiny; wraz ze wznoszącym się coraz wyżej słońcem szarość stawała się najpierw bura, by ostatecznie przybrać kolor martwego, zakurzonego brązu. To musi być Hamada du Guir, rozległa, pusta równina ciągnąca się przez setki mil pomiędzy wielkimi ergami, morzami piasku, które leżały na wschodzie i na zachodzie. Wszędzie gdzie spojrzała, wszystko było wysuszone jak stary chleb sprzed tygodnia. Nigdzie śladu oaz, o których mówili poganiacze karawan; żadnej, choćby odrobiny zieleni.

Zamknęła oczy i próbowała przypomnieć sobie, co słyszała od handlarzy w funduq, odszukać w pamięci potrzebne informacje, które gromadziła, przygotowując się do podróży. Słowa wracały do niej, wytryskując jak podziemne strumienie wylaniające się na powierzchni pustyni jej pamięci. „Kamienna pustynia zabija. Jak przegapisz wodopój, umrzesz. Igli, Mazzer i Tamtert to dobre miejsca dla wielbłądów. Słońce znajdzie się nad twoim lewym ramieniem. Poszukaj góry z dwoma szczytami i przejdź między nimi. Powiadają,

że człowiek może przeżyć tydzień bez jedzenia i wody. Ale tylko kiedy jest zimno, a Bóg się do ciebie uśmiechnie".

Ale słyszała też inny głos, odległy, należący do kobiety, który jej przypominał: „W Hamada du Guir wyschnięte koryta rzek biegną z północnego zachodu na południowy wschód: podążaj za nimi i w końcu dojdiesz do Doliny Oaz".

Mariata otworzyła oczy, zwróciła się twarzą ku słońcu i zaczęła iść.

Mijały godziny, a krajobraz w zasadzie się nie zmieniał. Chociaż brnęła zdecydowanie, horyzont wciąż był odległy i wyglądał tak samo, jak go ujrzała w pierwszym brzasku. Oued, którymi szła, były tylko zagłębieniami w pokrytej pyłem ziemi, wyboistymi i chrzęszczącymi pod stopami, zasłanymi kamieniami wygładzonymi przez rzekę, która tu płynęła, ale znikła już dawno temu, pozostawiając po sobie jedynie suche głązy, ale nawet te martwe rzeczne nurty po paru milach zrobiły się prawie niewidoczne. Raz natrafiła na miejsce porośnięte kolczastymi roślinami i pośpieszyła ku niemu; jednak ziemia przy nich była równie sucha i pokryta pyłem jak cała pustynia wokół, a próbując zerwać kilka liści, Mariata poraniła sobie tylko palce. Szła dalej, z obolałym grzbietem i brzuchem z każdym krokiem ciężącym coraz bardziej, odpędzając od siebie myśli o klęsce. Powtarzała sobie, że minęło dopiero pół dnia od ostatniego posiłku, pół dnia, odkąd coś piła. Przeżyje: była córką pustyni. „Człowiek może przeżyć tydzień bez jedzenia i wody", przypominała sobie w kółko, wygodnie dla siebie pomijając przerażający warunek przetrwania, skupiając się na snutykach przy ogniskach opowieściach o cudownych przypadkach przeżycia i wytrwałości, mimo że wielbłądy padały pod jeźdźcem lub były kradzione nocą, pozostawiając wędrowców z niczym, i ze wszystkich swoich sił wierząc, że jest równie zdeterminowana jak mężczyzna i że owa determinacja pomoże jej przetrwać, chociaż jest brzemienna. „Ciężarna lwica jest najgroźniejszym zwierzęciem ze wszystkich", powtarzała sobie słowa myśliwych. Zaraz jednak przypominała sobie też, jak mówili, że to dlatego, iż samica prędzej rzuci się na prześladowcę i zginie, niż spróbuje uratować siebie i swoje nienarodzone potomstwo. Po kilku następnych krokach przypominała sobie jeszcze, jak śmiali się przy tym i żartowali z ciężarnej żony Alego, Henu, która pod koniec zrobiła się taka zła, że zbiła go butem po głowie, kiedy którejś nocy

przyszedł do jej namiotu. Przygnębiona przysiadła w cieniu głazu i zdrzemnęła się na chwilę, ale była niespokojna i śniło jej się coś niedobrego, wstała więc i szła dalej, mimo że popołudniowe słońce paliło niemiłosiernie.

Nie potrafiła powiedzieć, co zwróciło jej uwagę - czy jakiś odległy ruch, czy inny kolor, jaki zakłócił jednostajność brązów i szarości - kiedy jednak ujrzała wielbłąda, poczuła się, jakby trafił w nią piorun. Wpatrywała się bez końca, nie wierząc własnym oczom, podejrzewając, że to optyczne złudzenie wywołane upałem, sztuczka światła i cienia. Ale nie, coś było tam naprawdę, w kolorze wielbłąda, poruszające się powoli, ze spuszczonego łbem, jakby na próżno szukając choć odrobiny pożywienia. I nie tylko kolor miało wielbłądzi, bo gdy podeszła trochę bliżej, dostrzegła inne szczegóły: charakterystyczny koc w niebiesko - czerwone pasy; czarne bukłaki na wodę, białe worki z ryżem i mąką, wiązki słomy. To był juczny wielbłąd Atisiego ag Baye. Zaszokowana prawie się rozplakała, bo czyż nie było cudem, że przeszła taki szmat drogi jałową hamada i na pustkowiu znalazła tego samego wielbłąda, który jej wcześniej uciekł! Podniosła amulet do ust. Dziękuję - wyszeptła, chociaż nie była do końca pewna, do kogo owe podziękowania kieruje. Czy miała być wdzięczna Tin Hinan, czy duchom, czy też może to ona sama całkiem przypadkowo cały ten czas podążała śladem zwierzęcia, a może oboje bezbłędnie wybrali identyczną drogę - nie miało to żadnego znaczenia. Była córką pustyni i pustynia jej nie zawiodła.

W przypiływie energii Mariata zakasała suknię i zaczęła szybko iść w stronę wielbłąda, zawsze tak, by nie znaleźć się w zasięgu wzroku zwierzęcia. Dzieliło ją od niego nie więcej niż sto jardów, kiedy dostrzegła przy wierzchołku jakąś postać: mężczyzny; nie, to był chłopiec. Mimo upału zadrżała. Po czym zdecydowanym krokiem zbliżyła się do nich.

- Hej, ty!

Chłopiec był chudy, przy jego drobnej buzi oczy wydawały się ogromne. Złakł się na jej widok. Widziała białka wokół tęczy. Chłopiec miał skórę tak ciemną jak skały.

- To jest mój wielbłąd!

Szybciej niż szczur na skałę, chłopiec wspiał się na szyję wielbłąda, usadowił się między tobołkami i popędził zwierzę.

- Nie! - Mariata zaczęła ich gonić, ale ciąża ją spowalniała i utrudniała poruszanie się, zaś kamienie na ziemi raniły jej stopy i wykręcały kostki. - Wracaj!

Wielbłąd jednak ruszył pędem, jakby ścigały go złe duchy, wyrzucając na wszystkie strony swoje wielkie kopyta i kołysząc na boki szyją.

Mariata wrzeszczała, aż zaschło jej w gardle, niestety na próżno. Wkrótce wielbłąd i chłopiec stali się ledwie punkcikiem w oddali, chociaż chmura pyłu wznosiła się za nimi, znacząc ich drogę. Mariata westchnęła zrozpaczona. Czuła się jak słoń, powolna i ociężała, a oni zdołali jej zbiec. Wściekła na siebie i nie mniej na złodzieja, pomaszrowała w ślad za nimi. W końcu będą musieli się zatrzymać: gdzieś musi być obóz. Chłopiec wyglądał na harratin, a może był dzieckiem iklan, migającym się od obowiązków. Jeżeli obóz będzie niedaleko, Mariata zachowa się wspaniałomyślnie, nie zażąda żadnego zadośćuczynienia za kradzież i trud wędrowki przez parę dodatkowych mil, ponieważ bez wątpienia zostanie ugoszczona: dostanie herbatę i porządny posiłek. Jak dowiedzą się, czyją własnością jest wielbłąd, poznają jej szlachetne pochodzenie, zapewne zarzną kożę, może nawet barana, by złożyć jej należny hołd. Podniesiona na duchu Mariata szła z wysoko uniesioną głową, krocząc zamaszyście. Za każdym razem kiedy na jej drodze stawało wzniesienie albo jakaś skała, spodziewała się, że po drugiej stronie znajdzie obóz, oazę ze świeżą wodą, uśmiechnięte kobiety i pełnych poszanowania mężczyzn z zasłoniętymi twarzami. Może nawet będą zmierzali na południe do samego Hoggaru i będzie mogła przyłączyć się do nich.

Na tych przyjemnych rozmyślaniach mijała godzina za godziną, a wciąż nie dostrzegała nigdzie chłopca ani wielbłąda, z wyjątkiem zatarć na ziemi, poruszonych kamieni i odbitych w piasku śladów rozczapierzonych stóp zwierzęcia. Okolica nie wyglądała już tak złowrogo: dostrzegała nawet pewne ponure piękno w poznaczonym kraterami skalistym krajobrazie i zachwycała się, jak wraz ze zniżającym się słońcem zmieniały się widoki, a blade, kruche brzozy przechodzą w kolor ochry jak zad gazeli, a wreszcie w soczystą purpurowoczerwoną barwę krwi. Kiedy zachodzące słońce położyło długie cienie pomiędzy skałami, była odwodniona i wyczerpana - gdy więc wspięła się na wzniesienie i z jego szczytu dostrzegła w dole trzy

czarne namioty przycupnięte nisko na ziemi, prawie krzyknęła ze szczęścia. Zaczęła zbiegać ze zbocza, pozwalając, by grawitacja nadawała jej susom prędkości, i dopiero po chwili zorientowała się, że poza trzema namiotami nie ma niczego więcej. Gdzie była reszta plemienia? Wyteżając oczy w zapadającym mroku, zamiast stad koniecznych dla utrzymania przy życiu porządnego obozowiska dostrzegła tylko kilka kóz. Kilka kóz i jednego wielbłąda. Czy ci ludzie byli tylko wartownikami, czy też raczej wygnańcami? Zwolniła niepewna.

Rozszczekały się psy. Było ich kilka, nędznych kundli z żebrami widocznymi pod sierścią. Lata krzyżowania i nędzne pożywienie na pewno nie wpłynęły na poprawę ich charakteru ani nie nastawiły przyjaźnie do obcych. Mariata cofnęła się wystraszona. Jej plemię miało psy myśliwskie: piękne zwierzęta o lśniącej sierści, które biegały posłusznie przy nodze swego pana; Kel Teggart z trudem sami utrzymywali się przy życiu, o psach już nie wspominając. Psy zbliżały się, biegnąc nisko przy ziemi. Mariata stała nieruchomo. Potem schyliła się, chwyciła kamień i cisnęła nim w najbliższego psa. Trafiła zwierzę w bark i pies odskoczył ze skowytem. Mariata uzbroiła się w więcej pocisków i rzuciła kolejny w atakującą ją sforę. Psy zaczęły skakać rozzłoszczone. Ich szczekanie wzmoгло się, ale nie podchodziły bliżej.

W końcu z jednego z namiotów wyłonił się mężczyzna. Był wysoki, chudy i czarny jak noc. Iklan, pomyślała z ulgą Mariata.

- Zawołaj swoje psy! - krzyknęła rozkazująco.

Gdzie byli niewolnicy, zawsze byli też panowie.

Mężczyzna spoglądał na nią podejrzliwie. Zawołał i psy zawróciły do niego, oglądając się za siebie lęklonie, jakby spodziewały się, że nadlecą kolejne kamienie. Głośne szczekanie wywabило z namiotów resztę ich mieszkańców. Tutaj nie było panów: sam motłoch, nikogo z zasłoniętą twarzą. To byli baggara, wędrowni żebracy: obdarci nomadowie wegetujący poza społeczeństwem. I chyba nie najlepiej sobie radzili. Pomiedzy nimi rozpoznała chłopca, którego widziała z juczym wielbłądem. Mężczyzna, który przywołał do porządku psy, schylił się i wszedł do namiotu, z którego po chwili wyłonił się inny, a za nim kobieta tuląca w ramionach małe dziecko. Ruszyli w stronę Mariaty, której sylwetka widoczna była na tle skał. Przez chwilę oczy Mariaty i kobiety spotkały się i Mariata poczuła



nagły przypływ czystego współczucia, niemal namacalnego, jakby jej dusza była koralikiem turlającym się po rozciągniętym między nimi sznurku.

Wtedy kobieta zaczęła krzyczeć.

- To duch! To duch, który zabrał mojego chłopca!

Wybiegła z obozowiska z twarzą wykrzywioną wściekłością i bólem. Mariata ujrzała, że kończyny dziecka chwieją się bezwładnie w rytm kroków kobiety, i nagle z przerażeniem pojęła, że dziecko jest martwe, a ją, wyłaniającą się w zapadającym zmierzchu z pustyni - o tej samej porze gdy wychodzą Kel Asuf - kobieta wzięła za demona.

Mężczyźni zatrzymali zrozpaczoną kobietę, zanim zdążyła zbliżyć się do Mariaty. Jeden z nich odebrał jej dziecko i wrócił z nim do namiotów, a ona, jakby nie mogła znieść rozdzielenia, pobiegła za nim z wyciągniętymi rękami. Drugi mężczyzna stał nieruchomo, obserwując Mariatę.

- Nie jestem demonem! - krzyknęła, ale w gardle miała sucho i słowa zabrzmiały jak chrapliwy szept nie z tego świata. Mężczyzna sięgnął do swoich amuletów. Mariata przełknęła, oblizała usta wyschniętym językiem i spróbowała znowu.

- Nie jestem demonem - powtórzyła, ruszając w jego stronę. - Jestem z krwi i kości, kobietą z Kel Taitok. Nie lękajcie się. Wczoraj w nocy uciekł mi wielbłąd. Szłam za nim przez cały dzień. Ten chłopiec tutaj - skinęła na niego - go zabrał. Może myślał, że się zgubił, a jego właściciel nie żyje; może chciał się nim zaopiekować. W każdym razie chcę odebrać swojego wielbłąda i juki, jakie miał na sobie, będę też wdzięczna za trochę wody i schronienie na noc. Potem ruszę dalej ze swoim wielbłądem.

Mężczyzna milczał; potem kucnął. Była to dziwna reakcja i Mariata nie wiedziała, co myśleć, póki nie wstał, a w jej stronę nie poleciał pierwszy kamień. Nie robiąc jej krzywdy, przeleciał ze świstem ponad jej ramieniem, uderzając o skały za nią. Następny trafił ją w ramię, a ona krzyknęła, bardziej z zaskoczenia niż z bólu.

- Co czynisz? Nic ci nie zrobiłam! Mężczyzna ważył w ręce kolejny kamień.

- Teraz wielbłąd jest nasz: odejdz.

- Jesteście złodziejami! - Odejdz albo cię zabiję!

- Gdzie twój honor? Nie szanujesz kodeksu pustyni?

- Jedynym kodeksem pustyni jest śmierć!

- Oby duchy was przeklęły, jeśli mnie odeślecie! - Mariata pogroziła mu amuletem. - Rzucę na was urok: wszyscy umrzecie.

Mężczyzna patrzył na nią obojętnie.

- I tak już umieramy. Odejdź.

Trzeci kamień nie miał odpowiedniego rozpędu i zaplątał się w fałdach jej sukni, ale mężczyzna już zbierał kolejne, a psy szczekały, podskakując na sztywnych nogach z narastającą agresją. Mariata odwróciła się i odeszła.

Leżała w osłoniętym od wiatru miejscu pod skałami, przez długie godziny zastanawiając się, co robić. Nie dawała jej spokoju myśl, że nie ma dostępu do swojego wielbłąda, chociaż znajduje się dosłownie w zasięgu ręki. Nie mogła go tak po prostu zostawić w posiadaniu rodziny baggara, ale nie wiedziała, w jaki sposób mogłaby go odzyskać. Zastanawiała się nad tym przez całą noc, gotując się ze złości, rozważając i odrzucając jeden głupi pomysł za drugim. Powinna była skorzystać z panującego nocą chłodu i iść szukać szczęścia gdzie indziej, jednak świadomość, że jej juki, woda i zapasy są kilkaset jardów od niej, trzymała ją na miejscu. Coś podpowiadało jej, że jeżeli nie skorzysta z okazji i nie odzyska wielbłąda, umrze, na dodatek z własnej winy. Zasłaniający Twarz cenili spryt, pomysłowość i ostrożność równie wysoko jak swój honor. Okazanie słabości i pozwalanie, żeby tacy podli włóczędzy ją przechytrzyli, byłoby poddaniem się, przynoszącym wstyd czynem. Czy Matka Nas Wszystkich musiała znosić podobne upokorzenie? Mariata jakoś nie mogła w to uwierzyć. Co zrobiłaby jej dostojna protoplastka?

- Tin Hinan - odezwała się cicho w ciemnościach. - Wspomóż mnie teraz swoją mądrością i siłą.

Przycisnęła amulet do czoła i poczuła na skórze chłód metalu.

Nie umiałaby powiedzieć, jak długo tak trwała bez ruchu, ale po jakimś czasie zdała sobie sprawę, że od skał z lewej strony dobiega jakiś dźwięk. Wstrzymała oddech, nagle przerażona. Czyżby ją odkryli i teraz zrealizują swoją groźbę, zabijając ją? Możliwie najciszej sięgnęła do swojej skórzanej torby z frędzlami, wyjęła mały nóż i czekała.

Dźwięk był cichy, ledwo słyszalny, jakby coś ocierało się o skały, stuknięcie, szurnięcie. Zbliżał się. Mariata przygotowała się, zaciskając zęby. Nie podda się bez walki, upuści komuś trochę krwi.

Kiedy pojawił się zajac, patrzyła na niego zaskoczona. On też się w nią wpatrywał, zamarty z przerażenia, z postawionymi uszami, każdym mięśniem spiętym, gotowym do ucieczki. Złapała go, zanim zdążyła się zorientować, co robi. Z rękami zanurzonymi w jego futerku czuła, jak jego silne tylne łapy wierzgają. Był tak ciepły i tak zaciekle walczył, niesamowicie żywy i pełen energii, że prawie pozwoliła mu uciec, jednak jakiś pierwotny instynkt wziął w niej górę. Kilka chwil później zajac leżał bezwładnie, a jego krew na jej rękach wydawała się czarna.

Był dużym zwierzęciem, mocno zbudowanym i umięśnionym, niezwykle piękny w bladym świetle księżyca. Mariata z trudem powstrzymała łzy: zachwyciła ją jedwabistość futerka, długie łapy i ogromne uszy. A potem zebrała się w sobie i zrobiła to, co musiała.

\*

Mariata oglądała wschód słońca z grzbietu wielbłąda, kiedy od obozu nomadów dzieliło ją już wiele mil. Mimo panującego chłodu zwierzę pocilo się obficie, ona również. Jednak euforia tłumiała zmęczenie. Zaryzykowała wszystko i zwyciężyła. Wzdrygnęła się, przypominając sobie, jak psy rozszarpywały na strzepy zajaca, którego rzuciła najdalej, jak umiała, jak ich szczęki miażdżyły jego kruche kości; jak walczyły między sobą o łeb, ostatni, najlepszy ochłap, jak mężczyźni musieli wyjść z namiotów, żeby je uciszyć. W całym tym zamęcie ona wślizgnęła się do zagrody i ze zdziwieniem stwierdziła, że wielbłąd jest byle jak uwiązany, juki niedbale rzucone na stos razem z siodłem i kocem. Brakowało tylko worka z mąką i starym chlebem. Mariata nie mogła się nadziwić, że szczęście aż tak jej sprzyja. Worek z ryżem stał z boku, odrobina jego zawartości wysypała się na piasek, małe białe ziarenka połyskiwały jak perełki w świetle księżyca. Mariata zatkała dziurę w worku słomą, sprawdziła, że bukłaki są pełne wody, i przerzuciła je sobie przez plecy.

Wielbłąd patrzył na nią gniewnie, a kiedy podeszła bliżej, podrzucił głowę i wybałuszył oczy. Dość już się nachodziłem, jego oczy mówiły jasno: nie myśl sobie, że zmusisz mnie do nowej wędrówki. Mariata wiedziała, że wielbłądy to uparte stworzenia; ale wiedziała też, że upór i zdecydowanie na ogół odnoszą pożądany skutek. Podeszła do wielbłąda i pamiętając, jak Rahma związała pyski wielbłądów, kiedy jechały przez Tamesnę i w oazie zjawili się żołnierze, teraz za pomocą swojego welonu zatkała mu pysk, zanim

zdążył ryknąć. To go tak zaskoczyło, że Mariata zdołała zarzucić mu na grzbiet juki i dosiąść go. Wielbłąd obrócił głowę i obrzucił ją zirytowanym spojrzeniem, ale ona odpowiedziała mu równie surowym wzrokiem, potem zmusiła, by wstał, i ponagliła do ociążałego galopu.

Teraz roześmiała się głośno i pogłaskała się po brzuchu.

- Jesteś synem Tuaregów i nigdy o tym nie zapominaj! Co z ciebie będzie za awanturnik, kiedy odziedzicysz wszystko co najlepsze po swoich rodzicach. Żaden nędzny baggara nie będzie cię oszukiwał ani okradał, bo życzliwość duchów i twoja własna siła zawsze przyniosą ci zwycięstwo!

Rozkazująco klepnęła wielbłąda w bok. Postępując, opadł na kolana i pozwolił, żeby zsiadła. W różowym świetle pustynnego świtu zdjęła welon i starannie spętała zwierzę, żeby znowu nie uciekło; potem posilili się i odpoczęli, by wreszcie udać się na zasłużony odpoczynek w cieniu rozłożystych gałęzi rosnącej samotnie akacji.

## ROZDZIAŁ 30

Optymizm, jakim tryskała Mariata, nie trwał długo. Przez wiele dni instynkt nakazywał jej iść na wschód, lecz ona ignorowała jego podszepty, uważała bowiem, że błędem byłoby zmierzanie w innym kierunku niż na południe; kiedy więc przeszła między oazami w Ougarcie i Augeadal, nawet o tym nie wiedziała, szukając bowiem cienia Jebel el - Kabla przez pomyłkę weszła w wąwóz, który zaprowadził ją na kolejną długą odnogę suchej jak pieprz Hamada du Guir. Raz mijała wielkie, osypujące się wieże z czerwonych skał, kiedy indziej znowu przemierzała okolicę pokrytą dziwnym ciemnym nalotem pokrywającym ziemię suchą skorupą, która połyskiwała matowo w słońcu i pękała pod naciskiem szerokich wielbłądzich kopyt. Nie było tu żadnych roślin, nawet najwytrzymalszych kaktusów czy euforbii, a na każdym postoju wielbłąd rykiem wyrażał swoje niezadowolenie, z trudem wykręcając łeb, by spróbować ukraść zmniejszające się błyskawicznie snopki siana, które miał przyczepione do grzbietu. Wiedziała, że umiera z głodu: zwykle twardy garb teraz był zapadnięty i miękki, prawie zupełnie pozbawiony zapasów tłuszczu.

- Akacja, nie! - upominała ostro zwierzę. Nie chciała przywiązywać się do wielbłąda - w końcu był tylko jucznym zwierzęciem, mającym jej służyć tak samo jak nogi - ale po dniach i nocach spędzonych w jego towarzystwie, dzielenia z nim niedoli, zaskoczyły ją uczucia, jakimi zaczęła nagle darzyć cuchnące, humorzaste, klnące stworzenie. Bez trudu wybrała mu imię: tak samo jak drzewo akacji, wielbłąd był najeżony i wytrzymały. Gdyby jakieś kolczaste, twarde drzewo umiało dać wyraz temu, co czuje, Mariata była pewna, że ryczałoby, gulgotało i zrzedziło tak samo jak jego imiennik. - Jak teraz wszystko zjesz, nic nie zostanie na później i wtedy będziesz żałować swojej żarłoczności. Bądź silny i cierpliwy, znoś wszystko bez skargi, a spotka cię nagroda.

Siła, cierpliwość i wytrzymałość: cechy, które jej lud cenił sobie najwyżej. Żaden mężczyzna nie skarżył się nigdy na trudy, jakie napotkał na pustyni; duma mu na to nie pozwalała, utyskiwanie pomniejszałoby go jako człowieka. W zamian prześcigali się w opowieściach o najgorszych chwilach, jakie przeżyli: pustynnych żukach, które rozgryzali i miażdżyli zębami na gorzką papkę; żmijach, które zjadali na surowo; moczu, który pili w najgorszych momentach.

Pamiętała legendarną historię handlarza, który w drodze do Sijilmassa oddzielił się od swojej karawany i wędrował bez pożywienia, mając ostatni łyk wody, kiedy napotkała go karawana kupców z wrogiego plemienia. Jak to jest w zwyczaju na pustyni, zaoferowali mu pomoc: trochę suszonego mięsa wielbłąda i wodę ze swoich bukłaków, on jednak tylko się uśmiechnął i poklepał po plecach, mówiąc, że ma wszystko, czego mu potrzeba, i zaproponował, że poczęstuje ich herbatą. Obie strony doskonale zdawały sobie sprawę z sytuacji; nikt jednak nie odważył się zmusić samotnego wędrowca, by przyznał, że jego sytuacja jest rozpaczliwa, tak więc kupcy pojechali dalej, a handlarz dzień później umarł. Jego historia żyła dalej, pięćset lat później. Czy nie lepiej jest, jak powiadają Kel Ahaggar, być pamiętanym jako ten, który umarł z honorem i nietkniętą dumą, niż przeżyć dzięki pomocy wroga?

Mariata nie miała pewności, czy ona zdobyłaby się na taką odwagę: nawet gdyby sam Rhossi ag Bahedi pojawił się przed nią z soczystą jagnięciną i morelami, zapewne rzuciłaby się na pożywienie i rozkoszowała nim do ostatniego kęsa, zanim w ogóle przypomniałaby sobie o takim luksusie jak własna duma, nie mogła więc mieć pretensji do wielbłąda, że próbuje ukraść paszę. Czuła, jak ślinianki w kącikach jej szczęk cierpną i zaciskają się, ale była tak odwodniona, że nawet śliny w ustach jej brakowało. Nie piła od zachodu słońca. Jeden bukłak wisiał oklapły i bezużyteczny, z wolna wysychając na wiór; to co zostało w drugim, pokrytym czarnym futrem, było ciepłe i słonawe w smaku, jakby płyn zgromadzony w kozłej skórze na powrót zamieniał się w krew. Dziecko chyba także upominało się o jedzenie, bo kopnęło ją raz, mocno, potem znowu. Przyłożyła do brzucha dłoń z rozcapierzonymi palcami.

- Spokojnie, malutki. Kopanie mamy nie zda się na wiele.

Trzynastego dnia skończyła się pasza, a wody zostało tyle, że ledwo zdołała zwilżyć pysk Akacji, a kiedy to robiła, niewdzięczne zwierzę próbowało ją ugryźć. Wielbłąd obwąchiwał jej sandały, były jednak zbyt cenne, żeby mógł je zjeść, dała mu więc słomianą matę, na której spała, a on żuł ją powoli i z trudem, pracowicie miażdżąc na suchą papkę swoją długą szczęką.

Ona sama próbowała jeść nieugotowany ryż, ale tylko ranił jej zęby, a kiedy roztała ziarenka między kamieniami, zmieniły się w mączny proszek, którego nie zdołała połknąć bez wody, bo tylko

przyklejał się jej do podniebienia. Teraz już wiedziała, czemu Atisi zabrał dwie samice: ich mleko pomogłoby im przetrwać w takich właśnie trudnych chwilach. Przypomniała sobie biedną Moushi padłą przy drodze i przeklinała swojego pecha, że został jej tylko samiec. Słyszała o handlarzach zmuszonych upuszczać krew z szyi swoich wielbłądów; kiedy jednak podeszła do Akacji uzbrojona w nóż z torby Tany, wielbłąd odsłonił swoje długie żółte zęby i oznajmił, że odgryzie jej rękę, jeżeli zbliży się choćby o krok; przynajmniej tak odczytała jego pełen oburzenia ryk i wytłumaczyła sobie, że sytuacja nie jest jeszcze aż tak beznadziejna.

Mimo to, gdy trzynastego dnia zatrzymali się, po raz chyba setny wyrzuciła wszystko z torby i przeszukała w próżnej nadziei, że przegapiła coś, co mogłoby okazać się przydatne. Wielbłąd przeżuwał garść słomy, a ona bez entuzjazmu grzebała w rzeczach, nie znajdując niczego nowego. Już miała wrzucić wszystko z powrotem do torby, kiedy nagle mały prążkowany kamyk zwrócił jej uwagę. Był niebiesko - zielony z pojedynczym białym paskiem, który biegł przez sam środek: różnił się zupełnie od wszechobecnej czerwieni i brązów. Mariata go podniosła. Gładki i mały spoczywał w jej dłoni, tak gładki i mały jak ptasie jajko. Oczyściła go z piasku i nagle bez zastanowienia wsunęła kamyk pod język, gdzie pasował jak ulał. W jednej chwili ślina zalała jej usta, spływając po zębach, a ona przełknęła z wdzięcznością. Ssała kamyk i przesuwiała go językiem, a on przez resztę dnia sprawiał, że miała wilgoć w ustach i już tak bardzo nie odczuwała pragnienia; było to jednak niewiele i na pewno stanowiło rozwiązanie doraźne.

Jeśli tylko było to możliwe, unikali słońca, do zmroku posuwając się od zacienionej strony skał, potem wędrowali w świetle ubywającego księżyca. Szli na południowy wschód przez suchą, pokrytą skałami równinę, napotykać wyłącznie wyschłe koryta rzek, a jeśli trafił się jakiś listek czy roślinka, to i tak rozpadały się już w pył. Akacja szedł z opuszczonym łbem, coraz wolniej i wolniej, aż w końcu usiadł i nie chciał wstać. Mariata czekała, ale on nawet na nią nie spojrzał. Próbowana przekupić go resztką paszy, ale on tylko zerkał na nią z wyrzutem, po czym odwracał łeb, jakby mówiąc: za późno! Teraz będziesz żałować swego skąpstwa. Szarpała go za ude, ale upór dodawał mu sił. Usiadła obok niego i westchnęła. Śpiewała mu piosenkę, którą kiedy była małą dziewczynką, nuciła jej babka:

prychał i gulgotał gardłowo, i siedział dalej, złośliwie uderzając ogonem o piach.

Mariata podniosła się i stanęła przed nim z rękami na biodrach. Akacja udawał, że jej tam nie ma. Mariata stanęła na linii jego wzroku, żeby musiał wysilić się, chcąc ją zignorować. Wielbłąd popatrzył na nią osowiale.

- Musisz odpocząć. Rozumiem. Ja też muszę odpocząć. Ale nie możemy tu zostać: musimy iść dalej, aż znajdziemy oazę albo studnię. Wtedy będziemy odpoczywać, a ty będziesz mógł zanurzyć łeb w chłodnej wodzie i pić do woli, a potem jeść liście i daktyle. Ale teraz musisz się podnieść, stanąć na nogi. Bo jak tego nie zrobisz, to umrzesz. A jeśli ty umrzesz, to ja też. - Umilkła i dotknęła swojego rosnącego brzucha. - I moje dziecko też umrze.

W końcu, nie mogąc dłużej znieść jej przenikliwego wzroku, Akacja raz jeszcze z wielkim trudem podniósł się na nogi; Mariata szła obok niego, prawie nie odrywając stóp od ziemi. Nie sposób było nie myśleć o śmierci. Jej umysł krążył wokół niej jak jastrzęb kołujący nad swoją ofiarą. Zeszli w dolinę, gdzie pustynne wiatry ułożyły piasek w gładki błady dywan, lecz w niewielkim zagłębieniu coś sterczało. Ledwo wielbłąd ujrzał, co to jest, odskoczył w bok i zaczął żałośnie ryczeć. Mariata wpatrywała się w kości wybielone przez słońce i przez nawiewany piasek wypolerowane na połysk, a jej serce uderzało głucho o jej własne kości. Czy tylko tyle zostało z podróżnika, który ostatnio tędy przechodził? Czy ona i Akacja padną ofiarą takiego samego losu? Przez głowę przemknęła jej straszliwa myśl, wizja szkieletu skulonego na boku, owiewanego falami piasku, z ugiętymi kolanami, w próżnej próbie chronienia małego szkieleciku ukrytego pod jej żebrami.

Obraz dodał jej nowych sił.

- Niech cię! - powiedziała do wielbłąda. - Przebieraj kopytami. Przeżyjemy.

Mówiła to w równej mierze do siebie, jak i do wyczerpanego zwierzęcia. Z wysuniętą szczęką, Mariata ciągnęła ich oboje, chociaż była zmęczona, tak potwornie zmęczona. Zmieniła kierunek i teraz szła prosto na wschód. Nie umiała powiedzieć, dlaczego to zrobiła, ale ręka ją swędziała, a w głowie dudniła wiedza, której nie była do końca świadoma. Gdzieś tam znajdowała się Dolina Oaz, o której mówili handlarze w funduq, długa dolina ciągnąca się z północy na południe,



pełna pradawnych studni i oaz, przez które wiodły tysiące mil szlaków handlowych. Znajdzie ją albo umrze.

Hamada przeszła w erg - bezkresne morze wydm, gładkich, czubatych, w kształcie długich półksiężyców, o krawędziach wyostrzonych przez wiatr. Stała na skale i patrzyła na rozciągające się przed nią wydmy z jasnymi szczytami, które rozdzielały pogrążone w cieniu zagłębienia, układające się pasiasto jak prążki na skrzydłach sokoła, i wiedziała, że znalazła się na skraju Wielkiego Ergu Zachodniego i że jeżeli szybko nie znajdzie wody, z pewnością nie przeżyje.

Akacja padł następnego dnia. Kolana ugięły się pod nim i runął na ziemię, a z jego pyska i odbytu z fuknięciem dobyło się śmierdzące powietrze. Potem siedział wpatrzony przed siebie, jakby widział swoją śmierć, plamkę na horyzoncie zbliżającą się nieuchronnie krok po kroku. Mariata rozplakała się i objęła go ramionami za szyję, wtulając twarz w jego rozpalony bok.

- Wstań! - błagała. - Stań na nogi!

Panika obudziła w niej złość. Okładała wielbłąda pięściami, on jednak znosił to obojętnie. Kopała go i szlochała, nie roniąc łez, ale on się nie ruszał. I tak w końcu położyła się przy nim, w cieniu jaki rzucał, i czekała, aż przestanie oddychać. Nawet wtedy nie przewrócił się na bok, tylko tkwił dalej nieruchomo jak sfinks, w jednej sekundzie żywy, w następnej już martwy. Nie dało się określić, kiedy dokładnie zdechł, bo nic w nim się nie zmieniło. Mariata przyłożyła dłoń do jego pyska, ale nie poczuła oddechu. Przytuliła policzek do zapadniętych żeber i nie usłyszała bicia serca. Pociągnęła go za długie rzęsy, ale nawet nie drgnął. W końcu musiała przyjąć straszliwą prawdę: wielbłąd nie żył, a ona została sama, zbyt daleko jednak zaszła, by teraz zawrócić i szukać gdzieś pomocy. Nie wyobrażała sobie, by zdołała przetrwać w takim miejscu, nie mając nic poza własnymi nogami, które ją niosły. Siedziała oparta plecami o zwłoki wielbłąda i wpatrywała się martwo w piaski. Taki oto koniec czeka ją i jej nienarodzone dziecko. Ponury to koniec, ale przynajmniej umrze jak Zasłaniająca Twarz, na pustyni, która jest ich domem.

Nocą demony przyszły po jej duszę. Słyszała je w szumie wiatru, który zerwał się wraz z nastaniem nocy, unosząc piasek ze szczytu wydm. Z początku ich śpiew brzmiał słabo, jak głuchy szum dudniący w jej kościach, wprawiający je w wibracje; potem był wszędzie wokół

niej, w powietrzu, w ziemi pod jej stopami: powolny rytm życia, rytm istniejący od zawsze, który tkwił tam, zanim powstały wydmy, zanim rosły tu trawy, po których biegały żyrafy i gazy, a świat był bujny i zielony; kiedy Bóg stworzył demony z czystego ognia bez dymu. Śpiew przeszedł w ryk, potem w wycie. Mariata pozwoliła, by dźwięk ją wypełnił, na przemian przerażona i zachwycona. Kel Asuf, Ludzie Pustyni; śpiewali dla niej, bo rozpoznali w niej swoją, kogoś, kto z nikim nie rozmawia, kto podróżuje przez pustkowia. Przyszli po nią. W zasadzie przyjęła to z ulgą: nie będzie musiała dłużej walczyć z przeznaczeniem, śmierć spotka ją nie z jej ręki. Wstała i pozwoliła, by spadły na nią ciosy wichru i piasku.

Obudziła się następnego ranka z twarzą wtuloną w brzuch martwego wielbłąda. Oboje przysypała warstwa piachu, ale zostało trochę cuchnącego, lecz zdatnego do oddychania powietrza: najwyraźniej śmierć Akacji uratowała jej życie. Zrzucając z siebie piasek, stanęła na nogi. Rozejrzała się, zachwycona jasnym błękitem nieba i połyskującymi złociście wydmami. Wiatr w nocy był tak silny, że krajobraz, jaki ujrzała, był dziewiczy i obcy, jakby zagłębienia i krzywizny zostały ułożone na nowo przez wielką dłoń. Przez chwilę czuła rozczarowanie, że jej zmagania jeszcze się nie zakończyły, ale wtedy rosnące w niej życie kopnęło ją z całej siły. Mimo tragicznej sytuacji Mariata roześmiała się w głos.

- Witaj, malutki! Myślałeś, że musisz mi przypomnieć, że tam jesteś?

Przepełniona nową energią, Mariata wyjęła nóż Tany z sakwy z frędzlami, którą miała przewieszoną przez plecy, naostrzyła go na osełce, aż jego ostrze stało się cienkie jak krawędź półksiężyca i zaczęła ciąć martwego wielbłąda. Zebrała jego krew do jednego z bukłaków, potem rozebrała ciało: zdjęła z niego skórę, wycięła resztki zapasów tłuszczu, odłożyła do suszenia długie kawałki mięsa z boków i barków. Wkrótce z biednego Akacji zostały tylko kości, kopyta i wielki smutny łeb. Wielu skarciłoby ją, że nie tknęła głowy z pożywnym mózgiem i wypełnionymi płynem ślepiami, ale popadła w niechciany sentymentalizm, który nie pozwolił jej rozebrać na części łba przyjaciela, zwłaszcza takiego, który tyle wysiłku włożył, by uratować jej życie. Poklepała go niezręcznie w czoło, wygładziła łachę piasku obok i nożem wydrapała napis: „Niech twój duch wędruje po guelta i bujnych pastwiskach, niech chłodne cienie

przynoszą ukojenie twojej duszy. Mariata ult Yemma składa ci podziękowanie, dziecko Amastana ag Moussa składa ci podziękowanie". Najmniejszy powiew wiatru nie zniszczył ostrych symboli tiffinagh.

Z szorstkich włosów z wielbłądziego ogona i resztek suchych odchodów zrobiła śmierdzące ognisko i ugotowała na nim, a potem zjadła serce i wątrobę. Ponieważ głodowała od tak dawna, wszystko to zajęło jej mnóstwo czasu. Dziwnie się czuła, przymuszając się w ten sposób do jedzenia, ale wiedziała, że im więcej zdoła zjeść, tym lepiej będzie przygotowana do dalszej drogi. Koc przepadł, porwany przez pustynny wiatr, nocą więc leżała przykryta zdartą z wielbłąda, zakrwawioną skórą. Zdumiała ją praktyczność, z jaką wszystko to zrobiła: dawniej nie słyszała z zaradności, ale też nigdy wcześniej nie musiała polegać wyłącznie na sobie.

Przez dwa kolejne dni siedziała przy zwłokach biednego Akacji, gotując i jedząc każdy strzęp mięsa, jaki miała, i pijąc krew, zanim się ścięła. Zioła, które Tana włożyła do jej ślubnej torby, pozwoliły jej jeść, kiedy myślała, że już więcej niczego nie przełknie, i broniły przed chorobą, która mogła się rozwinąć po zjedzeniu takiej ilości mięsa. Kiedy trzeciego dnia zaszło słońce, zebrała wysuszone mięso do worka, który zrobiła z żołądka wielbłąda, i przymocowała ją sobie do pleców paskami skóry. Worek był ciężki i niewygodny, ale oznaczał przetrwanie. Teraz będę niosła garb Akacji, a on da mi swoją siłę, powiedziała z mocą, z przodu przytwierdzając sobie bukłaki.

Brnęła na południowy wschód, kierując się gwiazdami. Szła przez okolicę pokrytą płaskim, ubitym piaskiem, który wiatr układał w warstwy tysiącami malutkich fal. Wzór, elegancki w swojej doskonałej regularności, zajmował jej myśli i koił wzrok; nie cieszyła się, kiedy piasek zrobił się bardziej miękki, a ona brnęła po kostki w miękkim pyle, wydmy jednak szybko na powrót zrobiły się płaskie i jak okiem sięgnąć otaczał ją idealny wielbłądzi brąz, niczym niezakłócony, poza rozrzuconymi nieregularnie ciemnymi kamieniami, każdy wielkości dziecięcej pięści. Kiedy przysiadła, by odpocząć, wzięła jeden z nich do ręki i zdumiała się, czując jego ciężar. Wydawał się cięższy, niż powinien być zwyczajny kamień, przyjrzała mu się więc dokładniej. Pokryty brązowymi plamkami i osmolony jakby ogniem, bardziej wyglądał jak metal niż skała i wtedy przypomniała sobie, jak Amastan opowiadał jej o burzowych

kamieniach, które spadły z nieba. Siedzieli wtedy na jednej z wysokich skał strzegących wiodącej z Tamesny drogi na ziemię plemienia i patrzyli, jak spadające gwiazdy zostawiają srebrny ślad na nocnym niebie.

- Szedłem kiedyś przez ziemie, gdzie serca takich gwiazd spadły całymi setkami - powiedział jej, a ona zrobiła minę pełną niedowierzania.

- Kolejna z twoich szalonych opowieści! - ofuknęła go, chociaż uwielbiała słuchać jego głosu, choćby karmił ją najbardziej niestworzonymi historiami.

- Inszallah, nigdy nie znajdziesz się w takim miejscu. Wielu próbowało przebyć równinę, ale Al Djumsjab, ponury oddech ergu, który rozdziela towarzyszy i niszczy karawany, pochłoniął ich wszystkich. Teraz zostały po nich tylko kości bielejące na słońcu, a ich duchy błądzą po pustkowiach razem z Kel Asuf i grają w piłkę żelaznymi sercami, które spadły z nieba.

Brała to za jeden z jego poetyckich wymysłów, ale teraz przypomniała sobie, jak kiedy indziej zapytał ją, czy nie sądzi, że gwiazdy świecące im nad głowami mogą być duszami zmarłych. Odrzuciła kamień, wstała i najszybciej jak mogła, zaczęła iść przez pole burzowych kamieni, z każdym krokiem wzdrygając się z przerażenia.

Kiedy następnego dnia wdrapywała się na stromą wydnię, poślizgnęła się, przewróciła i stoczyła na sam dół, gdzie leżała, dysząc ciężko. Lewa ręka piekła ją i bolała. Obróciła ją dłonią do góry i obejrzała. Na samym środku, gdzie długa prosta linia rozdzielała dłoni na pół, tkwił cień wbity tak głęboko, że nie wystawał nawet odrobinę. Krzywiąc się, Mariata ścisnęła i gniotła skórę wokół niego, na próżno. Próbowwała wydłubać go ostrzem małego noża, ale cień wcisnął się jeszcze głębiej. Gdyby mogła, zapłakałaby z cierpienia i frustracji, ale w oczach poza palącym bólem nie miała nic.

Następnego dnia dłoń była spuchnięta; wokół rany utworzyły się zaczerwienione, obrzmiałe poduszeczki ze skóry. Przy każdym kroku ręka pulsowała i tak ciążyła, jakby dźwigała burzowy kamień. W krótkim czasie Mariata miała wrażenie, że całe jej istnienie skupiło się w ranie, która stała się obolałym, pulsującym sercem, reszta zaś zmieniła się w bezdymny ogień za sprawą czarów uwięziony w ludzkiej formie, ale w każdej chwili, jak tylko zakłęcie przestanie

działać, gotowy ulecieć w powietrze. Prawie majaczyła, kiedy przed jej oczami pojawiła się oaza, i potykając się, szła ku niej przekonana, że to pustynny miraż rozpalonego powietrza, chociaż ledwo co wstał świt. Jednak im bliżej podchodziła, tym wyraźniej ją widziała; zieleń palm raziła jej oczy po nieustannym patrzeniu na brązy i czerwienie. Niebo jak w lustrze odbijało się w wodzie, kompletnie nieruchomej. Nagle wyraziście jak w halucynacji ujrzała siebie zanurzającą rozpaloną dłoń, widziała, jak zamyka się wokół niej woda, zostawiając tylko nadgarstek widoczny nad powierzchnią. Poczła chłód, a wraz z nim tak przejmującą rozkosz, jaką pamiętała tylko z chwil największego uniesienia w objęciach Amastana. Wyobraziła to sobie tak jasno, że marzenie i rzeczywistość zlały się w jedno. Dopiero kiedy zaczęła pić, doszła trochę do siebie, gdyż zamiast rozkoszy poczuła bolesne, przenikliwe pieczenie. Gardło miała tak wyschnięte i zaciśnięte, że prawie nie mogła przełykać; zamiast tego krztusiła się, zachłystywała i wymiotowała. W końcu udało się jej wmusić w siebie odrobinę wody, a potem jak umierające stworzenie zrzuciła wszystko, co niosła, wpełzła pomiędzy zacienione korzenie i zasnęła w chłodnych ciemnościach.

Obudziły ją głosy i usiadła gwałtownie, przerażona. Trzy wielbłądy na szeroko rozstawionych nogach piły z wodopoju, wyciągając szyje. Na drugim końcu oazy siedzieli trzej mężczyźni, napełniając bukłaki wodą. Chyba jej nie zauważyli. W ciemnym zakurzonym ubraniu i z czarnymi tobołkami zlewała się z otoczeniem. Z jednej strony chciała do nich krzyknąć i prosić o pomoc; z drugiej jednak zwyciężył instynkt. Cofnęła się między palmy i czekała. Patrzyła, jak dwaj mężczyźni ułożyli się na ziemi pod palmami na spoczynek, podczas gdy trzeci kręcił się niespokojnie i najwyraźniej chciał ruszać dalej, jednak bez skutku. W końcu on także usiadł i wsparty o palmę chyba zasnął, Mariata jednak nie odważyła się ruszyć.

Wraz z nastaniem nocy mężczyźni rozpalili ogień i zaczęli szykować jedzenie i herbatę. Zapach posiłku dotarł do niej i żołądek się jej skurczył z burczeniem. Wyciągnęła kawałek suszonego wielbłądziego mięsa i zaczęła żuć, przez cały czas marząc o smaku zielonej herbaty i cukru. Skaczące płomienie oświetliły twarze mężczyzn: Mariata zobaczyła, że dwaj mieli zasłonięte twarze jak mieszkańcy Hoggaru, co dodało jej odwagi, by nieco się do nich

zbliżyć. Skradając się cicho pośród opadłych palmowych gałęzi z uschłymi brązowymi liśćmi, dotarła na kraj swojej kryjówki, gdzie przycupnęła i nasłuchiwała.

Mężczyzna w luźnym zawoju na głowie był wyraźnie niezadowolony. Nie mógł usiedzieć w miejscu i zrywał się na spokój towarzyszy.

- Nie rozumiem, czemu tu siedzimy! - powiedział po raz kolejny.

- W końcu to ja wam płacę: powinniście robić, co wam każe.

Wyższy z pozostałej dwójki popatrzył na niego spokojnie.

- Wielbłądy są wyczerpane, tak jak i my.

W Mariacie zamarło serce. Znała ten głos: to był jej brat, Azaz.

- Może być daleko przed nami; może wybrała szybszą drogę. Azaz westchnął.

- Nie ma szybszej. Wszyscy podróżnicy wiedzą, że Dolina Oaz to jedyna bezpieczna droga przez tę część pustyni. Każdego kto z niej zboczy, czeka pewna i szybka śmierć.

Rzeźnik Mbarek Ait Ali uniósł ręce, jakby odganiał zły urok.

- Modłę się do Allaha, żeby tak się nie stało. Szkoda byłoby takiej soczystej brzoskwinki.

W tym momencie drugi mężczyzną z zasłonięta twarzą wstał i kopnął piach w ognisko, zdradzając tłumioną wściekłość.

- To jak pogoń za dzikim zającem.

Mariata słyszała, jak jego chłopięcy głos załamuje się, zmieniając się na progu dorosłości. To był jej młodszy brat, Baye.

- Burza musiała zatrzeć wszystkie ślady; a może użyła jakichś czarów, żeby je ukryć - powiedział rzeźnik.

- Moja siostra nie jest czarownicą: nie powinieneś słuchać żony mojego ojca.

- W takim razie gdzie jest? Znikła, rozwiła się, a może przefrunęła? Nikt jej nie widział od Douiry, gdzie była razem z tym starym obszarpanym handlarzem.

- Może się rozdzielili.

- A może poruszają się szybciej od nas - nie dawał za wygraną rzeźnik. - Wszystko jedno, i tak muszę ją znaleźć. Nie mogę bez niej wrócić, bo stanę się pośmiewiskiem. Jeszcze jeden dzień, może dwa. Pojedziemy dalej na pustynię.

Azaz i Baye wymienili spojrzenia, ale nie odezwali się. W końcu Baye cmoknął.

- Moja siostra była rozpieszczona: nie przywykła do wędrówek przez pustynię. Pewnie jest już z powrotem w Imteghren, zajada się kuskusem i śmieje w mankiet. Powinniśmy zrezygnować, bo to na nic.

- Dotarliśmy dalej, niż się spodziewaliśmy, za co nam nawet nie zapłaciłeś. A jak nas złapie algierska armia, będziemy mieli kłopoty - dodał Azaz.

- Myślałem, że wy, nomadowie, macie gdzieś granice! - zadrwił rzeźnik.

- Ale nie własne życie - odparł spokojnie Azaz. Rzeźnik masywną pięścią uderzył w drugą dłoń.

- Może jeśli dołożę jeszcze sto dirhemów, zrobicie się trochę odważniejsi.

Azaz pokręcił głową.

- Nie chodzi o pieniądze. Po prostu nie mamy dość zapasów, żeby jechać dalej. - Mariata dobrze знаła wyraz twarzy, z jakim popatrzył na rzeźnika. Nawet jako dziecko Azaz był uparty, jego wściekłe wrzaski niosły się daleko od obozu, kiedy zmuszano go, żeby założył na siebie choć skrawek odzienia.

Dwaj mężczyźni zmierzili się wzrokiem, ale to rzeźnik pierwszy się poddał.

- Sądziłem, że będziecie chcieli uratować swoją siostrę przed trudami wędrówki, może nawet śmiercią.

Azaz niegrzecznie odwrócił się do rzeźnika tyłem.

- Na świecie są gorsze rzeczy od śmierci na pustyni - powiedział cicho, ale tylko Mariata go usłyszała.

W nocy, kiedy mężczyźni spali, przekradła się obok nich, chwyciła jeden z tassoufra, zajrzała do środka i znalazła sakwę daktyli. Były niesamowicie słodkie i przy pierwszym kąsie z bólu niemal rozerwało jej szczęki. Nie mogła się powstrzymać: zjadła wszystkie owoce i pozbierała do spódnicy lepkie pestki, żeby ukryć je wśród palmowych korzeni. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie ukraść jednego z wielbłądów, ale jej bracia byli doskonałymi tropicielami i szybko by ją odnaleźli, i choćby całym sercem byli po jej stronie, musieliby wywiązać się z zadania, za które rzeźnik im zapłacił. Nie mogliby też przynieść ojcu wstydu, sprzeciwiając się jego woli. Poza tym wspomnienie byczej postury zalotnika i jego wybuchowego usposobienia dodało jej sił: pozwoli im ruszyć w swoją

stronę bez niej. Może i jest bliska śmierci, ale to na pewno lepsze od przebywania w pobliżu rzeźnika.

Następnego ranka światło sączyło się wolno znad horyzontu, najpierw ponure, szarobłękitne, potem przechodzące z wolna w pomarańczowy blask, który jaśniał stopniowo i rozlewał się po całym nocnym niebie, jedną po drugiej gasząc wszystkie gwiazdy. Azaz wstał jako pierwszy. Odsunął koc, w którym spał, i poszedł prosto do sakw z jedzeniem. Podniósł tassoufra z daktylami i w zamyśleniu zważył w ręce. Baye stanął obok niego. Pochylił się i przyjrzał piaskowi, potem popatrzył na starszego brata. Ten kiwnął raz głową i przyłożył palec do ust. Obaj zerknęli na pochrapującego Mbareka. Potem Azaz zaczął szurać stopami po ziemi, jakby coś zacierając. Wziął jeden z tassoufra, poszedł w cień najbliższej z palm i powiesił sakwę tak, żeby była niewidoczna, przez cały czas rozglądając się wokół. Potem rozpełtał najmniejszego wielbłąda.

- Kiedy on się zbudzi, powiedz, że jeden z wielbłądów uciekł w nocy - zwrócił się cicho do brata - a ja poszedłem go szukać. Jak go znajdę, dogonię was. Szybko zwińcie obóz i wracajcie tą samą drogą, którą tu przyjechaliśmy. Czekać na mnie przy wzgórzach koło oued z niebieskimi kamieniami na dnie. Będę tam w południe. - Chwył wielbłąda za pysk, przerzucił nogę przez jego grzbiet i nakazał wstać. - Jeśli się nie zjawię, nie czekajcie na mnie.

Chwilę potem wielbłąd wraz z jeźdźcem znikli z widoku.

Baye podrapał się po głowie, potem poszedł parzyć herbatę.

Rzeźnik zrzędził okrutnie na wieść, że wracają, na dodatek bez jednego wielbłąda, ale po godzinie on i Baye odjechali i Mariata została w oazie sama. Jednak nie na długo. Samotna postać na wielbłądzie zbliżała się powoli.

- Mariata! - zawołał jeździec.

Nie odpowiedziała; nie pokazała się nawet.

Azaz podjechał prosto na brzeg oazy i pozwolił, by wielbłąd zaczął pić. Sam napełnił swój bukłak i pociągnął z niego potężny łyk.

- Wiem, że tam jesteś - odezwał się cicho. - Rano przy zapasach były twoje odciski stóp i brakowało daktyli - chyba że jakaś małpa ukradła mojej siostrze jej sandały z czerwonej skóry z rzeźbioną podeszwą...

Mariata wstała i wyszła na słońce.



- Nie wrócę z tobą, więc nie próbuj mnie przymusić. - Jej głos, kiedyś tak melodyjny, że słuchając jej śpiewu, dorośli mężczyźni płakali, teraz przypominał skrzek wrony.

Azaz popatrzył na wynędzniałą postać siostry.

- Pustynia nie obeszła się z tobą łagodnie, siostrzo.

- Na pewno łagodniej, niż zrobiłby to rzeźnik.

- A co z dzieckiem?

Nigdy wcześniej żaden z jej braci nie wspomniał głośno o jej odmiennym stanie; w Imteghren odwracali spojrzenie i nic nie mówili.

Mariata przyłożyła dłonie do brzucha, a dziecko jakby na zawołanie, kopnęło nie raz, lecz dwukrotnie. Uśmiechnęła się i popatrzyła w dół, po raz pierwszy dostrzegając, jak wychudzone miała nadgarstki, jak kości dłoni sterczały jej przez skórę. Wiedziała, że pod suknią jej żebra i miednica będą podobnie wystawać. Widząc ją teraz, co by powiedział Amastan, który dawniej pod pobłażliwym okiem księżycy zdejmował z niej ubranie i wodził rękami po pulchnych krągłościach? Pustynia zdejmowała z niej warstwę po warstwie jak znachor rozbierający wilczą cebulę.

- Oboje mamy się dobrze - odpowiedziała.

- I dokąd pojedziecie?

- Do domu. Do domu, bo chcę urodzić swoje dziecko na ziemiach Kel Ahaggar.

- Daleko stąd do Hoggaru, siostrzo. Może we dwoje będziemy mieć większe szanse?

- Już jest nas dwoje - uśmiechnęła się do niego, ujęta jego zawołaną propozycją. - Wracaj do innych i nic o mnie nie mów.

Azaz chwycił uzdę wielbłąda i podał Mariacie.

- Dla ciebie. A tam, na palmie masz jedzenie. Nasz ojciec by sobie tego życzył, gdyby tu był. Nikt nie powinien przymuszać do małżeństwa kobiety z Zaslaniających Twarz wbrew jej woli.

Oczy Mariaty wypełniły się łzami. Schyliła głowę, by nie widział, że płacze.

- Nie ukarzą cię za utratę wielbłąda? Po głosie poznała, że się uśmiecha.

- To niewysoka cena. Na wschód stąd prowadzi droga. Nie jedź nią: patrolują ją wojskowe pojazdy zmierzające do Timimoun i Tindouf. Spróbuj pamiętać, gdzie się znajduje. Przekrocz ją nocą na nizinie Tidikelt, gdzie zobaczysz wzgórze o trzech szczytach; potem

przez trzy dni zmierzaj na wschód. Kiedy w czasie zachodu słońca będzie zrywał się wiatr, zwróć się twarzą ku niemu i idź dalej. Po twojej lewej stronie wzejdzie Przewodnik i będzie przesuwał się przed tobą. Kiedy zniknie za widnokretem, musisz mieć Gwiazdę Północną za sobą, a Córki z przodu. Po drodze są wodopoje, ale jest ich niewiele i są od siebie oddalone. Grunt stopniowo się wznosi: podążaj wraz z nim, a zaprowadzi cię do Abalessy. Wielbłądzica ma na imię Takama. W zasadzie jest łagodna, ale może być uparta. Powinnyście się dogadać.

Takama miał na imię służący, który w wędrowce przez pustynię towarzyszył ich protoplastce. Mariata popatrzyła na brata zaskoczona ponurą ironią tego faktu, jak i jego niespodziewaną pomysłowością, i po policzkach spłynęły jej łzy.

- Tin Hinan powinna być dumna z mężczyzn ze swojego rodu. Uzda sama trafiła do jej ręki, jakby niespodziewanie ożyła; jednocześnie

ciężyła, ale i pasowała idealnie do jej dłoni.

- I z kobiet także.

Dotknęli swoich rąk, po czym Azaz odwrócił się i odszedł, idealnie wyprostowany, machając swobodnie rękami. Chwilę później już go nie było; stał się coraz mniejszą i mniejszą postacią przemierzającą szybko połacie piasku.

## ROZDZIAŁ 31

Spędziliśmy w obozie trzy dni, podczas gdy burza piaskowa szalała wokół nas, uniemożliwiając jakiegokolwiek przemieszczanie się. Choć to może dziwne, te dni były jednymi z najwspanialszych w moim życiu. Taib i ja byliśmy pozostawieni sami sobie, i kiedykolwiek indziej byłaby to dla mnie sytuacja niesamowicie klaustrofobiczna i niepożądana, ale teraz czułam się uwolniona od przytłaczającego mnie przez całe życie strachu i skrępowania. Być może pomagał mi w tym panujący w namiocie półmrok: zapewniał doskonałe warunki do wyznań i wzajemnego odkrywania się. Leżeliśmy na plecach wpatrzeni w mrok i zadawaliśmy sobie nawzajem pytania, które chce się zadawać komuś, o kim wiemy, że odegra w naszym życiu ważną rolę - wysublimowaną mieszankę pytań ważnych i głupstw. Ja byłam ciekawa, czemu Taib nigdy się nie ożenił, ile razy był zakochany i co nie wyszło, czy wierzył w życie po śmierci, czy chciał mieć kiedyś dzieci, czego nauczyły go błędy, jakie popełnił, jakiej słucha muzyki, którą potrawę najbardziej lubi, jakie są jego najpiękniejsze wspomnienia, najzabawniejszy dowcip, który zapamiętał. Leżeliśmy blisko siebie, nie dotykając się jednak, i śmialiśmy się, mruzciliśmy, drzemaliśmy. W końcu zapytał mnie o moje życie w Londynie i o moje dzieciństwo, a ja opowiedziałam mu o namiocie w ogrodzie i zabawach w wojnę, którą toczyłam z moimi przyjaciółmi, biegając na wpół nago i okładając się kijami.

- Straszny musiał być z ciebie dzikus - powiedział z uśmiechem.

- To prawda - odrzekłam cicho. - Ale to było bardzo dawno.

- Jednak dzikość zawsze przyciąga dzikość, Izzy. Widzę to w twoich oczach, kiedy patrzysz na pustynię: dzika część ciebie wciąż kocha dzikie miejsca. Czy nie dlatego się wspinasz, nie dlatego właśnie przyjechałaś do Maroka?

Nigdy nie myślałam o tym w ten sposób: ale faktycznie było w tym trochę racji.

- Przywiodło mnie tu pudło.

- Pudło? Opowiedziałam mu o spuściźnie pozostawionej mi przez ojca: pudle na strychu i jego zawartości, którą odkryłyśmy z Eve, gdy w końcu je otworzyłyśmy. Wtedy zerwałam się i usiadłam gwałtownie.

- Eve!

Obrócił się ku mnie z szeroko otwartymi oczami.

- Co? Co się stało?

- Eve, będzie się zamartwiać do bólu. Zaalarmuje całą policję Maroka, żeby mnie szukali! - Zaczęłam grzebać w torbie, szukając telefonu. Znalazłam go i gorączkowo nacisnęłam klawisze. - Cholera!

- Bateria padła. Kompletnie tracąc nad sobą panowanie, z wściekłością rzuciłam telefonem przez całą długość namiotu, a on uderzył w brezent z niedającym żadnej satysfakcji cichym pacnięciem.

Bez słowa Taib sięgnął do kieszeni i podał mi swój telefon. Niesamowite, ale nawet tam na największym pustkowiu na świecie był zasięg, choć co prawda słaby. Trzy razy próbowałam, zanim zdołałam wybrać numer Eve, a potem czekałam bez końca, aż odbierze. W końcu rozległ się odległy głos.

- Słucham?

- To ja, Eve: Izzy!

- Iz! Gdzie ty się u licha podziewasz? W pierwszej chwili byłam zdumiona, że nasi porywacze nie skonfiskowali nam komórek, ale wtedy zrozumiałam, że nie było takiej potrzeby. Cóż miałam jej odpowiedzieć?

- Dobrze pytanie. Nie mam najmniejszego pojęcia. Gdzieś w samym środku Sahary.

Jej pełen zdumienia okrzyk był tak głośny, że usłyszał go nawet Taib. Odsunęłam telefon od ucha, czekając, aż Eve trochę się uspokoi, a potem w miarę najzwyczajniej opowiedziałam jej, co nam się przytrafiło.

- Porwali was? Jezu, Izzy. Co mam zrobić, dzwonić do ambasady? Zastanawiałam się, jak na to odpowiedzieć, kiedy do namiotu wszedł mężczyzna i widząc, że rozmawiam przez telefon, wyrwał mi go z ręki i przerwał połączenie. Szczeknął coś do mnie w swoim agresywnie brzmiącym języku, ale zrozumiałam tylko veck moi, lecz sposób, w jaki machnął przy tym trzymaną bronią, był jednoznaczny. Obróciłam się bezradnie do Taiba.

- Idź z nim - powiedział tylko, a spojrzenie, jakim mnie przy tym obdarzył, rozgrzało mnie do szpiku kości.

Na zewnątrz burza zdawała się przycichać. Powietrze wciąż było szarżółte od unoszącego się w nim piasku, który jak śnieg układał się zaspami wzdłuż ścian namiotów, ale chociaż zgrzytał mi w zębach, mogłam oddychać. Poszłam za strażnikiem do największego namiotu, czarnego i nisko rozpiętego. Żeby do niego wejść, musiałam zgiąć się

niemal w pół. Wewnątrz przywódca trabandistes leżał rozciągnięty na trzciniowej macie, wsparty łokciem. Gdyby nie skromne wnętrze, można by go wziąć za starożytnego cesarza lub wodza, gdyż tak właśnie się zachowywał. Przebrał się z zakurzonego moro, które miał na sobie w dniu, gdy zostaliśmy pojmami, w długą ciemną tunikę i parę luźnych bawełnianych spodni, kunsztownie haftowanych wzdłuż nogawek; brązowe stopy miał bose, ukazując długie kościste palce i szerokie szorstkie stopy dziecka, które rzadko chodzi w butach; głowę miał w dalszym ciągu spowitą w plemienny zawój, tak że widać było tylko ciemne błyszczące oczy. Na ziemi przed nim, na małym okrągłym stoliku stały dwie dymiące szklanki, wyszczerbiony niebieski imbryk, stos placków i miseczka z oliwą. Skinieniem wskazał, bym usiadła, a ja niezgrabnie opadłam na kolana.

- Cóż, Brytyjczycy twierdzą, że jest pani obywatelką Francji, Francuzi zaś mówią, że jest pani Brytyjką. - Wydawał się tym wielce ubawiony. Wolną ręką pchnął w moją stronę jedną ze szklanek i dopiero wtedy ujrzałam, że w drugiej trzyma nowiuteńki telefon satelitarny. - Najwyraźniej nikt nie chce się o panią upomnieć, Isabelle Treslove - Fawcett. - Co mówiąc, rzucił mi mój paszport gestem niemal pogardliwym, jakby chciał powiedzieć, proszę bardzo, oto do czego to ci się tu może przydać.

Wepchnęłam paszport do kieszeni, chociaż na tym odludziu była to chyba najmniej przydatna rzecz ze wszystkich. Nie wiedząc, co powiedzieć, podniosłam szklankę z herbatą i skupiłam na niej całą swoją uwagę, napój jednak był tak gorący i słodki, że aż się wzdrygnęłam.

- Nieistotne. To część gry. Ja wykonuję swój ruch, oni odpowiadają jakimś gestem będącym kompletną stratą czasu, jednocześnie próbując dojść, gdzie jesteśmy i co powinni zrobić dalej... stare numery. Udają brak zainteresowania, ale na pewno miotają się jak szaleni w nadziei, że nie będziemy rozmawiać z prasą.

Pchnął do mnie koszyk z pieczywem i milczał przez kilka następnych minut, podczas których posilaliśmy się oboje. Zafascynowana patrzyłam, jak wkłada chleb do ust, chowając się za welonem i odwracając głowę, jakby jedzenie było czymś bardzo intymnym, czego nie powinnam być świadkiem.

Nagle telefon obudził się do życia, przemytnik wybrał jakiś przycisk, potem słuchał w skupieniu, warknął coś szybko w

odpowiedzi, skończył rozmowę i zerwał się na nogi, wykrzykując do swoich strażników. W jednej chwili w miejsce spokoju i porządku rozpełtał się harmider. W ogromnym, ale zorganizowanym pośpiechu mężczyźni zwinęli namioty i spakowali je na dachy pojazdów. Ja zostałam wepchnięta do touarega z taką siłą, że nawet nie miałam szansy rozejrzeć się za Taibem, i już w następnej sekundzie gnaliśmy, podskakując na pustynnych drogach, każdy samochód w innym kierunku.

Prowadząc gwałtownie samochód po koszmarnym terenie z jedną ręką na kierownicy, porywacz wykrzykiwał rozkazy do swojego telefonu. Ogromna chmura pyłu spowijała pojazdy, kiedy zarzucało nas na miękkim piasku, potem podskakiwaliśmy na żwirowej równinie, a luźne kamyki grzmociły w podwozie i karoserię wozu, jakbyśmy znaleźli się pod ostrzałem małokalibrowej broni. Biedny samochód Taiba, przemknęło przez mój myślący po zachodniemu umysł: lśniący czarny lakier będzie kompletnie zniszczony. W krótkim przyptywie podłości cieszyłam się, że to nie mój problem. Tę myśl przerwał mi wysoki wibrujący dźwięk nad naszymi głowami; wojskowy śmigłowiec z jasnym podwoziem i skrzydłami pomalowanymi w kamuflujący wzór zatoczył nad nami łuk i w mgnieniu oka zniknął w oddali.

Przemytnik uśmiechnął się z ponurym zadowoleniem, a wachlarzyk zmarszczek w kąciakach jego oczu znacznie się pogłębił.

- Ha! Może myślą, że przestraszymy się ich szpiegowskiego samolotu? Mamy ciebie i nikt nie odważy się nas zaatakować. Wyobrażasz sobie, jaką by im to zrobiło reklamę?

Umilkł, jakby dając mi czas na zastanowienie się, że on, prosty człowiek pustyni, rozumie pojęcie reklamy, a potem włączył napęd na cztery koła. Samochód piał się stromym korytem wyschłej rzeki, dotarł na szczyt i wystrzelił na bardziej utwardzony szlak porośnięty wzdłuż drzewami tamaryszku.

- Oczywiście gdyby coś ci się przytrafiło, zwałiliby winę na nas. „Brutalnie zamordowana przez porywaczyterrorystów”, tak by właśnie powiedzieli. Ale wśród światowych mediów my też mamy naszych sympatyków. - Zerknął na mnie. - Znasz jakichś dziennikarzy, Isabelle?

Popatrzyłam na niego.

- Ja? Nie.

- Nikogo w londyńskim „Timesie” ani w BBC? Żadnego znajomego w „Le Monde”? - nie dawał za wygraną.

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

- Obracam się w innych kręgach.

- To nie ma znaczenia. Sama możesz umieścić coś na internetowej stronie BBC. W następnym obozie załadujemy kilka twoich zdjęć.

Mówił z taką pewnością siebie, że obudził się we mnie bunt.

- Porwaliście mnie i mojego przyjaciela, ukradliście jego samochód, wieziecie nas Bóg jeden wie gdzie - w imię czego niby mam wam pomagać?

- Kiedy zobaczysz, co zamierzam ci pokazać, będziesz gotowa zrobić wszystko, byleby tylko pomóc naszej sprawie.

Stwierdzał to jak coś oczywistego; potrząsnęłam głową i próbując się nie roześmiać, skupiłam wzrok na podskakującym widoku za oknem. Całe moje oburzenie gdzieś się ulotniło. Pustynia nas połykała, ale mnie już nie obchodziło, dokąd mnie zabierają ani co się ze mną stanie. Nie miałam na to wpływu; nie ponosiłam za to żadnej winy. Nie czułam już strachu ani złości; siły znacznie potężniejsze wzięły mnie we władanie, a ja zwyczajnie się z tym zgadzałam. Godząc się na każdą ewentualność, czułam, jak ogarnia mnie spokój, jakiego nigdy wcześniej w życiu nie zaznałam. Dziwne: czyżbym zaczynała wyznawać zasadę inszallah? Jeśli tak, to w bardzo dużej mierze. Babka Taiba byłaby na mnie wściekła. Taib: nawet na najmniejsze wspomnienie o nim uśmiechałam się wewnętrznie. Ciekawe, czemu tak się działo?

Po jakimś czasie znaleźliśmy się na płaskiej piaszczystej ziemi, gdzie tu i ówdzie leżały okrągłe czarne kamienie i od czasu do czasu rosło samotne drzewo z szeroko rozpostartymi konarami. Porywacz zatrzymał samochód pod jednym z nich i wysiedliśmy na powalający upał. Dwaj strażnicy z tylnego siedzenia poszli załatwić się na stronę. Zrobiłam to samo, kryjąc się w dyskretnej odległości od pojazdu za roslą akacją. Kiedy wróciłam, przywódca grupy podniósł jeden z kamieni. Beztrosko rzucił nim we mnie, jakby grał w piłkę z jakimś dzieckiem. Złapałam kamień, ale natychmiast go upuściłam, bo okazał się znacznie cięższy, niż przypuszczałam. Obróciłam go i przyjrzałam się jego rdzawej, wyszczerbionej powierzchni.

- To meteoryt, moi ludzie nazywają go „burzowym kamieniem” - wyjaśnił mi przemytnik. - Uważa się, że przynoszą szczęście.

- Pod warunkiem, że się żadnym nie oberwie - powiedziałam kwaśno, a on wybuchnął śmiechem.

- Ha, Isabelle Treslove - Fawcett, to prawdziwie tuareskie podejście! Nawet w najgorszej sytuacji nie tracisz poczucia humoru.

Tuareskie. Czemu wcześniej nie zdawałam sobie z tego sprawy? Nie wiem, co sobie myślałam przez ten cały czas; byłam pewna, że zasłania twarz, żeby się maskować, a nie z powodów kulturowych, że zwyczajnie jest kryminalistą, który pragnie pozostać nierozpoznany. Popatrzyłam na niego z nowym zainteresowaniem, chociaż zaczął mnie przepelniać chłód. Kiedy Taib wspomniał o swoim tuareskim pochodzeniu, urzekła mnie egzotyka sytuacji, teraz jednak przypomniałam sobie ociekające krwią lekcje historii, jakich udzielała mi matka. Francuskie oddziały pod wodzą pułkownika Flattersa wyruszające z ekspedycją do algierskiego Hoggaru w 1881 roku, by wyznaczyć trasę planowanej kolei transsaharyjskiej, i brutalnie wymordowane, wciągnięte przez Tuaregów w zasadzkę na wzgórzach, gdzie uwięzieni między wojownikami plemiennymi i pustynią, zostali wycięci w pień. Czterystu Tuaregów na wielbłądach beztróska zaatakowało późniejszą, lepiej przygotowaną ekspedycję Lamy - Foureaux i zostali wybici wszyscy do nogi, tak ludzie, jak i zwierzęta. Kiedy byłam dzieckiem, wyobrażałam ich sobie jako Czirokezów lub Siuksów, dzielnie stawiających opór niemożliwym do pokonania: nowoczesności i postępowi, i jak zawsze w filmach byłam po stronie Indian, a przeciwko kowbojom, tak samo w duchu kibicowałam Tuaregom walczącym z Francuzami w sztywnych kołnierzykach, usiłującymi ujarzmić i pokonać dziki, swobodny świat, podobnie jak matka próbowała uczynić ze mną. Z perspektywy czasu muszę jednak przyznać, że owi pustynni wojownicy mieli też drugie, bardziej złowrogie oblicze; chłodną bezwzględność, z jaką nie zważali na nic poza ich własnym pojęciem honoru i wolności. Teraz sama znalazłam się w kleszczach tego ciągnącego się od ponad wieku konfliktu starożytnego świata z nowoczesnym, uwięziona dokładnie pośrodku. Podejście inszallah, które jeszcze nie tak dawno wyznawałam, teraz najwyraźniej zaczęło mnie opuszczać.

- Znasz moje imię - odezwałam się po chwili - ale swojego mi nie podałeś. Nie wyświadczysz mi tej grzeczności?



- Niektórzy nazywają mnie Fennec - pustynnym lisem; inni Tachelt, czyli żmiją rogatą - powiedział, ani odrobinę nie uciszając moich obaw.

- Nie masz jakiegoś bardziej osobistego imienia? - zapytałam, pamiętając, jak gdzieś czytałam, że ważne jest, aby zakładnicy nawiązali emocjonalny kontakt z porwaczami, gdyż są wtedy postrzegani jako istoty ludzkie i szanse, że zostaną zamordowani z zimną krwią, maleją.

- Nie podam ci mojego imienia w Kel Tamaszek; od dawna już go nie używam.

- Mówisz, jakbyś się go wstydził - powiedziałam zuchwale, może nawet zbyt zuchwale, bo zobaczyłam, że się rozgniewał i zadarł do góry brodę.

- Wstydzę? Nigdy. Duma Targui z jego pochodzenia jest niepodważalna: nasze dziedzictwo nosimy w naszych imionach. Moja duma jest niezmienna bez względu na wszystkie poniżenia, jakie spotykają mój lud, ale swoje imię i spuściznę zachowam dla siebie. Moje plemię dość się nacierpiało; nie narażę ich na dalsze prześladowania tylko dlatego, że coś mnie z nim wiąże.

Najwyraźniej dotknęłam czułego miejsca.

- Prześladowania? - zdziwiłam się w swojej naiwności - ktoś może prześladować pustynne plemię nomadów, którzy nigdy nie zatrzymują się w jednym miejscu na dłużej i są nieustannie poruszającym się celem?

Patrzyłam na niego, oczekując wyjaśnień, ale jego spojrzenie było nieobecne, przepełnione bólem i goryczą. Chwilę później odwrócił się ode mnie i krzyknął do swoich ludzi, by przynieśli mi nieco wody.

Kilka minut potem siedzieliśmy na powrót w samochodzie, wkrótce dołączyły do nas dwa pozostałe pojazdy i ruszyliśmy konwojem, frunąc przez piaski jak statki pod pełnymi żaglami, których drogę wyznaczają ogromne, wzbierające po obu stronach fale.

Zatrzymaliśmy się dopiero po zapadnięciu nocy. Drzemałam z głową opartą niewygodnie o szybę w oknie; kiedy rozbudziłam się na dobre, widziałam tylko ciemność, tu i ówdzie poznaczoną punkcikami niewielkich ognisk. Ten obóz wyglądał zupełnie inaczej od tamtego, który opuściliśmy rano. Powitały nas wesoło szczekające psy, ludzie zaś byli wszędzie, a także dzieci, mimo późnej godziny w pełni rozbudzone i bawiące się w najlepsze. Zauważyłam też kobiety, choć

te trzymały się z daleka. Słyszałam płaczliwe beczenie małych kózek, nawołujących swoje matki, od których zostały odłączone na czas dojenja. Skąd to wiedziałam - czego byłam absolutnie pewna - nie miałam pojęcia, ale gdy sobie to uświadomiłam, dreszcz przebiegł mi po plecach.

Strażnicy Fenneca zaprowadzili mnie do stojącego na uboczu namiotu i przy wejściu powitali jego mieszkańców; następnie cofnęli się, a mnie kazali wejść. Wczołgałam się, pełznąc prawie na czworakach, niezbyt godnie spotykając pierwsze w swoim życiu tuareskie kobiety. Patrzyłam na nie, a one na mnie, i ze zdziwieniem obserwowałyśmy nawzajem swój odmienny wygląd. Przywykłam do kobiet z Taфраout od stóp do głów odzianych na czarno, wstydliwie odwracających się od obcych, nigdy nie patrzących mi w oczy. Lecz te kobiety tutaj patrzyły na mnie otwarcie, a kiedy podchwyciłam ich wzrok, uśmiechnęły się i zaczęły paplać, aż ich srebrna biżuteria zaczęła się kołysać, odbijając blask świateł. Siedziały rzędem, jak postaci przedstawiające Trzy Wieki Człowieka na średniowiecznym malowidle: jedna młoda i uderzająco ładna, druga z pewnością w średnim wieku, i wreszcie starucha z twarzą jak u wielkiego jastrzębia. Zastanawiałam się, czy były spokrewnione, wcale nie skrepowane własnym towarzystwem; zastanawiałam się też, co myślą o mnie, w mojej pomiętej i na pewno brudnej lnianej koszuli, designerskich džinsach, drogich sandałach, z zegarkiem Longines i w tak dyskretnych, że niemal niezauważalnych kolczykach. Ich kolczyki były wielkie i rzucające się w oczy, ogromne kawały srebra w różnych geometrycznych kształtach, które wyglądały na bardzo niewygodne; one jednak nosiły je, jakby były lekkie niczym piórko. Wszystkie też miały na sobie w różnych odmianach amulety takie jak mój: przypięte do ciemnych sukni, kolorowych haftowanych bluzek, kunsztownych zawojów na głowę lub, tak jak ja, zawieszane na szyi na sznurkach lub plecionych rzemykach.

Uniosłam rękę do mojego amuletu, bezpiecznie schowanego pod koszulą, i czułam bijące mi pod palcami serce, jakby wcześniej niż umysł wiedziało, że oto dzieje się coś ważnego, co całkowicie odmieni moje dotychczasowe życie. Miałam wrażenie, że los i okoliczności splotły się i osiągnęły punkt kulminacyjny, doprowadziły mnie do sedna tajemnicy; i choć chwila jej wyjawienia była bliska, drżałam ze strachu przed jej poznaniem. Chciałam wyciągnąć mój

amulet i pokazać go tym kobietom symbolom, ale coś kazało mi się zastanowić. Byłby to niewdzięczny gest, zbyt gwałtowny i obcesowy przy pierwszym spotkaniu i o tak późnej porze. Pozwoliłam więc, by zrobiły mi miejsce na niskim łóżku ze sznurkowej plecionki, zasłanym kolorowymi wełnianymi kocami, i zanim się zorientowałam, leżałam przykryta. Jeszcze zanim na dobre opuściłam głowę, już zasypiałam. Moje myśli rozplywały się, mięśnie rozluźniały, moja świadomość zaś osiągnęła przejrzystość, jaka zdarza się wyłącznie w chwilach takich jak ta. Przez chwilę docierały do mnie ich ściszone głosy, niczym niesione wiatrem szepty, szelest liści czy szum drobnych fal na plaży, a po chwili dźwięki zlały się, a ja słyszałam powtarzane w kółko słowo: „Lallawa”.

## ROZDZIAŁ 32

Kiedy następnego ranka otworzyłam oczy, powietrze wypełniał blask, a ja byłam sama w namiocie. Przeciągnęłam się leniwie, czując dziwną ociążałość w kończynach. Nie pamiętałam, kiedy ostatnio spałam równie dobrze. Wyszłam na zewnątrz i rozejrzałam się. Znajdowaliśmy się w suchej dolinie, w której nieistniejąca rzeka wyłobiła szeroką równinę, gdzie jak okiem sięgnąć stały namioty i kręcili się ludzie: dziesiątki namiotów i całe setki ludzi. Starcy, których luźne tuniki i turbany nie zdołały ukryć chudych jak patyczki nóg i skóry opinającej kości. Dzieci miały wzdęte brzuchy i ogromne oczy, główki całkiem wygolone z wyjątkiem jednego lub dwóch długich warkoczy. Grupka starszych kobiet pilnowała garnków nad otwartymi ogniskami; młodsze rytmicznie ubijały coś w wielkich drewnianych móżdziejach.

Usłyszałam za plecami warkot i kiedy się obejrzałam, zobaczyłam szereg zbliżających się zakurzonych ciężarówek. Kiedy się zatrzymały, kobiety odłożyły swoje tłuczki i zbierając suknie, ruszyły ku nim, bardzo smukłe i wyprostowane, kroczące z godnością, zbyt dumne, by biec. Mężczyźni podawali im worki z żywnością - chyba zbożem i ryżem, worek warzyw, olej do gotowania, daktyle - a one czekały spokojnie na swoją kolejkę.

- Dzień dobry, panno Fawcett. Mam nadzieję, że dobrze pani spała. Obejrzałam się i zobaczyłam obok siebie tuareskiego wodza, a z nim

Taiba, który natychmiast spojrział na mnie lśniącymi jak gwiazdy oczami.

- Jak się masz, Izzy?

Jego widok sprawił mi taką ulgę i tak uszczęśliwił, że z trudem mogłam mówić. Chciałam go dotknąć, żeby upewnić się, że to naprawdę on, ale obecność Fenneca mnie powstrzymała. Miałam nadzieję, że mój uśmiech zdradził mu wszystko, co czuję.

- Dobrze, dziękuję. - Nie mogliśmy oderwać od siebie oczu. W końcu zdołałam zwrócić się do wodza. - Co to za miejsce? - zapytałam go. - Wygląda jak jakiś obóz dla uchodźców.

- Można tak powiedzieć. Ci ludzie rzeczywiście musieli uciekać i potrzebują schronienia.

- Stracili domy?

- Stracili wszystko. Wszystko, oczywiście oprócz życia i godności; ale głód i susza stanowią zagrożenie nawet dla tego. Chodźcie, chcę, żebyście kogoś poznali.

Zaprowadził nas do miejsca w obozie, gdzie kobieta, chyba w moim wieku, siedziała, przędąc wełnę, posługując się jedną ręką i jedną nogą. Druga ręka zakończona była kikutem, na którym brązowa skóra była okropna, lśniąca i purpurowa. Na jej twarzy i szyi widziałam pomarszczone blizny; jedno oko miała zamknięte. Fennec przyklęknął i przywitał się z nią, a ona odłożyła wełnę i wyciągnęła swoją jedyną rękę, dotknęli nawzajem swoich palców i dłoni w geście jednocześnie bardzo oficjalnym, ale i czułym. Następnie kobieta skinęła na Taiba i na mnie, byśmy usiedli, jak królowa przyjmująca swoich dworzan.

- Kella opowie ci swoją historię - powiedział Fennec do mnie. - Nasi ludzie zostali wychowani, by nigdy się nie uskarżać ani nie okazywać słabości, nie będzie się więc zbytnio rozwodzić. Sama będziesz musiała doczytać się reszty między wierszami.

Kella zaczęła recytować długimi rytmicznymi zdaniem, brzmiącymi niemal jak pieśń, a jej jedna ręka uderzała o ziemię, akcentując wznoszącą się i opadającą melodię głosu, niski zaś głos Fenneca wtórował jej śpiewnym słowom.

- Pochodzę z plemienia, które od wieków miało prawo do pastwisk wokół Tamazalak. Jednego dnia przyszedli żołnierze i zabrali wszystkie nasze wielbłądy. Powiedzieli, że mają dokumenty, które pozwalają im je zarekwirować. Niektórzy młodzi protestowali, więc wywieźli ich w ciężarówkach. Nigdy więcej ich nie widzieliśmy. Kiedy żołnierze wrócili, zostały już tylko kobiety, dzieci i starcy, ale i tak nas pobili. Powiedzieli, że buntownicy mnożą się w naszej wiosce jak skorpiony i wrzucili dwoje naszych dzieci do studni. To byli synowie mojej kuzynki Miny. Słyszeliśmy, jak krzyczą, kiedy łamały się im kości; wciąż je słyszę, kiedy kładę się spać. Ci z nas, którzy przeżyli atak, uciekli na pustynię z tymi zwierzętami, które nam zostały. Ale panowała susza i zwierzęta padały jedno po drugim. W końcu przybyłam tutaj, alhamdulillah.

Siedziałam oniemiała, podczas gdy Fennec jej dziękował, a Taib dotknął jej dłoni, wyraźnie poruszony opowieścią.

- Dziękuję ci - powiedziałam. - Merci bien, i shokran. Uśmiechnęła się smutno, kiwnęła raz głową, jakby nas odprawiała, i wróciła do przedzenia wełny.

Następnie Fennec zaprowadził nas do młodej niewiasty w kolorowej chustce na głowie, siedzącej pośród ubranych na ciemno kobiet. Wymieniono pozdrowienia, a potem Fennec tłumaczył, kiedy opowiadała, jak jej mąż został zabrany z obozu i zabity, bo podejrzewali, że należy do rebeliantów.

- Tak dzieje się bez przerwy - zakończyła z lekkim wzruszeniem ramion, ale mimo całej tej pozornej nonszalancji widziałam w jej ciemnych oczach ból, kiedy mówiła o swoim zabitym mężu, którego powiesili na drzewie w cieniu Góry Tamjak.

Pożegnaliśmy się i Fennec powiódł nas z powrotem.

- C'est l'enfer - powiedział Taib z twarzą ściągniętą od powstrzymywanych emocji.

Szliśmy za tuareskim wodzem i Taib musnął koniuszkami swoich palców moją dłoń. Był to przelotny, niemal niedostrzegalny gest, mimo to moje ramię zapłonęło, jakby ktoś palił je żywym ogniem.

Po drodze przez obóz Fennec pokazywał mijanych ludzi.

- Khabte jest sierotą - jego rodzinę wybito w Adagh des Iforas; Namę porwali żołnierze i zgwałcili w swoich barakach - przez trzy tygodnie była w śpiączce. Porzucili ją na pustyni, ale pustynia zatroszczyła się o swoją; znaleźliśmy ją i przywieźliśmy tutaj. Mostar należy do plemienia, którego odwieczne ziemie zostały odebrane przez Francuzów, kiedy znaleźli uran w Arlit; plemię rozproszyło się, bo nie mogli utrzymać się przy życiu. Niektórzy zbiegli do Algierii, skąd później zostali wydalen; teraz zębrzą na ulicach Bamako. Wielu ludzi stamtąd nas nienawidzi. Powiadają, że ich przodkowie byli naszymi niewolnikami, a teraz sytuacja się odwróciła i biorą odwet za tamte czasy. I robią to z niebywałym okrucieństwem.

Po drugiej stronie ciężarówki wskazał na jednookiego mężczyznę w brudnym moro i czarnym turbanie.

- Elaga przeżył masakrę w Tchin - Tabaradene. - Obrócił się ku nam i wbił w nas świdrujące spojrzenie. - Słyszeliście o Tchin - Tabaradene?

Taib był blady.

- Ja trochę - powiedział cicho. - Ale nigdy dotąd nie spotkałem nikogo, kto tam był.

Ja potrzęsnałam głową i oparłam się o jedną z ciężarówek, na przemian pocąc się i dygocząc jak w febrze.

- Isabelle, jeśli masz napisać dla nas artykuł, powinnaś poznać tę historię - powiedział Fennec, patrząc jednak nie na mnie, lecz na kolejkę kobiet wyciągających ręce po jedzenie. Odetchnął głęboko. - Kiedyś byliśmy najbardziej wolnymi ludźmi na ziemi; teraz należymy do najbiedniejszych i najbardziej prześladowanych. Zabrali nam nasze pastwiska i przeganiają nas z miejsca na miejsce. Kiedy głód i susza nas dotknęły, władze kradły jedzenie, które przysyłały nam różne organizacje, i sprzedawały na czarnym rynku. Teraz więc sam troszczę się o wszystko. Na ziemiach naszych przodków wydobywa się uran i ropę, pustynia jest ograbiana ze swoich bogactw, ale my nie otrzymujemy za naszą krzywdę żadnej rekompensaty; za to obce straże patrolowały granice kopalń w Arlit i strzelały do każdego, kto zanadto się zbliżył. A czy choć część z tych wielkich zysków, jakie płynęły z eksploatacji naszych ziem, trafiła do nas? Ani jedno sou. Nie zbudowano żadnych szkół ani szpitali dla naszych ludzi; nie mieliśmy pracy; żadnego naszego przedstawiciela nie było w rządach Mali czy Nigru. Nasi młodzi zostali internowani albo emigrowali, żeby wszystko co jeszcze było do jedzenia, trafiało do starców i dzieci. Elaga i ja zostaliśmy ishumar, bezrobotnymi, których nikt nie chciał: wysiedlonymi. Nierozsądnie przyjęliśmy zaproszenie Kaddafiego i pojechaliśmy do Libii przygotowywać przyszłą „Republikę Tuarecką”. To było w latach osiemdziesiątych. Elaga był jeszcze wtedy młody; ja starszy, powinienem więc był wiedzieć lepiej. Ale miałem marzenie, marzenie mojego poprzednika Kaocena: że któregoś dnia nasze plemiona zjednoczą się i utworzą Azaouad - republikę, w której wszyscy będziemy mogli wędrować wolni i żyć jak Tuaregowie. Obietnice Kaddafiego okazały się zwykłymi mrzonkami, ale wtedy w nie jeszcze wierzyłem. Żeby zarobić na życie, walczyłem w jego armii na Saharze Zachodniej, w Czadzie, w Libanie - przepelniał mnie taki gniew na cały świat, że walczyłbym w pojedynkę. Kaddafim powodowała wyłącznie próżność: podobało mu się, że może wysyłać prywatną armię na pomoc swoim arabskim kuzynom, ale w końcu i tak wszystko sprowadzało się do pieniędzy i wzajemnych przysług, z których Tuaregowie nie dostawali nic. Obietnice okazały się puste, co nie powinno było dziwić. Powinienem

był pamiętać, że Kaocen zawsze mówił, że w tym świecie Tuaregowie nie mają przyjaciół.

W 1990 zostaliśmy wygnani z Algierii razem z całą resztą naszych ludzi; ale nigdzie indziej nie chcieli nas przyjąć. Mali twierdziło, że to problem Nigru, Niger, że Mali. W końcu zawarli porozumienie i Niger został skłoniony, żeby przyjąć z powrotem osiemnaście tysięcy ludzi. Myśleliśmy, że wrócimy na nasze ziemie w Air i Tamesnie, ale w zamian internowali nas w Tchin - Tabaradene.

To było straszne miejsce: brudne, zatłoczone, pełne chorób i brutalności. Wojskowi byli zachwyceni, że słynni Tuaregowie, których wszyscy tak się bali, teraz zdani są na ich łaskę. Nieustannie zdarzały się pobicia, gwałty i rytualne upokorzenia: na ulicy rozbierali starców do naga, zdejmowali im welony i zmuszali, żeby po raz pierwszy w życiu odsłaniali twarze; młodzi chłopcy musieli czołgać się jak psy ku uciesze żołnierzy.

Spojrzał mi w oczy.

- Kiedy słyszę, jak Zachód oburza się na okropności, do których dochodzi w Abu Ghraib czy Guantanamo, chce mi się śmiać. Gdyby Zachód widział jedną dziesiątą tego, co nam robili w Tchin - Tabaradene, zapłakałby ze wstydu, że podobne rzeczy dzieją się w tak zwanym cywilizowanym świecie. Ale Afryka to zapomniany kontynent, a my jesteśmy zapomnianym ludem.

Poczułam, że ściskam pod koszulą mój amulet. Miałam wrażenie, że znalazłam się na jakimś polu minowym, a wokół mnie wybuchają słowa z siłą zdolną zabijać i ranić.

- Nie pozwalali nam opuszczać obozu ani uczyć naszych dzieci. W końcu grupa młodych zaczęła protestować przed posterunkiem policji. Zginął żołnierz, postrzelony ze swojej własnej broni. To był pretekst, na który czekały władze. Byliśmy nieuzbrojeni, wyczerpani, umierający z powodu chorób i niedożywienia: ale za śmierć jednego żołnierza rzucili przeciwko nam siłę całej armii, ogłosili stan wyjątkowy, przysłali bataliony, gaz łzawiący, spadochroniarzy. Obozy zostały zrównane z ziemią; studnie zatrute albo zamknięte. Przyszli nocą z maczetami i kanistrami benzyny...

Głos nagle mu się załamał, a ja zerkając z ukosa, zobaczyłam, że oczy płoną mu gniewem. Taib stał nieruchomo jak głaz, czekając na ciąg dalszy.



- Uciekłem, wraz ze mną inni. Po dziś dzień czuję się winny, że nie zostałem; ale wcześniej widziałem już tyle różnych rzeczy i wiedziałem, co nastąpi. Elaga został: miał żonę i troje dzieci. Ja nie miałem nikogo: mnie było łatwo uciec. Walcz jak szakał: tak zawsze powtarzał Kaocen i do tego namawiałem innych. Lepiej atakować i uciekać, niż walczyć jak lwy, twarzą w twarz; jednak niektórzy z naszych nie chcieli się z tym pogodzić. Dla nich to było tchórzostwo, nie pragmatyzm; ale to byli ci ludzie, którzy na swoich wielbłądach rzucili się na czołgi malijskiej armii w 1963 roku i zostali zmieceni co do jednego. Gest był wspaniały, ale tylko gest: skazany na klęskę i bezsensowny. Kiedy to mówiłem, nikt mi nie dziękował. Ci, którzy zostali, zginęli lub odnieśli straszliwe rany. Elaga stracił rodzinę, oko - prawie stracił życie. Wielu zginęło na samym początku, w pierwszym okresie przemocy; potem zaczęła się formalna eksterminacja. Mówili nawet o rozwiązaniu ostatecznym - tak, właśnie takich słów użyli - że Tuaregów trzeba wytłuc, wyeliminować ze społeczeństwa. Setki naszych ładowano na ciężarówki i wywożono na pustynię w stronę Bilmy. Dobrze znaliśmy ten szlak: w starych czasach nazywał się „solnym szlakiem”. Wielu z tych, którzy w ciężarówkach wyruszyli starą drogą karawan, nigdy więcej już nie zobaczyliśmy.

- Mój Boże - szepnął Taib. - Nie miałem pojęcia.

Otarł dłonią twarz, a ja zobaczyłam, że lśni w słońcu wilgocią, którą z niej zdjął.

- Straciliśmy prawie dwa tysiące ludzi, ale władze twierdziły, że liczba nie przekroczyła sześćdziesięciu. Ci, którzy uciekli, utworzyli koalicję. Złożyliśmy oficjalny protest do dawnych potęg kolonialnych, ale Francja odwróciła się od nas. Mogli zbyt dużo stracić na wydobyciu ropy i uranu, nie chcieli się więc angażować w zamieszanie, nawet kiedy włączyła się ONZ. Ulegając jakimś dyplomatycznym naciskom, Niger zorganizował proces, ale to było zwykłe oszustwo. Kiedy główny oprawca z Tchín - Tabaradene zeznawał, chełpił się, że gołymi rękami udusił jakiegoś starca, i publiczność w sądzie nagrodziła go owacjami. Próbowaliśmy dyplomacji, ale wszystko na próżno. Bezpośrednie działanie stało się naszą ostateczną i jedyną nadzieją. Od kilku lat dowodzę frakcją rebeliantów w górach, ale nasze ataki na wroga można porównać do ukąszenia moskitów. - Odetchnął długo i głęboko. - Od tej pory zawierane są niespokojne rozejmy, próby asymilacji, ale w gruncie

rzeczy wszystko zostało po staremu. Teraz w miarę możliwości próbuję pomagać mojemu ludowi i zainteresować świat ich sprawą.

Znowu zwrócił się do mnie i popatrzył na mnie z powagą.

- Może więc zrozumiesz, dlaczego robię to, co robię, Isabelle Treslove - - Fawcett, i choć trochę wybaczysz mi moje brutalne metody.

Nagle zalałam się łzami, przytłoczona i rozdarta między wszystkim co mi opowiedział i własnym napięciem. W porównaniu z ponurą, najnowszą historią Tuaregów moje własne problemy wydawały się nieistotne; jednocześnie jednak były ogromne, globalne, jakby wezbrała we mnie wielka fala poczucia wspólnoty.

Fennec odsunął się nieco ode mnie, skrepowany moim wybuchem. Zaraz odwrócił się z powrotem i wbił we mnie wzrok. Jednak nie na moją twarz patrzył, lecz niżej. Zorientowałam się, że nieustannie sięgając palcami, odpięłam guzik w mojej koszuli. Ale kiedy chciałam doprowadzić się do porządku, on jedną ręką chwycił mnie za ramię, drugą złapał amulet.

- Skąd to masz? - Wpatrywał się we mnie płonącymi oczami; potem zwrócił się do Taiba. - Zabraliście to tej starej kobiecie, którą pochowaliście?

- Nie, nie, oczywiście, że nie! - Taib był przerażony tym podejrzeniem.

- To własność Isabelle. Powiedz mu, Izzy.

W tym samym momencie, w którym cofnęłam się o krok, Fennec wyciągnął amulet spod koszuli. I wtedy skórzany rzemyk - który wytrzymał siłę upadku i uratował mi życie na Lwiej Głowie - pękł, a amulet upadł na kurz pomiędzy nami. Mimo swego wieku tuareski wódz był ode mnie szybszy. Jak atakujący wąż rzucił się na niego i chwycił do ręki, w której obracał go na wszystkie strony. Potem otworzył skrytkę za centralnym guzem, jakby za sprawą czarów znał jego działanie. Mały zwitek papieru wypadł mu na dłoń.

- Powiedz mi, skąd to masz! - zażądał chrapliwie.

- Mój... mój ojciec - wyjąkałam. - Mój ojciec zostawił mi to w spadku. - I opowiedziałam mu o pudle na strychu i jego dziwnej zawartości. - Bo widzisz, on był archeologiem, mój ojciec. W mojej torebce znajdziesz dokumenty, które razem z amuletem były schowane w pudle.

Popatrzył na mnie, ale tylko przez chwilę: jakby nie mógł oderwać wzroku od amuletu i tego, co w sobie krył. Po długim namyśle zaczął oddalać się od nas długimi gwałtownymi krokami.

- Chodźcie - krzyknął przez ramię, jakby po namyśle. Podreptałam za nim, czując się dziwnie naga bez amuletu; także lekka, jakbym za chwilę miała pofrunąć niczym nasionko.

W namiocie Fenneca - tym samym, w którym byłam poprzedniego ranka, cudownie przeniesionym tutaj, jakby teleportowano go z dopilnowaniem każdego szczegółu - skinął, żebyśmy usiedli, a sam zaczął grzebać w skrzyni, z której w końcu wyciągnął moją torebkę. Wcisnął mi ją do rąk.

- Pokaż mi - powiedział.

Był rozgorączkowany, co chwila ocierał twarz dłonią, zapomniawszy o całym dotychczasowym opanowaniu.

Wyjęłam złożone dokumenty i podałam mu. Kiedy je rozłożył, na podłogę wypadł tajemniczy zielony formularz. Podniósł go i uważnie obejrzał.

- Co to jest?

- Nie mam pojęcia - odpowiedziałam zgodnie z prawdą.

Fennec rzucił go na bok, skupiając się na zapisanej na maszynie kartce papieru kancelaryjnego, poświęcając na to bardzo dużo czasu. Na koniec wreszcie rzucił mi ją, oskarżycielsko wskazując palcem na dwa słowa.

- Tin Hinan! Co tu jest napisane o Tin Hinan?

Zrozumiałam, że tylko te dwa słowa rozpoznał, i to z trudem, przetłumaczyłam mu więc pobieżnie zapiski ojca, zacinając się z nieznamomości francuskich odpowiedników słów „mary”, „karneol” i „amazonit”, które ku memu zdziwieniu znał Taib.

- Czyli amulet został znaleziony w grobowcu Tin Hinan?

- Tak tu jest napisane.

Czułam się wyjątkowo niezręcznie. Mój ojciec najwyraźniej ukradł ważny historyczny artefakt z grobowca tuareskiej królowej. Był zwyczajną hieną cmentarną, a ja córką cmentarnej hieny.

- Wybacz - powiedziałam. - Nie mam pojęcia, czemu mi go zostawił. Mój ojciec uwielbiał łamigłówki; uwielbiał zwodzić ludzi, kpić z nich, wykorzystując swoją nadzwyczajną wiedzę. - Opowiedziałam im o liście, który do mnie napisał, ostatniej złośliwej

manipulacji. - Wiedział, że nie zostawię tego, ot tak. - Przerwałam i nachyliłam się. - Potrafisz przeczytać napis? Znasz tiffinagh?

Oburzył się.

- Oczywiście. Wszystkie dzieci wychowywane na prawdziwych Tuaregów u kolan swych matek uczą się tiffinagh. - On i Taib wymienili złowrogie spojrzenia.

Potem Fennec wyszedł na zewnątrz i usiadł ze skrzyżowanymi nogami przed namiotem, ręką wygładzając piasek przed sobą. Kluczykiem do samochodu napisał na nim serię symboli, co i rusz porównując je z kawałkiem papieru. Potem potrząsnął głową, mruknął coś do siebie i zmasał wszystko, co napisał. Obrócił karteczkę na bok, bacznie się przyjrzał i zaczął od nowa. Po kilku nieudanych próbach wykrzyknął z rozpaczą, zerwał się na nogi i z wściekłością kopnął w piasek.

- Za mną! - rozkazał nam wyniośle i po raz kolejny powędrowaliśmy za nim przez obóz jak psy przy nodze swojego pana.

W cieniu drzewa znalazł staruchę, która siedziała w namiocie, gdzie spędziłam noc. Zaczęli odprawiać rozwlekły powitalny rytuał, aż naszła mnie ochota, żeby wyrwać mu naszyjnik i karteczkę i cisnąć jej w twarz. Całe szczęście, zwyciężyła moja angielska rezerwa i dobre wychowanie i zdobyłam się jedynie na niecierpliwe przestępowanie z nogi na nogę. W końcu Fennec pokazał kobiecie amulet i przyszła kolej na długą pantomimę w wykonaniu staruszki, która oglądała każdy najmniejszy szczegół rzeźbionych ozdób, czerwonych kótek, wystającego guza i kunsztownie plecionego rzemyka, teraz rozerwanego na pół. Kiedy Fennec pokazał jej, jak działa skrytka, rozgadała się jak dziecko, podniosła go do oczu i z nieskrywaną radością otwierała i zamykała guz. Potem oboje wdali się w dyskusję o mistrzowskim wykonaniu i pochodzeniu amuletu, i wreszcie Fennec wygładził na swojej dłoni karteczkę i podsunął kobiecie do obejrzenia. Cmoknęła i przekrzywiła głowę najpierw na jedną, potem drugą stronę, przez cały czas coś mamrocząc. Stuknęła palcem w jedną linijkę znaków, biegnącą od dołu do góry. Były trzy takie linki, ale kolejne trzy przecinały je w poprzek.

- Mariata - powiedziała, a Fennec z sapnięciem wypuścił powietrze, jakby przez ten cały czas wstrzymywał oddech. Staruszka dotknęła drugiej linki. - Amastan - rzekła.

Dla mnie te słowa nic nie znaczyły, ale powietrze tak było naelektryzowane emocjami, że czułam, jak włoski na karku stają mi dęba i drżą. Nagle pojęłam, co oznacza trzecia pionowa linijka.

- Lallawa - wyszeptałam, a oni wszyscy wbili we mnie wzrok. Zrobiło mi się najpierw gorąco, potem zimno i zaczęłam się chwiać.

- Ej - jej - powiedziała stara, a jej głos brzmiał, jakby dochodził z bardzo daleka. - Lallawa.

Taib przytrzymał mnie, obejmując w pasie ramieniem, a ja na szyi poczułam ciepły powiew jego oddechu, co wcale nie pomogło mi odzyskać równowagi.

- Przeczytałaś to? Lallawa? Czy zgadłaś?

Bez słowa potrząsnęłam głową. Nie miałam pojęcia.

Fennec dygotał cały. Widziałam, jak drży mu ręka, kiedy stara kobieta obróciła papier o dziewięćdziesiąt stopni. Obojętnie jednak, jak na nią patrzyła, chyba nie umiała niczego więcej odczytać. Wreszcie wyrzuciła w górę ręce w uniwersalnym geście rezygnacji i wygłosiła długą skargę. Fennec próbował zwinąć karteczkę, ale ręce trzęsły mu się za bardzo. W końcu starucha wzięła ją od niego, zgrabnie wsunęła do skrytki i przesunęła guz na miejsce, zamykając ją.

Wróciliśmy z powrotem tak szybko, że po dojściu do namiotu Fenneca brakło mi tchu.

- Czym lub kim jest Mariata? - zapytałam.

Patrzyłam, kiedy krzaczaste brwi starszego mężczyzny marszczyły mu się nad oczami, jakby chciał odpędzić moje pytanie, potem odwrócił się od nas i rękami chwycił się za głowę. A potem ten mężczyzna - przemytnik, przywódca rebeliantów, weteran walk, tuareski wódz czy kim tam był, który dopiero co raczył mnie koszmarnymi opowieściami o prześladowaniach i potwornościach wojny bez śladu emocji w głosie - rozsłochał się jak dziecko. Spomiędzy jego rozcapierzonych palców dobywały się rozdzierające dźwięki, wypełniając niewielką przestrzeń namiotu nieopisanym ogromem bólu.

Byłam wystraszona, przerażona nawet, że znalazłam się w klaustrofobicznej pułapce pełnej tak silnych uczuć. Chciałam wyjść z namiotu i biec, uciekać przed siebie, ale coś kazało mi zostać. Pamiętałam, jak mi mówił, że ich ludzie wychowywani są, by nigdy się nie skarżyć i nie okazywać słabości, i nie mogłam pojąć, jak to

możliwe, że śliczny plemienny naszyjnik z ukrytym talizmanem mógł zrobić tak ogromne wrażenie na tym twardym, gwałtownym mężczyźnie. Ale jedno wiedziałam na pewno: w moim amulecie tkwi wielka siła, pełna magii, niosąca ciężar swojej trudnej i tragicznej historii.

### ROZDZIAŁ 33

Skóra mego kochanka lśni jak deszcz na skałach wysokich  
Jak deszcz na skałach wysokich  
Gdy chmury nabrzmiałe pękają  
Pośród błyskawic i piorunów ryku  
Skóra mego kochanka jak miedź lśni  
Jak miedź lśni  
Gdy inadan nad ogniem ją kuje Ach!  
Wielbię ten połysk jego policzkowych kości  
Ostrych jak ostrze noża w świetle wieczoru  
Gdy odsłania się, tylko dla mnie.

Głos Mariaty załamał się na ostatnim wersie, bo na to wspomnienie łzy napłynęły jej do oczu. Nie marnuj wody, skarciła się ostro i zaczęła od początku. Poza tym nie można zdradzać słabości przed synem. Teraz był z nią przez cały czas: nieustannie czuła, jak się w niej porusza, jakby nie mógł doczekać się, kiedy wreszcie uwolni się z więzienia jej łona. Wciąż od nowa śpiewała to samo, wpieryw szeptem, potem skandując, aż oboje ukołysani rytmem znaleźli się niemal w transie. Obok niej wielbłądzica wolno i statecznie wtórowała jej stukotem swoich kopyt: Skóra mego kochanka lśni jak deszcz na skałach wysokich.

Śpiewała tę pieśń Amastanowi, gdy skąpani księżycowym światłem leżeli nad wodą w noc, kiedy żabi śpiew brzmiał najdonośniej. W noc, gdy ich dziecko zostało poczęte. Nie potrafiła powiedzieć, skąd to wie; po prostu tak było. Oczy ją szczypały, ale były zbyt rozpalone i suche, by wezbrać łzami; bolały ją tylko, ale nie tak dotkliwie jak serce.

- Dość tego! - ostro powiedziała do siebie na głos i zaczęła nową, inną piosenkę:

Odejdźmy z ludzkich siedzisk  
Choćby wody było w bród  
Woda zniewala najmądrzejszych z nas  
A mnie dopiero wiosen dwadzieścia i jedna.

Przy tych słowach aż się zatrzymała. Wiosen dwadzieścia i jedna. Ile ona, Mariata, ma lat? Teraz gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, nie wiedziała tego na pewno. Kobiety z jej plemienia upamiętniały każde kolejne lato, dorabiając brzeg do ręcznie plecionego dywanu, czyniąc nowe żłobienie lub zakładając nowy amulet, ona jednak nie

zabawiła w żadnym miejscu na tyle długo, żeby robić to, co zwykle czynią dziewczęta dla zaznaczenia każdego nowego roku, i uświadomiła sobie, że nie wie, ile tak naprawdę ma lat. Nagle owa niewiedza stała się niezwykle istotna. Zupełnie jakby nie miała prawdziwego poczucia samej siebie, żadnej tożsamości. W tym nieskończonym miejscu łatwo było zatracić tożsamość. Nocą, gdy nad jej głową migotały gwiazdy, czuła się najmniejszą istotką na powierzchni ziemi, pełzającą mozolnie jak jeden z tych małych, długonogich pustynnych żuczków, które widziała wdrapujące się na wydmy, ledwo muskające odnóżami gorącą ziemię, gdy biegły dokądś, zostawiając delikatne ślady na piasku, które i tak znikają zacieranym najłżejszym powiewem wiatru. Miała wrażenie, jakby wszelki ślad jej istnienia także z łatwością mógł zostać starty.

By odzyskać poczucie tożsamości, choćby tylko na własny użytek, Mariata sięgnęła do najgłębszych wspomnień. Najpierw przywołała lato, kiedy skończyła siedem lat i przyglądała się żabom składającym skrzek w guelta nieopodal ich letnich pastwisk; potem, już ośmiolatce, siostra jej babki pokazywała gwiazdy, kiedy siedziały obie na nosie Wilka, wznoszącego się nad Doliną Outoul. Kiedy miała lat dwanaście, wygrała konkurs poetycki z innym plemieniem. Używała słów, jakich niektórzy nigdy nawet nie słyszeli, czyniąc piękniejsze przejścia i tak zawołowane kpiny, że jej współplemieńcy z zachwytem wznosili okrzyki. Szła dalej, a wciąż napływały nowe, kolejne wspomnienia z dzieciństwa; raz nawet zaśmiała się w głos, kiedy przypominała sobie, jak uczyła swoją kuzyneczkę Alinę łapać figi, które rzucała wysoko w powietrze, tak wysoko, że niemal ślepa od słonecznego blasku, śledząc ich lot, a kiedy spadały, chwytiała je, kierując się bardziej wyczuciem niż wzrokiem. Ależ Alina się śmiała, a potem, będąc wtedy nieznośną pięciolatką, uciekała z figą w piastce i zjadała ją w całości, byle tylko nie oddać owocu Mariacie, i prawie się przy tym zakrztusiła... Mariata poczuła, jak do ust napływa jej gwałtownie ślina, i nagle ogarnęła ją tak przemożna chęć na figi, że prawie zemdląca. Musiała mieć figi, teraz; natychmiast! Nie jadła fig, odkąd opuściła Hoggar; potem tylko raz, kiedy przejeżdżali przez uprawiane przez harratin ogrody, gdzie rosły drzewka o srebrzystej korze, rzucając obficie cień.

Ale fig nie było. Ani tutaj, ani nigdzie w promieniu setek mil. Był to bezsporny fakt, ale coś w niej - może jej syn, nierozumny i



bezwzględny w swoich żądaniach, jak potrafią tylko dzieci - logikę miało za nic. Figi: musi je zjeść za wszelką cenę, bez względu na to, czego wymaga ich zdobycie. Jeśli domagało się ich dziecko, niezaspokojenie jego apetytu groziło, że ciemne znamię w kształcie owocu pojawi się na jego plecach albo co gorsza, na buzi. W obozie zawsze trafiały się dzieci z podobnymi znamionami, które je szpeciły; a przyszłe matki wiedziały, że jedynym sposobem, aby tego uniknąć, było zjedzenie dokładnie tego, czego domagało się dziecko: czy to był popiół czy sól, czy nawet wielbłądzie odchody.

Zdjęła torbę zostawioną jej przez Azaza, sięgnęła na samo dno i wyciągnęła ostatnią garść daktyli, które oszczędzała przez kilka minionych dni. Poza tym zjadła już wszystko, z wyjątkiem kilku kawałków biednego Akacji, teraz już tak wysuszonych przez słońce, że bała się o swoje zęby, gdyby spróbowała się nimi posilić. Będę udawała, że daktyle to figi, powiedziała do siebie, a jeśli wystarczająco będę sama dla siebie przekonująca, może uda mi się oszukać mojego syna, że daktyl to figa. Muszę sobie przypomnieć, jak figa smakuje, przypomnieć, jak w pierwszej chwili skórka wydaje się twarda, a już po chwili słodki owoc wypełnia usta, przypomnieć sobie strumień soku, miękkie nasionka między zębami...

- Więcej nie prosz mnie o figi - powiedziała cicho do dziecka parę chwil później. - Nie mam już ani jednej.

Jak dotąd szczęście im sprzyjało: po zacienionej stronie wydmy znaleźli pastwisko niewykorzystane przez żadnych wędrowców, gdzie Takama pała się przez cały dzień, mrucząc do siebie z zadowoleniem, zawzięcie pracując szczękami, by twardą, suchą trawę przerobić na paskudną zieloną papkę. Znaleźli też wodę: nawet te studnie, które były zaledwie dziurami w ziemi, prawie niewidocznymi, schowanymi tak dobrze, że aby na nie trafić, trzeba się było o nie potknąć. Kierowała się wskazówkami brata - podążała za gwiazdami, pilnując, by mieć wiatr z przodu - ale słuchała też własnego instynktu i pozwalała, by nogi wiodły ją tam, gdzie wskazywała linia na jej dłoni. Mimo to zostało im tylko tyle wody, by starczyła dla niedużej wielbłądzicy i bardzo ciężarnej kobiety, i chociaż garb Takamy wciąż był wyniosły i twardy, Mariata martwiła się nieustannie o zwierzę - bardziej nawet niż o siebie. W gorącym słońcu, gdy odpoczywały, leżała z rękami położonymi płasko na brzuchu, czując, jak robi się coraz większy i wypycha normalnie

ukryty guzek. Amastan nazywał go jej „pustynną studzienką”, kiedy najpierw lizał jej boki, aż jej skóra drżała pod dotykiem nocnego powietrza, które na wilgotnych śladach, jakie zostawiał, wydawało się chłodne, by wreszcie wepchnąć język głęboko w zagłębienie na brzuchu, a ona zwijała się ze śmiechu. „Przyjdzie dzień”, powiedział jej, „w którym będziesz tu miała przywiązane do siebie dziecko, jak kiedyś ty sama byłaś przywiązana do swojej matki; to będzie moje dziecko, tak piękne i tak kochane, jak żadne inne nigdzie na ziemi”.

Zastanawiała się, co powiedziałyby, widząc jej ciało teraz, ogromne, spuchnięte, jakby lada chwila miało wybuchnąć, skórę naciągniętą jak bęben; jej piersi, kiedyś pięknie sterczące, teraz nabrzmiałe i obwisłe jak wymiona owcy; nogi jak palmowe pnie; kostki jak wory... nic dobrego nie wyniknie z takich myśli: podniosła się ze znużeniem i zaczęła iść noga za nogą, z Takamą podążającą za nią pogodnie.

Raz po raz przelatywały jej nad głową samoloty, tak szybko, że ich hałas je wyprzedzał, a potem rozlegał się jeszcze, choć ich samych nie było już widać. Wielbłądzica zdawała się nie zwracać na nie uwagi, ale Mariacie wydawały się złowrogie, nieprzynależne ani do ziemi, ani do nieba. Drogę, o której mówił Azaz, przekroczyła wczesną bezksiężycową nocą, kiedy cały świat spowijała czerń i nigdzie nie widać było blasku reflektorów. Za sobą zostawiła Tanezrouft i ze wzrokiem utkwionym w gwiazdy przeszła przez Erg el - Agueiba, chociaż nie wiedziała, że tak brzmi jego nazwa; kiedy wzeszło słońce, wiedziała tylko, że to najbardziej opuszczone miejsce, jakie kiedykolwiek widziała, bezkresna piaszczysta równina poznaczona tu i ówdzie twardymi brązowymi solniskami i kolczastymi roślinami, do których nawet Takamą, jak dotąd niepokazująca żadnych dziwactw, z których słyną wielbłądy, nie chciała się zbliżyć.

Po kilku dniach na południe od solnej równiny natrafiły na ogromne łożysko wyschniętej rzeki i szły nim przez trzy dni, aż sandały Mariaty w końcu się rozpadły. Mariata i Takamą musiały się zatrzymać. Mariata usiadła na skale na dnie rzeki i oglądała swoje zniszczone stopy. Niegdyś szczyciła się ich pięknem; były delikatne i smukłe, a kiedy na swój ślub ozdobiła je henną, okrzykiem zachwytu nie było końca. Potem jednak pustynia mocno dała się im we znaki. Na początku odciski zamieniły się w rany, które po jakimś czasie się

zagoiły, pojawiły się za to następne pęcherze. Teraz blizna pokrywała bliznę, a gruba warstwa zrogowaciałej skóry rozepchała delikatny fason sandałów do takich rozmiarów, że w końcu szwy nie wytrzymały. Mariata obwiązała je szybko paskami oderwanymi z sukni, chowając pod nimi całą ich brzydotę, i z kwaśnym uśmiechem pomyślała sobie, że długo przyjdzie jej czekać, aż znowu będzie mogła zatańczyć bosą.

Kiedy ruszyły w dalszą drogę, Mariata obserwowała pogodę, bowiem przez kilka ostatnich dni zbierały się chmury, wiedziała więc, że zbliża się pora deszczów. „Na pustyni więcej ludzi się topi, niż umiera z pragnienia”, powiedział jej kiedyś Amastan, a ona go wyśmiała i nazwała głupcem, jeżeli myślał, że uwierzy mu w podobne bzdury. „Przekonasz się”, powiedział tylko. Następnego dnia spytali starego Azelouana, który potwierdził te rewelacje. „Kiedy na pustyni pada deszcz, to jest to ulewa z piorunami”, powiedział. „Pada zbyt mocno, żeby woda mogła wsiąknąć w piasek, więc gromadzi się w oued i tworzy rwące potoki. Kiedy chmury zaczynają się zbierać, zawsze szukamy wyżej położonych miejsc”.

Nadal nie do końca mu wierzyła i sądziła, że Amastan namówił starego poganiacza karawan, żeby sobie z niej zadrwił, mimo to teraz, gdy niebo ciemniało, powiodła Takamę na zbocze skalistej doliny. Teraz szło im się ciężiej i wolniej, gdyż musiały wybierać drogę między kamieniami i głazami, ale szybko się okazało, że Takama ma prawdziwy talent do znajdowania najlepszej trasy i w końcu Mariata dosiadła wielbłądzicy i pozwoliła odpocząć znużonym kościom. Przez ostatnie tygodnie szły obok siebie - Mariata czuła się zbyt ciężka, by dosiadać zwierzę - i teraz cieszyła się, że oszczędzała Takamę, która poruszała się ostrożnie i mądrze, co świadczyło, że jest w dobrej formie. Intuicja jej nie zawiodła: o świcie spadły pierwsze krople, zostawiając na zakurzonych skałach ciemne plamy, wkrótce zaś musiały poszukać schronienia, bo rozpadało się na dobre i z nieba spadła istna ściana deszczu. Z bezpiecznego, usytuowanego w miarę wysoko miejsca, Mariata ze zdumieniem patrzyła, jak korytem pędzi woda: gigantyczna, spieniona, kotłująca się brązowa fala, wymieszana z piaskiem i ziemią, gnająca na oślep, porywająca ze sobą wszystko. Gdyby były tam w dole, obie z Takamą zostałyby zmiecione w mgnieniu oka. W krótkim czasie Mariata dygotała na całym ciele, nie

wiedziała tylko, czy dlatego, że temperatura obniżyła się gwałtownie, czy raczej z przerażenia, co mogłoby je spotkać.

Nadejście deszczów podziało niczym katalizator pobudzający życie: w każdej szczelinie i zagłębieniu pojawiały się rośliny, pchając się na świat, co wykorzystywała Takama, żarłocznie się na nie rzucając. Otoczona tą nagłą żywotnością i obfitością, Mariata miała wrażenie, że rosnące w niej dziecko absorbuje całą jej energię, bo brzuch wzdał się jej jak rosnące ciasto, choć sądziła, że niemożliwe jest, aby urósł jeszcze bardziej. Pytała samą siebie, kiedy też zagnieździło się w niej ziarno, z którego wyrosło to ogromne dziecko, lecz nie miała siły, żeby policzyć wstecz wszystkie te tygodnie i miesiące, które upłynęły od śmierci Amastana. Wyczerpana zgarbiła się w siodle i obiema rękami uczepiona jego rzeźbionego łęku kołysała się w rytm stapania wielbłądźcy. Nigdy dotąd nie czuła się bardziej zmęczona.

Po kilku dniach w trakcie marszu poczuła, jak pod suknią rozlewa się jej coś mokrego. Przez chwilę myślała, że to mocz, chociaż ostatnio prawie w ogóle go nie produkowała; potem nagle spazm bólu przeszył jej brzuch, aż dysząc ciężko, musiała zgiąć się wpół. Po minucie wszystko ustąpiło, ale szybko kolejny skurcz niemal ją powalił; potem kolejny, i jeszcze jeden.

Na wzgórzach Adrar n'Ahnet Mariata wydała na świat swoje dziecko. Do aktu narodzin podeszła bardzo rzeczowo, nakazując sobie nie wpadać w panikę. Bo i po co? Nie było przy niej nikogo, kto mógłby jej pomóc. Rozebrała się i recytowała słowa, które miały trzymać demony z daleka od jej wrażliwych miejsc. W piaszczystym zagłębieniu pomiędzy kruszącymi się czerwonymi skałami, sama, tylko z towarzyszącą jej cierpliwą wielbłądźcą, naga pod pojedynczym, palącym okiem słońca Mariata kucnęła i parła, modliła się i pocila] a kiedy nad Górą Tinniret wzeszedł księżyc, dziecko wreszcie wyślizgnęło się na świat przy wtórze nawołujących do siebie po nocy szakali.

Drżąc z wyczerpania, Mariata zawiązała i przecięła pepowinę, jak widziała, że robią to kobiety z jej plemienia. Pepowina była długa i gruba jak wąż; powiesiła ją na krzaku, żeby wyschła. By nie przyciągało swym zapachem szakali, zakopała łóżysko, całe z wyjątkiem małego strzępka, który zjadła, aby część jej dziecka zawsze z nią była, a ona mogła strzec jego duszy przed Kel Asuf.

Dziecko było silne, ale ciche. Leżało na piasku i wierciło się, jakby natychmiast chciało wstać i zacząć chodzić. Mariata pogładziła ręką jego malutką napuchniętą twarzyczkę i zaciśnięte mocno powieki, gęste czarne włoski, już obsychające w powiewach chłodnej nocnej bryzy. Obmyła je piaskiem i położyła na miękkiej skórzanej sakwie, którą enad dla niej zrobiła. Nóż wbiła w ziemię tuż obok, by odstraszał duchy. Póki nie zacznie go chronić rytuał nadania imienia, który odbędzie się za sześć dni, grozi mu wielkie niebezpieczeństwo ze strony demonów. Następnie obmyła siebie najlepiej, jak umiała, i miejsce narodzin przysypała świeżym piaskiem. Potem ubrała się w obszarpaną suknię, położyła się i zwinęła wokół nowego życia, które ona i Amastan razem stworzyli.

Dziecko jadło szybko i z łatwością, i nigdy się nie skarżyło, radząc sobie z życiem, jakby rozumiało straszliwe okoliczności, w jakich ono i matka się znaleźli, i nie chciało przyciągać złego. Przez dwa kolejne dni Mariata odpoczywała i nabierała sił. Nie mogła się dość napatrzyć na dziecko. Gruchała do niego i śpiewała mu wszystkie piosenki, jakie pamiętała z dzieciństwa w Hoggarze; nawet te smutne; nawet pieśni wojenne. Kiedy dziecko otworzyło oczka, były ciemne jak cień i przez chwilę Mariata się bała, nie wiedziała jednak, czy boi się dziecka, czy o nie.

Trzeciego dnia, gdy wstała po odrobinę wody z bukłaka, który powiesiła na krzaku, na którym schła pępowina, przestraszyła coś, co białe i przezroczyste rozpierzchnęło się w tysiącu kawałeczków, frunąc ku błękitnemu niebu. Przez chwilę przyglądała się zdumiona, a kiedy zrozumiała, że to motyle, maleńkie i kruche, ze skrzydełkami, które w słońcu zdawały się zupełnie przejrzyste, uśmiechnęła się do siebie.

- Skoro wy możecie tu przeżyć, nam też się uda - szepnęła.

Wieczorem szóstego dnia Mariata wstała i trzy razy z powagą obeszła w kółko dziecko i wielbłąda, który w najbliższy sposób nawiązywał do namiotu. Nie było barana ani żadnego z inadan, który by go poświęcił na ucztę, wobec tego Mariata błagała Takamę, by pozwoliła upuścić jej odrobinę krwi ze swej szyi. Uważała, by nie ciąć zbyt głęboko. Dała dziecku krew do skosztowania, podając mu ją na palcu, ale ono czując jej słonawy smak, odwracało twarzyczkę i biło rączkami powietrze. Mariata westchnęła i próbowała tak długo, aż w końcu udało się jej wmusić odrobinę maleństwu, by trzymać Kel Asuf z dala od jego usteczek. Potem cieniutką gałązką narysowała wzór

gęsich łap w kącikach jego oczu i na czole, aby miało mocne oczy i umysł. Kiedy krew wyschła, obróciła dziecko i takie same znaki namalowała mu na plecach i nogach dla ochrony i siły. Napisała imię dziecka na jego wątrobie i sześć razy wypowiedziała je, ogłaszając wszem wobec, by stało się powszechnie znane, by wiadomym odtąd było, z jakich pochodzi rodziców i z jakiego plemienia, i że po kądzieli wywodzi się od Tin Hinan. Potem zdjęła z szyi amulet, wyjęła ze skrytki zwitek papieru i mozolnie, z językiem między zębami małymi literkami napisała imię nowego życia obok imion tych, którzy je stworzyli.

Potem zdjęła wysuszoną pepowinę i w wielkim skupieniu rozbijała ją tak długo o kamień, aż stała się zupełnie płaska, następnie pocięła na trzy cienkie paseczki i splotła tak misternie, że nawet Tana pochwaliby jej robotę. Zdjęła piękny, ozdobiony koralikami rzemyk, na którym dotąd wisiał amulet, związała na powrót i powiesiła sobie na szyi; potem zawiesiła amulet na rzemyku splecionym przez nią i obwiązała nim dziecko. Stworzyła możliwie najpotężniejszy amulet i jeśli on nie ochroni dziecka, nic tego nie zdoła uczynić.

Siódmego dnia rozpułała wielbłąda i powiodła go długim wyschłym korytem rzeki, które biegło przez nizinę. Na skraju doliny natknęła się na studnię Azib Amelloul i kilku nomadów, którzy widząc, że się zbliża, powitali ją.

- Isalan? Jakie wieści?

Wyrazili też swój podziw dla urody jej i dziecka. Byli to dobrzy, prości ludzie, biedni jak myszy, ale uparli się, żeby zabić dla niej jedną ze swoich kóz. Przez dwa dni Takama razem z ich zwierzętami pasła się na żyznym pastwisku, a Mariata była traktowana jak gość z rodziny królewskiej. Kobiety posługiwały się innym dialektem tamaszek od tego, który znała Mariata: mówiły chrapliwie i nosowo, a samogłoski bardzo przeciągały. Chciały wiedzieć, czemu Mariata jest sama i dokąd zmierza.

- Przyszłam na pustynię, żeby urodzić dziecko - powiedziała im, a one z uznaniem kiwały głowami: tak nakazywał obyczaj.

Prosil, żeby z nimi została - nowo narodzone dziecko zawsze przynosi szczęście - ale oni podróżowali na północ, do Adrar Tisselliline.

- Kobieta nie powinna podróżować samotnie - mówili. - Kręci się tu wielu bandytów i żołnierzy, jeżdżą między Tamanrasset i In Salah.

Jeżeli chcesz jechać sama, unikaj drogi. Tamci nie przestrzegają naszego kodeksu: nie szanują kobiet.

Mariata im podziękowała, a następnego dnia rozdzielili się. Patrzyła za nimi, aż ostatnia koza była już tylko odległą plamką, potem powiesiła sobie dziecko na plecach i załadowała wielbłąda. Nomadowie oczyścili i naprawili jej suknię najlepiej, jak umieli, zastępując poszarpane brzegi nową kolorową lamówką. Dali jej czyste, świeże powijaki dla niemowlęcia, nowy welon i parę starych butów, prawie na nią dobrych. Dali jej też proso, daktyle, kozie mleko i ser. Przy każdym kolejnym darze zbierało się jej na płacz: ludzie - na dodatek zupełnie obcy - byli tacy dobrzy. Za każdym razem odmawiała, wiedząc, jak ciężko jest im się z nią dzielić, ale oni zachowywali się, jakby swoją odmową ich obrażała, i tak, kiedy się z nimi pożegnała, czuła się bogata jak księżniczka.

Dosiadła Takamy i kierując się na południowy wschód, po dwóch dniach na horyzoncie ujrzała majaczące góry Hoggaru z ich szpiczastymi wulkanicznymi szczytami skąpanymi w promieniach zachodzącego słońca, których z niczym nie dało się pomylić. Mariata zaśmiała się głośno. Dokonała tego! Wbrew wszystkiemu wróciła do domu. Wzięła dziecko w ramiona i zwróciła je twarzą ku wzgórzom.

- Tam leży twoja ojczysta ziemia, moje jagniątko, najśłodsza kruszyno, kochanie moje.

Szli dalej, a ona opowiadała dziecku legendy Ahaggaru: o buncie Sanoussiego, kiedy to Kel Taitok powstali przeciw obcym najeźdźcom; o legendarnej, pięknej poetce Dassine, o której rękę zabiegało wielu szlachetnie urodzonych i która wyniośle odrzuciła zaloty najpotężniejszego z nich wszystkich wodza, mówiąc, że jest brzydki; o masakrze w Tit; o sprycie najeźdźców i odwadze wojowników. Opowiadała mu o malunkach w Touhogine i Mertoutek, gdzie wdzięczne gazy tańczą na skalnych ścianach, i o Górze Duchów, Garet el - Djenoun.

- Wkrótce znajdziemy się wśród swoich i wszystkie kobiety będą się tobą zachwycać i cię rozpieszczą, bo będziesz jedynym dzieckiem, które przebyło Wielką Pustynię.

Ale pod koniec następnego dnia masyw nie przybliżył się ani odrobinę. Przeszli Oued Tirahart i nabrali wodę ze studni Anou in

Arabit, podziwiając ślady na otaczającej ją ziemi: nie tylko kóz, baranów i wielbłądów, ale też osłów i mułów.

- Skoro są tu osły, to znaczy, że jesteśmy prawie w domu - uspokajała siebie, mówiąc niby to do dziecka.

Takama z pyskiem zadartym ku niebu ryknęła chrapliwie i donośnie, jakby się z nią zgadzała.

Przekroczyły strumienie płynące u stóp samotnego szczytu Ti - n - Adjar. Dalej leżała Abalessa i dolina Outoul; powyżej wzgórza jej ludu. Ziemia wznosiła się stopniowo i coraz częściej spotkać można było dziwne i majestatyczne skalne formacje, których kolor wraz z upływem dnia zmieniał się dramatycznie, z bladej piaskowej ochry w południe przechodząc do lśniącej umbry, a wreszcie ku zachodowi słońca stając się płonąca purpurą. Mariata dotykała ich w zachwycie, z sercem przepelnionym radością. Te skały wydawały się tak pełne energii; ona także.

Świtem następnego dnia z południa nadciągnęły kłębiące się chmury i Mariata jęknęła. Trudno tu było znaleźć schronienie, zwłaszcza takie, które zdołałoby ich osłonić przed potężną burzą piaskową. Najlepiej iść dalej. Kazała Takamie uklęknąć, umościła na jej grzbiecie dziecko, po czym sama wdrapała się na siodło. Mimo nadciągającej burzy zaśmiała się: cieszyła się, że jest taka zwinna, zamiast jak przez ostatnie tygodnie czuć się jak ciężarna owca. Jakiś czas udawało się im iść naprzód, wkrótce jednak natknęły się na czoło burzy, która zaczęła chlastać ich piaskiem, tak że nawet Mariata szczelnie otulona welonem czuła go w zębach. Burza przybierała na sile. W końcu stało się jasne, że nie zdołają iść dalej: musieli znaleźć schronienie i przeczekać w nim burzę. Poprzez atakujące ją fale piasku Mariata wypatrzyła pagórek i coś w jego zboczach, co wyglądało jak jaskinia. Pogoniła w tamtą stronę Takamę i klepała ją po łbie, aż wielbłądzica uklęknęła. Potem sama wspięła się po osuwającym się stoku. Niech będą dzięki: rzeczywiście znalazła jaskinię. Ułożyła dziecko w wejściu, a sama wróciła, żeby spętać wielbłąda, czując, jak piasek kłuje ją w ręce i twarz. Ale Takama już się usadowiła, zwrócona zadem do burzy.

W jaskini Mariata przygarnęła do siebie dziecko i ciężkie od mleka piersi podsunęła ku jego małym głodnym usteczkom. Do tej pory szczęście tak im sprzyjało, jakby strzegła ich sama Tin Hinan. Na zewnątrz burza wyła i wściekała się jak tysiąc głodnych demonów,



tutaj jednak mogli bezpiecznie przeczekać, aż się uspokoi. Mariata zapaliła dwie świece z torby Tany. Rozpuściła spód drugiej świece nad płomykiem pierwszej i postawiła ją na kamieniu. Potem to samo zrobiła z drugą. Dwa bliźniacze światła rozjaśniły wnętrze jaskini, ukazując, że nie był to twór natury. Mariata rozglądała się zdumiona. Znajdowała się w kamiennej komnacie, niewątpliwie ukształtowanej ludzką ręką. Przeszedł ją lodowaty dreszcz. Była w grobowcu lub wejściu do jakiegoś, ponieważ w miejscu gdzie przycupnęła, dostrzegła coś, co mogło być drzwiami wiodącymi z przedsionka. Jak tylko to sobie uświadomiła, marzyła wyłącznie o tym, by stamtąd uciec, choć oznaczało to trafienie wprost w szpony burzy. Dziecko zmusiło ją do pozostania: krzyknęło cicho i niezrozumiale, rączkami zaś zdawało się chwytać coś niewidzialnego. Mariata natychmiast nabrała przekonania, że do jaskini dostał się demon lub - co bardziej prawdopodobne - czyhał w niej, czekając na nieostrożnych podróżników.

- Odejdź! Trzymaj się z daleka! - wrzasnęła, ale jej krzyk zginął w ryku burzy.

W końcu spaliła resztkę ziół, które dała jej Tana, i mieszając ich popiół z kropelką własnej krwi upuszczonej z palca, zrobiła papkę, którą wypisała zaklęcia: najpierw na ścianie komnaty; potem w amulecie, tak aby każda linijka imienia stykała się z jakimś symbolem z pozostałych trzech linijek, tworząc zwarty, skomplikowany wzór. Zadowolona schowała zwitek papieru z powrotem w skrytce amuletu i założyła wisior dziecku na szyję.

- Ten amulet ochroni cię przed najgorszym z najgorszego - obiecała. A potem zapłakała, ponieważ żadne zaklęcie nie zdołało ochronić Amastana.

Następnego ranka burza przycichła, chociaż niebo wciąż było nisko, złowrogo pożółkłe, przesłaniając słynne szczyty Hoggaru. Wkrótce wszystko rozpełta się od nowa, Mariata nie miała wątpliwości, wobec czego postanowiła nie tracić czasu. Ale tego dnia dziecko było wyjątkowo uparte i niechętnie do współpracy. Wiło się w jej rękach jak górski zając i nie chciało pić mleka. W końcu Mariata straciła cierpliwość.

- Dobrze, skoro nie chcesz jeść, to nie dostaniesz!

Zawinęła je w powijaki, żeby nie mogło więcej kopać, i wyszła na poszukiwanie wielbłąda.

Ale Takamy nie było. Mariata wołała i rozglądała się, na próżno. Nigdzie na piasku nie było nawet jednego śladu wielbłądzich kopyt: wszystkie zapewne zatarła burza. Mariata westchnęła. Trudno: pokonała już znacznie dłuższą drogę od tej, która ją jeszcze czekała; nic specjalnego, a zresztą i tak prędzej czy później natknie się gdzieś na wielbłądnicę. Ciężko jej jednak było na sercu: obie tak wiele razem przeżyły i teraz utrata Takamy mocno ją zabolęła.

Podniosła dziecko i torbę enad, zdjęła welon i już miała zrobić z niego nosidełko dla maleństwa, kiedy usłyszała, że ktoś się zbliża. Obróciła się i ujrzała trzech mężczyzn na wielbłądach, z nimi czwartego wierzchowca. To była Takama! Już miała pobiec ku nim, ale opamiętała się w ostatniej chwili. To byli Kel Tamaszek: mieli zasłonięte twarze. Nie może rzucić się na nich jak jakaś szalona żebraczka. Nie byli też zwykłymi Tuaregami: dosiadali wielkich białych mehari i byli uzbrojeni, poza tym mieli też swoje tradycyjne takouba, przytroczone do wielbłądzich boków. Wyglądali przepięknie, zmierzając ku niej pod słońce. Siedziała więc na krawędzi mogilnego kopca i czekała, spoglądając na nich.

Przywódca wysforował się i patrzył na kobietę, której twarz jaśniała w przejrzystym powietrzu, na matkę z dzieckiem w ramionach. Patrzył na nią długo, bardzo długo. Na koniec się odezwał.

- Jeden nędzny mauretańczyk to żadna rekompensata za dwa mehari, które mi ukradłeś, ale przyjmę to jako zaliczkę na pokrycie twoich długów - powiedział. - I wiem bardzo dobrze, jak możesz spłacić resztę.

Mariata poczuła się, jakby ktoś wbił jej w brzuch lodowaty nóż. Potem serce zaczęło bić jej nierówno i boleśnie. Nie mogła oddychać, co dopiero mówić.

Trzej jeźdźcy zsiadli i podeszli ku niej. Najwyższy patrzył z niesmakiem na wierzące się dziecko.

- Połóż tego robaka na ziemi, gdzie jego miejsce - powiedział Rhossi ag Bahedi. - Nie będzie ci już potrzebny.

Walczyła: wrzeszczała, gryzła i drapała - ale byli dla niej zbyt silni. Wywlekli ją z grobowca; próbowała się opierać, ale wrzucili ją jak postrzeloną gazelę na grzbiet Takamy i odjechali wraz z nią. Przez trzysta metrów Mariata krzyczała za swoim dzieckiem, ale kiedy stało się jasne, że nie zamierzają zawrócić, zebrała się w sobie i koncentrując się do granic możliwości, starała się zapamiętać każdy

krok, każdy kamień i roślinę. Zapamiętywała każdą zmianę kierunku, każdy wzór na piasku i położenie każdego cienia. Miesiące spędzone na pustyni nauczyły ją wielu rzeczy; przede wszystkim jednak pokazały jej, jak bardzo jest silna i wytrzymała.

Tuż przed obozowiskiem Rhossi zrzucił ją na ziemię jak worek ryżu i stanął nad nią w zamyśleniu. Po chwili uśmiechnął się.

- Spróbuj krzyknąć albo się opierać, a gorzko tego później pożałujesz. Jesteś biedna i podróżowałaś samotnie, kiedy przyszliśmy ci z pomocą. Biorę cię za drugą żonę, z dobroci serca i żeby zapewnić ci ochronę.

Jego słowa spłynęły po Mariacie. Były bez znaczenia: liczyło się dla niej tylko dziecko. Miała plan, ale musiała być cierpliwa. Nie liczyło się nic, co stanie się tymczasem. Z niespotykaną u niej uległością pozwoliła się zaprowadzić do obozu. Minęli kilka spętanych wielbłądów, grupkę mężczyzn, którzy palili; przeszli obok zniszczonych jeepów w kolorze khaki i jakichś ubranych po europejsku ludzi.

- Nie patrz na nich - rozkazał cicho Rhossi. - Takie jak ty nic ich nie obchodzą. Interesują ich tylko piasek i kości, na pewno żadni żywi.

Dalej były namioty i kolejni ludzie; głównie kobiety, kilkoro dzieci. Wszyscy patrzyli na nią obojętnie, ale ona i tak odwracała wzrok. Za nią rozległ się warkot jeepów, stopniowo cichnący: wszystkich bardziej interesował ich odjazd niż jej pojawienie się. Przynajmniej dopóki nie została wepchnięta do podłużnego niskiego namiotu. Siedziała w nim pulchna ciemna kobieta o małych, złych ustach i cofniętej jak u królika brodzie. Jej ciemne oczy spoczęły na wynędzniałej sylwetce Mariaty i spoczywającej na niej władczo ręce mężczyzny, po czym z jej ust popłynął strumień inwektyw.

- Co ci przyszło do głowy, żeby sprowadzać mi do namiotu jakąś baggara?. Na pewno jest zawszona, wystarczy na nią popatrzeć. Zabieraj ją stąd, zanim wszystko mi zapaskudzi.

Rhossi tylko się roześmiał i tak mocno pchnął Mariatę, że upadła na kobietę.

- Uspokój się, żono; a może powinienem od teraz mówić do ciebie: „pierwsza żono”? To jest... Mina. - Było to pierwsze imię, jakie przyszło mu do głowy. Może być. Lepiej żeby nie rozniosło się, że znalazł na swojej drodze zagubioną członkinię potężnych Kel

Taitok. - Zostanie moją drugą żoną, ponieważ ty jak dotąd nie dałaś mi synów, a wiem, że ta tutaj jest płodna! - Nie wyjaśnił, skąd ma tę pewność, ale to i tak wystarczyło, żeby kobieta posłała nowo przybyłej spojrzenie pełne nienawiści. - Dopilnuj, żeby do zachodu słońca była czysta i wyglądała porządnie, albo pożałujesz.

Posłał jej słodki uśmiech, ale ona tylko się skuliła; aż za dobrze wiedziała, co kryje się za jego słowami.

Pierwsza żona o imieniu Hana wyładowała swoją frustrację na „Minie”, chociaż ani razu nie zwróciła się do niej wprost. Mówiła ot tak, do nikogo konkretnego. Na przykład:

- Czy ktoś kiedyś widział bardziej brudne i skołtunione włosy? Powinno się je wszystkie obciąć i koniec.

Albo:

- Nie mam pojęcia, co on w niej widzi? Jest chuda jak patyk i cuchnie jak koza.

Mariata ze swojej strony zgadzała się na wszystko, chociaż Hana starała się jak mogła, żeby czesanie, mycie i usuwanie włosów było możliwie najbardziej bolesne. Nie liczyło się nic poza ratowaniem dziecka: recytowała to w myślach podczas krótkiej uroczystości w obecności marabuta, w czasie pobieżnych „obchodów”, skromnych i cichych. Najwyraźniej Rhossi ag Bahedi nie był specjalnie lubiany, poza tym wielu z obecnych należało do rodziny pierwszej żony i pojawienie się nieznanego nikomu drugiej żony traktowali jak obrazę ich rodu. Wszyscy zgodnie uważali, że wódz nie powinien brać sobie drugiej żony, a już na pewno nie w takim pośpiechu. Ale nastały czasy, w których coraz mniej przestrzegano dotychczasowych zwyczajów: mnożyły się kłopoty i nikt nie był bezpieczny. Mężczyźni nabrali przekonania, że należy korzystać z przyjemności życia ile tylko się da, bo jutro może już nie nadejść. Trzeba też przyznać, że kobieta była piękna, zwłaszcza obmyta, w uroczystych strojach i ślubnych ozdobach, nawet jeżeli były pożyczone; na pewno milej się na nią patrzyło niż na biedną Hanę. Tylko że była chuda: zdecydowanie za chuda, co do tego wszyscy byli zgodni. Ale szybko nabierze ciała i wtedy stanie się prawdziwą piękną. No i nie trzeba było płacić wiana: prawdziwa okazja!

Kobiety wcale się tym nie przejmowały, chociaż żadna nie odezwała się nawet słowem. Lepsza pustynia niż los drugiej żony Rhossiego. Nawet pierwszej. Widziały siniaki Hany, chociaż starała

się je ukryć. Widziały też dziewczęta harratin, które Rhossi wykorzystywał. I chociaż wszystkie nade wszystko uwielbiały wesela, tak naprawdę tej nocy nie miały ochoty na śpiewy i tańce, i jak tylko pan młody zabrał nową żonę do łoża, szybko się rozeszły.

Kiedy Rhossi ją rozebrał i stał, przyglądając się jej na wpół zagłodzonemu ciału, pełnym mleka piersiom, obwisłemu brzuchowi i kościstym członkom, myśli Mariaty krążyły zupełnie gdzie indziej. Kiedy śmiał się z niej i z przyjemnością wspominał atak, w którym straciła jego kuzyna Amastana, nawet kiedy wpychał się głęboko w jej sekretne miejsca, wpatrywała się w ciemny dach namiotu, jakby mogła ujrzeć przez niego gwiazdy. Godzinę później, kiedy Rhossi chrapał ciężko, Mariata zarzuciła na siebie ubranie, wyslizgnęła się z namiotu, odnalazła Takamę i znikła w nocy, wyjątkowo ciemnej i bezksiężycowej.

Nie umiałyby powiedzieć, jak udało się jej odnaleźć drogę: pod osłoną ciemności wszystko wyglądało inaczej, ale kiedy zza wzgórz przed nią weszło słońce, Mariata ujrzała kopiec z ziemi i kamieni. Nie czekała, aż Takama uklęknie, lecz zeskoczyła z niej i jeszcze dobrze nie wylądowała, a już biegła, bosymi stopami uderzając w ziemię.

- Jestem tutaj! Przyszłam po ciebie! - wołała, ale nie odpowiedział jej płacz dziecka.

Wbiegła na pagórek i do wejścia do grobowca, ale wewnątrz było puste. Zawodziła rozpaczliwie, a dźwięk echem przewalał się przez komnatę, odbijając od kamiennych ścian i stropu. Na czworakach przeszukiwała każdy zakamarek jaskini, aż do krwi raniąc sobie kolana i ręce. Nie myliła się jednak: dziecko znikło.

## ROZDZIAŁ 34

Przez trzy dni i noce Fennec jak szalony prowadził samochód, pędząc touaregiem po pustynnych szlakach i kamienistych równinach. Świat za oknem był zamazany, rozmyty w rozdzielone pasma kolorów, jakby ktoś kręcił się na szaleńczej karuzeli. Przez pewien czas jechaliśmy utwardzoną drogą, co okazało się jeszcze bardziej przerażające od jazdy po bezdrożach. Fennec siedział ciężarówkom na tylnym zderzaku, a potem znienacka je wyprzedzał i wskakiwał przed nie w tak beztroski sposób, że moja prawa noga niczym tłok pracowała na wymaginowanym pedale hamulca, co zresztą - jak uświadomiłam sobie poniewczasie - nie na wiele by się zdało, ponieważ i tak jechaliśmy samochodem z kierownicą po lewej stronie.

Potem znowu pędziliśmy przez pustkowia, podskakując na wszystkie strony, amulet obijał mi się o obojczyki, a zawieszenie pojazdu dzwoniło i rzeziło. Przy jednym szczególnie potężnym uderzeniu obróciłam się, by popatrzeć na Taiba, ale on siedział niewzruszony jak zawsze, jakby za swojego SUV - a z najwyższej półki nie musiał zapłacić niemal dwuletnich zarobków. Trudno przyszło, łatwo poszło. Obok niego porucznik Fenneca nie zachowywał się z takim nonszalanckim spokojem, bo wpatrywał się w pędzący krajobraz oczami wielkimi jak młyńskie koła.

- Możesz nam powiedzieć, dokąd nas wieziesz? - zapytałam Fenneca jeszcze pierwszego dnia.

Trudno było mi mówić, bo ryzykowałam, że otwierając usta, wybije sobie zęby.

- Do kogoś, kogo znam.

Naprawdę musiał być aż taki tajemniczy?

- A po co?

- Dowiesz się, jak dojedziemy na miejsce.

Fennec nie powiedział nic więcej do czasu, gdy zatrzymał się w cieniu wielkiej akacji, wysiadł i przeprowadził dwie rozmowy przez telefon. Pierwszą mniej więcej zrozumiałam, bo mówił po francusku, chociaż tak przeklinał i używał tylu kolokwializmów, że większości się tylko domyślałam, ale chyba chodziło o jakieś płatności, które ktoś inny miał zrobić. Druga rozmowa toczyła się w języku tak obcym, że nawet nie próbowałam go zrozumieć. Zwróciłam się do Taiba.

- Wiesz, o co chodzi? - zapytałam go cicho.

- Ten obóz, w którym byliśmy, utrzymuje dzięki pourboire, który płaci komendantowi miejscowego garnizonu. Sprawdzał, czy w najbliższych dniach nie zanosi się na niespodziewaną zmianę personelu, i zapewniał go, że pieniądze są w drodze. Jeśli chodzi o tę drugą rozmowę, to zrozumiałem tylko kilka pojedynczych słów: coś w związku z punktami kontrolnymi i policyjnymi blokadami. - Wzruszył ramionami.

Co nie przyczyniło się zbytnio do ukojenia moich nerwów.

Koniec końców jednak nie zatrzymali nas żadni żołnierze ani policja i poddałam się biegowi wydarzeń i znużeniu. Zmusiłam się, by ogarnęło mnie moje wewnętrzne inszallah, i po chwili już spałam.

Kiedy się obudziłam, świat na zewnątrz przestał pędzić i blade, łagodne słońce wznosiło się nad zboczem zwieńczonym głazami o najróżniejszych, fantastycznych kształtach. Nie trzeba było zbytniej wyobraźni, żeby w jednym dostrzec przycupniętego zajęcia, w innym orła; siedzącego mężczyznę, wielki grzyb, długą psią mordę.

- Gdzie jesteśmy? - zapytałam Taiba.

Oczywiście nie miał najmniejszego pojęcia. Wysiedliśmy z zaparkowanego w cieniu skały samochodu i zaczęliśmy iść. Fennec kroczył na przedzie tak zdecydowanie, jakby postanowił swoimi butami pożreć ziemię. Mogłam sobie wyobrazić, jak zaciekły musiał być ten człowiek w walce, jak twardy i skupiony. Cieszyłam się, że płonące jastrzębie oczy wpatrywały się w drogę, a nie we mnie. Przez wciąż jeszcze obolałą kostkę z trudem dotrzymywałam mu kroku, na wpół biegnąc, na wpół kuśtykając. Obok mnie Taib sadył wielkimi susami, jakby mógł tak pędzić przez cały dzień, ale biedny porucznik wyraźnie się męczył: słyszałam, jak ciężko pracuje swoimi płucami palacza, dodatkowo obciążony półautomatycznym karabinem i manierką z wodą.

Tuareski wódz wyraźnie znał drogę: za każdym razem kiedy między głazami ścieżki biegły miriadami, on wybierał jedną z nich bez wahania. Po godzinie wyteżonego marszu, głównie pod górę, znaleźliśmy się na skalistej skarpie. Poniżej dostrzegłam połyskującą między głazami wodę, piaszczystą zagrodę, kilkanaście czarnych niskich namiotów i niewielką chatę z unoszącym się z komina dymem.

Fennec biegiem ruszył w dół zbocza ku tej małej osadzie, porywając za sobą lawinę luźnych kamyków. W swoim czasie setki

razy schodziłam z urwisk i skalnych wzniesień i miałam się za kogoś, kto nieźle sobie z tym radzi, ale nigdy wcześniej nie widziałam nikogo, kto stapałby równie zwinnie i pewnie jak on. Kiedy zbiegliśmy na dół, nigdzie go nie widziałam, pojawiło się za to mnóstwo innych ludzi, którzy przyglądali się nam z nieskrywaną ciekawością. Nieokazujące strachu dzieci o nieulęknionych oczach i szczerbatych uśmiechach biegły za nami i dotykały naszych ubrań i rąk, jakby grały w grę w wyzwania, po czym uciekały i z chichotem chowały się za plecami kolegów. Pokazywały na moje dzinsy, które chyba wydawały się im wyjątkowo śmieszne; zaczepiały Taiba, wspinając mu się na nogi i domagając się przejażdżki. Śmiały się z biednego, spoconego porucznika z „kałachem”, a niektórzy chłopcy łapali za patyki i udawali, że wdają się z nim w bójkę. Jedna mała dziewczynka z ogromnymi oczami i dwoma podskakującymi warkoczami niesamowicie zainteresowała się moim zegarkiem i za nic nie chciała puścić mojej ręki, z takim zafascynowaniem przypatrując się, jak sekundnik biegnie po tarczy, na której ozdobny brylancik połyskiwał w słońcu. W innym czasie i miejscu zegarek kosztował mnie prawie dwa tysiące, idiotyczna suma pieniędzy za przedmiot, którego jedynym zadaniem było pokazywanie czasu, podczas gdy tak naprawdę wystarczyło popatrzeć na słońce albo długość cienia na ziemi. Nie umiałam wyobrazić sobie czegoś równie nieprzydatnego w tym świecie, może poza papierowymi pieniędzmi, które musiałam za niego zapłacić. Z uśmiechem odpięłam skórzany pasek i pozwoliłam, żeby dziewczynka odbiegła z moim zegarkiem, ścigana przez koleżanki.

Taib uniósł pytająco brew.

- To był longines, prawda?

Przerażona mina porucznika była widokiem jedynym w swoim rodzaju. Wystarczyło, że na niego spojrzałam i wybuchłam śmiechem. Jedynie nagle pojawienie się Fenneca sprawiło, że nie zaczęłam śmiać się histerycznie.

- Venez avec moi - powiedział ostro i zawrócił na pięcie. Mijaliśmy namioty z wietrzącymi się kolorowymi dywanami, kobiety szykujące jedzenie lub zajęte przedzeniem, mężczyźni zaplatających i szyjących kolorowe skóry. Na odległym krańcu obozowiska doszliśmy do chaty, przed którą płonął ogień w palenisku. Weszliśmy do środka i okazało się, że to jakaś kuźnia. Wszędzie były kowalskie



narzędzia, młoty przeróżnej wielkości, kamienne kowadło i kolorowo ozdobione miechy. Dziecko, które ich pilnowało, popatrzyło na nas wielkimi oczami, po czym wybiegło, a my ujrzeliśmy postać kucającą przy ogniu. W skaczących płomieniach ujrzałam pomarszczoną skórę, bystre, błyszczące oczy i krótko obcięte bielusińkie włosy, kontrastujące szokująco z niemal czarną twarzą poniżej. Kiedy postać się podniosła, zobaczyłam, że wzrostem dorównuje niemal Fennecowi i prezentuje się równie imponująco, a jak na kogoś w tym wieku ma wręcz miażdżący uścisk dłoni.

Porucznik ze swoją bronią został odesłany, my natomiast zostaliśmy wyprowadzeni z ciemnego i zadymionego wnętrza na podwórko z tyłu, kolorowe od kwiatów i roślin. Natychmiast dostrzegłam krzaczki pomidorów, papryki i chilli, fenkuły, pomarańcze, nagietki i bugenwillę. Coś cudownego, istna oaza obfitości.

- Widzę, że podoba ci się mój ogród - powiedział kowal cichym i delikatnym głosem, niepasującym zupełnie do postury. - Wybacz, że nie noszę welonu: jednak nie z braku szacunku, lecz dlatego, że musiałby to być welon połowiczny. - Fenneca ta uwaga rozbawiła, ale moja mina musiała być wymowna, bo kowal się uśmiechnął. - Mam na imię Tana i mówią o mnie homme - femme, a ja wolę, by zwracać się do mnie jak do kobiety - padło wyjaśnienie w nienaganej francuszczyźnie.

Jestem pewna, że ze zdumienia rozdziawiłam usta, układając je w idealne „o”, i nie tylko dlatego, że nigdy wcześniej nie spotkałam świadomego homme - femme.

- Doskonale mówisz po francusku - powiedziałam, byle tylko powiedzieć coś, co nie zdradziłoby do końca mojego zaskoczenia. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- Umiem wiele rzeczy. Na przykład znam trochę język songhai: odkryłam, że kiedy rozmawiam z lokalnymi władzami i organizacjami humanitarnymi w ich własnym języku, udaje mi się znacznie więcej osiągnąć.

Gestem wskazała nam kolorowy dywan rozłożony na ziemi, z małym okrągłym stoliczkiem stojącym pośrodku; nieopodal na piecyku z węglem drzewnym już grzał się srebrny imbryk z herbatą. Stoliczek był przepięknie ozdobiony i wykonany; na nim stały cztery szklanki, jakby gospodyni wiedziała o naszym przybyciu. A może po

prostu miała tylko cztery szklanki, które zawsze tak ustawiała. Starannie dochowując ceremoniału, kobieta kował zaparzyła i podała herbatę, a my wszyscy zachowywaliśmy całkowitą ciszę, jakby nie wolno było zakłócać uświęconego rytuału. W końcu Tana pochyliła się do przodu.

- Podobno masz w swoim posiadaniu pewien amulet. Popatrzyłam na Fenneca, który skinął gwałtownie głową.

- W środku jest rulonik z napisem w tiffinagh.

- Ach tak, zwitek. - Kobieta kował przyjrzała mi się uważnie. - Co wiesz o tiffinagh?

Musiałam przyznać, że niewiele.

Zagięła róg dywanu i na piasku pod spodem narysowała kilka znaków.

- Nasz język mówi o świecie, w którym żyjemy. Oczywiście dotyczy to wszystkich kultur, w naszej jednak bardziej bezpośrednio traktujemy to, co dla nas fundamentalne. Widzisz te wszystkie proste kreski? To patyczki: przedstawiają nogi ludzi i zwierząt, których życie splata się w ciągłej współzależności - kóz, owiec i wielbłądów, gazeli, szakali i lwów. Krzyżyki oznaczają drogi, spośród których musimy wybierać, ścieżki, którymi kroczymy przez pustynię naszego życia, drogę, którą prowadzi nas słońce wraz z księżycem i gwiazdami. Nasi ludzie powiadają, że wszystkie ważne rzeczy biorą swój początek w sercu i rozchodzą się coraz szerzej i szerzej w Kręgu Życia, tak samo jak horyzont świata krąży wokół plemienia i jego stad. Ale wszystko i tak zawsze wraca do serca. Miłość jest największą siłą tego świata. - Otworzyła tajną skrytkę w amulecie, położyła sobie zwitek na dłoni i długo, długo się w niego wpatrywała. Wreszcie uśmiechnęła się wolno i schowała karteczkę, zamykając skrytkę z bardzo ostatecznym trzaskiem. - Myślałam, że już nigdy więcej tego nie zobaczę. Ale cieszę się, że mogłam potrzymać go w ręku, chociaż widział tyle nieszczęścia. - Jej ciemne oczy zdawały się przewiercać mnie na wylot. Potem zwróciła się do Fenneca. - Biedaku. Czterdzieści lat na pustyni; czterdzieści lat odwracania się od miłości, od wszystkiego, co rani najbardziej; czterdzieści lat zaprzeczania, że serce jest centrum świata. Nigdy jej nie odnalazłeś, prawda? I dlatego wróciłeś tu z tym po tak długim czasie. Och, nie zrozum mnie źle: jesteśmy wdzięczni za wszystko, co dla nas uczyniłeś, za wszystkie pieniężne datki i pomoc. Ale byłoby dobrze od czasu do czasu ujrzeć twój twarz. A

gdybyś się bardziej postarał, mogłabym ci oszczędzić ze dwa lata cierpienia. - Zaśmiała się krótko, głucho. - Dlaczego to zawsze biedna stara Tana musi trzymać wszystkie nici? Ach, cóż, wkrótce utkamy naszą opowieść, choćby była najdziwniejsza. - Poklepała mnie po ręce. - Dziwi cię to wszystko, moje dziecko, widzę to. Zostań tutaj: obawiam się, że zdziwisz się jeszcze bardziej.

Zwinnie, jak ktoś o wiele młodszy, podniosła się z ziemi i weszła do chaty.

- O co jej chodziło? - zapytałam Fenneca.

Wpatrywał się w rozżarzone węgle w piecyku, jakby tam kryło się wszystko, co musiał wiedzieć. I trzął się cały.

Popatrzyłam na Taiba: musnął palcem wierzch mojej dłoni.

- Jest tu jakaś wielka tajemnica, ale myślę, że niedługo wszystko się wyjaśni. Cierpliwości, Izzy.

W drzwiach chaty powstało jakieś zamieszanie, a po chwili pojawiła się w nich Tana, a za nią niższa kobieta o misternie splecionych w warkocze i zwoje czarnych włosach, w których prześwitywała siwizna. Z uszu zwisały jej długie, sięgające ramion kolczyki, srebrne koła łączące się naprzemiennie z odwróconymi trójkątami. Na palcach i ramionach także nosiła srebrne ozdoby; rogi zarzuconego na głowę szala przytrzymywały długie srebrne obciążniki, ciemnoniebieską suknię ozdabiało kilkanaście srebrnych brosz. Jej ręce pomalowane były henną na ciemnobrązowy kolor, podobnie jak usta, które przez to odcinały się mocno od bladej skóry twarzy. Pomyślałam, że nigdy nie widziałam równie dostojnej kobiety. Wyglądała tak, jak w mojej wyobraźni musiała wyglądać królowa pustyni w całym swoim majestacie. Lecz królowa pustyni nie żyła już od bardzo, bardzo dawna, podczas gdy ta kobieta była jak najbardziej żywa. Oczy, którymi na nas spojrzała, były koloru burzowego nieba, chociaż połyskiwała w nich wesołość i głęboka inteligencja, zdradzająca niejedną ciężką życiową próbę. Nos miała długi i prosty, gęste brwi i brodę, która świadczyła o determinacji graniczącej z uporem. Nikt nie nazwałby jej zapewne piękną, na to była zbyt niezwykła. Przystojna: to właśnie słowo mi się nasunęło. Przystojna: ona stanowiła tego uosobienie.

Jej otwarte, ciemne spojrzenie spoczęło najpierw na mnie. Wpatrywała się we mnie dłuższą chwilę, a mnie wydało się, że drży

jej broda. Następnie popatrzyła na Taiba i skinęła aprobowująco głową; wreszcie pozwoliła sobie spojrzeć na Fenneca.

- Amastanie - powiedziała bardzo wyraźnie.

- Ach, Mariato... - zabrzmiało to bardziej jak westchnienie.

Imiona z amuletu. Patrzyłam najpierw na jedno, potem na drugie, starając się doszukać w tym jakiegoś sensu. Tana nachyliła się ku mnie i dotknęła mojego ramienia.

- Nie widzieli się od czterdziestu lat i oboje byli przekonani, że drugie nie żyje. Czterdzieści lat to długi czas, by trzymać kogoś w sercu, ale nigdy w ramionach. Chodźcie ze mną. Oni co prawda nie widzą niczego poza sobą, ale chyba nie powinniśmy podsłuchiwać.

Pośród kwiatów, w których aż huczało od brzęczenia pszczoł, wyszliśmy z ogrodu. Za nim rozciągało się głębokie, prawie suche koryto rzeki, na którego dnie między białymi głazami tu i ówdzie połyskiwała woda.

- W czasach mojej młodości zawsze płynęła tędy rzeka - powiedziała Tana ze smutkiem. - Było sitowie, wiecznie rechotały żaby i śpiewały ptaki. Rosły oleandry obsypane pięknymi różowymi kwiatami. Ileż to dzieci leczyłam węglem z zatrucia oleandrem... - Potrząsnęła głową. - Takie bywa życie: najpiękniejsze rzeczy bywają śmiertelnie niebezpieczne. Weźcie tych dwoje: nigdy nie widzieliście piękniejszych od nich młodych ludzi. Amastan był wysoki i prosty - cóż, dalej jest - o najbardziej wymownych oczach, mówiłam, że to oczy poety. Ale widzieliście sami, co się z nim stało, kiedy życie go doświadczyło. Nie dziwota, że taką właśnie drogę obrał: zbyt wiele doświadczył już wtedy, kiedy przybył tu jeszcze jako dziecko. Potem, mając ledwie dziewiętnaście lat, stracił swoją pierwszą miłość; drugą, kiedy miał dwadzieścia trzy lata: coś takiego może zniszczyć człowiekowi duszę. Potem walczył na ziemiach stąd aż do Lewantu, i co mu z tego przyszło?

Pytanie było retoryczne. Taib ścisnął mi rękę, a ja splotłam moje palce z jego - słuchaliśmy jak zaczarowani.

- A Mariata, cóż... Była prawdziwą małą księżniczką, kiedy tu przyjechała, chępiła się, że wywodzi się w prostej linii od samej Tin Hinan, ale kto tam wie, jak było naprawdę? Kel Taitok uwielbiają chwalić się podobnymi rzeczami. Według mnie lepiej jest być sobą, niż taszczyć ze sobą tysiąc przodków, ale w naszej kulturze zawsze tak było. A to człowieka ograniczaj - Zamyśliła się z głową

przekrzywioną na bok, przypominając inteligentnego ptaka przyglądającego się robakowi. - Ale też daje czasem odwagę i dumę, która pomaga wytrwać w trudnych sytuacjach. Na wszystko można patrzeć z różnych stron. Amastana przywiozła tu jego matka. - I staruszka opowiedziała nam o kobiecie, którą nazywała Rahmą, i o tym, jak była szczęśliwie poślubiona wodzowi plemienia do czasu, gdy ten wziął sobie drugą żonę. - To rzadka rzecz u naszego ludu - zwróciła się do mnie łagodnie. - Poligamia. Jeden mężczyzna, jedna żona: oddani sobie, sercem, oczami i duszą. Tak zwykle jest u Tuaregów i zawsze tak było najlepiej. Zwyczaj wielożeństwa przyszedł do nas ze Wschodu i były z tego tylko same kłopoty. Kobiety nienawidzą dzielić się swoim mężczyzną, a mężczyźni nie potrafią tego zrozumieć. Nieistotne: Rahmie po rozwodzie nie zostało nic, tylko Amastan, jedyne żywe dziecko. Kochała tego chłopca: kochała aż za bardzo. Kiedy więc postradał zmysły, musiałam coś zrobić, bo inaczej ona też by zwariowała. Kazałam jej jechać do Air, żeby przywiozła Mariatę. My, inadan, słyszymy o rzeczach, o których inni nie mają pojęcia, potrafimy odczytywać znaki dla innych niezrozumiałe. Żadna z tutejszych dziewcząt nie była dość ładna, żeby przyciągnąć uwagę Amastana, nie po tym, czego doświadczył. A ona była wyjątkowa - dalej jest, sami zresztą widzieliście. Piękność: nie ładna, ale naprawdę przystojna, co trwa znacznie dłużej niż zwykła uroda. Silna, bardzo silna twarz, a do tego jeszcze silniejsza wola. Czy mógł się oprzeć? Szkoda, że nie odczytałam reszty znaków, które krążyły wokół tego związku, ale zrobiłam to, co wtedy wydawało mi się słuszne. Nie spoglądałam zbyt daleko w przyszłość, a kiedy to uczyniłam, tych dwoje już się nie rozstawało. Miłość jest silniejsza od losu, czy to nie niezwykle? Niektórzy powiadają, że jest silniejsza nawet od śmierci, ale gwiazdom niech będą dzięki, mnie jak dotąd nie dane było się o tym przekonać.

Dalej opowiedziała nam o niezwykłych wypadkach, które rozdzieliły mężczyznę, którego znałam jako Fenneca, a którego ona nazywała głównie Amastanem z matczyną niemal czułością, i kobietę pustyni, Mariatę.

- Żołnierze przyszli w ich noc poślubną. Oczywiście oni już od tygodni spali ze sobą - może nawet miesiący - ale nikt nie miał im tego za złe. Zasłaniający Twarz udają, że tego nie widzą. Nie daj się złapać, tak powiadają, a jak ci się nie uda, postaraj się wymyślić dobrą

wymówkę, żeby nas rozbawić. Kiedy brali ślub, ona była już w ciąży. Tego samego dnia została żoną i wdową: a przynajmniej tak przez całe lata sądziła. Biedna Mariata, biedny Amastan! Nie kula żołnierza pozbawiła go prawie życia, lecz cios w głowę. Kula trafiła go tutaj - przyłożyła sobie dłoń tuż nad sercem - ale kiedy padał, z taką siłą uderzył się w głowę, że prawie umarł. Przez wiele tygodni był nieprzytomny: Bóg okazał swoje największe miłosierdzie. Amastan raz już widział, co zostało po masakrze, nie było potrzeby, żeby jeszcze raz oglądał to, co ja widziałam... - Zadrzała. - To była straszliwa noc.

- Jak tobie udało się przeżyć? - Taib wpatrywał się w jej twarz. Usta kobiety kowala wykrzywiły się w brzydkim grymasie.

- Zgwałcili i zabili prawie każdą kobietę, jaką zdołali dopaść. Ale kiedy przyszła kolej na mnie - umilkła. - Cóż, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widzieli. Ależ byli przerażeni. Uciekli. W życiu nie byłam taka szczęśliwa, że urodziłam się odmieńcem.

- I to ty uratowałaś życie Fennecowi, prawda? - zapytałam. Skrzywiła się, słysząc to imię.

- Jak zwykle, niepoprawny romantyk. Po jej odejściu nie potrafił więcej używać swojego prawdziwego imienia. Myślałam, że ją odnajdzie i sprowadzi z powrotem, ale życie nie jest jak woda, nie szuka najłatwiejszych dróg, prawda? Długo wracał do siebie po ciosie w głowę; miesiącami. Kiedy mógł już chodzić, co dopiero myśleć logicznie, ona przepadła: najpierw ojciec zabrał ją do Tafilalt, a potem ona wyruszyła w samotną podróż przez pustynię. Przeszła całą drogę z południa Maroka aż na skraj Hoggaru, ponad tysiąc mil. Prawdziwy wyczyn dla każdego, co dopiero dla ciężarnej kobiety.

Patrzyłam na nią z niedowierzaniem.

- Przeszła przez pustynię? Sama?

- I w ciąży. - Tana zdecydowanie kiwnęła głową. - Jak mówiłam, to kobieta o niezwykłej sile charakteru. W każdym razie kiedy Amastan dowiedział się, dokąd ją zabrali, i pojechał do Imteghren, jej już tam nie było. Znalazł dom, w którym mieszkała, a drzwi otworzyła mu kobieta, którą poślubił ojciec Mariaty, poza nią nie zastał nikogo. Cóż, spojrzała na niego raz, obszarpanego nomadę zadającego dziwne pytania i od razu domyśliła się wszystkiego. Powiedziała mu, że dziewczyna nie żyje, tak po prostu. Umarła z powodu choroby, powiedziała i zamknęła mu drzwi przed nosem. Wypytywał wszędzie,

ale wszyscy mówili to samo. Ta resztką serca, jaka jeszcze w nim została, teraz pękła. Wrócił tutaj, ale nie mógł wytrzymać i ruszył na wzgórze; tam bez reszty poświęcił się rebelii.

- Kiedy więc dowiedziałas się, że ona wciąż żyje? - zapytał Taib.

- Parę lat temu. Ona także zmieniła imię. W najbardziej sprzyjających okolicznościach niełatwo znaleźć kogoś na pustyni, co dopiero, kiedy ktoś zmieni imię nadane mu w chwili narodzin. - Cmoknęła, pokręciła głową.

- Wiedziałaś, że nie umarła. Czułam to tutaj... - Dotknęła palcem serca.

- Wyczytałam to też z kości: ale po co miałam mu mówić? On i tak nigdy by mnie nie posłuchał.

- Czemu zmieniła imię? - dopytywałam się wiedzona ciekawością. Tana wyprostowała się i zamknęła oczy.

- Los bywa złośliwy, czasem naprawdę podły. Pod koniec swej pustynnej wędrówki została schwytana przez mężczyznę, którego nienawidziła najbardziej na świecie: Rhossiego ag Bahedi, następcę wodza plemion w Air. Krążyły plotki, że to Rhossi sprowadził żołnierzy na nasze plemię: plotki, chociaż nigdy niepotwierdzone. Trzeba przyznać, że Rhossiemu udało się uciec o wiele łatwiej, niż można się było spodziewać, zważywszy na okoliczności... - Westchnęła. - Cóż, uciekł, a rok później zdobył dokładnie to, czego chciał: Mariatę. Wziął ją sobie za żonę, drugą żonę, mówiąc dokładniej. Biedaczka: tak sobie szanowała swoje pochodzenie, ciężko musiała znosić upokorzenie, jakie ją spotkało, a Rhossi nigdy nie pozwolił jej o tym zapomnieć. Łatwo zrozumieć, czemu postanowiła zmienić imię. Zemściła się na nim na swój własny sposób: nigdy nie udało mu się splodzić z nią dziecka, więc on także był ośmieszony.

- A dziecko? Urodziła dziecko? I czy przeżyło? - Twarz Taiba była ożywiona.

Chyba o wiele bardziej podobała mu się ta zabawa w odkrywanie tajemnic niż mnie. Coś głęboko we mnie nie dawało mi spokoju, wzbudzało niepokój, a ja nie tylko nie umiałam tego nazwać, ale też czułam, że chyba nie chcę poznać.

Tana zważyła w ręce mój amulet.

- Wewnątrz są trzy imiona: Amastan, który miał go jako pierwszy; Mariata, której go podarował...

- I Lallawa.

Z uznaniem kiwnęła ku mnie głową.

- Grzeczna dziewczynka. I Lallawa. Tak, Mariata urodziła swoje dziecko: dziewczynkę, co było dla niej prawdziwą niespodzianką. To było bardzo ruchliwe dziecko i dlatego wierzyła, że to chłopiec, nawet w myślach nazywała go Amastanem. Ale nie było wątpliwości: żadnych organów chłopięcych, wszystko jak u dziewczynki. Dlatego nazwała ją Lallawa, duch wolności. Lallawa ult Mariata ult Yemma ult Tofenat. I tak dalej, aż do Tin Hinan. Napisała imię w amulecie, by chronić swoją nowo narodzoną; związała je najpotężniejszym ochronnym zaklęciem, jakie widziałam, łącząc duchy rodziców, by strzegli dziecka, wplatając imiona jedno w drugie, tkając pajęczynę bezpieczeństwa, sieć, która połączy razem te trzy dusze. Sądziła, że nigdy nie stanie się to na tym świecie, lecz dopiero w gwiazdach. Los jednak czasem zadość czyni swoim złościwościom i pisze swój własny, piękny conte de fee.

Nachyliła się.

- Powiedz mi, dziecko, skąd masz ten amulet?

Opowiedziałam jej i patrzyłam, jak się uśmiecha szeroko i z zadowoleniem.

- Ach, więc taką sobie wymyśliłaś historię? Cóż, pozwól, że opowiem ci jej inną wersję. Mariata urodziła swoje dziecko, dziewczynkę, zapisała jej imię w talizmanie i na szczęście obwiązała nim dziecko. Rhossi chciał synów. Tego dziecka, dziecka kogoś innego, jednak nie chciał. Zostawił je na śmierć. Ale Mariata wróciła, w noc poślubną uciekła do miejsca, w którym zostawiła dziecko. W grobowcu Tin Hinan - ach, wzór, w jaki życie splata się ze śmiercią, tak piękny i nieuchronny. Ale kiedy wróciła, dziecka nie było; tylko ślady opon i stóp. Stóp w butach, jakich nie znajdzie się w Mali czy Nigrze. Jedne należały do mężczyzny, drugie do kobiety, tak mi powiedziała; on był znacznie większy i cięższy od kobiety, której stopy były niewiele większe od stóp dziecka.

Nie byłam w stanie oderwać od niej oczu, ale przez cały czas moje serce waliło jak oszalałe, a w głowie kłębiły się najbardziej idiotyczne myśli, na przykład: „Moja matka miała maleńkie stopy, nosiła buty w rozmiarze 34...”. I przez cały czas czułam, że to zdanie jest w jakimś sensie błędne.

Tana dotknęła mojego czoła.



- Robisz taką samą poważną minę jak ona, kiedy usilnie nad czymś myśli. Z tą różnicą, że jej brwi się stykały; jak widzę, ty swoje regulujesz, żeby tego uniknąć. Tak, moja droga, cokolwiek ci mówili, nie należałaś do nich. Nie oni cię stworzyli. Znaleźli cię w pustynnym grobowcu i ukradli.

Czułam, że cały świat wiruje. Zamrugałam i przełknęłam z trudem, próbując się skupić.

- Mówiłaś, że kobieta była Francuzką, tak?

Potwierdziłam skinieniem głowy.

- Musieli cię jakoś przemycić - zastanawiała się Tana. - Na pewno są na to sposoby, zwłaszcza dla bogatych Europejczyków... Chociaż toczyła się wojna piasków, Europejczyków nigdy tak naprawdę nie dotyczyła; oni żyli w innym świecie niż my wszyscy tutaj.

- Akt urodzenia, Izzy - odezwał się nagle Taib ze zdziwieniem w brązowych oczach. Sięgnął do kieszeni i wyjął złożoną zieloną kartkę. Wpatrywałam się w nią: ostatnio widziałam ją, kiedy Fennec ze złością cisnął ją na ziemię w namiocie. - Jak tylko to zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to marokański akt urodzenia. Widzisz tę pieczętkę? - Pokazał na wyblakły kwadrat na dole równie wyblakłej zielonej kartki. - To Hassan II - nasz stary król. Jest bardzo niewyraźna, ale wystarczy, że pokażesz to pierwszemu lepszemu Marokańczykowi, a on od razu będzie wiedział, co to jest. - Roześmiał się.

- Masz marokański akt urodzenia!

Fałszywy akt urodzenia, przygotowany i podbity przez jakiegoś skorumpowanego urzędnika za niewielki bakszysz.

- Nie, nie mam - powiedziałam głosem tak słabym, że brzmiał niemal jak szept. - To nie jest mój akt urodzenia. Ja nie mam żadnego aktu urodzenia.

Ale jednocześnie czułam, jak radość przyćmiewa całe moje zagubienie, rozwiewa wszelkie wątpliwości i stopniowo, nieuniknienie we mnie narasta na podobieństwo wody podnoszącej się ku światłu z otchłani ciemnej studni.

- Tana mi powiedziała, że przyjedziesz.

- Skąd wiedziała?

- Znasz Tanę lepiej ode mnie. Ona wie bardzo dużo. - Zamilkła w zamyśleniu. - Czy wiesz, że nosiłam cię w sobie przez te wszystkie

lata, w moim sercu, nad sercem. - Odpięła srebrną broszkę przypiętą na środku piersi i rozwiązała skórzany rzemyk, który ją zamykał. Ze środka wyjęła ciasno zwinięty strzępek tkaniny w kolorze indygo pokryty rdzawą plamą. Przez chwilę spoglądała na niego z czułością, a potem upuściła i pozwoliła, żeby sfrunął na ziemię między nimi. - To z twojego rękawa, kiedy oderwali mnie od ciebie. Myślałam, że jest na nim ostatnia kropla twojej krwi, dopóki nie zrozumiałam, że noszę w sobie twoje dziecko. - Uśmiech, z jakim na niego spojrzała, był promienny. - Nie rozpoznałeś naszej dziewczynki, kiedy ją zobaczyłeś? - Zachichotała. - Śmieszne, że porwałeś własną córkę!

Potrząsnął głową.

- Skąd miałem wiedzieć? Nawet nie wiedziałem, że jest jakieś dziecko, więc jak mogłem się domyślić, w tych okolicznościach... - Urwał w połowie. To było absurdalne. - Oczywiście, że nie. - Umilkł, zamyślając się. - A mimo to, wiesz, coś w niej było. Coś, co przypominało mi ciebie.

- Ja poznałam ją od razu. Poznałabym ją wśród tysiąca kobiet. Ma twoje oczy.

Amastan poczuł, jak jego własne mu wilgotnieją. Otarł łzy wierzchem dłoni: asshak wymagał, żeby nie pokazywać słabości, nawet przed własną żoną. Ale łzy były silniejsze od niego i w końcu pozwolił, by popłynęły mu po twarzy i wsiąkały w jego tagelmust.

- Ma twoją brodę - wykrztusił wreszcie. Mariata sięgnęła ręką do jego policzka.

- Pozwól mi się zobaczyć. Pozwól mi zobaczyć twoją piękną twarz. - Zsunęła welon i wpatrywała się w niego, pożerając wzrokiem każdy mięsień, każdy por, każdą ryś i zmarszczkę. - Nie obchodzi mnie czas, jaki minął: on nic nie znaczy. Jesteś taki sam jak zawsze. Jesteś moim Amastanem; ja jestem twoją Mariatą. Nie opuszczaj mnie już nigdy więcej. Przyrzeknij.

Nie był w stanie nic powiedzieć, więc tylko skinął głową i przygarnął jej dłonie do swego serca.

## DWA LATA PÓŹNIEJ

Pustynne słońce płonące na bladym niebie oświetlało swymi promieniami grupkę osób w obozie rozbitym u stóp góry. Widok był niesamowity: po jednej stronie wyszczerbione wulkaniczne szczyty wznosiły się na horyzoncie; po drugiej ciągnęło się rozległe morze nieruchomych piasków, ich grzbiety i parowy jakby zamrożone w czasie. Na pobliskim pastwisku - soczyście szmaragdowym na tle otaczającej czerwieni - wielbłądy pasły się lub siedziały wpatrzone spokojnie w dal, przeżuając z zadowoleniem. Przy srebrzystej wstędze rzeki stadko czarnych kóz kręciło się spokojnie pośród skał. Między młodymi samcami wybuchały od czasu do czasu udawane walki, a porykiwanie starych capów karcących to zuchwałe zachowanie odbijało się echem od czerwonych skalistych zboczy. Na drugim końcu obozu, obok zakurzonych pojazdów grupka dzieci zebrała się w pobliżu długich, nisko zadaszonych namiotów, z uwagą przysłuchując się dwóm mężczyznom, tradycyjnie przyodzianym w długie tuniki i szczelnie zasłaniające twarze welony. Starszy z mężczyzn miał silny, ostry profil i uważne oczy. Właśnie wpatrywał się nimi w młodszego mężczyznę, który entuzjastycznie gestykulował, a po chwili schylił się i końcem patyka rysował zamaszyste, kręte linie na piasku u swoich stóp. Wyprostował się, by przyjrzeć się swemu dziełu, i szybkim krokiem odszedł, ale zaraz wrócił, niosąc w tunice kamienie. Pod tuniką miał dzinsy, doskonale skrojone, z wąskimi nogawkami, na francuską modłę. Rzucił kamienie na ziemię, wzbijając wielki tuman kurzu, aż kilkoro dzieci zaczęło kichać i krzyżeć. Starszy mężczyzna coś powiedział, wszyscy roześmiali się, i wtedy nawet jego poważne rysy twarzy rozluźniły się na chwilę, przybierając odrobinę mniej surowy wygląd. Młodszy mężczyzna położył okrągły czerwony kamień na jednej z narysowanych przez siebie elips, potem następny, większy i jaśniejszy, odrobinę dalej. Kolejne kamienie znalazły swoje miejsce pośród wirujących, koncentrycznych linii. Dzieci wpatrywały się zafascynowane, ale speszzone. Mężczyzna mówił z wielkim ożywieniem, wskazując najpierw na kamienie, potem na niebo, pustynię i wreszcie machnął szeroko ramieniem, zagarniając nim wszystko wokół ku narysowanemu przez siebie wzorowi.

W pewnym oddaleniu od tej ożywionej lekcji siedziały dwie kobiety, przyglądając się scenie z mieszaniną czułości, dumy i

rozbawienia. Z profilu wyglądały niemal identycznie, gdyż w jaskrawym blasku słońca zmarszczki jednej stały się mniej widoczne, szczegóły rysów drugiej zamazane. Gdyby nie odmienny kolor - srebrzysty i czarny - ich splecionych włosów, mogłyby uchodzić za siostry, może kuzynki. Obie nosiły błękitne suknie, luźne, w tym upale dające ochłodę, kolorowe chustki na głowach, srebrną biżuterię, zaś ciemne, wyraziste oczy miały obwiedzione czarną kreską. Jedna z nich miała na przegubie zegarek, ale nie była to żadna oznaka statusu, lecz plastikowy, cyfrowy, nie rzucający się w oczy, tani i funkcjonalny czasomierz. Kobieta spojrzała na niego, wstała, przycisnęła ręce do nasady pleców i przeciągnęła się leniwie jak kot, potem ruszyła w kierunku klasy. Druga kobieta dotknęła amuletu - masywnego czworokątnego kawałka srebra ozdobionego lśniącymi czerwonymi kołami - dumnie prezentującego się na jej piersi, potem również podniosła się, odrzuciła długi kraj chusty na ramię i poszła śladem pierwszej.

- A co to jest?

Młodszy mężczyzna pokazywał na biały kamyk, a dzieci wyciągały szyje.

- Tellit? - zapytało jedno, zwracając się do starszego i patrząc na niego z powagą.

Amastan rozpromienił się.

- Tellit - potwierdził.

- Księżyc - powtórzył za nim Taib. - La lune. - Dotknął kawałka czerwonego granitu ułożonego na następnym eliptycznym kręgu, narysowanym przez niego na piasku. - Czy któreś z was pamięta, co to jest?

Dziewczynka z włosami zaplecionymi w kilka warkoczyków powiedziała coś bardzo cichutko, w zasadzie szeptem. Taib przyłożył dłoń do ucha, a ona powtórzyła nieśmiało.

- Czerwona planeta, dokładnie: Mars. Bardzo dobrze, Tarichat.

Polecił im rysować własne elipsy i umieścić na nich planety i ich księżyce we właściwych miejscach, zadając pytania i odpowiadając w mieszaninie angielskiego, francuskiego i tamaszek. Potem nagle ktoś potknął się o Wenus, upadł i wykopał Ziemię z jej orbity i w jednej chwili wszyscy zanosili się śmiechem i dodawali nowe gwiazdy i asteroidy tam, gdzie nigdy wcześniej niczego nie było. Wtedy wielki

cień padł na piasek i obrócili się, by zobaczyć, co jest przyczyną tego zjawiska.

Jeden z chłopców zaśmiał się i coś zawołał, a Amastan uśmiechnął się, pokazując zaskakująco białe zęby w opaleniznie widocznej pod czarnym zawojem jego welonu.

- Mówi, że zrobiłaś zaćmienie słońca!

Taib podszedł i objął powiększającą się z każdym dniem talię nowo przybyłej.

- Jak mam im tłumaczyć ich miejsce we wszechświecie, kiedy zjawia się moja wielka żona i staje na całym Układzie Słonecznym?

Izzy uderzyła go z czułością w ramię, co z jakiegoś powodu dzieci uznały za niewyobrażalnie śmieszne. Mariata pokręciła głową.

- Wy, mężczyźni, zawsze martwicicie się o swoje miejsce na świecie. My, kobiety, troszczymy się o zupełnie inne rzeczy. - W jej żywych czarnych oczach błyszczało czułe wyzwanie; Amastan posłał jej swój skromny półuśmieszek. Przez długą chwilę patrzyli na siebie, potem Mariata nachyliła się i położyła rękę na brzuchu swojej córki. - Podjęliście już decyzję?

Izzy popatrzyła na matkę ostrzegawczo, ale Mariata nie przejęła się tym zbyt. -

- Gdzie będziesz rodzić?

- Nie ma o czym mówić. Wraca do Paryża - powiedział Amastan, już zupełnie poważnie. - Moja córka będzie rodzić w czystej, nowoczesnej klinice, gdzie nie będzie miejsca na żadne błędy.

Stojący obok Taib był również zdecydowany.

- Bez dyskusji, Izzy, już o tym rozmawialiśmy! Nie możesz rodzić tutaj; to byłoby szaleństwo.

- Szaleństwo! - zawtórował mu Amastan.

Stali ramię w ramię, dwie połówki tego samego nasienia. Izzy powtórzyła to w myślach i zastanowiła się rozbawiona. Czyba chodziło jej o „dwie krople wody”? Czasem używała zwrotów, których nigdy wcześniej nie stosowała, wiedziała rzeczy, których nie powinna była znać, biorąc pod uwagę jej wychowanie. Było to dziwne, ale z drugiej strony wydawało się jak najbardziej normalne. W zasadzie zdążyła już do tego przywyknąć.

- Słuchajcie, znam wszystkie argumenty, wiem, jakie są niebezpieczeństwa; ale przecież kobiety rodziły na pustyni od

tysiącleci! Nie - dość już tego: jeszcze nie zdecydowałam. Ale nie zapominajcie, że będą tu Jean i Anne - Marie.

Mówiła o dwójce francuskich lekarzy, opłacanych przez fundację, którą Taib i Isabelle założyli z pieniędzy za odprawę Izzy i ze sprzedaży dwóch londyńskich domów. Prężna firma Taiba, zajmująca się sprzedażą artefaktów amerykańskim i europejskim kolekcjonerom, również przynosiła niezłe zyski; Tana przekazała wiele swoich umiejętności inadan młodszym pokoleniom - choć niektóre z sekretów zatrzymała dla siebie - osiągając zaskakujące rezultaty, na które było wielkie zapotrzebowanie.

Mariata posłała córce jedno ze swoich spojrzeń kątem oka, przebiegłych i rozbawionych zarazem. Izzy wiedziała, co oznacza: decyduj sama i nie zwracaj uwagi na mężczyzn - co oni wiedzą o tych sprawach? My jesteśmy kobietami pustyni i razem z pustynią podejmujemy własne ryzyko. Wiedząc, że i tak one wygrają spór, sprytnie zmieniła temat.

- A jak ją nazwiecie, wybraliście już imię?

- Jesteś pewna, że to będzie dziewczynka? - zapytał Amastan, tylko odrobinę buńczucznie.

Mariata wygięła usta w błogim grymasie.

- Och, oczywiście, nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wywróżyłam to ze znaków.

Taib potrząsnął głową.

- Zawsze wiedziałaś, nie musieliśmy nic mówić. Nie wiem, po co w ogóle pytasz. Izzy i ja rozmawialiśmy już o tym i wczoraj wieczorem doszliśmy do porozumienia.

- Choćbym nie wiem jak długo żył, kobiety zawsze pozostaną dla mnie zagadką. - Amastan westchnął z teatralną przesadą.

Z powagą popatrzył na żonę, może nawet z pewnym bałwochwalstwem; wymienili długie spojrzenie.

Czterdzieści lat, pomyślała Izzy. Chociaż minęły już dwa lata, wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do myśli, że jest córką takich rodziców. Zupełnie jakby pożyczyła sobie cudze życie, znalazła się w świecie bajki - choć z bajki w nieco łaskawszym świecie od tego, który stworzył Perrault czy bracia Grimm. Zastanawiała się, czy po upływie tak długiego czasu ona i Taib wciąż będą równie mocno ze sobą związani, równie żywi dla siebie nawzajem? Pomysł był nierealny, absurdalny, ale zarazem zachwycający. Pomyśleć, jacy

starzy wtedy będziemy! Roześmiała się, wyobrażając to sobie, i podniosła wzrok, by napotkać spojrzenie swojego męża, patrzącego na nią z takim nateżeniem, że poczuła łaskotanie w dole brzucha. A może to dziecko ją kopnęło. Znowu.

- Lallawa - powiedziała cicho, kładąc dłoń na coraz większym brzuchu. - Czuję, że jestem to Lallawie winna: tamtej starej, która oddała swoje życie pustyni; i tej dziewczynce, która nigdy nie miała szansy dorastać z tym imieniem.

## SŁOWNICZEK

adhan - muzulmańskie wezwanie do modlitwy

ag - syn

ahal - tuareska uroczystość

Amazigh - Berberowie, Wolni Ludzie (l. mn. Imazighen)

amenokal - naczelnik związku plemiennego

amghrar - wódz plemienia

anet ma - wuj ze strony matki, ważniejszy od rodzica

asfar - słowo w języku tamaszek, oznaczające „o bladej skórze”

asshak - tuareski kodeks honorowy i wzajemnego poszanowania

azalay - solna wyprawa handlowa lub karawana

babusze - ręcznie robione skórzane pantofle

baggara - wędrowiec, żebrak

baraka - potęga pomyślności

barchan - wydma wygięta w kształcie półksiężyca

bokaye - czarownik posiadający władzę nad duchami, Afryka

### Zachodnia

dżin - duch, często zły

enad (l. mn. inadan) - tuareski kowal, często znający się na czarach i rytualnych obrządkach

erg - pustynia piaszczysta

fesh - fesh - kurzawka

fichta - berberyjska uroczystość

funduq - karawanseraj, dom zajezdny dla wielbłądów i podróżnych

galabija - tunika z kapturem

ghul - zły duch

guedra - rytualny taniec kobiet

guelta - sadzawka ze stojącą wodą

haik - tradycyjna szata damska

hamada - kamienisty, pustynny płaskowyż

harratin - pracownicy rolni

iboglan - tuareska arystokracja

ifryt - zły duch

iklan - niewolnicy domowi

kasba - forteca lub umocnienia

Kel Asuf - duchy pustyni



kohl - czarny proszek do barwienia oczu, otrzymywany z antymonu

ma'allema - nauczyciel religii i takich umiejętności, jak haft

madugu - przewodnik kolumny wielbłądów lub karawany

marabut - wędrowny przywódca duchowy lub nauczyciel wiary

mechoui - jagnię pieczone na rożnie

mehari - szlachetny biały wielbłąd, często używany w wyścigach

m'smen - berberyjskie naleśniki

oued - suche koryto rzeki lub wadi

qareen - osobisty demon człowieka

redjem - kurhan, grobowiec w kształcie kopca

sah'ra - arabskie słowo oznaczające „brązowoszary” lub „kolor mysi”

sehura - czarownica

sif - długa wydma w kształcie klingi

suk - targ

tagelmust - welon noszony przez tuareskich mężczyzn

tajine - gliniany garnek, także danie w takim garnku przygotowywane

takouba - tuareski miecz

tamaszek - język mówiony Tuaregów

tamerwelt - zając

tassoufra - sakwa na jedzenie

tcherot - amulet

tefok - słońce

tehot - złe spojrzenie rzucające urok

tifinagh - pradawny alfabet tuareskiego języka pisanego

ult - córka

## NOTKA OD AUTORKI

Powieść powstała z połączenia dwóch inspirujących opowieści. Pierwszą było odkrycie, że rodzina mojego męża ma swoje korzenie wśród nomadów mauretańskich, którzy karawanami wielbłądów przewozili przez pustynię srebro, przyprawy i sól z subsaharyjskiej Afryki na targowiska w Maroku.

Drugą było spotkanie z Francuzką, która przybyła do odległej berberyjskiej wioski, poszukując swego ojca: tuareskiego handlarza, z którym jej matka paryżanka miała romans w latach sześćdziesiątych XX wieku. Prawdę o swoim ojcu odkryła dopiero przy łożu śmierci matki: przez całe jej życie było to tajemnicą, wstydlivym sekretem. W przeciwieństwie do Abdellatif, przez całe życie czuła się pozbawiona korzeni i zagubiona, zawsze uważając się za kogoś niepełnego, kto nigdy nie pasował do świata, w którym przyszło mu żyć. Resztę nie mnie opowiadać; muszę jednak podziękować jej za inspirację, bez której ta książka nigdy by nie powstała.

## ŹRÓDŁA I BIBLIOGRAFIA

- „Enfants des sables", Moussa Ag Assarid i Ibrahim Ag Assarid (Presacs de la Renaissance, 2008)
- „Amazigh Arts in Marocco", Cynthia J. Becker (University of Texas Press, 2006)
- „Art of Being Tuareg", T.R. Seligman i Krystine Loughran (Univeristy of Washington Press, 2006)
- „Men of Salt", Michael Benanv (Lyons Press 2006)
- „Those Who Touch: Tuareg Medicine Women in Anthropological Perspective", Susan J. Rasmussen (Northern Illinois University Press 2006)
- „Tuareg Jewelry", Helene E. Hagan i Lucile C. Myers (Xlibris, 2006)
- „Call of the Desert", Phillippe Bourseiller (Harry N. Abrams, Inc., 2004)
- „Tikatoutyin", Marceau Gast (Editions de la Boussole, 2004)
- „Contes et legends Touaregs du Niger", Laurence Rivaille i Pierre - Marie Decoudras (Karthala, 2003)
- „In Quest of Lost World", Byron de Prorok (The Narrative Press, 2003)
- „The Sword and the Cross", Fergus Fleming (Granta, 2003)
- „VeiL: Modesty, Privacy, and Resistance", Fadwa El Guindi (Berg Publishing, 2003)
- „Civilizations", Felipe Fernandez - Armesto (Free Press, 2002)
- „Desert Divers", Sven Lindqvist (Granta, 2002)
- „Sahara", Michael Palin (Weidenfeld & Nicholson, 2002)
- „Sahara", Marq de Villiers i Sheila Hirtle (Walker, 2002)
- „Les Touaregs", Edmund Bernus (Editions Vents de Sables, 2002)
- „Touaregs", Helene Claudot - Hawad (Gallimard, 2002)
- „Sahara Man", Jeremy Keenan (John Murray, 2001)
- „Touareg: la tragedie", Mano Dayak (Hachette, 1998)
- „The Pastoral Tuareg", Johannes Nicolaison (Thames & Hudson, 1997)
- „Desert Travels", Chris Scott (Traveller's Bookshop, 1996)
- „The Blue People", Karl G. Prasse (Museum Tusculanum Press, Univeristy of Copenhagen, 1995)

„French Lesson in Africa", Peter Biddlecombe (Little, Brown, 1994)

„The Tuaregs", Karl G. Prasse (Copenhagen, 1985)

„Africa Adorned", Angela Fisher (Harry N. Abrams, Inc., 1984)

„The Tuaregs", Kenneth i Julie Slavin (Gentry Books, 1973)

„Sahara", Rene Gardi (Harrap, 1970)

„The Sheltering Sky", Paul Bowles (Penguin, 1945)

„Unrest in the Sahara: Niger s Nomads Fight for Rights", Alex Sehmer i May Welsh (reportaż, Al Jazeera, 2008)

„Mali's Peace Process: Context. Analvsis and F.valuation". Kare Lode (reportaż, Conciliation Resources, 2002)

„The Rise of Amazigh Nationalism and National Consciousness in North Africa", dr Larry A. Barrie (ocena, Strategic Studies Detachment, 4<sup>th</sup> Psychological Operations Group, Airborne, 1998)

[www.amazighworld.org](http://www.amazighworld.org)

[www.mondeberebre.com](http://www.mondeberebre.com)

\*

Pisane przy muzyce Tinariwea, Tidawt i Etran Finatawa.

## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojemu mężowi, Abdelowi, za pomoc w przybliżeniu mi tajemniczej kultury, której bez niego nigdy nie zdołałabym zrozumieć, a także za podarowanie mi starożytnego tuareskiego amuletu, który stał się osią tej powieści; Mohammedowi ze szkoły w Tiouadzie; Hassmanowi, naszemu przewodnikowi po pustyni, i wielbłądom, które znosiły mój ciężar i szokujący brak doświadczenia, nie uskarżając się zbyt; wreszcie tym wszystkim, którzy cierpliwie odpowiadali na moje niekończące się pytania o życie nomadów. Emmie, Karen i Phillipie za wsparcie podczas pisania tej złożonej książki; Venetii i Jenny z Viking Penguin za determinację i pasję; Danny'emu Barorowi za niezachwianą wiarę i zachętę.

Nie będąc ani antropologiem, ani językoznawcą, ogromnie dużo zawdzięczam wszystkim moim źródłom pisanim, lecz wszelkie błędy interpretacyjne są wyłącznie moje. Powyżej wymieniam główne źródła, z których korzystałam, dla tych wszystkich, którzy zapragną dalej badać ten fascynujący temat.